

# SHALEV

MEIR

ROSYJSKI ROMANS

---

MARGINESY





# SHALEV

MEIR

ROSYJSKI ROMANS

---

PRZEŁOŻYŁA

Raja Bar Peled



## Spis treści

Karta redakcyjna Rozdział 1 Rozdział 2 Rozdział 3 Rozdział 4  
Rozdział 5 Rozdział 6 Rozdział 7 Rozdział 8 Rozdział 9 Rozdział  
10 Rozdział 11 Rozdział 12 Rozdział 13 Rozdział 14 Rozdział 15  
Rozdział 16 Rozdział 17 Rozdział 18 Rozdział 19 Rozdział 20  
Rozdział 21 Rozdział 22 Rozdział 23 Rozdział 24 Rozdział 25  
Rozdział 26 Rozdział 27 Rozdział 28 Rozdział 29 Rozdział 30  
Rozdział 31 Rozdział 32 Rozdział 33 Rozdział 34 Rozdział 35  
Rozdział 36 Rozdział 37 Rozdział 38 Rozdział 39 Rozdział 40  
Rozdział 41 Rozdział 42 Rozdział 43 Rozdział 44 Rozdział 45  
Rozdział 46 Rozdział 47 Rozdział 48 Rozdział 49 Rozdział 50  
Rozdział 51 Słowniczek Przypisy

רומן רוסי  
Tytuł oryginału Przekład RAJA BAR PELED  
Redaktor prowadzący ADAM PLUSZKA Korekta AGNIESZKA  
RADTKE, JAN JAROSZUK Projekt okładki i stron tytułowych  
MICHAŁ PAWŁOWSKI Łamanie **manufaktura** | manufaktu-  
ar.com Zdjęcia na okładce © Rubén Díaz Caviedes / Flickr  
רומן רוסי

Copyright © Meir Shalev and Am Oved Publishers 1988  
Published in agreement with The Deborah Harris Agency, Israel  
and Book/lab Literary Agency, Poland

All rights reserved

Copyright © for the translation by Adam Bar Peled

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Marginesy,  
Warszawa 2016 Warszawa 2016

Wydanie pierwsze w tej edycji ISBN 978-83-65586-03-2

Wydawnictwo Marginesy

ul. Forteczna 1a,

01-540 Warszawa

tel. 48 22 839 91 27

e-mail: redakcja@marginesy.com.pl Konwersja: eLitera s.c. =

Pewnej letniej nocy stary nauczyciel Jakub Pines zerwał się ze snu przerażony. Na dworze ktoś wrzeszczał: „Rzną wnuczkę Libersona!”.

Ten bezczelny krzyk, głośny i wyraźny, dolatywał od strony wieży ciśnień, spośród koron kanaryjskich sosen. Przez chwilę zawisł w powietrzu jak drapieżny ptak, a potem słowa osypały się na ziemię osiedla. Bolesna, stara, od dawna znana trwoga wstrząsnęła sercem starego nauczyciela. Znów uświadomił sobie, że tylko on słyszy ten ohydny krzyk. Przez wiele lat trudził się uszczelnianiem szpar, gromadzeniem okruchów i upartym stawianiem czoła. „Trzymam palec w tamie jak ów holenderski chłopczyk”, zwykł powtarzać, rzucając się w wir walki z kolejnym zagrożeniem. Mszyce owocowe, loteria państwowa, kleszcze bydłce, malaryczne komary, chmary szarańczy i zespoły jazzowe falowały wokół niczym groźne bałwany i rozbijały się o jego pierś ociekającą pianą.

Rozzłoszczony, nie pojmując, jak życie we wsi może dalej toczyć się swoim torem, podczas gdy taki wybryk jawnie mu uwłacza, usiadł Pines na łóżku i poczochnął palcami owłosiony tors.

Całe osiedle było, jak to się zwykło mawiać w Dolinie, pogrążone we śnie. Muły i dojne krowy w oborach, kury nioski w kurnikach, ludzie idei i pracy w swych skromnych łózkach. Wieś, jak stara maszyna o dotartych częściach, wyrabiała nocny plan. Napęły się mlekiem wymiona, wzbierały sokiem kiście winogron, a karki odchowanych cieląt obrastały przed wysyłką do rzeźni wyborowym mięsem. Pracowite bakterie, „nasze jednokomórkowe przyjaciółki”, jak je wdzięczny Pines nazywał na swoich lekcjach, zajmowały się dostarczaniem świeżego azotu korzeniom roślin. Lecz stary nauczyciel, człowiek łagodny i wychowawca znany z cierpliwości, nie pozwalał nikomu, a już najmniej samemu sobie, spocząć na laurach produkcyjnych dokonań.



– Złapię cię, zarazo – warknął wściekle i wyskoczył ciężko z żelaznego łóżka. Drżącymi rękami pozapinał stare spodnie khaki, wzuł czarne robocze buty wzmacniające mu nogi w kostkach i wyruszył do boju. W ciemności i pośpiechu zapomniał okularów, lecz światło księżyca wdarło się przez szczeliny w drzwiach i oświetlało mu drogę.

Na dworze potknął się o kopczyki kreta prowadzącego w ogrodzie podstępna działalność. Podniósł się, oczyścił kolana z ziemi, zakrzyknął „kto tam?” i nadśluchiwał z wielką uwagą. Krótkowzroczne oczy wierciły leżącą przed nim ciemność, siwa wielka głowa, podobna do głów nocnych ptaków, obracała się we wszystkie strony, jak gdyby była osadzona na osi.

Ohydny okrzyk się nie powtórzył. „Jak zwykle”, pomyślał, „zawrzaśnie tylko jeden raz, nie więcej”. Zafrasował się. Ordynarne słowa były wyraźnym nawoływaniem do zboczenia z drogi, do tanich uciech, do stawiania osobistego życia ponad wszystko, krótko mówiąc – do wyraźnego uchybienia regulaminowi. Stary nauczyciel, który „przygotował wszystkie nasze dzieci do życia w wierze i pracy”, przypomniał sobie grabież czekolady w spółdzielczym sklepiu dokonaną przez kilku jego starszych uczniów, kufer Rywy Margolis, przybyły z Rosji, pełen po brzegi drogich, kuszących przedmiotów i „rozmaitych luksusów”, które wstrząsnęły towarzyszami i zasadami, a także „urągłiwy śmiech włóczącej się po naszych polach hieny, co drażnił i siał zniszczenie”.

Ponieważ przypomniał sobie hienę, i to w chwili gdy nie miał na nosie okularów i był prawie ślepy, jego troska zmieniła się w trwogę. Był nieomal sparaliżowany strachem.

Owa hiena nawiedzała od czasu do czasu wsie. Wysłaniec światów rozciągających się za polami pszenicy, po drugiej stronie błękitnej góry. Podczas wielu lat, które upłynęły od czasu założenia wsi, nauczyciel nieraz słyszał jej szydercze szczekanie dochodzące wyraźnie i wyzywająco od strony *wadi* i zawsze oblatywał go strach.

Rany zadawane przez hienę były bardzo ciężkie. Wśród



pogryzionych zdarzali się tacy, którym pomieszała się właściwa kolejność robót. Siali pensylarię na jesień, a winorośl przycinali latem. Inni powariowali, zaczęli powątpiewać, lekceważyć, a nawet rzucać pracę na roli, wędrowali do miasta, umierali, opuszczali kraj.

Od nadmiaru troski nie wiedział Pines, co ma począć. Widywał już w swoim życiu ludzi, którzy załamali się u kresu drogi – w porcie zgarbione postacie opuszczających kraj czy wychudzonych samobójców spoczywających w grobach. Wszystkich tych, którzy zboczyli ze szlaku, poodpadali. „Młodych jerozolimskich żonkosiów pasożytujących na podziale zapomogi, chasydów z Safedu wyliczających datę Dnia Ostatecznego i durnych komunistów, wyznawców Miczurina i Lenina, którzy doprowadzili do upadku brygadę pracy”. Długie lata rozmyślań i obserwacji nauczyły go, jak łatwo upuścić krwi nieodpornemu człowiekowi.

– Napada przeważnie na dzieci, ich światopogląd bowiem jeszcze nie okrzepł – ostrzegał, gdy odkryto ślady owego podłego stworzenia w pobliżu domów gospodarzy, i żądał, by natychmiast postawiono strażę przy szkole. Nocami przyłączał się do uzbrojonych młodych mężczyzn, swoich byłych uczniów, którzy wychodzili w pole z zamiarem wykończenia kusiciela. Hiena jednak była mądra i nie dawała się schwytać.

– Tak jak i inni zdrajcy, z którymi mieliśmy do czynienia – powiedział Pines na zebraniu wiejskim. Pewnej nocy, gdy wybrał się na połów drzewnych żabek i małych nocnych owadożerców do szkolnego kącika przyrody, ujrzał ją po przeciwległej stronie rzecznej koryta, jak szła ku niemu lekkim krokiem dzikiego zwierzęcia. Pines zatrzymał się, a ona spojrzała na niego swoimi ryżymi, fosforyzującymi ślepiami i zawarczała uwodzicielsko. Widział spad karku, napięte mięśnie szczęk, zjeżoną i drżącą cętkowaną sierść na pochyłości kręgosłupa.

Hiena przyspieszyła kroku, depcząc młodziutkie kielki wyki, i zanim się cofnęła i pochłonęła ją ściana sorgo, spojrzała raz jeszcze na wychowawcę i uśmiechnęła się drwiąco, obnażając

oślinione zęby. Pines nie zrozumiał, co ma ten „wredny uśmiech” oznaczać, nie zauważył, że zapomniał strzelby.

– Pines zawsze zapomina strzelby – powiedzieli gospodarze, gdy dowiedzieli się o tym nocnym spotkaniu, i przypomnieli sobie, jak to wiele lat temu, gdy ojcowie zakładali wieś, jego żona Lea zmarła na malarię, a w jej łonie dwie córeczki, bliźniaczki. Pines uciekł od ukochanego ciała, z którego ciągle jeszcze sączył się zielonkawy pot, chociaż już się uspokoiło i ostygło, i pobiegł do *wadi*, w zarośla akacji, gdzie w owych czasach zwykło się popełniać samobójstwa. Kilku towarzyszy pospieszyło za nim, by go ratować, i znalazło go leżącego i płaczącego wśród sunarii. Wtedy też zapomniał strzelby.

Teraz w jego drżącym sercu znowu pojawiło się wspomnienie ohydneho zwierza, i martwa żona, i bezgrzeszne sine embriony.

Przestał wołać „kto tam?”, wrócił do pokoju, znalazł okulary i pospieszył do mojego dziadka.

Pines wiedział, że dziadek prawie nie sypia. Zapukał do drzwi i wszedł, nie czekając na odpowiedź, a uderzenie ramy siatki o framugę mnie obudziło. Spojrzałem na łóżko dziadka. Było puste jak zwykle, ale z kuchni dolatywał zapach papierosa. Miałem wtedy piętnaście lat. Większość z nich upłynęła w drewnianym baraku dziadka. Wyhodowały mnie jego dłonie, dłonie sadownika. Oczy jego śledziły moje podrastanie i zachowanie, jego usta okręcały mnie grubą rafią opowieści. We wsi nazywali mnie „sierota Mirkina”, ale dziadek, litościwy, zawzięty i mściwy dziad, nazywał mnie „moje dziecko”. Był stary i blady, jak gdyby zanurzył się w białej zawieszynie, którą na wiosnę smarował pnie drzew w sadzie. Niski, żyłasty, wąsaty i łysawy. Oczy, które lata wessały głęboko w oczodoły, straciły blask. Wyzierały stamtąd tylko dwa zagłębienia szarej mgły.

W letnie noce zwykł dziadek siadywać przy kuchennym stole w zdartym roboczym podkoszulku i niebieskich krótkich spodniach, pachnący dymem i słodką wonią drzew i mleka, kiwał gałązkami wykrzywionych od roboty nóg i dumał, roztrząsając

wspomnienia i grzechy. Zapisywał sobie krótkie zdania na skrawkach papieru, a te rozlatywały się potem po pokoju jak wędrujące roje bielinków. Czekał bez przerwy na powrót tych wszystkich, którzy mu się zagubili. „Żeby stali się ciałem na moich oczach”, było napisane na jednym z karteluszków, który sfrunął mi prosto do ręki.

Wiele razy, od chwili gdy zacząłem coś pojmować aż do jego śmierci, zapytywałem go uporczywie: „O czym myślisz, dziadku?”. A on mi zawsze odpowiadał: „O sobie i o tobie, moje dziecko”.

Mieszkaliśmy w starym baraku. Kazuaryny zrzucały na nasz dach kobierce twardych igiełkowatych liści i dwa razy do roku na rozkaz dziadka włąziłem i zgrabiałem nagromadzoną tam warstwę. Podłoga baraku wznosiła się nieco nad ziemią, by wilgoć i owady nie nadgryzały drewnianych desek. Z tej wąskiej i ciemnej przestrzeni dochodziły mnie odgłosy walk jeży z węzami i miękki chrobot jaszczurczych łusek. Pewnego razu, gdy ogromna skolopendra wlaźła stamtąd do pokoju, dziadek ponakładał dookoła cegieł i zamknął przestrzeń oddzielając barak od ziemi. Dochodzące stamtąd westchnienia konania i błagalne jęki zmusiły go do zburzenia tej ściany, i nigdy więcej już tego nie robił. Nasz barak był jednym z ostatnich, jakie zostały we wsi. Gdy Ojcowie Założyciele osiedlili się na roli, cały budżet przeznaczony na budownictwo zainwestowali w betonowe obory, ponieważ dojne krowy były mniej odporne od nich na przeciwności klimatu, a hodowane i zadomowione od wielu pokoleń, nie zdradzały chęci powrotu do natury.

Pionierzy mieszkali w płóciennych namiotach, a później w drewnianych barakach. Minęły lata, zanim przenieśli się do domów murowanych z cegły, lecz w domu zbudowanym na terenie naszego gospodarstwa mieszkał mój wujek Abraham, jego żona Rywka i ich synowie, a moi kuzyni, bliźniacy Josi i Uri. Dziadek postanowił zostać w baraku. Był sadownikiem i kochał drzewa.

– Drewniany dom rusza się i kiwa. Poci się i oddycha. Każdy

człowiek, chodząc po nim, wywołuje inny skrzyp – powiedział i wskazał z dumą na grubą belkę nad swoim łóżkiem, która każdej wiosny wypuszczała zielony pęd.

Barak składał się z dwóch pokoi i kuchni. W jednym pokoju spaliśmy obaj z dziadkiem na żelaznych łóżkach i kłujących siennikach, które nazywało się „siennikami z morskiej trawy”. Tu stała wielka szafa na ubrania, a obok niej „kamod”, przykryty nadpękniętą marmurową płytą. W górnej szufladzie dziadek trzymał nici z rafii, taśmy graftekstu do szczepień i tuby „czarnej maści”, którą sam przyrządzał, do leczenia kikutów po odpiłowanych gałęziach. Resztę narzędzi, piłę, słoiki lekarstw i trucizn, garnki, w których mieszał „zupę Bordeaux”, roztwory arszeniku, nikotyny i pyretrum przechowywał w zamkniętym na klucz składziku wspartym o ścianę obory. Tym samym, w którym czasami zamykał się wuj Efraim, zanim znikł.

W drugim pokoju stały książki, takie same, jakie znajdowały się w każdym domu we wsi. *Księga owadów dla rolnika Bodenheimera* i Kleina, zeszyty „Pola” i „Sadownika” w błękitnych okładkach, *Eugeniusz Oniegin* w jasnej płóciennej oprawie, czarna Biblia, książki wydawnictw Micpe i Sztibel i – ukochane ponad wszystkie – dwa zielonkawe tomy *Plonu życia*, ogrodniczego czarodzieja z Ameryki, Lutra Burbanka. „Niski, chudy, lekko pochylony, o kolanach i łokciach powykrzywianych latami ciężkiej fizycznej pracy”, czytał mi dziadek opis postaci, ale Burbank miał oczy błękitne, a dziadek szare. Obok książki Burbanka stały wspomnienia napisane przez kolegów dziadka. Pamiętam do dzisiaj niektóre tytuły – *Na szlakach ziemi ojców*, *Od Donu do Jordanu*, *Moja droga do ojczyzny*, *Moja ziemia*.

Koledzy ci byli bohaterami opowiadań mojego dzieciństwa. Wszyscy, jak mówił dziadek, urodzili się w dalekim kraju, przekradli przez zieloną granicę i przybyli tu przed wieloma laty. Niektórzy na wozach „mużyków” (słowo, którego znaczenia nie znałem), jadących powoli wśród śniegów i dzikich jabłoni, wzdłuż skalistych brzegów, słonych pustynnych jezior, przez łyse pagórki i piaskowe burze. Inni wierzchem na jasnych gęsiach północnych

o skrzydłach rozłożystych „jak od stodoły do kurnika” szybowali ponad wielkimi polami i Morzem Czarnym i krzyczeli z wielkiej radości. Jeszcze inni wypowiadali tajemne słowa, które „podrzucały ich wielkim wichrem” i przenosiły tutaj rozplomienionych, z zamkniętymi oczyma. I był też Szyfris.

– Gdy tak staliśmy na stacji kolejowej w Makarowie i konduktor zagwizdał, i wszyscyśmy wsiedli do wagonów, Szyfris oświadczył nagle, że on z nami nie jedzie. Nie skończyłeś pomidora, Baruch. – Rozdziawiłem usta, a dziadek wsunął w nie kawałek pomidora posypany grubą solą. – Szyfris oznajmił, że do ziemi obiecanej należy iść piechotą! Pożegnał się z nami na stacji kolejowej, zarzucił plecak na ramię, pomachał ręką, znikł w obłoku pary i do dzisiaj kroczy, i najpewniej będzie ostatnim chalucem, który tu przybędzie.

Dziadek opowiadał mi o Szyfrisie po to, by był choć jeden człowiek, który mógłby go oczekiwać, gdy dojdzie, i ja ciągle czekałem na Szyfrisa, nawet wówczas, gdy wszyscy jego koledzy stracili nadzieję, zrezygnowali albo po prostu pomarli, nie czekając, by zobaczyć, czy rzeczywiście dotrze. Pragnąłem być dzieckiem, które wybiegnie mu naprzeciw, gdy wejdzie do wsi. W każdym punkcie na zboczu dalekiej góry dopatrywałem się jego postaci. Kopczyki gorącego popiołu, które znajdowałem na krańcach pól, były ogniskami, na których gotował sobie herbatę. Nici wełny na kolcach głogu wydarte były z jego onucy. To jego nogi odciskały nieznajome ślady na polnych drogach.

Prosiłem dziadka, żeby pokazał mi na mapie szlak wędrówek Szyfrisa, granice, przez które się przekrada, rzeki, które przecina wpływ.

– Dosyć z Szyfrisem – powiedział dziadek, gdy ukończyłem czternaście lat. – On wprawdzie oznajmił, że pójdzie pieszo, ale zmęczył się widocznie po dwu dniach i został, a może zdarzyło mu się coś po drodze: zachorował, został ranny, wstąpił do partii, zakochał się... Któż to może wiedzieć, moje dziecko, wiele rzeczy może przygwoździć człowieka do miejsca.

Na jednym świstku znalazłem napisane małutkimi literkami:

„Kwitnienie, a nie owoc, marsz, a nie posuwanie się naprzód”.

Książki stały oparte o wielki radioaparat Philco, jaki prenumerujący „Pola” mogli nabyć na przystępne raty. Naprzeciw nich ustawiona była kanapa i dwa fotele, które wuj Abraham i jego żona Rywka przenieśli do baraku dziadka, kiedy kupili sobie nowe meble. Ten pokój nazywał dziadek bawialnią, lecz gości przyjmował zawsze przy wielkim stole w kuchni.

Wszedł Pines. Z miejsca poznałem jego głos, ów donośny głos, który nauczał mnie przyrody i Biblii.

– Mirkin – powiedział – on znowu krzyczał.

– Kogo tym razem? – zapytał dziadek.

– Rżnę wnuczkę Libersona – zakrzyknął Pines mocnym głosem, wyraźnie wymawiając słowa, i z miejsca się przestraszył, zamknął okno i dodał: – To znaczy, ten, co to krzyczał.

– Pięknie, pięknie – powiedział dziadek. – Przedsiębiorczy młodzieniec. Zrobić ci herbatę?

Wyostrzyłem zmysły, by pochwycić ich rozmowę. Już nieraz przyłapywano mnie na podsłuchiwanie pod otwartymi oknami, gdy nadstawiałem ucha, ukryty wśród owocowych drzew i wiązek siana. A ja wstawałem, otrząsałem z siebie przytrzymujące mnie siłą ręce i oddalałem się bez słowa ze sztywnymi ramionami, wyprostowany i nieprzenikniony. Ludzie przychodzili potem skarżyć się do dziadka, ale on nie dawał wiary ich słowom.

Słyszałem, jak jego stare nogi szurają po drewnianej podłodze, słyszałem plusk nalewanej wody, pobrzękiwanie łyżeczek o cienkie szkło, a potem hałaśliwe siorbanie. Przestała już mnie zadziwiać zdolność staruchów do utrzymywania w rękach parzących szklanek i spokojnego łykania wrzątku.

– Taka bezczelność – powiedział Pines. – Tak wrzeszczeć. Schował się za drzewa i z ukrycia rozpuścił ozór, świniąc na całą okolicę.

– Ktoś chyba stroi sobie żarty – powiedział dziadek.

– Co mam począć? – stęknął stary wychowawca, który widział w tym osobistą porażkę. – Jak się teraz pokażę we wsi?

Wstał z miejsca i przechadzał się nerwowo; słyszałem, jak

w zmieszaniu i rozterce wyłamuje sobie palce.

– Figle chłopaków – powiedział dziadek. – Nie warto się przejmować.

Uśmiech, dający się wyczuć w jego głosie, rozzłościł Pinesa, który nagle wrzasnął: – Oznajmiać? Na cały głos? Wszyscy muszą to słyszeć?

– Posłuchaj mnie, Jakubie – dziadek próbował go uspokoić – żyjemy w małej miejscowości. Jeżeli ktoś coś broi, to przecież w końcu przyłapią go nocni strażnicy i wtedy wda się w to zarząd, nie warto aż tak się przejmować.

– To ja jestem nauczycielem – oburzył się Pines. – Nauczycielem, Mirkin, wychowawcą, to do mnie przyjdą z pretensjami.

W zbiorze dokumentów Meszulama Cyrkina leży w papierowej teczce znana wypowiedź Pinesa na zebraniu z roku 1924: „...Biologiczna zdolność sprowadzania na świat potomstwa nie obdarza rodziców automatycznie talentem wychowawczym”.

– Nikt nie będzie miał do ciebie pretensji o jednego rozpasanego gnojka – powiedział ostro dziadek. – Wykształciłeś dla naszej wsi i dla całego Ruchu wspaniałe pokolenie.

– Patrzą na nich – powiedział tkliwie Pines. – Przychodzą do pierwszego oddziału, zieloni jak młode pędy w rzeczonym korycie, jak kwiaty, które wplątam w tkanekę wsi.

Pines nigdy nie mówił „klasa”, zawsze mówił „oddział”. Uśmiechnąłem się sam do siebie w ciemności, wiedziałem bowiem, jaki będzie dalszy ciąg. Pines lubił porównywać pedagogikę z rolnictwem. Gdy opisywał swoją pracę, używał wyrażeń „dziewicza rola”, „pełznąca wić”, „dołek do podlewania”. Uczniowie wydawali mu się sadzonkami, a oddział – grządką.

– Mirkin – ciągnął wzburzony – chociaż nie jestem jak wy rolnikiem, to jednak ja również sieję i koszę. Oni są moją winnicą, moim sadem, i jeden taki... – Teraz omalże się nie udławił, bo rozpacz podpełzła mu do krtani. – Taki jeden... i wydała złe owoce, rżnę, ...wytrysk ogierów i członki osłów<sup>[1]</sup>.



Jak wszyscy jego uczniowie przywykłem do płynących nieprzerwanie z jego ust biblijnych wersetów, lecz takich wyrażen nie zdarzyło mi się dotychczas usłyszeć. Bezwiednie poruszyłem się na łóżku i natychmiast zastygłem nieruchomo. Deski podłogi zaskrzypiały pod ciężarem mojego ciała i starcy przerwali na chwilę rozmowę. W owym czasie, gdy miałem lat piętnaście, ważyłem już ze sto dwadzieścia kilo i mogłem, schwyciwszy za rogi sporego byczka, przygiąć mu łeb aż do ziemi. Moje rozmiary i krzepa wzbudzały we wsi podziw, niektórzy gospodarze podśmiewali się, mówiąc, że dziadek daje mi pić przeznaczone dla cieląt kolostrum, siarę, zapewniającą nowo narodzonemu cielęciu moc i odporność.

– Nie podnoś głosu – powiedział dziadek. – Obudzisz dziecko.

Tak nazywał mnie aż do swojej śmierci – dziecko, „moje dziecko”.

Nawet wtedy gdy całe moje ciało pokryło się czarnym włosom, na ramionach rozwinęły się potężne bicepsy i zmienił mi się głos. Gdy nasze głosy zaczęły się załamywać, mój kuzyn Uri wybuchnął śmiechem i powiedział, że jestem jedynym dzieckiem we wsi, któremu głos zmienił się z barytonu na bas.

Pines wypluł z siebie kilka zdań po rosyjsku, w języku, do którego wszyscy Ojcowie Założyciele uciekali się za każdym razem, gdy rozmowa przechodziła w gniewne szepty, i zaraz potem usłyszałem metaliczny trzask. Była to pokrywka blaszanki tłuczonych oliwek, którą dziadek otworzył śrubokrętem. Teraz postawi na stole pełniutki talerz. Pines, wielce łapczywy na wszystko, co pikantne, słone i kwaśne, zacznie je jeść pełną gębą i z miejsca poprawi mu się humor.

– Pamiętasz, Mirkin, kiedyśmy przybyli, młodziutkie chłopaczki z Makarowa, i jedliśmy maśliny, takie czarne oliwki, w jafskiej stołówce, a na ulicy ładna jasnowłosa dziewczyna w niebieskiej chusteczce na głowie pomachała nam ręką?

Dziadek nie odpowiedział; słowa w rodzaju „czy pamiętasz?” zawsze wtrącały go w milczenie. A poza tym wiedziałem, że teraz

nie będzie mówił, bo trzyma w ustach oliwkę, którą ssie powolutku, pijąc herbatę.

– Albo się je, albo wspomina – powiedział mi kiedyś. – Nie można za wiele przeżuwać naraz.

Podczas picia herbaty miał zazwyczaj w ustach zmiażdżoną oliwkę i dogryzał małymi kęskami cukier z trzymanej w dłoni kostki, rozkoszując się delikatną mieszaniną goryczy i słodyczy – herbata i oliwki. Rosja i Ziemia Izraela.

– Dobre oliwki – powiedział Pines, już trochę spokojniejszy. – Bardzo dobre. Jak mało przyjemności już nam zostało, Mirkin, jak mało, i jak mało wzruszeń. Mam obecnie osiemdziesiąt lat. Czy sługa Twój umie jeszcze określać smak tego, co je i pije, czy potrafię się jeszcze przysłuchiwać pieniom śpiewaków i śpiewaczek?<sup>[2]</sup>

– Wyglądałeś mi na bardzo wzruszonego, gdy wszedłeś – zauważył dziadek.

– Taki arogant – parsknął Pines.

Usłyszałem, jak pestka wyskoczyła mu z ust, uderzyła o stół i poleciała do zlewu. Potem obaj zamilkli. Wiedziałem, że dziadek miażdży nową oliwkę swoją sztuczną szczęką i wysysa jej delikatny, gorzkawy sok.

– A Efraim? – zapytał nagle Pines. – Miałeś coś od Efraima?

– Ani słowa – odpowiedział dziadek chłodno, jak było do przewidzenia. – Nic a nic.

– Tylko ty i Baruch, co?

– Ja i dziecko.

Ja i dziadek. Obaj. Od dnia, w którym mnie wyniósł w ramionach z domu moich rodziców, aż do dnia, w którym ja go wyniosłem w ramionach i pogrzebałem w sadzie.

Tylko on i ja.

Mgiełka tęsknoty za dziadkiem zasnuła mi oczy. Podniosłem się z wielkiego skórzanego fotela i począłem błądzić po pokojach swojego domu. Tego wielkiego domu, który kupiłem, gdy dorosłem. Pogrzebałem w sadzie dziadka i jego towarzyszy, wzbogaciłem się i opuściłem wieś. Owo zdanie Pinesa, „tylko ty i Baruch”, kołatało mi się w głowie i nie chciało wrócić do swojej szufladki. Słysząc było szum fal, wyszedłem na skoszony trawnik i wyciągnąłem się na brzegu.

Kupiłem ten dom z całą zawartością od pewnego bankiera, który uciekł z kraju. Nie wiem, dlaczego uciekł. Nie zetknąłem się nigdy z ludźmi jego pokroju i nigdy nie wszedłem do banku. Pieniądze, które otrzymywałem od rodzin nieboszczyków, składałem w oborze, w workach po nawozie chemicznym, obok posłania starego Zajcera, który z mieszkania z krowami uczynił sprawę ideową.

– W Sedżerze również mieszkałem z bydłem – oświadczył. Wielkie uszy Zajcera sterczały po obu stronach starego kaszkietu. Umiał nimi poruszać i niekiedy, gdy był w dobrym humorze, robił to, ulegając prośbom dzieci. Zajcer posiadał niezmiennie zasady i „program”, do którego naginał rzeczywistość, jakby była łodyżką koniczyny. „Zajcer”, pisał dziadek, „stanowi partię robotniczą, w której nigdy nie nastąpił rozłam, ponieważ posiada tylko jednego członka”.

Buskila, zarządca mojego cmentarza – Miejsca Wiecznego Spoczynku Chaluców – przywiózł mnie do nowego domu furgonetką, którą woziliśmy trumny z lotniska i z domów starców oraz pomniki od starych galilejskich kamieniarzy.

Dom był biały i przestronny, otoczony pachnącym żywopłotem z fitosporum. Buskila przypatrywał mu się z satysfakcją, zanim nacisnął guziczek w automatycznej bramie. Gdy oświadczyłem, że wszyscy starcy już pomarli, że cały plac wypełnił się pomnikami, a ja mam zamiar zamknąć interes i opuścić wieś, wyszukał dla mnie nowe miejsce pobytu. To on

załatwił kupno, targował się z pośrednikami i zadreślał adwokatów swoją jadowitą serdecznością.

Kiedy tak stałem z Buskila przed tą wielką bramą, pomyślałem sobie, że nigdy nie mieszkałem w prawdziwym domu. Dotychczas zamieszkiwałem stary drewniany barak dziadka, taki sam, jaki w większości gospodarstw służył za składzik albo był rozbierany na opał.

Przyszedłem w swoim niebieskim roboczym ubraniu. Buskila, w jasnym garniturze, niósł w ręku worek. Tłuściutki, zwawy bankier pospieszył nam na spotkanie. Toczył się na pulchnych nogach po polerowanej posadzce.

– A! – zakrzyknął. – Przybyli grabarze.

Buskila nie zareagował. Lata zmagania o ideologię i sprawy zasadnicze z instytucjami wsi i Ruchu nauczyły go, że mój komentarz wzbudza zawiść we wszystkich oprócz tych, którzy byli na nim pogrzebani. Rozwiązał worek, wytrząsnął zakurzone banknoty na dywan, aż wzniósł się ponad stertą duszący obłok siarczanu amonowego. Potem podszedł do kaszlącego bankiera, podał mu jedną rękę, a drugą trzepnął go mocno po plecach.

– Buskila Mordechaj, dyrektor – powiedział. – Wszystko w dolarach, jak było umówione. Proszę policzyć.

Buskila jest moją prawą ręką; starszy ode mnie o całe pokolenie, jest moim przyjacielem. Niski, inteligentny, o szczupłej sylwetce i przerzedzonych włosach. Zaluje od niego zawsze przyjemnym zapachem mydła toaletowego.

Podczas gdy bankier zbierał banknoty, Buskila poprowadził mnie poprzez przestrzeń domu. Między drogie kryształki i kolekcje srebrnych pucharów, po grubych zdradliwych dywanach. Szkice i portrety patrzyły na mnie ze ścian z gniewem i zdziwieniem. Buskila zajrzał do garderoby, w której wisiały dziesiątki ubrań, i obmacał tkaniny taksującymi palcami znawcy.

– Co z tym wszystkim zrobisz? – zapytał. – Jesteś za duży na jego ubrania.

Powiedziałem mu, że może sobie z tego wziąć, co tylko zechce. Położył płytę na patefon i białą przestrzeń rozdarł głośny

wrzask śpiewaczki operowej. Natychmiast zjawił się rozwścieczony bankier.

– Może odłożycie zabawę do mojego odjazdu?

– Policz szybko i zjeżdżaj – uśmiechnął się Buskila. – Będzie lepiej dla ciebie. – Położył rękę na grubej talii bankiera, obrócił go tanecznym krokiem i popchnął delikatnie w kierunku sterty banknotów.

Wkrótce przybyli adwokaci i przywieźli papiery do podpisu. Bankier wziął swoje walizki i pospieszył do wyjścia, a Buskila, w którego rękę już połyskiwał kieliszek, wyszedł na werandę i życzył mu pomyślnej drogi. Gdy wrócił, spostrzegł, że jestem przygnębiony.

– Może mam odjechać?

– Zostań – powiedziałem. – Tu się prześpisz tej nocy. Zjemy razem śniadanie, a potem pojedziesz.

W wielkim łóżku bankiera pierwszy raz w życiu nogi nie sterczały mi na zewnątrz. Nie byłem przyzwyczajony do uginającego się pod ciałem materaca, do dotyku czarnego jedwabiu pachnącego perfumami i dekadencją ani do smug rozkoszy pozostawionych na prześcieradle przez wypiełgnowane kobiety. Jednak mury, które wznieśli we mnie Pines i dziadek, stały na straży. Twarda skóra moich stóp wydzierała włókna z tkaniny i nie imaly się mnie ani zapachy skóry i drewna, ani lśnienie kryształów i chromu.

Dopiero na kwadrans przed wschodem słońca usnąłem na zaledwie kilka minut. Porządek dnia dziadka noszę w sobie jak wypalone piętno. Zawsze budził się przede mną, zostawiał mi na stole śniadanie, potrząsał mną krótko i wychodził do roboty w sadzie. „Dobrze jest przyłapać gruszki, zanim się całkiem obudzą”, tłumaczył mi.

Buskila jeszcze się nie obudził. Rozsunąłem wielkie szklane drzwi i wyszedłem na dwór. Ogród bankiera był dla mnie zbyt pachnący, pełen przesadnie ozdobnych kwiatów, jakich nigdy jeszcze nie widziałem. Pines uczynił z nas specjalistów jedynie od roślin polnych i uprawnych. Był zdania, że dalie i frezje są

roślinami dla burzujów. Naszymi kwiatami są dzikie anemony i narcyzy. Roślinami uprawnymi – koniczyna i winorośl. A dziadka drażnił: „Twój Burbank babrał się chryzantemami”. Spojrzałem przed siebie i pierwszy raz w życiu zobaczyłem morze. Zawsze było skryte za górą, lecz znałem je z opowiadań. Morze, na którego falach przybyli do kraju mój dziadek i ojciec, które kropelkami wody bryzgało w piękną twarz mojego zaginionego wuja Efraima, gdy odpływał na pola walk.

W pół godziny później zjawiał się na trawniku Buskila w szlafroku, niosąc tacę obładowaną grzankami i wysokimi szklankami z sokiem owocowym. Usiedliśmy na skraju ogrodu. Mój wzrok błędzący po krzakach z miejsca odkrył pajęczą sieć. O tej porze nitki lśniły jeszcze od rosy. Na twarzy Buskili zaigrała drwina, gdy podpełzłem tam w poszukiwaniu pająka. Był schowany w malutkim namiocie z blaszek suchych liści złączonych ścięgami nitek. Ukryty przed wzrokiem, czekał na zdobycz. Po raz pierwszy pokazał mi ten rodzaj pająka Pines w dziadkowym sadzie. Na początku lata zwykł mnie zabierać „do szkoły przyrody” w poszukiwaniu pająków i owadów. Jego starcza dłoń poruszała się z zadziwiającą szybkością, łowiąc muchę siedzącą na jednym z liści. Rzucił ją w sieć.

– Zwróć uwagę, Baruch – mawiał.

Pająk wyskoczył szybko na obwód swojej siatki, otulił muchę białym całunem, kołysząc i obracając maleńką mumię między swoimi owłosionymi nogami, potem ucałował ją króciutkim, jadowitym pocałunkiem i poniósł do swojego schowka. Podniosłem się z klęczek i wróciłem do Buskili.

– Teraz jesteś już w pełni szczęśliwy? – zapytał rozbawiony.  
– Postarałem się również i o to, żebyś miał żuki w ogrodzie.

Gdy miałem pięć lat, dziadek i Pines wzięli mnie do migdałowego sadu Eliezera Libersona. Dziadek podszedł do jednego z drzew, pogrzebał trochę przy korzeniach i pokazał mi ślady wiercenia i gryzienia wiodące w głąb pod korę. Przesunął palcami do nasady pnia, zacisnął je delikatnie, aż znalazł, czego szukał, a wtedy wyjął scyzoryk do szczepień i dokładnie wyciął

w korze drzewa kwadrat. Odkryta gąsienica była wielka – liczyła sobie jakieś dziesięć centymetrów – bladożółta, z ciemną, szeroką i twardą głową. Gdy poczuła na sobie promienie słońca, zaczęła się wściekle skręcać i kłać.

– *Kapnodis* – powiedział dziadek – wróg drzew migdałowych, moreli, śliwy i każdego owocu posiadającego pestkę.

– Biada tym, którzy głęboko ukrywają przed Panem swój zamysł<sup>[3]</sup> – dodał Pines.

Dziadek końcem noża wydłubał gąsienicę ze szczeliny i rzucił ją na ziemię. Poczulem wzbierające we mnie obrzydzenie i gniew.

– Wzięliśmy cię tutaj – powiedział Pines – ponieważ w sadzie twojego dziadka nie znajdziesz gąsienic *capnodis*. Mama *capnodis* nie atakuje drzew zadbanych i mocnych. Wybiera sobie najslabszą owieczkę w stadzie. Gdy natrafi na mocne, zdrowe drzewo, w którym soki rwą się i buzują, skieruje kroki do drzewa suchego, zrezygnowanego i zgorzkniałego. Tam zniesie swe jaja, a jej gąsienice stoczą chwiejną duszę.

Dziadek odwrócił twarz, żebym nie dostrzegł na niej uśmiechu, a Pines powstrzymał mnie i nie dał rozdeptać gąsienicy.

– Zostaw – powiedział. – Sójki wybawią ją z męczarni. Jeżeli przy włamaniu złodziej zostanie złapany i pobity tak, że umrze, to nie ponosi się winy za przelanie jego krwi<sup>[4]</sup>.

Wróciliśmy do domu. Jedna moja ręka była w dłoni dziadka, a druga w dłoni nauczyciela. Obu zwali Jakub. Jakub Mirkin i Jakub Pines. Podczas innej przechadzki Pines pokazał mi chrząszcza *capnodis* spacerującego po gałęziach drzew.

– On udaje szerniały migdał – szepnął.

Gdy wyciągnąłem po niego rękę, podkurczył nogi i spadł na ziemię jak kamyk. Nauczyciel pochylił się i zebrał go do małego słoiczka z trucizną.

– Jest tak twardy – wyjaśnił – że tylko młotkiem można w niego wbić szpilkę.

Dwóch staruchów wypilo tuzin szklanek herbaty i zjadło pół



kilogramu oliwek, a o trzeciej nad ranem Pines powiedział, że wraca do domu i jeśli złapie rozpustnika, to „czeka tamtego ciężki los”. Otworzył drzwi, stał przez chwilę, wpatrując się w ciemność, odwrócił się i oznajmił dziadkowi, że ogarnął go strach, ponieważ przypomniał sobie hienę.

– Hiena już zdechła, Jakubie – powiedział mu dziadek. – Sam wiesz najlepiej, że już zdechła. Możesz się uspokoić.

– Każde pokolenie rodzi nowych wrogów – orzekł Pines ponuro i wyszedł.

W parnym nocnym upale powlókł się do domu po „cieniutkiej błonce, na której powstało nasze życie”. Wiedziałem, że rozmyśla o stworach siejących grozę i zniszczenie. Owe stwory rodziły się nieustannie i roili wokół niego, pękały w ciemności jak pęcherzyki mętnej i dzikiej przeszłości. Czuł ciche przyczajenie łasicy, widział przewrotny pysk dzikiego kota wyruszającego na podbitych jedwabiem łapach na zbrodniczą, grabieżczą wyprawę. W zbożowych polach myszy niweczyły harówkę rolnika, a pod kraciastym kobiercem – płachtą bruzd, sadów i rżysk – czaiła się największa ze wszystkich legend – bagno ujarzmione przez Ojców Założycieli, czekające na pierwszy znak zwątpienia. Gdy zwracał twarz na zachód, widział zza góry pomarańczową zorzę światła wielkiego miasta. Światło kuszące do wyzysku i zepsucia, lekkich zarobków, lubieżnych pomrugiwań i gestów.

Dziadek jeszcze przez kilka minut porządkował naczynia kuchenne, potem zgasił światło i wszedł do sypialni. Zanim się położył, podszedł do mnie, a ja szybko przymknąłem oczy i udałem, że śpię.

– Mój maleńki – szepnął, szukając wąsem mojego policzka i ust. Liczyłem sobie piętnaście lat. Sto dwadzieścia kilogramów potężnych mięśni i czarnych szczeciniastych włosów. Lecz dziadek każdej nocy starannie mnie okrywał. Tak uczynił po raz pierwszy owej nocy, gdy przyniósł mnie do swojego domu, i to samo robił teraz. Potem podszedł do łóżka i wyciągnął ze skrzynki z pościelą piżamę. Patrzyłem, jak się rozbierał. Lata nie wysuszyły

i nie poplamiały jego ciała. Także i wówczas, gdy grzebałem go po ciemku w naszym sadzie i zdjąłem z niego tę nową piżamę, o którą prosił przed śmiercią, ciało jego w dalszym ciągu świeciło tą tajemniczą bielą, która emanowała z niego za życia. Wszyscy jego towarzysze byli opaleni, a ich skóra spękana i spalona słońcem dziesiątków lat pracy. Lecz dziadek przechadzał się zawsze po swoim sadzie w szerokoskrzydłym słomkowym kapeluszu, chroniony długimi rękawami. Promienie słońca nie porały jego twarzy, która pozostała biała jak wapno.

Otworzył okno i z westchnieniem położył się na łóżku.

Meszulam Cyrkin miał zwyczaj potrząsać głową przy końcu każdego zdania, a grzywa szarych włosów ciągnęła się za nim jak wspaniały tren. Zmarszczki zgorzknienia na jego policzkach kurczyły się w brzydkim grymasie. Od dzieciństwa nie lubiłem tego nieroba mieszkającego na drugim końcu wsi. Poklepywał mnie zawsze po ramieniu i mówił, śmiejąc się piskliwie: „Dlaczego tak mało rozumu, a tak dużo mięsa?”

Meszulam jest synem Cyrkina-Mandoliny, który razem z dziadkiem, babcią Fejgą i Eliezerem Libersonem założyli Stowarzyszenie Pracy imienia Fejgi. Mandolina był pracowitym rolnikiem i cudownym muzykiem, a teraz jest pogrzebany u mnie.

Pesia Cyrkin, matka Meszulama, była działaczką społeczną i w domu przebywała rzadko. Meszulam jadał u litościwych sąsiadek, prał odzież swoją i ojca, lecz matkę uwielbiał i był dumny z jej wkładu w życie gospodarcze Ruchu. Widywał ją tylko raz lub dwa razy na miesiąc, gdy przybywała, ze swoimi wielkimi piersiami, w towarzystwie ważnych gości. Byli to „towarzysze z Centrum”. Także i my, dzieci, widywaliśmy ich od czasu do czasu. Uri, mój kuzyn, rozpoznawał z daleka szarego kaisera zaparkowanego obok gospodarstwa Cyrkina i oznajmiał, że „znów przyjechali, by powąchać gnoju i sfotografować się z cielętami i rzodkiewką”.

W świecie, w którym matka była zjawiskiem sporadycznym, poszukiwał Meszulam miejsc, w których mógłby jako tako egzystować. Nie błdził w gąszczach wyobraźni, w które mają skłonność wpadać inne dzieci, a ponieważ obdarzony był świetną pamięcią i ogromną żądzą wiedzy i ponieważ starzy chaluce omotali go siecią inną niż ta, którą omotano mnie – poświęcił się badaniom, zbieractwu i dokumentacji. Zagłębiał się w stare regulaminy, odcyfrowywał listy, wertował papiery tak zmurszałe, że kruszyły się podczas kartkowania, i w tym znajdował pocieszenie.

Już w młodym wieku udało mu się zebrać kilka eksponatów.

Każdy z nich zaopatrzył we własnoręcznie napisaną kartkę. „Motyka Libersona”, „Bidon do mleka z roku 1924”, „Pierwszy pług – wyrób kuźni braci Goldmanów”.

I, ma się rozumieć, pierwsza mandolina taty. Kiedy podrósł, wyciągnął ze starego baraku zardzewiałe lemiesze kultywatora i stare pojemniki do spryskiwania, należące do jego ojca, naprawił dach i zapełnił dwa maleńkie pokoiki dziurawymi naczyniami i rozpadającymi się sprzętami. Był to Barak Pierwszych.

Meszulam grzebał po podwórzach, zbierał nadżarte przez robaki rzeszota, tarki do prania, pozieleniałe miedziane rondle, odszukał nawet sanie na błoto.

– Trzeba, żeby wiedziano, co tu kiedyś było – powiedział. – Żeby wiedziano, iż kiedyś, zanim poprowadzono tu szosę, wozy zimą grzęzły i towarzysze zwozili mleko do mleczarni na saniach.

Szczególnie był dumny z niezgrabnie wypchanej Chagit, bejrucko-holenderskiej krowy Eliezera Libersona, która była w swoim czasie krajową rekordzistką udoju i zawartości tłuszczu w mleku. Kiedy Chagit się zestarzała i Daniel, syn Libersona, postanowił ją sprzedać wytwórni kościanego kleju, Meszulam podniósł alarm, zażądał, by zwołano nadzwyczajne zebranie członków zarządu, i twierdził, że nie wolno odpłacać się tak pracowitej towarzysze przetworzeniem jej na kielbaski i żelatynę.

– Chagit – przekonywał Meszulam – jest nie tylko fenomenem rolniczym, lecz także dowiodła przywódcom Ruchu Osiedleńczego, że krowy czystej holsztyńskiej rasy są w warunkach krajowych nieprzydatne.

Zarząd dał Libersonowi odszkodowanie za powierzenie starej krowy Meszulamowi i nawet chciał wziąć na siebie część kosztów jej utrzymania, lecz jeszcze tego samego dnia Meszulam zamordował „pracowitą towarzyszkę” potężną dawką trucizny na szczury i z pomocą weterynarza wypchał olbrzymie ściervo.

Chagit stała długie lata na frontowej werandzie domu Libersonów, wypełniona śmierdzącymi środkami mumifikującymi, z pyska zwisała jej lucerna, a z olbrzymich wymion kapąła formalina. Meszulam szczotkował jej sierść,

w której trucizna na szczury dawała o sobie znać wielkimi łysinami, czyścił jej bydłce, szklane oczy i zaszywał pęknięcia na skórze, bo wróble wykradały przez nie źdźbła słomy i kłaczki waty na budowę gniazd.

Wypchane straszydło wzbudzało obrzydzenie całej wsi, a zwłaszcza starego Zajcera, który był bardzo do Chagit przywiązany i widział w obfitości jej mleka „rodzaj symbolu odrodzenia”. Niekiedy wykradał się z naszego podwórza, by na nią popatrzeć.

Za każdym razem, gdy stawał przed nią, wzbudzała w nim, jak powiadał, mieszane uczucia zgrozy i przyciągania.

– Nieszczęsna krowa – mrucał do siebie. – Meszulam Cyrkin utuczył ją większą ilością słomy niż ta, którą zadał jej Liberson przez całe życie.

Uri, mój kuzyn, który wszystko miał za nic i spoglądał na całą wieś drwiąco i z góry, twierdził, że krowa nie ma nic wspólnego z kolekcjonerstwem i z badaniami Meszulama.

– Wymiona Chagit nasuwają mu na myśl matkę, i to wszystko – powiedział.

A ja spojrzałem na niego tak, jak spoglądam do dzisiaj – z podziwem i miłością.

Wielu odwiedzających przybywa do naszej wsi. Autobusy z turystami, z dziatwą szkolną, wszyscy przybywają, by ujrzeć dzieło Ojców Założycieli w rozkwicie. Wzruszeni, przejeżdżają powoli ulicami wsi, dziwią się każdej gruszce i kurze, wdychają zapachy ziemi i mleka. Wycieczkę kończą zawsze w gospodarstwie Mirkina, na moim cmentarzu.

Meszulam żądał, by nie pozwalano żadnemu autobusowi z wycieczkowiczami wjechać do wsi i na Miejsce Wiecznego Spoczynku Chaluców, jeżeli nie zobowiążą się z góry, że odwiedzą również Barak Pierwszych, zobaczą Chagit i zwisający z jej zakonserwowanej szyi medal, którym udekorował ją Wysoki Namiestnik<sup>[5]</sup>.

Miejsce Wiecznego Spoczynku Chaluców było solą w oku wsi i jej instytucji, lecz Meszulam Cyrkin nienawidził go

wyjątkowo. Autobusy przybywające do gospodarstwa Mirkina, szeroko rozwarte oczy dzieci, zdumieni turyści stąpający w oczarowaniu pośród wymytych pomników i różanych krzewów, odczytujący z miedzianych liter legendarne nazwiska i popijający sok owocowy, który im sprzedawał przy bramie mały braciszek Buskili – to wszystko pobudzało Meszulama do wściekłego gniewu.

Meszulam Cyrkin nienawidził mojego cmentarza, ponieważ odmówiłem pogrzebienia na nim, obok jego ojca, zwłok matki, zasłużonej działaczki, Pesi Cyrkin. Grzebałem tam jedynie towarzyszy dziadka, ludzi drugiej alii. Pesia Cyrkin należała do trzeciej alii.

– Przykro mi – powiedziałem Meszulamowi, wywijającemu mi przed nosem rocznikiem Histadrutu, zawierającym sprawozdanie z działalności jego matki na polu kredytów w Hamaszbir – ale twoja matka nie należała do drugiej alii.

– Nieboszczka nie odpowiada kryteriom przyjęcia – tłumaczył mu Buskila.

Meszulam groził, że się odwoła do najwyższych instancji. Przypomniałem mu, że już się zwracał z podobnym żądaniem, kiedy stary Liberson redagował „Album Chaluców”. Nie zgodził się z tej samej przyczyny zamieścić tam zdjęcia Pesi.

– A poza tym – powiedział Buskila – twój tato jeszcze za życia nie chciał jej mieć obok siebie.

A już najbardziej złościły Meszulama ołowiane trumny, które przywoziłem z hajfańskiego portu. Wiedział, iż każda trumna przybywająca z Ameryki napędza moje stare worki dziesiątkami tysięcy dolarów.

– Jakim prawem – krzyczał – grzebiesz tych zdrajców, a mojej matki nie chcesz?

– Każdy, kto przybył z drugą aliją – odpowiedziałem – może tu kupić grób.

– Każdy pierdziuch, który przybył tu z Rosji, załamał się po dwóch tygodniach wyrywania odrostków perzu i zwiął do Ameryki, będzie pochowany jako chaluc?! Oto – wrzasnął

Meszulam, wskazując na jeden z pomników – Roza Munkin, matka wszelkich przewin!

Roza Munkin, która знаła dziadka jeszcze z Makarowa, była moją pierwszą transakcją.

– Ja ci opowiem o Rozie Munkin – powiedział ze wzdrgnięciem Meszulam po skandalu, który wywołało odkrycie jej różowego marmurowego pomnika tuż przy grobie dziadka. – Roza Munkin przybyła z Ukrainy, pracowała tydzień w sadach migdałowych w Rechowot i przekonała się, że to źle wpływa na skórę jej delikatnych rączek. Zaczęła bombardować cały świat listami z prośbą o ocalenie jej z tego kraju. Miała brata, gagatka, który wyemigrował do Ameryki i został jednym z pierwszych żydowskich gangsterów w Brooklynie. On jej wysłał bilet okrętowy. – Meszulam władczy i pełnym pogardy gestem postawił nogę na płycie. – Podczas pierwszej wojny światowej, kiedy to twój dziadek i babka, i mój ojciec, i Eliezer Liberson omalże nie pomarli z głodu, a Zajcer został wbrew swojej woli zmobilizowany do tureckiej armii, Roza Munkin nabyła na Bronksie swój czwarty sklep z gorsetami. Gdy Stowarzyszenie Pracy imienia Fejgi osiedliło się na gruntach wsi, Roza Munkin nawróciła się, wyszła za mąż za rabina Szneura z Baltimore i finansowała antysyjonistyczne ogłoszenia. Podczas drugiej wojny światowej, gdy twój nieszczęsny wuj Efraim został ranny w brytyjskim oddziale komandosów, Roza Munkin owdowiała, wynajęła sobie apartament w Miami i stamtąd zarządzała domami gry, należącymi do jej brata. Figuruje po dziś dzień w teczkach FBI jako „Dama Kier”. A dzisiaj – wrzasnął – dzisiaj jest pochowana u ciebie, w ziemi Doliny. Chaluca! Budowniczym! Matka Założycielka!

– Błogosławiony niech będzie Sprawiedliwy Sędzia – powiedział Buskila. Przystąpił do pomnika, odsunął grzecznie nogę Meszulama, wyjął z kieszeni flanelkę i wyczyścił literę „a” w imieniu „Roza”.

– Ty, Buskila, milcz. – Meszulam zbieleł na twarzy. – Ty i tobie podobni gówniarze macie stać na baczność, gdy mowa jest



o Założycielach.

– Nieboszczka zapłaciła sto tysięcy dolarów – powiedział Buskila, który miał sobie za nic podobne zniewagi.

– Pieniądze mafii – odparł sarkastycznie Meszulam.

– Czego chcesz – powiedziałem. – Ona przybyła z drugą aliją.

– A Szulamit – zakrzyknął Meszulam. – Czy ona również przybyła z drugą aliją?

– Nie bądź bezczelny – rozżłościłem się. – Szulamit to sprawa prywatna i rodzinna.

Kiedy nadszedł list od Rozy Munkin z Ameryki, spoczywali u mnie w sadybie jedynie dziadek i jego stara kochanka, Szulamit, która przybyła do kraju pięćdziesiąt lat po nim. „Krymczacka kurwa”, jak ją nazywała Fania Liberson. Buskila, który wówczas był jeszcze wiejskim listonoszem, przygalopował na Zisie, pocztowym ośle, krzycząc z daleka: „Aerograma, aerograma, list z Ameryki”.

Podlewałem właśnie róże Burbanka, kwitnące przez okrągły rok wokół mogił dziadka i Szulamit.

Luter Burbank też opuścił swój dom na skutek zawiedzionej miłości. Dziadek opowiadał mi zawsze o jego drzewach owocowych, o kaktusach bez kolców, o jasnych ziemniakach, lecz opowieść o ukochanej Burbanka czytał Uriemu i Josiemu, bliźniakom Abrahama, a mnie zżerała tak straszliwa zazdrość, że byłem bliski płaczu. Pchnąłem silnie drzwi baraku i wyszedłem na dwór. Przez okno słyszałem głos dziadka; czytał dalej, jak gdyby nie zauważał moich cierpień: „W owym czasie zakochałem się z całym zapalem młodości w młodej i pięknej kobiecie, która nie odwzajemniała mojego uczucia z równym zapalem. Mała sprzeczka dwojga uparciuchów, podszycona słowami wypowiedzianymi bez zastanowienia, wystarczyła, by mnie przekonać, że złamano mi serce. Wydaje mi się, iż opowiadałem wielu ludziom o tej miłości jako o przyczynie, która spowodowała moją wędrówkę na zachód”.

– Nie krzycz – zgromiłem Buskilę. – Tu się nie krzyczy.

Wręczył mi kopertę i nie odszedł, ale stanął przy mnie.

Buskila przybył do wsi na początku lat pięćdziesiątych, kiedy żył jeszcze mój dziadek, a ja byłem jego dzieckiem. Wszedł do spółdzielczego sklepiku spożywczego i stanął przy kasie, za którą siedział Szlomo Lewin. Buskila w półbucikach i w śmiesznym granatowym berecie na głowie zerkał na rachunki i hałaśliwie, z widoczną przyjemnością pociągał z butelki sok grejpfrutowy. Lewin zapisał na karteczce ceny produktów zakupionych przez stojącą przed kasą klientkę i mruczając pod nosem, zabrał się do sumowania.

– Dwa funty i pięćdziesiąt cztery piastry – odezwał się spoza jego ramienia Buskila, zanim jeszcze Szlomo Lewin powiódł ołówkiem po pierwszych cyfrach.

Życie uczuliło Lewina na wszelkie dotyczące go uwagi. Szczególnie nie cierpiał, gdy podawano w wątpliwość jego umiejętności. Obejrzał się, utkwiał gniewny wzrok w nieznanym gościu i poznał od razu, że ów przyszedł z obozu przejściowego dla nowo przybyłych, wybudowanego na wzgórzach za eukaliptusowym lasem. Obóz ten wzbudzał we wsi uczucie pogardy na przemian z odruchami dobroczynności. Ludzie ze wsi zgłaszali się dobrowolnie do szkolenia przybyszów, dawali im nadwyżki produkcji i pomagali w pracy, ale wróciwszy do domu, opowiadali, że ci niscy ludzie w granatowych beretach piją po całych dniach, grają w karty i w kości, „tęsknią do swoich pieczar i podcierają tyłek kamieniami”.

Lewin aż usta otworzył wobec tego ogromu bezczelności, ale nic nie powiedział i zwrócił się do następnej klientki.

– Funt i siedemnaście piasstrów – powiedział Buskila, z chwilą gdy Lewin skończył zapis i zanim jeszcze podkreślił go horyzontalną linią.

Szlomo Lewin, który prowadził spółdzielczy sklepik już od dziesiątków lat, wstał, zdjął kaszkiet i chciał wiedzieć, z kim ma do czynienia.

– Buskila Mordechaj – powiedział zdumiewający nieznajomy, siorbnął głośno resztę soku i dodał – nowy *ole*

z Maroka. Szukam pracy.

– Sam widzę – powiedział Szlomo Lewin. – Nie trzeba mi tłumaczyć.

W Meknesie Mordechaj Buskila był nauczycielem rachunków oraz pisarzem listów i podań w trzech językach do sądów i urzędów państwowych. Teraz chciał pracować w szkole, w buchalterii lub w inkubatorze.

– Zawsze lubiłem kurczęta, pieniądze i dzieci – powiedział. Lewin był wstrząśnięty, lecz opowiedział o nowo przybyłym Libersonowi, który był podówczas skarbnikiem.

– On jest bezczelny, ale umie liczyć – oznajmił. Prośba Buskili spotkała się z jak najbardziej przychylnym przyjęciem, chociaż sprawa miłości do pieniądza wydała się większości towarzyszy wadą.

– Nie mówiąc już o berecie – powiedział Uri. – Jedyne ludzie bez zasad noszą czapki bez daszków.

– Omawialiśmy ten przypadek, biorąc pod uwagę zasady, ogólny stosunek do potrzeb nowo przybyłych i szczególne uzdolnienia Buskili – opowiedział mi Eliezer Liberson. – I posłaliśmy go na okres próbny do zbierania suchej cebuli.

W dwa lata później, gdy Buskila przywiązał się już do roli, wykonując najbardziej nie ulubiane prace – opryskiwanie, przerywanie, pielenie i zbiór owoców – nasz listonosz usłyszał śmiejącą się wśród pól hienę i zwariował. Kupił czarny tusz i zaczął cenzurować wychodzące ze wsi listy. Zarząd go usunął, a jego funkcję przejął Buskila. Posadził krzewy rozmarynu wokół urzędu pocztowego, parzył herbatę, której aromat doprowadzał do szału wszystkich przechodzących w pobliżu, i podbił serca mieszkańców tym, że zbierał po domach listy do wysyłki, zwalniając ich od konieczności wleczenia się na pocztę.

Otworzyłem kopertę. Od czasu gdy przyjechała z Rosji Szulamit, nie nadszedł żaden list z zagranicy.

– Co piszą, Baruch? – zapytał delikatnie Buskila.

– To prywatne – odpowiedziałem.

Buskila odsunął się na kilka kroków i oparł o pomnik

Szulamit. Czekał, aż go poproszę, by mi przetłumaczył list.

– To staruszka z Ameryki – powiedział mi, przebiegłszy list oczami. – Nazywa się Roza Munkin i pochodzi z miasta twojego dziadka; przebywała tu przed wieloma laty, pracowała z nim w Rison le Cijon i w Rechowot i uwielbiała go. Pisali jej z kraju, że go pochowałeś w domu, i ona chce, żebyś po jej śmierci pochował i ją tu, obok niego.

Podał mi kopertę.

– Jest w niej jeszcze coś – powiedział. Wewnątrz był czek na moje imię, na dziesięć tysięcy dolarów.

– To zadatek – powiedział Buskila. – Ta kobieta jest bardzo chora i wkrótce umrze, a wtedy jej adwokat przywiezie ją z resztą pieniędzy.

– Co mam z tym zrobić? – zapytałem zmieszany. – To przecież nie są pieniądze.

– Będziesz potrzebował pomocy, Baruch – szepnął Buskila. – To wielkie pieniądze, to ludzie z zagranicy, to po angielsku, i procesy, i wasz zarząd, i podatek dochodowy. Sam sobie nie poradzisz.

„Za dziesięć tysięcy dolarów, pomyślałem, będę mógł posadzić na grobie dziadka prześliczne drzewa. Akacje, poincjany, białe oleandry, będę mógł przeprowadzić od dziadka do Szulamit ścieżkę z czerwonego tłuczni. Będę mógł szukać mojego zaginionego wuja Efraima i wyleczyć starego Zajcera z choroby kiszek”.

– Nikomu nic nie opowiadaj, Baruch – powiedział Buskila – nikomu, nawet twemu kuzynowi Uriemu.

Wieczorem Buskila przyszedł do baraku, dźwigając czarną maszynę do pisania, i napisał mi list po angielsku. Roza Munkin przysłała odpowiedź, a po trzech miesiącach, w środku nocy, przybyła w lśniącej trumnie, w towarzystwie ubranego w błyszczący garnitur adwokata, od którego wiały aromaty golenia, jakich nigdy w naszej wsi nie wąchano. Stał tam, podczas gdy ja kopałem dół, i rozsiewał wokół siebie splendor i obrzydzenie.

– Przypatrz mu się – szepnął Buskila. – Znam takich, dla niego to nie pierwszozna grzebać ludzi po nocach.

Adwokat siedział w ciemności na grobie dziadka, nie dotykając wyglansowanymi butami ziemi, gryzł źdźbła słomy i z niesmakiem wdychał wiejskie zapachy unoszące się w rozgrzanym nad oborami i kurnikami powietrzu.

Opuściliśmy Rożę Munkin w ziemię Doliny. Adwokat wyjął z kieszeni skrawek papieru i jarmułkę i odmówił krótką modlitwę w niezrozumiałej hebrajszczyźnie. Kazał mi wylać na grobie betonowy kwadrat. Z tylnych drzwi olbrzymiego samochodu wyciągnął czarną teczkę. Buskila policzył banknoty szybkim nawilżonym palcem i wydał pokwitowanie.

W kilka dni potem adwokat powrócił, przywożąc ze sobą wycackany nagrobek z różowego polerowanego marmuru. Do dzisiaj kamień nagrobny Rozy Munkin sterczy jak pudełko cukierków między pomnikami z białego i szarego miejscowego kamienia.

Banknoty ukryłem w oborze. Zajcer spał spokojnie, przykryty starą wojskową derką, która mu pozostała z czasów pierwszej wojny światowej, i nie zwracał najmniejszej uwagi na mnie ani na to, co robię. Poszedłem z Buskilą do baraku, usiedliśmy przy dziadkowym stole, piliśmy herbatę i zagryzaliśmy chlebem z oliwkami.

– Zechcesz pewnie mówić z wujem Abrahamem i z nauczycielem Pinesem. Nic im jeszcze nie mów, poczekaj trochę, powiesz im później – poradził mi Buskila.

Nazajutrz Buskila porzucił pracę na poczcie i zameldował się u mnie.

– Ja ci będę prowadził ten interes – oświadczył – a ty mi będziesz płacił tyle, ile uznasz za stosowne.

To był początek zemsty dziadka nad wsią. Zemsty zaplanowanej w proroczym natchnieniu i wykonanej dokładnie we wszystkich szczegółach, jak przystoi dobremu sadownikowi. Napełniła ona me worki pieniędzmi i trafiła boleśnie we wszystkie czułe punkty wsi.

– Oni wygnali mojego syna, wygnali Efraima – powtarzał bezustannie mnie i Pinesowi przed śmiercią – a ja ich uderzę tam, gdzie ich najbardziej zaboli, w ich ziemię.

Ale wtedy jeszcze nie rozumiałem, do czego zmierza.

Zarząd wsi rozpatrzył kilka kandydatur na miejsce Buskili na poczcie i w końcu wybrał samego Zisa. Osioł znał już od dawna wszystkie adresy, a gdy pozbył się ciężaru jeźdźca, mógł przywozić adresatom nawet i paczki. Zis był wnukiem Kaczki, który osiedlił się na roli razem z Ojcami Założycielami i dowoził wodę ze źródła do chwili, gdy zginął gwałtowną śmiercią od ukąszenia węża.

Po upływie dwóch lat Zis otrzymał wymówienie.

– Starzy wykryli, że kradł znaczki z kopert – powiedział Uri, mój kpiący ze wszystkiego kuzyn.

Zarząd zwrócił się do Buskili z prośbą, by wrócił na pocztę, ale w tym czasie Buskila już wydrukował sobie wizytówki po hebrajsku i angielsku z napisem „Miejsce Wiecznego Spoczynku Chaluców – Dyrektor” i doglądał stada złożonego z setki zmarłych, jak powiadał pogardliwie stary Liberson do czasu, gdy zakończyła życie jego ukochana żona Fania i została sto pierwszą zmarłą.

Gospodarstwo Mirkina było jednym z najbardziej udanych we wsi. Tak mówiono, gdy drzewa owocowe dziadka wybuchały burzą kwitnienia, a serca tętniły przyspieszonym rytmem. Tak mówiono, gdy wymiona krów wuja Abrahama wylewały powódzie mleka, i tak mówiono, gdy ta sama obora wypełniła się zakurzonymi kokonami owadów i nabrzmiętymi pieniędzmi workami, a sad uległ zniszczeniu i został zasiany kośćmi i mogiłami.

Rzędy nagrobków, ścieżki wysypane czerwonym i białym tłuczniem, ocienione zakątki do rozmyślań o umarłych, zielone ławeczki, a w samym środku biały nagrobek dziadka. Cała społeczność wsi kiwała głowami nad losem tej ziemi, której przeznaczeniem było rodzić owoce i paszę, a która zmieniła się w straszliwe pole zemsty.

„Ta historia”, mówię sobie, błędząc po wielkich pokojach swojego domu, „ta historia jest bardzo prosta, więc dlaczego grzebiesz w niej, szukasz, słuchasz, podsłuchujesz i chcesz znaleźć jakieś rozwiązanie?”

Wszakże w tym celu dziadek mnie hodował. Uczynił mnie wielkim i silnym jak byk, wiernym i brutalnym jak owczarek, tępym i gruboskórnym. Teraz leży w swoim grobie, otoczony zmarłymi towarzyszami, i nie posiada się z radości na widok przerażenia wsi.

– Dajcie mu spokój, ten chłopak to tylko zbiór bajek i urojeń – powiedział Pines, gdy mu oznajmiłem, iż nie mam zamiaru stawić się przed oblicze zarządu wsi celem złożenia wyjaśnień.

Nie byłem już chłopcem, byłem z gruba ciosanym, bogatym młodym człowiekiem, obarczonym mamoną i mięśniami, lecz Pines przedłużał zazwyczaj dzieciństwo wszystkich swych uczniów do wieku późniejszego, niż to jest na ogół przyjęte, i dalej głaskał ich posiwiałe i wyłysiałe głowy.

– Ileż wspomnień poskładano w tym wielkim ciebie, aż napełniło się ono ponad wszelką miarę i wylała się żółć jego na

ziemię<sup>[6]</sup> – powiedział o mnie. Gdyby żył jeszcze dziadek, powiedziałby, że Pines potrafił zawsze cytować piękne przykłady, lecz czasami zapominał, do czego się one właściwie odnoszą.

Ja sam odpowiadałem każdemu, kto żądał ode mnie, bym zaprzestał tych pogrzebowych interesów, że „tak życzył sobie dziadek”. Na wyjaśnienia posłałem do zarządu Buskilę i wynajętego przez niego adwokata. To są ludzie z zewnątrz. Mają delikatną skórę i zgrubiałe serca. Na ich ramionach nie ciążyą sterty opowiadań, podeszwy butów odgradzają ich od drobnego pyłu Doliny. Ujrzałem w wyobraźni skrzypiące, proste krzesła w pokoju zarządu, dłonie o połamanych paznokciach, bębniące po stole jak kopyta. Niechże ta para spojrzy prosto w te odważne oczy, na te twarde, uniesione w powietrze palce. Ja wszakże jestem tylko małym chłopcem spełniającym wszystkie życzenia dziadka, ja już swoje powiedziałem.

W Odessie dziadek wsiadł ze swoim bratem Josefem na „Efratosa”, mały, brudny stateczek, „pełen złych ludzi”, krążący po Morzu Czarnym i Śródziemnym. Jak dwie strony monety spoglądali Josef i Jakub Mirkinowie w dwie różne strony świata. „Brat mój był podniecony, wzburzony, przechadzał się po dziobie statku i patrzył przed siebie”.

Josef snuł marzenia o rolniczych fermach w Gileadzie, o białych oślątkach i o hebrajskiej krzepie. Dziadek rozmyślał o Szulamit, która pozostała tam, po tym jak stratowała mu ciało żelaznymi bronami<sup>[7]</sup> oszustwa i zazdrości, i o Palestynie, która dla niego będzie jedynie azylem nieszczęśliwie zakochanych, daleką ziemią zapomnienia, miejscem, gdzie będzie się mógł wyleczyć i pooblekać rany nową skórą.

Usiadł na rufie statku, patrzył w wodę i wypruwał sobie z obnażonego serca włókna, wlokące się za nim wśród piany. „Popatrz na nasze gorące serce, rozmiękłe na drobne i sprute jak nić”, napisał na karteluszkach wiele lat potem.

Przez cały czas morskiej podróży Josef i Jakub Mirkinowie jedli jedynie chleb i suszone owoce i nie przestawali wymiotować.

– Przybyliśmy do Kraju i powędrowaliśmy do Galilei,



a latem już siedziałem ze swoim bratem Josefem na brzegu jeziora Genezaret. – Ręka dziadka poruszała się w przód i w tył i ładowała mi w usta tłuczone ziemniaki, zmieszane z kefirem domowego wyrobu i okraszone smażoną, posoloną cebulą. – Przez całą noc stróżowaliśmy w polu, a z pierwszą zorzą usiedliśmy, by popatrzeć, jak wschodzi słońce nad Ziemią Izraela. Słońce wzeszło o wpół do piątej, o piątej już chciało nas zamordować, a Josef spuścił głowę i zapłakał. Nie tak wyobrażał sobie zbawienie.

Teraz miał dłonie zajęte surówką jarzynową.

– Było nas trzech: Cyrkin-Mandolina, Eliezer Liberson i ja. Mój brat Josef zachorował i stracił nadzieję. Wyjechał do Ameryki i nie wrócił.

Ciało dziadka było gorące, gniewne i słabe. Przechodziło od ataków malarii do paroksyzmów gniewu i tęsknoty.

Josefowi powiodło się w Kalifornii.

– Kiedy myśmy zimą chodzili w workach na głowie i dreptaliśmy po błocie w skarpetkach wypchanych gazetami, on sprzedawał garnitury amerykańskim burżujom.

Jeszcze za życia babci Fejgi, gdy ta dożywała dosłownie swych ostatnich miesięcy, przyłączono wieś do sieci elektrycznej i Josef przysłał jej pieniądze na kupno elektrycznej lodówki. Dziadek wrzucił list do rowu, którym spływała z obory gnojówka, i oznajmił babci, że przenigdy nie przyjmie pieniędzy od kapitalistycznego zdrajcy. Josef pojechał do Santa Roza, do malutkiej, otoczonej czcią fermy Burbanka, do której płynął nieprzerwanie olbrzymi i spragniony potok gości, owadów i listów, i stamtąd przysłał dziadkowi podpisaną fotografię wielkiego sadownika. Widziałem ją w skrzynce pod łóżkiem. W słomkowym kapeluszu, w krawacie w kropki, z mięsistymi uszami. Lecz nawet ten gest nie zmiękczył Mirkinowego serca.

Fania Liberson była najbliższą przyjaciółką babci.

– Gdy Fejga była już chora i słaba i cierpiała na krótki oddech i brak miłości, przyszła do nas z płaczem, ale i my nie zdołaliśmy przekonać twojego dziadka. W dalszym ciągu

dźwigała bloki lodu – wreszcie mi opowiedziała, gdy ją zanudzałem przez kilka godzin, łażąc za nią i wlepiając w nią pełen nadziei wzrok.

– A twój przyjaciel Mirkin był jej najcięższym blokiem lodu – powiedziała Fania mężowi. Śmierć i cierpienia babci Fejgi już wtedy ją dręczyły i wzbudzały ciągle na nowo jej gniew. Nie udało mi się usłyszeć burkliwej odpowiedzi Eliezera Libersona. Schowany za ścianą ich domu, przytuliłem twarz do szczelin wilgotnej okiennicy i widziałem tylko jego poruszające się wargi i blask jej starej, pięknej głowy na jego piersi. Dziadek nie wybaczył bratu i nigdy więcej się z nim nie widział. Dopiero po śmierci dziadka sprowadziłem kości Josefa z Kalifornii do naszej Doliny. Dwaj synowie Josefa, właściciele magazynu tkanin Mirkin and Mirkin w Los Angeles, musieli mi przysłać czek na dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów.

„Wasz tato był kapitalistą i zdrajcą”, napisał im Buskila na firmowym papierze listowym Miejsca Spoczynku Chaluców, „ale dostaniecie dziesięć tysięcy dolarów rabatu tylko dlatego, że należał do rodziny”.

Zmarli przyjeżdżali na wymytych po polowych robotach furgonetkach, na przyczepach ciągniętych przez traktory, we wnętrzach samolotów w drewnianych trumnach i ołowianych skrzyniach. Niekiedy odbywał się olbrzymi pogrzeb. Masa ludzi, dziennikarzy, spocone tabuny osobistości i działaczy. Buskila wychodził im na spotkanie pochylony w pokłonach i wygibasach, które wydawały mi się obrzydliwe. Przyglądali mi się, gdy kopałem dół, uchylając się przed gradem grud ziemi wylatujących z dna, i żądali od Buskili, by kazał robotnikowi przyspieszyć tempo.

Byli tacy, którzy przybywali sami, wyposażeni tylko w dokumenty przesyłki i w kartkę z formułą napisu, jakiego życzyli sobie na swoim nagrobku. Byli i tacy, nad których grobami stali tylko płaczący syn i rozgniewana córka, inni przybywali jeszcze za życia, resztkami sił wlekli się po polach, by po wydaniu ostatniego tchnienia można było ich pogrzebać na

Miejscu Wiecznego Spoczynku Chaluców.

Mówili – „z towarzyszami”, prosili – „obok Mirkina, w ziemi Doliny”.

W magazynie przy biurze Buskili otwierałem przed pochówkiem skrzynie i przyglądałem się ich twarzom. Czyniłem to, ponieważ podejrzewałem, że ktoś mnie zechce oszukać i przemycić zmarłego, który sobie na to nie zasłużył.

Zmarli, przybywający z Ameryki „kapitaliści i zdrajcy”, bywali już trochę nadpsuci, zrzucili już z siebie skórę wypielegnowaną rozkoszą i lekkomyślnością. Patrzyli na mnie oczami, z których wyzierały błagania i niezręczne usprawiedliwienia. Towarzysze z Doliny byli bardzo cisi, wyglądali, jakby legli odpocząć w polu pod drzewem. Znałem wielu z nich, tych, którzy przychodzili w odwiedziny do dziadka i do Zajcera. Przychodzili, gdy byłem dzieckiem, niosąc w rękach nadzartą gałąź, stary list czy pokryty mszycami liść, by się poradzić i porozmawiać. Innych znałem z opowiadań, z tego, co zasłyszałem, i z tego, co sobie dosnułem w wyobraźni.

Gdy miałem dwa lata, dziadek przyniósł mnie owiniętego w kołdrę do swojego domu. Zmył ze mnie sadzę, wydłubał mi ze skóry odłamki szkła i drzazgi. Wyhodował mnie, wykarmił i wyuczył wszystkich drzewnych i owocowych sekretów.

Opowiadał mi, gdy jadłem, gdy okopywałem, gdy ścinałem dzikie pędy z pni granatów, gdy spałem.

– Mój syn Efraim miał małe cielátko, nazywało się Jean Valjean. Efraim wstawał rano, brał Jeana Valjeana na plecy na przechadzkę i wracał w południe. Robił to codziennie. Mówiłem mu: Efraim, tak się nie robi, cielak się przyzwyczai i nie zechce chodzić piechotą. Ale Efraim mnie się nie słuchał. Jean Valjean rósł i rósł, i wyrósł na olbrzymiego byka. Ale Efraim uparł się, tylko na plecach. Bo taki był mój syn Efraim.

– Gdzie jest Efraim?

– Tego nikt nie wie, moje dziecko.

Nigdy nie uronił łzy, ale kąciki jego ust drżały ledwie dostrzegalnym drżeniem. Wiele razy, w początku kwitnienia

drzew, gdy nad Doliną rozpościerał się dzień wyjątkowo jasny, opowiadał mi o urodzie mojego wuja Efraima.

– Gdy był jeszcze małym dzieckiem, gromadziły się u jego okna ptaki i zaglądały do środka, by zobaczyć, jak się budzi. Teraz opowiem ci o twojej mamie. Ano, otwórz buzię, Baruch... To była wyjątkowa dziewczyna. Pewnego razu, gdy twoja mama była małą dziewczynką, siedziała na chodniku i czyściła buty całej rodziny. Moje i babci Fejgi, i wuja Abrahama, i wuja Efraima, który mieszkał jeszcze wtedy z nami. I nagle... otwórz buzię, moje dziecko... nagle zobaczyła węża, wielką żmiję, która pełzła powolutku po chodniku i zbliżała się do niej.

– No i...

– I wtedy... Jeszcze kąsek.

– Co się wtedy zdarzyło?

– Co?

– Mama się rozpląkała? Znałem to opowiadanie na pamięć.

– Nie!

– Mama zemdląca?

– Nie! No, Baruch, moje dziecko, skończ teraz, co masz w buzi. Połknij.

– Mama nie zemdląca. Co zrobiła? Co mama zrobiła?

– Siedziała bez ruchu. A żmija zbliżała się, pełznąc po chodniku, sycząc i świszcząc, pss... pss... zbliżała się do bosej nogi mamy, i wtedy... mama podniosła wielką szczotkę do czyszczenia i...

– Buch!

– Węża po głowie.

– Gdzie mama?

– Teraz jesteś u dziadka.

– A wąż?

– Wąż zdechł.

– A tata?

Dziadek wstał i pogłaskał mnie po głowie.

– Ty będziesz wysoki jak mama i silny jak tata.

Pokazywał mi kruszące się kwiaty, które zasuszyła mama,

gdy była uczennicą Pinesa. Opowiadał mi o wielkiej rzece, „sto razy większej niż nasze małe *wadi*”, o „Cyganach złodziejach”, o nieszczęsnych Niemcach, którzy osiedlili się tu przed nami i wszystkie ich dzieci, „żółte i drżące jak kurczęta”, pomarły na malarię.

Jego palce, wprawione w okręcaniu szczepień rafią, w wydzieraniu chwastów, w głaskaniu owoców, delikatnie zdejmują z mojej piersi poplamiony śliniaczek.

– Moje dziecko. – Podnosi mnie do góry, jego wąs skacze po mojej szyi, a on dmucha tam i łaskocze.

– A skąd przyjechała babcia Fejga?

Babcia Fejga też przyjechała z dalekiego kraju, była o wiele młodsza od dziadka, który był już od dawna robociarzem, odpornym na każdą chorobę i trawiącym każdą podaną mu miejscową strawę. Ciągle jeszcze wiele rozmyślał o Szulamit, która napoiwszy go obficie goryczą, pozostała w Rosji i przysyłała stamtąd listy. Błękitne koperty nadchodziły co pół roku – turecką pocztą, z północnym wiatrem, w podgardlanych workach pelikanów, przysiadających w Kraju „po drodze do ciepłych krajów”.

Dziadek i babcia spotkali się w Kraju, kiedy dziadek przybył do Zichron Jakow, by pracować wspólnie z Eliezerem Libersonem i Cyrkinem-Mandoliną.

Podczas gdy rozwydrzona trójka śpiewała ukraińskie pieśni po to, by drażnić „baronowych pasożytów”<sup>[8]</sup>, Fejga ze swoim bratem SzlOMEM Lewinem siedziała osobno, a ich puste żołądki sprawiały im takie męki, że byli bliscy omdlenia. Razem przybyli do Kraju, ramiona arabskich przewoźników cisnęły ich na brudną przystań, podnieśli się i nękani dyzenterią, słońcem i głodem rozpoczęli swoją wędrówkę. Ich delikatny wygląd stanowił przeszkodę w uzyskaniu pracy. Szlomo Lewin zdjął okulary, by nie wyglądać w oczach rolników kolonii na inteligenta, a gdy w końcu dostał pracę w winnicy, nie potrafił odróżnić witki o trzech oczkach od witki o czterech. Z winy swoich oczu zepsuł cały rząd winorośli i został wyrzucony z roboty.

Jadali łaskawą strawę z cudzych garnków, soczewicę w żrącym sezamowym oleju, egipską cebulę, nienadające się na eksport pomarańcze i ciemne paski kamardinu.

„Kamardin był cukrem ubogich”. Miąsz moreli tłuczony, wałkowany i wysuszony. Powtarzałem sobie w kółko to słowo, aż poczułem między sylabami jego lepki, słodkawy smak. Szlomo Lewin opowiedział mi, jak bardzo nie cierpiał kamardinu.

– Ale to było tanie, a my, ja i twoja nieszczęsna babcia, nie mieliśmy pieniędzy. Biedni ludzie łakną czegoś słodkiego, smak ten jest bowiem najbardziej podobny do pociechy – wyjaśnił mi i przy tych słowach rozzłościł się, ponieważ przypomniał sobie, jak chłopcy ze wsi ukradli cały znajdujący się w spółdzielczym sklepiku zapas czekolady, chociaż mogli go kupić, ci wielcy bohaterowie.

W Rechowot znalazła Fejga tymczasową pracę przy szyciu, a gdy siedziała na pustej skrzynce po pomarańczach i łatała robocze ubrania, zatrzymało się przy niej kilku jeźdźców. Szczupła, trzymająca się prosto kobieta popatrzyła na nią

z wysokości siodła surowo i z pańska.

– Dlaczego nie pracujesz w rolnictwie? – skarciła ją.

Fejga rzuciła igłę i nici, rozplakała się i uciekła. Szlomo pospieszył za nią.

– Czy wiesz, kim ona jest? – zapytał. – To jest Rachel Janait<sup>[9]</sup>.

W dziesięć lat później babcia kupiła w czerkieskiej wsi swoją pierwszą kurę, nazwała ją Rachel Janait i czerpała wielką satysfakcję z karcenia jej za znoszenie zbyt małych jaj.

Bóle głodowe targały Fejgą od wewnątrz. Czują, jak wirują jej w sercu, a stamtąd właczają się we wszystkie członki. Tego dnia pracowała z bratem przy czyszczeniu kotłów w winnych piwnicach Zichronu. Opary fermentacji uderzyły ją w pusty brzuch, tak że omal nie zemdląła. Gdy trzech młodych ludzi zaprzestało śpiewania i wyciągnęło z plecaków pszenne placki, oliwki, jaja na twardo, gomółki sera i ukradzioną ze składu butelkę koniaku, wzrok Fejgi zasnuł się mgiełką. Zatarli ręce i zabrali się do jedzenia, a wtedy Cyrkin-Mandolina poczuł wzrok Fejgi utkwiony w przyklepionych do jego warg okruchach. Cyrkin potrafił odczytywać głód w ludzkich oczach. Skinął na nią zapraszająco szyjką swojej mandoliny.

„Wyglądała jak zagoniony ptaszek. Uśmiechnąłem się do niej oczami tak, jak się zwykle uśmiechamy do dziecka”.

Fejga wypuściła z dłoni rękaw brata i podeszła do nich.

– Dzielili się z nią chlebem i wodą – powiedział Pines nad jej grobem.

Szlomo Lewin nie ufał tej trójce i bał się ich.

– Oni jedli i pracowali jak arabscy wyrobnicy i śpiewali rosyjskie chuligańskie pieśni – opowiadał mi w biurze za sklepem. – W czasie kiedy my wszyscy byliśmy rozdzierani między tysiące lojalności, oni nie odczuwali żadnych wahań.

Oczy miał spuszczone. Siedzieliśmy w biurze sami, a w wirujących przy oknie milionach pyłków iskrzyło się słońce. Lewin paznokciem kciuka ciął arkusiki kalki do bloczków pokwitowań spółdzielni. Byłem małym dzieckiem, nie

rozumiałem wszystkiego, ale nie przerywałem mu prośbami o wyjaśnienia. Lewin, jak owe pustynne kwiaty w zbiorach Pinesa, otwierał się raz na kilka lat i nie wolno było mu przeszkadzać.

– Przyłgnęła do nich od razu – powiedział, a poprzez jego sine palce przebiegło drzenie – jak głupia ćma do płomienia, który spowoduje śmierć.

Lewin zachnął się, widząc, jak odrywają brudnymi palcami małe kawałeczki placka i sera i kładą w wyschnięte usta jego siostry. Próbował ją odciągnąć, lecz jeszcze tego samego dnia Liberson, Mirkin i Cyrkin dopili resztki trunku i podchmieleni założyli Stowarzyszenie Pracy imienia Fejgi.

– Żeby zabawić twoją babcię, bo była smutna. Napisali regulamin, wyznaczyli budżet i nakreślili podłoże ideologiczne.

– Historycy nie odnieśli się poważnie do Stowarzyszenia Pracy imienia Fejgi – powiedział mi Meszulam Cyrkin. – Możliwe, że związek ten ucierpiał z powodu swojej nazwy. Poważni badacze wahali się, czy wypada ogłosić artykuł naukowy pod tytułem „Stowarzyszenie Pracy imienia Fejgi” – zachichotał.

Tymczasem wśród chaluców Stowarzyszenie obrosło stopniowo legendą. Była to pierwsza prawdziwa komuna, ponieważ była jedyną komuną, która traktowała towarzyszkę jako równouprawnioną. Regulamin był wprawdzie dostosowany do osobistych potrzeb jej członków, lecz pod pewnymi względami stanowił przełom.

W baraku, pod łóżkiem dziadka, stała duża drewniana skrzynka. Zaciągnąłem firanki i podniosłem wieko. Pomędzy białą haftowaną bluzką kobiecą, czapką z daszkiem i pożółkłą moskitierą były schowane papiery. Wśród nich znajdowała się fotografia.

Babcia uśmiechała się do mnie. Miała dwa czarne warkocze i małe dłonie. Zdawało się, że lada chwila wyskoczy ze zdjęcia. Odwróciłem się i ujrzałem dziadka stojącego za mną z surowym wyrazem na bladej twarzy. Ukłękł przy mnie i pozdejmował, jeden za drugim, moje palce z portretu, odłożył go



na miejsce i wyciągnął kopertę z innymi zdjęciami.

– Oto Ryłow, przesławny strażnik pól – powiedział znanym mi ironicznym tonem.

Dziadek nie lubił ludzi z organizacji Haszomer.

– Skrywa pod abają dwa mauzery i francuską polową armatę – mówił. – Z tyłu ta ladaco, Roza Munkin, a ci dwaj, co leżą z przodu, to Pines i Bodenkin.

Począł przechadzać się po pokoju.

– Na zdjęciach z owych dni – powiedział – są tacy, co stoją, tacy, co siedzą, i dwaj, którzy leżą z przodu, opierając się na jednym łokciu i dotykając głowami. Jeden ze stojących i jeden z leżących zazwyczaj opuszczali Kraj, jeden z siedzących zawsze młodo umierał.

Pochylił się, wyciągnął ze skrzynki stary arkusz papieru i roześmiał się.

– Oto – powiedział – regulamin Stowarzyszenia Pracy imienia Fejgi Lewin.

Wyprostował się i zaczął czytać uroczystym tonem:

„Paragraf pierwszy: Stowarzyszenie Pracy imienia Fejgi będzie trzymało się z daleka od marności miasta i jego pokus.

Paragraf drugi: Towarzyszka Lewin będzie gotowała, towarzysz Cyrkin będzie zmywał naczynia, towarzysz Mirkin będzie szukał pracy, towarzysz Liberson będzie prał i gadał.

Paragraf trzeci: Towarzysze Mirkin, Cyrkin i Liberson nie będą próbowali zaczynać z towarzyszką Lewin.

Paragraf czwarty: Towarzyszka Lewin nie będzie próbowała...”.

Drzwi baraku otwały się i do środka wpadł, potrząsając głową, Meszulam Cyrkin.

– Daj mi to! – krzyczał. – Daj mi to, Mirkin, proszę cię, ten dokument powinien znaleźć się w archiwum.

– Idź pomagać swojemu staremu, dzisiaj zwożą słomę – powiedział dziadek. – Szybko, zanim cię Baruch zbije.

– Ze wszystkimi zastrzeżeniami co do jego osobowości – powiedział mi Meszulam Cyrkin po śmierci dziadka – Mirkin był

jedną z najbardziej uwielbianych postaci w Ruchu. Nic dziwnego więc, że te wszystkie nieroby są gotowe zapłacić dużo pieniędzy, by pochowano ich obok niego. Zorganizował ci piękny spadek.

Jak tylko złożyli podpisy, zwrócili się w pokłonach do Fejgi, by raczyła się do nich przyłączyć. Gdy i ona złożyła swój podpis, Liberson zapytał: „A co z twoim bratem?”. Lecz ponurak Szlomo powiedział, iż jeszcze nie zdecydował się, jaki odłam ma poprzeć.

– Jeśli tak – powiedział mu dziadek – jeśli trudno ci i jeszcze się nie zdecydowałeś, to stanowczo nadajesz się do wyjazdu na kongres syjonistyczny i do wygłoszenia o tym ważnego referatu.

– Zawsze będziesz mógł dołączyć do liczących jamy – wtrącił Cyrkin. Określenie „liczący jamy” było stałym przezwiskiem, którego Mandolina używał do ostatniego swojego dnia, gdy chciał wyrazić pogardę.

Szlomo Lewin podniósł się rozgniewany i poszedł do hotelu robotniczego, lecz nazajutrz rano pojął, że mogą go zostawić samemu sobie, więc udał się w ślad za Stowarzyszeniem Pracy na południe, do winnic Judei.

– Nie było jeszcze szos, nie było samochodów, nie mieliśmy nawet konia – opowiadał mi dziadek. – Całą drogę szliśmy pieszo, a gdy dotarliśmy do rojących się od żab bagien, pokazano nam bezpieczne przejście.

Lewin włókł się za nimi przez kilka dni. Wydawali mu się trójgłowym potworem. Cyrkin nie przestawał grać, a dźwięki jego muzyki „mogły prześwidrować kości czaszki”. Mirkin zatrzymywał ich, godzinami obserwując powolny ruch pylników cierniowego drzewa. Najgorszy był Liberson. Po nocach kładł się i wydawał przeciągłe basowe kumkania, i nie ustawał, póki nie pokryły go całkowicie ściągające z całej okolicy ropuchy. „Dla złożenia informacji” – wyjaśniał.

– To są niepoprawne błazny – powiedział Lewin Fejdze. – Nie ma dla nich nic świętego.

Gdy mi opowiadał o swojej zmarłej siostrze, zawsze zdejmował okulary, by je wytrzeć z mgiełki, którą zachodziły grube szkła.

– Nasz ojciec kazał mi uważać na ciebie – deklamował, zdanie to bowiem zwykł powtarzać sobie wielokrotnie przez całe swoje życie. – Zostaw ich natychmiast i chodź ze mną.

– Mam już siedemnaście lat, Szlomo – odpowiedziała Fejga – a teraz znalazłam człowieka, z którym związę się na zawsze.

– Który to? – zapytał Szlomo, wpatrując się podejrzliwie w trójkę łachmaniarzy, okopujących z zawrotną szybkością korzenie winorośli.

– Jeszcze się nie zdecydowałam, ale będziemy musieli postanowić. Będzie to jeden z tych trzech.

– To dziwaki. Oni cię zagonią do gotowania, do cerowania skarpetek i do prania im bielizny.

– Mamy regulamin – powiedziała Fejga.

– Oni z ciebie zrobią swoją służącą. Nie będziesz pierwszą chalucą, która tu przybyła, żeby orać i siać, a została żywcem pogrzebana w robotniczej jadłodajni.

– Ale oni mnie będą rozśmieszać – odparła babcia Fejga – i dzięki nim poznam ten kraj.

Teraz, wiele lat po jej śmierci, Lewin wybaczył już dziadkowi, pomagał mu w gospodarstwie i grał z nim w damkę. Lecz dwa razy do roku – w dzień przybycia do Kraju i w dzień śmierci swojej siostry – chodził na jej grób, by siedzieć tam godzinę lub dwie i spokojnie nienawidzić wszystkich „zabijaków i pyskaczy”.

Włókł się za nimi do kolonii osiedleńczych w Judei, do ferm robotniczych w Dolinie Jordanu i do rozpadliny Jawniel. Dziadek opowiadał mi, jak tańczyli, osuszali, pracowali w kamieniołomach, orali i wędrowali po Horanie i Galilei.

Wtedy jeszcze nie było Buskili i Zisa do przywożenia poczty.

– Czy wiesz, jak otrzymywaliśmy listy z Rosji?

– Jak?

– Liberson miał kolegów wśród pelikanów. One nam przynosiły. – Ze zdziwienia rozdziawiłem gębę, a dziadek wetknął w nią twardą szczotkę do zębów, pokrytą gryzącą pastą, i począł szorować mi dziąsła.

– Widziałeś, jaki dziób ma pelikan?

– Ach? – zagulgotałem.

– Dziób z workiem. Teraz wypłucz usta. W ten worek pelikan brał listy i po drodze do Afryki zatrzymywał się u nas i przynosił listy i pozdrowienia.

Pines nie przyjmował do wiadomości opowiadania o pelikanach.

– Dolina, nizina i przybrzeżna płaszczyna nie znajdują się w ogóle na trasie ich lotu – powiedział do dziadka. – Po co opowiadasz dziecku takie bajdy?

Ale dziadek, Liberson i Cyrkin nie słuchali Pinesa i jego praw natury. Dosiadając motyk, przelatywali nad zaraźliwymi miazmatami bagien, przecierali ścieżki w dusznych zaroślach trzciny i perzu, a sukienka Fejgi, lekka jak chmurka i pachnąca, przesłaniała im twarze cieniutkim welonem oddania. Widziałem ich, białe plamy nad pustynną ziemią, lecących jak nasiona mleczaka. Lewin biegł po ziemi i krzyczał na nią, by zeszła.

– Nikt z nich nie odważył się wyciągnąć ręki po twoją babcię. Zalecali się tylko do niej bez przerwy paplaniną i żarcikami i rozśmieszali ją, ile tylko chciała, a ich słodka krew uodparniała ją przeciw malarii i melancholii – opowiadał mi Pines.

Ciskali kamienie z procy jak pastuchy, śpiewali po rosyjsku wodnym ptakom przybywającym jesienią z ujścia Donu, myli się nie częściej niż raz na dwa tygodnie, po całych nocach tańczyli boso, a gdy zajaśniał dzień, szli piechotą z jednego końca Kraju na drugi.

– Mogli pracować tydzień i zjeść tylko pięć pomarańczy – opowiadałem swojemu kuzynowi Uriemu.

Ale na Josim i Urim, bliźniakach mojego wuja Abrahama, te opowiadania nie robiły żadnego wrażenia.

– To jeszcze nic – powiedział Uri. – Oni zapomnieli ci opowiedzieć, jak Liberson biegał na jej cześć nago po wodach jeziora Genezaret, Cyrkin grał przez całą noc na swojej mandolinie na wybrzeżu, w osiedlu Cemach, a o świcie trzy

olbrzymie ryby świętego Piotra wypełzły na swoich kolczastych płetwach z wody i jak oczarowane cielęta legły u stóp babci, a dziadek puszczał kamykami po wodzie kaczki od Kerachu aż do brzegów Btejchy.

Spytałem dla pewności Meszulama, co sądzi o opowiadaniu Uriego, a on odpowiedział, iż nie ma w swoim posiadaniu żadnego źródła, które by mogło potwierdzić tak fantastyczne wersje o Stowarzyszeniu Pracy.

Meszulam nigdy nie potrafił dokonać rozróżnienia między sprawami zasadniczymi a nieważnymi. Pines wyjaśnił mi, że zdarza się to zwykle ludziom pamiętającym wspomnienia innych. Jego poszufladkowany umysł nie odróżniał rzeczy ważnych od nieważnych. Chodzenie Libersona po wodzie tłumaczył jako nabycie gruntów w Dolinie Jordanu. Tymczasem ja widziałem na własne oczy, jak Liberson już jako starzec unosił się, dysząc i parskając, na wodzie basenu pływackiego wsi, demonstrując swojej żonie Fani, że w jego ciele zachowały się jeszcze siły młodości. A u Cyrkina rosła najwyższa i najbardziej soczysta pensylaria w całej wsi, bo stary chodził nocami po zielonym polu, świecąc w ciemnościach białą głową, i brzdąkał młodym pędem na swojej mandolinie. Ale co do dziadka, to nie wierzyłem, ponieważ dziadek był przez całe swoje życie zakochany w Szulamit – „krymczackiej kurwie”, która go zdradziła i oszukała, „spała ze wszystkimi carskimi oficerami” i przez te wszystkie lata pozostała w Rosji.

– Ale on się ożenił z babcią Fejgą – powiedział mi Uri, którego długie rzęsy, podobne do rzęs jałówki, trzepotały tylko w chwilach, gdy mówił o kobietach i miłości.

Kochałem Uriego już wtedy, gdy byliśmy jeszcze dziećmi. Siedzieliśmy w wielkim polu koniczyny i czekaliśmy na Josiego i Abrahama usadowionych na skrzypiącej, zaprzęgniętej do konia kosiarce i koszących lucernę dla krów. Dziadek z Zajcerem palili w sadzie chwasty.

– To nie ma nic do tego – powiedziałem mu. Wiedziałem, że ożenił się z nią, ponieważ tak postanowiło Stowarzyszenie Pracy

na ogólnym zebraniu swych członków. – Dziadek ma przyjaciółkę w Rosji i pewnego dnia ona do niego przyjedzie.

– Nie przyjedzie – odpowiedział Uri. – Ona jest już stara i teraz sypia ze starymi generałami Armii Czerwonej.

Babcia Fejga już wtedy od dawna nie żyła, a ja, mieszkając z dziadkiem od drugiego roku życia, widywałem go po nocach, jak otwierał pudełko, w którym leżały niebieskie koperty, przybyłe z dalekiego kraju, kraju złoczyńcy Miczurina, brudnych muzyków i zdrażliwej Szulamit. Potem siadał i powoli, bez skreśleń pisał odpowiedzi, które nie zawsze były wysyłane. Pewnego razu, gdy wyszedł rankiem do sadu, znalazłem na podłodze wśród zbioru karteczek z ubiegłej nocy początek listu.

Nie znałem ani jednej litery. To nie były litery hebrajskie ani litery z zielonej szklanej płytki naszego wielkiego odbiornika radiowego. Starannie przerysowałem kilka słów na skrawek papieru i zabrałem go do szkoły.

Na przerwie podszedłem do Pinesa, pijącego z nauczycielami herbatę.

– Jakubie – powiedziałem – czy znasz to pismo? Pines popatrzył na papier, zbladł, zaczerwienił się, wziął mnie za rękę, wyprowadził z pokoju nauczycielskiego i podarł kartkę na strzępy.

– Popełniłeś brzydki czyn, Baruch. Żebyś nigdy więcej nie grzebał w papierach swojego dziadka.

To był jedyny raz, kiedy oszukałem mojego dziadka. Nigdy już więcej nie zaglądałem w jego papiery, póki nie umarł.

Pamiętam brata babci chodzącego po wiejskich drogach, z włosami i okularami połyskującymi w słońcu, z opuszczonymi ramionami, z resztkami kamardinu w szparach między zębami. We wsi pomiatano Lewinem, jak zresztą i innymi pracownikami usługowymi, bo nie byli rolnikami. Lecz gdy potrzebowano uczciwego rozjemcy czy kogoś do przeprowadzenia kontroli finansowej, zwracano się do niego, Szlomo Lewin był bowiem człowiekiem kryształowo uczciwym i bardzo skrupulatnym.

Po południu siaduje ze swoją żoną Jemenitką Rachel przed domem pod drzewem białej morwy, skubie swoimi cienkimi, sinymi palcami kęski placka i sera i kładzie jej do ust, a ja kurczę się, jak mogę, schowany w gąszczu żywopłotu, podsłuchując ich rozmowę.

– Jedz – mówi jej i przygotowuje następny kęsek.

– Nie chcę, żebyś mi kładł do ust – buntuje się Rachel ze śmiechem. – Nie jestem niemowlęciem, jestem już starą kobietą.

– Moja dzidzia, moja mała siostrzyczka – słyszę, jak wzdycha Lewin.

Czasami, gdy starzy wspominają babcię, udaje mi się usłyszeć jakieś zdanie o jej bracie i w ten sposób powolutku zbieram i łączę wszystkie szczegóły jego postaci, tak jak to czynię z wieloma innymi, zanim ich u siebie pochowam. Tak na przykład śledziłem przez lata strażnika Ryłowa. Robiłem to z narażeniem życia, ponieważ miałem zastarzały zatarg z jego wnukiem, a mój ojciec miał zatarg z jego synem, ale przede wszystkim dlatego, że Ryłow spędzał większość czasu w jamie z krowią gnojówką, gdzie chował broń, i każdemu, kto by tam podszedł, groziło zastrzelenie. Ryłow patrzył na ciebie swoim słynnym poczwórnym wzrokiem – dwoje skośnych oczu i dwie okrągłe lufy – i powiadał:

– Jeżeli chcesz umrzeć w swoim własnym łóżku, nie zbliżaj się.

Z Ryłowem nigdy nie rozmawiałem, ale Lewina mogłem wypytywać. On mnie lubi i patrzy zawsze ze smętnym

rozbawieniem, dziwiąc się, jak to się stało, że w jego rodzinie wyrósł nagle taki ciężkawy szajgec – taki wielkolud.

– Żebym to ja miał tę krzepę i tę naiwność – uśmiecha się do mnie.

Przez kilka tygodni wędrował ze Stowarzyszeniem Pracy, a potem postanowił ich opuścić. Cyrkin-Mandolina, dziadek i Liberson nie zachowywali się wobec niego grubiańsko, lecz dosyć było ich spojrzeń, gdy pocierał obolałe dłonie czy też walił łopatą pod nieprawidłowym kątem, by doprowadzić go do rozpaczy i łez. Nie rozumiał ich kawałów i nigdy nie udało mu się z nimi zaśpiewać, ponieważ co wieczór wymyślali nowe pieśni.

Ich obrzydliwe zwyczaje, jak gmeranie między palcami nóg podczas posiłku, dłubanie słomką w zębach podczas rozmowy, prowadzenie dyskusji z mułami i osłami, napawały go lękiem i wpędzały w melancholię. Również i Fejga, tak mu się wydawało, przestała go doceniać.

– Nasz ojciec posłał mnie, bym czuwał nad nią, a ja zmieniłem się w kiepskiego robotnika i w bezużytecznego starszego brata.

Tamtych trzech dzieliło się z nimi jedzeniem, zabiegało o pracę u rolników w koloniach, a także obroniło jego i Fejgę przed poganiaczami wielbłądów, którzy chcieli im zrabować plecaki.

– Ty uciekaj z Fejgą – krzyknął mu Cyrkin – i pilnuj mojej mandoliny.

Szlomo i Fejga ukryli się za fałdą ziemi i ze zdumieniem patrzyli, jak „trzech chuliganów” walczy z napastnikami i zmusza ich do ucieczki. Liberson wrócił z rozciętą wargą, wymachując z zapalem swoim rewolwerem marki Werebel, a Fejga oczyściła mu ranę i ucałowała go delikatnie przy wtórze rżenia towarzyszy.

Potem Lewin strofował ją, że pozwoliła sobie na taką frywolność.

– Ja ich kocham – odpowiedziała mu w ciemnościach. Całą noc przeleżał bezsennie, a rano oznajmił uroczystym i ponurym tonem, że ma zamiar się z nimi rozstać.



– Czuliśmy się podobnie przez pierwsze dni w Kraju – powiedział Cyrkin. – Za miesiąc będziesz czuł się lepiej.

Lewin postanowił jednak, że sam musi utorować sobie drogę, w tę albo we w tę.

Liberson i dziadek kupili mu bilet kolejowy do Jerozolimy i dali kilka medzidów. Fejga rozplakała się, gdy brat wszedł do pociągu.

Siedział zły w odrapanym wagonie. Ręce dla rozgrzewki wetknął w kieszenie, nogi ustawił skośnie jedną przy drugiej ze wzruszającą Lewinowską pruderią, wiem to z pewnością, bo tak siedzi i dzisiaj za kasą spółdzielni. Na ławkach naprzeciw niego siedziały grupy ortodoksów z żonami. Przyglądali mu się z obrzydzeniem i opowiadali o swoim cadyku, który poleciał na własnym, obracającym się kapeluszu z portu w Jaffie do Ściany Płaczu w Jerozolimie. Obok niego siedział zgarbiony kupiec, mamroczący do siebie przez całą drogę liczby, jakby chciał znaleźć w ten sposób pewną drogę ucieczki w normalność.

Lewin, który dopiero co uwolnił się od przytłaczającej obecności pocztowych pelikanów i żab przewodniczek, pojął, iż ziemia Kraju wydziela opary szaleństwa, którym dotknięci są wszyscy jego mieszkańcy, zarówno mali, jak i dorośli, niezależnie od przynależności narodowej czy grupowej.

Wpatrywał się w żółty krajobraz i żuł kromkę chleba, którą Fejga włożyła mu do plecaka. Okruchy popiołu i sadzy, wylatujące z komina lokomotywy, wpadały przez okno do wagonu i Lewin czuł w ustach ich smak, podobny do smaku gorzkiej kaszy. Monotonia drogi otulała go smutkiem. Szare doliny, kłujące zarośla i zniszczone tarasy wyglądały martwo i nędznie w porównaniu z olbrzymimi zielonymi polami, które pamiętał na brzegach rzeki swojego dzieciństwa.

Gdy lokomotywa okrążyła ostatnią górę i ukazało się miasto, brat mojej babci wziął swój węzełek, wszedł na górę do unieruchomionego młyna, zszedł do wielkiej sadzawki, z której było piło zmieszana z odchodami wodę, i przeszedł przez bramę w miejskim murze. Przechadzał się po mieście, wzbudzającym

w nim strach i wstręt swoją nędzą i brudem. Arabski chłopak sprzedał mu brązowy, niesmaczny napój z daktyli, który zmałował mu myśli. Przed wieczorem spotkał dwóch chaluców, poszedł za wlokącym się za nimi trenem rosyjskich słów i znalazł nocleg. Nastrój mu się nie poprawił.

„Tutejsi Żydzi patrzą na nas krzywym okiem, a Arabowie już mnie dwukrotnie pobili”, pisał do siostry. „To miasto mnie zgubi. Ze swoimi kamieniami i swoją nędzą jest ono jedynie minioną wspaniałością, gasnącym w popiele węgielkiem. Jego prawdziwi mieszkańcy to kamienie; to nie jest miejsce dla ludzi”.

Przez pewien czas usiłował uczyć się kamieniarstwa. Podziwiał przenikliwy wzrok kamieniarzy arabskich, którzy potrafili odrzeć kamień z zewnętrznej powłoki i ujrzeć jego prawdziwą naturę. „Przypominam sobie to typowe dla nich słowo – *msamsam* – oni obchodzili się z kamieniem tak lekko, jakby to było ciasto”. Ale palce Lewina były drżące i spuchnięte przez długie godziny po odłożeniu młota. Postanowił przenieść się do Jaffy, „miasta bez kamieni”, powiedział mi, „miękkiego miasta”.

Nie miał pieniędzy na bilet, więc przyłączył się do dwóch chłopaków i dziewczyny z Mińska, którzy szli tam piechotą. I właśnie ta długa, dwudniowa wyprawa okazała się przyjemna. Żeby wyminąć zbójów z Abu-Gosz, prowadzili go górską ścieżką, wśród kolczastych krzaków, skał i poszczekiwań.

Wkoło, wznosząc w górę pomarańczowe dzioby, ćwierkały czarne, nieznane mu ptaki. Jaszczurki z rodzaju agama – władczynie pustyni – bawiły go swoim rozmodlonym kiwaniem tułowia. A chłopcy, z którymi wędrował, miło się do niego odnosili, pomagali mu nieść tobołki i dawali dobre rady. Wyższy, Chaim Margolis, zalecił mu przepasanie brzucha wełnianym pasem również i w dni upalne i zwierzył mu się, że ma zamiar zostać pszczelarzem i „wydobywać miód ze skał”.

– Pszczoły to nie tylko miód – powiedział Margolis wesoło. – Bez pszczoły nie ukwiecimy kraju, bez pszczół nie ma owoców, nie ma koniczyny, nie ma warzyw, nie ma nic. Na muchach i osach tego kraju polegać nie można.

Na postojach pokazywał mu Margolis, jak odnajdywać ule dzikich pszczół.

– Tak robią kozacy – wyjaśniał. Wyciągnął z kieszeni małe pudełeczko i podszedł do kwitnącego krzaczka macierzanki. Nad kwiatami krążyły dzikie pszczoły.

– Ona jest w tej chwili zupełnie pijana – szepnął, wskazując na pszczołę zagłębioną rozkosznie w jednym z kwiatów. Łagodnym ruchem zbliżył do niej pudełko i zamknął wieczko. W ten sam sposób złowił jeszcze kilka pszczół.

– One zawsze wracają do ula – wyjaśnił. Wypuścił jedną pszczołę i z miejsca, z uniesioną w górę twarzą, począł za nią gonić. Potykał się o kamienie i grudy ziemi. Lewin popędził za nim. Po kilkudziesięciu metrach pszczoła zniknęła im z oczu. Margolis wypuścił z pudełka drugą i biegł dalej.

Szósta pszczoła przywiodła ich do swojego domu znajdującego się w rozłupanym pniu karoba. Lewin stanął w bezpiecznej odległości i patrzył ze zdziwieniem na Margolisa, który, roztarłszy sobie na twarzy i rękach płatki polnych kwiatów, zbliżył się do ula i pozwolił pszczołom osiadać na swojej nagiej skórze i pełzać po niej. Wyciskał sobie miód na dłonie, a gdy wrócili do towarzyszy, wyciągnął rękę, i dziewczyna z Mińska lizała mu ociekające miodem palce; wyglądało, że jest do tego od dawna przyzwyczajona.

– Słodki Margolis – zaśmiała się. Nazywała się Tonia i nie spuszczała z pszczelarza oczu.

Mijały ich karawany wielbłądów.

– Turecka kolej – objaśnił Margolis. Lewin czuł, jak przebiega mu po plecach delikatny i przyjemny dreszczyk. Chaim Margolis był pierwszym w Kraju człowiekiem, który go nie obrażał, i Lewin czuł, jak budzi się w nim wielka sympatia do tego pachnącego młodzieńca. W cichości ducha już go nazywał Chaimek i żywił nadzieję, że Margolis zaprosi go, by przyłączył się na zawsze do niego i do jego ukochanej Toni z Mińska.

Marzył, że razem będą zdobywać pracę, ziemię, Tonie. Razem dostaną przydział ziemi, razem, tak sobie to przedstawiał

w wyobraźni, wbijają graniczne kołki, przeorzą skibę. Na jedną chwilę przyszłość rozpostarła nad Lewinem ciepły namiot nadziei; myśl ta była tak szybka, że od wielkiej błogości rozluźnił się i zmiękł mu kark. Lecz po przybyciu do Jaffy Margolis ujął Tonię za rękę i cała trójka zniknęła za hotelem „Park”, machając rękami na pożegnanie. Lewin patrzył smętnie w ślad za znikającymi. Kilka godzin przesiedział na ławce w hotelowym parku, przypatrując się wieżyczce niemieckiego kościoła i czerwieniejącym wokół niego drzewom poincjany, aż zjawił się kelner i go przepędził.

Na noc położył się spać w piaskach na północ od Jaffy. Chłodne jaszczurki wpęzły mu na brzuch, a pyski szakali obwąchiwały mu nogi. Całą noc nie zmrużył oka, a rankiem poszedł szukać pracy na budowie w Tel Awiwie.

„Tutejsze dziewczyny”, pisał do siostry, która w tym czasie wykopywała doły do podlewania w pomarańczowych sadach Chedery, „są ordynarne i twarde i nie zwracają uwagi na takiego jak ja. Nie znam pieśni, które mógłbym im śpiewać, ani nie mam miodu, by je sobie zjednać. One chcą mocnych chłopaków, co pracują i śpiewają, a ja, słabowity i smętny, im się nie podobam. Tęsknię do białej, miękkiej dłoni, do lnianej pachnącej sukienki, do szklanki kawy z bułeczkami przy białym stole nad zielonym brzegiem rzeki”.

Lewin kopał doły i woził po piachu drewniane taczki, aż nadwerężył sobie grzbiet.

„Na moich nieszczęsnych rękach wystąpiły pęcherze i od razu popękały. Skóra zlazła i z ran pociekła krew. Po dniu pracy nadchodzi bezsenna noc. Mam bóle w krzyżu i w grzbiecie, a do tego te natrętne myśli. Czy starczy mi sił? Czy podołam tej próbie? Pragnę wrócić do domu lub wyjechać do Ameryki” – pisał do Fejgi, która w tym samym czasie tłukła ze śpiewem kamienie w pobliżu Tyberiady.

Pokazał mi list, który otrzymał od babci w odpowiedzi. „Są tu i inne robotnice, które na żądanie mężczyzn gotują i piorą, tak jak to przewidywałeś, troszcząc się o twoją małą siostrzyczkę. Ale

ja mam szczęście, jestem robotnicą. Cyrkin, Mirkin i Liberson – mówię do nich po nazwisku, a i oni mówią do mnie Lewin i oddają mi cześć jak oficerowie – biorą udział w pracach namiotowych. Cyrkin w chwilach natchnienia cudownie gotuje, daj mu tylko kapustę, cytrynę, czosnek i cukier, a upitrasi z tego nadzwyczajny barszcz. Z dyni, mąki i dwóch jaj przygotował nam na tydzień jedzenia. Wczoraj wypadła na Mirkina kolej na pranie. Czy uwierzysz, że mężczyzna prał bieliznę twojej siostry w jednym kotle z bielizną chłopaków?”

Czytanie tych zdań napełniło Lewina wstrętem i zazdrością, zapisał to pospiesznie w swoim notesie na wieczne pohańbienie.

„Przypominasz sobie tę piosenkę, którą śpiewałam w domu? Wczoraj nauczyłam ją śpiewać resztę dziewcząt. Cyrkin nam przygrywał i śpiewałyśmy calutką noc, aż wzeszła jutrzienka i rozpoczął się nowy dzień pracy”.

Lewin zatknął sobie za ucho chemiczny ołówek, wstał, wyszedł z za stołu i począł powolutku tańczyć. Podśpiewywał cieniutkim głosem i krążył z bólem i czułością wokół swoich cierpień.

Będę orać i siać, i radować się braćmi,

Tylko dajcie mi żyć w Ziemi Izraela.

Będę nosić zgrzebną suknię i nazywać się Żydówką,

Tylko dajcie mi żyć w Ziemi Izraela.

Będę suchy chleb jadła i nikomu się nie pokłonię,

Tylko dajcie mi żyć w Ziemi Izraela.

I od razu opadł znów na krzesło.

– Ziemia Izraela – powiedział do mnie. – Nie uda ci się tu nigdy cisnąć kamieniem, żebyś nie trafił albo w święte miejsce, albo w szaleńca.

Przyglądał się pierwszym domom Tel Awiwu, robotnikom, arabskim woźnicom, mieszkańcom.

– Zrozumiałem nagle, że nikt się na tej ziemi nie urodził.

Jedni spadli tutaj z nieba, a inni wyrosli z ziemi.

Tak mi powiedział. Z szeleszczącej w szufladzie stołu paczki wyłuskał ostrożnie inne jeszcze papiery. Pismo babci było wielkie

i okrągłe, lekko pochylone we wdzięcznym, kokieteryjnym i starannym ukosie.

„Wstałam z łóżka po chorobie”, pisała do brata, „i pod wieczór poszliśmy się kąpać w jeziorze Genezaret. Chłopcy baraszkowali w wodzie jak dzieci, a ja weszłam otulona w płachtę z prześcieradła i dopiero kiedy woda doszła mi do szyi, wyrzuciłam ją na brzeg. Potem urządzili zawody. Liberson powiedział, że potrafi chodzić po wodzie jak Jezus, i omal nie utonął, Mirkin rzucał kamieniami tak kunsztownie, że przeskakiwały nisko nad falami, a Cyrkin przygrywał rybom, byśmy mieli z czego przyrządzić kolację. Ale już trzy dni nic, oprócz fig, nie mieliśmy w ustach”.

Lewin, który nigdy nie widział swojej siostry nagiej, zawstydził się i rozgniewał. Zakończył swoją krótką przerwę obiadową. Po zapiaszczonej ulicy przechadzali się młodzi ludzie – tacy jak on sam, w zniszczonych roboczych ubraniach – spocone i wyblakłe dziewczyny, których wzrok błyszczał głodem i chorobą, i panowie w białych marynarkach i eleganckich, niegrzęźnących w piachu bucikach. Jeden z nich utkwiał w nim długie spojrzenie, Lewin poczuł się niezręcznie, więc podniósł się z piaskowego zlepką, na którym siedział, i wrócił do pracy.

– Całe popołudnie myślałem tylko o jednym: pójdę sobie w nocy pod sykomorę na wzgórzu, usiądę tam w ciemności i będę mógł marzyć.

W nocy, gdy z trudem wspiał się na piaszczysty pagórek i zbliżył do sykomory, chcąc rzucić się pod nią na ziemię i złapać oddech, zastał tam chłopca z dziewczyną, „tarzających się jak świnie”. Ich spojrzenia wyгнаły zrozpaczonego Lewina na brzeg morza.

Nazajutrz udał się do banku w Jaffie i poprosił o pracę. Szczęście mu dopisało. Miał piękny charakter pisma, wiedzę z dziedziny księgowości i miły, wzbudzający zaufanie uśmiech. Został przyjęty jako kandydat na pomocnika jednego z urzędników, a w rok później był już kasjerem, nosił białą marynarkę, a na głowie słomkowy kapelusz. Jego ręce wyleczyły

się i znów były miękkie i gładkie. Spacerował w lekkich bucikach po morskim brzegu i przysłuchiwał się pieśniom chaluców, szeptom dolatującym z piaszczystego wzgórza, wdychał zapach mocnej herbaty, którą pili z blaszanych puszek, a serce w nim trzepotało.

Właśnie wtedy, gdy szczęście zaczęło się do niego uśmiechać, wybuchła, tak zrozumiałem z opowiadań, jedna z wojen i brat babci razem z innymi mieszkańcami Tel Awiwu musiał opuścić miasto.

– Podczas wojny – powiedział dziadek – sprawiliśmy sobie sfalszowaną wasikę.

Zapisałem sobie słowo „wasika”. Nigdy nie pytałem o znaczenie słów, ponieważ wyjaśnienia zakłócały i plątały wątki opowiadania. „Wasika”, „kułacy”, „ekspropriacja”, „zosmanizowanie”, to są słowa, które pamiętam do dzisiaj, chociaż nie rozumiem ich znaczenia. Tak jak Lewin nie wie po dziś dzień, co oznacza słowo *msamsam*.

– Żywiliśmy się cebulą i oliwkami i omal nie pomarliśmy z głodu – opowiadał dziadek.

Każdej jesieni zbierał i solił beczkę oliwek, a ja siadywałem przy nim na betonowej ścieżce i przypatrywałem się, jak obierał czosnek, krajał cytryny na plasterki i płukał łodygi kopru. Z jego rąk unosił się dobry, biało-zielony zapach. Postukiwał lekko po ząbkach czosnku ręką noża i jednym delikatnym pociągnięciem wyzwał z łusek bielutki miąższ. Pouczał mnie, jak napełniać beczkę wodą i dodawać do niej roztwór soli.

– Moje dziecko, pójdz i przynieś z kurnika świeże jajo, a coś ci pokażę.

Wpuścił jajko w roztwór soli, a gdy zawisło w połowie głębokości, nie wypływając na powierzchnię i nie tonąc, lecz stojąc pośrodku, jakby trzymane na niewidzialnej nitce wiary i pewności, wiedzieliśmy, że stężenie roztworu jest odpowiednie dla zasalania. To bujające jajo wydawało mi się czarodziejską sztuczką. Tak samo zresztą jak szczepione drzewa owocowe w podwórzu i jak chodzenie Libersona po wodzie.

Podczas wojny Lewin ukrywał się w obozie uchodźców w Petah Tikwie. Ten czas biedowania zatarł mu się w pamięci czy też może Lewin nie chciał o nim mówić. Pamiętał tylko jedną noc, tę, podczas której na osadę spadły chmary szarańczy i zezarły wszystko ze szczętem. W powietrzu stał delikatny, ciągły, groźny szelest.

– A rankiem, kiedyśmy wstali, gałęzie wszystkich drzew były białe i martwe, odarte z kory.

Trzask skrzydeł i mielących żuchw wypełnił mu mózg męczącymi, małymi i twardymi ziarenkami żwiru.

Gdy dały się słyszeć nadchodzące od południa brytyjskie armaty, Lewin wrócił do Tel Awiwu, drepcząc powolutku czerwonawymi piaszczystymi drogami, które w miarę posuwania się na zachód coraz bardziej żółkły. W mieście kupcy pozdejmowali z witryn sklepowych nabite gwoździami deski. Przechadzający się po ulicach australijscy żołnierze uśmiechali się do nich, dając im poczucie nadziei i pewności.

Lewin nie wrócił do banku. Pracował teraz w sklepie z materiałami piśmiennymi. Wyuczył się naprawy wiecznych piór, z uwielbieniem rozkręcał pióra Brennera, Zyskinda i Etingera<sup>[10]</sup>, spłukiwał ich części w roztworach z galasówek, które zrywał z sykomor, ostrzył stalówki i poprawiał pompki.

– W twoje ręce zostały złożone losy osadnictwa – powiedział z uśmiechem właściciel sklepu, widząc, jak bada czarnego watermana Artura Rupina, a Lewin czuł się szczęśliwy. Właściciel sklepu lubił go i przedstawiał panienkom, córkom swoich znajomych. Lewin tęsknił jednak do zapachu słomy, dymu i osypanych pyłem nóg, chciał przykrywać się gwiazdami i trawą, leżeć na gumnie czy też na piaszczystym wzgórzu. Zaproponował swojemu pracodawcy, że będzie sprzedawać jego towar w pobliskich osiedlach, i raz na tydzień wyjeżdżał wierzchem na ośle do Petah Tikwy, Riszon le Cijon, Rechowot i Gedery. Lubiał te wyprawy. Jego płuca przyzwyczały się do kurzu, a pilny truchcik osła dobrze wpływał na kondycję. Droga biegła między ścianami aromatu sadów szamuti i cytryn i między iskrzącymi się



jak ogień kuleczkami żywopłotów kolczastej akacji. Prowadziła obok żelaznej okratowanej bramy Mikwe-Israel i dochodziła do winnic Riszon le Cijon. Lewin jechał wierzchem i zdawało mu się, że przechodzi przez rozstępujące się przed nim morze kwiecia. Wkoło słychać było śpiew robotników. Gdy widział grupę zasiadającą do jedzenia, zatrzymywał się wstydliwie i stawał, przyglądając się z daleka, dopóki nie został zaproszony do wzięcia udziału w posiłku. Jadł łączywie wybrakowane pomarańcze, chleb, gorącą, parzącą mu podniebienie oliwę i dodawał do uczy swój wkład – wschodnie ciasteczka i słodkie bułeczki zakupione specjalnie w tym celu w Jaffie.

– Czy również i kamardin? – zapytałem.

Lewin, zaskoczony i smętny, uśmiechnął się.

– Nie – powiedział. – Wtedy już miałem trochę własnych pieniędzy.

„Słodki Lewin” – nazwała go pewnego razu przystojna chaluca o jasnych włosach i złuszczonej nosku. Roześmiała się i pocałowała go w policzek, gdy wziął się na odwagę i włożył jej w usta lepki od cukru okruch.

„Serce mi zamarło”. Po nocach marzył o niej i o wiejskim domu, który zbuduje dla niej i dla ich dzieci. Kwitnące grędy jarzyn, skrzętne kury, krowa i praca rąk.

– Do dnia dzisiejszego czytam rolnicze miesięczniki, tak jak kobiety studiują książki kucharskie – powiedział mi z gorzkim uśmiechem. – Za każdym razem, gdy wyruszałem w drogę, szukałem między drzewami i krzewami winorośli jej błękitnej chusteczki.

W miesiąc później, gdy ośmielił się o nią zapytać, powiedziano mu, że zmarła na tyfus plamisty, i znowu opadł go przejmujący smutek.

„Dopiero po jej śmierci dowiedziałem się, jak miała na imię”, pisał do siostry, która już w tym czasie umiała orać w parę wołów.

„Moja pierwsza bruzda w Ziemi Izraela”, napisała mu. „Na początku nie dawałam sobie rady z napieraniem na pług i jednoczesnym trzymaniem lejców. Liberson trzymał woły za

uzdę, by mi pomóc, ale teraz tnę bruzdę prostą jak strzała”.

I ona również zachorowała na malarię, „lecz ich słodka krew mnie uleczyła”, napisała bratu.

W przerzuconych przez ośli grzbiet torbach rozwoził Szlomo Lewin wieczne pióra, stalówki, formularze handlowe i ołówki. Dwa razy ograbiono go i pobito, ale interesy prowadził udane i przystąpił do spółki w sklepie.

W tym samym roku wykupiono ziemie Doliny. Stowarzyszenie Pracy uchwaliło, „że towarzysz Mirkin i towarzyszka Lewin mają się pobrać”. Stanowili razem z Chaimem pszczelarzem i jego przyjaciółką Tonią z Mińska, która w przyszłości miała zakochać się w strażniku Ryłowie, Jakubem Pinesem, który z czasem został nauczycielem, i jego ciężarną żoną Leą, która jeszcze tego samego roku zmarła na malarię, pierwszą grupę, jaka wyprawiła się na rekoniesans „przekopać Kraj”. Przybyli do Doliny i zostali Ojcami Założycielami wsi.

– Mieliliśmy wtedy osła, którego wołali Kaczka. We dnie Kaczka woził wodę ze źródła, a po nocach, gdy wszyscy spali, wkładał frak, czyścił sobie kopyta i okulary, rozkładał uszy i leciał do Londynu.

– Król angielski spożywał śniadanie, gdy przybył Kaczka i zastukał kopytem w drzwi pałacu. Król zaprosił go do środka i poczęstował jajkiem na miękko w kieliszku i białym chlebem. Kaczka opowiedział mu o wsi, a król rozkazał swoim sługom, by odwołali wszystkie inne spotkania.

– Ależ Wasza Wysokość, przecież w kancelarii czeka Borys, król Bułgarii.

– Niech czeka – powiedział król Anglii.

– W ogrodzie czeka królowa Belgii.

– Niech czeka – powiedział król. – Dzisiaj rozmawiam z Kaczką, hebrajskim osłem z Ziemi Izraela.

– Babcia Fejga chodziła w sukience po polu narcyzów – opowiadał Uri, a oczy mu się zamgliły. – Podobnie jak ukraińska chłopka nie nosiła majtek i zaszła w ciążę od kontaktu z pylnikami. Dlatego, gdy kwitną narcyzy u strumienia, mój tato płacze i kicha.

Instytucje osiedleńcze wyliczyły, iż babcia urodzi w Zielone Świątki „i przyniesie pierwociny, jakich jeszcze nie było – pierwszego syna we wsi”.

– Cyrkin i Liberson byli ciążą babci bardzo podnieceni – opowiadał dziadek obojętnym tonem, który nie wzbudził we mnie żadnych podejrzeń.

Obaj udawali się na niebezpieczne wyprawy, przynosili jej cytryny z Hamat-Hagader, pączki kaparów z Samarii i piskłęta kuropatw z Karmelu. Z Doliny Jordanu wydelegowano dwie oddane towarzyszki, by ją pielęgnowały w ostatnich ciężkich miesiącach. Czytały jej powieści i „urywki z teorii myślicieli Ruchu”.

– Mitu syna pierworodnego nie da się obalić, mimo całej jego śmieszności – powiedział mi Meszulam Cyrkin, który nie mógł wybaczyć swojemu ojcu Mandolinie i swojej matce Pesi tego, że urodził się drugi syn wsi. – Brzuch twojej babci Fejgi dźwigała cała wieś.

Fejga chodziła między namiotami po błotnistych ścieżkach wsi, a jej twarz promieniała, głos stał się spokojny, nabrał bogatego tonu i roztaczał czar zarówno na ludzi, jak i na bydło.

Nawet Mirkin, który mógł się zdobyć na miłość do niej tylko pospołu z Eliezerem Libersonem i Cyrkinem-Mandoliną i marzył o swojej krymskiej ukochanej jeszcze wtedy, gdy nieszczęsna Fejga weszła do jego namiotu, nawet on patrzył na nią czule i z podziwem.

– Masował jej brzuch zieloną oliwą – wtrącił Uri jemu tylko znane szczegóły.

Gdy nadszedł czas porodu, powieźli ją na wozie na stację

kolejową, odległą o kilka kilometrów od wioski. Tymczasem już przy wyjeździe ze wsi zobaczyli, jak pociąg odrywa się od błękitnego zbocza góry i pędzi w kierunku stacji.

Historia przyjścia na świat Abrahama była jedną z najpopularniejszych w Dolinie. Podczas uroczystości pięćdziesięciolecia wsi zrobili z niej nawet przedstawienie. Uczynił to pewien reżyser z Tel Awiwu, który zadziwił wszystkich swoimi fioletowymi spodniami i wrzaskliwymi zalotami, mającymi na celu zdobycie jak największej liczby dziewcząt.

Cyrkin-Mandolina i strażnik Ryłow „dosiedli koni i pocałowali jak dwaj kozacy, jak ogień i wiatr”, i dogнали pociąg. Maszynista usiłował protestować, zamachnął się nawet groźnie szuflą, lecz Ryłow wskoczył z końskiego grzbietu wprost do wnętrza lokomotywy, wbił w maszynistę twardy palec i rozwścieczony wzrok i pociągnął za hamulec.

– Nie jesteśmy byle kim, jesteśmy zarządem! – oświadczył maszyniście i jego usmolonemu pomocnikowi, których to groźne zdanie wygłoszone podczas gwałtownego hamowania rzuciło na kupę węgla.

– Wstań, ścierwo, i ruszaj natychmiast, jeżeli chcesz umrzeć w swoim własnym łóżku! – krzyknął Ryłow. – Całą parą!

Pociąg zastękał i ruszył w drogę, pozostawiając za sobą ogromny tren iskier, kłęby dymu, dwa osiodłane konie i babcię Fejgę ze wszystkimi odprowadzającymi, biegnącymi z krzykiem w stronę kolei. Babcia zległa w szczerym polu.

Po upływie godziny urodził się mój wuj Abraham, syn pierworodny dziadka i babci i pierwszy syn we wsi. „Urodził się na naszym polu, na naszej ziemi, pod naszym słońcem, dokładnie w tym miejscu, gdzie znajduje się dzisiaj główny zawór wodny Margolisa”.

Tego dnia pola rozbrzmiewały niemilknącym wrzaskiem cykad, w nocy chalurowie siedzieli i śpiewali, a rano zjawili się Cyrkin i Ryłow, którzy całą drogę powrotną przebyli biegiem. Ryłow nawet się nie usprawiedliwiał. Napił się wody i zażądał

zwołania wszystkich towarzyszy, by postanowić, jak się będzie noworodek nazywał. Powiedziano mu, iż matka już nadała synowi imię Abraham, dla upamiętnienia swojego ojca. Eliezer Liberson burknął coś pod adresem „towarzyszki, która sobie pozwala na czyny nie do pomyślenia”. W wiejskiej gazetce napisał, że „dziecko jest nie mniej nasze niż jej”, lecz musiał się z tym pogodzić.

Fania Liberson, porwana z kibucu kilka tygodni przed tymi wypadkami, wiedziała, że na krótko przed urodzeniem się pierwszego dziecka opanowuje mężczyźn przecucie własnej śmierci, i przepędziła dziadka z namiotu.

– Siedziały obie z Leą, moją nieszczęsną towarzyszką życia, szyjąc malutkiemu Abrahamowi haftowane pieluszki, a także splotły mu kolebkę z rosnącej przy źródle zielonej trzciny.

Tydzień później sprowadzono z miasta leżącego za błękitną górą rzezaka, towarzysze ubrali się na biało, podstrzygli włosy i paznokcie i usiedli w półkolu naprzeciw namiotu Mirkina. Dziadek wyniósł syna, podniósł go wysoko na rękach i rozległa się wielka owacja.

– Twój wuj Abraham był naszym pierwszym plonem, urodził się, zanim jeszcze na naszych drzewach zawiązały się pierwsze owoce. Do dzisiaj w dzień Zielonych Świątek podnosimy na rękach przed zgromadzoną publicznością wszystkie urodzone tego roku dzieci, na pamięć owego święta, kiedy urodził się pierwszy syn.

Piękno i czystość twarzyczki niemowlęcia oślepiła zgromadzenie. Uśmiechało się do obecnych „uśmiechem tak jasnym, że mógłbyś przysiąc, iż posiada już zęby, i podobne było w liściach swych pieluszek do ogromnego narcyza”. Abraham urodził się bez tych głębokich bruzd, które przecinają jego czoło obecnie, i wyraz twarzy miał jeszcze przyjemny, gładki i świeży jak łupinka dużego jabłka.

– Z miejsca zwały się szeregi – ciągnął Pines. – Ręce pokładły się na biodrach i ramionach, a nogi puściły w tan.

W owej chwili wszyscy czuli, że wieś jest objęta łaską i że

„jest komu przejąć pochodnię w wielkim wyścigu pokoleń”.  
A czyn dokonany nie zemrze, gdy oni spoczną już w swojej ziemi.

Na twarzy Pinesa igrał łagodny uśmiech, a cała jego postać promieniowała błogością wspomnień.

– To dziecko związało nas na zawsze nierozzerwalnymi więzami – powiedział, a słowa wysmykiwały mu się z ust jak owoce starej dzikiej śliwy w obejściu Margolisa, malutkie, słodkie i jednakowe.

– Podawaliśmy go sobie z rąk do rąk i pozwoliliśmy każdemu towarzyszowi i towarzysze potrzymać go w ramionach. Przez jedną przemijającą chwilę bojaźni i słodyczy mogliśmy odczuć obietnicę wydzielającą się z jego miłutkiego ciała i wdychać głęboko w płuca jego aromat. Jeden po drugim braliśmy go w ręce jak relikwię, trzymaliśmy i każdy go błogosławił, niektórzy na głos, a niektórzy cicho i z głębi serca. Każdy z nas miał w nim swój udział i poczuwał się do niego.

– Przy okazji pokażę ci sprawozdanie z aktu obrzezania – obiecał mi Meszulam. – Liberson życzył niemowlęciu, by przeorało pierwszą bruzdę w pustynnym Negewie, Ryłow żądał, by zdobyło Gilead i Baszan, a mój tato powiedział, że go nauczy grać na mandolinie. Wyobrażali go sobie, jak sieje i orze, wiedzie zagubionych Żydów z uralskich gór i arabskich pustyń, wprowadza uodpornione gatunki paszy. A co wyszło z tego wszystkiego? Twój wuj Abraham.

Była to piękna chwila i jej wspomnieniem ludzie żyli potem przez długie trudne tygodnie wyrzeczeń. Wszyscy byli wypełnieni po brzegi i spokojni, oprócz Szloma Lewina, babcinego brata, który przybył na uroczystość obrzezania z Tel Awiwu. Obawiał się przyjechać w miejskiej marynarce i dlatego przywdział grubą robotniczą bluzę, która zostawiła mu na ciele czerwone plamy obtartej skóry. Na głowie miał szary ochronny kaszkiet.

Od stacji kolejowej szedł Lewin piechotą przez pola, zdumiony i wzruszony głębokim zapachem ciężkiej ziemi i wydawanymi przez nią chropawymi odgłosami. Fejga zarzuciła mu na szyję dwoje chudych i znużonych ramion. Tonia i Margolis,

którzy pamiętali go ze wspólnej podróży do Jaffy, uśmiechali się do niego jak starzy znajomi. Ale wśród wzruszonych chaluców, którzy go obejmowali i całowali, czuł się Lewin cudzo i obco. Trzymał niemowlę „nie tak jak trzeba” i ono ugryzło go ostrymi zębami w przegub dłoni.

Potem wyszli na poszukiwanie rzezaka, który spacerował po wsi, wachając ziemię i odmawiając bezgłośnie modlitwy zachwytu. Wziął Abrahama na ręce, pocmokał wargami na widok pięknego członka i obrzezał go. Zapanowała głęboka cisza, nawet Liberson, który twierdził, iż obrzezanie jest niczym innym, jak tylko pogańskim obyczajem, poczuł, że nie jest to chwila odpowiednia do wszczynania dyskusji, a kiedy nad polami poniósł się głośny wrzask pierwszego syna wsi, chalucowie wybuchnęli płaczem, wcale się tego nie wstydząc.

Efraim, mój zaginiony wuj, był ulubionym synem dziadka. Był przystojny, lekki i szybki i dziadek nie przestawał mi opowiadać, jak poszedł na wojnę, jak nosił na plecach swoje ciało i jak znikł ze wsi. Efraim urodził się w rok po Abrahamie, a Ester – moja matka – w rok po nim... „Dzieci biegające po wsi i zaczynające pomagać w pracy napełniały serca radością”.

Również Toni i Margolisowi urodziła się córeczka, ale od strażnika Ryłowa. Od chwili przybycia do wsi Tonia pozostawała pod wpływem jego męskiego, brutalnego uroku, pragnęła umrzeć w jego łóżku i wpadła w szaleńczy entuzjazm, gdy ją poprosił o przeszmuglowanie naboju w staniku. Ryłow zszedł z nią do wielkiego schowka na broń mieszczącego się w jamie z gnojówką. Przy świetle lampki naftowej rzucającej drżące cienie na ścianę wyławiał spomiędzy jej piersi amunicję. Przeliczywszy kule, kazał jej się ubierać. Gdy zaciągał i zawiązywał na jej plecach różowe tasiemki, zaparło jej dech w piersiach. Ryłow uśmiechnął się oczami, które przybrały niespodziewanie marzycielski wyraz, i powiedział, że po nocach śni o Pesi Cyrkin i ilościach naboju, które mogłaby mu przemycić.

– Ona posiada wszystko, czego mi trzeba: samochód, dobre powiązania i wielki stanik – wyszczególnił.

Tonia się obraziła, lecz nie poddała rezygnacji.

Ryłow znalazł w niej zaufanego sprzymierzeńca. Po nocach wychodziła z nim do *wadi* na spotkania z donosicielami, razem zakopywali granaty w tajnych skrytkach i likwidowali kolaborantów. Obejmowali się na skrzynkach z amunicją, osypani białymi płatkami materiałów wybuchowych, a kiedy Ryłow, którego zapas porównań był wielce ograniczony, nazywał ją Szwarceloza<sup>[11]</sup>, Tonia już się nie obrażała.

Wyszła za niego za mąż potajemnie, oboje byli otoczeni murem złożonym z członków organizacji Haszomer, którzy przynieśli im upominki – tatarskie siodło, rasową klacz o nieustannie drgającej skórze i związanego, skomlącego rabina



z Tyberiady, który udzielił im ślubu, mimo iż miał oczy przewiązane czarną tkaniną. Po roku Tonia urodziła córkę, nie zdając sobie w ogóle sprawy z tego, że zaszła w ciążę, ponieważ Ryłow machał lekceważąco ręką, słysząc jej poranne postękiwania, i powiedział, że nudności i wymioty są dobrze znanym następstwem zagniatania żelenitu<sup>[12]</sup>.

Słodki Margolis, dobrotliwy jak zwykle i wolny od głupiej zazdrości, wrogości i marzeń o zemście, przyszedł do domu Ryłowa. W lewej ręce miał duży słój miodu, a na prawej wspierała się jego nowa przyjaciółka, Rywa Bejlin. Była to chaluca z Pułku Pracy. Spotkał ją w pociągu jadącym do Cemach. Tonia, jeszcze obolała, popatrzyła na swojego byłego ukochanego i jego towarzyszkę, a w żyłach jej zakipiało coś w rodzaju gniewu. Jeszcze tego samego tygodnia wybuchła pierwsza kłótnia między nią a mężem. Ryłow, wierny konspiracyjnej tradycji, pragnął utrzymać w tajemnicy również i narodziny swojej pierworodnej córki, a Tonia poczuła się urażona do łez i nienawiści.

Daniel, syn Fani i Eliezera Libersonów, był równolatkiem mojej matki. Był do niej przywiązany od chwili, gdy położono ich na jednym kocu w polu, kiedy liczyli sobie po trzy tygodnie.

Dziadek, Liberson, babcia i Fania poszli z niemowlętami do sadu. Dziadek pouczał wszystkich, jak przycinać młode grusze, żeby rosły w kształcie kielicha. Ogrodnicze nożyce cykały mu w rękę, a on pokpiwał sobie z sowieckich sadowniczych teorii Miczurina, jakoby cechy drzew owocowych nabyte na skutek szczepienia mogły być dziedziczone.

Fejga, osłabiona i blada, wyciągnęła się na ziemi, oparła plecami o udo Fani i uważała, by coś nie pokłuło i nie pokąsało niemowląt. Daniel podniósł swoją łysą głowinę, pomachał nią silnie w obie strony i z wielkim wysiłkiem przewrócił się w stronę Ester. Liczył sobie wtedy trzy tygodnie i jego mama nie wierzyła własnym oczom. Nie przychodziło jej do głowy, że syn zauważył Ester i pragnął się do niej przybliżyć. Lecz babcia spostrzegła od razu, co się święci, i powiedziała sobie w duchu, iż słuszność ma Miczurin, nie bacząc na to, co twierdzi jej mąż.

Jeszcze tego samego wieczoru Daniel począł raczkować, a gdy babcia Fejga chciała zabrać swoją córeczkę do domu, zdumieli się wszyscy na widok niemowlęcia wrzeszczącego nieustannie i pełzającego jak mała uparta jaszczurka w stronę drzwi.

Minęło wiele bezsennych tygodni, zanim rodzice domyślili się, że nie płacze z głodu ani od bólu zębów, a z pożądania do dzidziusi Mirkina.

– Głupie gadanie – powiedział Uri. – Ja ci powiem, dlaczego on wrzeszczał. Bo to musi nieźle boleć, jak ci staje w dwa tygodnie po obrzezaniu.

Fania przynosiła swojego fioletowego od wrzasku syna do domu dziadków i przeproszała za kłopot. Daniel umiał wdrapywać się na kołyskę swojej ukochanej, zanim jeszcze nauczył się chodzić. Przyczepiał się do Ester nogami i rękami jak cykada do soczystej gałęzi i z miejsca usypiał.

Całymi dniami znajdował się pod opieką babci. Gdy kładli Ester spać lub zabierali ją do kąpieli, wybuchał płaczem, który słyhać było daleko za błękitną górą. Gdy skończył siedem miesięcy, nauczył się chodzić i biegać, by móc towarzyszyć wszędzie swojej ukochanej, a jej imię nauczył się wymawiać, zanim umiał powiedzieć tata i mama.

Babcia Fejga odnosiła się do dzieci z sympatią. Zawsze wierzyła, iż każdy ma przeznaczonego sobie w niebie towarzysza życia.

– Ale jest ktoś, kto dba o to, by takich dwoje urodziło się na przeciwległych krańcach świata – mówiła babcia do Fani. – Życie całe przechodzi im w płaczu, a nie wiedzą dlaczego. Moja córka i twój syn urodzili się przypadkiem w tej samej wsi.

– Jak Adam i Ewa w raju – powiedział Jakub Pines, młody wdowiec o złamanym sercu, którego ta niemowlęca miłość Daniela Libersona do Ester Mirkin bardzo wzruszała. Żywił nadzieję, że szybko podrosną i wstąpią do jego klasy.

– W opowieści o raju nie chodzi o moralność, ale o miłość – rzucił Pines podczas burzliwego zebrania wiernego mu kółka

biblijnego. – Oni stanowili jedyną parę i byli sami na świecie.

– W ogóle mnie nie wzrusza – wtrącił Eliezer Liberson – że pierwszy człowiek przechadzał się sam przed swoim stwórcą, ale wzrusza mnie, że się przechadzał sam przed Ewą.

Towarzysze uśmiechali się i potakiwali głowami.

Bezbożność Libersona i jego miłość do Fani były znane w całej Dolinie. Pines był szczęśliwy, swoim zwyczajem szukał w Biblii jedynie sensu ludzkiego i prawd o przyrodzie Kraju. Nienawidził badaczy Pisma komentujących i zaangażowanych, którzy doszukiwali się w nim wskazówek i znaczeń politycznych.

– Tylko wijące się w męczarniach ludzkie serca i ziemia Kraju zostały niezmienione od tamtych czasów aż po dzień dzisiejszy – powiadał.

Z naftowymi lampkami w rękach wyszli towarzysze z namiotu nauczyciela i poczłapali w straszliwym błocie.

– W każdym raju znajduje się również i wąż – powiedziała babcia do Fani. – Prędzej czy później wychynie z trawy.

– Jej wąż żyje w Rosji – szepnęła Fania do Libersona. – Owoc wiadomości złego i dobrego przybywa zamknięty w kopertach.

Fejga przypatrywała się promieniejącemu szczęściem małemu Danielowi, który leżał na plecach i ssał palec swojej ukochanej.

– On nigdy nie będzie pragnął innej kobiety – powiedziała. Zmarła, gdy Daniel i Ester byli jeszcze maleńkimi dziećmi, i nie zobaczyła, jak moja matka odtrąciła swojego ukochanego. Jej portret, powiększona odbitka fotografii ze skrzynki, z tymi samymi czarnymi warkoczami i zaciśniętymi maleńkimi dłońmi i w tej samej lnianej haftowanej bluzce, stał przez długie lata u Fani na kuchennej półce. Jej spojrzenie jakby omijało z dwóch stron obiektyw. Już od wczesnej młodości wiedziałem, że tak patrzy kobieta, która „cierpiała z braku miłości”. Na zdjęciu było napisane: „Mojej przyjaciółce Fani”.

W owych czasach wieś nie była niczym więcej niż tylko dwoma rzędami białych namiotów, ledwo widocznych spoza

trującej zasłony bagiennych wyziewów i skrzydeł komarów. Dla bydła zbudowano już kilka dachów na słupach i wielkie koryto, kury kręciły się wolne i grzebały w ziemi.

Potem dziadek posadził w odległości stu metrów od namiotów kilka drzew. Drzewo granatu, drzewo oliwne, figowiec i dwa rzędy winorośli z gatunku szasła i perła. Do pni poprzybijał deseczki, a na nich widniały napisy: „Winorośl wyda swe owoce”<sup>[13]</sup>, „Drzewa oliwne będziesz miał we wszystkich swoich granicach”<sup>[14]</sup>, „Kto pielęgnuje drzewo figowe, spożywa jego owoc”<sup>[15]</sup>, „Pączkują drzewa granatu”<sup>[16]</sup>.

Drzewo granatu szybko się zestarzało, żywiczne łzy oblepiły jego usychający pień i tylko od czasu do czasu dawało marne owoce. Na początku dziadek wstrzykiwał w pień lekarstwa i trucizny przeciw liszkom, a gdy i to nic nie pomogło, Pines stwierdził, że drzewo toczy robak zwątpienia i jego los jest przesądzony.

Winorośle zwiędły od filoksery i dziadek musiał zaszczerpić swoje winogrona na kalifornijskich dziczkach, chociaż Kalifornia, kraina jego brata Josefa i Lutra Burbanka, budziła w nim sprzeczne uczucia.

Za to figowiec i drzewo oliwne, otoczone nagrobkami, trawnikami i ozdobnymi drzewami, czynią, co mogą, by wypełnić swój obowiązek, i owocują jeszcze dzisiaj. Figowiec, dotknięty czarodziejskimi rękami dziadka, jest tak dziki i kipiący sokami, że leje na ziemię całe kałuże lepkiego i ostrego soku, a na drzewie oliwnym dojrzewają ładne zielonkawe owoce, przyjemnie popstrzone żółtawymi plamkami oliwy.

Dziadek posiadał jakiś szósty zmysł do hodowli drzew. Sadownicy z całego kraju zasięgali u niego porad i przysyłali mu uszkodzone liście i jajeczka motyli szkodników. Drzewa rosnące w jego obejściu wzbudzały podziw wszystkich znawców. Co roku agronomowie i bulbule odprawiali pielgrzymki do naszej wsi, by zobaczyć owoce Mirkina i ich pokosztować. Ja sam pamiętam, że przyjeżdżali jesienią, by popatrzeć, jak dziadek otrząsa oliwki.

– Podejdź tutaj, moje dziecko – powiedział i kazał mi objąć, jak on, drzewo rękami. Nie walił w gałęzie kijami, co było

w zwyczaju, a tylko objął pień, wtulił w niego twarz i kiwał się łagodnie razem z nim. Z początku nic się nie zdarzyło, lecz po kilku minutach poczułem, jak mocne, rozkiwane drzewo wydało stęknienie, dało się ubłagać i pod odgłosy westchnień zachwytu publiczności osypało mi głowę i ramiona cichym gradem; do dziś pamiętam delikatny szum bębniących o moją skórę oliwek.

Gdy urodził się Abraham, dziadek utworzył kazuarynową aleję. „Syn pierworodny, który zawiódł, niespełniona nadzieja” – tak go nazywał urodzony w rok po nim Meszulam Cyrkin i pochopnie począł rozwijać obszerną teorię o tym, jak to dziadek na urodziny swojego syna posadził drzewa nieprzynoszące owoców.

Kiedy babcia Fejga urodziła drugie dziecko, mojego wuja Efraima, dziadek tak się uradował, że zaszczepił na chuszczaszu szczepki pomarańczy, grejpfruta, cytryny i klementyny. Nazwał to drzewo „drzewem czterech rodzajów”, a gdy ten przedziwny cytrus począł rodzić swe rozmaite owoce, dziadek dalej szczepił w ten sam sposób i zapełnił wioskę zwariowanymi drzewami, które wkrótce zaczęły się nawzajem zapładniać. Muszkatowe winogrona gniły na wierzchołkach cyprysów, bo nie można się było do nich dostać, a na śliwach żółciły się irackie daktyle. Dziadka ogarnęła trwoga na widok triumfującego we wsi miczurinizmu, ale drzewa dalej robiły swoje.

W rok później babcia urodziła Ester, moją matkę, i przestała rodzić. Od tego czasu ciało jej przestało owocować i przygotowywało się do śmierci. Te wszystkie rzeczy, tak sobie myślę, działy się zaledwie przed kilkoma dziesiątkami lat, a już otulił je stary całun czasu i zmumifikował czarny wosk tajemnicy, jak gdyby wyszły z biblijnego wykładu Pinesa, gdzie posadzone nad strumieniami jego klechd rozrastały się potężnie i palma Debory, i tamaryszek Abrahama. Były to klechdy o wędrówkach, o ziemi i o namiotach. Klechdy o studni, drzewach i płodzeniu.

Babcia zdążyła jeszcze pomieszkać w zbudowanym na miejscu namiotu baraku, tym samym, w którym mieszkałem z dziadkiem. Szorowała do połysku drewnianą podłogę i do dzisiaj

można w niej rozpoznać niewyraźne zagłębienia, ślady jej kolan. W jedno okno wstawiono już szklane szyby i babcia uszyła na nie jasne firanki ze starego płótna. Pod figowcem zbudowała piec, z którego unosiły się smakowite zapachy chleba i pieczonej dyni. W oborze stały uwiązane dwie damasceńskie krowy rasy mieszanej i mały Abraham wyprowadzał je o zmierzchu na pastwisko na skraju działki. Kilka pstrych kur, kupionych od Czerkiesów zza góry, przyłączyło się do Rachel Janait i grzebało w podwórku. Kurczęta przenosiło się od razu po wykluciu do drewnianej skrzynki, gdzie grzały się przy naftowej lampce. Skusiły one starego dzikiego kota do przeniesienia się z błękitnej góry w pobliże naszego źródelka.

– Gotowali w tabunie, przynosili kurom portulakę, chodzili boso i nosili wodę w blaszankach – powiedział Josi, brat bliźniak Uriego. – Krótko mówiąc, wyglądali dokładnie jak arabska wioska.

Tam, gdzie znajduje się teraz Miejsce Spoczynku Chaluców, posadził dziadek swój wielki sad. Wykopał między rzędami kanały irygacyjne i by nie sprawiać drzewom przykrości, podlewał je wyłącznie po nocach. Kiedy ogarniało go zmęczenie, zostawiał rurę na początku kanału i kładł się na krótką drzemkę. Woda płynęła powolutku, a gdy dochodziła do niego i budziła go, wstawał, przenosił rurę do następnego kanału i tam na nowo usypiał. Ten system pobudzał wieś do niezliczonych kawałów.

– On robił wszystko, żeby tylko nie spać w domu – mówiła z goryczą Fania Libersonowi. Byli też gospodarze, którzy twierdzili, że jeżeli, niech Bóg uchowa, Mirkin się nie obudzi, to sad zostanie cały zalany i powróci tu bagno. Dziadek nie zwracał uwagi na ich gadanie. Co rano wracał do domu, drżąc z zimna i z radości, a z jego skóry parował zapach wilgotnej ziemi. Pod dotykiem jego rąk sad przyniósł już w pierwszym roku okazałe owoce.

W tym samym roku przyszedł z wizytą z Doliny Jordanu Zajcer. Był on starym towarzyszem dziadka. Nigdy nie uskarżał się otwarcie, „lecz znać było po nim, iż nie podoba mu się życie

w komunie”. Dziadek poprosił go, by pozostał. Zajcer zgodził się, pod warunkiem że nie będzie wyróżniany z powodu dawnej przyjaźni. Czuł się robotnikiem i chciał zostać tu jako robotnik. Był tak skromny, że nie chciał zamieszkać w domu.

– Dlaczego on mieszka w oborze? – pytałem dziadka. –  
Dlaczego stary Zajcer mieszka z krowami?

– Zajcer jest uparty jak muł – uśmiechnął się dziadek. – Tak jest przyzwyczajony i tak sobie życzy.

Był wegetarianinem i tylko z rzadka przyjmował od babci, która go bardzo lubiła, kawałek ciasta, po którym chwytaly go wyrzuty sumienia i bóle brzucha.

Zajcer został u nas aż do swojej straszliwej śmierci. Jego specjalność – orka w prostej jak strzała linii – wzbudzała ogólny podziw. Pracował przy każdej ciężkiej robocie i tylko w soboty wychodził samotnie na długie spacery po polach, „by wąchać kwiaty i rozmyślać”.

– Zabierz mnie ze sobą – wołałem, biegnąc za nim boso. –  
Zabierz mnie ze sobą, Zajcer.

Wiedziałem, że przed wieloma laty, gdy zmarła babcia, Zajcer opiekował się moim wujem Abrahamem, bawił się z nim i nosił go na barana na spacery po polach. Ze mną i z moimi kuzynami już się nie bawił, bo w końcu się zestarzał, umartwiał się rachunkami sumienia i dźwigał na plecach jedynie wspomnienia i wnioski.

– Zostaw go, Baruch – mówił dziadek. – To jego dzień odpoczynku, każdemu należy się czasem trochę samotności.

Szeroka postać Zajcera oddalała się powoli i znikala. Najpierw zasłaniały go drzewa sadu, potem widać go było małego jak mucha na dalekim, żółtym rzysku, a w końcu pochłaniało go zbocze góry.

– Były to trudne i piękne czasy – opowiadał mi Pines, siedząc w kuchence swojego malutkiego domku. – Byliśmy, jak Giwończycy, bosi i w łątach, lecz serca mieliśmy wypełnione po brzegi.

Latem młócili wspólnie pszenicę. Osiemnastu gospodarzy

wprawiało w ruch młockarnię. Wrzeszczeli jak opętańcy, gdy zaciął się bęben. Kobiety przynosiły na klepisko suche ciasteczka i wino domowej roboty, a po nocach wielkie kupy słomy przyciągały rozśpiewane grupki, węże i zakochane pary.

– Połamane źdźbła słomy we włosach – mówił Uri – to najpiękniejsza ozdoba kobiety.

– Każda rzodkiewka, czerwieniejąca na warzywnej grządce, każde urodzone niemowlę czy cielę stanowiły obietnicę i nadzieję. Procent tłuszczu w mleku podniósł się do czterech, a do nowego naftowego inkubatora weszło trzysta sześćdziesiąt jaj – opowiadał Pines w szkole na lekcjach historii. Ryłow przepadał na całe tygodnie i wszyscy sądzili, że jeździ do Syrii na zwiady i zakup broni, aż stało się powszechnie wiadome, że jama na gnojówkę, którą wykopał koło obory, była w rzeczywistości niczym innym jak tylko olbrzymim składem broni i amunicji, a Ryłow nurkował w niej, przygotowując się na najgorsze, i wypływał na powierzchnię jedynie po to, by „nabrać powietrza”.

Stowarzyszenie Pracy imienia Fejgi przestało już istnieć, jak gdyby rozpląnęło się w powietrzu.

– Nie można tego nazwać rozłamem – mówił Meszulam. – Raczej rozwiązaniem lub rozpląnięciem. Trudno zgadnąć, a oni nie mówią. Myślę, że to się zdarzyło po urodzeniu Abrahama. Lecz korzenie tego były ukryte głębiej – przypuszczał. – Tkwiły w czymś, co wszyscy trzej ukrywali.

Cyrkin-Mandolina przychodził do dziadka każdej soboty na śledzie i oliwki. Niekiedy przyprowadzał ze sobą małego Meszulama, by bawił się z Abrahamem. Cyrkin i jego syn byli zawsze brudni i zaniedbani. Meszulam z zastygłymi smarkami na policzkach przyglądał się ze zdumieniem szklanym talerzom na stole, a Mandolina patrzył na babcię Fejgę wzrokiem, którego rozpacz odczuwałem jeszcze długie lata potem, gdy leżałem zmarznięty na łóżku, a dwaj starcy prowadzili między sobą w kuchni jedną ze swoich najostrzejszych rozmów. Nawet herbata i oliwki nie mogły złagodzić gniewu.

– Myśmy ją powierzyli w twoje ręce – zawarczał Mandolina.



– Nie chcę o tym mówić – odburknął dziadek.

– A ja właśnie chcę o tym mówić – powiedział Cyrkin. Cisza. Oliwki. Delikatne chrupanie kostek cukru.

– Skoroście obaj ją tak bardzo kochali – wybuchnął dziadek – to po co było to idiotyczne losowanie?

– Nie zmuszaliśmy cię do brania w nim udziału – warknął Cyrkin.

– Nie tylko was obwiniam.

– Chcieliśmy cię uleczyć – szepnął Cyrkin. – Uleczyć od Szulamit.

– Fejga Lewin – powiedział dziadek jadownicie i uroczyście – ze swoim pełnym oddania milczeniem, z niedającą się podzielić miłością, ofiara grzechu, niema owieczka.

Przychodził w odwiedziny i Liberson. Jednak od czasu ożenku jego wizyty stawały się coraz rzadsze; wyczuwał stosunek dziadka do siebie, a oprócz tego „starał się wykorzystać każdą wolną chwilę na całowanie się z Fanią”.

Wszyscy czuli, że z czoła Jakuba Mirkina wieje na twarze przyjaciół cichy żal, lecz dziadek był dobrze wychowany i nikogo nie uraził. Grzecznie, lecz stanowczo wymawiał się od wspomnień na temat Stowarzyszenia Pracy i swojego pożycia małżeńskiego.

– Gdy miałeś cztery lata, przyszli z radia i chcieli zrobić o was program, ale twój dziadek odmówił wzięcia w tym udziału.

– Stowarzyszenie Pracy imienia Fejgi – powiedział dziadek, odpychając przytknięty mu do ust mikrofon – to sprawa osobista. Jeśli Cyrkin i Liberson pragną opowiadać, jak tańczyli i ukwiecali pustynię, to niech opowiadają.

Tylko raz do roku, w dzień osiedlenia się na roli, jednoczyło się Stowarzyszenie Pracy od nowa. Ludzie z całej Doliny przybywali piechotą przez pola, gromadzili się jak czarne punkciki na rżysku i sadowili na ziemi. Trzech mężczyzn i kobieta wchodzili na ułożoną z paczek słomy scenę i stawali naprzeciw towarzyszy. Nad głowami publiczności nieruchomiała olbrzymia płachta ciszy. Cyrkin grał na mandolinie, Liberson i Mirkin wtórowali mu na scenie śpiewem, a Fejga bębniła na dużym

garnku i śmiała się, chora i słaba.

To były jej ostatnie dni. Fania Liberson była jej najbliższą przyjaciółką i przed nią otwierała swoje serce.

– Co pół roku przybywają te obrzydliwe ptaki z niebieską kopertą.

– Te listy przychodziły co pół roku i co pół roku ona umierała od nowa – powiedziała Fania do Libersona, podczas gdy jej ręce głaskały go po plecach.

Poprzez zamgloną szybę widziałem poruszające się dłonie. Były już usiane starczymi piegami, lecz pieśczoła i gniew pozostały młode jak niegdyś.

Liberson coś mruknął.

– Ten wasz żart ze Stowarzyszeniem Pracy źle się skończył – powiedziała.

– Było jasne, że ona powinna była wyjść za któregoś z nas za mąż, to było postanowienie zgodne z regulaminem – wykręcał się Liberson.

– Dlaczego tyś się z nią nie ożenił?

– Nie przypadła mi w udziale – uśmiechnął się stary, odwrócił do żony i przygarnął ją do siebie. – A jeśli bym ją wylosował, to co stałoby się z nami? Zostałabyś po dziś dzień w kibucu, a może zamiast mnie porwałby cię stamtąd Mirkin?

– Tylko tego brakowałoby mi do szczęścia.

– Babcia była przez trzy lata w ciąży, doiła krowy, dźwigała bloki lodu, gotowała, sprzątała, szyła i kochała dziadka do swojego ostatniego tchnienia – opowiedział mi Uri w chwili niespodzianego rozczulenia.

– Dziadek nie jest winien – odpowiedziałem.

– On nie pozwoli, by powiedziano na jego nadzwyczajnego dziadka choćby jedno złe słowo – syknęła ciocia Rywka, żona Abrahama. – Cóż dziwnego, że jest taki? Całe życie spędza z pomyłonymi staruchami, którzy opowiadają mu głupstwa, ten nudziarz Pines jest jego przyjacielem, z Zajcerem na podwórku plecie godzinami trzy po trzy, a ten stary tetryk nawet mu nie odpowiada. Nie ma też dziewczyny i nigdy nie będzie miał. –

Zwróciła w moją stronę swoją niską, krępą postać i wrzasnęła: – Trzeba cię było odesłać do sierocińca!

Liczyłem sobie wtedy lat siedemnaście, byłem gniewny i smutny. Samotność, twardniejący członek w dojrzewającym ciele, pokręcony bieg mojego myślenia, które nie zrezygnowało z żadnego z powikłań dzieciństwa – wszystko to napełniało mnie złością, kłującymi ziarnami i pieniło się mroczną furią.

Wtedy właśnie przybyła do kraju Szulamit i dziadek mnie opuścił, i poszedł z nią razem do domu starców. Co drugi dzień chodziłem tam piechotą w odwiedziny i przynosiłem mu wielki dzban mleka.

Wracając do domu, wymachiwałem pustym dzbanem i – swoim zwyczajem – zachodziłem do Pinesa. Nauczyciel przyciągnął do ogródka mały stolik. Między krzewami hodował pająki, by móc je obserwować, i w schowkach z liści kryły się ich dziesiątki, gotowych w każdej chwili rzucić się na schwytaną w sieci ofiarę. Pines był stary, ale potrafił jeszcze złapać ręką muchę i nie zgniówszy, rzucić w pajęczą sieć.

– Przez te wszystkie lata twój dziadek kochał Szulamit, która przyjechała teraz do niego, do Kraju. A ja przez te wszystkie lata pamiętam moją zmarłą Leę. Myśmy byli zbudowani inaczej niż wy. Cierpliwość całego narodu, dwutysiącletnia cierpliwość doszła do kresu i wzburzyła nam krew.

– Zazdroszczę wam – westchnął. – I u nas były romanse, tańczyliśmy w winnicy bez koszul, chłopcy i panienki, i obłapialiśmy się na sianie, lecz któż z nas mógł sobie pozwolić na to, by zakrzyknąć: „Rznę córkę tego i wnuczkę tamtego czy żonę owego? Kto wypuścił wolno dzikiego osła i kto rozwiązał pęta muła?”<sup>[17]</sup>.

– On jeszcze krzyczy?

– Raz na kilka miesięcy, ten wyrzutek. A ja potem tydzień nie śpię. Za pierwszym razem chciałem go schwytać, zdusić, zabić. Teraz chcę tylko wiedzieć kto to. Tylko popatrzeć mu w oczy i zrozumieć.

Pijąc herbatę, wziąłem w usta oliwkę. Pines poklepał mnie

przyjaźnie po głowie.

– Jak dziadek, co? Dobrze, że naśladujesz dziadka. Jakub Mirkin jest człowiekiem jedynym w swoim rodzaju. Nawet między nami był zawsze jedyny w swoim rodzaju. Nie jeździł na kongresy i nie zabiegał u władz, nie cwałował na klaczy z taśmami kul przewieszonymi przez pierś, w czarnej keffii na głowie, a wszyscy go uwielbiali. Kiedy Mirkin dotykał drzewa owocowego, rozumieliśmy wszyscy znaczenie czynu i idei. To wielki przywilej, że wychował cię taki człowiek. Jak on się ma?

- Mieszka tam. Stoi całymi godzinami na werandzie.
- Stoi i co robi?
- Patrzy. Czeka.
- Ciągłe jeszcze czeka?
- Myślę, że na Efraima, na Jeana Valjeana. Może na Szyfrisa.

Nie zdołałem do dzisiaj przenieść ciała babci z wiejskiego cmentarza na mój. Zaofiarowałem zarządowi masę pieniędzy w zamian za zastosowanie się do mojego żądania. Myślałem również o tym, by włamać się na cmentarz i zrabować jej kości. Nawet Pines, który sprzeciwiał się ostro założeniu Miejsca Spoczynku Chaluców, napisał podanie do zarządu i opublikował odezwę w wiejskiej gazecie.

Fania Liberson wrzała gniewem. Wieczorem wdarła się przez zieloną furtkę do ogródka nauczyciela i wetknęła swoją przepiękną starą głowę w plamę światła widniejącą w jego oknie.

– Dajcie jej w końcu spokój! – krzyknęła i wróciła do domu, nie czekając na odpowiedź. Poszedłem za nią, skradając się od cienia do cienia, najciszej, jak tylko mogłem. Trudno mi było dosłyszeć koniec ich rozmowy. Na dworze wiał wiatr, a wargi Fani były przylgnięte do pomarszczonej szyi jej męża.

Abraham, który liczył sobie pięć lat, gdy zmarła jego matka, jeszcze ją pamięta, jej pogrzeb, jej palce na przegubie swojej ręki. Na twarzy trzepoczą mu jeszcze zasłony sieroctwa, dotykają straszliwych bruzd na czole, lecz on o niej nie mówi.

– Abraham, pierwszy syn, a teraz pierwszy sierota – powiedział Pines nad jej otwartą mogiłą.

Olbrzymie cyprysy wiejskiego cmentarza były wtedy zaledwie młodziutkimi sadzonkami. Stało tam tylko dziesięć nagrobków.

Sześciu chaluców, którzy załamali się ciałem lub upadli duchem, stara matka pszczelarza Margolisa, która przybyła z Rosji razem z rojem wyborowych kaukaskich pszczół i zmarła ze szczęścia w trzy dni potem, dwoje małych dzieci, pomarłych z zimna w namiotach, i urodzona w tajemnicy córeczka Toni i Ryłowa, która, mając roczek, wymknęła się z baraku, raczkowała po podwórzu i zdeptała ją krowa.

– Ona też nie zmarła w swoim łóżku, nieszczęsna – powiedział Pines. Była to jedna z rzadkich złościwości, jakie od

niego usłyszałem.

– Wtedy zrozumiałem, że założyliśmy dwa osiedla. Wieś i cmentarz, i że oba będą się powiększać – dodał.

Niedaleko stamtąd pasło się stado owiec. Dźwięk dzwoneczków, plamy farby na wełnie i pogwizdywania pasterzy dochodziły do żałobników. W kruchym nieruchomym powietrzu wydawały się bardzo małe, wyraźne i dokładne. Ze wsi dobiegał smętny krzyk Daniela Libersona, który, pozostawiony w domu, kręcił się, szukając Ester, i przewrócił się w stodole. Nad jamą wykopaną dla siostry zanosił się łkaniem Szlomo Lewin.

Cyrkin i Liberson stali obok dziadka, ich ręce spoczywały na jego ramionach, czy to podtrzymując go, czy ochraniając. Stowarzyszenie Pracy stało w milczeniu. Dzień był wiosenny i szybujące na północ stada pelikanów zniżyły z wrzaskiem swój lot ponad wsią. Stojąca daleko od swojego męża i jego kolegów Fania płakała i przeklinała.

– Powiedzcie tej suce, że Fejga umarła – szepnęła z twarzą zwróconą ku niebu.

Wyobrażałem sobie w duchu, jak Szlomo Lewin otrzymuje posłany mu przez dziadka telegram, wypuszcza z ręki wieczne pióro i pada zemdłony na podłogę sklepu.

– Nie – powiedział, kiedy spytałem go, czy tak się rzeczy miały. – Ja tylko patrzyłem na słowa i na papier i mówiłem do siebie: „Chuligani, chuligani, chuligani”. Wiele razy.

Usiadł na krześle i zdawało mu się, że czuje pas ojca, spadający raz po raz na jego plecy.

– W ręku miałem wieczne pióro, które właśnie naprawiałem, i z jego zepsutej pompki kapał mi na spodnie atrament.

Lewin nie zwracał na to uwagi. Zamknął sklep, posłał list do rodziny w Rosji i pojechał pociągiem do Hajfy. Ryłów, jadący do wsi wozem wyładowanym workami cementu, między którymi schowane były części myśliwskich strzelb, spotkał go przy stacji.

– Ja cię skądś znam – powiedział podejrzliwie.

– Jestem szwagrem Mirkina.

– Właż.

Lewin zapytał, co się właściwie stało. Siedział obok Ryłowa, czuł na swoim strachliwym ciele żylaste udo i twarde metalowe wypukłości.

– Ona była chora – powiedział zwięźle Ryłow. Jego twarde ręce, niskie mięsiste czoło, za którym leży się plany osadnictwa wojskowego w Transjordanii, i rozmowa z mułami, prowadzona w niezrozumiałym języku, wszystko to wywołało u Lewina nawrót wspomnień o pierwszych dniach w Kraju. Po godzinie milczenia i rozważań Ryłow postanowił ujawnić jeszcze jeden fakt.

– Ona nie była w porządku – powiedział. – Marnowała amunicję. W ciągu ostatnich miesięcy wychodziła dwa razy na podwórze i strzelała do lecących po niebie ptaków.

Strach i nienawiść do Cyrkina, Mirkina i Libersona zmieniły się w litość, kiedy Lewin ujrzał dziadka niosącego na jednym ręku Efraima, a na drugim Ester, podczas gdy mały Abraham czepiał się jego nogi. Lewin uściśnął szwagra i płakał długo i nieprzerwanie po stracie małej siostrzyczki i z żalu nad własnym życiem, które ciągle jeszcze nie odnalazło swojej drogi. Wszyscy go pamiętali z uroczystości obrzezania Abrahama, a Margolis pogłaskał go po plecach.

– Mam w ulu nową królową – szepnął. – Nazwałem ją Rywa. Lewin nie odpowiedział.

– Przyjdź potem do mnie jeść kwietny pyłek – powiedział Margolis – słodką wiosenną mąkę. Podjesz sobie i się wzmocnisz. Po pogrzebie jednak Lewin poszedł do dziadka.

– Jakubie – powiedział odważnie. – Zostanę tu na czas pokuty.

Został, sprzątał, gotował, mył Abrahama, zmieniał pieluchy Efraimowi i Ester. Wypielił powój, który rozprzestrzenił się na warzywnych grządkach Fejgi, i po raz pierwszy od czasu swojego przyjazdu do Kraju czuł, że przynosi pożytek i że słońce nie piecze go żywcem. Czarnoziem Doliny lepił się do jego rąk, a woń rezedy i kopru, które wyrywał spomiędzy pomidorowych krzaków, napełniała go szczęściem. Fania Liberson, która również

pomagała dziadkowi, była pełna podziwu.

– On jest wyjątkowym człowiekiem – mówiła mężowi. – Wiem, żeście go nie cierpieli, ty i twoi przyjaciele, ale on jest bardzo dobrym człowiekiem.

Po upływie tygodnia pokuty Lewin wrócił do sklepu z materiałami piśmiennymi, lecz nie zajął się klientami.

– Usiadłem i powziąłem decyzję.

Gdy przyjechał z powrotem na dzień trzydziesty<sup>[18]</sup>, zwrócił się do zarządu, by go przyjęli jako pracownika usługowego. Był dobrym buchalterem i doświadczonym kupcem. Gospodarze odpowiedzieli twierdząco na jego prośbę.

Lewin sprzedał swój udział w sklepie, dostał we wsi plac i drewniany barak, zaczął pracować w spółdzielni spożywców i w dalszym ciągu pomagał dziadkowi.

W każdej wolnej chwili przychodził do niego, mył dzieci, przygotowywał kolację, przynosił małe upominki. Chciał również pracować w gospodarstwie i wtedy natknął się po raz pierwszy na Zajcera. Tych dwu nie znosiło się od pierwszej chwili. Zajcer nie przejawiał w stosunku do Lewina żadnego aktywnego oporu, ale też w żaden sposób nie pomagał mu w pracy „i w ogóle odnosił się do mnie tak, jak gdybym był powietrzem”.

Lewin był słabym człowiekiem i kiedy usiłował tego lata dołączyć do zespołu młockarni, pył plew wżarł mu się głęboko w płuca i Lewin kaszlał potem przez całe lata. Dlatego pracował wyłącznie przy robotach w obejściu.

– Wykonywał kobiece prace – powiedział mój kuzyn Josi, gdy rozmawialiśmy o rodzinie. Lewin sypał pokarm kurom, zbierał jaja, wytrzepywał i składał puste worki po mieszance dla drobiu i mył bańki na mleko. Z owoców dziadka smażył nadzwyczajne *warienije* i tak powoli zdobył sobie w nim przyjaciela.

Jego zmysły, wyostrzone latami strachu i klęsk jak zmysły królika, wyczuły, iż stosunek dziadka do dwóch starych przyjaciół już nie jest taki jak niegdyś, i był szczęśliwy, gdy poczuł, że Mirkin woli jego spokojne towarzystwo od rozrachunków



z przeszłością, do których prowokowali go Eliezer Liberson i Cyrkin-Mandolina.

– Twój dziadek, któremu śmierć żony złamała serce, polubił szwagra i począł cenić jego dobroć i delikatność. To już nie były tamte czasy, te pierwsze. Siedzieliśmy już na swojej ziemi. Każdy pod swoim krzewem winnym<sup>[19]</sup>, wiedzieliśmy, co to dom, co to rodzina, mniej tańczyliśmy, mniej śpiewaliśmy i mniej nienawidziliśmy.

W zimowe wieczory siadali, mąż i brat, do gry w damkę. Zajcer stał za plecami dziadka i szeptał mu rady do ucha.

– Ale to nie pomagało, zawsze przegrywałem – opowiadał mi dziadek – a to bardzo pomagało Lewinowi przyzwyczaić się do nas.

Dziadek uczył nas, jak robić nacięcia do szczepień, jak prawidłowym przycinaniem regulować kierunek wzrostu drzew i jak wydlubować z chorego pnia najstraszliwszą ze wszystkich gąsienic – gąsienicę zeuzery, która zniszczyła sady jabłoni w calusieńkiej Dolinie. Drzewa jednak nie cierpiały dotyku Lewina. Śliwa santa rosa strząsnęła z siebie całe listowie, gdy Lewin naciął na niej korę.

– Trzeba mu znaleźć żonę – pogadywali we wsi i robili w myślach przegląd wszystkich wdów i pozostałych w dziewictwie chaluc.

Tymczasem Lewin zrobił wszystkim niespodziankę. Prowadził w tajemnicy korespondencję ze swatami i pewnego dnia pojechał do Tyberiady bryczką krążącego po wsiach Doliny fryzjera. Wrócił stamtąd z Rachel, jemenicką dziewczyną o wiele młodszą od siebie. Miała mnóstwo bransoletek, masę zębów i setki krewnych, którzy poprzyjeżdżali na osłach i na czas trwania uroczystości weselnych poustawiali na polach wsi namioty z plecionych mat. Jej wymowa była niezrozumiała, stąpała bezszelestnie. Wzbudziła we wsi ogólne zdumienie, gdy ujrzano, jak piecze na rozzarzonej blasze pasikoniki i potem zjada te wielkie kruche owady. Lewin nie spuszczał oczu z żony i błogosławił los, który w końcu się do niego uśmiechnął, po raz

pierwszy, odkąd przybył do Ziemi Izraela.

– Rachel – mówił – jest moją zemstą na szarańczy, która przesłoniła błękit nieba.

Po śmierci Lewina Rachel przyszła do mnie i powiedziała:

– Chcę, byś go pogrzebał u siebie. Chociaż był marnym chalucem, to jednak przybył z drugą aliją. Więc zrób to, chociaż wiem, że mnie pochowają gdzie indziej.

Efraim, mój zaginiony wujek, miał pięć lat, gdy Lewin ożenił się z Rachel. Oczarowała go jej smagła twarz, brząkające klejnoty i cichy chód. W weselny wieczór uczepił się nóg swojej nowej cioci, nie dał jej pójść do domu i wzbudził wielki śmiech w całej wsi. Gdy trochę podrośł, nauczyła go Rachel piec placki na rozżarzonej blasze, modlić się do Boga i chodzić cichutko jak kot po piasku. Ta umiejętność wywołała straszny popłoch u wielu gospodarzy i przyczyniła się do przedwczesnej śmierci wielu niemieckich i włoskich żołnierzy.

Efraim i jego byk rasy charolais, Jean Valjean, opuścili dom, gdy byłem dwuletnim dzieckiem. Chociaż nie pamiętam wuja, do dzisiaj jeszcze zazdroszczę mu cichego chodu. Moje własne ciało, duże i ciężkie, podnosiło zawsze wielki hałas i dlatego ludzie nieraz mnie chwyтали, gdy czatowałem, podsłuchując przy ich domach. Wstawałem powoli i wynosiłem się bez słowa pod ich rozeźlonymi, kłującymi jak widły spojrzeniami. Nigdy mnie nie skrzywdzili. Byłem sierotą, „sierotą Mirkina”, dzieckiem dziadka.

– Nabierz powietrza, podnieś wysoko kolano, wypuść powietrze i opuść płasko stopę – mówiła Rachel Efraimowi. Razem kroczyli po suchych jesiennych ostach, roślinach najbardziej szeleszczących pod nogą. Gdy mój wuj miał lat osiem, potrafił posuwać się bezszelestnie w polu kukurydzy i podkraść cichutko po podściółce z ostów. Przyswoił sobie także głęboką, gardłową wymowę i Pines musiał poświęcić wiele wysiłku, by go tego nauczyć.

Moja matka, Ester, była wtedy jeszcze niemowlęciem. Fania Liberson i Szlomo Lewin pomagali dziadkowi ją wychowywać. Zajcer przedrzeźniał dla niej głosy zwierząt i ptaków, Pines czytał

jej *Filipka* Tołstoja po rosyjsku, a Cyrkin grał kołysanki.

Zabawiał ją nawet Ryłow. Trzaskał ze swojego słynnego „korbacza” tak, że w powietrzu rozlegały się głośnie strzały. Ryłow był tak wprawiony i szybki w użyciu batoga, że potrafił jego drgającym końcem zrywać jabłka, uderzając w szypułki.

– Straszysz drzewa, idź sobie do swojej jamy! – krzyczał na niego dziadek, lecz pozwalał mu zabawiać swoją córeczkę.

Ester i Daniel rośli. Teraz już i dziewczynka spostrzegła bijącą od niego miłość. Kąpała się w blasku jego oczu otulona głaskaniem i pocałunkami, nie wypuszczała jego ręki ze swojej. Fania, Liberson i dziadek czerpali wielką radość z widoku dwojga dzieci spędzających razem całe dnie, błądzących po polach i goniących za kurczętami na podwórku.

– Z kim się ożenisz? – pytano Daniela, a on podchodził do Ester, ścisnął ją za talię i kładł głowę na jej ramieniu.

Liberson zaczął pogadywać o zaręczynach i żartował sobie na temat moharu, ale dziadek uniósł się nagle tępą i drewnianą złością, a sprzymierzeńca znalazł właśnie w Fani.

– Wy już, jak zwykle, postanawiacie wszystko dla wszystkich – powiedziała.

Jesienią, gdy wychodziło się na orkę i siejbę, brało się dzieci ze sobą w pole. Abraham umiał już wprzęgać muły w wóz, na który ładowano pługi, nasiona, wodę oraz jadło dla ludzi i bydła. W przerwie obiadowej nie wracano do domu. Gospodarze z kilku sąsiadujących ze sobą pól sadowili się razem pod którymś z wozów na wspólny posiłek. Ester i Daniel bawili się w cieniu wozu, leżeli objęci uściskiem na grudach ziemi, a gdy trochę podrośli, pozwalano im siedzieć na skrzynce siewnika podczas siewu. Moja matka była zwinniejsza od Daniela i bardziej dzika; nieraz ciągnęła go za sobą na niebezpieczne psoty. Wyłowiono ich na wpół żywych, z zielonymi, posklejanymi wodorostami i śluzem włosami, z koryta do pojenia krów, w które wpadli podczas zabawy. Innym razem zniknęli na pół dnia i znaleziono ich płaczących na wieży ciśnień, którą w owym roku zbudowano.

– Z twoją mamą mieliśmy tylko jeden problem: była

mięsożerna. Gdy miała pół roku, rzuciła jej babcia Fejga wygotowaną kurzą kość do ssania, bo ząbkowała i krzyczała z bólu. Dziecko polubiło smak mięsa i od tego czasu nie chciało jeść niczego innego.

Babcia Fejga zostawiła po sobie małą sierotkę, która nie jadła ani owoców, ani sera, ani jaj. Jadła wyłącznie mięso. Trzy razy dziennie.

Gdy liczyła sobie dwa i pół roczku, Lewin zostawił obok zlewu talerz z surowym mięsem zmielonym z pietruszką.

– Twoja mama wyjadła wszystko łyżeczką, a gdy skończyła, trzasnęła ze złości talerzem o ziemię. Wszystkie teorie Soni z ambulatorium dotyczące żądy krwi, koniecznych witamin i niezbędnych do życia minerałów poszły do diabła przez to dziecko, które wyrosło na ładną, wysoką dziewczynę. Rosła jak podlewany krwią pomidor, z cudowną cerą, głośnym śmiechem i nadzwyczajnym usposobieniem.

Margolis poczuł, że coś nie jest w porządku, jeszcze zanim przegnał Tonię ze swojego domu. Dziewczynie z Mińska zmienił się zapach i głos, skóra jej spierzchła, zdania stały się krótkie, zniknęła po nocach, a gdy nocowała w domu, nie mówiła już przez sen.

Margolis był dobrym i miłym człowiekiem. Nie pytał, nie dochodził i nie śledził. Dopiero gdy znalazł w swojej beczułce wosku śmierdzącą wiązkę lasek dynamitu, poprosił ją spokojnie, by sobie poszła.

Przez pewien okres żył samotnie w przygnębieniu, poświęcając cały swój czas nowym odkryciom w dziedzinie pszczelarstwa. Margolis był jedynym pszczelarzem w Kraju, który pasał swe pszczoły w polu i wytresował je, by lądowały jedynie na kwiatach pewnego gatunku. W ten sposób udało mu się otrzymać miody o nowych smakach i zapładniać tylko pożądane odmiany roślin. Nauczył się tej techniki z rosyjskiego podręcznika pasiecznictwa Chlimienki, wielkiego zwolennika Miczurina. Podobał mu się ten system, lecz nie stojąca za nim idea. Komuniści twierdzili, iż wiedza pszczół, jak też właściwości szczepionych drzew owocowych i wychowanie rewolucjonistów przechodzą dziedzicznie z pokolenia na pokolenie. Że można stworzyć taki szczep pszczół, który odwiedzałby wyłącznie kwiaty pewnego gatunku.

– Czerwone kwiaty, zapewne – ironizował dziadek.

– Oni się mylą – powiedział Margolis. – Jakżeby mogła się dziedziczyć tresura robotnic? Wszakże matką ula jest królowa, a ona nie wylatuje w pola i niczego się nie uczy.

Wywód Margolisa, w którym dowiódł, że każde pokolenie pszczół musi uczyć się od nowa, sprawił dziadka w dobry humor. Na polach Doliny poniósł Miczurin sromotną klęskę.

– Co ma Lenin wspólnego z pszczołami? – pytał szyderczo dziadek. – Od kiedy to komuniści wpadają w zachwyty nad obyczajami panującymi w społeczeństwach monarchistycznych?

Obaj chalurowie siedzieli na ziemi, a śmiech ich niósł się między młodymi gruszami i wtórowały mu grzebiące się we wnętrzościach kwiatów pszczoły.

– Na komunistach zrobiły wrażenie pszczoły robotnice, stachanówki ula, i woleli nie pamiętać o tym, że proletariatus ma zrobić rewolucję i zepchnąć z tronus carycę – powiedział Margolis.

– Pewnego dnia – opowiadał mi dziadek – poprowadził Margolis swój skrzydlaty proletariatus do torów kolejowych, by mu pokazać storczyki i purpurową koniczynę, kwitnące na zboczach nasypu.

Pociąg włókł się powoli i Margolis ujrzał przez okno profil Rywy Bejlin. Pognał za nią jak oszalały, a za nim olbrzymia chmara pszczół, wlaśl do środka, pasażerowie struchleli na jego widok, trzymał bowiem w ręku gliniany ul, a gdy przedostał się do Rywy, ławka, na której siedziała, w mig opustoszała.

– Nie bój się – powiedział jej. – One nie kłują.

Rywa Bejlin pochodziła z bardzo bogatej kijowskiej rodziny. Jej rodzice zajmowali się produkcją cukru i handlowali zbożem. Byli przeciwni jej wyjazdowi do Kraju i wysłali ją do Palestyny wbrew przekonaniu, ubraną w kosztowne stroje wywołujące u jej towarzyszy zdziwienie i drwiny. Z obawą patrzyła na Margolisa, którego buty były ubabrane błotem, lecz Margolis wetknął w ul niczym nieosłoniętą, przywykłą do tego rękę i pokazał jej umazany miodem palec.

Rywa była zdumiona, lecz błękitna naiwność jego oczu przekonała ją. Ujęła go z wahaniem za przegub i oblizala palec. Oczy jej zajaśniały, a na ustach zakwitł uśmiech. Nigdy jeszcze nie kosztowała palca Margolisa i miodu z dzikich kwiatów Doliny. Margolis, wesoły i słodki, zeskoczył z wagonu i wrócił do pasieki, ale od tego dnia jeździł dwa razy w tygodniu pociągiem na spotkania ze swoją nową ukochaną.

Każdej soboty Margolis przynosił dziadkowi słoik o tajemniczej zawartości – specjalnie przyrządzone pożywienie dla syna pierworodnego wsi. Cała wieś obserwowała Abrahama cierpliwie i z nadzieją. Jego wzrost, waga, jego pierwsze słowa

i powiedzonka były stale ogłaszane w wiejskiej gazetce. Każdy, kto go widział, ścisnął go i całował. Gospodarze znosili mu najlepsze jarzyny i mleko od najznakomitszych krów, a ich żony szyły mu ubranka, ale dziadek nie chciał zrozumieć, że pierwszy syn jest własnością publiczną.

– To się zaczęło jeszcze za życia Fejgi. Ludzie przyprowadzali gości o godzinie dziesiątej wieczorem, żeby im pokazać pierwszego syna. Żądali od Mirkina, by go obudził.

Meszulam przeczytał mi autentyczny dokument, dotyczący Zakaja Akermana, pierwszego syna sąsiadującego z nami kibucu. Pierwsze dziecko znajdowało się jakby w sferze należącej do ogółu, było własnością publiczną. Kto tylko chciał, budził je i przynosił do ogólnej jadalni, nawet nocą. Nieraz w zimowe noce towarzysze siadywali sobie dookoła stołów i cieszyli oczy niemowlęciem.

– Zostawcie dziecko w spokoju – beszał mój dziadek podkradających się bez przerwy do namiotu ludzi, którzy chcieli popatrzeć na Abrahama. Podnosili płócienne zasłony i zaglądali, byli nawet tacy, co wpełzali nocą do środka, by zobaczyć, czy pierwszy syn rzeczywiście jaśniej w ciemności, jak głosiła wieść.

Dziadek był wściekły.

– Skończę z tym raz na zawsze – oświadczył. Wziął niemowlę, uzbroił się w *nabut* i moskitierę przeciw komarom. – To nie jest wasze dziecko – wrzasnął i poszedł spać w zarośla przy źródle. Nikt nie śmiał pójść tam za nim. Przy źródle mieszkali niegdyś niemieccy osadnicy. Wszyscy pomarli na malarię i wciąż gnieździł się tam cieniutki przedśmiertny płacz żółtowołosych dzieci, i wstrząsał krzewami omanu. I tak skończyła się dokuczliwość towarzyszy, każdy bowiem, kto tej nocy wdrapał się na wieżę strażniczą, mógł widzieć złotawy blask przedzierający się przez czarne kępy jeżyn, jak gdyby tam, wśród krzaków, leżał olbrzymi świetlik. Kilka lat potem zmarła babcia i nikt już nie ośmielił się dokuczać sierocie. Na pamiątkę po tej nocy została Abrahamowi alergja na narcyzy i inne bagienne kwiaty.

W głębi serc Abraham wzbudzał jednak troskę i ciągły

smutek. Zakaj Akerman, pierwszy syn kibucu zza *wadi*, hodował już grzedy ogórków, które osiągały przeciętną długość czterdziestu pięciu centymetrów, a askidynia, którą posadził, dawała owoce wielkości jabłek grand aleksander. Pierworodny ze wsi Awiszaja wystąpił na jednym z pierwszych zebrań ze „zdumiewającym przemówieniem”, w którym przepowiedział z wielką dokładnością rozłam w Stowarzyszeniu Pracy – a liczył sobie wszystkiego trzy i pół roku. Pierwszy syn w Bejt Elijahu w wieku lat sześciu poświęcił się pracom badawczym nad nękającą kurczęta chorobą *kokcydiosis*, a potem został włączony w skład ekipy badawczej profesora Adlera, który wydestylował lekarstwo przeciw epidemii poronień, zawleczonej w latach dwudziestych do naszych obór przez holenderskie krowy. Dostał odznaczenie z rąk Wysokiego Namiestnika i dokument na pergaminie od zarządu Ruchu.

Abraham Mirkin opóźniał się w rozwoju, wprawił wieś w pełne napięcia oczekiwanie i – krótko mówiąc – rozczarował.

– Bylibyśmy spokojniejsi, gdyby był zwykłym dzieckiem, ale dla każdego było jasne, że w twoim wuju tkwi, mimo wszystko, coś wyjątkowego. Abraham potrafił jednym spojrzeniem poskromić każde rozjuszone bydlę. W okresie rojenia się muszek przywoływano go, gdy muł lub rolnik odchodzili od zmysłów pośród nieustającego kłującego bzykania. Miał również budzące nadzieję dziwactwa, na przykład w wieku lat pięciu wałęsał się po nocach, poszukując czegoś, o czym nikt nie miał pojęcia. Przewracał góry blaszanek i wytrząsał zwały starych worków, rozchyłał zasłony, przyglądał się śpiącym w oborach cielętom i płoszył ptactwo w kurnikach, jak gdyby chciał coś odkryć.

Byli tacy, którzy przypisywali to jego sieroctwu.

– Szuka swojej mamy, nieszczęsnej Fejgi – powiadali.

– Cóż dziwnego? – powiedziała wiele lat potem Fania.

W ramionach męża, otoczona stałą libersonowską miłością, nie podejrzewała, że ktoś może stać za ścianą i podsłuchiwać. – Cóż dziwnego? – powiedziała o moim wuju. – Dziecko urodzone w domu, w którym nie ma miłości.





Ma się rozumieć, że to Pesia Cyrkin sprowadziła filantropów z Ameryki i w ten sposób wplątała się brutalnie w dzieje mojej rodziny.

Dziadek nigdy jej nie oczerniał, lecz ja umiałem rozpoznawać każde najmniejsze drgnięcie, każdą bruzdę i zmarszczkę na jego twarzy. Nie cierpiał jej, nawet jej mąż czuł do niej wstręt.

Mandolina spotkał ją na jakiejś konferencji. Gdy przemawiała z zapałem na rzecz kas wzajemnej pomocy, jej wielkie piersi aż trzęsły się z przejęcia Wizją. Cyrkin, którego nigdy nie interesowały budżetowe aspekty pionierstwa, od ogromu pożądania dostał zawrotu głowy. Stąd prowadziła już krótka droga do złowienia Pesi w sieć strun. Pobrali się, gdy zaszła w ciążę, lecz wkrótce potem Pesia doszła do wniosku, że wiejskie życie jest pozbawione emocji i satysfakcji, do jakich przywykła, pracując w instytucjach Ruchu. Brakowało jej poczucia posłannictwa, radości służbowych podróży, błyskotliwych myśli i wyglancowanych butów ideologów, skarbników i mówców.

Na początku lubiła wychodzić na podwórze i wołać „cip, cip, cip” na kury, piec chleb, hodować kalarepki, pomidory Cudo Rynku i egipską cebulę na własny użytek. Bardzo szybko jednak poczuła się pogrzebana po szyję w ciężkiej glebie i w gryzącym kurzym pomioście. Gdy Meszulam skończył dwa lata, Pesia pojechała do Tel Awiwu i w kilka dni po powrocie przychyliła się do prośby swoich kolegów z centrali i wróciła do poprzedniej pracy.

Pesia Cyrkin wspięła się wysoko po stopniach dygnitarskiej drabiny, sprawowała władzę nad budżetami i posadami i nie minęło wiele czasu, gdy Cyrkin poczuł, iż skrępowanie, które go ogarniało podczas każdej wizyty żony, nie jest niczym innym jak tylko zwyczajną nienawiścią.

Po pewnej podróży służbowej do Londynu wróciła do wsi owiana obłokiem obcych perfum, które wywołały zawroty głowy

i paroksyzmy kichania u zwierząt hodowlanych we wszystkich obejściach. Weszła do domu, pocałowała małego Meszulama siedzącego na podłodze i bawiącego się kurczętami, z nieznanym u niej dotychczas wyrazem twarzy chwyciła męża za rękę i usiłowała zawlec go do sypialni. Cyrkin, którego zapach perfum ugodził w najgłębsze zasady wiary, wyrwał się z pożądliwych objęć żony, pogrzebał w jej walizce i znalazł tam jeszcze jeden flakon perfum, pantofle na szpilkach i czarną sukienkę. Przy osobistej rewizji, którą z miejsca przeprowadził, została wykryta również i koronkowa halka.

– Kupiłaś to gównu z pieniędzy Ruchu – powiedział, trzęsąc się z gniewu.

– Ależ skądże – roześmiała się Pesia i otworzyła ramiona. – W przerwie między posiedzeniami poszłam z Etingerem do kasyna.

Cyrkin spostrzegł, że jest wygolona pod pachami, i zdjęty go złość i strach. Wrzucił pantofle i stroje do beczki, w której zazwyczaj palił zdechłe kury i ścierwa zatrutych myszy, i polał je perfumami, by się lepiej zajęły. Jeszcze tego samego tygodnia przeniósł swoje łóżko pod wielkie, rosnące w podwórzu drzewo morwowe i odtąd nie spał z kobietą, która zhańbiła Ruch, wieś i rodzinę. Cała wieś wiedziała o tym, że w weekendy, w które przyjeżdża z wizytą jego żona, Mandolina sypia na podwórzu, grał bowiem do późna w nocy, a jego sobotnie ubranie było upstrzone czarnymi i fioletowymi plamami dojrzałych morw spadających na niego po nocach.

Od czasu do czasu rozlegał się po wsi jego krzyk, Cyrkin bowiem był jedną z pierwszych ofiar cichutkiego chodzenia Efraima, który podkradał się do jego łóżka i wtykał mu w nozdrza ostre pszeniczne wąsy.

Czterdzieści lat później Pesia otrzymała Nagrodę Pracy. Uporczywy celibat jej męża sprawił, iż „życie towarzyszki Cyrkin zostało całkowicie poświęcone społeczeństwu i narodowi”, jak to napisano na pergaminowym zwoju, który dziś wisi na ścianie w Baraku Pierwszych. Z tejże przyczyny Meszulam pozostał

jedynakiem.

Tym razem jej gośćmi byli ofiarodawcy, którzy dali pieniądze na zakup gruntów wsi, a teraz pragnęli przyjechać i zobaczyć kwitnące pustkowie. Przywiozły ich trzy limuzyny Forda. Były to pierwsze amerykańskie samochody, jakie u nas zobaczono.

Długi czas bogacze przechadzali się po gospodarstwach, uśmiechali i fotografowali. Tkaniny ich ubrań wydzielały mocną woń wygodnego, sybaryckiego życia, a gładka skóra skrywała straszliwe sekrety bogactwa. Lecz cóż mogliśmy począć? Oni dali te pieniądze.

Jeden z nich był w towarzystwie uroczej młodej kobiety. We wsi nikt nie widział ładniejszej. Była wysoka i kształtna, czysta i jasna jak klejnot; gdy się śmiała, jej szare oczy zwężyły się do wielkości oliwek, a w kącikach ust igrało rozbawienie i radość.

Goście podziwiali nową lodówkę w mleczarni Awigdora Jakobiego, który właśnie silną ręką zaprzęgał do wozu rozplodowego byka i jechał na pole po zieloną paszę, Jakuba Mirkina, szczepiącego winorośle na nowych dziczkach, które ze sobą przywieźli, i Ryłowa, strzelającego z trzech pozycji, leżącej, stojącej i z przykłąku, a wszystko z przestrzeganiem prawidłowego oddychania.

A wtedy wystąpiła Pesia i zażądała, by im pokazać pierworodnego syna. Dziadek się sprzeciwił.

– Dziecko nie jest przedstawieniem – powiedział.

Pesia podeszła do niego z uśmiechem, potrząsając piersiami, by nadać większej mocy swoim argumentom.

– Nie jesteś w londyńskim kasynie – powiedział dziadek, który znał wszystkie szczegóły, skryte pod poplamionymi koszulami Mandoliny. – Zabierz łapy od dziecka.

Lecz właśnie w tej samej chwili wrócił z pola Abraham, siedząc na barana na karku Zajcera. Dziadek chciał go natychmiast zabrać do domu, ale wzrok pierworodnego syna, który prześlizgnął się po wszystkich obecnych, przygwoździł go do miejsca.

Amerykańscy filantropi byli wzruszeni do głębi widokiem tego poważnego dziecka, sieroty bez matki. W bijącym od niego blasku zobaczyli całą głębię sensu powziętego dzieła. On zaś uśmiechnął się do nich, a potem, nieproszony przez nikogo, sam z siebie ukląkł na ziemi, wykopał dołek, włożył do niego ziarno kukurydzy i przykrył je ziemią. Czyn ten, wyrażający symbolicznie istotę naszego życia, bardzo wszystkich wzruszył. Dwóch spośród dobroczyńców chciało od razu zabrać dziecko do Ameryki, wychować je tam w najlepszych szkołach i zwrócić krajowi jako człowieka dorosłego, wykształconego i doskonałego. Tu wtrącił się Pines i wyjaśnił im oględnie, że cała moc syna pierwородnego wyrasta z jego stałego kontaktu z ziemią Kraju, „a jeśli go od niej zabiorą, moc ta zniknie, a on będzie taki jak każdy inny”. Wobec tego goście poprosili, by dziecko powiedziało kilka słów na temat powrotu na rolę, związku z ziemią i innych różności w tym rodzaju.

Wtedy zbliżyła się do nich owa piękna i radosna panna. Gdy poczuła na sobie wzrok pierwszego syna, wyciągnęła rękę i pogłaskała go bez zastanowienia po głowie. Abraham zamilkł, podniósł się z ziemi i oczyścił kolana z prochu. Nad głowami zawisło nagle przeczucie katastrofy. Każdy, kto tylko był dostatecznie wrażliwy, mógł zrozumieć, że za chwilę stanie się coś strasznego.

Syn pierwородny odwrócił wzrok od wszystkich zebranych, skierował go na piękną pannę i tak do niej przemówił:

Gdy sypnie ciężki pył z sufitu,  
Ciała mego wspomnienie uderzy cię hardo,  
Co powiesz sobie w tym ogniu palącym?  
Kwiat gorący i twardy  
Wbije się w ciało twoje,  
Twój miły w słów żywopłotach  
Obwarowany milczaco,  
Co powiesz we śnie, gdy dłoń jego na twojej skórze  
Jak dłoń wierzyciela wymagająca?  
Rycynus miłości nad twoją głową

Nie traci blasku.  
Poznasz wtedy wiatr wschodni cichy  
I upór ziaren piasku.  
Nasze grzbiety wydane na chłostę,  
Twe zduszone stłumione wspomnienie.  
Och, z otchłani, z lepkiej otchłani  
Na głowach naszych z trzcin tęsknoty wieniec.

Tak rzekł Abraham i wywołał ogromne wzburzenie. Panna, w której idealnie ukształtowanych członkach zapłonął ogień, poczęła pytać po angielsku: „Co on powiedział? Co on powiedział?”.

Reporter z gazety „Dawar”, towarzyszący ofiarodawcom w podróży po kraju, notował gorączkowo. Meszulam Cyrkin pokazał mi wiadomość, którą opublikował: „Pierwszy syn Abraham Mirkin wygłosił niezrozumiały wiersz niezwiązany z naszym życiem w Kraju i z celami, któreśmy sobie postawili”.

Towarzysze byli wstrząśnięci. Fania Liberson wtuliła się policzkiem w szyję męża ruchem, który jej pozostał jeszcze wiele lat potem, i powiedziała, że głód miłości przewędrował z umęczonego ciała nieszczęsnej Fejgi na płód w jej łonie i doprowadził dziecko do szaleństwa.

– Oto dojrzał wasz owoc – szepnęła ze złością. – To nie była krew i to nie było słodkie, to była trucizna. Jad, który przenigdy nie zakrzepnie. I nie śmiej mi teraz opowiedzieć ani jednego żartu.

Pines, współczujący Abrahamowi i jego ojcu, usiłował robić aluzje do wykazanej przez chłopca „umiejętności pięknego posługiwania się asocjacjami do wersetów z Księgi Jonasza”, lecz Ryłow zażądał ostro, żeby przymknął buzię, bo inaczej coś mu się przydarzy i umrze nie w swoim łóżku.

Jedynym, który nie zwracał uwagi na hałas, był sam Abraham. Patrzył dalej na piękną kobietę, a ta poczęła drzeć, bo wzrok dziecka prześwidrował wszystkie tkanki jej ciała. Mocny zapach zwykłej chuci, którą potrafi rozpoznać każdy chłop, przedarł się przez otulające ją zasłony pachnideł i wszyscy obecni mogli słyszeć głuchy ryk holenderskiego byka, który zaczął

atakować swoją zagrodę. Ona tupnęła nogą, zaśmiała się z zakłopotaniem, a potem kibicią i udami wprawiając w wirowanie powietrze, zbliżyła się do Abrahama, wyciągnęła z torebki błyszczącą monetę i pomachała mu nią przed oczami.

– Ona mu dała pieniądze – powiedział dziadek Pinesowi podczas jednej z ich nocnych rozmów. – Pieniądze. Pesia przyzwyczała ich odkupywać ziemię i duszę pieniędzmi.

Owa obca kobieta włożyła monetę w kieszonkę koszuli Abrahama, jak gdyby był to talizman przynoszący przekleństwo, cofnęła się o krok i czekała z obawą.

Twarz pierwszego syna pociemniała, a na jego czole, od nasady nosa aż po linię włosów, jak od uderzenia ciężką motyką, rozwarły się dwie straszliwe bruzdy.

Leżałem na narcyzach, oczy miałem utkwione w niebie. Stada bocianów szybowały kręgami w wysokim locie jak małe wodne muszki nad spokojnym i przezroczystym jeziorem. Na kominie dziadkowego domu na Ukrainie gnieździła się para bocianów.

– Wiedziałem, że one co roku bywają w Ziemi Izraela i wracają stamtąd z żołądkiem pełnym kananejskich żab – opowiadał mi dziadek.

Czyżby wnuki tych właśnie bocianów przelatywały teraz nade mną?

Wiosną i jesienią dziadek wychodził z baraku, przysłaniał dłonią oczy, patrzył na bociany i pelikany i ogarniał go smutek na wspomnienie szerokich rzek, olbrzymich pól zbożowych, zaśnieżonych stepów i brzoźowych gajów. „Oto jestem w kraju jeżynowych zarośli – pisał – w kraju szarańczy i szakala, figowca i oliwnego drzewa”.

Myślałem o Szyfrisie. Czy jeszcze żyje? Czy potrafi odnaleźć ścieżkę pokrytą przez jego towarzyszy warstwą cementu i betonu? Gdzie się teraz znajduje? Czy zabiły go straże graniczne i spoczywa pod śniegiem lub piaskiem? Czy opadł jako popiół z kolców drutu pod wysokim napięciem? Czy wie, że bagna zostały już osuszone i rozkwitła pustynia? Że dziadek poszedł do domu starców i mieszka tam z Szulamit?

Szyfris przybędzie i ja dam mu dziadkowe łóżko. Szyfris będzie marynował oliwki, po nocach będzie palił w kuchni papierosy, posadzi drzewo oliwne i figowiec, winorośl i granat. Jest stary i chudy, na głowie ma zniszczoną czapkę z daszkiem, w ręku laskę z gałęzi migdałowego drzewa, torbę na ramieniu, a w torbie czerstwy chleb, manierkę, oliwki, ser, Biblię i dwie pomarańcze. Idzie i śpiewa cichutko, czy może gra na trzcinowej fujarce, którą sobie wyciął po drodze. Idzie powoli przez góry i pustynię, wzdłuż skalistych brzegów, ma suche, spieczone wargi i popękane buty.



– Trzeba Szyfrisowi przygotować jakieś małe bagienko do osuszenia – powiedział mój kuzyn Uri. – Trzeba zasiać trochę perzu, żeby miał co pielic, trzeba mu przyprowadzić starą chaluę z siwymi warkoczami, żeby na nim jeździła całą noc na gumnie.

Oczy mu błyszczały. Był dzieckiem, które w lot łowiło wzruszenia, drwiło ze wspomnień, a spośród opowiadań lubiło wyłącznie miłosne.

Jak malutki punkcik oderwie się od błękitnej góry, będzie się zbliżał, podejdzie do baraku dziadka i powie: „Pójdźże, moje dziecko, pójdz do Mirkina i powiedz mu, że przybyłem”. Znużony swoją trudną drogą, upadnie na łóżko dziadka i tylko poprosi o wodę. Jaki lekki jest Szyfris, gdy niosę go, wychudzonego i wyschłego, przez pola Doliny, by pokazać dziadkowi.

Idę tam, do źródła, by się położyć w gęstwinie. Wracając, będę szedł przez pola należące do naszej rodziny. Pola, na których niegdyś pasły się dżamusy, panoszyły zielone trzciny, a w ich przekłętej wodzie mnożyły się malaryczne komary, a które potem osuszono i zaorano. Dziadek posadził na nich kwitnące drzewa, wśród których Abraham pasł swoje krowy, a ja posadziłem tam drzewa ozdobne, kwiaty i umarłych.

Dzieci Mirkina, w odróżnieniu od chłopca Cyrkina, pomagały swojemu ojcu we wszystkich gospodarskich robotach. Były świetnymi pracownikami. Abraham przejawiał wielkie zdolności do hodowli bydła, już w wieku lat dwunastu wpadł na pomysł, by zaprowadzić w oborze sztuczne zapłodnienie, ale weterynarz powiedział, że w kraju nie ma wyborowego nasienia. Abraham pracował nad rozwiązywaniem naukowych zagadnień na długo przed naukowcami Kraju.

– Można nasienie zamrozić – oświadczył zniecka w samym środku obiadu, a bruzdy na jego czole ruszały się i ściągały od wielkiej koncentracji. – Można je zamrozić i przywieźć do obory, zamiast wlec krowę do byka. Można sprowadzić nasienie rasowych byków z zagranicy, to zaoszczędzi wiele trudu i pieniędzy.

Jednak od czasu owej sprawy z amerykańską ślicznotką

odnoszono się do pomysłów Abrahama podejrzliwie. Był on chłopcem powściągliwym i zamkniętym w sobie. Niejednokrotnie znikał na cały dzień. Okazało się, że chodził na grób matki, by jej opowiadać o wszystkim, co go spotykało.

Pewnego razu Efraim podkraść się za nim i usłyszał, jak Abraham mówi do nagrobka.

– Mamy już w kurniku podłogę z prętów i całe łajno spada na dół, a to jest najlepszy w świecie nawóz.

– Opowiedz jej również o lodach, które chcesz ukreścić z byczych jaj – krzyknął spoza pleców brata.

Abraham wstał i rzucił się na niego. Lekki i zręczny Efraim uciekł. Leciał nad polem jak cicha sowa, podnosząc bosymi stopami małe obłoczki kurzu. Abraham biegł za nim z płaczem przez całą drogę do odległej o pięć kilometrów wsi. Od czasu do czasu schylał się i ciskał w brata kamieniami i grudami ziemi.

Wieczorami opowiadał dziadek swoim dzieciom historie z czasów własnego dzieciństwa. Mówił im o swoim bracie Josefie, zdradliwym kapitaliście, którego, gdy miał trzy lata, porwali Cyganie.

Carska policja znalazła go w worku na stacji kolejowej w Charkowie. Cyganie chcieli z niego zrobić akrobatę i złodzieja. Był u nich wszystkiego cztery dni, lecz gdy wrócił, trzeba go było od nowa uczyć mowy. Wszystkie poznane już słowa wywietrzały mu z pamięci, chodził na czworakach i opróżniał ludziom kieszenie.

Opowiadał, jak zbudował, mając lat dziesięć, cieplarnię mirtów.

– W Święto Szalasów sprzedawałem mirty wszystkim chasydom i nikt nie znalazł w nich żadnej skazy. To była pierwsza cieplarnia w Makarowie i ojciec był ze mnie bardzo dumny.

– Opowiedz o mamie – poprosił Abraham i dziadek im opowiedział, jak Fejga odkryła, że można posadzić na kurzych jajach indora, którego brzuch i pierś są dostatecznie wielkie dla wylęgu pięćdziesięciu kurcząt za jednym zamachem. Tylko że indor wstawał z miejsca i miażdżył jaja. Babcia napoiła go winem

i spity indor z czerwonymi jak ogień koralami siedział na jajach zadowolony i uśmiechnięty i nie ruszał się z miejsca.

– Wszystkie kobiety we wsi przejęły ten system – śmiał się dziadek – chociaż Liberson ogłosił w wiejskiej gazecie artykuł pod tytułem *Hebrajski kurnik nie jest karczmą*.

Rozmyślałem z zazdrością o owych dniach, wydawały mi się snem. Lecz Josi powiedział, iż były to czasy ciężkie i straszne.

Było ich troje dzieci z ojcem, który nie miał pojęcia o prowadzeniu gospodarstwa. Gdy wszyscy kupowali nowe pługi, nasz dziadek obłapiał oliwne drzewa. Nie mieli pieniędzy na zimowe buty, doili wyłącznie rękami, woły robocze trzymano do spółki z sąsiadami i zawsze wybuchały kłótnie. Dzisiaj mamy elektryczną wylęgarnię, a wkrótce i indyczki także będą sztucznie zapładniane.

Josi był dumny z nowego rozplodowego kurnika dla indyczek. Był to zamknięty budynek, obity smołowaną, nieprzepuszczającą światła papą. Tam młode indyczki wyczekiwały dobrych cen na zapłodnione jaja. Błądziły w ciemnościach, szukając po omacku karmy, a ciemność nie pozwalała im ani myśleć, ani spodziewać się czegokolwiek, ani wchodzić w ruję. Gdy nadchodziło zawiadomienie z komitetu do spraw hodowli indyków, wypuszczaliśmy je na dwór do indorów. Wychodziły z wahaniem, potykając się na słabych nogach. W ich mrugających oczach widać było wodniste soczewki oślepięte promieniami światła. Po pięciu minutach przebywania w słonecznym świetle rozgrzewały się i przysiadały w gorącej ziemi, trzepocząc skrzydłami. Swoimi wysokimi głosami i tętniącymi pod ogonami czerwonymi kwiatami przywoływały samców.

– Weszły w gorąc, idiotki – powiedział Josi.

Indyczki leżały pośrodku podwórza, wypinały tyłki i z nadmiaru pożądania nie chciały wstać i pójść do kurników, gdzie miało się odbyć zapłodnienie. Josi i Abraham wpychali je tam kopniakami i nakładali na nie siodła z brezentu, ciężkie indory bowiem, usiłując na nie włązić, darły im mięso na strzępy.

– Popatrz na to – powiedział mi Uri. – Popatrz, co to znaczy zakochać się, cała ciemność uleciała z nich na zewnątrz.

Indory tłoczyły się wokół niecierpliwych samic, odpychając się nawzajem, a gdy któremuś udawało się wypełnić swoje zadanie, indyczka wstawiała w rozkosznym omdleniu, potrząsała z dumą skrzydłami i kroczyła kokieteryjnie w stronę swych koleżanek, gulgocząc cichutko.

– Biegnie wszystkim opowiedzieć – powiedział Uri. – Warto było czekać.

– Dwa miesiące w ciemności, żeby być zerzniętą przez indyka – powiedział pogardliwie Josi.

Ja zaś myślałem o trojgu dzieciach pod opiekuńczymi skrzydłami dziadka, o nocnych zimowych posiłkach – ziemniaki gotowane w mundurkach, jaja na twardo podawane do stołu, ze śledziem w oleju, z cytrynowym sokiem, krążkami cebuli i jasnymi plasterkami rzodkwi. Myślałem o mojej zmarłej matce, o jej płonących w ogniu długich nogach i warkoczach, i o Efraimie. Do dzisiaj mam zwyczaj odwracać się gwałtownie do tyłu: może stoi tam Efraim i śmieje się z mojego popłochu, a na ramionach leży mu Jean Valjean, jego potężny byk rasy charolais.

– Nikt nie mógł pojąć, jak Efraim potrafił władować sobie na plecy byka – opowiadał z uśmiechem dziadek.

Nikt nie mógł pojąć i nikt nie odczytał znaków. Nawet Pines nie przeczuł dojrzewającego i zbliżającego się nieszczęścia.

– Sierota wychowujący się u dziadka nie jest niczym innym jak tylko beczką bajek – tak powiedział o mnie.

Nie wiem już, co zasłyszałem, a co rzeczywiście przeżyłem. Czy to Abraham biegł do grobu swojej matki, czy może ja sam do grobu swojej. Czy to Efraim odszedł, czy to ja opuściłem wieś.

Wielkie nagrobki połyskiwały na Miejscu Spoczynku Chaluców. Kamienie wtoczone na studnie marzenia<sup>[20]</sup> – tak nazywał je Pines.

Błąkam się po wielkim domu bankiera, a byk wspomnień ciąży mi na plecach.

– Twoja mama była sentymentalnym łobuziakiem, nieokielznanym chłopakiem z duszą Tomka Sawyera.

Tylko jednej rzeczy Pines nie mógł zrozumieć, a mianowicie jej apetytu na mięso.

– Była dobrą uczennicą, umiała deklamować z pamięci Czernichowskiego i Lermontowa i nagle, pośrodku lekcji wyciągała z płóciennej torby na książki kawał mięsa i zatapiała w nim zęby.

Nie tylko nauczyciel, cała wieś śledziła drugie pokolenie spragnionym, pełnym nadziei wzrokiem. Mocni, szybcy jak dzikusy, pracowali ramię w ramię z rodzicami. Powietrze Kraju nie spalało im płuc, ciała ich nasiąkały słońcem jak kredowe skały.

Troje sierot Mirkina imać się każdej roboty. O świcie Abraham budził brata i siostrę, by pomogli przy dojeniu, zanim pójda do szkoły. Przed wieczorem zdążyli skosić i załadować wóz lucerny i zwieźć ją w obejście. Wbijano widły w tył trzęsącej się sterty zielonej paszy, na której wierzchołku mocowali się mama i Efraim. Abraham, który właściwie już wtedy zarządzał gospodarstwem, milcząc, trzymał lejce. Głębokie bruzdy gniewu pełzły jak jaszczurki w górę jego czoła, gdzie znikwały pochłonięte gąszczem włosów.

Brat i siostra oplatali się wokół siebie gibcy i zręczni, wrzeszcząc raz gniewnie, raz radośnie. Nieraz staczali się z wozu i walczyli dalej na poboczu drogi. Spomiędzy gałęzi sadu przypatrywał im się ojciec.

– Ta dziewczynka stanowi większe niebezpieczeństwo dla kurnika niż dziki kot znad źródła – powiedział dziadek do Zajcera.  
– Jeżeli będzie w dalszym ciągu pożerała mięso w takich ilościach, to nie pozostanie nam ani jedna kura.

Mama poczęła wdrapywać się na drzewa i dachy i łowić szpaki. Zmusiła Daniela Libersona do brania udziału w tych myśliwskich wyprawach, a porażony miłością chłopiec włókł się

za nią po polach, przypatrując się, jak wyciąga ptaki z zastawionych przez siebie pułapek. Przez nią wędrowne przepiórki przestały zlatywać się na odpoczynek na naszych polach, ogrody warzywne opustoszały z zajęcy, a cielęta drętwiały ze strachu, gdy głaskała je po szyjach.

Pewnego razu wdrapała się z Efraimem na dach wiejskiego magazynu z mieszanką dla kur i czyhała tam na gołębie. Jedna z dachówek pękła jej pod nogą i mama się ześlizgnęła, lecz udało jej się uczepić rynny i pozostała tak, wisząc na rękach sześć metrów ponad betonową powierzchnią. Efraim usiłował wciągnąć ją z powrotem, ale mu się nie udało.

– Trzymaj się mocno – krzyknął. – Biegnę po Daniela. Znikł, a mama, zacisnąwszy zęby, trzymała się końcami palców rynny. Właśnie wtedy przechodził dołem Benjamin Sznycer, durnowaty *jeki*, robotnik Ryłowa.

– Benjamin! – wykrztusiła dziewczyna przez zaciśnięte szczęki. Robotnik podniósł oczy i zmieszany wnet je znowu opuścił. „Bo twoja mama nosiła szeroką sukienkę i wymachiwała nogami”, opowiadał mi z błyszczącymi oczami Uri. Benjamin padł już ofiarą niejednego figla i obawiał się, że i teraz go nabierają.

– Nie wstydz się, Benjaminie – powiedziała mama. – To w porządku, możesz sobie patrzeć.

Stał dokładnie pod nią, a gdy podniósł oczy, aż dech mu zaparło, tak piękne były jej uda, dyndające jak gorące serca w dzwonie sukni.

– Twój ojciec, Benjamin, przyjechał do Kraju w latach trzydziestych. Jako jeden z grupy chłopców wysłanych z Monachium, przybył do naszej wsi na przeszkolenie i posłano go do gospodarstwa Ryłowa.

Był to chłopak niski, jasny i mocny. Patrząc na jego fotografię w Księdze Wsi, w dziale tych, którzy zginęli. Mój tato stoi w granatowych roboczych spodniach z zaprasowanym kantem i w sobotniej białej koszulce gimnastycznej przy ścianie baraku, pod palmą w obejściu Ryłowa. Pod tą samą palmą, o której Uri

powiedział, że jej owoce, spadając na ziemię, wybuchają. Twarz taty, dziecinna i z gruba ciosana, patrzy na mnie prosto spomiędzy muskularnych ramion. Oczy ma zmrużone przed słońcem. Ręce jego, tak jak i moje, są bardzo grube i niekształtne. Jego ramię, dłoń i przegub wyglądają razem jak belka. Klatka piersiowa – wielka i potężna jak beczka.

– Będziesz wysoki jak mama i mocny jak tato – mówiono mi zawsze, a gdy urosłem, wszyscy cieszyli się, że przepowiednie niekiedy się sprawdzają.

Beniamin rozstawił ręce.

– Zostaw prędko – powiedział. Nie znał jeszcze hebrajskiego. Dziewczyna wahala się.

– *Schnell, schnell* – powiedział Beniamin. – Ja łapię.

W naszej wsi ludzie potrafią określić na oko dokładną wagę cielaka, przewidzieć kierunek wiatru na podstawie koloru księżyca i ustalić zawartość azotu w glebie według smaku cebuli. Mama oceniła spokojne oczy i twarde barki robotnika, rozluźniła uchwyt i runęła w dół, suknia zakryła jej twarz, a żołądek podleciał między żebra. Oczy miała mocno zaciśnięte i ocknęła się w kołysce potężnych ramion.

Beniamin stęknął pod siłą uderzenia. Moja mama była dziewczyną wysoką i bynajmniej nie lekką; przykucnął aż, by wyhamować gwałtowność nacisku jej wagi na swoje plecy i uda. Jej strwożone ciało trzasnęło go w pierś, nagi brzuch pulsował ogarnięty strachem przy jego policzku, tak blizutko, iż nawet ja poprzez odległość czasu i opowiadań mogę jeszcze poczuć gorąco bijące od jej skóry.

– Teraz możesz mnie już puścić – powiedziała i uśmiechnęła się. Mogła już normalnie oddychać, otworzyła oczy, lecz jej paznokcie były jeszcze ze strachu wbite w jego rękę i ramię. – Byłeś świetny.

Mój ojciec stał zmieszany. Nigdy jeszcze nie znalazł się tak blisko dziewczyny.

– Bardzo ci dziękuję, Beniaminie – roześmiała się, wyskoczyła mu z objęć i wygładziła sukienkę. Właśnie w tej

samej chwili zjawili się Efraim z Danielem, dźwigając we dwójkę wysoką drabinę do zbioru owoców.

– Hej! Co robisz? Ty jekowski kutasie! – krzyknął z wściekłością Efraim.

Miał piętnaście lat, był szczupły i lekki i chciał się rzucić na barczystego robotnika. Daniel stał oszołomiony. Z zazdrości, zagubienia i bezsilności jego skóra przybrała bladożółty odcień. Trzęsły mu się wargi.

– On mnie uratował – powiedziała Ester. – Ten durnowaty *jeke* Ryłowa mnie uratował.

Mój ojciec usłyszał jeszcze raz jej śmiech. Słodki powiew powietrza dotknął jego twarzy, gdy mama, Efraim i Daniel Liberson odbiegli i znikli za rogiem.

Mój ojciec przybył do wsi, gdy miał lat szesnaście i został przydzielony do gospodarstwa Ryłowa.

„Przybył z Niemiec w przeddzień wielkiej wojny”, tak jest napisane w dziale poległych Księgi Wsi. „Cała jego rodzina zginęła w dymiących piecach, a jego spotkała śmierć w naszym kraju. Pamiętamy jego pracowitość, subtelność i kulturę. Pamiętamy, jak co wieczór szedł do mleczarni, pogwizdując sobie całe symfonie i uśmiechając się do każdego przechodnia, a na nosidłach dźwigał wielkie bańki mleka”.

Durnowaty robotnik Ryłowa dźwigał je, ponieważ nie umiał dogadać się z mułami Ryłowa. Z żelaznego drąga na ramionach zwisały mu cztery bańki, z których każda ważyła trzydzieści pięć kilogramów.

Muły Ryłowa przybyły z armią angielską podczas pierwszej wojny światowej i postanowiły tu pozostać.

– Jeśli nie brać im za złe natrętnego zwyczaju naciągania każdego, kto im się po drodze nadarzył, na piwo, to były dwojgiem pierwszorzędnym roboczym bydłat – opowiadał Meszulam. W pudełku, na którym widniał napis „Drobiazgi z naszego życia”, przechowywał protokół z posiedzenia zarządu, podczas którego Ryłow domagał się, by mu uznali wydatki na piwo dla jego mułów, i odczytywał go na wiejskich



uroczystościach:

„Tow. Ryłow: Muły jedzą jęczmień, a piwo nie jest niczym innym jak tylko płynnym jęczmieniem.

Tow. Liberson: Ryłow kręci.

Tow. Ryłow: A co z indorem, co pił wino?

Tow. Cyrkin: Nikt nie marnował wina na drób, to są tylko wymysły Mirkina.

Tow. Ryłow: Po małej wypitce muły pracują z entuzjazmem.

Tow. Liberson: Podanie jest załatwione odmownie, nie będziemy w krąg pracy i twórczości wprowadzali alkoholu.

Tow. Ryłow: Stowarzyszenie Pracy imienia Fejgi wypijało niemało wódki.

Tow. Liberson: Jesteśmy wdzięczni towarzyszowi Ryłowowi za to porównanie, ale w Stowarzyszeniu Pracy nie było mułów, a wyłącznie osły.

Tow. Ryłow: Będę warzył piwo sam.

Tow. Cyrkin: Nie przybyliśmy do Ziemi Izraela, by poić bydłeta szampanem”.

Publiczność śmiała się i biła brawo, lecz wszyscy wiedzieli, że Ryłow zasiał dwa rzędy chmielu, a jego muły zaorywały w ciągu dnia pracy powierzchnię dwa razy większą niż każda inna para mułów. Do dzisiaj opowiadają sobie we wsi o olbrzymich spienionych kałużach, jakie po sobie zostawiały. Nawet Zajcer, będący specjalistą od mułów i jęczmienia, powiedział, że brzydzi się taką rozpustą. Długie lata w wojsku, w kibucu, w koloniach i we wsi wyprały je ze współczucia; kiedy ujrzały przed sobą chłopaka naiwnego i niepewnego siebie, od razu zaczęły go kołować i nie dawały się zaprząć. Plątały umyślnie lejce, srały na dyszel i nabijały się z mojego ojca bez przerwy, obrzydliwie czkając. Lecz z niego był pracowity chłop i jeżeli nawet swoją gamoniowatą bezradnością śmieszył mieszkańców wsi, to jednak wzbudzał w nich szacunek pilnością i dokładnością. Do dzisiaj opowiadają we wsi, jak opuścił Ryłowa w kanale z nawozem. Debora, złośliwa dojna krowa, kopnęła Ryłowa w głowę, aż stracił przytomność i zwałił się do kanału, a mój tato, który lubił

przychodzić do mleczami „dokładnie na czas”, zostawił go tam.

– Ale ja go przykrywam workiem, żeby nie był chory – usprawiedliwiał się przed Tonia.

W Niemczech uczył się w szkole technicznej i w miesiąc po przybyciu już zaplanował i wykonał w gospodarstwie Ryłowa automatyczne urządzenie do pojenia cieląt, które wywołało podziw w całej Dolinie. Czyścił oborę twardymi szczotkami i roztworem „Pyratu” i zainstalował tam głośnik podłączony do znajdującego się w jego pokoju patefonu.

– Nawet Tonia, żona Ryłowa, musiała przyznać, że Mahler dobrze wpływa na wzrost udoju – powiedział mi Abraham podczas jednej z rzadkich rozmów, jakie zdarzyło mu się ze mną prowadzić.

– Szedłem sobie kiedyś po wiejskich ścieżynkach i dźwięki Beethovena pociągnęły mnie, jak czarodziejskim sznurem, w stronę baraku twojego ojca. Podeszedłem tam i zajrzałem przez okno. Twój ojciec leżał na łóżku, jego włosy złocily się na czole jak rozsypany snop pszenicy. Słuchał muzyki. Miał patefon, który przysłali mu z Niemiec rodzice. Zdążyli przysłać, zanim Hitler ich spalił.

Pines zapukał do drzwi i wszedł. Benjamin wstał, stuknął obcasami i ukłonił się.

Tego dnia wydarzyły się trzy rzeczy. Ojciec zmienił imię z Beni Sznycer na Benjamin Szenhar, otrzymał swoją pierwszą prywatną lekcję hebrajskiego i pożyczył Pinesowi dwie płyty.

– Twój ojciec był pilnym, przysiadującym fałdów uczniem; nie osiągnął tego, by swobodnie po hebrajsku rozmawiać, ale potrafił prawidłowo wykropkować<sup>[21]</sup> każde słowo.

Była we wsi wesola grupa młodzieży, przezywana bandą, już drugie pokolenie, które w tym czasie doszło do dojrzałości.

– Cała wieś wybaczała im figle, ponieważ byli to nowi Żydzi. Dzieci tej ziemi, prościutcy i opaleni – opowiadał mi Pines. – Po nocach kradli słodycze i kawę ze spółdzielczego sklepu i broń od Brytyjczyków na pobliskim lotnisku. Ryłow posyłał ich, uzbrojonych w baty, żeby zganił arabskie stada, które włąziły na

kiełkujące zbożowe pola. Na uroczystościach przynoszenia pierwszych plonów i niemowląt urządzali *fantasije*, przejeżdżali w szybkim galopie przed zgromadzoną publicznością, stojąc na koniach jak ukraińskie chłopaki.

Gdy ogołocili całkowicie sklep z czekolady, Szlomo Lewin przyszedł do Pinesa porozmawiać z nim w cztery oczy.

– Oni zrobili to mnie na złość, ci zbóje – powiedział. – Oni mnie lekceważą, bo nie jestem rolnikiem jak ich rodzice.

– Oni to zrobili, bo zachciało im się czekolady. Apetyt na słodczy jest cechą nieomal wszystkich zwierząt – powiedział Pines.

– Dokładnie tak samo odnoszono się do mnie, gdy przybyłem do Kraju – ciągnął dalej głuchy ze złości Lewin. – Nigdy nie potrafiliście doceniać zwykłej, cichej pracy. Wszyscy graliście w waszym teatrze zbawienia i zmartwychwstania. Orka była powrotem do gleby, kury znosiły pierwsze jaja po dwóch tysiącleciach diaspory. Zwykłe bulwy, „kartofelach”, któreśmy jedli i w Rosji, zmieniły się tutaj w „jabłka ziemi”, by się wtopić w przyrodę. Fotografują się z karabinami i motykami, rozmawiają z ropuchami i mułami, przebierają się za Arabów, wyobrażają sobie, że latają w powietrzu.

– Dzięki temu zdołaliśmy wyżyć – powiedział Pines.

Lewin podniósł się blady z nienawiści.

– Ja również wyżyłem – powiedział. – Mogłem wyjechać, a nie wyjechałem. Mogłem być w mieście bogatym kupcem, a przyjechałem tutaj. Tyś ich wychował, by ze mnie szydzili, i nie próbuj mi śpiewać swojej śpiewki: „oni to moje grządki, moje sadzonki”; ty sam nie jesteś rolnikiem. Obaj jesteście pracownikami usługowymi, obaj uważaliśmy siebie za służących idei, a ty stałeś się służką kułaków. Oto czym oni są ze swoją ziemią, swoimi siedmioma gatunkami<sup>[22]</sup> i swoimi krowami. Gordon i Brenner pisali wiecznymi piórami, które ja naprawiałem.

Pines był wściekły.

– Nikt tu nie przyjechał, by wyświadczać łaskę – podniósł głos. – I nikomu nie należy się medal za to, że zrezygnował ze

sklepu w mieście. Przybyłeś tu, bo byłeś spragniony tej ziemi tak jak my wszyscy, jej dotyku, jej zapachu, skrytej w niej obietnicy, była ci potrzebna bardziej, niż ty byłeś potrzebny jej.

Kiedy jednak obrażony Lewin wyszedł, trzasnąwszy drzwiami, Pines zwołał chłopaków z „bandy” i mówił z nimi ostro i w wielkim wzburzeniu.

– Życie nasze nie jest wyłącznie słodyczą. Komu się marzą pierniczki i przysmaczki, niechże sobie idzie stąd do miasta.

„Banda” wyszła od niego zawstydzona i wymierzyła sama sobie pedagogiczną karę – budowę wielkiej piaskownicy dla przedszkolaków. Służy ona aż do dzisiaj.

Mój wuj Efraim był jednym z nich. Szczupły, przystojny, szybki i precyzyjny jak łasica – przywódca w każdej psocie i kpinie. Pewnego dnia wzięli sobie za ofiarę Beniamina. Zwrócił na siebie ich uwagę ociężałą powolnością, a Efraim go nie cierpiał i obawiał się go od czasu, gdy ten ocalił moją matkę.

Podczas gdy Beniamin leżał w swoim pokoju i zażywał sobotniego odpoczynku, chłopcy podrzucili mu małą żmiję i zaczęli się na zewnątrz. Gdy mój ojciec usłyszał szelest łusek gada, wrzasnął ze strachu i wyskoczył na dwór przy akompaniamencie ich radosnego rżenia. Stał naprzeciw nich. Jego jasne oczy zwęziły się od blasku zachodzącego słońca i od gniewu, który go ogarnął, gdy zobaczył, że wystawili go na pośmiewisko. Podszedł do Efraima, który miał wtedy z siedemnaście lat, schwycił go za szeroki skórzany pasek i jednym ruchem uniósł w powietrze.

– Wuj Efraim wił się, śmiał i krzyczał, ale twój tato niósł go lewą ręką przez podwórze i wrzucił takiego, jak stał, w sobotnim ubraniu, prosto do koryta do pojenia krów.

Ten wyczyn powitała „banda” oklaskami. Wszyscy weszli od razu do baraku Beniamina i Efraim zmiażdżył swoją zrogowaciałą piętą głowę zwiniętego w kącie gada. Potem posadzili Beniamina przy stole i każdy po kolei zmierzył się z nim na rękę. Gdy wszystkich zwyciężył, przyjęto go za swego.

Spotykał się z nimi każdego piątku, uśmiechnięty,

zakłopotany, ciężki w języku i powolny. W krótkim czasie nauczyli się wykorzystywać jego zdolności techniczne. Niekiedy włamywali się do samochodu Pesi Cyrkin, który w owym czasie był „jakimś tam szarym willisem”, należącym do Centralnego Zaopatrzenia. Benjamin zapalał go, nie używając kluczyka, ponieważ był święcie przekonany, że maszyna służy do przewozu broni i ważnych wiadomości. Lecz po drodze zajeżdżali przeważnie do kina w Hajfie.

Efraim zaprzyjaźnił się z nim bardziej niż z innymi kolegami, zapomniał dawnej urazy, którą poczuł na widok swojej siostry ciężko dyszącej i śmiejącej się w jego ramionach. Kilka razy w tygodniu przychodził do niego i słuchał muzyki, „i dusze ich przylgnęły do siebie”<sup>[23]</sup>. W kufierku Beniamina leżały ubrania z Niemiec, które bardzo Efraima śmieszyły. Zmierzył tyrolskie skórzane spodnie i ciemny dyftykowy żakiet i wybiegł w tym na dwór zabawić kolegów. Potem znalazł na dnie skrzynki długą koronkową suknię.

– Co to takiego? – zapytał i powiódł ręką po miękkim materiale. W całej wsi nie było ani jednej rzeczy, której dotyk dałby się porównać z dotykiem tej delikatnej tkaniny. Nie przypominały jej nawet aksamitne chrapy źrebiąt czy płatki kwiatów jabłoni. Efraimowi przyszła na myśl matka i oczy zaszczyły mu łzami.

– Na wesele – odparł Benjamin – mojej mamy, na moje wesele. – Wyjął z pugilaresu zdjęcie. – Tato, mama, Hanna, Sara – powiedział, wskazując palcem. – Mama dała tę suknię.

Matka Beniamina, wysoka, jasna kobieta, siedziała na krześle, przy niej obie córki w identycznych sukienkach. Ojciec, szczupły i niski, krótko ostrzyżony i z żołnierskim wąsikiem, stał z tyłu.

Efraim, sierota bez matki, i Benjamin, który w najbliższym czasie miał również zostać osierocony, zostali serdecznymi przyjaciółmi.

– Jeszcze brzmia mi one w uszach. Głosy obu moich uczniów. Szybka paplanina Efraima i głęboki, nosowy głos

Beniamina. Twój zaginiony wuj. Twój zmarły ojciec.

Pewnego dnia w końcu zimy Tonia podkraǳła się na teren pasieki Margolisa. Po śmierci swojej maleńkiej córki urodziła syna, którego nazwano Dani. Wskutek małomówności Ryłowa Dani zaczął mówić w wieku pięciu lat, a nienawiść Toni do męża rosła z każdym dniem, jak mur. Lwią część swojego czasu Ryłow spędzał w olbrzymim schowku wbudowanym w gnojówkę obory, gdzie gromadził broń w niewyobrażalnych ilościach. Zapachy fermentującej uryny i dynamitu niosły się od niego nawet wtedy, gdy wyszorował się druciakiem, a Tonia tęskniła do pachnących miodem palców Margolisa.

Skryła się w sadzie satsumy, należącym do Jakobiego, i przyglądała z daleka swojemu ukochanemu. Był ubrany w niezgrabne ubranie ochronne i wydawał się jej pełnym wdzięku niedźwiedziem.

Margolis przenosił ule z jednego sadu do drugiego, planował sobie mieszanki aromatów i okresy kwitnienia i przygotowywał się energicznie do wiosny, pory wypasu swojej skrzydlatej trzody. Tonia powlokła się jego śladem do baraku, w którym pracował, i weszła za nim. Nie spostrzegł jej, bo ciągle jeszcze miał na głowie ciężką maskę z płótna i siatki.

Margolis zdjął z jednej z półek ul, otworzył go i badał uważnie plastry. Tonia zauważyła, że miał twarz skupioną i szczęśliwą. Wyciągnął plaster, na którym kłębiła się wielka gromada podnieconych robotnic, strząsnął pszczoły gołą ręką i twarz mu się rozjaśniła. Dwie z nich położył na stole, nie dotykając ich niemal palcami. Były splecione ze sobą w walce i pszczelarz rozdzielił je dwiema zapałkami. Pszczoły rzuciły się na siebie na nowo, a on je powtórnie rozdzielił, i trwało to, dopóki nie opadły z sił. Wtedy umieścił je w specjalnym naczyniu, każdą z innej strony szklanej przegródki, odwrócił się, by zdjąć maskę i odłożyć ją na miejsce, i wtedy wpadł w gorące objęcia stojącej za jego plecami Toni.

– A, Tonia – szepnął wystraszony. – Zwariowałaś? W biały

dzień? Twój mąż mnie zabije. – Odepchnął ją stanowczo od siebie, usadził na krześle i poczęstował miodem.

– Dlaczego łyżeczką, Chaim? Dlaczego nie jak kiedyś? – przymilała się Tonia.

– Ujrzałaś moją największą tajemnicę – powiedział Margolis i uśmiechnął się, ignorując jej pytanie. – Pogodzenie się ze sobą królowych.

Tonia wolała, by tematem rozmowy było ich własne pogodzenie, lecz Margolis wpatrywał się w nią naiwnym błękitem swych oczu i nie przestawał mówić.

– W każdym ulu jest tylko jedna królowa matka – wykladał. – To jest nieprzekraczalne prawo. Ona stanowi o liczbie pszczół. Na wiosenne kwitnienie trzeba mi jak największej liczby robotnic.

– Mówisz jak kapitalista – Tonia uśmiechnęła się przez łzy, lecz Margolis nie zwracał uwagi ani na jej żarciki, ani na smutek.

– Oczekuję wyklucia się nowych królowych – ciągnął dalej. – A gdy te rzucają się na siebie, rozdzielam je ostrożnie i z wielką cierpliwością patyczkiem, aż zbrzydnie im walka i będą gotowe żyć i składać jajeczka w jednym ulu. W ten sposób mam dwa razy więcej robotnic i dwa razy więcej miodu. Wolałaś jego, Toniu, to teraz pij, co sobie nawarzyłaś.

– Ale cóż to ma ze sobą wspólnego, Chaim? – szepnęła, tuląc pieśczośliwie wargi na sylabach jego imienia i marząc o jego miodowych palcach. – Dlaczego mi o tym opowiadasz?

Margolis już wrócił jednak do skłóconych królowych i z nieskończoną cierpliwością oddalał od siebie mordercze matki, szepcząc kojące słowa, a Tonia wyszła z baraku, przemknęła znów sadem Jakobiego i pod wyklepanym z szarej blachy niebem słyszała tylko zduszone mlaskanie swych gumiaków, które więzły w błocie i wyłaziły z niego z obrzydliwym chlupotem.

A kiedy przecinała pobliskie działki, na wpół ukryta w gęstych rzędach pastewnej kapusty i w pierwszym kwitnieniu drzew owocowych, zobaczyła Efraima z Beniaminem tańczących walca w pardesie walencji. Wróciła do domu i opowiedziała o tym mężowi.



Ryłow pospieszył do dziadka. Nie przejmował się zbytnio charakterem ich „stosunków”, a wyłącznie przeniknięciem w tkankę naszego życia mieszczańskich tańców. Wieść jednak rozeszła się i wieś zaczęła gadać.

– On tylko uczył mnie tańczyć – tłumaczył Efraim przy rodzinnym stole. – Ja go nauczyłem deklamować wiersze Puszkina i zaprzęgać te zwariowane muły Ryłowa, a on mnie uczy słuchać muzyki.

– Czy to nie ten sam chłopak, który złapał Ester, kiedy spadła z dachu? – zapytał dziadek.

– Ja nie spadłam – powiedziała moja matka. – Ja mu skoczyłam w ramiona.

– Czemu nie przyprowadzisz swojego Jonatana<sup>[24]</sup> przy jakiejś okazji do nas, żebyśmy mogli go poznać? – zaproponował dziadek.

Rywka Peker, córka rymarza, która wtedy zaczęła chodzić z Abrahamem, wydeła pogardliwie grube wargi, a Abraham przezwał Efraima „Straus” i „Matylda”<sup>[25]</sup> i za chwilę poczuł, że ma śledzia za kołnierzem.

– Zaprosiłem go na piątkową kolację – oświadczył Efraim nazajutrz. – On je wszystko, co podają.

Abraham rozkichał się na kilka minut przed przyjściem Beniamina, a wszyscy się uśmiechnęli, bo zrozumieli, że ten *jeki* niesie bukiet narcyzów.

Moja mama miała wówczas osiemnaście lat. Od dzieciństwa przygotowywała posiłki dla osieroconej rodziny. Przyglądała się z zainteresowaniem durnowatemu robotnikowi Ryłowa, który zręcznie posługiwał się nożem i widelcem, ale upuścił zebrane w *wadi* kwiaty na jej białe skarpetki, które włożyła specjalnie na jego cześć. Jej ciało pamiętało silne barki i gorący oddech na obnażonym brzuchu. Od czasu gdy spadła z dachu w jego ramiona, widywała go nieraz, lecz on, ujrawszy ją, spuszczał zawsze wzrok. Echo dzwonienia jej nóg wewnątrz sukni wysuszało mu usta i podniebienie tak, że obawiał się, iż nie zdoła wykrztusić ze swojego wyschłego gardła nawet zwykłego

powitania.

Ma się rozumieć, że Benjamin wiedział, iż Ester przyjaźni się z Danielem Libersonem, najlepszym graczem w koszykówkę w Dolinie, jej stałym partnerem w ludowych tańcach i synem Eliezera Libersona, który co miesiąc gromadził młodzież będącą na przeszkoleniu we wsi i wbijał jej w głowy ideę i zasady Ruchu.

Oczy miał utkwione w talerzu. Gdy jadł zupę, nie dał się słyszeć żaden dźwięk. Przez cały czas posiłku wyglądał, jakby o czymś rozmyślał i zmagął się ze sobą, a wnet po deserze wstał i jak człowiek, który powziął nagłą, niedającą się odłożyć decyzję, podszedł i poprosił dziadka, by mu pozwolił „spacerować” z Ester.

– U nas przywołuje się dziewczynę i pytają, co powie<sup>[26]</sup> – oświadczył dziadek. Przypatrywał się uważnie Benjaminowi i córce. Zawsze, gdy miał przed sobą nową parę, zastanawiał się, w jakich okolicznościach i z jakiej przyczyny ich miłość ulegnie rozkładowi.

Wyszli w pole, a Efraim wyslizgnął się za nimi jak łasica. Widział, że szli długi czas, nie mówiąc ani słowa. Wreszcie Benjamin uniósł oczy ku niebu i powiedział głosem grubym i dziwnym:

– Dużo gwiazd.

– Masa – powiedziała mama i położyła mu rękę na ramieniu. Była o wiele wyższa od niego. – Powiedz mi, Benjaminie. – Popatrzyła mu w oczy. – Czy to prawda, że u was wołą kiełbasy od mięsa?

W następny czwartek wieczorem poprosiła Efraima, by zakradł się do angielskiej bazy wojskowej i świsnął z kantyny parówki, bo Benjamin przyjdzie wieczorem na kolację.

– A teraz, moje dziecko, skończ i ty jeść i nie zostawiaj niczego na talerzu.

Dziadek westchnął.

– Tak poczęła się miłość twoich rodziców – powiedział.

Bosej dziewczyny, „dzikiej kozy Mirkina” o długich nogach i takimż warkoczu, której brązowe oczy pobłyskiwały żółtymi

i zielonymi plamkami, i niezgrabnego, dobrze wychowanego i ciężkiego w języku chłopaka z Bawarii. Żółta głowa mojego ojca sięgała do ramienia ukochanej. Jego ciężki chód przy boku śmigłej, idącej w podskokach dziewczyny wszystkich we wsi bardzo śmieszył. Przebąkiwano na temat „fizycznego niedobrania”, jak również na temat „przyjaźni córki Mirkina z chłopcem, który ideałów Ruchu nie wyssał z mlekiem matki”.

Była także gadanina na tematy bardziej praktyczne. Praca w oborze nauczyła wieśniaków, że w miłości istnieje też aspekt dziedziczenia, a perspektywa hybrydyzacji córki Mirkina z synem Libersona budziła w nich niejake nadzieje.

Daniel, który był świadkiem nieustannego obłapiania się swoich rodziców, który widział, jak wlepiają w siebie oczy i spieszą się z wstawaniem od stołu, by zniknąć na popołudniowe drzemki, tak płomienne, że nikt w domu nie był zdolny usnąć, a zamieszanie powodowane przez nich w obejściu wyrażało się spadkiem nośności kur – nie śmiał, czy też nie potrafił, odczytać pierwszych oznak zanikania miłości.

– Zdarzyła mu się najgorsza rzecz, jaka może się przytrafić mężczyźnie – powiedział mi Uri, gdy rozmawialiśmy o mojej matce. – Stracił rozum i panowanie nad sobą, a wraz z nimi ulotniła się również resztką jego czaru.

Daniel został skazany na ciernistą drogę odtraconych kochanków. Jakby odcięto mu część ciała. Gdy szedł w stronę naszego domu, szły za nim współczujące spojrzenia, a jego własny wzrok stał się zagubiony i pokorny. Na początku płakał i błagał, potem zamilkł. Wieczorami kładł się w wysokiej trawie naprzeciw baraku Mirkina, z głową sterczącą między źdźbłami, i czekał, aż sylwetka ukochanej mignie mu w oświetlonym oknie.

Po kilku tygodniach dziadek zauważył, że w pewnym punkcie, po drugiej stronie ulicy, trawa rośnie nadzwyczaj dobrze, jak przy kapiącym kranie. Poszedł tam nocą i znalazł Daniela roniącego nieme łzy.

– W ten sposób nigdy jej nie zdobędziesz – powiedział.

Liberson i Cyrkin postanowili pójść do Mirkina i pomówić

z nim, lecz jeszcze zanim wyszli z domu, natknęli się na niespodziewaną przeszkodę. W drzwiach stanęła Fania i oświadczyła, iż wystarczy, że Stowarzyszenie Pracy imienia Fejgi raz jeden zadecydowało w sprawach miłości.

– Drugi raz nie powtórzycie historii z Fejgą – oświadczyła mężowi i jego przyjacielowi. – Pozwólcie chłopcom współzawodniczyć, a dziewczynie wybierać. Nie jesteśmy Arabami ani nabożnymi, żeby rodzice decydowali, z kim się pobierać. A minęły już i wasze czasy, kiedy dziewczyny wychodziły za mąż zgodnie z regulaminem, a głosowanie towarzyszy łamało serca w skorupy.

Liberson uniósł się gniewem. Durnowaty robotnik Ryłowa nie wydawał mu się godnym współzawodnikiem dla jego syna.

– Szkoda, że zmarnowali na niego certyfikat<sup>[27]</sup> – zawarczał. Odsunął delikatnie żonę od drzwi i trzymał ją, aż Cyrkin wyszedł.

Kiedy jednak przyszli do dziadka, usłyszeli z jego ust wypowiedź podobną do zdania Fani.

– Bardzo lubię twojego syna – powiedział dziadek Libersonowi – ale nie widzę też żadnej wady w Beniaminie. To jest chłopak pracowity i uczciwy, można na nim polegać i wydaje mi się, że dziewczyna go kocha.

Liberson i Cyrkin przypomnieli dziadkowi, że Daniel zakochał się w Ester, gdy miał zaledwie trzy tygodnie, ale dziadek rozzłościł się i oświadczył, że w te głupstwa nie wierzy. „Miłość, w odróżnieniu od innych spraw, które tu się dokonały”, pisał, „nie jest ani wbiciem pala namiotu, ani wzięciem w posiadanie, ani też przeorywaniem bruzd”.

Zanim urodził się Daniel i zanim została kupiona Chagit, Eliezer Liberson, który był jeszcze kawalerem, posiadał wielką, chudą, damasceńską krowę o długiej szyi i rogach. Stosunki, jakie się ukształtowały między chalucem a jego bydłociem, bawiły całą wieś. Krowa dawała bardzo mało mleka, a żarła dwa razy więcej niż inne. Nienawiść Libersona do niej przekraczała wszystko, co było na ogół uznawane w gospodarstwach za normalne. Nazywał ją „hańbą rogatego rodzaju”. Krowa, pod której grubymi żebrami kryło się wrażliwe i pamiętające krzywdę serce, czuła dobrze stosunek swojego pana do siebie i odpłacała mu tą samą monetą.

Pewnego razu, gdy wrócił z pola do swojego nędznego baraku, znalazł bydlę leżące w jego pokoju i „żujące prześcieradło i artykuł Borochowa”. Stół, jedyny zakupiony przez niego mebel, przy którym jadał, czytał i pisał, był rozbity w drzazgi. Krowa, ujrzawszy go w gniewie, zrozumiała, iż tym razem przekroczyła cienką granicę dzielącą chęć zwrócenia na siebie uwagi od najbardziej przykrego dokuczania. Przestraszyła się i uciekła na dwór.

– Uciekła, zabierając ze sobą całą ścianę – skarżył się Liberson.

Nazajutrz uwiązał krowie na szyi postronek i powiódł ją na sprzedaż do sąsiedniego kibucu. Pracował tam nowy zarządca obory, który wrócił kilka dni przedtem z kursów dokształcających w Utrechcie i był wielkim zwolennikiem krów holenderskich. Liberson nastraszył go śmiertelnie opisami trudności aklimatyzacji tych krów w Kraju.

– Są rozpieszczone – powiedział Liberson. – Cierpią na pasożyty i melancholię.

– Nie mogę o tym decydować sam – powiedział zarządca. – To leży w kompetencjach ogólnego zebrania.

– Proszę bardzo – odparł Liberson. Ogólne zebrania tajały w jego rękach jak воск.

– Należy zmieszać holenderki z krwią miejscową –

powiedział w kibucowej jadalni. – Holenderki dostarczą mleka, a moja wspaniała krowa wniesie krzepę.

Członkowie kibucu byli oczarowani.

– Razem stworzymy hebrajską krowę – zawołał Liberson.

– A co teraz? – zapytał Cyrkin, gdy Liberson wrócił zadowolony z kibucu i przyszedł do niego na kaszę łubinową. – Za każdym razem, gdy wyjdiesz z domu, będziesz zostawiał bydłota i ptactwo bez opieki? Nie wolno zostawiać obejścia bez nadzoru. Musisz się ożenić.

Do tej pory Liberson był kawalerem z przekonania. Teraz Cyrkin zaproponował mu Pesię i nawet był gotów dodać dwie krowy tytułem posagu, lecz Liberson odmówił.

– Bo razem, toby wypadło trzy krowy – zauważył Uri. – A to już doprawdy za wiele dla kawalera.

We wsi nie było ani jednej wolnej dziewczyny. Cyrkin i Liberson postanowili, że z braku innej rady będą musieli wskrzesić starą tradycję porywania dziewcząt w winnicy.

Wrócili obaj do kibucu. Była jesień i dyżurny rozdzielający pracę posłał kilka dziewcząt do winnicy na zbiór resztek winogron na rodzynki. Poszli tam, uzbrojeni w mandolinę, pudło przysmaków oraz nakrycia i czekali na zbieraczki.

Po długim naprzykrzaniu się Fania opowiedziała mi dalszy ciąg. Mówiąc, kiwała głową, a jej białe włosy były radością dla oczu.

– Za ostatnim rzędem siedziało dwóch młodych ludzi. Jeden z nich, którego nie znałam, grał, a drugi, ten sam miły chłopak, który nas kilka dni temu nabrał na tę krowę, krajał jarzyny na surówkę i zaprosił mnie do wzięcia udziału w posiłku.

– Lepiej byś zabrał się stąd jak najszybciej – powiedziała Fania do Libersona. – Towarzysze powiedzieli, że jak cię złapią, to przywiążą cię do rogów tej krowy.

Liberson zachichotał lekceważąco. Przyprawił surówkę, rozłamał chleb i pokroił ser, a podczas jedzenia Cyrkin kręcił się wokół nich „jak kogut” w swojej czerwonej cygańskiej chuście na szyi i grał „słodkie, upojne melodie”.

Liberson opowiadał Fani o sobie, o swoim gospodarstwie, o Stowarzyszeniu Pracy imienia Fejgi i o kłopotach z krową.

Fani aż dech zaparło. W owym czasie Stowarzyszenie Pracy otulił już ciężki welon tajemnicy i podziwu. O Fejdze Lewin krążyły wśród kobiet Doliny legendy. Pierwsza chaluca, która pracowała jak mężczyzna, którą trzech mężczyzn kochało, nosiło na rękach, uodparniało swoją słodką krwią i której prało ubranie.

Liberson przyznał się skromnie, że zna Fejgę i że brał udział w praniu jej ubrania, gotował dla niej, a ona zrobiła mu opatrunek i pogłaskała go. Pokazał Fani malutką bliznę na dolnej wardze i zwierzył się, iż właśnie w to oto miejsce pocałowała go Fejga Lewin. Kiedy ujrzał, że rysy Fani miękną i przybierają rozmarzony wyraz, na który czekał, dał niepostrzeżenie znak Cyrkinowi i zaczął nucić owe wszystkim znane zwrotki: „Będę orać, będę siać i radować się z miłym, jeno dajcie mi żyć w Ziemi Izraela”. Cyrkin grał, a Fania nie mogła się oprzeć nastrojowi i przyłączyła się do nich swoim cienkim, miłym głosem.

Serce Libersona aż podskoczyło z radości, lecz wnet popełnił poważny błąd i opowiedział o słynnym chasydzkim dworze, do którego należał tam, na Ukrainie, gdy był młodym chłopcem. Ta historyjka bardzo dobrze oddziaływała na córki bogatych gospodarzy w koloniach Judei, lecz Fania wzdragła się przed wszystkim, co trąciło kultem, modlitwami i cudami. Słyszając imiona rabinów i kaznodziejów, które kładł jej w uszy, skrzywiła ładną buzię.

Liberson nie stracił rezonu. Chłopcy ze Stowarzyszenia Pracy umieli robić w tył zwrot w miejscu jak wędrownie sokoły, nie tracąc przy tym wysokości ani szybkości.

– Prawdę mówiąc, to jestem potomkiem Golema z Pragi – pospieszył poprawić wrażenie i został nagrodzony głośnym śmiechem Fani.

Znany mu był związek między śmiechem a miłością. Wiedział, że śmiech rozplómienia, drażni i rozluźnia kobiece ciało, więc nie czekając, powtórzył atak na ten sam punkt, krytykując ostro kibuce, tak duże, jak i małe, i w ogóle samą

zasadę równości.

– Faniu, serdeńko – powiedział. – Zglądałem do waszej wspólnej łazienki i na własne oczy widziałem, że ludzie nie są równi.

Fania zaczerwieniła się, znów się zaśmiała i całe jej ciało podrygiwało z rozkoszy. Potem, przypadkiem, położyła rękę na jego kolanie.

– Rozśmiesz mnie jeszcze – powiedziała.

Teraz już Liberson wiedział, że ładna towarzyszka z kibucu może należeć do niego i że czekają go długie lata prób i zalotów.

Nie namyślając się długo, chwycił ją za rękę i zaproponował małżeństwo. Przyszła na wieś prosto z winnicy.

– To jest piękna historia, a Eliezer Liberson w tych sprawach był genialny, ale to nie było tak – gorączkował się mój kuzyn Uri.

– Do winnicy poszedł Cyrkin sam i grał tam pośród winorośli.

Fania poczuła, że musi pójść za tymi dźwiękami, istnieją bowiem rzeczy, którym żadna kobieta nie jest zdolna się oprzeć. Cyrkin oddalał się między rzędami, potem dał nura w wysoką trawę, ześlizgnął się po pochyłości, a Fania szła za nim. W ten sposób zwabił ją aż za ten wielki dąb, a gdy tam dotarła, zobaczyła Libersona z mandoliną w rękach. Cyrkin schował się po cichutku na drzewie. Dopiero po weselu odkryła, że Liberson wcale nie umie grać.

– W tym samym roku – przypomniał Meszulam – Ben Gurion oświadczył, że w porównaniu z kibucem wsie z indywidualną gospodarką nie są dostatecznie syjonistyczne, a Tabenkin powiedział, że opuszczający komuny kierują się chęcią zysków. Nie trzeba być wielkim geniuszem, by zrozumieć to powiązanie. Czyn mojego ojca i Eliezera nie przyczynił się do poprawy stosunków między tymi dwiema formami osadnictwa.

Porwanie Fani wzbudziło falę wrogości między wsią a kibucem. Wspólne projekty finansowe zostały zerwane. Miało miejsce kilka wypadków wzajemnego obrzucania się kamieniami i bijatyk w pobliżu *wadi*, stanowiącego granicę między naszymi i ich gruntami. W satyrycznej gazecie nazwano Fanię „piękną



Helena”, a byli i tacy, co twierdzili, że nie należy poświęcać wyzwania ziem Doliny na ołtarzu jednostkowych pożądań. Lecz Eliezer i Fania byli najbardziej zakochaną parą, jaka pojawiła się kiedykolwiek na ziemiach Funduszu Narodowego. Liberson nie ustawał w zalotach do żony i stale ją rozbawiał, a jej śmiech i okrzyki zaskoczenia słycać było wyraźnie w całej wsi.

W owych dniach, gdy ludzie mieszkali jeszcze w namiotach i oddziaływały ich od publiczności jedynie brezentowe płachty, wiedzieli wszyscy, co się dzieje w każdej rodzinie, bez podkradania się chyłkiem i przystawiania uszu do ścian.

– Przede wszystkim ją rozśmiesz – powiedział Liberson synowi. – Kobiety lubią, żeby je rozśmieszać. Nie mogą się temu oprzeć.

– Śmiech – dodał Mandolina – to dźwięk trąb pod murami Jerycha, to czarodziejskie zaklęcie przy wejściu do pieczary skarbów, kropla pierwszego deszczu spadająca na spieczone grudy ziemi.

– Pięknie – powiedział Liberson i utkwiał w przyjacielu zaskoczony wzrok.

Ale w tym momencie Daniel był już daleki od jakiegokolwiek możliwości rozśmieszania. Humor był pierwszym elementem, który wyczerpał się w jego miłości.

– Kwiaty, wiersze, muzyka – mówił Cyrkin.

– Dostyc, Cyrkin – powiedział Liberson i zwrócił się do syna.

– Co ona lubi? – zapytał.

– Mięso – odpowiedział zawstydzony Daniel.

Liberson i Cyrkin zabrali się do gotowania. Mimo panującego w owym czasie we wsi niedostatku Daniel zakradał się do domu Mirkina z tacami obładowanymi pieczonymi kurami, cielęcymi żeberkami i krwawą pieczenią, które powodowały ślinotok u protestujących przeciw marnotrawstwu rozgniewanych sąsiadów i ścigały koty i szakale z całej Doliny. Ester wszystko pożądlawie zjadała, śmiała się i ścisnęła Daniela, lecz nie przerywała nocnych spacerów z Beniaminem.

Mój ojciec zbudował swojej ukochanej z grubsza sklecony

hamak ze starego, sprężynowego łóżka, do którego przyszwajsował żelazne łańcuchy i poręcz. Powiesił ten hamak na dwóch kazuarynach za barakiem, a ich karbowane igły czepiały się włosów Ester. W baraku słychać było wyraźnie ciche pogwizdywanie Beniamina, zduszone odgłosy ich śmiechu i głębokie westchnienia Ester, gdy ją obejmował swoimi ramionami kowala.

Tonia Ryłow, w której obojętność Margolisa wzbudziła nietolerancję moralną w stosunku do bliźnich, zgromiła dziadka za to, że jego córka i nowo przybyły trzymają się publicznie za ręce na wiejskiej ulicy, i opowiadała, że dzieci przychodzą po nocach do sadu, żeby ich podpatrywać.

Tego roku sad kwitł ze szczególną mocą. Dziadek poprosił Margolisa, żeby ustawił między drzewami kilka uli, a miód z sadu był prawie czerwony i tak słodki, że aż palił w gardle. Większą część dnia dziadek krzątał się wśród drzew, których kwitnienie i zapach zostały ściśle wykalkulowane od miesiąca szwat do miesiąca nisan, i wracał do domu na chwiejnych nogach, pijany od aromatu i rozwijania się pąków. Oborę przejął już Abraham, a dziadek miał czas, by zająć się swoim prywatnym rajem, i zasadził nawet gęsty rząd cyprysów, żeby rosły i chroniły go od zimowych wiatrów, staczających się z błękitnej góry.

Migdały zakwitały przed wszystkimi innymi drzewami, a słodycz ich kwitnienia niosła się w powietrzu, jakby współzawodnicząc z ulewą i błotem. Potem płonęła jaskrawo i różowo brzoskwinia. Pączki jej miały ciemny, intensywny odcień, a kwiaty już otwarte były jaśniejsze, gdyż wypełniały je cieniutkie, wysokie pylniki. Obok niej morela jaśniała delikatną barwą, a jej zapach przypominał kobiece perfumy.

Zaraz potem przyłączały się śliwy, ich małe kwiatuszki gęsto osłaniały gałęzie białą aksamitną tkaniną. Od razu po święcie Purim kwitły czerwonawą bielą jabłonie, a ich zapach był równie soczysty i upojny jak owoce. Na Pesach dołączała do nich pigwa, z której owoców Rachel i Szlomo robili konfitury i powidła, a grusze z kwiatami o białych koronach i liliowych lejkach

dyszały zapachem wina. Gdy rozgrzewała się ziemia i słońce zaczynało tyranizować drzewa i nadymać im załężnie, krąg dziadkowego kwitnienia dobiegał końca w rzędzie cytrusów, w obłoku odurzającego, obejmującego całą wieś aromatu.

W tym sadzie, gdzie polatywały pазie królowej i pokrzywniki, gdzie rozbrzmiewało głośno brzęczenie pszczoł, a omdlałe ptaszki i motyle spadały z gałęzi na ziemię, pochowałem dziadka i jego przyjaciół. Lecz w owym czasie Ester posiała w nim lewkonie, które otwierały się szeroko po nocach, wodziła tam Beniamina i tarzała się po wilgotnych kobiercach opadłych z drzew płatków. Nad ranem mama zakradała się do domu, niosąc sandały w ręku, lecz mocny i znajomy zapach wilgotnej ziemi, kwiecica gruszy i lewkonii unosił się z jej skóry i budził jej ojca.

– Nie posiadał się ze szczęścia, woń córki była jak woń pobłogosławionej przez Boga ziemi.

– Co za piękna opowieść – powiedziała Fania Liberson. Jej włosy, tak przypuszczam, były rozsypane na piersi męża, a udo leżało w poprzek jego brzucha. – Mimo iż żal mi naszego biednego Daniela, cieszę się, że widzę wreszcie zakochanego mężczyznę wygłupiającego się w obejściu Mirkina.

Po raz pierwszy zawitała do gospodarstwa Mirkina miłość.

Z wielkim hałasem odtwarzali na nowo swoje pierwsze spotkanie. Ester wdrapywała się na paczki słomy w stodole, chwyciła środkową belkę, a Beniamin stawał pod nią i patrzył, jak wymachiwała nogami.

– Jak nie powiesz *schnell, schnell*, to nie puszcę – krzyczała.

Abraham czyścił oborę i patrzył w ziemię. Oczy mu ciemniały, a bruzdy na czole drgały.

Pewnej nocy, wracając z mych włóczęg po polach, zzułem buty, przeszedłem cichutko pod oknem Rywki i Abrahama i usłyszałem, co ciotka mówi o mojej mamie.

– Pamiętam ją jak dziś – szeptała swoim jaszczurczym głosem – uwieszoną tam, u dachu stodoły. Tyś nie podnosił oczu, ale ja ci powiadam, ona nie nosiła majtek.

„Ja przypuszczam, że moja mama im zazdrościła. Mój tato nigdy jej tak nie zaglądał pod spódnicę i nigdy nie fałszował na jej cześć tyłu oper”.

W sąsiedniej wsi wydarzył się straszliwy wypadek. Z niewiadomej przyczyny jeden z gospodarzy popełnił samobójstwo.

„Tajemnica jego śmierci została pogrzebana wraz z nim”, napisano w miejscowej gazetce. Zwłoki przykryte zwiędłymi pączkami kwiatów i połamanymi skrzydełkami żałobników znaleziono w sadzie dziadka. Trup czaszkę miał roztrzaskaną, a wielki palec u nogi tkwił w zardzewiałym zamku starego abuchamsa. Do chwili znalezienia upłynęło kilka dni, ponieważ mocne zapachy kwitnienia tłumiły smród rozkładającego się ciała. Dopiero dziadek spostrzegł latające po sadzie zielone muchy, których obecność wzbudziła w nim podejrzenie, gdyż zazwyczaj nie znosiły zapachu kwiatów.

Samobójca zostawił po sobie wdowę i ośmioletniego synka jedynaka, a ów do niczego już niezdatny karabin wykreślił Ryłow z rejestru broni Doliny. Dziecku powiedziano, iż jego ojciec wyjechał w dłuższą podróż, a gdy wróci, przywiezie mu podarki, ale koledzy w szkole opowiedzieli mu, co podsłuchali nocą w domu, gdy rodzice siedzieli z przyjaciółmi w kuchni i coś sobie poszeptywali nad szklankami herbaty. Chłopak dostał księżycowej choroby i począł błąkać się po nocach, a o świcie wracał do domu z nogami poranionymi polnymi kamieniami i cierniami.

– Słyszę, jak tato mnie woła – mówił.

Pines był oburzony.

Dzieci z sąsiedniej wsi uczyły się u nas. Przyjeżdżały co rano do naszej szkoły na wozie zaprzężonym w parę koni, a buty miały mokre od wilgotnych traw rosnących na skraju drogi.

– Jak można dzieciom kłamać? – krzyczał w pokoju nauczycielskim. – Jak można brukać te młode pąki?

Z miejsca zrozumiał, że to sprawka hieny, lecz był początek miesiąca nisan i nikt nie zwracał uwagi na jego ostrzeżenia. Ludzi i zwierzęta ciągnęło do wylegiwania się na trawnikach i rozkoszowania promieniami słońca i nagrzaną ziemią.

Króliczarnie i obory były pełne głosów nowo narodzonych. Młode jałówki ogarniał znany wiosenny szal i biegały na wszystkie strony z podniesionymi do góry ogonami, wierzgając racicami w powietrzu.

Głębokie zimowe błoto z każdym dniem coraz bardziej wysychało i ziemia pod nogami nie była już grząska i kleista, lecz miękka i sprężysta. Przy źródle słychać było prychnanie bawiących się i przewracających wzajemnie dzikich kociąt. Ćwiczyły się na kobiercach trawy i rumianu w swoim morderczym fachu. Pszczoły Chaima Margolisa trudziły się z cichym brzęczeniem przy kwiatkach, przenosząc słodkie brzemie, a pszczołojady, które powróciły do swoich gniazd z gorących krajów, czyniły wśród nich spustoszenie. Na dachu obory gruchały gołębie, ich błyszczące podgardla, jak wzdęte, promieniejące pryzmy rozszczepiały światło słoneczne. Po niebie przelatywały ogromne stada pelikanów. Parły na północ, do krainy zboża, wilków i brzoź, nad domem Libersona zniżaly lot i naśmiewały się wrzaskliwie z Fani. Źródło tryskało dwa razy większym niż zwykle strumieniem wody, a płachty rosnących przy nim ostatnich zimowych narcyzów rozsiewały wokół niego tak mocny aromat, że Abrahama chwytały bez przerwy paroksyzmy kichania i łzawiły mu oczy.

Zatroskany i strwożony Pines zabierał dzieci na spacer w pola, by pokazywać im kwiaty.

– Miesiąc nisan to nasz miesiąc – oświadczył swoim uczniom, myszując wzrokiem na wszystkie strony i poszukując wroga. – Przyroda wywiesza swoje purpurowe chorągwie na pamiątkę wyjścia z niewoli: anemon, mak, jaskier, milek, górski tulipan i krew Machabeuszy.

– I wtedy, gdy stałem z nimi w polu i słuchałem ich śmiechu, rozwarła się szczelina w zielonej ścianie młodej kukurydzy jak w kurtynie, rozepchniętej na boki łopatkami hieny.

Na wiosnę królowe os wychodziły ze swoich zimowych schowków. Zmarznięte i słabe szukały miejsc na założenie nowych gniazd. Po upływie kilku tygodni każda z nich dawała

początek armii rabusiów. Osy przelatywały przez wieś, migając czarno-żółtymi odwłokami i groźnie piłując powietrze, oblegały grona winogron, bańki z mlekiem i owoce na drzewach, żądliły bydło i ludzi, niszczyły ule, rzucały postrach na mieszkańców.

Zarząd płacił dzieciom kilka groszy za każdą martwą osę, a co roku wiosną Pines wyprowadzał dziatwę w pola, by chwyciła królowe, zanim spłodzą nowe pokolenie „rabusiów Midianitów”.

– Z ciężkim sercem proszę was o zabicie królowej os – powiedział Pines. – Zabijanie zwierząt nie leży w naszym zwyczaju, ale polna mysz, osa, pasożyty drzew i zmija to nasi wrogowie.

Żmije powyłaziły w owym roku wcześniej niż zwykle, rozwalaly swoje grube cielska w słońcu i czekały na bosą nogę, na mysz, na nieostrożną racicę. Rankami znajdowało się ich zwiotczone trupy zwisające z drucianych siatek kurników, ich szerokie łby bowiem więzły w okach sieci, gdy próbowały przedostać się do środka, by grabić jaja i kurczęta.

Beniamin, który śmiertelnie bał się węży, nie wychodził w pole bez długiej łopaty na ramieniu i wysokich butów na nogach.

– Moja córka śmiała się z niego i skakała boso po koniczynie, a on krzyczał na nią, żeby przestała.

– Taki mocny chłop – mówiła Ester – a tak się boi. Siedzieli w polu i patrzyli na angielskie lotnisko.

– Ja kradnę samolot, zobaczyć mój dom – powiedział Beniamin.

– Kiedy żyła jeszcze moja mama, mieliśmy małą ośliczkę, po nocach rozkładała uszy i leciała do Stambułu na spotkanie z tureckim sułtanem.

Leżała na trawie, a Beniamin spoglądał na nią z powątpiewaniem. Potem zbadał dokładnie bujną trawę, zdjął koszulę i buty i wyciągnął się z przyjemnością obok niej. W dwie minuty później Ester dała mu kuksańca w brzuch i pokazała wielką żmiję grubości męskiego przedramienia, pełznącą powoli w ich kierunku. Poczwała, jak Beniamin drży i sztywnieje, a ze

wszystkich porów jego ciała sączy się pot.

– Nie ruszaj się – powiedziała. – Jeżeli ja ciebie nie pożarłam, to i ona cię nie pożre.

A żmija pełzła w ich kierunku, wężąc językiem ziemię. Ester przytrzymała mocniej Beniamina, żeby się nie poruszył.

Gdy żmija zbliżyła się do jej bosej nogi, Ester chwyciła ciężki roboczy but i trzasnęła żmiję w kark. Olbrzymi gad skręcał się, walił ogonem, a Ester biła w niego raz po raz, aż łeb jego spłaszczył się jak sucharek.

– Jakiś ty głupi – powiedziała do Beniamina. – Jakiś głupi i gruby. To nic takiego zabić węża, Efraim zabił raz węża szczotką do butów.

Po przeciwnej stronie pola widzieli Pinesa z dziećmi przy działce kukurydzy, daleko od wiejskich domów, lecz hieny ukrytej po kark w gąszczu kukurydzy nie mogli dostrzec.

Pines wiedział, że hiena nie zaatakuje, ponieważ napada bardzo rzadko i tylko pojedynczą, młodą i słabą ofiarę.

– Lecząc tę hienę wszakże znałem dobrze – dyszał ciężko. – Zrodziła się we mnie żądza mordy. Chciałem się na nią rzucić, zabić, zdusić, lecz ona mnie poznała. Cofnęła się w gąszcz i znikła bez śladu; malcy nawet jej nie zauważyli.

Zebrał dzieci wokół siebie, trzepiąc rękami jak kwoka, i wrócił do wsi. Przygnębiony i zatroskany, zwierzył się ze swych niepokojów sekretarzowi.

– Ktoś rzucił na działkę padlinę i jej fetor skusił hienę – powiedział sekretarz, któremu trwoga Pinesa przypominała „idiotyczne arabskie baśnie o *deba*”. Twierdził, że niemożliwe, aby to była ta sama hiena, która kąsała i kusiła ludzi w pierwszych latach alii. Pines wyszedł od niego rozgniewany i zaniepokojony. Pospieszył do sąsiedniej wsi na rozmowę z tamtejszym nauczycielem i zażądał, żeby zastawiono sidła i wysłano strażę, lecz nikt hieny nie słyszał ani nie widział jej śladów.

– Tak samo jak wiele lat później nie słyszano tych ordynarnych nocnych krzyków – powiedział mi Pines ze złością.

Sierota lunatyk zniknął po nocach, szukając ojca. Zrywał przez



sen sznury, którymi przywiązywano go do łóżka, i wychodził. Niejeden raz biegł ktoś za nim, lecz dziecko znikало z oczu i jakby rozsypywało się na okruchy ciemności. Pewnego razu strażnicy zobaczyli jego malutką figurkę rysującą się na tle mroku i przecinającą we śnie podwórze, w którym trzymano rozplodowego ogiera, wspaniałego i brutalnego źrebca, który już zmiażdżył kopytami cielę i robotnika. Koń nie tylko nie zrobił mu krzywdy, ale też przytulił się do parkanu zagrody i skomlał strachliwie jak porzucone szczenię.

W siódmą noc hiena znowu zakrzyczała z daleka, a żółtowołosy chłopczyna myśląc, że to woła go zmarły ojciec, wstał z łóżka matki i jeszcze raz wyszedł w pola. Oczy miał zamknięte, a na sobie tylko białą koszulinę.

W trzy dni później znaleziono jego malutkie zwłoki ze złamanym karkiem w suchym korycie rzeczki, obok starego drzewa cierniowego. Stary Zajcer podczas jednego ze swych medytacyjnych spacerów znalazł martwe dziecko przykryte znajomą, przeklętą kołdrą zielonych trupich much. Pobiegł i zwołał Ojców Założycieli z całej Doliny.

Pines, który nigdy nie zaliczał się do „skorych do biegu i walecznych bohaterów”, stał, płacząc nad otwartym grobem, przy małej trumience ofiary i w imieniu nas wszystkich poprzysiągł zemstę.

– Nie bez powodu uderza ona w małych i słabych. Ta hiena jest naszą rozpaczą i wahaniem, naszym zwątpieniem i garścią piasku w oczy – powiedział Pines. – A my przezwyciężymy strach i słabość i będziemy dalej budować i sadzić, siać i podlewać, aż zetknie się siewca z żeńcem, a zbierający owoce z dźwigającymi siewną płachtę<sup>[28]</sup>.

We wsiach zapanował strach. Złamany kark i poszarpana pierś maleństwa rzuciły na całą społeczność śmiertelną trwogę. Nie posyłano już wieczorem dzieci, by zakręcały polewaczki albo sprawdzały, czy zamknięto podwórze dla krów. Tymczasem wiosna nadal parła naprzód z tym samym rozmachem.

W krótkim czasie pamięć o wypadku zlała się z ogólnym

osadem bólu i wspomnień ludzi Doliny. Dziecko, podobnie jak ofiary malarii, jak zamordowani na drogach, samobójcy i ci, którzy poodpadali, zboczyli ze szlaku, stało się imieniem w Księdze Wsi i fotografią w czarnej ramce w nauczycielskich pokojach. Patrzyłem na jego małą twarzyczkę i kląłem w duchu.

Wiosenna ziemia wyschła i rozwarła szczeliny, źdźbła zboża pożółkły i młockarnia Marshalla powlokła się na nowo w pola.

Był to rok urodzaju, jak gdyby ziemia przyjęła naszą ofiarę. Po ukończeniu pracy u Ryłowa Benjamin przychodził pomagać nam, a moja matka wynosiła posiłki w pole, drwiła z jego wrażliwej skóry pokrytej pęcherzami od słońca i syczała mu za plecami jak wąż, podstawiała nogę, żeby wywrócił się między snopy, i mocowała się z nim w gryzącym pyłe plew, który pokrywał im twarze i ubrania.

Gospodarstwo Mirkina przygotowywało się do podwójnego wesela, Beniamina z Ester i Abrahama z Rywką. Nikt nie zwracał uwagi na chytre zasadzki czasu i na cuchnące kłęczce nabrzmiewające pod grudami. Śmierć moich rodziców, zniknięcie Efraima i Jeana Valjeana, straszliwa śmierć Zajcera, Miejsce Spoczynku Chaluców – to wszystko nie zarysowywało się jeszcze nawet najmniejszą chmurką na niebie. Pines i Cyrkin napisali żartobliwe przedstawienie muzyczne o dziejach gumna od czasów Boaza i Rut aż do naszych. Towarzyszki zaofiarowały się z przygotowaniem poczęstunku, a zarząd zorganizował ustawienie stołów i przykrycie ich obrusami.

Przy figowcu i drzewie oliwnym Mirkina ustawiono dwa baldachimy. Przyjaciele dziadka i babci zjechali się ze wszystkich stron Kraju, obejmowali się radośnie i tupali po swojej pokornej ziemi. Palce mieli już pokrzywione od grzebania w niej i od dojenia, wiele głów wyłysiało, z kieszzonek bielutkich koszul wyciągano okulary do czytania.

– Plecy, plecy, na których opierał się cały naród, już się nieco pochyliły – powiedział Eliezer Liberson – lecz w oczach świecił ogień.

Przybyli również i przywódcy.

– Kiedy Stowarzyszenie Pracy imienia Fejgi żeni syna i wydaje za mąż córkę, to nawet darmozjady, co zamiast pracować, rozjeżdżały się po kongresach, wiedziały, że warto przybyć.

Na wesele do Mirkina zjechali się pierworodni synowie z całego Kraju. Stali osobną grupą i budzili we wszystkich wzruszenie. Byli wśród nich dowódcy i nauczyciele, sekretarze kibuców, wynalazcy maszyn rolniczych i ideolodzy.

– A wszyscy mieli to samo czyste spojrzenie i prościutkie plecy – powiedział Pines.

Mój wuj, poważny, powściągliwy, poszukujący i milczący, stał pod baldachimem, ubrany w granatowe spodnie i białą koszulę.

Wszyscy mu się przyglądali i wspominali słowa Libersona: „Jest jak pestka oliwki, która leży latami w swojej skorupie, aż rozpadnie się i zakiełkuje”. Goście na podwójnym weselu spoglądali na Abrahama, szukając przyrzeczenia, które dotychczas się nie spełniło. Rywka, córka Tanchuma Pekera, rymarza, stała przy nim, z twarzą jak deszczowa chmura z zazdrości o ślubną suknię Ester. Jej ojciec wlał już w siebie poważną ilość trunku, a teraz przechadzał się między zebranymi, błyszcząc woniejącymi cholewami i wspominając dzikie harce rosyjskich oficerów kawalerii, kucharki i służące, z którymi się zabawiał w spiżarniach wśród wędzonych mięsów i oplecionych słomą butelek. Zginał kolana jak do jazdy konnej, cmokał na bojowe konie, których imiona pamiętał tylko on jeden, a tęsknota i duma wywoływały rumieńce na jego twarzy.

Pod drugim baldachimem stała Ester i się śmiała. Od czasu do czasu kręciła się na miejscu w kółko, aż do zawrotu głowy, rozpościerając jak talerz białej piany ślubną bawarską suknię. Daleko stamtąd, w eukaliptusowym lesie, zapamiętały w bólu Daniel Liberson czołgał się wśród wilgotnych pni. Gardło miał zdarte od płaczu i krzyków i wydobywało się z niego jedynie rżenie. Tydzień przedtem zarząd polecił mu zaoranie pola pod zboże; miał zaorać kilka tysięcy dunamów. Cyrkin i Liberson

postanowili wykorzystać tę sposobność do ostatecznego, bezprecedensowego ataku. Na ich polecenie Daniel wyjechał w pole z dyskowym pługiem D-4 i wyorał na rzysku litery imienia swojej ukochanej. Imię Ester rozpostarło się w polu wplecione bogatą brązową barwą bruzd w słomianożółte tło, literami wielkości kilometr na kilometr. Niestety, ludzie, których stopy są wrośnięte w glebę, nie posiadają dość wysokiego kąta widzenia i nie zauważyli rozpaczliwych bruzd Danielowej miłości. Nikt nie zwrócił na nie uwagi, oprócz przelatujących ponad polem angielskich lotników. Ale oni nie umieli czytać po hebrajsku.

– A tato?

– Beniamin uśmiechał się do wszystkich, lecz milczał, albowiem jego ojcu i matce nie dane było gościć na weselu syna. A gdy skończyły się obrządki, zwolnili miejsce na taniec dwóch par. I wtedy Cyrkin poszcypywał struny, a twój tato z Efraimem wyszli na środek i zatańczyli walca. Tonia Ryłow pękała ze złości, a cała wieś pokładała się na ziemi ze śmiechu.

– A potem?

– Zaczęła się jeszcze jedna wojna, moje dziecko, i Efraim poszedł.

Dziadek czuł zbliżające się nieszczęście i zabrał Efraima do sadu, mając nadzieję, że go urzeknie nowymi pomysłami.

– Większość owoców grusz i jabłoni zawiązuje się na specjalnych gałęziach – wyjaśniał mu, tak jak w późniejszych latach wyjaśniał mnie. – Gałęzie te są krótkie, owocują z roku na rok i nie należy ich przycinać.

Dziadek pokazywał, jak obok nich wyrastają gałęzie długie i proste, rosną szybko, a owoce ich są nieliczne i marne. Instruktorzy sadownictwa powiadali, że należy te niepłodne gałęzie skracać i przycinać im wierzchołki, ale dziadek pokazał Efraimowi, jak je naginać na zewnątrz od korony drzewa i przywiązywać cienkimi sznureczkami do miejsc, z których wyrosły, nadając im kształt napiętych łuków. Wszyscy we wsi byli zdumieni, gdy zobaczyli, ile te skrępowane gałęzie dają owoców.

– On odkrył to jeszcze w swych pierwszych latach pobytu w Kraju – opowiadał mi Pines z podziwem. – Twój dziadek odkrył, że można ujarzmić i zaprzęgać nie tylko konie i ludzi, lecz także drzewa owocowe.

– W kilka lat później, gdy przyjechał podniecony instruktor sadownictwa i przedstawił nam system naginania gałęzi jako system amerykański Caldwell, powiedziano mu, że u nas systemem tym posługują się już od dawna, bez nadawania mu nadętych nazw. Ponadto w systemie dziadka w określonych terminach zwalniano gałęzie z uwięzi i ten dobry do nich stosunek wzmacniał urodzaj.

Lecz Efraim nie interesował się drzewami i był tak bardzo napięty, że skóra jego zaczęła dygotać i drżeć jak u konia. Każdego wieczoru chodził do baraku Beniamina i Ester, gdzie powieszono wielką mapę i przesuwano na niej systematycznie szpilki i chorągiewki.

Mężczyźni, którzy się zaciągnęli, poznikali ze wsi. Pierwsi poszli nasi dwaj kowale, bracia Goldmanowie. Od pierwszego

dnia istnienia wsi podkuwali oni robocze konie, ostrzyli motyki i hartowali lemieszki nigdy niełamiących się pługów. Stali nad ogniem, „jak Jachin i Boaz”<sup>[29]</sup>, ich piersi odbijały czerwone światło, w lewej ręce trzymali szczypce, a prawą zadawali pracowite ciosy.

– Pewnego dnia przyszliśmy z Zajcerem do kuźni – opowiadał dziadek – a braci kowali nie było. Węgły ostygły i poszarzały, zamilkły miechy, znikł dym, tylko w powietrzu nad kowadłem wisiały dwa wielkie młoty.

Potem poszedł także i Daniel Liberson, a po wojnie pozostał w Europie z oddziałem mścicieli. Pisywał do Ester suche, gniewne listy i nigdy nie wspominał w nich o istnieniu mojego ojca. Lecz wiała z nich lodowata nienawiść do niego, którą potwierdzał czynnie swoim zapalem do likwidowania ludzi o blond włosach.

Po nocach Beniamin przesiadywał z Ryłowem i z obcymi ludźmi, którzy pojawili się we wsi, podszywając się pod doradców od nawożenia czy przekupniów kurcząt. Razem planowali schowki na broń i urządzenia opóźniające wybuchy, z rur do podlewania robili miotacze min i nawoływali się po nocach głosami, „które doprowadzały do szaleństwa wszystkie puchacze i świerszcze Doliny”.

Wieś ogarnęła troska. Wojna była daleko, lecz po nocach i w jesienne ciche popołudnia ludzie milkli, spoglądali na północ i na zachód, jak gdyby mogli wszystko zobaczyć i usłyszeć z oddali. „Krew dalekich braci wołała i krzyczała”.

Efraim błagał dziadka bezustannie, by mu pozwolił zaciągnąć się do wojska, ale dziadek nie chciał słyszeć o tym nawet jednego słowa.

– Chłopiec w twoim wieku może tutaj ofiarować z siebie wszystko, czego nam trzeba, a tam nie pojedziesz.

„Moje piękne dziecko ciągnie do obcych”, napisał na wyrwanej z zeszytu kartce.

Efraim pracował z ojcem, ale twarz jego była nadal ostra i napięta. Wiązał gałęzie jak opętany i nie mówił ani słowa. Pines, odczytujący bez trudu w ruchach zwierząt znaki świadczące

o nadejściu pory wędrówek, ostrzegł dziadka przed nadciągającymi zdarzeniami.

– Nie mogę związać go powrozem – powiedział dziadek.

– Uważaj na niego – błagał Pines.

– Czyż nas udało się komukolwiek powstrzymać? – zapytał dziadek.

– Czy twój ojciec ucieszył się, kiedy uciekłeś z domu i pojechałeś do Kraju?

Przy kolacji przyglądał się synowi jedzącemu łąpczywie surówkę jarzynową. Patrzył na jego szczupłe, mocne przeguby, na zielone roztargnione spojrzenie i zrozumiał, że Efraim rozpościera już w swoim wnętrzu skrzydła.

Po jedzeniu Efraim zerwał się z krzesła i oświadczył, że idzie sprawdzić zawory w podwórzu.

– Żegnaj, Efraimie – powiedział dziadek.

– Zaraz wracam – odpowiedział Efraim i znikł. W tydzień potem znaleziono jego ciężki rower marki Herkules przywiązany do parkanu obozu wojskowego w Sarafendzie. W tym czasie on sam stał już na pokładzie okrętu wojennego płynącego do Szkocji. Nie wymiotował, lecz również i do jego twarzy lepiły się ciągnące się za statkiem nitki piany i odpryski fal. Jego ciche stopy obuto w twarde wojskowe buty, lecz gdy chodził i tupał nogami po drżącym żelaznym pokładzie, kroki były zagłuszane grmiącym hukiem wody.

Po nocach słyszę, jak morze pieni się, szumi i rozlewa pod oknami mojego białego więzienia, a ja rozmyślam sobie o tych wszystkich przeciągłych szumach, które nigdy nie ustają. Głosy, na które trzeba nastawić ucho, by je usłyszeć. Wiatr w drzewach kazuaryny, stuk polewaczek, tętnienie źródła, przeżuwanie krów, skrobanie gadów pod podłogą baraku. Pines wyjaśnił mi tajemnicę chodu Efraima.

– On nie chodził cicho, a tylko umiał wydobywać stopami dźwięki podobne do stałego szumu świata.

– Był on jednym z niewielu Izraelczyków, którzy służyli w brytyjskich komandosach – powiedział Meszulam wówczas,

gdy Efraim zmienił się już we wspomnienie, w które nie wszyscy chcieli wierzyć i pod którego ciężarem nie chcieli się uginać. Meszulam począł wyciągać papiery i koperty ze skrzynki po pomarańczach, na której umieścił napis „Synowie w wojsku”.

– Zaciągnęło się pięćdziesięciu trzech rolników, trzydziestu ośmiu z drugiego pokolenia i trzynaście dziewcząt, ponadto zmobilizowało się czterech synów i dwie córki pracowników usługowych. Szesnastu z nich nie wróciło. Mam tu listy kilku żołnierzy do rodzin, nie licząc listów Efraima, których twoja rodzina z sobie tylko wiadomego powodu nie chce oddać do Baraku Pierwszych.

Gdy Meszulam użył wyrażenia „twoja rodzina”, zaliczałem się już do niej jedynie ja. Dziadek zmarł, Josi był w wojsku, a Uri pracował na traktorach swojego wuja w Galilei: pchał z miejsca na miejsce wzgórze ziemi i uklepywał kupy piachu. Abraham i Rywka wybierali się w podróż na Wyspy Karaibskie, gdzie mieli prowadzić rolniczą farmę, a całe gospodarstwo było w moich rękach, kwitło i rozwijało się wokół grobu dziadka.

– Nie chcę być pochowany razem z nimi – powtarzał mi ciągle. – Oni wygnali ze wsi Efraima. Pochowaj mnie w mojej ziemi.

Pomyślałem, że Meszulam musi być więcej niż bezczelny, żeby żądać ode mnie listów Efraima dla swojego idiotycznego muzeum.

– Zemszczę się na nich w najbardziej bolesnym punkcie – powtarzał dziadek zdanie, które w jego ostatnich latach stało się rodzajem złowieszczonego hasła. – W ich ziemi.

W moich rękach zemsta ta oblekła się w ciało. Zwłoki starego drzewnego czarodzieja zatrwały glebę i wypaczyły Wizję. Groby w gospodarstwie Mirkina płonęły w żywym ciele wsi jak otwarte wrzody sarkazmu i wyrzutu. W nowoczesnych dojarskich stanowiskach wuja Abrahama pająki przędły swe gęste lejki. Po betonowych ścianach pełzły mchy i porosty i zakryły ostatnie ślady urodzaju i produkcji. Osy porobiły w szczelinach stodoły ogromne gniazda z błota i papierowej masy.



Wszędzie panowało zapuszczenie, lecz pieniądze nie przestawały wpływać. W pustej oborze piętrzyły się sterty worków z banknotami, a moje pole grobów rosło. Miejsce Spoczynku Chaluców powstrzymało bieg czasu jak olbrzymia wbita w ziemię przegroda. Łamało regulaminy i ustalone zwyczaje, zmieniało porządek siewów i drwiło z pór roku.

W dwa miesiące po zaciągu Efraima poczęły nadchodzić od niego listy. Były krótkie i nieciekawe. Czytam je sobie od czasu do czasu.

Ćwiczenia w lądowaniu pod ostrym ogniem. Wspinaczka na skalne wierzchołki. Jakiś Nowozelandczyk, który zainteresował się żywo rasami naszych mlecznych krów, utonął podczas ćwiczeń forsowania rzeki w obozie Achna Kari, obok miasta Inverness. Obracam w ustach te dziwne sylaby, smakuję życie Efraima. Szybkie pochody w pełnym rynsztunku, ćwiczenia w dywersji w Oban.

Przysłał zdjęcie zrobione podczas wolnego wieczoru w mieście: ubrany w szkocką spódniczkę (napisał – „kilt”), na głowie zabawna czapka z lamparciej skóry, a w ręku włochata pałeczka. Dziękował Rachel za jej lekcje podkradania się.

„Komandosi Jego Królewskiej Mości nie znają sztuki cichego chodzenia”, pisał. „Człapią jak jeżozwierze w trzcinach u źródła”.

Dowiedziałem się, że przyłapano go, gdy upolował, posługując się nożem, królewskiego jelenia w rezerwacie Crippsdale, i został skazany na tydzień aresztu oraz karę pieniężną w wysokości czterdziestu funtów szterlingów. Potem odznaczono go za wyjątkowe zasługi podczas natarcia na Dieppe, gdzie w walce wręcz wyciął w pień całą obsługę niemieckiej armaty, która trafiła w żołnierzy komanda lorda Lovetta. Czytam te listy na głos, gdyż przywykłem poznawać dzieje naszej rodziny z ustnych opowiadań. „Dieppe”, powtarzam sobie, „Dieppe, Crippsdale, Lovett”, a te obce słowa rozprawdzają po moich ustach i gardle powietrze w sposób, do którego nie jestem przyzwyczajony.

Czas biegł. Wschodzące co rano słońce oświetlało najpierw żołnierskie okopy w Rosji, twarz Szulamit na Krymie, budziło Szyfrisa gdzieś tam, na jego drodze, potem oświetlało Dolinę, grób babci Fejgi, słomiany kapelusz dziadka, załamania na czole Abrahama, mojego ojca i matkę, i dopiero po tym wszystkim, u krańców zachodu, widział je Efraim. Tak krążyło i krążyło, aż minął jeszcze jeden miesiąc i dziadek otrzymał zawiadomienie, że jego syn został zraniony w boju na górskim grzbiecie Al-Gitar w Tunisie.

W ciągu pełnych sześciu miesięcy po zranieniu nie przyszedł żaden list. Dziadek szalał z niepokoju. Pewnej nocy poszedł z Zajcerem i razem wdrapali się na błękitną górę, z której można było widzieć morze.

Góra ta odgradzała nas jak potężny mur od miasta, od morza, od marności i pokusy. Co roku oczy wsi zwracały się w jej stronę i badały obłoki gromadzące się między jej grzbietami i gotujące do przechadzki nad naszymi polami.

– Na tej górze rodzą się chmury – opowiadał mi dziadek, gdy byłem mały. Przechadzaliśmy się we dwójkę po polu, czekając na deszcz. Osłoniłem oczy ręką jak dziadek, a on kruszył w palcach ziemię i patrzył przed siebie w stronę góry. – Pewnego razu, podczas suszy, poszliśmy zobaczyć, co się dzieje z obłokami. Była nas cała paczka: Cyrkin, Liberson, babcia Fejga i ja. Wspinaliśmy się całutki dzień wśród skał i kolących krzaków. Doszliśmy do szczytu i kręciliśmy się tam całą noc w poszukiwaniu deszczowej pieczary, aż usłyszeliśmy ich pomruk i grzmienie. U wejścia do pieczary leżała wielka skała. Wzięliśmy się za nią z całej siły. Raz, dwa, raz, dwa, myśmy ciągnęli z zewnątrz, chmury pchały od środka, aż skała runęła i chmury powychodziły, a Cyrkin zdążył jeszcze dosięść jednej z nich i spadł razem z deszczem prosto na swój dom.

Długi czas patrzyli obaj w dal, aż Zajcer zakaszłał, bo poczuł daleki dym i wybuchy, a dziadek, który dojrzał szkarłat placów boju i usłyszał dobiegające stamtąd wrzaski, skaczące po falach jak kamyki, ukrył głowę między kolanami.

Rankiem, gdy wrócili do domu, wjechał do wsi angielski samochód. Dzieci pobiegły do Ryłowa i ostrzegły go, że przyjechał major Stubbs i należy natychmiast zamaskować wejście do jamy z gnojówką. Major Stubbs był to wysoki, kulejący Anglik, raniony podobnie jak Efraim w północnej Afryce i następnie przeniesiony, wraz z czarną laseczką i mundurem, do Palestyny. Wszedł z samochodu, pokuśtykał do tylnych drzwiczek, otworzył je i zasalutował. Efraim wrócił do domu.

W żółtych, miękkich pustynnych butach zwiadowców, odznaczony uskrzydłonym sztyletem, medalami i naszywkami angielskiego sierżanta, z dożywotnią rentą od rządu Jego Królewskiej Mości w kieszeni, wszedł Efraim z auta i uśmiechnął się do zebranych wokół ludzi.

Przez długi czas wieś nie mogła zapomnieć krzyku, który rozległ się na jego widok. Rozwarte usta krztusiły się ze zgrozy i przerażenia. Ludzie pędzili od strony zielonych pól i kwitnących sadów, od kurników i obór, stawali przed Efraimem i krzyczeli. Żona weterynarza, z którą Efraim niekiedy sypiał, wrzeszczała półtorej minuty „bez zaczerpnięcia powietrza”, dzieci, którym Efraim robił latawce i uczył je rzucać nożem, wystraszone skomlały cieniutkimi głosikami. Ze szkoły wyskoczył Jakub Pines i ciężkim biegiem pospieszył do swojego ucznia. Kiedy się przybliżył, stanął w miejscu, jakby się natknął na mur. Zamknął oczy i zaryczał jak zarzynany wół. Krowy, cielęta, konie i kury w zagrodach i kurnikach podniosły dziki wrzask.

Fosforowa mina włoskiej armii, „króliczego wojska”, według określenia Uriego, zmieniła piękną twarz Efraima w spaloną masę skóry i mięśni, połyskującą, „jak ci to mam opisać, moje dziecko, jak zgnieciony owoc granatu, wszystkimi odcieniami czerwieni, fioleto i żółci, dobrze, że go nie pamiętasz”.

Jedno oko mojego wuja zostało wyrwane, nos zadarł się w górę, wargi znikły, a twarz przecinała na ukos purpurowa powykręcana szrama biegnąca od czoła aż do wgłębienia na szyi i znikająca w kołnierzu koszuli. Z kości policzkowych zwisała mu spalona i podarta skóra. Spomiędzy zniszczonych tkanek

wyglądało jedno zielone oko, świadcząc o wysiłkach, które czynili lekarze, by mu przywrócić ludzki wygląd.

Efraim, którego uroda ściągała ciekawskich z całej Doliny i zmuszała zdumione ptaki na niebie do zniżania lotu, zmienił się w potwora, któremu nikt nie odważył się spojrzeć prosto w twarz.

Ludzie tulili się do siebie w przerażeniu, „wszyscy stali i krzyczeli”.

Z oblicza mojego wuja znikł straszliwy uśmiech. Odwrócił się, jakby chciał zniknąć na nowo, a major Stubbs, klnąc pod nosem, ponownie otworzył drzwi samochodu. Lecz wtedy tłum rozstał się, Benjamin bowiem wyciął w nim przejście jak twardy lemiesz pługa. Przepchnął się aż do szwagra, spojrzał nań, nie mrugnawszy okiem, a potem objął go swoimi grubymi ramionami i ucałował w zmiażdżone, lśniące mięso, które było niegdyś policzkiem.

Hebrajszczyzna mojego ojca bardzo się już w tym czasie poprawiła.

– Niech będzie błogosławiony twój powrót do domu, Efraimie – powiedział i wyprowadził go stamtąd pośród wielkiej ciszy, która zaległa na ulicy.

Efraim poprosił, by mu przyrządzono na kolację surówkę jarzynową, jak w domu – nawet dał Ester instrukcje, jak ją przygotować. Miał głos słaby i skrzeczący, bo struny głosowe zostały również uszkodzone.

– Najpierw pokrój cebulę i trochę ją posól, potem pomidory i też je posól, zieloną paprykę i ogórki na sam koniec. Dobrze wymieszaj, dodaj trochę czarnego pieprzu, soku cytrynowego i oliwy, znowu wymieszaj i zostaw ją, żeby się trochę przegryzła.

Przez całe dwa lata, tak powiedział, marzył o tej naszej surówce – jakiej nigdzie indziej na świecie nie umieją przyrządzać.

Wpakował pełną łyżkę w swoją straszliwą maskę i westchnął z rozkoszą, ale gdy jego twarz poruszyła się przy zuciu, a jej mięso poczęło drgać jak tysiąc rozgniecionych jagód, Abraham wybuchnął płaczem i uciekł od stołu. Benjamin powiedział: „On

zapomniał zamknąć zawór w lucernie”. Nie przestawał rozmawiać z Efraimem o wojnie, o niemieckich karabinach maszynowych, o generale nazwiskiem Rommel, o ćwiczeniach komandosów i o brytyjskich odznaczeniach za waleczność.

– Ja nie byłem zdolny rozmawiać – opowiadał mi dziadek. – Oni mi zniszczyli mojego pięknego syna, a przed snem on mi powiedział: „Dobranoc, tato”, i od razu odwrócił się do ściany, żebym nie musiał go objąć ani pocałować.

„Każdy pocałunek, którego mu wtedy poskapiłem, powraca teraz i dźga mnie w serce” – znalazłem na jednej z jego karteczek.

Całutką noc przechadzał się Efraim po podwórzu, a cisza jego kroków nie dawała nikomu usnąć. Nazajutrz przyszedł Benjamin, zasiadł z nim do stołu i razem kreślili plany na wielkich arkuszach papieru.

Potem Benjamin poprosił o pomoc Zajcera. Pojechali wozem przez pola do angielskiej bazy, tam na nich czekał kulawy major Stubbs z dwoma oficerami komanda, chudymi i milczącymi Szkotami, którzy uścisnęli Efraima, i magazynier, Hindus, któremu aż dech zaparło na widok odznaczeń na piersi mojego wuja. W drodze powrotnej jechała za nimi wojskowa ciężarówka naładowana budowlanym żelazem, piaskiem, workami cementu i tłucznią. Obaj Szkoci, Benjamin i Efraim pozdejmowali koszule i zaczęli kopać w podwórzu, przy oborze, rowy pod fundamenty. Zbudowali z cegieł pokój, którego drzwi i okna nie były zwrócone w stronę domu, a w stronę obory i pól.

Benjamin przeciągnął do domku rury na wodę i druty elektryczne. Postawił świetny, opalany drewnem piec, który ogrzewał pokój, jak również wodę do kąpieli, i wstawił brązowe drewniane okiennice, które można było zaczepić do ścian miedzianymi karzełkami. Późniejsze lata pomalowały je na zielono i mętne łzy kapały z nich na tynk.

– To ten sam pokój, który z czasem stał się narzędziownią i moim składem lekarstw.

Efraim wszedł do swojego pokoju i nie wychodził.

– Kręciłem się wokół ścian pachnących świeżo i wilgotnie

tynkami i wapnem i czekałem na wyjście mojego syna. Twoja matka kładła pod drzwiami jedzenie i błagała brata, żeby wyszedł. Lecz Efraim nie wychodził.

Przyszedł Pines, zastukał w drzwi i chciał się zobaczyć ze swoim uczniem.

– Tyś wrzeszczał na mój widok – zaskrzeczał Efraim z głębi pokoju i nie wyszedł.

– Jestem tylko człowiekiem – powiedziałem mu. – Nie mieliśmy pojęcia, że twoje zranienie nosi taki charakter. Otwórz, Efraimie, otwórz twemu staremu nauczycielowi, który chce cię przeprosić.

Lecz Efraim nie otworzył.

Dziesiątki razy opowiadali mi dziadek i Pines o Efraimie, jakbym ja mógł im przebaczyć zamiast niego.

Co wieczór przychodził do niego w odwiedziny Beniamin. Po upływie kilku tygodni powiedział mu, by wychodził w nocy popracować trochę w oborze.

– Krowy też się mnie boją – odpowiedział Efraim.

Ale Beniamin powiedział mu, że jeśli nie wyjdzie do roboty, to go schwyci za pasek od spodni i wyniesie na dwór.

– Tylko w nocy – odparł Efraim i wyszedł ze swojego pokoju.

– O wpół do dziesiątej widywałem pas światła padający z otwieranych drzwi i cień nóg mojego syna na drodze do obory. Wyrzucał nawóz, płukał bańki i rozdzielał po żłobach mieszankę.

Dziadek leżał jak sparaliżowany na łóżku i słuchał hałasu wagoników z nawozem zjeżdżających po żelaznej, podwieszanej szynie, skrobania łopaty w kanalik ściekowym i słabego porykiwania krów cisnących się w zagrodzie, rzucających szybkie, ukradkowe spojrzenia w stronę jego syna i coś tam smutno między sobą szepczących. Słuchał, a serce „darło się w nim na strzępy”.

Czwartej nocy Jakub Mirkin wstał z łóżka i poszedł do obory. Przystanął w ciemnościach za ścianą i zawołał na syna.

– Nie wchodź, tato, nie wchodź do obory – szepnął

zduszonym głosem Efraim.

– Wchodzę – odpowiedział Mirkin i wkroczył do środka. Efraim zdążył otulić sobie głowę pustym workiem po mieszance i od razu poczuł na swoim ramieniu ojcowską rękę. Mirkin pocałował grubą plecionkę z juty, w zębach zazgrzytał mu pył, osiadł na ustach i rozpuścił się w ślinie i łzach.

Potem zdjął delikatnie z głowy syna worek. Ze swojego kąta obory Zajcer widział Efraima z ojcem, ale udawał, że śpi.

– Nazajutrz poszedłem do Margolisa, poprosiłem go o starą maskę pszczelarską i przyniosłem ją memu synowi, żeby mógł pokazać się ludziom.

Uroda Efraima znikła jak zapomniany cień, jak tęczyowy haft, zjawiający się wyłącznie przed przymkniętymi oczami tych, którzy pragnęli ją sobie przypomnieć. Życie na wsi stało się trudniejsze bez tej pięknej postaci, na którą można było popatrzeć.

– W wiejskim życiu – wyjaśnił mi Pines – życiu podporządkowanym prawom ziemi i klimatu, dziedzicznym kaprysom bydła i wyuczonym ludzkim zasadom, blask płynący z twarzy Efraima był chłodem śniegu w dzień żniwa, odpoczynkiem strudzonego, jeziorem na pustyni.

Dopiero teraz ludzie we wsi zrozumieli, co im zostało odebrane, i coraz bardziej się od Efraima odsuwali.

Raz w tygodniu mój wuj prasował swoje spodnie khaki i siedł na pobliskie lotnisko wojskowe porozmawiać z majorem Stubbsem i dwoma milczącymi szkockimi oficerami oraz pić piwo ze stacjonującymi tam angielskimi i indyjskimi kanonierami. Bywało, iż siedł piechotą i pozwalał sobie na zdjęcie maski dopiero wtedy, gdy minął pomarańczowy sad. Zaskakiwało to lecące za nim pszczoły. Niekiedy dowódca bazy posyłał po niego samochód.

– Twój syn przebywa za dużo z Anglikami – powiedział Ryłow.

– Wieś odepchnęła Efraima, ale Anglicy umieją czcić swoich bohaterów – odparował rozgoryczony dziadek.

– Ci Hindusi są od małego przyzwyczajeni do straszydeł –

wtrąciła Rywka.

W tej samej kantynie, z której niegdyś kradł mięsne konserwy, pił teraz Efraim piwo, jadł parówki i kupował krowom andruty. Mój wuj Abraham uskarżał się, że to pożywienie ciąży im w jelitach, ale Efraim stał się ich ulubieńcem. We wsi nadal toczyły się dyskusje na temat przyjaźni Efraima z Anglikami. Niemało przyczyniła się do tego jego gniewna odmowa wzięcia udziału w akcji obrony wsi. Wszyscy chłopcy z „bandy” służyli w oddziałach Palmachu, lecz Efraim nawet nie chciał udzielać kolegom lekcji dywersji, strzelania do celu, topografii i innych przedmiotów, których nauczył się w wojsku.

– Co on sobie myśli – warczał Ryłow, bo wiedział, że Efraim wyspecjalizował się we wszystkich technikach walki podjazdowej.

– Żal mi straszyć tych biednych chłopaków – powiedział Efraim.

Gdy tamta wojna się skończyła, a Uri, Josi i ja byliśmy już w brzuchach naszych matek, zajechał do naszego obejścia angielski wojskowy samochód. Siedział w nim major Stubbs w towarzystwie owych dwóch chudych Szkotów noszących tym razem cywilne ubrania i rudowłosy sierżant, o rękach pokrytych żółtawymi kędziorkami, w mundurze wojskowym z odznakami komandosów. Z ich ruchów emanowała cicha sprawność nocnych ludzi. Wytaszczyli z land rovera dzwoniącą skrzynkę z butelkami piwa i blaszane pudełka playersów, weszli do pokoju Efraima i siedzieli tam całą noc.

Ryłow doniósł Komitetowi Bezpieczeństwa, że z pokoju dolatywało niewiele odgłosów rozmowy, ponieważ komando umie się porozumiewać umownymi znakami mrugnięć i wydechów. Kiedy wyszli, byli zupełnie pijani, a sierżant zakrzyknął – „Za dwa miesiące dostaniesz tę krowę”.



Piję herbatę jak dziadek, gorzka oliwka w ustach pokrzepia mnie na duchu, kostka cukru w palcach dodaje siły. Jak on stoję i patrzę przed siebie, by ujrzeć wracających Efraima i Jeana Valjeana i nadchodzącego Szyfrisa. Z dachu mojego wielkiego domu spoglądam na morze i widzę podskakujące na falach białe łódki, grzebienie zatknięte za kąpielówki szczupłych mężczyzn, w dali muskularne kobiety prowadzą napiętymi nogami deski surfingowe, a ich krótko ostrzyżone, farbowane w pasemka włosy sterczą na wietrze.

Pewnego razu olbrzymia fala rzuciła jedną z żeglarek na przybrzeżne skały, a ja odłożyłem lornetkę i pospieszyłem do niej, zarzuciłem ją sobie na ramię, a deskę razem z żaglem wziąłem w drugą rękę, wyniosłem na piasek i tam zostawiłem. Potem widziałem z dachu mojego domu, jak wstała, rozejrzała się wokoło ze zdziwieniem, badając krople krwi na sobie i ślady pozostawione przeze mnie na piasku.

Tak stał mój dziadek na dachu stodoły, tak też stał na ganku domu starców. Stał i patrzył w stronę Doliny. Czekał na powrót syna.

Dom starców jest odległy od wioski o osiemnaście kilometrów. Wznosi się nad całą okolicą. Raz na dwa dni chodziłem tam, skracając sobie drogę przez pole. Gnany złością, pokonywałem ten dystans w trzy godziny i zanosłem dziadkowi dzban mleka.

Wuj Abraham zwykł do mnie mawiać: „Baruch, poczekaj jeszcze kilka minut, żeby mleko było od dobrej krowy”. A tymczasem taskałem ciężkie worki z mieszanką, podnosiłem i ładowałem pełne bańki mleka, upychałem do zagród wystraszone, przeznaczone na wysyłkę cielęta.

Moi kuzynowie, Josi i Uri, krzatali się pilnie przy krowach. Josi, ponury jak ojciec, sprawny i szybki w robocie, z czerwonym sokolikiem siedzącym mu na ramieniu albo drepczącym za nim jak piesek, i Uri, który ostatnio zniknął na całe noce i trudno mu

było rano się ocknąć.

– Grzeje mu się tam któraś z kolei – burczał Abraham, ale trzepał syna pieszczotliwie po karku.

Uri, tak powiedział dziadek, jest podobny do Efraima, ale bardziej delikatny i marzycielski. Przypominał go ścięgnami swojego smukłego ciała i szczupłymi policzkami, przepięknymi, zapierającymi dech rysami twarzy. Dziadek przyglądał się wnukowi ze wszystkich stron, jak gdyby przed jego oczami znajdował się zaginiony syn, zastygły w kropli bursztynu. „Dzieci, nanizane perły. Długi sznurek nasienia”, napisał na karteczce, którą znalazłem już potem, kiedy poszedł do domu starców.

Przed wyjściem owijałem aluminiową bańkę rogózką z juty, którą zwilżałem wodą, żeby mleko się nie rozgrzało i nie skisło. Operację tę powtarzałem kilkakrotnie po drodze, kiedy mijałem mechaniczne polewaczki.

Gdy wychodziłem, powietrze było chłodne i rześkie, a na liściach wisiały jeszcze krople rosy. W dolinach leżało morze chmur, a góra wyzierała sponad nich jak błękitna wyspa. Wschodzące słońce, słońce Ziemi Izraela, które chciało zamordować dziadka i jego brata już o piątej piętnaście rano, zwijało nad polami jak nad różnobarwną kołdrą białe pieluchy mgły.

Dolina wyślizgiwała się powoli z miękkich powijaków nocy. Potem ziemia się rozgrzewała i wysychały moje mokre stopy. Szedłem zawsze boso z sandałami zawieszonymi na szyi, ugniatając piętami pył na drodze. Do dzisiaj czuję między palcami nóg rozkosz, jaką mi sprawiał drobnutki kurz, zmielony na szarą mąkę kołami wozów i twardymi racicami bydła. Bywa, że schodzę na morski brzeg przed swoim domem, żeby pobrodzić trochę w piasku, lecz jego ziarna są grube i ostre, niepodobne do miękkiego proszku ścieżki mojej młodości, kiedy chodziłem w odwiedziny do dziadka.

Na żywopłotach, po bokach drogi, skakały dzwońce, w powietrzu trzepotały parami sokoliki, baraszkowały i wydawały swoje wysokie trele, a ponad ostami polatywała jak żółtawy

obłoczek spłoszona gromadka szczygłów, poćwierkując w zaskoczeniu krótkimi, grubymi dziobkami.

– Poznajemy ptaki po dziobach. Szczygieł ma dziób gruby i mały, przystosowany do łuszczenia nasion, a sokół posiada dziób ostry i zakrzywiony, przystosowany do darcia mięsa.

Pewnego ranka Pines zaprowadził nas na skraj lasu eukaliptusowego. Porzucono tam ścierwo krowy. Poprzedniego wieczoru zaciągnięto ją tam przywiązaną łańcuchem do traktora. Miała wzdęty brzuch i orała rogami ziemię.

– Będzie pogrzebany jak osioł, wywloką go i wyrzucą poza bramy Jeruzalem<sup>[30]</sup> – powiedział ze smutkiem Pines i nakazał nam milczeć i obserwować. Wokół zgromadziło się kilka sępów. Ich łyse głowy, odważne spojrzenia i pomarszczone szyje budziły we mnie sympatię. Przystosowanymi do rozpruwania dziobami rozdarły krowi brzuch i wsadziły w niego swoje bezióre, białe szyje. Pines ostrzegł nas, żebyśmy nie mylili, jak nieuki, sępa z orłem.

Pines opowiadał nam o dziobach zięb – małej i odosobnionej grupy ptaków, które badał Darwin na wyspach Galapagos, a którą ewolucja obdarzyła wielką różnorodnością dziobów, przystosowanych do rozmaitych rodzajów pożywienia. W ten sposób zięby zostały podzielone na kilka grup, przystosowały się do nowych źródeł pokarmu i przetrwały. Z tego miejsca nauczyciel wypłynął na szerokie wody morału i przykładu, wyprowadzając z dziobów darwinowskich zięb wnioski dotyczące mieszanego gospodarstwa.

– Sad i obora, kurnik i jarzyny. Trzymaj się jednego, lecz nie zaniedbuj także i innych rzeczy – zacytował.

Zdarzało się, że wypłoszyłem z gniazda śmieciuszkę, a ona biegła, tocząc się przede mną po rżysku, udając kulawą, krzycząc i tyłając czubek ziemią; usiłowała oddalić mnie od swojego gniazda i ukrytych w nim jaj. Zielone jaszczurki pędziły po ziemi, zostawiając na niej notatki kreślone drobniutkim, klinowym pismem. Wylatywała z głośnym biciem skrzydeł kuropatwa, przemykała w poprzek drogi łasica o długim, złym, wijącym się

jak u węża ciele. Czasami trafiał się i prawdziwy wąż.

– Chociaż pożera kurczęta i jaja, czarny wąż jest mimo wszystko przyjacielem rolnika, ponieważ niszczy myszy. Gdy go dostrzeżesz, zejź mu z drogi i pozwól przejść.

Gospodarze, którzy już wyjechali w pole, poznawali mnie z daleka po ciężkim chodzie i dźwiganej bańce mleka. Witali mnie uprzejmie i czasami proponowali, że mnie podwiozą kawałek na wozie.

Przeciąłem ostrożnie pola sąsiadującego z nami kibucu. Zza drzewa wyszedł towarzysz w wieku Abrahama z małym koszyczkiem w ręku. Na krótką chwilę napięły mi się mięśnie. Dziesiątki lat po porwaniu Fani przez Libersona z kibucowej winnicy jeszcze nie zelżało napięcie we wzajemnych stosunkach. Następne pokolenia nie wiedziały już dokładnie, o co poszło. Prąd czasu i tamy pamięci, różnice w poglądach i zmiany pór roku zabarwiły miłość i żarciki Libersona mętnymi odcieniami rozłamu. Nieprzyjaźń między kibucem a osiedlem rosła, wypuszczając coraz to nowe pędy, wspierana tyczkami wrogości. Od czasu do czasu uniemożliwiano sobie nawzajem zatwierdzanie budżetów, padały kamienie, na rozwścieczonych twarzach wykwiwały siniaki, a ponad *wadi* wystrzelały obustronne wyzwiska.

Był sam, podszedł do mnie z wahaniem, oczy miał spuszczone, jakby szukał w moich stopach śladu rozdwojonego kopyta.

– Idziesz do domu starców? Jesteś wnukiem Jakuba Mirkina? Mój ojciec wiele o nim opowiadał.

Wyciągnął do mnie miękkim, wstydlwym gestem koszyk.

– Weź, proszę, daj to Zeewowi Akermanowi w pokoju numer pięć. On jest kolegą twojego dziadka.

Wszyscy byli kolegami dziadka, wszystkich pogrzebałem obok niego. Jeżeli mnie pamięć nie myli, to dzisiaj Zeew Akerman leży w szóstym rzędzie, mogiła numer siedemnaście.

W koszyku było ciasto i owoce japońskiej askidynii niesłychanej wielkości, olbrzymie jak pomarańcze.

– Z naszego drzewa. Jak zechcesz, to możesz sobie wziąć jedną, ale tylko jedną.

O ósmej dwadzieścia przychodziłem do domu starców, wycierałem nogi w trawnik i wsuwałem sandały.

– Przyszedł wnuk Mirkina – powiadali staruszkowie, siedzący wiecznie u drzwi w oczekiwaniu na odwiedziny. – Przynosi mleko swojemu dziadkowi. Dobry wnuk. – Spoglądali na mnie dobrotliwie. Niektórzy spośród nich przypominali wyglądem dziadka, jakby odlano ich z tej samej formy, inni byli z miasta. Ci byli szarzy i przezroczyści, jak zrzucone naskórki gadów, które zbierałem na polach, słabi, strachliwi jak Szlomo Lewin. Lata niedobrej strawy, „słabości ideowej i oddalenia od natury” odcisnęły na nich swe piętno.

Kiedy zbudowano dom starców, miał służyć tylko naszym staruszkom ze wsi i z kibucu. Po przybyciu tam zwołali oni zebranie, rzucili w twarz pielęgniarce paciorki i szydełka i wyszli do pięknego, kwiatowego ogrodu. Trzęsącymi się, twardymi rękami wykarczowali krzewy herbacianych róż i błękitne kępy południowoafrykańskiego zawciągu i posiali grządki ćwikły, papryki, kapusty i szczypiorku.

Śpiewając potężnym chórem, osuszyli sadzawkę ze złotymi rybkami i skierowali jej wodę do podlewania.

– Brakowało tylko tego, żeby dwóch z nich popełniło samobójstwo – powiedział dziadek – a obraz byłby całkowity.

– Wówczas jeszcze nie wiedziano, jak się nami opiekować. Zestarzenie się chaluców nas zaskoczyło – opowiadał mi Liberson w kilka lat później, gdy zmarła Fania, a jego samego, ślepego i rozgniewanego, przeniesiono do domu starców. – Gdy kruszec Wizji i Czynu rozmienił się na miedziaki zwapnienia, katarakt i bólów w stawach, stanęliśmy wszyscy zdumieni.

Wszedłem do jadalni, gdzie czekał na moje przybycie dziadek, i stanąłem przed nim. Wszyscy wlepiali w niego pełne zazdrości spojrzenia. Pogłaskał mnie z radością po twardowłosej głowie.

– Dzień dobry, Szulamit – powiedziałem do siedzącej obok

niego kobiety.

Szulamit, przyjaciółka dziadka, kobieta schorowana, wysoka i zgarbiona, o siwych włosach i w okularach do czytania, uśmiechnęła się do mnie. Spuściłem oczy.

Pewnego razu nie zastałem dziadka w jadalni. Poszedłem przez trawnik, by zajrzeć do niego przez okno, a tam na łóżku leżała Szulamit z suknią zadartą na obwisłym brzuchu. Dziadek klęczał na dywanie, dziobał ją swoją łysą głową między nogami, a ona mówiła tymi gruchającymi, gąbczastymi literami, których Pines nie chciał mi przetłumaczyć. Zostawiłem im mleko pod drzwiami. Potem dziadek szukał mnie na trawniku. Gdy mnie pocałował w policzek, niesło od jego wąsów przerażającym odorem bagna.

Postawiłem bańkę na stole, zdjąłem pokrywę i nalałem dziadkowi kubek mleka.

– Prosto od krowy – powiedziałem, roglądając się z dumą.

Pielęgniarka Szoszana wytarła swe czerwone dłonie fartuchem, a potem w nie zaklaskała.

– Ślicznie, Mirkin, wypijcie, Mirkin, prawda, że to zdrowe, Mirkin? Mleko jest bardzo zdrowe.

– Ona myśli, że każdy, kto ma więcej niż sześćdziesiąt pięć lat, jest chory na alzheimera – burknął dziadek i wypił mleko do dna. Cztery kubki, jeden po drugim. Szulamit mleka nie lubiła.

Kiedy wychodziłem z dziadkiem z jadalni, wszyscy odprowadzali nas zazdrosnym wzrokiem. Spacerowaliśmy trochę po ogrodzie lub siedzieliśmy na werandzie. Opowiadałem mu po kilka razy, co słyhać w domu, nowiny z obejścia i z sadu, wiadomości o wsi i jej mieszkańcach.

– Jak się ma Pines?

– Znowu słyszał, jak w nocy krzyczał ten jebaka.

– Którą tym razem?

– Za każdym razem inną.

– A Cyrkin?

– Cyrkin kłóci się z Meszulamem. Prosił go, żeby spalił osty na działce, ale Meszulam jest zajęty naprawą starej snopowiązałki.

– Tego grata?

Starą snopowiązałkę marki Clayton, o popękany dyszlu i połamanych skrzydłach, znalazł Meszulam porzuconą, jak szkielet olbrzymiego roztrzaskanego ptaka, gdzieś na tyłach zagrody dla byków. Wstałem i starałem się go naśladować.

– Nie rozmontowuje się historii na części zamienne.

– Meszulam wypcha własnego ojca z mandoliną w rękę – roześmiał się dziadek.

Kiedy dziadek przeniósł się do domu starców, Meszulam przyszedł i zażądał, żebym oddał wszystkie jego notatki, listy i rzeczy osobiste do Baraku Pierwszych.

– Wspomnienia Mirkina mogą rzucić nowe światło na sytuację w Kraju podczas pierwszej wojny światowej – oświadczył.

– On nie pisał wspomnień – powiedziałem.

– Również karteczki i listy mają swoją wartość – powiedział z dostojeństwem Meszulam.

– Mój dziadek jeszcze żyje i ja pilnuję jego rzeczy.

Dziadek roześmiał się, gdy mu opowiedziałem, jak schwyciłem Meszulama za kołnierz i pasek i wyrzuciłem go przez okno na dwór.

– Przez tego Meszulama jeszcze wydarzy się nieszczęście – powiedział i odesłał mnie do domu. – Podleń sad i pomóż w oborze. Nie trzeba czekać, aż Abraham cię o to poprosi.

Jeszcze przez długi czas stał na werandzie i odprowadzał mnie wzrokiem, dopóki nie zniknąłem za zakrętem drogi. Pewnego razu przystanąłem tam, odczekałem pół godziny, a potem ukradkiem wróciłem. Dziadek jeszcze stał.

Zgarbiony od roboty, patrzył z tęsknotą, mściwie czekając. Na powrót swojego syna Efraima, na kwiaty sadu, na Szyfrisa, ostatniego chaluca, który torując sobie drogę poprzez piach i śnieg, przybędzie piechotą do Ziemi Izraela.

– Mam jego zdjęcie – zwierzył mi się Meszulam. Czasami lubił się przypochlebiać, przechadzał się wśród grobów i starał się podobać.

Wyjął je z kieszonki koszuli. Jak we wszystkich fotografiach z tamtego okresu, jej brzegi były wycięte w falistą linię. Efraim wyglądał na niej jak pszczelarz. Jego twarz była skryta pod maską. Młody szczupły chłopak w szerokich spodniach khaki i w butach na słoninie. Zdjęcie nie utrzymało ani urody, ani brzydoty, tylko spokój. Można było to zauważyć, chociaż od zrobienia fotografii upłynęło już wiele lat.

– Dam ci je w zamian za regulamin Stowarzyszenia Pracy – zaproponował Meszulam.

– Zjeżdżaj stąd, zanim ci połamię kości. – Odepchnąłem go od siebie.

Nigdy nie lubiłem Meszulama. Gdy byłem dzieckiem, przychodził często do dziadka i wypytywał o jego pierwsze lata w Kraju.

– A więc powiedz mi, Mirkin, czy spotkałeś się z Frumkinem w Kineret?

– Tak.

– Na stacji pomp przy Jordanie?

– I tam też.

– I słyszałeś, jak mówił, że należy strajkować, aż Berman zrezygnuje?

– Meszulam, czego zawracasz głowę? Berman nie dał im konia ani wozu, żeby mogli odwiedzić chorego kolegę w Tyberiadzie, i kiedy ten kolega zmarł, oni się zbuntowali. On ich zameczał na śmierć. Tak jak wszyscy urzędnicy w Kfar Uriah i w innych fermach.

– Berkin napisał w „Młodym Robotniku”, że w Kfar Uriah było czterech urzędników, i odkrył, iż miały tam miejsce nadużycia finansowe.

– No i co?



– O, przypomnę ci dosłownie, co on napisał. – Meszulam przymknął oczy i zaczął cytować: – „W Kfar Uriah znajduje się czterech urzędników naraz, a co sobie poczynają? Jeden to główny urzędnik, mieszka w Petah Tikwie i przyjeżdża od czasu do czasu na mule, a oprócz niego jeszcze trzech, jeden pełnomocnik od ziemi ornej, drugi inspektor od sadzenia drzew”. I co ty na to? – Meszulam otworzył oczy.

– Wybacz mi, Meszulami, mam dużo roboty. – Dziadek odwrócił się do wyjścia, wzruszając ramionami. Meszulam pobiegł za nim na podwórze.

– Ależ Mirkin, ty nie rozumiesz. On wspomina czterech urzędników, a potem wylicza: jednego w Petah Tikwie, jednego od ornej ziemi i jednego od sadzenia, prawda? To gdzie ten czwarty? Co z czwartym? A Bilickin mówi, że było trzech. Poszukuję kogoś, kto by mi potwierdził słuszną wersję.

– To cię trapi? Ilu urzędników było w Kfar Uriah? Dlaczego nie zapytasz o to Zajcera?

– Zajcer, wiesz o tym bardzo dobrze, nie rozmawia ze mną.

Gdy Meszulam miał dziesięć lat, łąził całutki dzień za Zajcerem i zanudzał go pytaniami, aż w końcu dostał potężnego kopniaka w tyłek. Pobiegł z płaczem do ojca, a ten mu powiedział, że jeżeli nie przestanie zachowywać się w ten sposób, to dostanie kopniaka także od niego.

Również i inni Ojcowie Założyciele nie mogli ścierpieć Meszulama.

– Idź sobie stąd! *Dajosz!* – wrzasnął rozpaczliwie Liberson.

– Jakże można pamiętać, ile pieniędzy zażądał Chenkin od Abramsona na wykupienie ziem Ejn-Szechaja?

Po spędzeniu sześciu godzin w towarzystwie Meszulama Liberson upuścił z rąk ciężką paczkę siana i usiadł na niej zmordowany. Osiemdziesięciolatkowie nie lubią dociekliwych pytań, które im uprzytamniają, że zawodzi ich pamięć.

– Nie musisz pamiętać – powiedział Meszulam. – Tylko mi powiedz.

– Po dwanaście franków za dunam.

– Widzisz, Liberson, jak chcesz, to pamiętasz – ucieszył się Meszulam.

– Lecz teraz wyłania się problem, ponieważ Abramson, w swoim liście do Tiomkina pod koniec wojny, pisze wyraźnie o piętnastu frankach za dunam. Gdzie się podziła reszta pieniędzy?

Moja cierpliwość też pękła.

– Co mi po tym? – zapytałem i rzuciłem fotografię na ziemię.

– Kto mi zaręczy, że to Efraim?

Krowa była podarkiem dla Efraima od brytyjskiej armii, która po wojnie rozproszyła się po całym świecie. Była to ciężarna pierworódka rasy charolais, bardzo cenionej i kosztownej. Lwią część pieniędzy na jej kupno ofiarował sierżant jego oddziału, który wrócił do swojej rodzinnej kopalni diamentów w Rodezji. Dwóch Szkotów, tajnych agentów, przekazało te pieniądze byłemu członkowi maquis, który obecnie zajmował się w Dijon naprawą wyścigowych motocykli, a on kupił tę krowę od starej chłopki w okręgu Charolais i przekazał ją w ich ręce. Agenci przeprowadzili krowę przez góry do jednego z miast portowych, a flota brytyjska przewiozła ją do kraju szarym krążownikiem, którego zadaniem było wyszukiwanie na morzu stateczków z nielegalnymi imigrantami.

Efraim przywdział mundur i odznaczenia i pojechał do portu.

– Wrócił z kulejącym anemonem<sup>[31]</sup>, majorem Stubbsem, w wojskowej ciężarówce Bedford. W skrzyni stała krowa, jeszcze zielonkawa po długiej morskiej podróży.

Cała wieś wyległa na główną szosę, by ją zobaczyć. To była pierwsza krowa rasy charolais w Kraju. Razem z nią przybyły w pudełku z orzechowego drzewa oprawne w ramki zaświadczenia francuskiego Ministerstwa Rolnictwa.

– Nigdy w życiu nie widzieliśmy takiej krowy. Niska, szeroka, pełna godności z powodu czystości swojej rasy, w czym żaden człowiek nie mógłby jej dorównać. Zobaczyłem ją i po raz pierwszy zrozumiałem wyrażenie, którym Jeremiasz nazwał Egipt – „dorodna jałowica”.

– „Skromność”, ładna jałówka Jakobiego, nagrodzona trzecią nagrodą na wystawie rolniczej w Hajfie, wyglądała przy niej jak pomarszczony bukłak Giwończyków – powiedział Pines.

– Niosło od niej delikatnym zapachem czerwonego mięsa, a moja córka, ku uciesze wszystkich, patrzyła na nią zgłodniałym wzrokiem.

W półtora miesiąca po przybyciu krowa Efraima się ocieliła.

– Takiego stworzenia jeszcze u nas nie widziano. Dwóch weterynarzy odebrało cielę, nasz miejscowy i angielski okręgowy, odpowiedzialny za konie i psy policyjne.

– Zachowywała się dzielnie – powiedzieli, gdy ściągnęły gumowe rękawiczki i umyli ręce z krwi i kału. Arystokratyczna krowa ocieliła się w najbardziej ukrytym kącie obory i nie wydała z siebie nawet jednego stęknienia, nie tak jak nasze krowy rasy mieszanej, które ryczały, jakby je prowadzono na rzeź, i zapraszały swoje koleżanki, by podeszły bliżej i popatrzyły.

Efraim przyjrzał się noworodkowi, stojącemu po raz pierwszy na swych czterech nogach, i nie posiadał się ze szczęścia. Swoją szeroką szyją i kwadratowym czołem, grubymi nogami, i jasnymi, miękkimi kędziorkami cielę wzbudzało w nim miłe dreszczyki i czułość.

Ukląkł przy nim, położył rękę na ciężkim karku i zdjął z twarzy siatkową maskę, a cielę wysunęło chropowaty język, oblizało mu spalony policzek i próbowało ssać jego zniekształcone ucho i nos. Potykało się jeszcze przy chodzeniu. Obok stała matka, pochrapując gniewnie, i grzebała kopytami dołek, żeby zakopać łożysko.

– To była wyjątkowa przyjaźń – opowiadał mi Abraham, który był specem od bydła.

– Efraim uścisnął cielątko – opowiedział mi Pines – i kierując się jakimś nagłym, krępującym wszystkich obecnych impulsem, podrzucił je w ramionach jak niemowlę, wyszedł z podwórza i poszedł z nim daleko w pole.

– Chodził tak wuj Efraim, niosąc na swych ramionach te czterdzieści słodkich kilogramów, i postanowił w duchu nazwać

swojego małego Francuza Jean Valjean.

– Dziadek zdjął mi z szyi fartuszek, podniósł mnie z krzesła, posadził sobie na ramionach i począł krążyć i podskakiwać po pokoju. Cielę charolais położyło swój ciepły, kędzierzawy łeb w zagłębieniu szyi swojego pana, cichutko pomrukując. Dziadek podrapał mnie palcami po karku, a z podwórka dobiegło myczenie matki szukającej swojego dziecka. Efraim biegał radośnie i wesoło po polu, aż nastał ziąb, a wtedy zwrócił Jeana Valjeana matce, by mu dała ssać.

Byczek wzbudził we wsi wielki entuzjazm. Angielski weterynarz wrócił po tygodniu, by mu złożyć wizytę i wydezynfekować pępek. Pospołu z naszym miejscowym weterynarzem uczyli Efraima, jak ma go hodować.

Za dnia Efraim przechadzał się z Jeanem Valjeanem po podwórzu i po sadzie, a w nocy, po sprzątnięciu obory, powracał do niego, sprawdzał, czy słomiana podściółka jest dostatecznie gruba i sucha i czy nie pożarł go jakiś zły zwierz. Po czym kładł się na łóżku, jego jedyne oko błyszczało w ciemności, a serce miało wypełnione szczęściem. Benjamin pokpiwał sobie z niego i nazywał go Minotaur, lecz Efraim się nie obrażał i powiedział, że cielak nie znał go przed okaleczeniem i przyjmuje go takim, jaki jest.

Kiedy Jean Valjean skończył miesiąc, wuj załadował go sobie na plecy i wyszedł po raz pierwszy od swojego powrotu na ulicę.

– Wychodzę pokazać mu wieś – oznajmił swoim nadpękniętym głosem.

Spoglądano na niego ze zdziwieniem, ale Efraim zaskrzeczał spod maski, mówiąc, że chce tylko pokazać cielęciu miejsce, w którym się wychował – naszą wieś. Ludzie szli za nim, uśmiechając się z zakłopotaniem, głaskali Jeana Valjeana i obmacywali jego miłe w dotyku członki. Niektórzy uśmiechali się do Efraima, pozdrawiali go i budzili w jego sercu nadzieję. Postanowił, iż odtąd jego stosunki ze wsią wstąpią na nową drogę, i gdy przyszedł do niego Chaim Margolis i poprosił o pomoc

w likwidacji Bułhakowa, chętnie na to przystał.

Bułhakow, wielki kot, ulubieniec Rywy Margolis, zdziczał i stał się najstraszliwszym zbrodniarzem, jakiego zdarzyło się kiedykolwiek spotkać na naszych polach.

– Kot Margolisa był jedynym zwierzęciem mordującym nie dla zaspokojenia głodu, ale dla przyjemności – powiedział Pines, który utrwalił pamięć Bułhakowa, czyniąc go specjalnym tematem na swoich lekcjach przyrody. – Uległ złym wpływom ludzi.

Wyjaśnił nam, że stało się tak dlatego, że był to kot domowy i obca mu była moralność lasu.

Bułhakow był srebrzystym perskim kotem o długiej, pięknej sierści. Wskoczył pewnego dnia z autobusu, który zajeżdżał do wsi raz dziennie, i od razu skierował się do obejścia Margolisa, jak gdyby urodził się i mieszkał tam przez całe swoje życie.

Wspaniały kot wszedł do domu, otarł się o łydki Rywy i oboje przymknęli oczy z wielkiej rozkoszy. Rywa Margolis nigdy dotychczas nie widziała tak pięknego zwierzęcia. Bułhakow wskoczył miękko na stół, chleptał mleko i z uśmiechem badał zawartość stojących na stole słoików. Jeszcze po upływie wielu lat Rywa gotowa była przysiąc, że głośno odczytał napisy na nalepkach: „miód lucernowy,” „miód z kwiatów leśnych,” „miód z pomeli”. Gość postukał wypolerowanym pazurkiem w słoik z napisem „miód z roślin pastewnych”, żeby mu go otworzyła, a kiedy po zjedzeniu zakończył czyszczenie wąsów i zwinął się na jej kolanach, Rywa przypomniała sobie skrzynię z wyprawą, którą jej przysłali rodzice z Kijowa. Grube dywany, skonfiskowane na rozkaz zarządu i wymienione na holenderskie krowy i karabiny maszynowe, porcelanę z Limoges i kieliszki Stubena potłuczone w pszenicznych polach. Każdej jesieni od nowa kultywatory wydzierały z ziemi ich pobłyskujące skorupy.

Ów perski kot wszedł do domu Margolisów w dwadzieścia lat od dnia, w którym stłuczono ostatnią paterę. Jedyne kot w Dolinie, który nie chciał pić mleka z kozuszką. Rywa wiedziała, że i jego również przysłali jej rodzice. Nazwała go Bułhakow, po pewnym kochającym koty młodym Rosjaninie,

którego poznała w klubie pisarzy w Kijowie.

– Możesz mnie wysmarować zawartością całego ula – powiedziała mężowi – ale ten kot jest własnością moją, a nie całej wsi. Nie będzie orał ani włókł wozów i nie będą go doić.

Zawiązała Bułhakowowi na szyi purpurowe wstążki, nasypała mu do drewnianej skrzynki drobniotkiego piaseczku, a w południe piękne zwierzę jadło już z całą rodziną.

Nazajutrz wzięła go Rywa Margolis ze sobą do spółdzielczego sklepu.

– Robisz głupstwo, Rywo – powiedziała jej Fania Liberson, gdy dojrzała na pyszczku kota wyraz obrzydzenia na widok nędznego asortymentu towarów na półkach. – Ten kot nie należy do tego miejsca; albo on będzie cierpiać, albo my.

Lecz Rywa głaskała Bułhakowa i czuła, jak miękkość jego futerka wygładza bruzdy w skórze jej dłoni i jak zakurzona stodoła jej męża przemienia się w ukraiński dworek obrosły złotym bluszczem.

Margolis się nie sprzeciwiał.

– Tylko żeby mi się nie zbliżał do uli – powiedział – i żeby nie ruszał moich włosów.

Rywa była zupełną wariatką na punkcie czystości i Bułhakow był jedyny w rodzinie Margolisów, któremu pozwalała przechadzać się po zamkniętych pokojach i włązić na poprzykrywane meble, a kiedy kot zwijał się w kłębek na pokrowcu kanapy, wszystkie ziarnka kurzu osiadały i znikwały, a w powietrzu rozprzestrzeniał się delikatny aromat poziomek w śmietanie i słychać było plaskanie po podłodze bosych nóg dziewczek służebnych. Nie zbliżał się do pasieki i ani razu nie poszedł do stodoły polować na myszy, nie wdrapywał się na drzewa, a gdy jeden z psów Ryłowa rzucił się na niego, nie uciekł, tylko podsunął swoją wielką łapę pod pysk wroga, jakby chciał się jej przypatrzeć, i wysunął sprężyście, jeden po drugim, swe szlifowane pazury, jak serię ostrych błyskawic.

Tak żył sobie trzy lata, aż pewnej nocy, gdy spacerował w polu ze znużoną, pańską miną, trafił między gąszcze przy źródle

i zetknął się tam z dzikimi kotami, puchaczami i łasicami. Nikt nie wie, co się wówczas wydarzyło, ale od tego momentu jego zwyczaje zmieniły się krańcowo. Na początku przyswoił sobie chuligańskie głośnie i ochryple wycie, potem stracił dobre maniery, stał się niecierpliwy, gwałtowny i skory do gniewu. Wszyscy zauważyli zmianę, lecz nikt nie zdołał przeczuć, na co się zanosi. Jak to zwykle u nas na wsi – nie umiano odcyfrować znaków. Wszakże widziano już psy wyjące razem z szakalami, gospodarskich synów, którzy wywędrowali do wielkiego miasta, i zbiegłe cieleta, usiłujące przyłączyć się do dżamusów. Uri twierdził, że szczyt osiągnął gołąb pocztowy Ryłowa, który zagnieżdżył się razem z gołębiami skalnymi w górskich szczelinach i zdradził im wszystkie tajemnice. Ale nikt nie przeczuwał, iż coś podobnego zdarzy się Bułhakowowi.

Skrócił swe cudowne futro na sterczącą, antypatyczną fryzurę, na uszach, wzorem rysia, zapuścił szczeciniaste, czarne pędzelki, a w końcu uciekł z domu i zamieszkał w polu, pozostawiając zdziwionego Margolisa i wstrząśniętą Rywę.

Rywa udała się na poszukiwania, rozsiewała po polach smażone wątróbki, ulubione słodczyce gotowane na mleku i usypywała całe wzgórza bielutkiego piaseczku, lecz nic nie skutkowało.

Niekiedy udawało jej się zobaczyć go przemykającego jak cień między drzewami sadu. Razu pewnego popędziła za nim, błagając, by wrócił, lecz Bułhakow odwrócił się w stronę swojej pani, rozciągnął groźnie wargi i parsknął. Odór kwasów trawiennych i zgniłego mięsa wydobywający się z jego pyska oszołomił Rywę.

Wróciła, płacząc, do domu i spędziła całą noc na czyszczeniu klamek pastami do polerowania i sokiem cytrynowym.

Powodowany żądzą zabójstwa dla zabójstwa, pozostawiał Bułhakow za sobą w kurnikach całe sterty popstrzonych krwią trupów z podciętymi gardłami. Jak wszyscy nowo nawróceni, wprowadzał bezkompromisowo w życie nakazy swojej nowej

wiary.

Był tak straszliwy, że kury, czyniące zazwyczaj w chwili niebezpieczeństwa szalony hałas, siedziały jak oniemiałe, gdy jego piękne oblicze ukazywało się za siatką kurnika. Wykańczał całe stada młódek ankona, a gospodarstwo swojego byłego pana niszczył doszczętniej niż wszystkie inne, umyślnie, na złość.

Gospodarze zastawiali na niego sidła i pułapki, lecz nie mogli go złapać. Sprowadzili nawet z góry Karmel druzyzjskiego myśliwego, ale diabelski kot skoczył mu na kark, podarł myckę i koszulę tak, że ów wrócił pobladły do domu, odmawiając po drodze modlitwy.

Zrozpaczony Margolis postanowił zwrócić się do Ryłowa, a ten zaalarmował dwóch najbardziej doświadczonych szomrów<sup>[32]</sup> z Galilei. Lecz stare abaje, wysokie buty, mauzery i tajne hasła nie zrobiły na kocie najmniejszego wrażenia. Był mądry i nieuchwytny. Znał ludzkie zwyczaje, na zatrute mięso nie leciał, unikał pułapek i był cichy jak obłok.

– Jestem pewien, że któraś z kurek z wielkiego strachu otwiera mu nawet drzwi – powiedział Margolis do dziadka i Efraima.

Efraim przyniósł od Anglików karabin i jedną kulę, a po zachodzie słońca usadowił się między paczkami słomy w stodole Margolisa. Mogę sobie wyobrazić, jak jego jedyne oko zagląda między otwory sieci i źdźbła słomy. Gdy nadszedł Bułhakow, Efraim wynurzył się ze schowka i na swoich bezszelestnych nogach zaszedł kota od tyłu, uśmiechając się do siebie pod pszczelarską maską.

Margolis i dziadek ukryli się w składziku.

– Wyglądaliśmy przez okno i widzieliśmy drapieznika i idącego za nim prześladowcę: dwa ciche cienie. W ciemności świeciły trzy zielone punkty, jeden wysoko, a dwa nisko. Przed drzwiami wylęgarni Efraim powiedział kotu: „Hands up”. Bułhakow zastygł.

– Nie ze strachu, ale ze zdumienia – wyjaśnił dziadek.

Nastroszył pędzelki uszu i odwrócił się do tyłu, by zobaczyć,



kto zdołał go tak przechytrzyć. Efraim zdjął maskę z twarzy, a kot z przerażenia rozwarł pysk. W ten rozwarty pysk wystrzelił Efraim jedną ołowianą kulę, której wcześniej nadpiłował miedziany wierzchołek. Wyszczerbiony pocisk rozprysnął się w czaszce Bułhakowa i rozniósł jego mózg na strzępy, które z nadmiaru zawartej w nich zapiekłej złości podrygiwały na ziemi i ścianach.

– Teraz jesteśmy obaj podobni do siebie – powiedział Efraim do ścierwa, które nie przestawało drgać i wydzielać stężonych trucizn.

Powiedział i wrócił do swojego pokoju.

Zdarza się, że przychodzi mnie odwiedzić gość ze wsi, głodny żołnierz w drodze do domu, skarbnik czy też kierownik działu, którego sprowadzają do nadbrzeżnych miast interesy. Przechadzają się po wielkim domu pełni podziwu, wychodzą na trawnik, by popatrzeć na kąpiące się kobiety. Młodszy proszą wstydlawie, bym im pożyczył strój kąpielowy, którego zresztą nie mam, a starsi wzdrygają się na widok horyzontu i odwracają oczy w kierunku żywopłotu lub spuszczaają wzrok na ziemię, pragną spokoju zakazów i granic, do których się przyzwyczaili.

Mnie morze już obrzydło. Bardzo rzadko słyszę jego szum, właściwie jedynie wtedy, gdy chcę go słyszeć. Również i widok fal przestał mnie hipnotyzować. Z tak małej odległości morze traci całą swoją grozę. Wygląda miękko i leniwie, przeciąga się i wyleguje w słońcu, a nawet zimą, gdy szarzeje i jest zgorzkniałe, a deszcz kropkuje i pokrywa je, jak ospą, małutkimi dziobami, wygląda, jakby stroiło sobie żarty. Ja w nim nie pływam i mnie ono nie przeraża.

– Co słychać? – pytają.

– W porządku.

Staram się ich ładnie przyjmować, tak, jak sam to rozumiem. Usprawiedliwione legendy o moim bogactwie nabrały rozgłosu i być może oni oczekują biesiady z tucznego wołu i szpikowych kości, lecz ja donaszam jeszcze moje stare ubrania i jadam to samo, co jadałem we wsi. Tylko siary już nie pijam, bo dostatecznie wyrosłem i nabrałem siły, oraz wprowadziłem w życie wszystkie dziadkowe plany. W tylnej części trawnika zmieszałem siedem metrów sześciennych ciężkiej ziemi ze wsi z piaszczystą ziemią ogrodu; ziemię przywiózł mi Buskila czarną furgonetką i obecnie hoduję w niej kilka krzewów pomidorowych, szczypiorek, ogórki i zieloną paprykę. Kręcące się tam kury pozamykałem w kurniku, bo dzieci z sąsiedniego osiedla rzucały w nie kamieniami, a ja obawiałem się, że wyjdę i zbyt mocno któremuś przyłożę.

– Bardzo ładnie – mówią goście i kręcą się po pokojach takimi samymi ostrożnymi krokami, jakimi kręcili się u mnie kiedyś między nagrobkami. Cisi, niezręczni w swoim zmieszaniu, szukają tajemnic i wyjaśnień.

Przyjmuję ich w kuchni. Przygotowuję surówkę, jaja na twardo, mieszam tłuczone ziemniaki ze zsiadłym mlekiem i podsmażoną cebulką, kraję śledzie.

– Co słyszeć na wsi?

Opowiadają mi o Rachel Lewin, której nie mają się lata, o żonie sekretarza Jakobiego, która zorganizowała we wsi kółko dramatyczne, o kłótniach wynikłych z powodu wzajemnych poręczeń za pobrane pożyczki, o synu Margolisa, który wyłamał się ze spółdzielczej wspólnoty, otworzył przy szosie prywatny stragan sprzedaży artykułów pszczelarskich i rozpętał burzę na zebraniu towarzyszy.

– Ty jesteś temu niemało winien – powiedział mi Uzi, wnuk Ryłowa, który zjawił się u mnie nagle na kilka miesięcy przed tym, zanim poległ w którejś z wojen, jak gdyby zapomniał, że kiedyś skoczył mi na plecy i ciągnął mnie za uszy, i jak gdyby jego ojciec Dani nie obrzucał Efraima obraźliwymi wyzwiskami. Nie mam do niego żalu za krótką pamięć, rozumiem już teraz, że istnieją ludzie o pamięci krótszej niż moja, i się nie dziwię. Ja swoją ćwiczyłem, na równi z Meszulamem, wędrując koleinami pamięci innych.

– Wiele jesteś temu winien – zaatakował mnie Uzi. – Zniszczyłeś w naszym życiu coś bardzo zasadniczego.

– Tak chciał dziadek – odpowiedziałem ze znużeniem.

Uzi tylko się uśmiechnął, jakoś tak chytrze i denerwująco.

– Kumpłowi możesz powiedzieć prawdę – odrzekł. – Przestań strugać przygłupa. Wszyscy już wiedzą, że jesteś o wiele mądrzejszy, niż sądzili i niż wyglądasz.

Pewnego dnia, gdy otworzyłem drzwi, znalazłem się oko w oko z Danielem Libersonem.

– Jestem przypadkowo w tej okolicy i pomyślałem sobie, że wstąpię – powiedział ze złością.

– Proszę – zaprosiłem go.

Daniel był pierwszym gościem, który nie okrążył chińskiego dywanu w salonie. Przemaszerował po nim w roboczych butach prosto do kuchni, otworzył lodówkę i zajrzał do środka.

– Nie masz zimnej wody?

Gestem nieomal przepaszającym pokazałem mu wgłębienie w drzwiach lodówki wyrzucające kostki lodu.

– Co za postęp – uśmiechnął się – od czasu, gdy twoja babka płakała u nas z powodu lodówki przysłanej z Ameryki.

Nawet teraz mogę go sobie z łatwością wyobrazić, jak pełźnie w pieluszkach do kołyski mojej matki. Wierność i miłość ciągle jeszcze rysują się na jego twarzy, a w palcach czai się do dzisiaj chęć mordy.

Popatrzył przez okno, odetchnął głęboko.

– Ta okolica jest tak zupełnie inna – powiedział. – Chodź, Baruch, przejdźmy się po brzegu.

Daniel szedł powoli, a odległości między jego śladami były tak dokładne, jakby je ktoś odmierzył centymetrem. Pomachałem z daleka ręką Dejwidowi, starszemu wypożyczającemu leżaki.

– Więc co robisz po całych dniach? – zapytał Daniel.

– Nic specjalnego.

– Ja czasami chodzę na waszą działkę. W rocznicę śmierci ojca i matki. Uri ładnie pracuje. Dobry rolnik, poważny. Bardzo się zmienił ten twój kuzyn. Zmienił się na lepsze.

Daniel nie jest podobny ani do swojego ojca, ani do matki. Eliezer Liberson do swojego ostatniego dnia głowę miał całą w kędziorach. Daniel był już niemal zupełnie łysy, mocniej od ojca zbudowany i bardziej milczący.

– A czasami wchodzę na wzgórze, na grób twojej mamy.

Niech sobie mówi o tym, jeżeli ma ochotę, pomyślałem, ja mu nie będę przeszkadzał. Ja też, jak i on, jestem spętany i przykuty. Wszystkim nam tkwi w nosie pierścień wspomnień i ziemi.

– Dzisiaj już się nie gniewam – ciągnął. – Doszedłem do wniosku, że w odpowiednim wieku się zakochałem i również

w odpowiednim wieku ta sprawa dobiegła końca.

Za nami rozległ się głośny warkot. Wzdłuż linii wody jechali na niebieskim motocyklu chłopak z dziewczyną, pryskając wodą i mokrym piaskiem, zostawiając za sobą błyski złotawych ciał i zębate ślady opon.

– Jeszcze dziś, chociaż ożeniłem się z inną i spłodziłem z nią dzieci, ciągle spotykam ludzi, którzy patrzą na mnie, a ja w ich oczach widzę Ester.

Żony Daniela nie znam bliżej. Jest to kobieta bardzo pracowita, niska i krzepka, podobna do oślicy. Przywiózł ją, zalęknioną i przejętą, z osiedla nowych imigrantów, w którym był wówczas instruktorem. U nas we wsi zasłużyła sobie na określenie: „Rumunka, ale porządna”.

– Jeszcze pamiętają Ester i mnie jako dzieci. Meszulam mówi, że naszą miłość interpretowano we wsi jako możliwość, jako proroctwo wynikające bezpośrednio z lekcji Pinesa. Syn Libersona z córką Mirkina. Gdyby nie moja matka i twój dziadek, proroctwo by się spełniło.

– Jak się miewa Meszulam?

– Mógłbyś być moim synem – szepnął zduszonym głosem. – Z pewnością inaczej byś wyglądał i się zachowywał.

– Albo może w ogóle by mnie nie było – odpowiedziałem.

– To była miłość dziecinna – powiedział Daniel. – W wieku ośmiu lat, gdy wszyscy chłopcy nie cierpią dziewczynek, Pines posadził nas w chórze szkolnym na jednej ławce i wtedy się w niej zakochałem.

Powiedział mi kiedyś Meszulam, że do wszystkiego, co się zdarzyło w Dolinie, istnieje więcej wersji, niż było osób działających.

– Pewnego razu, gdy byliśmy w trzeciej klasie, zaciągnęła mnie na górę. „Tam są kuropatwy”, powiedziała. „Chcę łowić kuropatwy i zbierać kwiaty do zasuszenia”. Kręciliśmy się tam całutki dzień, a przed zachodem słońca ona powiedziała: „Zostańmy tu na noc między skałami”. Ona się niczego nie bała, ale potrafiła dać mi odczuć, iż spodziewa się po mnie, że będę jej

broniał. Możesz sobie wyobrazić? Dziewięcioletnia dziewczynka... Całą noc leżeliśmy wśród skał, ona mi powiedziała, że przenigdy nie wyjdzie za mnie za męża, i to już w wieku lat dziewięciu, ponieważ jestem za poważny, za bardzo kochający, za bardzo zależny. Dzięki wielkiej ilości mięsa, które spożywała, wyglądała jak dziewczynka, a myślała jak kobieta.

– I co się stało?

– Rano znalazł nas Zajcer. Wioska była całą noc na nogach. Ryłow sprowadził ze wzgórz beduińskich pasterzy, a z Tel Adaszim konnych jeźdźców, ale to Zajcer był tym, który zawsze znajdował zaginione dzieci, i on nas zabrał do domu.

– Z wami, co się stało z wami?

– Co się z nami stało?! – zaryczał.

Dwóch rybaków, siedzących co wieczór na brzegu, odwróciło się i spojrzało na nas.

– Co się stało z nami, pytasz? Próbujesz naśmiewać się ze mnie? Nie wiesz, co się stało?

Nie odpowiedziałem mu. Porównywanie wersji zawsze przysparzało mi rozczarowań.

– Ona wolała twojego ojca, który był tak krzepkim, twardym i durnowatym bydlęciem, że potrafił przenieść na nią to cudowne poczucie męskiej obojętności.

– On ją uratował – krzyknąłem. – Kiedy ty i Efraim pobiegniecie szukać drabin, on pochwycił ją w ręce, zanim spadła.

– Oho – ryknął Daniel. – To ci naopowiadali? On ją uratował?

Milczałem.

– Oni byli bardzo interesującą parą, twój ojciec z twoją matką, bardzo interesującą parą. We wsi wszyscy opowiadają niestworzone rzeczy, że ja ją adorowałem z garnkami pełnymi pieczonego mięsa, że podczas jej wesela ukryłem się w eukaliptusowym lesie i wrzeszczałem, że wyorałem jej imię w polu literami wielkości kilometr na kilometr...

– Nie wyorałeś?

– Powiedz mi – rzucił Daniel, zwracając się napastliwie

w moją stronę. – Czy ty myślisz, że podczas orki pod zboże, przed siewem, ktokolwiek ma choć trochę wolnego czasu, żeby rysować w terenie litery wielkości kilometra na kilometr? Gdzie ty żyjesz, powiedz mi, gdzie ty żyjesz?! Na jakim świecie się znajdujesz? Czy ty sobie zdajesz sprawę, co się dzieje na wsi? Co się dzieje w państwie? Czy wiesz, że Ruch jest w poważnych tarapatach? Że młodzież nas opuszcza? Że cała wieś jest pogrążona w długach? Że sprzedają dojne krowy i karczują sady? Czy wiesz, że ludzie padają na wojnach, czy może myślisz, że pomnik poległych jest jeszcze jedną skamieliną, którą Pines znalazł w ziemi?

Przez pewien czas przechadzaliśmy się w milczeniu. Powoli oddech Daniela wrócił do normy, a policzki przestały mu drżeć.

– Tym, kto mi naprawdę pomógł, był twój dziadek – powiedział w końcu. – Wyrwałem ją sobie z serca po nocy, której on mnie usłyszał, skomlącego jak dureń naprzeciw waszego baraku. Wszedł do mnie na swoich krzywych nogach i powiedział: „Tak jej nigdy nie zdobędziesz”. A ja, Daniel, syn Eliezera Libersona, sportowiec i tancerz, śmiertelnie zakochany, podniosłem się z ziemi i pomyślałem: wszakże nie znam żadnej innej drogi do jej zdobycia.

Znowu milczenie.

– Wyrwałem ją, jak wyrywa się chwast, jak łobodę, jak portulakę, jak perz. Nie zostawiłem w ziemi ani kawałka kłacza, spaliłem wszyściutko. Ona nie była warta ani chwileczki miłości.

– Ja nie bardzo wyznaję się w tych rzeczach, miłość i to wszystko – wyjąkałem.

– Ta noc, tam na górze – powiedział Daniel. – To jedyna rzecz, którą chronię w sercu. Byliśmy dziećmi, trudno mi to zrozumieć, ale byliśmy przecież w końcu maluchami. Dzikie koty podchodziły do nas, szakale obwąchiwały nam stopy. Ona całą noc mówiła, a ja ze strachu głaskałem ją i całowałem w szyję, słyszałem ją ustami.

Struny głosowe wibrowały w gardle mamy, wstrząsały powietrzem nad jej skórą. Dziewięcioletni Daniel nie potrafił zrozumieć, iż od tej chwili jego życie potoczy się po straszliwym

stoku otrzeźwienia.

– Coś powiedział?

– Nic, ja tak sobie – odrzekłem.

– Nie miałem zamiaru opowiadać ci o tym wszystkim – powiedział Daniel. – Wstąpiłem tutaj przypadkowo, wiedziałem, że byłeś jako dziecko bardzo przywiązany do moich rodziców. Oni cię również bardzo kochali, ma się rozumieć, do pewnego stopnia. I wierz mi, że nie miałem zamiaru opowiadać ci o tym wszystkim.

– Nie opowiedziałeś tak wiele; większość z tego już wiedziałem.

– Nigdy nie ustąpisz, co?

Popatrzył na mnie z ciekawością.

– Kiedy byłeś dzieckiem, wiele razy ci się przyglądałem. Nie zwróciłeś z pewnością uwagi. Pewnego razu poszedłem na wycieczkę z twoją klasą, Pines mnie prosił, żebym was eskortował, a ja przyglądałem się tobie. Myślałem sobie: żeby mu się tylko nic nie przydarzyło, bo potem będą obwiniać mnie. Byłeś dziwnym dzieckiem, przywiązanym do Pinesa. Dźwigałeś jego siatki i trutki i poruszałeś wargami, gdy mówił.

– Pines był dla mnie jakby drugim dziadkiem – powiedziałem.

– Na ich weselu i później patrzyli na mnie wszyscy z takim smutkiem, tak jakoś, jakby chcieli zastosować wobec mnie zasadę wzajemnej pomocy, wszakże mamy zasady. Cierpiącemu towarzyszowi należy pomóc, nawet jeżeli jest młody i głupi. Gardziła mną tylko moja mama, ten motylek winnic, ta gazela miłości.

– Zrozum – dodał po krótkiej przerwie. – To wszystko zdarzyło się z powodu *idée fixe*, która opętała moją matkę w związku z twoją babcią, nieszczęsną Fejgą. Tylko przez to.

– W naszej wsi miłość, nienawiść i wzajemne porachunki są jak naczynia połączone – zrobił uwagę potem, jak wróciliśmy już do domu. – Naciskasz w jednym miejscu, a całe gówno i błoto wyłazi w drugim, a w końcu wszystko wraca do równowagi,



wyrównuje się i uspokaja. Ja zapłaciłem za to, że twój dziadek kochał w dalszym ciągu tę swoją Kryniczanę, Meszulam zamordował Chagit, ponieważ Pesi było trudno pracować w gospodarstwie, a twoja babcia, nieszczęsna Fejga Mirkin, zapłaciła za wszystko. Ja ją jeszcze pamiętam, chociaż kiedy zmarła, byłem małym dzieckiem. Jedyne kłótnie między moimi rodzicami zdarzały się z jej powodu.

– Zanim przybyłam do wsi, widywałam twoją babcię bardzo rzadko – opowiadała mi w dzieciństwie Fania Liberson – i zawsze z daleka. Za pierwszym razem zobaczyłam ją koło Magdali. Szła z nimi po górach, a ludzie w mojej grupie stanęli jak rażeni prądem. Szeptali między sobą i wskazywali palcami na Stowarzyszenie Pracy. Fejga miała na sobie ubranie, jakie nosili galilejscy robotnicy: białą bluzę i czerwone arabskie obuwie; nieomal można było dostrzec sznurki, którymi wszystko było powiązane. – Fania się uśmiechnęła. – Ja nie orałam, nie siałam i nie tłukłam kamieni. W mojej grupie wszyscy byli wielkimi idealistami, dużo gadali o równości i wspólnocie, ale posyłali dziewczyny do pracy w kuchni. Poprzedniego wieczoru przypaliłam soczewicę i nigdy nie zapomnę potoku wyzwisk i zniewag, który musiałam wycierpieć. Urządzili mi pociąg, walili talerzami o stół, podawali je sobie z rąk do rąk i rzucali na podłogę. Płakałam calutką noc. W oczach robotnic Fejga Lewin była osobistością.

Kiedy Fania pojawiła się we wsi, poprosiła Libersona, by ją poznał z Fejgą.

– Zbliżyłam się do niej wstydliwie i popatrzyłam jej w oczy.

Ujrzała, że wzrok Fejgi rozprasza się i omija ją z obu stron. Nie wierząc sama sobie, że to czyni, Fania podniosła rękę i położyła je na chłodne skronie Fejgi.

– One zawsze były zimne i wilgotne; skronie ze szronu.

Oczy babci zogniskowały się i obie kobiety stały się serdecznymi przyjaciółkami. W latach, które nadeszły, urodziła babcia, jedno po drugim, troje dzieci. Fania urodziła martwe dziecko, a potem swojego jedynaka, Daniela.

– Powinnaś była wyjść za mąż za wszystkich trzech albo za żadnego – powiedziała Fania. Wiedziała, że między Jakubem Mirkinem a jego żoną panują dobre stosunki, lecz nie ma w nich miłości.

– Po wspólnie spędzonych dziesięciu latach oni już byli jak trzej bracia z siostrą – zwykła była mawiać Fania za każdym razem, gdy ludzie porównywali ze sobą różne wersje opowiadań i wysuwali rozmaite hipotezy dotyczące członków Stowarzyszenia Pracy. Ona nie wybaczyła swojemu mężowi ani jego dwóm towarzyszom. Od chwili zgonu Fejgi płonął w niej gniew, który ani na chwilę nie przygasł.

– Widziałam ją siedzącą i płaczącą na wielkim bazaltowym kamieniu u brzegu jeziora Genezaret. Był wieczór, wszyscy trzej czesali jej włosy. Nigdy tej sceny nie zapomnę – mówiła Fania do Rachel Lewin. Obie staruszki siedziały w ogródku Rachel, pełnym pachnących ziół; zapach olejków eterycznych owiewał mnie, gdy czałem się w żywopłocie.

– Wszyscy wiedzieli o tym, że się ukrywasz i podsłuchujesz – powiedział Daniel i się uśmiechnął. – Mnie to nie przeszkadzało. Siedzieliśmy na dachu mojego domu.

– Stąd robię swoje obserwacje – powiedziałem, nakrywając do stołu.

– Pamiętam jeszcze twojego dziadka młodym, twoją babcię, Efraima jako dziecko.

– Twój dziadek był najmądrzejszym człowiekiem, jakiego znałem – powiedział mi nazajutrz rano. – Mądrym i złym.

Był w dobrym humorze. Wszedł do mojego małego ogródka, zerwał z krzaczka zieloną paprykę i zjadł ją z przyjemnością.

– Świetna papryka – powiedział. – U nas na wsi z wyjątkiem Rachel Lewin nikt już jarzyn nie hoduje. Kupujemy jarzyny w spółdzielni jak mieszcuchy. I taki też mają smak.

– Zastanawiałem się zawsze – powiedziałem – dlaczego przybywali ze wszystkich stron świata, żeby spocząć obok niego.

– To widocznie sprawa mody, lecz on był niewątpliwie

człowiekiem, którego wszyscy uwielbiali. Nawet mój ojciec czuł się przy nim mały i pełen winy, a Cyrkin to w ogóle... Czy wiesz – dodał – że kiedy byłem dzieckiem i spędzałem, jak ci wiadomo, wiele czasu w waszym baraku, przyjeżdżali do niego z całego Kraju ludzie, by im poradził w sprawach drzew owocowych? W całym Kraju było wiadome, że wyleczył pardesy z komozy. Może mieli go za proroka. Mirkin pod palmą – dodał po kilku minutach. – Zielonopalcy Mirkin z aureolą tęsknoty wokół głowy.

Między Efraimem a Jeanem Valjeanem zapanowała wielka miłość i po upływie kilku tygodni, podczas których cielęciu przybýwało na wadze po kilogramie i więcej dziennie, ładowanie go sobie na ramiona stało się już rutyną. Nie zważając na brzemię, czuł się Efraim lekki i szczęśliwy, jak gdyby cielę zmieniło się w jego własne ciało i stało się kością z jego kości. „Thusta Francuzka”, tak ją nazywali we wsi, wiedziała już, że syn jej wróci ze spaceru zdrowy i cały, i powierzała go Efraimowi ze spokojnym sercem. Cielęciu również to się podobało i witało ono swojego pana na podwórzu figlarnym wierzganiem, bodąc go łagodnie po udach swoim twardym czołem, pieściło się jak małe dziecko i napraszało, by wziął je ze sobą. W tym czasie, według moich obliczeń, waga Jeana Valjeana dochodziła już do stu pięćdziesięciu kilogramów. Efraim nie czuł jego ciężaru, lecz ten dziwny zwyczaj przysporzył mu obgadywaczy i przeciwników. Nie ulega wątpliwości, że nawet wśród bydła pojawiły się pretensje, i znaleźli się towarzysze, którzy obawiali się, iż postępowanie Efraima wywoła ferment wśród zwierząt hodowlanych.

Ma się rozumieć, że znaleźli się też żartownisie i zazdrośnicy, którzy rozpuszczali szydercze pogłoski o Efraimie i jego ulubionym cielaku. „Któż może wiedzieć, może wkrótce wszystkie krowy i osły zażądają, by je noszono na ramionach tak jak Jeana Valjeana” – napisał anonimowo jeden z towarzyszy w wiejskiej gazecie.

Złośliwcy rozprawiali o *Nędznikach*, o Jeanie Valjeanie i jego panu Quasimodo. Gdy plotki te dotarły do naszego domu, dziadek zbladł jak trup i odtąd już pozostał blady. Z nadejściem wiosny Ester i Benjamin spodziewali się, że słońce zwróci mu naturalną barwę, lecz dziadek do ostatniego dnia życia pozostał blady jak mleko, a pod białą skórą przemyślna i chłodna nienawiść poczęła wypuszczać i prząść nitki czynu. Benjamin udał się do Daniego, syna Ryłowa, po gruntownym wybadaniu, że

to on był tym, który przylepił Efraimowi przydomek Quasimodo.

– Strzeż się teraz ty w swoim łóżku. – Położył mu na ramieniu swoją ciężką rękę i dodał: – Bo u mnie jesteś kaput, słyszałeś?

Mój nieszczęśliwy wuj, który kochał Jeana Valjeana i żywił nadzieję, że z jego pomocą będzie mógł na nowo nawiązać stosunki z kolegami ze wsi, zakotwiczył się znowu w cieśninach swojej samotności. Milczący i napiętnowany, chodził, jakby spychał z drogi niewidzialne przeszkody, a na jego plecach leżał ciężki, wspaniały cielak. Nie chodzili już po ulicach wsi, ale między pardesy, sady i szerokie pola uprawne. Napotkani rolnicy schodzili im z drogi i tylko dzieci biegły za nimi, bo chciały pogłaskać Jeana Valjeana.

Wbrew swoim zwyczajom dziadek zwrócił się do przyjaciół i zażądał, żeby mimo zniekształconej twarzy przyjęto ponownie jego syna w „krąg życia towarzyskiego” i nie dano mu zmienić się w szaleńca dźwigającego na plecach bydlęta. Efraim jednak, straszliwym obliczem, maską i dźwiganiem na plecach cielaka, wzbudzał we wsi przerażenie i niweczył ustalony porządek naszej społeczności.

– Nasz szczegółowy regulamin nie zawierał paragrafów dotyczących członka w drugim pokoleniu ze zmiażdżoną twarzą, uparcie noszącego na plecach bydlęta – powiedział z goryczą dziadek. – A tymczasem Jean Valjean rósł i rósł, a mój syn, biedaczysko, nie przestawał go dźwigać.

Gdy Jean Valjean osiągnął dojrzałość, jego waga doszła do tysiąca i trzystu kilogramów niezrównanego w swojej jakości mięsa. Siła gnieźdząca się w ciele mojego wuja wzbudzała zdumienie i przerażenie. Jean Valjean był bydlęciem jedynym w swoim rodzaju w całym Kraju i towarzysze zaczęli oblegać jego próg, chcieli bowiem pokryć swoje jałówki bykiem o tak prestiżowym rodowodzie.

Na początku rozgoryczony Efraim nie chciał się zgodzić. Między nami mówiąc, przypuszczam, że buchająca z byka męskość zakłócała jego duchowy spokój. Wszakże ja sam

odczuwam to czasami we własnym ciele. Efraim od długiego czasu nie miał kobiety. Może, tak przypuszczam, może już myślał, że mu z tym dobrze, chociaż ja się w tych rzeczach nic a nic nie wyznaję.

Tymczasem Jean Valjean chciał się kochać i widać było, że jego jurność pożąda satysfakcji, albowiem ostry członek wypełzał czasem na zewnątrz i macał powietrze jak laska ślepeca – tyle że czerwona.

W tym samym czasie nadszedł list z okręgu Charolais we Francji. Zachowałem ten list w baraku, Buskila mi go przetłumaczył, nie mogąc powstrzymać się od śmiechu.

Właścicielka fermy, która sprzedawała tę krowę motocykliście z Dijon, pragnęła wiedzieć, czy „byk już skacze”, i napomknęła o tym, iż jedna kropelka z jego *crème* ma wartość swojej wagi w złocie.

Angielscy i szkoccy przyjaciele Efraima powiedzieli mu również, że byk nie jest wyłącznie symbolem braterstwa towarzyszy broni, lecz także namacalnym wyrazem chęci rehabilitowania go i zapewnienia mu źródła uczciwych dochodów.

Rolnicy byli gotowi sownie opłacać „skoki” potężnego charolais; nawet z sąsiednich osiedli poczęli przybywać zapaleni hodowcy bydła i zarządcy obór, którym aż dech zapierało na widok Jeana Valjeana i zawartej w jego tkankach obietnicy.

I w ten sposób Efraim został zamożnym gospodarzem. Co rano wstawał, szcotoł jasną sierść Jeana Valjeana, mył jego krótkie rogi i kopyta, żeby błyszcząły w słońcu, klepał go po potężnym karku i skrzeczał: „No bydlaku, idziemy do roboty”.

Jean Valjean przymykał oczy, podciągał trochę brzuch i rozstawiał grube nogi, a Efraim klękał pod nim i brał go na ramiona. Trzymał rękami potężne racice, a potworna głowa całkowicie zniknęła między zwałami jasnego, oddychającego brzucha. Jak tajemnicze owoce dyndały mu na piersi w różowej, gładkiej mosznie, ciężkie jądra, którymi zarabiał na chleb.

Krzepcy potomkowie Jeana Valjeana zasiedlali obory wsi nawet potem, gdy on i jego pan przepadli bez wieści. Jeszcze dziś,

gdy przyjeżdżam z wizytą do wsi, zdarza mi się zobaczyć wyjątkowo jasne ciele, jałówkę z niespotykanie szerokim czołem czy byczka z potężnym, kędzierzawym karkiem. *Crème* Jeana Valjeana bulgocze jeszcze w oborach wsi, przelewa się przez brzegi na powierzchnię jak ciężki wyrzut, o którym ludzie nie chcą mówić.

Wiejskie dzieci biegły za wujem i jego bydłkiem, spodziewając się widowiska, ale Efraim był subtelny. Gdy przychodzili do krowy, żądał, by wszyscy wyszli. Zdejmował z siebie Jeana Valjeana w kącie obory, sprawdzał czystość i suchość podłogi, dbał bowiem, żeby byk przy akcie nie poślizgnął się i nie złamał stawu biodrowego, a potem rozkładał od ściany do ściany płachtę z worków. Wchodzili do krowy tylko on i Jean Valjean. Ludzie słyszeli zza ściany jedynie tupanie wielkich kopyt i ciche skrzeczenie pieszczotliwych słów Efraima. Potem dochodziło głośne stękanie krowy, kiedy zwał się na nią ów olbrzymi ciężar i uciskał jej zad i wkrótce głębokie westchnienia wylewającego nasienie byka.

Efraim odsuwał zasłonę, wytykał na zewnątrz swoją okrytą głowę i mówił wstydliwie: „Skończyliśmy”. Potem nacierał wilgotne lędźwie byka jakąś specjalną maścią. Po upływie kilku miesięcy zebrał już dosyć pieniędzy, żeby zbudować dla Jeana Valjeana małą, elegancką obórkę, a sobie kupił ogromne radio, patefon i płyty. Na dachu pokoju ustawił wielką, wzbudzącą podejrzenia antenę i wylegiwał się przez całe popołudnie, słuchając szkockich kobz i płyt Beniamina, a czasami gościł u siebie znajomych angielskich żołnierzy, na których Ryłow miał oko.

Przez te wszystkie lata Szlomo Lewin pracował nadal w naszym obejściu. Był ciągle jeszcze bardzo kiepskim rolnikiem, ale jego umiłowanie do ziemi nie wygasło, a dziadek był mu wdzięczny, pamiętał bowiem pomoc, którą Lewin okazał po śmierci Fejgi, opiekując się dziećmi i biorąc na siebie prace domowe.

Teraz Lewin przypominał, iż zastępował chłopcu matkę,

i wystąpił przeciwko „figlom, które Efraim wyprawia z bykiem”. Twierdził, że należy od niego wymagać, by pracował przy zwykłych, gospodarskich robotach, gdyż to go przywróci do normalnego życia. Dziadek odpowiedział mu twardo:

– Wszystko, co przyczynia się do uszczęśliwienia Efraima, uważam za dobre.

W tym czasie pogorszył się stan zdrowia tłustej Francuzki. Matka Jeana Valjeana nie zaaklimatyzowała się w kraju i pewnego dnia otruła się rycynusem i zmarła. Potężny sierota przywiązał się teraz jeszcze bardziej do Efraima. Zajcer, który bardzo lubił Jeana Valjeana, tak jak zresztą każdego, kto potrafił skoncentrować się na jednym i w tym się odznaczyć, a także litując się nad jego sieroctwem, przyłapał Lewina w podwórku i oświadczył mu krótko i zwięźle, że i bydłeta mają swój udział w zbawieniu narodu.

– Skoro jest on dostatecznie silny na to, żeby dźwigać na plecach byka – powiedział Lewin – przydałoby się, żeby wykonywał dodatkowe roboty. To niedobrze dla młodego człowieka tak leżeć caluteńki dzień na plecach i czerpać dochody z porubstwa.

Efraim jednak bardzo osłabł od czasu zranienia. Jego siła dotyczyła tylko Jeana Valjeana. Innych ciężarów nie mógł podnosić.

Mój ojciec, Beniamin, umiał zanieść dwa worki z mieszanką z wozu do obory i nawet się nie zasapał, a Efraim chwiał się pod jednym.

Nikt nie rozumiał, jak mógł podnieść byka, z wyjątkiem Pinesa. Zamieścił on w wiejskiej gazetce artykuł, w którym twierdził, że „do problemu Efraima i Jeana Valjeana nie należy podchodzić z punktu widzenia fizyki i nauk przyrodniczych, albowiem jest to zjawisko psychiczne: przyjaźni, gotowości do ofiar, wielkiej nadziei i wzniosłości ducha”.

„Każdy człowiek ma swojego byka, którego musi podnieść z ziemi”, pisał Pines. „I w każdym z nas kryje się krew i kość, każdy nosi w sercu wielkie myczenie, które szuka sobie ujścia”.





Usłyszałem Rywkę rozmawiającą w nocy z Abrahamem.

– Czy jesteś pewien, że ta krowa się otruła, czy może twoja siostra zarżnęła ją i zrobiła z niej pieczeń?

Przerażony pobiegłem do domu Pinesa. Nigdy nie zamykał drzwi na klucz, jego starcze ciało leżące z rozrzuconymi kończynami z dziecięcą pewnością siebie promieniowało ufnością i wszechobejmującym zrozumieniem.

– Rywka była złą uczennicą – pocieszył mnie. Nawet nie dał mi bury, że się tak do niego wdarłem i obudziłem go ze snu. Od czasu, gdy umarł dziadek, a ja zaadoptowałem sobie na dziadka Pinesa, odnosił się do mnie z jeszcze większą cierpliwością niż dotychczas.

– Nie wierz tym bajkom – powiedział i dodał surowo – przecież są też ludzie, którzy opowiadają, że Efraima usunięto stąd za to, że przekazywał tajemnice Anglikom. Major Stubbs był jego dobrym przyjacielem, a są tu tacy – ich imion nie muszę wymieniać – którzy mieli mu to za złe.

W owym czasie przybył do wsi instruktor od hodowli drobiu, który za bardzo kręcił się wokół obejścia Ryłowa. W kilka dni potem znaleziono jego zwłoki w lesie eukaliptusowym. Między jego oczami zakrzepł purpurowy kwiat, a do skóry na piersiach była przypięta kartka wydarta z Biblii.

– To niedorzeczność – powiedział Pines. – Efraim odszedł z powodu śmierci twoich rodziców. Był bardzo do nich przywiązany. Benjamin był mu bliski jak brat. Kochał go z całego serca.

Byli też we wsi ludzie, którzy sądzili, że Efraim znikł z powodu pewnej akrobatki, przybyłej do nas z człowiekiem o nazwisku Zejtuni, inni znów byli przekonani, że stracił nadzieję na włączenie się od nowa w „społeczną tkanę”.

– Jak długo może człowiek znajdować przyjemność w przebywaniu w towarzystwie bydłęcia? – powiedział mój dziadek, w którym los Efraima wzbudził gniew i nienawiść.

– Nie chowaj mnie na ich cmentarzu – powtarzał ciągle przed śmiercią. – Ci obłudnicy wypędzili mojego syna. Pochowaj mnie w mojej ziemi.

– Czego od nas chcą? – zapytała Rywka. – To był człowiek, na którego nikt nie mógł spojrzeć, potwór i wariat na dodatek. Czego od nas chcą?

– Znam Efraima. On poszedł się mścić – powiedział major Stubbs po tym, jak przez cały dzień rozkopywał ze swoimi ludźmi podwórze Ryłowa, a do głowy mu nie przyszło, że broń jest schowana w jamie z gnojówką. Sam Ryłow nie powiedział ani słowa.

– On zamordował mojego kota, Bułhakowa – powiedziała Rywa Margolis.

Od czasu śmierci kota zamknęła się w składziku przyborów do sprzątnięcia, gromadziła lizol, pasty do czyszczenia, tysiące ścierek do podłóg i nie przestawała opowiadać, jak wiele ją kosztował ten powrót do ziemi.

Wszystkie kobiety we wsi, uzbrojone w ściereczki i miotły, walczyły nieustannie z pyłem, który wznosiły koła wozów, ale Rywa była zawsze szczególnie zawzięta na punkcie czystości, a od czasu śmierci Bułhakowa, gdy przez okna począł wsączać się kurz i mącić przezroczystość jej tęsknoty, mania ta nasiliła się jeszcze bardziej. Do trzech zamkniętych pokoi dołączyła również łazienkę, ponieważ zauważyła, że po kąpielach zostają krople, które parując, pozostawiają na kamiennych płytkach białe plamki.

Nazywała te plamy „trądem kafelków” i rodzina Margolisów była zmuszona do mycia się w krowim korycie albo w pralni.

Cała wieś była świadkiem, jak Rywa traci rozum, ale Margolis i jego synowie, żywiący się najczystszyimi i najbardziej aromatycznymi produktami przyrody, byli ludźmi pobłażliwymi o dobrym, zgodnym charakterze. Przebywanie z pszczołami nauczyło ich poważać każdego pracowitego człowieka. Nie sprzeczekali się ze swoją wariatką i robili wszystko, czego zażądała. W rocznicę śmierci kota Margolis kupił żonie wielki amerykański odkurzacz, żeby ją pocieszyć i nadać treść jej życiu.

Rywa otworzyła ogromne kartonowe pudło; wionęło z niego mocnym, znajomym zapachem luksusu, a jej aż dech zaparło z radości. Na jeden wieczór wybaczyła mężowi, iż przywołał Efraima i polecił mu wykończyć Bułhakowa. Puściła w ruch maszynę i całe jej ciało drżało wraz z potężnym silnikiem, który wsysał brudy i zostawiał za sobą czyściutkie ślady. Lecz po tygodniu szczęścia Rywa otworzyła odkurzacz i znalazła w jego wnętrzu zbieraninę nieczystości. Stwierdziła z gniewem i bólem, że mąż ją oszukał. Odkurzacz nie czyści, a tylko przenosi brudy w inne, niewidoczne miejsce.

– Ona odkryła prawo zachowania paskudztwa – powiedział Uri, gdy ta historia rozeszła się po wsi.

Tamtego ranka Rywa wyczyściła odkurzacz z zewnątrz i od środka, owinęła jego części w miękkie gałganki, zamknęła wszystko na klucz w łazience, wyszła do pasieki i zaczęła wrzeszczeć na męża.

– Ta maszyna zamiata pod dywan – krzyczała. – Znam ten wasz system, to jest wasz system w stosunku do wszystkich spraw.

Margolis popatrzył na żonę i zrozumiał, że już jej nie uspokoi nawet najczystszy kwietny pyłek.

– Nie zbliżaj się – powiedział. – Pszczoły mogą cię zaatakować.

On sam umiał poruszać się między ulami, nie powodując ruchu powietrza. Przyglądał się żonie zza zasłony rozgniewanych pszczół, gotowych rzucić się w obronie swojego pana. Po raz pierwszy dojrzał na jej kolanach grube nabrzmiałe blizny, które narosły tam przez te wszystkie lata dokładnego mycia podłóg, oraz jej palce skrócone do połowy przesadnym tarcieniem umocznymi w kwasie solnym ścierkami.

– Zostaw mnie Rywo, jesteś szalona – powiedział.

Tego samego wieczoru poszedł do Toni. Odczekał w ciemności, aż zobaczył, że uzbrojony w latarnię i automat Ryłow zszedł do jamy z gnojówką. Gdy zatrzasnęły się małe, zamaskowane ziemią i słomą drzwiczki, Margolis wszedł do

domu. Kapiąca z jego rąk mirra poplamiała klamkę. Margolis wyciągnął dwa wyprostowane, słodkie palce i powiedział Toni, że się zgadza.

Ja sam Efraima w ogóle nie pamiętam. Bywa, że usiłuję wyłowić z pamięci nakrytą głowę pochylającą się nad moją kołyską i zielone oko wpatrujące się we mnie przez otwory siatki. Nie ostał się w moich wspomnieniach także i niesamowity obraz człowieka niosącego na plecach byka.

Nie pamiętam też swoich rodziców. Kiedy miałem dwa lata, poraziły rodzinę Mirkinów najstraszliwsze ciosy. Mój ojciec i matka zmarli, a Efraim i Jean Valjean opuścili dom. Wtedy zabrał mnie do siebie dziadek.

Po wsi poszło gadanie, rozprzestrzeniane przeważnie przez kobiety, o tym, że stary wdowiec nie potrafi wychowywać małego dziecka we właściwych warunkach higienicznych i odpowiedniej atmosferze pedagogicznej, ale dziadek ich nie słuchał. On już chował dzieci. Do mieszanki złożonej z oliwek, żałoby i cukru dołączył i mnie.

W mojej samotności i tęsknocie zaciera się postać dziadka. Czasami udaje mi się wskrzesić go przed oczami, jak dokładny, blady rysunek, ale przeważnie jestem zdolny ujrzeć nie więcej niż jeden szczegół, wychylający się i oświetlony jak skrawek zimowego pola pod wyrwą w chmurach. Biała ręka przy szklance z herbatą, ruch ramienia, policzek i wąsy pochylone nade mną, cienkie patyki nóg wykrzywionych pracą i wiekiem.

Są jednak zdarzenia, które moja pamięć zachowała, jasne i pełne obrazy, nawet te z pierwszego roku w jego domu.

Jeden obraz to ważenie. Dziadek ważył mnie skrupulatnie co miesiąc. Jeszcze jako malutkiemu dziecku dodawał mi do jedzenia rozmaite ziarna i pożywienie pszczelich czerwi, które brał od Margolisa, i każdego ranka, gdy mnie ubierał, poszcypywał mnie delikatnie po mięśniach ramion i ud, jakby badając ich grubość i tężyznę. Z radością oceniał mój niezwykły rozwój i dopiero po latach zrozumiałem, że badał moją przydatność do swoich planów.

Ważenie się było przyjemnym ceremoniałem; bardzo je

lubielem. Wszystkie niemowlęta wazono w lecznicy, a potem u szkolnej pielęgniarki. Mnie dziadek wazyl w skladzie z mieszanką. Pamietam siebie dumnie stojacego w krótkich majteczkach i boso na chłodnej płycie wielkiej wagi. Barczyści tragarze, śmiejąc się, stoją wokół, dziadek po ustawieniu ciężarków na szynach wyjmuje zmięty notes i z satysfakcją zapisuje cyfry, potem klepie mnie po karku, a ja zamykam oczy, gdy chropowata skóra jego dłoni dotyka mojego ciała.

Pamietam, jak dziadek wręczył mi drewniany młotek i obaj nadtlukiwalismy oliwki, zeby usunac z nich gorycz, a kropla gryzacego plynu prysnela mi w oko i bieglem stamtad, krzyczac: „Mamo, mamo!”.

Pamietam, jak myl mnie wieczorem twardą roślinną gąbką i mydłem do prania, szorował mi łokcie i opowiadał o kąpielach w szerokiej rzece, o wielkich gęsiach, o czapli pięknej jak kobieta, z białą, lśniącą piersią, kuszącą wśród sitowia.

Pamietam dobrze jego śniadania. Miałem trzy lata, gdy już mi zostawiał posiłek na stole i wychodził do pracy. Budziłem się i czekał na mnie na stole stały zestaw: dwie kromki chleba, z których zdjął dla mnie „twarde” – tak nazywał chlebową skórę – kulka mojego ulubionego podpuszczkowego sera, szczypiorek, pokrojony i osypany grubą kuchenną solą pomidor, jeszcze ciepłe jajo na twardo i szklanka mleka zmieszanego z siarą, które brał z obory Abrahama.

Siadałem sam do stołu i jadłem, rozkoszując się smakiem i świeżymi zapachami, tymi wznoszącymi się z talerza i tymi, co wpadały przez okno, jak również samodzielnością małego chłopczyka. Potem otwierałem siatkowe drzwi i dreptałem w samej tylko białej nocnej koszulinie we wlewający się w podwórze jasny dzień. Nie widziałem ludzi i chodziłem boso po okruchach bazaltu – bo stopy już miałem twarde i mocne – prosto do wygrzewających się w słońcu kociąt. Dookoła dawała się słyszeć przyciszona wiejska zapobiegliwość, przygłuszona kaskada postukiwań silników i polewaczek, brzęk łopat, szelest liści i basowe siorbanie trzody. Jeszcze dzisiaj zasłona tych

dźwięków otula mi uszy.

Rozejrzałem się wokół i zobaczyłem gołębie na dachu, dojrzewające słoneczniki i dziadka wybiegającego pędem z obory. W prawej ręce miał wyostrzone widły, a lewą podtrzymywał rozpięte spodnie. Sikał za kupą nawozu, gdy nagle dostrzegł hienę, która z ogonem wciśniętym między nogi, z ociekającym śliną, głodnym i chciwym pyskiem podkradła się niktzemnie od strony pola i weszła na podwórze.

– A tyś tam siedział, drażnił wygrzewające się w słońcu kocięta i sypał na nie piasek.

Gdy ukazała się hiena, kocięta uciekły pod stertę blaszanek, a Mania, podwórzowa suka, poczęła szczekać z przerażenia i strachu, wskoczyła jak wiewiórka na dach obory i legła, dygocząc, na dachówkach.

Był piękny dzień, a przy tym tak jasny, zapisał się w mej pamięci jak zalany światłem obraz heroizmu. Hiena obnażyła zęby w kuszącym uśmiechu, zwróciła ku mnie swój suchy nos i zbliżała się, ciągnąc drżący zad nisko nad ziemią i pozostawiając na niej plamy obcej woni. Nie bałem się jej – tak mi opowiadali – byłem bowiem przyzwyczajony do zwierząt. Nagle hiena cofnęła się, a na jej pysku, na widok biegnącego starca trzymającego widły i spodnie, zarysował się przebiegły i okrutny wyraz.

Biała twarz dziadka była napięta, skupiona i wydawała się płynąć w gorącym powietrzu. Zamachnął się w biegu ręką i cisnął w zwierzę widłami, ale nie trafił. Hiena z kleistą pianą wściekłości na pysku spoglądała to na mnie, to na niego i nie wiedziała, w którą stronę ma się skierować, a dziadek biegł dalej, płacząc i postępując cicho, aż rzucił się na nią całym ciałem, obejmując jej kudłatą pierś swoimi kościstymi rękami.

Hiena wrzeszczała i chrypiała, wiła się i wymachiwała łapami, a jej wilgotne zęby orały ramiona dziadka. Rękawy szarej bawełnianej bluzy podarły się w strzępy, lecz jeszcze teraz pamiętam trzask pękających żeber, dochodzący z cielska hieny i unoszący się w przezroczystym powietrzu w chwili, gdy białe ramiona starca, przywykłe do ciężkiej roboty, otwierania listów,

pożegnalnych wymachiwań i szczepienia drzew, miażdżyły jej kark. Ja nie wstałem nawet ze swojego miejsca. Spokojnie i ufnie, a może ze zwykłą ciekawością, przyglądałem się walczącym, aż dziadek podniósł się z ziemi, klnąc po rosyjsku przez zaciśnięte zęby, a z rąk zwisało mu ścierwo wielkiego, nieruchomego zwierza.

– Ty... ty... ty... – stękał bez przerwy, aż nadbiegli sąsiedzi i siłą wyrywali mu to ścierwo z rąk. – Nikt mi więcej nie odbierze. – Objął mnie, powtarzając: – Nikt mi więcej nie odbierze. – A potem zaniósł mnie na rękach do domu. Tam stał przez chwilę bez ruchu, a gdy trucizna zaczęła krążyć mu w żyłach, zaszeptał nagle jakieś starodawne wersety, zaśpiewał płaczliwą melodię, począł się kiwać dziwnie. Zabrano go spieszenie do lecznicy.

Syn sąsiadów wetknął w martwą hienę widły i zaniósł ją na kupę gnoju za oborą. Tam wylał na nią naftę z żółtej blaszanki i podpalił. Ponad ścierwem uniósł się cuchnący dym i stał przez kilka dni nad wsią.

– Brak jakiegokolwiek historycznej świadomości – powiedział mi Meszulam, gdy dorosłem. – Należało tę hienę postawić u mnie w muzeum.

Wszyscy we wsi uznali, iż był to czyn znamienity, i nawet zamieścili o nim wzmiankę w gazecie „Dawar”, pod nagłówkiem: *Członek drugiej alii ocalił swojego wnuka.*

Gdy trochę podrosłem i nauczyłem się czytać, grzebałem nieraz w dziadkowych szufladach i odczytywałem ciągle od nowa ten wycinek, aż umiałem go na pamięć.

„Jakub Mirkin, członek drugiej alii, jeden z chaluców Doliny, ocalił swojego małego wnuczka, Barucha Szenhara, od napaści hieny, która wkradła się do ich obejścia. Mirkin pracował w oborze, gdy zauważył to niebezpieczne zwierzę – które okaleczyło już niejednego mieszkańca Doliny – podchodzące do bawiącego się w podwórzu wnuczka. Rzucił się na hienę i zadusił ją gołymi rękami. Mirkin, pogryziony, został zabrany do lecznicy Kasy Chorych, należącej do Ogólnej Organizacji Robotniczej Ziemi Izraela, i będzie musiał otrzymać serię zastrzyków przeciw



wściekliwość. Trzyletni Baruch Szenhar jest synem towarzyszy Ester i Beniamina Szenharów, zamordowanych przed rokiem przez arabskich podżegaczy, którzy wrzucili bombę do ich domu”.

– Ale przecież ty sikałeś – powiedziałem dziadkowi w kilka lat potem, gdy podrosłem, zbadałem sprawę i znałem już to opowiadanie ze wszystkimi szczegółami.

Przechadzaliśmy się wśród drzew, a dziadek pouczał mnie, jak przycinać źle rozgałęzione pigwy. Wyrastały z nich dziko proste gładkie pędy.

– Powiedz mi teraz, moje dziecko, gdzie chcesz, żeby gałąź puściła boczne pędy?

Popatrzyłem na niego z niedowierzaniem. Nie wiedziałem jeszcze, że przycinanie gałęzi stanowi w sadownictwie rutynę. Zmierzył łysą gałązkę, wybrał w korze dobrze rozwinięte oczko i wyciął nad nim półksiężyc. W następnym roku wyrastała z każdego takiego oczka boczna gałąź, a wtedy dziadek przycinał całą koronę drzewa.

Gdy Eliezer Liberson zestarzał się i oślepl, i dostrzegał już tylko cienie swojej miłości do Fani, opowiedział mi w domu starców, jak dziadek zasłynął jako sadownik.

– Mam go przed oczami z jego dzikim chuszchaszem – westchnął radośnie. – To zrobiło olbrzymie wrażenie, nie co dzień może mały socjalista z Rosji dowieść właścicielom pardesów z kolonii, że nic nie wiedzą.

Wiedziałem, iż dziadek posprzeczał się z pardesanami, ponieważ odkrył, że niektórzy z nich handlują w neodpowiedzialny sposób oczkami do szczepień i z tego powodu podupadła bardzo jakość owoców odmiany szamuti.

– A wtedy nadeszła epidemia komozy i niweczyła całe pardesy – opowiadał Liberson. – Gniły pnie, żółkły liście i umierały drzewa, nie pomagały żadne maści i środki dezynfekcyjne ani tlenki miedzi czy wapna. Dezynfekowali swoje łopaty jak w szpitalu i nic nie pomagało.

Dziadek zażądał, by mu przydzielono zarażoną działkę do doświadczeń, a zrozpaczeni gospodarze, z których większość obawiała się młodych chaluców, ustąpili mu i zgodzili się na to.

Dali mu do rozporządzenia parden, pieniądze i robotników.

On zaś sprowadził zdrowe sadzonki chuszchaszu i posadził je obok chorych drzew. Kiedy się poprzyjmowały, złuszczył wycinek kory z pnia każdego chuszchaszu i w ten sam sposób wyciął z każdego chorego drzewka pomarańczowego zgniłą korę aż do drzewnego miąższu. Połączył je parami, związał i przycisnął do siebie obnażone drzewne tkanki, chorą i zdrową, a pnie omotał dla ochrony suchymi workami.

– Chore cytrusy wyzdrowiały, jakby wiano im w żyły nową krew – opowiadał Liberson.

– Chalucowie nadali temu pełny ideologiczny wydźwięk – opowiedział mi Meszulam. – To nie była wyłącznie agronomia i botanika, to był symbol. Nowa, dzika krew chuszchaszu, która uzdrowiła zgniliznę rozprzestrzeniającą się w pardenach starych kolonii. Możesz sobie wyobrazić, jakie święto urządzili na cześć tego zdarzenia. Nie wiedziałeś? Pisali o tym we wszystkich gazetach.

– W gazetach nie piszą o szczających chalucach – roześmiał się dziadek.

Lecz ja z dzieciennym uporem lubiłem najbardziej w tej historii to, że dziadek w momencie, gdy zauważył hienę, siusiał w kanał z gnojówką, a nie pracował w obejściu, ponieważ przejście od siusiania do biegu wymaga innej decyzji. Wiadomo przecież, że łatwiej jest wypuścić z ręki blaszankę mieszanki czy paczkę słomy, aniżeli na siłę przestać sikać.

Po tym zdarzeniu chodziłem czasami po południu do obory. Dziadek drzemał w baraku lub pod jakimś drzewem w sadzie. Zajcer opierał się ze znużeniem o ścianę i zaglądał w starą gazetę, którą Szlomo Lewin zostawił na podwórzu, krowy drzemały w zagrodzie i nawet omdlałe muchy odpoczywały w kącie, na stercie zakurzonych worków, lub przysiadały na okruchach świętojańskiego chleba i zasypiały z nadmiaru słodocy i zmęczenia.

Stawałem za kupą gnoju, siusiając i nagle gwałtownym, okrągłym skurczem zmuszałem się do zaprzestania. A potem

chwyciałem widły i biegłem na podwórze. Po wielu ćwiczeniach nie popuszczałem już ani kropelki.

Dziadek wrócił z lecznicy, jęcząc z bólu, który mu sprawiły te okropne zastrzyki. Przede wszystkim przywołał Manię, sukę, co porzuciła swój posterunek, i surowo ją zganiał. Upokorzona i obrażona Mania zabrała swoją miskę, odeszła i znikła na zawsze z naszego podwórka. Liberson, który pełnił u nas wówczas funkcję skarbnika i jeździł czasami do Tel Awiwu, opowiadał, że widział ją kręcącą się przy wejściach do kawiarni na promenadzie. Podlizywała się Anglikom.

– Gdy mnie ujrzała, usiłowała ukryć się ze wstydu – zachichotał.

Przywlokłem dziadkowi leżak, byłem bowiem bardzo silnym malcem – tak powiadano. Nie uważano mnie wprawdzie za dziecko wyjątkowo mądre, ale byłem „krzepki, odpowiedzialny i dobroduszny”.

Dziadek usiadł na leżaku i opowiedział mi historię, z której dziś pamiętam tylko niezrozumiałe słowa: bakcyle, antraks, hydrofobia, i opowiadanie o wysłanym do Paryża i tam uratowanym od śmierci chłopskim synu z Ukrainy, pokąsanym przez wściekłego wilka.

– Ano, widzisz, moje dziecko – powiedział mi dziadek – Ludwik Pasteur, podobnie jak Burbank, był przyjacielem robotników rolnych.

Przychodziły do niego w odwiedziny Rywa Margolis i Tonia Ryłow. Twarze miały porane troską, a dziadek przyglądał im się zdziwiony, te dwie bowiem nigdy nie pokazywały się razem. Powiedziały, że rada wiejska poleca towarzyszowi Mirkinowi podreperować się kurzym rosołem, i zaproponowały swoją pomoc, ale dziadek odparł, że nie ma potrzeby, i kazał mi przynieść sobie siekierę i hak. Poszliśmy łapać kurę. W oddalonym kącie obory przy zwęglonym ścierwie hieny siedział Pines, mierzył jej zęby i szerokość czaszki, zapisywał i rysował w swoim notesie. Nauczyciel był przejęty, ale cichy, a gdy zobaczył dziadka i mnie, wstał i pospieszył ku nam.

– Nie mam wątpliwości, że to ona – powiedział. – Żadnej wątpliwości.

Zabrał się do odcinania hienie głowy. Zręcznie wsunął nóż między wyrostki kręgów szyjnych i wprawnym ruchem przeciął ścięgna wielkich mięśni łopatek i karku. W tydzień potem w oszklonej szafie gabinetu przyrodniczego widniała biała i błyszcząca czaszka hieny. Pines swoim zwyczajem nie usunął mięsa drogą chemiczną, a zagrzebał głowę razem z jajeczkami zielonej muchy. Wylęgłe z nich czerwce pozostawiły w ciągu kilku dni nagie i czyste kości.

Drepczące wokół stodoły wystraszone kury dostrzegły dziadka i mnie, uzbrojonych w krótką siekierę i długi hak i od razu zorientowały się, o co chodzi. Dziadek zaczął ostrzyć siekierę, z początku na kole obracającym się w korytku z wodą i rozpryskującym dookoła iskry i parę, a potem osełką.

Kury przekrzykiwały się między sobą, biegały po podwórzu i łopotały skrzydłami. Mój dziadek, który nie był amatorem mięsa, ale zwykł chwycić kury do jedzenia dla reszty rodziny, wymachiwał hakiem, będącym właściwie kawałkiem zardzewiałego, zagiętego na końcu zbrojeniowego pręta. Zamachnął się nim szybko, złapał za nogi Szoszane, pstrą nośną kurę, zgiał się z jękiem, bo zastrzyk palił go jeszcze w brzuchu, i chwycił ją za szyję.

Krowy przymknęły oczy, by nie widzieć nadciągającego koszmaru. Błyskawicznie, ruchem, którego nigdy nie zdołałem zarejestrować, i pragnąłem, by był powolniejszy, żebym mógł wchłonąć w siebie wszystkie szczegóły, położył dziadek szyję Szoszany na betonowej ścianie żłobu i uderzył ją po gardle krótką, wyostrzoną siekierą. Uwieńczona czubkiem głowa z otwartym konwulsyjnie dziobem spadła na czarne gumowe cholewy, a zdumione ciało rzucił dziadek za siebie dobrze wycelowanym łukiem. Nie odwrócił się, bo znał dobrze tę trasę.

Bezgłowa kura, fruwająca fontanna krwi, padła w drgawkach i wstała od nowa na nogi, aby odtańczyć taniec śmierci.

Dziadek się oddalił. Nie podobało mu się, że siedzę jak

skamieniały i przyglądałam się otwartymi szeroko oczami kurze i jej drobniutkim, oszalałym kroczkom.

– Tę skłonność odziedziczyłeś widocznie po matce – powiedział.

A w tym czasie Szoszana biegała w tył i w przód, czasami padała na boki, z jej uciętego gardła tryskała krew i wsiąkała w ziemię, a wszystko odbywało się w straszliwej, fascynującej ciszy, bo męczarnie duszy były teraz odcięte od męczarni ciała. Jej głowa i krtań, a w nich struny głosowe, świadomość bólu i źródło pamięci, leżały porzucone obok żłobu. Obawiałem się zawsze, iż, być może, kura odnajdzie swoją głowę, połączy się z nią i pójdzie sobie stamtąd. Dla większej pewności podkradłem się do odciętej głowy i rzuciłem ją kotom.

Kroki Szoszany słabły. Jej przyjaciółki wróciły do dziobania ziaren w jej sąsiedztwie, jak gdyby nic się nie stało. Zgasł również i malutki czubek, gorejący w mych spodniach. Gdy bezsilnie upadła, podszedłem blisko, by zobaczyć, jak wyzionie ducha. Jeszcze kilka krótkich wytrysków krwi, drgawki, a potem z białej, przeciętej tchawicy wyskoczyło parę różowych i czarnych pęcherzyków i wymknął się z niej dziwny lekki szmerek. Przyszedł dziadek, zaszurał gumiakami w kałuży krwi, żeby zakryć ją ziemią, i zabrał Szoszanę do cioci Rywki, do oskubania. Bryzgi rozsiane podczas tańca popstrzyły podwórko jeszcze na kilka godzin rojami zielonych much, ale w końcu znikły i one.

Wieczorem przyszła Fania Liberson i ugotowała rosół. Podczas gdy dziadek zajadał Szoszanę, ta piękna kobieta siedziała przed nim i czytała mu miłym, miarowym głosem regulamin wsi.

„Powinniśmy łączyć realizm z idealizmem...”

Wychowanie powinno być wspólne i jednakowe dla wszystkich dzieci towarzyszy...

Instytucje społeczne powinny zaspokajać wszystkie potrzeby rodziny, ekonomiczne, jak i duchowe...

Wzajemna pomoc, praca rąk własnych, stan społeczeństwa, powrót na rolę...” – dobre, krzepiące słowa polatywały po pokoju dziadka, aż jego zbolące rysy zmiękły i przybrały niespodzianie

pobłażliwy wyraz. W kącikach ust zarysował się znudzony uśmiech i dziadek usnął jak niemowlę. Twarz jego we śnie miała dokładnie taki sam wyraz, jaki miała po śmierci, kiedy wziąłem jego miękkie i ciepłe zwłoki i pogrzebałem w jego polu, w miejscu, w którym pragnął spocząć.

Gdy przybyła Szulamit i zabrała dziadka do domu starców, chadzałem często do Pinesa, żeby mi w dalszym ciągu opowiadał. Miał przy wieży ciśnięć malutki domek, otoczony bardzo szczególnym ogródkiem, na który składały się kwiaty z wydm i łąk, i śródziemnomorskich zarośli. Posadził tam kłaczka ciemnych cyklamenów i olbrzymich różnobarwnych anemonów, z rzecznych koryt Arbelu wykopał cebulki wschodniego hiacyntu, na Karmelu znalazł górski łubin, i wielkie trujące nasiona wykiełkowały, i zabarwiły jego ogródek mocnym, królewskim fioletem. Przy naszym źródle, pośród resztek bagiennej roślinności, zbierał narcyzy i weronikę, a jaskry kwitnące w jego ogrodzie błyszcząły tak mocno, jak gdyby stolarz Gideon je polakierował.

– Żeby hodować róże i chryzantemy – mawiał – mogłeś sobie zostać w diasporze.

– Storczyk jest wspaniałym dzikim kwiatem, który człowiek okaleczył – powiedział mi surowo, gdy wpadłem w zachwyty, słuchając opowiadań rymarza Pekera o tym, jak go posłał rosyjski oficer z pękiem białych orchidei, by przebłagać piękną córkę generała.

– Nawet Luter Burbank, który hodował i uszlachetniał róże i chryzantemy, oświadczył, iż nie dotknie storczyka. Przypomina on nieszczęśliwe chińskie dziewczęta, którym związywano stopy.

Gdy otwierałem zieloną furtkę Pinesa i stapałem po kamiennych płytkach, stawałem się na nowo Baruchem z czwartego oddziału, którego posyłano każdego tygodnia do starego nauczyciela za to, że kogoś poturbował.

– Idź do Jakuba i uspokój się tam trochę, może uda mu się ciebie wychować.

Był pierwszym nauczycielem, uczył moją mamę, uczył wuja Efraima i wuja Abrahama, uczył mnie, uczył Uriego i Josiego, uczył wszystkich. Kiedy Pines pokazywał nowemu narybkwowi maluchów litery alfabetu, całą wieś ogarniało hamowane



wzruszenie, a rodzice gromadzili się przy szkolnym parkanie i przysłuchiwali dziecinnemu śmiechowi, dolatującemu z okien klasy. On nie zaczynał od litery alef, a od he. Pierwszym dźwiękiem, jaki wypowiadały dzieci w szkole, było ha-ha-ha.

– A teraz, dzieci, lekkie ha, uważajcie dobrze, lekkie, ha-ha-ha.

Rok lub dwa bawił się i spacerował z nimi, i przebiegle je opanowywał, aż odkrywały, że są już przez niego osiodłane, że wetknął im już w usta wędzidło, ale przyjmowały jego dowództwo z miłością i nigdy niegasnącą tęsknotą.

Spośród wszystkich pracowników usługowych wyłącznie Pines cieszył się poważaniem, jakby był prawdziwym rolnikiem. Dzieci niekiedy drwiły sobie z niego, lecz nawet gdy już poszedł na emeryturę, nie było we wsi dziecka, które by się go nie obawiało. Od czasu do czasu wchodził, nie pukając, do którejś klasy, mówił do wystraszonego nauczyciela i podnieconych dzieci: „Nie przerywajcie, nie przerywajcie”. Siadał sobie z boku, słuchał lekcji, a jego oczy spozierały na dzieci tęsknie i miłośnie.

Do wsi przybywali nowi nauczyciele, lecz Pines nigdy nie robił uwag na temat ich nieuctwa i wyrw w światopoglądzie.

– Walka z wiatrakami – mawiał. – Tak, jak się goni za kuropatwą po górach<sup>[33]</sup>.

Ucznia, który coś przeskrobał, posyłano do domu Pinesa. Podchodził powolutku do żywopłotu z tui, otwierał zieloną furtkę, szedł po wyłożonej kamiennymi płytkami ścieżce, opryskiwała go mała polewaczka na trawniku i otwierał z wahaniem drzwi, które nigdy nie bywały zamknięte na klucz. Pines kładł chłopcu pieśczośliwie rękę na wilgotnym karku, prowadził go do małej kuchenki, poił herbatą z zaparzonej w imbryku esencji i zaczynał rozmowę. Niekiedy o systemach melioracji, kiedy indziej o przypowieści o winnicy z Księgi Izajasza czy też o dwupłciowych kwiatach i ich zadziwiających wysiłkach, by zapobiec samozapyleniu. Później dziecko wracało do klasy z ciasteczkami lub cukierkami w rękę i jeszcze w kilka godzin potem, ciche i pocieszone, odczuwało czar płynący od starego

nauczyciela i słodycz wypitej herbaty.

Za swoich młodych lat ładował dwudziestu uczniów – „właźcie dzieci, wdrapujcie się, młode kwiatuszki” – na wóz zaprzężony w parę mułów i wioził ich na wiosenną wycieczkę trwającą dwa tygodnie.

Stary Zajcer, mający bardzo krytyczne usposobienie, wyraził pewnego razu życzenie wzięcia udziału w jednej z ostatnich wycieczek Pinesa. Wrócił zmęczony i wzruszony. Pachniał dymem ognisk i zdeptanymi liśćmi dzikiego czosnku, opowiadał, że było bardzo zajmująco, i zakończył słowami: „Dzisiaj już nie ma takich nauczycieli”.

Pines nauczał trenu Dawidowego w górach Gilboa, historii Ruchu w dolinie Jordanu, a wierszy Czernichowskiego w Ejn-Dor. Pokazywał nam węchowiska saren, fortele, jakimi posługują się storczyki, by osiągnąć zapylenie, i lepkie sieci pająka krzyżaka rozciągnięte między krzaczkami posłonków. Jego mali posłańcy zbierali odłamki glinianych skorup na kopcu, jaja jaszczurek w polach i skamieliny w wapiennych skałach. On sortował, katalogował, kładł do pudełek i posyłał do profesorów w Jerozolimie i Londynie. Wyprowadzał nas nocami na pola, pod gwiazdne niebo, słuchać „śpiewu ropuch” i obserwować „ciała niebieskie”.

– Fejga umierała powoli – powiedział i poczęstował mnie herbatą z ciasteczkami, przyglądając mi się podejrzliwie, jakby powątpiewał w moją zdolność rozumienia. – Była chora, ciężko pracowała. Nie wszyscy potrafili stawiać czoło ówczesnym warunkom, a ona rodziła ponadto dziecko za dzieckiem, po Abrahamie Efraima, a w rok później twoją mamę Ester. Ciało nie może tego wytrzymać.

Powiedziałem mu, jak Cyrkin-Mandolina spogląda na fotografię babci.

– Wszyscy trzej kochali twoją babcię – westchnął. – Uwielbiali ją i nosili na rękach, ale nie tak, jak mężczyzna kocha kobietę.

– Fania mówi, że oni byli jak trzej bracia i mała siostrzyczka.

– Oni byli jak trzej bracia i mały braciszek – powiedział Pines. – Mały braciszek, którego wszyscy kochają. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Rozumiem – odpowiedziałem.

Jest coś w mojej ciężkiej, ubitej budowie ciała, co każe ludziom sądzić, że muszę być w pewnej mierze tępy.

– Wiem, jak bardzo jesteś przywiązany do swojego dziadka; jest on, rzeczywiście, wyjątkową indywidualnością i wiem, jak ci teraz ciężko bez niego. Ale on kochał inną kobietę i czekał na nią, i walczył o nią przez całe życie. Teraz sam to już wiesz.

– A dlaczego ożenił się z babcią?

– Moje dziecko – powiedział Pines ze śmiechem. – Tak postanowiło Stowarzyszenie Pracy. To brzmi dzisiaj jak jeden z ich żartów, ale wtedy postanawiano nawet w tych sprawach. Kiedy byłem w Dolinie Jordanu, ogólne zebranie towarzyszy postanawiało, kto i kiedy ma prawo zająć w ciążę, i ja porzuciłem komunę z Leą i z bliźniaczkami w jej łonie. W sąsiednim kibucu toczyła się wielka dyskusja, czy towarzysze powinni się pozdrawiać przy spotkaniu, czy to aby nie mieszczański zwyczaj.

– Może obawiali się oddać ją komuś obcemu, może nie przemyśleli do końca. Ona również nie zrozumiała charakteru stosunków, jakie się tam rozwinęły. Przecież cała czwórka kąpała się nago w jeziorze Genezaret. Nikt tych rzeczy nie rozumie, nawet ci, co brali w tym udział, nawet Meszulam Cyrkin, nasz wielki spec. Czy znasz porę, kiedy kozice skalne rodzą?<sup>[34]</sup> Czy dotarłeś aż do źródeł morza?<sup>[35]</sup> Z czyjego łona wychodzi mróz, a kto zrodził szron niebieski?<sup>[36]</sup>

Powiódł ręką po moim karku.

– Dziwny z ciebie chłopak – powiedział. – Josi to tylko mały muzyk, Uri przywodzi nam wszystkim na pamięć Efraima, a ty jesteś dzieckiem staruszków, sierotą Mirkina. Chodź, moje dziecko, wykorzystam cię trochę. Chodź, pomóż mi w ogrodzie.

Efraim odszedł z trupą Zejtuniego, dźwigając na plecach Jeana Valjeana, gdy minął tydzień pokuty żałobnej po moich rodzicach.

Bomba wrzucona do ich domu zatoczyła się, sycząc i dymiąc, pod moje łóżko. Brzęk rozbitego okna zbudził ojca. Zanim poczuł zapach lontu, zrozumiał, co się stało, i zapalił światło, minęło wiele cennego czasu. *Jeke* Ryłowa jednym ruchem pochwycił mnie z łóżka razem z kołdrą, uniósł w powietrze i wyrzucił jak tobolek przez okno, a potem położył się na mojej matce, która objęła go rękami i udami, uśmiechając się przez sen.

Gdy usłyszano wybuch, wszyscy byli na zebraniu w Domu Ludowym. Mówiono tam o konieczności zmiany kilku głównych linii wodnych do polewania i panował burzliwy nastrój. Wyskoczyli na dwór i pobiegli w ślad za oddalającymi się echemi grzmotu w stronę trzasku płonących ścian i swędu piekącego się mięsa.

Gdy dopadli podwórka Ryłowa, panowała tam już na nowo cisza. Krowy przestały ryczeć i wróciły do przeżuwania. Rozwiął się dym.

Daleko stamtąd, w Berlinie, jak przypuszczam, mściciel Daniel Liberson zbudził się z nocnego koszmaru i zakrzyknął niosącym się w dal głosem.

– Chcę do domu! – skomlał jak dziecko, zapaskudził spodnie, ssał palec i pełzał jak jaszczurka po swojej pościeli. Koledzy owinęli go prześcieradłem, kolebali łóżko, a rano przyszło dwóch Szkotów znających wiele języków i dróg, by mu towarzyszyć w długiej drodze do Kraju.

Skórzane tyrolskie spodnie, ślubna suknia, listy Efraima do Beniamina, wszystko spłonęło.

– W ciemności słyhać było jedynie płacz skrzywdzonego niemowlęcia. Zaświeciliśmy latarnie i znaleźliśmy ciebie, pełznącego na wpół nago po trawniku i pokrytego wielkimi ćmami.

Miałem wtedy dwa lata.

– Będziemy go chować razem z Urim i Josim – powiedział Abraham.

Lecz dziadek otulił mnie kocem i zabrał do swojego domu. Przez całą noc zdejmował ze mnie sadzę i piekący pyłek osypany

ze skrzydeł ciem. Wyciągał z mej skóry malutkie szklane okruchy, a rankiem ubrał mnie i poszliśmy razem, by stać przy trumnach, które już ustawiono w Domu Ludowym i przykryto narodowymi sztandarami i czarnym materiałem.

Stał tam oszołomiony Ryłow, zżerany poczuciem porażki.

– Oni przynajmniej zmarli w swoim łóżku. – To były jedyne słowa pociechy, jakie udało mu się wykrzesać, a dziadek uśmiechnął się blado.

– Tak, Ryłow, masz słuszość, w swoim łóżku – powiedział i poklepał strażnika po ramieniu w miejscu, gdzie rzemień karabinu zdążył już wyźłobić pokaźną, pokrytą bliznami bruzdę.

– Ryłow, ten idiota – powiedział mi Uri. – To jest u nich rodzinne. Bo czegoż można się spodziewać po człowieku, którego dziadek był jedynym Żydem w Rosji, który zgwałcił Kozaczkę?

– Mirkin wychowuje jeszcze jednego sierotę – powiadano we wsi.

Szlomo i Rachel Lewinowie przyszli, przygotowali obiad i znów zaproponowali swoją pomoc.

– Abraham zajmie się gospodarstwem – powiedział dziadek – a to dziecko ja już wychowam sam.

Jean Valjean ocierał się o stanowiące żywopłot wiejskiego cmentarza cyprysy, Efraim i Abraham zgrzebywali ziemię w groby moich rodziców. Przybyli również przywódcy osadnictwa i Ruchu i przemawiali. Dziadek trzymał mnie na rękach, a Cyrkin i Liberson stali z dwóch stron jak dwie fotografie.

Potem ludzie rozsypali się po cmentarzu małymi grupkami, jak to jest w zwyczaju, kładli na nagrobkach kwiaty i małe kamyczki.

– Chodź, Baruch – powiedział dziadek. – *Schnell, schnell.*

– Tyś się roześmiał, bo znałeś to wyrażenie z domu.

I dziadek mnie podniósł, i posadził sobie na ramionach.

Wieś przewyciężyła nieszczęście.

– Tworzymy zwartą tkankę. Nie ma w naszej wsi domu bez zmarłego. Jedni od malarii, inni od kuli, jeszcze inni od kopnięcia

rozszałęgo muła lub z własnej ręki. W narodowym posłannictwie czy w posłannictwie Ruchu, krocząc śladem Wizji.

„Również i w diasporze leje się krew żydowska”, pisał Liberson o moich rodzicach w wiejskiej gazecie. „Tylko że tam zarówno ich śmierć, jak i ich życie nie posiadają sensu. Tu życie ma sens, a także i śmierć, bo wzywają nas wolność i ojczyzna. Niech nasza rozpacz doda nam siły i woli. Wybraliśmy życie i żyć będziemy”.

– Przypadek – zakończył Pines jedną z naszych pogadanek o teorii ewolucji. – Przypadek zrządził, iż Zejtuni wrócił i pojawił się u nas właśnie wówczas, po śmierci twoich rodziców.

Jak wyuzdane okrzyki z wieży ciśnięć, jak powtarzające się odwiedziny hieny, jak coroczny przylot rosyjskich pelikanów i powrót Szulamit do dziadka – tak wrócił i ten nikczemny akrobata i pojawił się na polach naszej wsi. Dwa wysokie, wychudzone konie ciągnęły nędzny wóz okryty płachtami brezentu. Z tyłu toczyła się zardzewiała klatka, a w niej stary niedźwiedź. Nad małą karawaną unosił się zapach węgla drzewnego, maści do charakteryzacji, oszukaństwa i sztuczek zręcznych rąk.

Zejtuni był chasydem z Tyberiady, który stracił w jednej z powodzi dom i rodzinę. Rachel Lewin, znająca go jeszcze stamtąd, opowiadała, że po tym nieszczęściu zgolił brodę, a jarmułkę i chustę modlitewną wrzucił do brunatnej wody, która zniszczyła mu życie, posprzedawał święte księgi należące od wielu pokoleń do jego rodziny i rozpoczął wędrówkę ze swoją trupą między Damaszkim, Jerozolimą, Hebronem i Bejrutem.

W ten sposób przybył również do Doliny. Gdyby nie ta powódź, nie ujrzelibyśmy nigdy jego oblicza, a Efraim nie porzuciłby wsi.

Dziadek jednak nie wierzył w przypadki i przeczucia ani we wróżbitów przepowiadających przyszłość, a tylko w odtrąconych i uciekających, i był przekonany, że Efraim odszedłby w każdym wypadku, a winę ponoszą ludzie z naszej wsi, nie zaś Zejtuni.

„Pochowaj mnie w mojej ziemi”, napisał na karteczce, a wiedział, że ja jego karteczek szukam. Zaplanował swoją zemstę z przemyślaną i rozzarzoną do białości dokładnością. Pozaznaczał sobie słabe punkty i powymacywał miękkie podbrzusza.

Na początku zarabiał Zejtuni na życie małymi kradzieżami i nieskomplikowanymi cudami, jakich wyuczył się jeszcze podczas studiów. Sprzedawał bezpłodnym kobietom mosiężne

amulety, kabalistycznymi zaklęciami zamawiał ospę, mocą przebiegłych modlitw podpalał stopy wilgotnego drewna i wymawiając Niewypowiedziane Imię, sprawiał, że spadały lokalne deszcze.

Owe wyczyny wzbudzały entuzjazm i nadzieję w wielu miejscowościach w kraju, ale w Dolinie nędzne cuda Zejtuniego rodziły gniew i politowanie.

– Mieliśmy dosyć tych głupstw na dworach cadyków na Ukrainie – oświadczył Eliezer Liberson, a wszyscy Ojcowie Założyciele kiwali potakująco głowami.

Podczas pierwszego występu, w pierwszym roku istnienia wsi uzyskał Zejtuni tylko słabiutkie oklaski. Potem podszedł do niego Cyrkin-Mandolina, wesóły młodzian, potomek znanego rabinackiego rodu ze strony matki, a ze strony ojca zbliżony do bolszewickich przywódców, zamachnął się łopata i wykopał głęboki kanał. W miarę jak go pogłębiał, wzrastał się pomruk ziemi, a kiedy ostrze łopaty trąciło skorupę uwięzionego bagna, dosłownie u samych stóp Zejtuniego, wyrwały się stamtąd w straszliwej chmarze komarów ostre trzciniowe liście i pocięły jego delikatną skórę.

Mięsiste pijawki wylazły i wczepiły się w chude łydki Zejtuniego, a blade robaki usiłowały go wciągnąć w głębinę. Zdążył wykrzyknąć wszystkie znane sobie modlitwy, zanim Ryłow zmusił go do zaśpiewania: „Żaba jest mi wiernym druhem”<sup>[37]</sup>, a potem dopiero podał mu koniec bata i wyciągnął.

– Sztuczki i czary to poniżające zajęcie – powiedział Pines. – Dzisiaj tu, a jutro tam. Nic innego jak tylko oszukaństwo, włóczęga i nieproduktywna praca.

Cały ten tydzień spędził Efraim na wzgórzu przy grobach moich rodziców, a był tak cichy, że Fejga, Ester, Benjamin i wszyscy inni zmarli nie poczuli jego obecności. Jean Valjean skubał spokojnie soczystą trawę rosnącą między mogiłami i zgarniał swoim wielkim ozorem złożone na grobach kwiaty, a Efraim go nie karcił. On sam pił wodę z cmentarnej polewaczki, jadł owoce drzewa cierniowego rosnącego na pobliskim wzgórzu



i piekł kuropatwy, nieświadome nawet, kto je znienacka schwycił: dziki kot, łasica czy jastrząb. Wieczorami przyglądał się małej sówce stojącej na parkanie; biła mu nieustanne pokłony i wpatrywała się w niego swoimi fosforyzującymi oczami. Na siódmy dzień, gdy mój wuj wybierał się już do domu, spomiędzy drzew lasu eukaliptusowego wychynęła karawana Zejtuniego, przecięła drogę angielskich zenitówek i rozłożyła się obozem przy źródle. Po krótkim czasie zapełgał mały ogienek pod żelaznym garnkiem, w powietrzu uniósł się cieniutkim dymkiem smakowity zapach zupy i pieczeni i wwiercił w rozdarte nozdrza Efraima.

Wędrowni aktorzy spożywali posiłek, prowadząc głośną rozmowę. Jej dźwięki roznosiły się w rozrzedzonym powietrzu. Był tam asyryjski czarodziej w wysokim kołpaku na głowie, a zarazem poskramiacz niedźwiedzia, była arabska wróżbiarka o olbrzymich pośladkach, które, gdy chodziła, ocierały się o siebie z trzaskiem, a na jej staniku brzęczały monety, i był siłacz łamiący dwoma palcami gałęzie na ognisko. Zejtuni odrzucił zasłony wozu i wyciągnął z jego głębin małe drewniane pudło o rozmiarach skrzynki na owoce. Wyskoczyła z niego skrecona we dwoje elastyczna i miękka dziewczyna z gumy i popęzła po ziemi jak wąż. Efraim miał wzrok wyjątkowo ostry. Poprzez gorące, drżące nad ziemią powietrze widział jej oliwkową, smagłą i błyszczącą skórę i pozbawione kości ciało, zasupłujące się i rozplatające, okręcające się i kurczące na ziemi, i wydające cichy odgłos tarcia.

Uri dodał, że Efraim widział już kiedyś podobną dziewczynę podczas wojny w dzielnicy portowej miasta Arzew w Algierii. Komandosi zdobyli wychodzącą na port fortecę Legii Cudzoziemskiej. Spuścili się na linach z dachu twierdzy, wbiegli jak pająki na mur, powrzucali we wszystkie okna granaty, a potem ruszyli oczyszczać miasto ze snajperów.

Z jakiegoś domu otworzono do nich ogień. Wdarli się do środka, zastrzelili snajpera i znaleźli się w kręgu wystraszonych dziewcząt, ubranych w przezroczyste tkaniny. Dziewczyny kaszlały od kurzu unoszącego się z rozbitych pociskami słoików pudru. Gdy opadł, kurwy, sądząc, że mają przed sobą

Amerykanów, prosiły o gumę do żucia. Kapitan Stubbs, komendant oddziału Efraima, wziął od jednej z dziewcząt pomadkę do ust, wyszedł na dwór i napisał na ścianie: „Wstęp wzbroniony dla wszystkich rang”. Został postrzelony w lewe kolano i wpadł do środka.

– Ciężkie jedwabne welony zasłaniały im twarze – podniecał się Uri – lecz ich sutki mierzyły poprzez tkaniny mundurów szerokość żołnierskich ramion. Zalały ranę kapitana Stubbsa odurzającymi wonnościami, opatrzyły ją, a jego samego posadziły w głębokim fotelu, żeby przyglądał się i doznawał rozkoszy. Były tam dwie wysokie dziewczyny z Senegalu, którym plemienne prawa pozwalały uprawiać miłość wyłącznie w pozycji stojącej, lecz każdy, kto z nimi spał, czuł pod sam koniec, że uderza głową w alabastrowe sklepienie.

– Była dziewczyna z Węgier – szeptał Uri – której jama ustna była wyścielona aksamitem, a na dnie jej gardła drgały mięsiste płatki. Była pasterka z Anatolii z pachami uperfumowanymi sokiem kwiatów nasturcji. Wyrastały jej stamtąd włosy splecione w małe warkoczyki, związane kolorowymi wstążeczkami, włosy jej sromu zwisały jak kędzierzawa, gęsta kurtyna od pępka aż po kolana, a ona zapraszała wszystkich, żeby delikatnie za nie pociągali i przekonali się, że to nie peruka. Była komunistka z Krakowa, cienkobrewa Żydówka, która żądała, by w pokoju panowała absolutna cisza, a wtedy, koncentrując się nieco, potrafiła przemawiać stamtąd. Ale Efraim nie umiał po żydowsku i dlatego nie zrozumiał ani słowa – opowiadał rozpłomieniony Uri, a kurewskie cuda doskonaliły się w jego ustach z każdą relacją.

Kurwy bawiły oddział, jak tylko potrafiły, a Efraim nauczył się tam wszystkiego, czego żona naszego weterynarza jeszcze nie umiała.

Z każdego bidetu tryskała wesołymi fontannami kolorowa woda, a żeby podniecić chłopaków i panienki, tresowane kawki „skrzeczały sprośności” we wszystkich wyuczonych językach. Jedna z panienek zatańczyła im taniec gumowych dziewcząt, na

którego zakończenie oklaskiwała sama siebie stopami wykręconymi za plecy.

Uri mi wyjaśnił, że na widok gumowej dziewczyny Zejtuniego Efraim przypomniał sobie srebrne dzwoneczki na palcach u nóg algierskiej prostytutki. Po ukończonym tańcu dźwięczały mu one delikatnie w uszach pod fioletowymi baldachimami drugiego piętra.

Pines spostrzegł ich, jak się rozsiadali przy źródle, i nie wiedział, co robić... W takich wypadkach przywoływało się Ryłowa, lecz Pines z Ryłowem się nie zadawał. W końcu pobiegł i opowiedział o tym Margolisowi, ten opowiedział Toni, a Tonia pobiegła na podwórze i zastukała do żelaznych drzwi schowka. Otworzyła się jama i przywitało ją światło elektrycznej latarki i podwójna lufa strzelby.

– Czego chcesz? – zapytał mąż twardo. Tonia opowiedziała, że przyjechał Zejtuni, a Ryłow wziął pleciony batog, dosiadł konia i pocałował w pola.

Ryłow, jak wszyscy Ojcowie Założyciele, znał Zejtuniego i nie lubił go.

– Chcesz porcję? – zapytał Zejtuni przybliżającego się Ryłowa i od razu wydobył warząchew, i podniósł przykrywkę garnka.

– Czego tu szukasz, Zejtuni? – zapytał gniewnie Ryłow i spał konia, aż stanął dęba.

– Zjemy cokolwiek, urządzimy przedstawienie i pójdziemy sobie.

– Zjecie cokolwiek, przedstawienia nie urządzicie i pójdziecie! – oświadczył Ryłow i z miejsca dodał swoją zwykłą pogroźkę na temat śmierci w łóżku i poza nim.

Zejtuni się uśmiechnął.

– Tak zarabiamy na chleb – powiedział łagodnie. – I wszystko mi jedno, gdzie umrę.

– To nie jacyś zwykli ludzie, to zarząd – Ryłow nie przestawał grozić.

Lecz Zejtuni nie był stworzony z materiału, z którego

robiono maszynistów lokomotyw. Nie przestraszył się i nie zdenerwował, tylko wszczął dyskusję. Na początku Ryłow chciał przywołać Cyrkina-Mandolinę, żeby znów wtrącił właściciela cyrku do jamy, ale wbrew pozorom, jakie stwarzał, nie był człowiekiem krańcowym i dlatego zadowolił się sięgnięciem po pałkę wiszącą w futerale przy siodle.

Silny człowiek zauważył jego zamiar i chciał wstać z kamienia, na którym siedział, lecz w tym momencie poczęli przybywać ludzie ze wsi, rozmawiając między sobą w podnieceni, chcieli bowiem podnieść się trochę na duchu po ciężkiej żałobie panującej od tygodnia. Za nimi biegł Pines, walił w nich grudami ziemi i nawoływał do powrotu. Zejtuni dał swoim ludziom znak, żeby wstali z ziemi, a sam wspiął się na wysoką palmę i zaczął przygotowywać występ.

– Ale cóż im to właściwie przeszkadzało? – zapytałem Pinesa.

Pines nie zapomniał żadnego morału dającego się wyciągnąć z wydarzeń dnia, w którym odszedł Efraim.

– Popatrz, Baruch – powiedział do mnie łagodnie i cierpliwie. – Nie mówiąc już o fakcie, że dopiero niedawno pochowaliśmy twoich rodziców, trzeba wziąć pod uwagę również pewne ważne problemy zasadnicze. Ludzie, którzy po dwóch tysiącach lat oderwania wracają na rolę, nie powinni oglądać Żyda spacerującego sobie w powietrzu na linie. Wróżbiarka mogłaby wygłosić proroctwa niezgadzające się z naszą Wizją. A magika podejrzewaliśmy o to, że ze swoim niezdrowym podejściem przedstawi młodzieży zbyt łatwe rozwiązania dla aktualnych problemów, rozwiązania zalatujące oportunizmem, i w ten sposób wzmoże się zwątpienie, które zakiełkowało już w duszach i bez tego.

Zniżył głos w rosyjskim przekleństwie.

– A już z całą pewnością nie mogliśmy się zgodzić na tę królową ścieków, na gumową dziewczynę, ten nocnik pełen gówna, rozpusty i obrzydliwości. Nie mieliśmy żadnych wątpliwości, że swoimi niezliczonymi rozkraczeniami

i wygibasami oderwie uwagę młodych ludzi od roboty, bo dołem głębokim jest nierządnicą, a obca kobieta ciasną studnią<sup>[38]</sup>.

Siedzieliśmy na drewnianej ławce przy grobie dziadka.

W tym czasie już tylko ja zostałem przy gospodarstwie, a Miejsce Spoczynku Chaluców rozprzestrzeniło się po całej dziadkowej działce. Abraham i Rywka byli za granicą, Josi podpisał kontrakt na zawodową służbę wojskową i przechodził z odznaczeniami niezliczone kursy, a Uri skończył służbę i wrócił do pracy na traktorach swojego wuja w Galilei. W oborze gromadziły się pieniądze, a w powietrzu unosił zapach kwiatów i dobrze karmionej ziemi. Wśród wielkich nagrobków kręciło się kilkoro ludzi, ich buty chrzęściły przyjemnie po żwirze. Byli wśród nich krewni nieboszczyków, którzy od czasu do czasu podchodzili do mnie i wyrażali uznanie dla wytworności i skromności miejsca, uczniowie szkół średnich piszący pełne wzruszenia wypracowania na temat chaluców, przysadziste instruktorki ruchów młodzieżowych, podskakujące ciężko i wdychające aromaty różnokolorowych cieni.

Na grobie Margolisa siedziała na swoim stałym miejscu Tonia Ryłow i spoza migotania wiecznie latających tam pszczół wyglądała jak srebrzysty cień.

„Ona jest jego prawdziwym nagrobkiem”, odpowiedział mi Uri z niezwykłym u niego sentymentalizmem, gdy mu napisałem o starej Toni, która siedząc na grobie kochanka, ssała i lizała bez przerwy swój palec.

Buskila błądził po ścieżkach w towarzystwie dwóch młodych Amerykanów, synów fabrykanta kosmetyków z Nowego Jorku, Abe Cederkina, który przysłał ich, by mu wybrali działkę na grób. Byli bardzo wzruszeni.

– Cudownie, wspaniale – powtarzali w kółko.

Buskila podziękował im za uznanie.

– Nasz tato pracował trzy tygodnie w wytwórni win barona<sup>[39]</sup>, ale nasza mama zachorowała i musiał opuścić Kraj – opowiedzieli Buskili.

– Wszyscy są dobrymi chalucami, troszczą się o mamę –

odpowiedział uprzejmie Buskila. Pokazał im na skalistym gruncie cmentarza kilka wchodzących w rachubę miejsc.

– Cenę wyznacza się według odległości od Jakuba Mirkina, oby chroniło nas jego wstawiennictwo – objaśnił.

– Nasz tato pracował w Petah Tikwie cztery dni z Mirkinem – odparli.

– Wszyscy synowie Izraela są przyjaciółmi – powiedział Buskila. – Wszyscy kiedyś pracowali z Mirkinem.

– Tato pyta, jak się ma Cyrkin-Bałałajka – dodał starszy syn.

– Mandolina – poprawił Buskila. – Cyrkin-Mandolina, piąty rząd, siódma mogiła, tam pod tym wielkim drzewem oliwnym. On był dobrym przyjacielem Mirkina.

– Nasz tato też – powiedział Amerykanin.

– Nie ma u nas zniżek – uciął Buskila stanowczo. – Bierze się pod uwagę to, że wasz tato należał do drugiej alii.

– Z całą pewnością.

– Teraz wpłaca się zaliczkę, żeby zarezerwować miejsce, reszta, niech Bóg uchwala, w chwili przekazu, proszę, tam znajduje się nasze biuro.

Pines przyglądał się z zainteresowaniem transakcji sprzedaży, a potem westchnął i odwrócił się do mnie. Był już bardzo stary. Słabo widział, szczęki i język poruszały mu się bez przerwy, jakby meły jakąś niekończącą się papkę. Bardzo utył. „Stary i ciężki”, tak o sobie mówił.

– W końcu Zejtuni się poddał – powiedział mi. – Zgodził się na to, że odbędzie się tylko występ niedźwiedzia i siłacza.

Było to przedstawienie spokojne i fachowe, chociaż wywołało wielkie rozczarowanie.

– Niedźwiedź rozwiązywał wprawdzie zadania arytmetyczne – Uri dodawał za każdym razem nowe odcienie i ornamenty do historii o Zejtunim – lecz były to zadania bardzo proste, takie, że każde dziecko z trzeciej klasy potrafiłoby je rozwiązać.

Siłacz wzbudził niejaki zainteresowanie, splatając palcami grube gwoździe w warkocze i tłukąc cegły na własnym czole. Gospodarze przyglądali mu się z ciekawością, jak gdyby oceniali

wyjątkowo dobre robocze bydłę. Zapał wzmógł się nieco, gdy począł kurczyć i wprawiać w drganie swe mięśnie chodzące pod skórą jak wielkie szczury od ramion aż po dwa dziecięce dołeczki u nasady grzbietu.

Lecz dokładnie w tej samej chwili, gdy rycząc, podniósł „odważniki Apollina”, parę wielkich pociągowych kół z łączącą je grubą osią, i stał tak, czerwony i drżący na całym ciele z satysfakcji i wysiłku, zszedł Efraim z grobu moich rodziców, niosąc na ramionach Jeana Valjeana, tysiąc trzysta kilogramów rogów, kopyt, kremu i mięsa, i swoim lekkim krokiem przystąpił do obecnych, by przyrzeć się przedstawieniu.

Towarzysze się zaśmiali. Mocny człowiek wpatrywał się w Efraima i byka jak ktoś, komu pomieszały się zmysły, począł drzeć niebezpiecznie, upuścił swój ciężar i usiadł w kurzu.

Zielone oko Efraima zerkało poprzez dziureczki siatkowej zasłony.

– Wspaniałe – zakrzyknął Zejtuni i podbiegł do Efraima. – Wspaniałe, i ta czapka na głowie też jest wspaniała.

Dyszał ciężko.

– Z chciwości i chęci załatwienia dawnych porachunków – powiedział Pines.

Efraim, z ziewającym na jego ramionach Jeanem Valjeanem, usunął się na bok i przyglądał się wyliniałemu niedźwiedziowi, który skomlał z bólu, skakał przez płonącą obręcz.

– Wiele chcesz za występ? – zapytał Zejtuni.

Wśród publiczności rozległ się pomruk niezadowolenia. Efraim odwrócił się w ich stronę, robiąc zwrot całym ciałem, razem z bykiem.

– Przed nimi jestem gotów występować za darmo – powiedział i zdjął z głowy zasłonę.

Publiczność zamilkła.

– Witajcie, towarzysze – powiedział Efraim.

– Przerażeni i zawstydzeni spuściliśmy oczy.

Wuj odwrócił się znowu w stronę Zejtuniego i jego ludzi. Siłacz spojrział na jego twarz i zaczął wymiotować śrubami

i odłamkami betonu. Gołębie magika przymknęły swe okrągłe oczy. Wróżbiarka poderwała się z miejsca i zakrzyknęła: „Widzę masę ognia i wielkie bóleści”.

– Zamilcz, idiotko – zaryczał Zejtuni.

– No, Zejtuni, co powiesz na mój wygląd? – zapytał Efraim.

– To mnie w ogóle nie obchodzi – powiedział Zejtuni. –

Ludzie widzą, co widzą, a Zejtuni widzi serce. Dostaniesz u mnie dużo pieniędzy.

– Nie trzeba mi pieniędzy – odrzekł Efraim.

Niedostrzegalnym prawie ruchem powieki mrugnął Zejtuni na gumową dziewczynę, a ta podpełzła jak jadowity wąż do stóp Efraima, splotła kostki u nóg za karkiem i poczęła kołysać się na plecach jak odwrócony na grzbiet żółw. Potem wyciągnęła jedną nogę i zatoczyła nią koło. Jej płaski brzuch falował. Złożyła policzek na wzniesieniu łonowym, uwydatniającym się wyraziście w tej pozycji.

Pines chrząknął wstydliwie.

– Wszakże znajduje się tam rodzaj poduszeczki z tłuszczu – wyjaśnił cierpliwie. – Wyglądała cała jak obietnica zakazanych rozkoszy, których ciało pożąda tylko potajemnie – powiedział. – Była obrzydliwa i straszna, kocica śmietników, hiena.

Od czasu powrotu na wieś Efraim nie miał kobiety. Żli ludzie powiadali, że znajdował satysfakcję w przyglądaniu się kopulacji Jeana Valjeana. Gdy był młodym chłopcem, opowiadano, sypiał od czasu do czasu z żoną weterynarza, kobietą kłótniwą i ordynarną, czerpiącą przyjemność z przypatrywania się dokonywanym przez męża kastracjom źrebaków i cieląt. Teraz, kiedy brzuch miał skurczony od odtrącenia i nienawiści, wspomnienia fioletowego baldachimu rozlały mu się wilgocią po łędźwiach. Oderwał swe jedyne oko od gumowej dziewczyny i zwrócił je na jej pana.

– Przyjdę pomówić z tobą dziś wieczorem – powiedział mu.

– Poczekajcie na mnie tutaj.

Podrzucił na ramionach Jeana Valjeana, żeby go lepiej uchwycić, i poszedł do domu krokiem miarowym i cichym, jakby



frunął nad ziemią w swoich miękkich, pustynnych butach.

– Z daleka wyglądali jak olbrzymi maślak na malutkiej nóżce  
– powiedział Pines.

Podniósł się z wysiłkiem z ławki, zdjął zamglone mimo upału okulary i począł je wycierać, zakreślając połą niebieskiej, bawełnianej koszuli niezliczone kółeczka.

– Baruch, kogo widzisz? Czy to aby nie Bodenkin?

– To on – odpowiedziałem.

Icchak Bodenkin, jeden z pionierów z Doliny Jordanu, na wpół głuchy, ze zniekształconymi, zwiędłymi jak źdźbło zeszłorocznego zboża ustami, okopywał powolutku grządkę cynii przy bramie.

– Co on tutaj robi?

– Przybył tydzień temu – wyjaśnił Buskila. – Uciekł z kibucowej izolatki. Przyszedł piechotą, na wpół martwy, i prosił, żeby mu pozwolono pozostać tu, aż całkiem umrze.

– I tak tu żyje? Na dworze jak pies?

– Ależ skąd – oburzyłem się. – On prosił, żeby mu pozwolono popracować trochę łopata, a wieczorem idzie spać do obory.

– Do obory?

– Proponowałem mu, żeby przyszedł do baraku, ale on woli przestawać z Zajcerem.

– Cmentarzysko słoni – powiedział Pines.

Podszedł do Bodenkina i pozdrowił go. Starzec go nie poznał.

– Nie przeszkadzaj mi w pracy, chłopcze – burknął. – Po południu zabiorę cię na bydłęcy targ i kupię ci cukrowego kogucika.

– On mnie nie pamięta – powiedział Pines. – Pracowaliśmy kiedyś w grejpfrutowym pardesie, niedaleko stacji pomp na Jordanie. Smarowaliśmy pnie czarną maścią twojego dziadka. Były tam szczury wielkości kotów, oszalałe z upału i samotności. Wspinały się na drzewa cytrusowe i gryzły na nich korę. Zadawały straszliwe rany.

Usiadł zmęczony i smutny.

– Nie mogliśmy sobie wyobrazić, na co się zanosi – powiedział. – Ryłow powinien był usunąć tego kusiciela i podżegacza, tego Zejtuniego, zedrzeć z niego skórę swoim batogiem, biczami i kańczugami<sup>[40]</sup>.

Dopiero pod wieczór schodzę na publiczną plażę, rozciągającą się na południe od mojego domu. Kąpielowicze i żeglarki już się porozchodzili. Jak okiem sięgnąć, nie widać ani jednego człowieka. Na brzegu leżą porozrzucone niedojedzone kanapki, szkielety kiści winogron i pogubione sandały. Wrzaski dzieci wiszą jeszcze w powietrzu jak brudne ścierki i zamierają powoli. W dali, szary i krzepki, kołysze się we własnej pianie okręcił strażnicy granicznej i czyha na ofiarę.

Dejwid, staruszek od leżaków, dostrzega mnie z daleka i w swoim szałasie z mat stawia na małym gazowym palniku imbryk.

Zawsze przynoszę mu coś do jedzenia albo butelkę alkoholu z piwnic bankiera, lub też jakiś tom z jego biblioteki. Jest miłośnikiem książek, czyta po hiszpańsku i po francusku.

– Dejwid przez ej, miło mi, że hej. – Tak ma zwyczaj się przedstawiać i śmieje się przy tym zardzewiałym śmiechem. Ma duże, białe zęby i zwiędłe, spalone słoneczną spiekotą ciało.

Pijemy mocną herbatę i rozmawiamy sobie powolutku. Wybrzeże dookoła aż kipi od malutkich, żółtawych nadbrzeżnych raczków na cieniutkich nóżkach.

– One czyszczą brzeg zamiast mnie – mówi Dejwid.

Raki wychodzą ze swoich jamek, biegną w różne strony. Podnoszą szczypcę w jednym z najstarszych ludzkich gestów, w przejmującym geście groźby i błagania. Tak jak Efraim wznoszący rękę przy wyjściu z samochodu na środku wsi, jak babcia Fejga wodząca oczami w poszukiwaniu pelikanów i deszczu. Niektóre z nich remontują wnętrza swoich jamek i tylko wilgotne bryzgi piasku świadczą o ich aktywności. Gdy stoją bez ruchu, trudno je dostrzec, mają bowiem barwę piasku, lecz ja, który mogłem zauważyć modliszkę na suchych ostach, który otwierałem zamaskowane drzwiczki pajęczych pułapek i umiałem odróżnić gąsienicę patyczaka od wyschłych gałązek w sadzie, nie miałem żadnych trudności w ich rozpoznaniu.

– Lubisz takie? – zapytał Dejwid śledzący moje spojrzenie. – To nie jest koszerne.

– Lubię – powiedziałem. – Ale ich nie jadam. Mam starą ciotkę, która jada szarańczę.

– Jest na pustyni szarańcza, co stoi bez ruchu, można pomyśleć, że to kamień – zaśmiał się Dejwid.

– Potrzebna jest tylko cierpliwość – powiedziałem.

W krzaczkach srebrnych nieśmiertelników kryły się malutkie pluskwy udające suche błyszczące listki.

– Potrzebna jest tylko cierpliwość, Baruch – powiedział mi Pines.

Obaj przyglądaliśmy się roślince.

– Część z tych białych listków, co się w tej chwili porusza, to pluskwy, które potrafią udawać ruch kołysanego wiatrem listka. Poczekamy, aż wiatr ustanie, i wtedy zobaczysz. Kto będzie siedział cicho, to będzie listek, a dureń skaczący w dalszym ciągu, to pluskwa.

Tłumaczył mi, iż człowiek i owad stanowią dwie przeciwności, zmagające się ze światem na dwa różne sposoby.

– Człowiek, słaby i wrażliwy, posługuje się tym, czego się nauczył, i pomysłowością, a owad, krzepki i płodny, nie uczy się niczego, wszystko, co posiada, otrzymał przy urodzeniu. Nawet postępowanie złożone, w rodzaju tego, które obserwujemy w ulach Margolisa – powiedział – nie stanowi wyniku odkrycia i wyuczenia się.

Dziadek przyglądał się nam, gdy staliśmy na dwóch bańkach na mleko przy ścianie obory i badaliśmy budowane z błota gniazda os tkwiące w załamaniach pułapu. Pines kruszył żdźbłem słomy podstawy małych dzbanuszkowatych komórek i zwracał moją uwagę na to, że osa buduje w dalszym ciągu dach swojego domu i nie naprawia zniszczonego fundamentu.

– Tak jej nakazują odziedziczone szablony postępowania – powiedział i z miejsca zapytał: – A co jest lepsze: ubożuchny rozum owada, zaprogramowany na wykonanie nielicznych zadań, czy wielki, rozprasający się rozum człowieka?

– Oto, na przykład – powiedział mi przy innej okazji – Ryłow i jego syn, skończeni durnie. Tacy się urodzili i takimi pozostali. Zaledwie pięć procent ich mózgu nadaje się do myślenia, lecz te pięć procent bez przerwy pracuje, zawsze w tym samym kierunku, nie jak u tych mądrali, których rozum gubi się w przestworzach.

Opowiedziałem Dejwidowi o wielkim *saga*, straszliwym pasikoniku, którego rozradowany Pines przyniósł z Galilei i nakłuł na szpilkę, uświetniając swój zbiór.

– Jak widzisz, Baruch, *saga* jest nadzwyczajnie zamaskowany – powiedział. – Jest zielony i gdy stoi bez ruchu, przypomina podłużny liść. Gdy zbliży się ofiara, skoczy na nią, obejmie ją śmiertelnym uściskiem i przycisnie do kolców na swojej piersi. I pochwycił Joab Amasę, by go pocałować, i uderzył go mieczem<sup>[41]</sup>.

– Miałeś mądrego nauczyciela – powiedział Dejwid.

– On zjada nawet małe ptaszki, myszy i jaszczurki – dodałem, dumny z wykształcenia, jakie zdobyłem w dzieciństwie i młodości.

Dejwid był zdumiony.

– Pasikonik zjada mysz? – powiedział z podziwem. – Co za cwaniak.

– Nawet małego węża.

Dejwid wznosił toast za zdrowie wszystkich pasikoników. Potem począł wypytywać dyskretnie o mnie i o moją rodzinę.

– Dziwny z ciebie człowiek – rzekł. – Skoro mieszkasz tutaj, to masz chyba pieniądze, ale nie wyglądasz na takiego z pieniędzmi.

– Jestem rolnikiem na urlopie – odpowiedziałem. – Wziąłem urlop od wsi, od rodziny i od ziemi.

Nocą, gdy wracam do domu bankiera, przeglądam listy, karteczki i książkę Burbanka, które zostawił mi w spuściźnie dziadek.

„Nie było po śmierci człowieka piękniejszego, spokojniejszego, jaśniejszego od niego. Wyglądał jak śpiące dziecko”.

„Złożyliśmy Lutra Burbanka na wieczne odpoczywanie w ogrodzie starego domu, w którym przeżył czterdzieści lat, w miejscu, w którym pracował i w którym dokonał większej części swojego dzieła. Za życia zachodził często w to zaciszne miejsce, gdzie opadające aż do ziemi gałęzie drzewa tworzyły wokół pnia mały, chłodny namiot, przepojony aromatem drzewnych cierni. Tam złożyliśmy go na wieczny odpoczynek”.

W starym zeszycie „Pola” znajduję zasuszone cyklameny i krokusy pozostawione moim myszującym palcom przez matkę. Dziadek podkreślił tam niebieskim ołówkiem nekrolog, który na cześć jego bohatera ułożył ktoś podpisany A. Feldman. „Zmarł w wieku lat siedemdziesięciu i siedmiu w Santa Rosa, w swoim skromnym domku, wśród róż i śliw, winorośli i kaktusów”.

„Kaktus i winorośl, oset i lulek”, napisał dziadek własną ręką na marginesie kruszącego się zeszytu, bo te właśnie rośliny przywitały go, gdy przybył do Kraju.

– Pod przykryciem z kwiatów – powtarzałem sobie na głos. – Pod przykryciem z kwiatów.

Lecz Burbank był syty sławy, płodny i szczęśliwy. Wprawdzie uciekł od swojej ukochanej i sadził użyteczne drzewa, ale nie hodował swych kwiatów i drzew w błotach Sysery<sup>[42]</sup>, nie został pochowany w ziemi obiecanej jego przodkom, nie obowiązywał go regulamin i nie miał się na kim mścić.

Zejtuni spoglądał za oddalającym się Efraimem, a potem odwrócił się, zacierając ręce. Jego nozdrza poczuły łatwe zarobki i wiszącą w powietrzu zemstę.

– *Jalla, jalla*<sup>[43]</sup> – krzyknął na siłacza. – Idź, wyczyść garnek, idź! Idź już, ty babo przeklęta.

Wieśniacy niechętnie powstawali i zaczęli się rozchodzić. Zejtuni na rozkaz Ryłowa opuścił teren przy źródle i zabrał swych ludzi na nocleg poza granice gruntów wsi.

– Nazajutrz przyjechał do nas stary Hussein z plemienia Mazarib. Wyszedł o świcie uspokoić swoje psy.

Wśród strzępów mgły leżącej jeszcze na polach ujrzał Hussein wóz i klatkę jadące na wschód, a za nimi Efraima idącego

swoim cichym, spokojnym, nieustrudzonym krokiem. Jean Valjean leżał mu na ramionach i jeszcze spał. Z początku stary Arab pomyślał sobie, że ktoś zawołał Efraima dla pokrycia krowy, ale cały dzień kręcił się nękany niepokojem. Pod wieczór zdecydował, iż należy o tym kogoś zawiadomić. Pojechał wierzchem do domu swojego długoletniego przyjaciela, Ryłowa.

– *Abu Tor*<sup>[44]</sup> poszedł – zakrzyknął, stukając w drzwi tajnego schowka. – *Abu Tor* poszedł.

Lecz nikogo tam nie było. W tym samym czasie Ryłow jechał małą ciężarówką tajnymi, prowadzącymi do wsi drogami, ześlizgiwał się ze wzgórz, z wyłączonym silnikiem, bez świateł i ciągnął za sobą nowy czeski kombajn pełen dynamitu. Ma się rozumieć, że Hussein wiedział o tym, iż Tonia przebywa z Margolisem wśród uli w pardesie, gdzie oboje doznawali ostatnich miłosnych rozkoszy, ale nie chciał włączyć między pszczoły i dlatego pojechał do biura zarządu. Wnet zorganizowała się grupa poszukiwaczy, lecz Efraim, Jean Valjean, Zejtuni i jego ludzie znikli bez śladu.

– Nie ujrzałem już nigdy swojego ucznia – powiedział Pines.

– A Mirkin nie ujrzał swojego syna. Znowu przetarł okulary.

– Jak to się stało, że byk ważący tonę i ćwierć, jedyny w swoim rodzaju w calutkim kraju, i młody człowiek taki jak, wybac mi... Efraim znikli? Jak mogło się coś podobnego zdarzyć?

– Efraim potrafił przechadzać się wśród nietoperzy tak, by go nie wyczuły – powiedziałem mu. – Ty sam opowiadałeś mi o kocie Margolisa.

Pines zaczął krążyć między nagrobkami.

– Kiedy zakładałeś to okropne przedsiębiorstwo, sprzeciwiałem się – powiedział, kłapiąc sztucznymi zębami i śliniąc się z głodu. – Pamiętasz, byłem nawet obecny na tym posiedzeniu zarządu, kiedy przyprowadziłeś tego ulizanego adwokata.

Nie odpowiedziałem.

– Nie myśl sobie, że te głupstwa, coście tam wygadywali,

wpłynęły na zmianę mojego poglądu. Cmentarz stanowi dział gospodarczy... Hodowla rolna... Związek z glebą... Hańba! Wstydzilem się, słuchając tego. Palilem się ze wstydu. Żeby wnuk Mirkina gadał takie rzeczy, myślałem.

– A teraz?

– Teraz zmieniłem się, tamy puściły – Pines roześmiał się.

– Ciułam grosz do grosza, żeby być pochowany u ciebie.

– Co znowu, Jakubie – zawołałem z oburzeniem. – Ja miałbym brać od ciebie pieniądze?

– Pochowasz mnie za darmo, co? – powiedział Pines. Wyraz jego twarzy dał mi znać, że popełniłem błąd, lecz nie zrozumiałem, na czym on polegał.

– Moje dziecko – powiedział. – Moje dziecko. – Pogłaskał mnie po policzku, jego miękka dłoń, o skórze wygładzonej kredą i eterem, uformowana przez pióro i fujarkę, przemknęła po mojej twarzy, powędrowała na kark, a ja przymknąłem oczy. – Zrobiłeś piękną rzecz, Baruch. Chociaż nie zamierzałeś tego, jednak to osiągnąłeś, ale ja poszukam sobie innego grobu na mój pochówek.

Chodził powolutku, a ja czułem się, jak gdyby jego ręka spoczywała nadal na mojej głowie. Została tam jak ręka dziadka, jak muśnięcie dźwięków Cyrkina-Mandoliny, jak dotyk lodu na skroniach babci i puch gołębic piskłat na dachu składu z mieszanką.

W wieku dwudziestu ośmiu lat, ważąc sto dwadzieścia siedem kilogramów, w wielkim domu na wybrzeżu jestem jeszcze ciągle uczniem Pinesa i dzieckiem dziadka. Czekam na jego wąsy na swojej szyi, na jego opowiadania, na pokrajany pomidor posypany grubą solą, na stół z moim śniadaniem.

Między palce u nóg wciska mi się drobniutki gorący pył.

Słodka krew zapobiega malarii i przygnębieniu. Trucizna nie przestanie się sączyć. Zjawi się Szyfris, stary i obdarty. Z zaczarowanych strun uniosą się dźwięki Mahlera. Na kominie domu w Makarowie bociany marzą o żabach Syjonu. Szum morskich fal przez okno wielkiego domu, szelest worków z pieniędzmi. Na moim cmentarzu leży dwustu siedemdziesięciu



czterech staruszków i staruszek, jedna mandolina i jeden wiekowy  
muł. Chalucowie wprowadzający zamiar w czyn i zdrajcy  
kapitałiści.

Uri i ja umieliśmy czytać, licząc sobie zaledwie pięć lat, a Josi nie chciał się uczyć. Siedział przy nas i milczał, podczas gdy dziadek rysował na papierze słowa. Dziadek nie pokazywał nam oddzielnych liter, jak Pines, ale zaczął od razu od całych słów, z wykropkowanymi na dole samogłoskami.

– Litery poznają już sami – twierdził. – Litery wzięte z oddzielną nie posiadają żadnego znaczenia, zaczynają żyć jedynie wtedy, gdy występują razem.

W ogródku dziecięcym bawiliśmy się w piaskownicy, którą zbudował Efraim z kolegami po rabunku czekolady, jeździliśmy na starym traktorze Case z żelaznymi kołami, który mimo sprzeciwu Meszulama darowano przedszkolakom, zamiast oddać do jego muzeum.

Lewin przychodził czasami z pobliskiej spółdzielni i przynosił nam chłodny sok owocowy albo bułeczkę. Bułeczki braliśmy do zagajnika za Domem Ludowym. Rósł tam dziki czosnek, pozostałość z czasów, kiedy kpiły sobie z nas dżamusy i atakowały nas malaryczne komary. Napychaliśmy bułki długimi, aromatycznymi liśćmi czosnku.

„Omaścić kromkę”, tak nazywała to przedszkolanka Rut. „Pójdziemy teraz omaścić kromkę”.

W krótkich spodenkach, w białych czapkach na głowie, obuci w grube sandały, które szył wszystkim szewc Bernsztajn, szliśmy ze śpiewem do lasu. Każdego roku na Pesach Bernsztajn zapraszał nas do swojego baraku, dawał do trzymania odważniki, żeby nasze podniecone stopy przylgnęły mocniej do płatu skóry, i zaznaczał ich wielkość grubym, łaskoczącym ołówkiem.

– Dzieci, nie rozmawiać – strofował nas przez zaciśnięte wargi, miał bowiem usta pełne gwoździ. Co najmniej raz w tygodniu słyszeliśmy, jak krzyczał z bólu w ustępie za szewskim warsztatem.

– Przed twoim urodzeniem nie mieliśmy takich sandałów. Abraham chodził w sandałach ze starych opon, a Efraim i twoja

mama bosu.

Chodziliśmy do lasu gęsiego. Ja szedłem zawsze ostatni, bo byłem największy. Josi z gniewną twarzą kroczył z boku, szukając gładkich kamyczków do swojej procy, Uri chodził zanurzony w suknię przedszkolanki Rut. Wyzierały z niej tylko jego sandały i łydki, jak kończyny pszczoły z wielkiego, słodkiego kwiatu. Rut ze swoją szeroką, spokojną twarzą wyglądała, jakby miała cztery nogi. Dwie duże i bosa i dwie małe w sandałach.

– Szczęście znajduje się tam, gdzie oko nie zagląda – powiedział ironicznie i z miłością Pines, gdy ujrzał to widowisko.

– Przestań z tym, słyszysz! – krzyczała na syna Rywka. – Cała wieś gada o tobie. Co to ma znaczyć?

Lecz nawet pięcioletnie dzieci niechętnie rezygnują ze swych przyjemności.

– Lubię tak chodzić – oświadczył Uri.

– Ale tak się nie chodzi – wmieszał się Abraham.

– Lepiej byś milczał. Słyszeliśmy coś o twoich wierszach, gdy miałeś dziewięć lat. To dziecko nie upadło daleko od ciebie.

– Rut mi pozwala – powiedział Uri.

– Ciekawe, na co ona mu pozwoli za dwa lata – pieniała się Rywka.

– Rut ładnie pachnie – powiedział Uri.

Przez niego zarząd nakazał Rut, żeby przychodziła do przedszkola w szortach, a Uri zadowolił się tym, że niekiedy w porze drugiego śniadania podchodził do niej, zdejmował koszulę, rozciągał się na jej obnażonych udach i prosił, żeby mu zrobiła „przyjemnie na plecach”.

W pierwszym dniu szkoły dziadek wziął sobie urlop od drzew i odprowadził mnie, Josiego i Uriego do klasy. Josi zbliżył się do ściany, podniósł głowę, by spojrzeć na wielki plakat, który Pines powiesił nad tablicą, i przeczytał powoli i głośno: „Kraj został podbity nie mieczem żołnierza, a pługiem rolnika”.

Dziadek wybuchnął śmiechem.

– Nabrałeś nas – powiedział do Josiego. – Siedziałeś sobie cichutko i wszystko rozumiałeś. – A ten aż poczerwieniał

z radości.

Byłem o głowę wyższy od reszty dzieci i dlatego posadzono mnie z tyłu. Położyłem swój tornister, skórzaną niemiecką teczkę mojego ojca Beniamina, i zobaczyłem wchodzącego do klasy Pinesa. Udzielił mi już kilku lekcji. Kiedy miałem pięć lat, wziął mnie do pardesu i pokazał owalne, zamknięte gniazdo z otworem z boku.

– To jest gniazdo mysikrólika – powiedział. – Piskłeta już wyleciały. Możesz wsunąć rękę do środka i sam się przekonać.

Wnętrze gniazda było miękkie i ciepłutkie, wyścielone nasionami mlecza i puchem.

– Mysikrólik jest naszym przyjacielem, niszczy owady i szkodniki – powiedział Pines. – Jest malutki i ma długi ogonek.

Przyprowadził mnie do swojego domu. Z pudła, w którym przechowywał setki wydmuchanych jajeczek, wyjął i pokazał mi jajo mysikrólika, malutkie, blade, z czerwonymi kropkami na czubku.

W kilka dni później skakaliśmy po gęstwinie zarośli, nad słuchując godowego ćwierkania samca mysikrólika i obserwując, jak długi ogonek pomaga mu zachowywać równowagę. Jego długi i ostry dzióbek był rzeczywiście przystosowany do chwytania owadów.

– Dzień dobry, dzieci, nazywam się Jakub. – Jego okulary przesunęły się po dziecięcych twarzyczkach, zatrzymały na chwilę na mojej tezcze, która niegdyś była pełna płyt, i uśmiechnęły do mnie.

W noc śmierci moich rodziców teczka znajdowała się u niego i dlatego została ocalona od pożaru. Przyniósł mi ją przed rozpoczęciem nauki.

– Jutro pójdziesz do szkoły, Baruch. Oto teczka twojego ojca. Strzegłem jej dla ciebie.

Każdego roku zachodził do nowej pierwszej klasy i witał uczniów. Pierwszą lekcję wykorzystywał zazwyczaj na opowiadanie jakiejś historii. Tym razem opowiedział o bohaterze – Samsonie. Udawał ryk rozzdzieranego lwa tak dobrze, że

nastraszył całą szkołę.

– Powiedźcie mi teraz, dzieci, dlaczego był on bohaterem? – zapytał, gdy skończył.

– Bo zabił lwa – powiedziała Jael, wnuczka Ryłowa.

– Dlatego że zburzył dom Filistynów – powiedział Josi.

– Bo nie bał się pszczół, brał miód gołymi rękami – powiedział Micha, wnuk Margolisa.

– O tym nie pomyślałem – zdziwił się Pines.

Po godzinach nauki zwołał wszystkich nauczycieli na rozmowę.

– Byłem młody i zestarzałem się<sup>[45]</sup> – powiedział im. – Wiele pokoleń dzieci przeszło przez moje ręce, a ciągle jeszcze zaskakuje i wzrusza mnie ich mądrość. Dziś rano powiedział mi chłopczyk z pierwszego oddziału, że bohaterstwo Samsona nie polegało na jego fizycznej sile, a na odwadze, a odwaga jego polegała na tym, że gołymi rękami wyciskał miód z ula dzikich pszczół.

Pines powiódł oczami po twarzach nauczycieli.

– Powierzono wam cenny skarb – te młodziutkie pędy, najdelikatniejsze i najpiękniejsze ze wszystkich, jakie wieś sadi na swojej ziemi. Macie je podlewać i nawozić, wzbogacać i wpływać na nie, ale wystrzegajcie się ogrodniczych nożyc.

Nocą Pines opowiedział dziadkowi o wnuku Margolisa i o rozmowie z nauczycielami, a ja podpatrywałem ze swojego pokoju i słuchałem ich rozmowy.

– Pojmujesz, Jakubie – powiedział nauczyciel. – Mały wnuczek Chaima Margolisa widzi, jak jego ojciec i dziadek wkładają ochronne ubrania, maski i rękawiczki i jak okadzają ule dymem. Ale Samson zbliża się do ula bez żadnej ochrony i wyciska miód rękami jak ktoś, kto wciska korek w słoiczek, i to małe dziecko powiada: oto bohater.

– To jest bardzo ładne – powiedział dziadek. – Ale rozedrzeć lwa, tego nikt nie potrafi, z maską pszczelarza czy też bez niej.

Głos miał zduszony, a na twarzy pojawił się bolesny grymas.

– Co to ma z tym wspólnego, Mirkin – powiedział Pines. –

Czy jest ważne, czy to dziecko ma słuszność, czy też nie? Ważna jest ta świeża, słodka i pachnąca myśl dziecka o naiwnym i czystym umyśle. Ty właśnie jako sadownik wiesz przecież, jak trudno jest ją wyhodować.

– Zostaw te porównania, Jakubie – powiedział dziadek. – Nie ma żadnego związku między hodowlą a wychowaniem, między człowiekiem a zwierzęciem, między gąsienicą *Capnodis* a światopoglądem.

Po szkole szedłem jeść z dziadkiem obiad. Lecz gdy był zajęty przy robocie czy też miał zły humor, jadałem u Rachel Lewin. Jej gęste, zbite kędziorki przyprószyła już lekka siwizna. Kręciła się zawsze po domu w zielonkawym roboczym fartuchu. Wpatrywałem się jak przykuty w jej stopy poruszające się bezszelestnie po podłodze.

– Chcesz się nauczyć cichego chodzenia? – spytała.

– Tak – powiedziałem z entuzjazmem, bo słyszałem opowiadania o wuju Efraimie, a także zacząłem już wtedy zakradać się i podsłuchiwać, o czym ludzie rozmawiają.

– Chodź, pokażę ci.

Zaprowadziła mnie do swojego ogródka. Przy ich domu było małe pomocnicze gospodarstwo – kilka kur, królikarnia, grządki jarzyn i ziół. Gdy Lewin przybył do wsi i został przyjęty jako pracownik usługowy, próbował hodować przy swoim domu jarzyny. W jego rękach było jednak coś, co powodowało wysychanie i więdnienie; każda roślina, której dotknął, marniała. Tylko on jadł z apetytem swoje szare pomidory i blade strąki papryki, a nawet usiłował przekonać instruktora rolniczego, iż jest świadkiem powstawania nowych, wyhodowanych przez niego, Lewina, odmian. Gdy się ożenił, Rachel przejęła pieczę nad ogrodem i Lewin, pragnący zawsze zostać rolnikiem, mógł wreszcie zająć się przyjemnością plody swojej ziemi. Rachel Lewin posadziła jarzyny i kwiaty, z domu swojego ojca przywiozła krzaczki bazylii w skrzynkach i blaszankach. Po nocach podchodzili pod płot ludzie i bydła, stawali tam z zamkniętymi oczami i wdychali aromatyczne powietrze.

Rachel ucięła z żywopłotu kilka suchych gałęzi i porozrzucała je po ścieżce.

– Przypatrz się, Baruch – powiedziała i przeszła się po nich bezgłośnie. – Teraz ty.

Pod moimi nogami gałęzie łamały się z trzaskiem. Rachel się roześmiała.

– W twoim wieku Efraim już chodził jak flanelka po stole – powiedziała. – Kiedy spuszczasz nogę, to ją spuszczaaj miękko i płasko, oddychaj tylko brzuchem, a nie piersią.

Podrzuciła jeszcze chrustu, ale nic nie pomogło.

– Chodzisz jak stara krowa – westchnęła. – Poczekamy, aż wróci Efraim.

Lewin przyszedł na obiad. Nie wydawał się w ogóle podobny do babci ze zdjęcia. Zawsze był blady i słaby i nie chodził cicho, ponieważ powłóczył nogami. Może wszyscy Lewinowie są tacy, pomyślałem, i dlatego babcia zmarła.

Czasami zapraszał mnie Abraham, bym jadał u nich, lecz chodziłem tam niechętnie z powodu Rywki. Wolałem jadać z dziadkiem, chociaż umiał gotować jedynie ziemniaki w łupinach. Po obiedzie lubiłem zakradać się i siadać na betonowym chodniku pod oknem ich kuchni, i słuchać rozmów, które prowadzili podczas jedzenia. Uri, ciekawski kpiarz szukający już wtedy mocnych wrażeń, potrafił zawsze zepsuć rodzicom apetyt.

– Od czego zmarła babcia? – zapytał ni stąd, ni zowąd.

Mogłem wyczuć, jak twarz Abrahama zasnuwa się chmurą.

– Od choroby.

– Co jej było?

– Uri, przestań zawracać głowę.

– Nira Liberson powiada, że to nie była choroba.

– Powiedz wnuczkom Libersona, żeby się lepiej zajęły kłopotami własnej rodziny.

Zapanowała cisza, a potem dał się słyszeć głos Rywki.

– To wasz dziadek, którego tak bardzo uwielbiacie, ją zabił.

A co?

Podniosłem się i zajrzałem ponad okienną ramą. Rywka szorowała zaciekle ceratę na stole, jej piersi, brzuch i biodra trzęsły się pod suknią jak całe stado podbródków. Muchy lądowały na pozostałych od śniadania plamach powideł. Abraham jadł w milczeniu, Josi go naśladował. Obaj ładowali jedzenie na widelec za pomocą kromki chleba.

– Mamo, nie ma dosyć sosu w sałatce – powiedział Josi.

Podobnie jak ojciec lubił moczyć chleb w sosie.

– Zdecyduj się, co wolisz: sałatkę czy błoto – odpowiedziała Rywka.

– On ma słuszość – zauważył Abraham. – My lubimy sos.

– Wykańczacie z tym sosem bochenek chleba, a obaj jesteście i bez tego zbyt spasieni.

– Dlaczego on, ni z tego, ni z owego, ją zabił? – zapytał Uri, któremu dyskusja na temat sałatki wydała się jałowa.

– Zabiły ją bloki lodu, które musiała dźwigać, i listy od jego Rosjanki – powiedziała Rywka.

– Nie myślę, żeby to były opowiadania odpowiednie dla dziewięcioletnich dzieci – powiedział Abraham, a bruzdy popęzły mu po czole.

Rozległo się mocne trzepnięcie. To sokół Josiego walił skrzydłami w szybę okienną, a ja szybko schyliłem się i kucając, oddaliłem od ściany. Swojego czerwonego sokoła Josi wyjął z gniazda jeszcze jako obrosłe białym puchem pisklę syczące i jeżące się przeciwko całemu światu. Przez trzy miesiące łowił swojemu ulubieńcowi myszy i jaszczurki, aż sokół wyrósł i jego lotki zgrubiały i stwardniały. Był przywiązany do swojego pana jak pies i dreptał za nim po podwórku, potykając się na swoich pazurkach. W końcu wylazł z nim Josi na dach obory i rzucił go w powietrze, żeby nauczył się latać. Sokół nauczył się wprawdzie latać, lecz nie opuścił naszego podwórza. Skrzeczał bez przerwy, przywołując Josiego, i nie wolno było zostawiać otwartego okna, bo od razu wlatywał do wnętrza, darł z radości firanki i tłukł wazony. Wszystkie inne ptaki z jego gatunku już wywędrowały z kraju, jedynie on tu pozostał.



– To wielka rzadkość – powiedział Pines. – Wielka rzadkość, zimujący w kraju czerwony sokół, co za wierność.

– Zabierz tego zasranego ptaka! – wrzeszczała Rywka.

Uri wybuchnął śmiechem.

– Ciesz się, że on przylatuje tutaj, a nie do twojego ojca – powiedział Abraham.

Ojciec Rywki, rymarz Tanchum Peker, odniósł się entuzjastycznie do pupila swojego wnuka.

– Zrobimy z niego łowczego sokola – powiedział, a jego łysina załśniła na myśl o mocnych wrażeniach.

Tanchum Peker był w pierwszym okresie powstawania wsi jednym z najbardziej zajętych ludzi. Szył i naprawiał uzdy, uprząże i lejce. Jego chomąta były znane w całej Dolinie z tego, że nigdy nie uwierały pociągowych bydląt w szyje. Dziadek opisywał mi, jak Peker ciął rzemienie na batogi, pociągał nożem po wielkich płatach skóry, stękając z wysiłku i wysuwając koniuszek języka. Ruch jego ręki był tak pewny i dokładny, że koniec bata zaczynał drgać z chwilą, gdy rzemień oddzielał się od płatu skóry. Z nadejściem traktorów jego dochody bardzo się skurczyły, lecz zapach skóry i dziegciu ciągle jeszcze ulatniał się z jego palców i butów, jak również z drewnianych ścian warsztatu.

– Łowczy sokół – marzył Peker. – Taki, jakie bywały u arystokratów i oficerów.

W młodości był ordynansem oficera kawalerii w armii cara Mikołaja.

– To były czasy – zwykł mawiać, drażniąc swoją tęsknotą Ojców Założycieli.

– Oficerowie w mundurach ze złotymi epoletami, szablami, córkami właścicieli ziemskich i balami. Sute spódnice, tańce, słodkie szepty w ogrodzie... – Peker lubował się w opisie dorocznego balu w domu naczelnika policji w powiatowym mieście. – Podawali ogromne rzeczne ryby, karpie i szczupaki. Mnie również nakarmili i napoili, a potem tańczyli.

– I Żyd Peker też tańczył i słodko szeptał? Czy może tylko czyścił jęzorem buty swych panów? – zapytał z sarkazmem

Liberson.

– Tańczył – odpowiedział z dumą Peker.

– Z koniuchem majora czy z kobyłą gubernatora?

Peker nie odpowiedział. Szył siodła i chomąta dla koni Haszomeru i to stanowiło jego bilet wstępu na karty historii, i zaspokajało pragnienie nieśmiertelności, na które cierpieli wszyscy staruszkowie. Indeks nazwisk Księgi Haszomeru wydawał mu się wystarczającym i czcigodnym pomnikiem i innego uwiecznienia nie potrzebował.

Dziadek go nie cierpiał, podczas wojny bowiem, gdy Stowarzyszenie pracowało przy pasieniu bydła, ludzie Haszomeru ich prześladowali, zrabowali im stado i obgadali ich przed administracją. Nie zapłacono im należności, jedyną parę butów musieli oddać Fejdze, ciężka praca i głód porały im twarze. Cyrkin siedział i grał godzinami, usiłując chwytać urywane dźwięki w rozwarte usta i uśmierzyć granie w swoim żołądku. Skóra Fejgi pokryła się wrzodami, ale ona, ruchliwa, wychudzona i smagła, głaskała swych towarzyszy po głowach.

– Moi chłopcy – mówiła. – Moi kochani.

Jej chłopcy owijali nogi szmatami. Już nie fruwali w powietrzu. Na ciałach narosła im twarda i ciężka skóra, a głód przygwoździł ich do ziemi. Gdy stali bez ruchu, nie mogłem ich dojrzeć, nawet kiedy przymykałem oczy, bo byli niedostrzegalni jak olbrzymie grudy ziemi. Co dwa dni warzył im Cyrkin kleistą kaszę z kukurydzy i fasoli w blaszanym, wbudowanym w jamę piecu z kominem ze starego glinianego dzbana.

Wiele lat potem, nawet gdy już ulotnił się z ich ust smak dymu, ciągle jeszcze dziadek i jego przyjaciele czuli urazę do ludzi z Haszomeru i dziadek miał ich za satrapów, którzy chcieli założyć w Galilei komunę arabskich rasowych klaczy.

– Łowczy sokół – powiedział Peker i wyciągnął ze swojej skrzynki szydło i kilka zakrzywionych igieł. Usiadł na rymarskiej ławce, ze sterczącym z niej niezgrabnym, drewnianym imadłem, a Josi, Uri i ja siedliśmy obok, oczarowani zręcznością jego palców i miłym zapachem jego rzemiosła. Stary pociągnął nici

woskiem, splunął na brązowy paznokieć kciuka, zaznaczył na skórkach linie, którymi następnie poprowadził nóż, i sfastrygował skrawki miękkiej skóry w osłonkę na głowę sokoła.

– Kiedy kładzie się ptakowi coś na oczy, to siedzi jak niemowlę i nie rusza się – wyjaśnił.

Wyciął otwór na krzywy sokoli dziób, a z grubszej skóry uszył sobie długą aż do łokcia rękawicę.

– Rękawica jest po to, żeby ochraniała rękę, żeby jej sokół nie rozdarł na strzępy. Popatrzcie, jakie ma pazury.

W tym okresie sokół już zaczął polować, lecz gdy słyszał świst Josiego, wracał pospiesznie i lądował u stóp swojego pana.

– To bardzo dobrze, że on wie, że ma wracać. Teraz nauczymy go przysiądać na rękę. Za dwa tygodnie sam zobaczysz, Josi, on nam będzie przynosił zające na obiad.

– Czerwony sokół jest na to zbyt mały, co najwyżej przyniesie ci mysz – zlekceważył ten pomysł Pines. – Do polowania potrzebowałbyś jastrzębia. A poza tym, Josi, polowanie za pomocą drapieżnych ptaków było obrzydliwym sportem pasożytniczej i zdegenerowanej warstwy pławiących się w zbytku wyzyskiwaczy.

– Powiedz swojemu nauczycielowi, żeby sobie dalej łowił po nocach żaby – parsknął pogardliwie Peker, kiedy Josi powtórzył mu z obawą słowa Pinesa.

Josi i jego dziadek zabrali sokoła w pole. Mnie i Uriemu kazano iść z tyłu, żebyśmy nie zawadzali. Sokół siedział posłusznie na ręku starego rymarza. Swe białe szpony wpijał w rękawicę, a jego zgrabna, nieruchoma głowa tkwiła w skórzanej masce. Peker wybrał odpowiednie miejsce, poślinił palec i zbadał kierunek wiatru, po czym zdjął zasłonę i puścił sokoła wolno. Wspaniały ptak uniósł się w górę, błyskając w jasnym powietrzu czerwonym brzuszkiem i brązowymi pasami podogonia.

– Ano, gwizdnij na niego.

Josi wetknął w usta dwa palce i świsnął. Sokół zatrzymał się w powietrzu, rozpostarł lotki ogona jak wachlarz, przez chwilę trzepotał w miejscu, a potem, z na wpół stulonymi skrzydłami dał

skośnego nura w ich kierunku. Stary rymarz wyciągnął ku niemu chronioną rękawicą rękę. Sokół rozłożył lotki i zatrząsał nimi, hamując, ale przestraszył się wyciągniętej ręki. Załopotał skrzydłami w powietrzu i skierował się w stronę łysiny Pekera.

– To było okropne – powiedział Pekar lekarzowi zszywającemu mu głowę. – Myślałem, że ze mną już koniec.

Sokołowi Josiego nie udało się zatrzymać na śliskiej głowie, więc wbijał w nią raz po raz swe ostre jak szydła pazury. Twarz Pekera zalała się krwią i zemdlął w polu. Parszywe ptaszysko odleciało w popłochu, a my pognaliśmy do domu przywołać pomoc. W domu nie było nikogo, w podwórzu pracował tylko stary Zajcer. Udał się z nami w pole. Głowę Pekera pokryły już zielone muchy. Skórę na czaszce miał pociętą, a jej skrawki zwisały z kości. Pomogliśmy Zajcerowi włożyć rannego na plecy i przywieźliśmy go do lecznicy.

W kilka dni później, gdy jasne już było, że Tanchum Pekar jest na drodze do wyzdrowienia, a on sam kręcił się na dworze w olbrzymim białym turbanie z gazy, poczęto go przezywać Jastrzębie Oko, Nimrod i Sułtan Abdel Hamid, a Liberson napisał w wiejskiej gazecie, że nasza społeczność chce wprawdzie wrócić do życia na łonie natury, lecz nie „do wykorzystywania instynktów drapieżnych ptaków i folgowania prymitywnym popędom”.

– Zwierzę poluje, by zaspokoić głód, a człowiek dla nikczemnej przyjemności – oświadczył Pines w szkole i odczytał nam odpowiednie ustępy z *Księgi dżungli* Rudyarda Kiplinga, który był „wprawdzie kolonialistą, ale człowiekiem mądrym”.

Podniosłem się i roztrzaskałem okno trzymanym w rękę kamieniem. Odłamki szkła sypnęły się na stół, przy którym siedzieli Abraham i Rywka.

– Dziadek jej nie zabił – powiedziałem im ponuro.

– Dziecko swojego dziadziusia – rzuciła ironicznie Rywka. – Zabierzcie go stąd, zanim go zabiję.

– Przestań – powiedział Abraham.

– To niech twój ojciec zapłaci za okno.

– Zamknij się już!

– Poczekaj, aż stary zemrze, a on pocznie się drzeć o spadek z naszymi dziećmi – zasyczała Rywka.

– Dość tego! – krzyknął Abraham.

Wstał, wyszedł z domu i podszedł do mnie.

– Nie zwracaj na nią uwagi, Baruch – powiedział. – Ona ma napięte nerwy. Będiesz mógł być zawsze z nami. Nie wyrzucę mojego siostrzeńca z domu.

Przyjrzałem mu się. Jego krótkie kroki, poorane pole czoła i pochylone plecy otaczały go zwartą, nieprzeniknioną zasłoną poruszającą się wraz z nim jak pancerz żółwia. Niekiedy zabierał mnie i swoich bliźniaków do stodoły i zachęcał nas do mocowania się na paczkach słomy. Nie wiedziałem, czy go bawi, czy gniewa przyglądanie się, jak rozkładam obu jego synów na podłodze. Uri zazwyczaj napadał na mnie znienacka od tyłu, a kiedy podrzucałem go w powietrze, ogarniały go niezmiennie ataki śmiechu. Josi, upokorzony, obrażony i skrzywdzony, biegł z płaczem do mamy.

Abraham wziął mnie za rękę. Lubilem jego dotknięcie. Już wtedy mgliście pojmowałem, że są w naszej rodzinie tacy, których udziałem jest ten sam ból. We wsi gadali, że Abraham w dzieciństwie rzucił się na nieznajomą kobietę przebywającą we wsi przejazdem, kopał ją po łydkach, wrzeszczał i gryzł ją w brzuch, aż policzek wymierzony przez Ryłowa zwałił go na ziemię. Lecz mój wuj był świetnym gospodarzem, czytywał fachową literaturę i nieraz wołano go do sąsiedniej wsi, by pomógł weterynarzowi ustalić diagnozę. Abraham prowadził dokładną księgę obory. Każda z jego krów posiadała szczegółowy rodowód i zapis udoju, procentu tłuszczu, zapłodnień, ocieleń, poronień i okresów niedojnych. Była to księga stada, prowadzona dokładniej, niż się je na ogół prowadzi. Szczególnie jeśli chodzi o dział, w którym notowano daty, kiedy krowy traciły swych wysłanych na ubój synów.

Moja matka zmarła, Efraim znikł i Abraham był jedynym pozostałym w domu synem babci Fejgi. Przez te wszystkie lata

chodził nadal na grób matki. Widywaliśmy go z Urim, jak jechał ciężkim rowerem Efraima marki Herkules na cmentarz na wzgórzu.

– On jedzie rozmawiać z babcią – mówił Uri. – On jej opowiada wszystko, co się dzieje w gospodarstwie.

– Twoja mama też tam jest – powiedział znacząco, ale ja nie zareagowałem.

Tylko raz do roku z czią i przejęciem chodziliśmy z dziadkiem na mogiły moich rodziców.

W naszej wsi czas posuwa się po kolistych szlakach deszczowych chmur, odmierzony miesiącami brzemienności, łączną długością zagonów, tajemniczymi, nieodwracalnymi procesami gnicia, i ja nie śmiałem mierzyć go rocznicami. W kilka lat potem, gdy z dziecka zmieniłem się w doświadczonego grabarza, potrafiłem już dosłyszeć z wnętrza ziemi okrutne pęknięcie trupich brzuchów. Lecz w owym czasie siedziałem tylko z dziadkiem przy nagrobkach moich rodziców, a potem towarzyszyłem mu, gdy szedł na grób swojej żony, zawsze wypielegnowany i lśniący. Betonowe wgłębienie u stóp nagrobka mieniło się obfitością biało-żółtych narcyzów i zielono-fioletowej bazylii.

– Mój tato posadził tam narcyzy – powiadał Uri. – Żeby mu było łatwiej płakać.

Gdy mieliśmy po jedenaście lat, Pines zorganizował jedną ze swoich ostatnich wycieczek.

– Na wozie zaprzężonym w konie, jak w dawnych dobrych czasach – oświadczył.

Za młodu zabierał swoich uczniów do Golanu i Choranu na wyprawy trwające niekiedy do trzech tygodni. Zasuszali kwiaty, łowili owady, jedli i nocowali w osiedlach, kibucach i arabskich wioskach, które rekomendował Ryłow. Rozgniewani rodzice skarżyli się, że Pines odrywa uczniów od robót gospodarskich właśnie wtedy, gdy są najbardziej potrzebni. Lecz Pines na specjalnym poświęconym tej sprawie posiedzeniu powiedział, że w jego branży zawsze jest szczytowy sezon.

– Plon ziaren zasianych przez szkołę dzisiaj będziecie kosić za lat dziesięć – oświadczył. – Cierpliwości, towarzysze.

Tym razem zorganizował trzydniową wycieczkę.

– Przykro mi, moje dzieci, wasi rodzice opowiedzą wam o wielkich wyprawach, ale nie mam już teraz tej siły co wówczas. Nie mogę dużo chodzić. Dojdziemy tylko do Kiszonu i do starożytnego Bejt-Szaarim.

Dziadek przyprowadził mnie przed świtem do domu nauczyciela.

– Strzeż mojego dziecka, Jakubie – powiedział.

W wieku lat jedenastu byłem już wzrostu dziadka. Pines roześmiał się i powiedział, że to raczej ja jego będę strzegł.

Daniel Liberson poszedł z nami jako ochrona. Jechał wierzchem na koniu, uzbrojony w karabin i batog. Jego wzrok świdrował mnie na wylot, szukał na moim czole zaginionych znaków. Przy korycie Kiszonu wyciągnęliśmy z plecaków małe Biblie o czerwonych brzegach i czytaliśmy cienkimi, wzruszonymi głosami: „Przyszli królowie i walczyli; walczyli wówczas królowie kananejscy w Taanak nad wodami Megiddo. Z nieba walczyły gwiazdy, ze swoich torów walczyły z Syserą. Potok Kiszon porwał ich, prąd potoku Kiszon”<sup>[46]</sup>.

Pines kiwał się w prastarym rytmie tych słów. Zganił starców ze wsi Maroz za to, że usiedli na wiejskim śmietniku i wykręcali się od pójścia na wojnę.

– Kananejczycy mieli dziewięćset rydwanów, galopowali w Dolinie, a myśmy się zaczaili wśród dębów – powiedział potem. Jego palec kreślił linie w powietrzu, głos rozpalał się i niósł w dal. – A wtedy spadł deszcz. A co bywa u nas w Dolinie, kiedy deszcz pada?

– Jest błoto! – krzyknęliśmy.

– Wiele tego błota?

– Dużo! – krzyczeliśmy. – Gumiaki grzęzną w błocie i nie wyłazą.

– Aż po krowie brzuchy – powiedział poważnie mój kuzyn Josi.

– I błoto doszło aż do brzuchów koni – naprowadzał nas dalej Pines. – Utkwiły w nim koła rydwanów, a myśmy wyszli z lasu i uderzyliśmy na nich, i zaznała ziemia spokoju przez czterdzieści lat<sup>[47]</sup>.

– Spokój – powiedział potem Pines jakby do siebie. – Ten spokój odmierzany latami.

My jednak byliśmy mali i nie rozumieliśmy, co on tam sobie pomrukuje.

Nazajutrz pojechaliśmy do starożytnego Bejt-Szaarim. Już w drodze Pines nas uprzedził, że będziemy zwiedzali straszliwe miejsce.

– Tutaj przybywali martwi z diaspor, żeby ich pochować w ziemi naszego Kraju – opowiadał nam, kiedyśmy stali w katakumbach. Jego głos rozlegał się echem w ciemności, a cień drżał na ścianach, by w końcu zostać pochłoniętym przez ślady dłut dawnych kamieniarzy. – Tu żył i zmarł rabbi Jehuda Hanassi, a gdy został pogrzebany w tym miejscu, stało się ono bardzo ważne. Lecz my, moje dzieci – dodał od razu – myśmy przybyli do Kraju, by w nim żyć, a nie umierać. Oni wierzyli, iż pochówek w Kraju oczyści ich z grzechów i przybliży do raj, lecz my nie wierzymy w podziemną wędrówkę zmarłych<sup>[48]</sup> i w odkupienie



grzechów. Odkupieniem naszych grzechów jest praca na roli, a nie wyrąbywanie grobów. Naszą wędrówką jest orka, oczyścimy nasze dusze ciężką pracą. Zdamy rachunek jeszcze na tym świecie.

– Dlaczego ich karmisz tymi głupstwami? – zapytał go dziadek w jednej z nocnych rozmów, jakie staruszkowie prowadzili przy herbacie. Lecz wtrącił się Liberson i powiedział, że Pines ma rację, że drugi świat jest wymysłem chytrych oszustów, księży i rabinów, którym nie udało się dotrzymać obietnic na tym świecie.

W dziesięć lat później, na moim cmentarzu, prawie w zupełności zapełnionym martwymi Żydami z diaspory, przypomniał mi Pines naszą wycieczkę do Bejt-Szaarim.

– Klęska pedagogiczna – powiedział. – Nie przypuszczałem, że któryś z moich uczniów uczyni coś podobnego. Ja ostrzegałem, a teraz zastanawiam się, czy sam nie posiałem w twojej duszy tej wykoślawionej idei.

– Dziewięćdziesiąt procent ludzi z drugiej alii opuściło kraj – powiedział. – A ty przywracasz ich teraz Ziemi. – Staliśmy przy grobie Cyrkina-Mandoliny.

– Leży sobie i gra – powiedział Pines. – Leży i gra.

I tam, przy grobie Cyrkina-Mandoliny, powalił Pinesa wylew krwi do mózgu. Schylił się swoim zwyczajem do ziemi, starając się coś usłyszeć, i nagle na jego twarzy rozlał się słabutki uśmiezek, a wyraz jej zmieniał się powoli, jak gdyby Pines usłyszał jakiś utajony szmer we własnej głowie. Z początku nie zrozumiałem, co się dzieje, ale gdy nauczyciel zaczął osuwać się na ziemię, rzuciłem łopatę i pospieszyłem do niego. Bałem się go objąć, więc podałem mu tylko ramię, żeby się na nim oparł, lecz jemu nie udawało się natrafić na nie ręką. Ręka, która preparowała pod lupą kijanki i grała na organach głosowych świerszcza, macała teraz powietrze ślepo i niezdarnie.

Podniósł z wysiłkiem głowę, a gdy usiłował mówić, wykrzywiły mu się wargi. Z gardła wydobywały się jedynie skrzeczące niskie dźwięki. Upadł na ziemię powolnym ruchem,

jak tonący w gliniance, twarz mu pobladła, oddech stał się płytki i przyspieszony, a z policzków lał się strumieniami pot. Zarzuciłem go sobie na plecy i pobiegłem do lecznicy.

Doktor Munk, nielubiany wiejski lekarz, posłał go ambulansem do szpitala, a ja pojechałem z nimi.

– Trudno przewidzieć, czym to się skończy – powiedział mi lekarz w izbie przyjęć. – Zostawimy go u nas. W tych sprawach trzeba się liczyć z dużymi niespodziankami. Stan może się polepszyć lub pogorszyć.

Pines leżał na łóżku i podrygiwał jak olbrzymi czerw wystawiony na światło. Skręcał się konwulsyjnie na prześcieradle, niezgrabny, biały i wilgotny, bez przerwy jadł i przez cały czas coś bełkotał. Gdy podałem mu papier i pióro, żeby napisał to, co chce powiedzieć, zaczął gryzmolić na lewym marginesie i pisał dalej w powietrzu. Poruszał z trudem jedną nogą i przewracał wybałuszonymi jak śliwki oczami.

Skóra na nim pleśniała i rano, gdy pielęgniarka go myła, ciągnęły się za gąbką cieniutkie szare włókna. Nocą wytwarzał je na nowo, jak gdyby pragnął utkać wokół siebie kokon i obudzić się zdrowy i uskrzydłony, w znanym sobie świecie pełnym słońca i kwietnego pyłku.

Stan Pinesa bardzo mnie niepokoił. Rechotał jak zwierzę, siusiał w łóżko, a czasem usiłował zetknąć w powietrzu obie ręce. Zostałem przy nim dwie noce i trzy dni. Kłapanie szczęk chorego nauczyciela, ani na chwilę nieprzestającego żuć, doprowadzało mnie do szaleństwa. Na moje szczęście wieś przysłała mi zastępców, by go pielęgowali aż do wyzdrowienia.

Dopiero po trzech tygodniach poprawił się stan jego skóry, a z ust poczęły wydobywać się słowa. Na początku trudno mu było wymawiać niektóre spółgłoski, ale z chwilą, gdy już zaczął mówić, własne słowa poczynają go unosić i wyciągać z otchłani, w której był pogrążony. Zauważyłem potem, że nie używa ani czasu przeszłego, ani przyszłego. To jest dobry znak, powiedziałem z wahaniem lekarzowi, staruszek walczy o to, by znów żyć chwilą obecną. Powoli wróciły mu słowa i rządzące

nimi reguły, zbierały się wokół niego jak mrówki wokół spadłego owocu i niosły go ogromną, podnieconą procesją do pełnej świadomości.

– Pięknie – powiedział lekarz. – Poprawia się.

Teraz, gdy Pines mógł już mówić, wracał szybko do zdrowia. Lekarz był zdumiony siłą tego powrotu. Nie rozumiał, iż Pines, człowiek wyposażony w wizję przyszłości, znajomość praw przyrody i dar przekonywania, mógł już w obecnym stanie obejść się bez swoich zablokowanych styków nerwowych i zwracać się do swojego ciała słowami, nakazując mu, by się poruszało. W ten sposób przywrócił sobie ruchy nogi, a z czasem i precyzyjne czynności rąk.

Trzy dni rozmawiał wyłącznie z sobą samym, a na czwarty dzień zwrócił się do mnie.

– Moi praojcowie to pierwotni mieszkańcy pieczar – powiedział najzupełniej wyraźnie.

Spojrzałem na niego zdumiony.

– Związek z ziemią jest niczym innym jak tylko robieniem z ludzi głupich krów i ślepych kretów – dodał Pines w tempie dyktanda, rozzłoszczony moją tępotą.

Wtedy zrozumiałem, że stary nauczyciel będzie zdolny wrócić do domu, chodzić i mówić, będzie nadal wymachiwał siatką na motyle, ale nigdy już się nie wyleczy. Mętna krew, która wytrysła spomiędzy błon jego mózgu, rozmyła mury jego wiary i wypłukała złoza nadziei.

– Teraz wszyscy powiedzą, że jestem wariat – zaczął nagle płakać w kilka dni później, kiedy zrozumiał, co mu się przydarzyło. Usiłowałem go uspokoić. Przypomniałem, że w naszej wsi nie ma ani jednego człowieka, którego by wszyscy towarzysze uważali za normalnego. Normalność człowieka jest tylko zwykłą, demokratyczną decyzją, powziętą stosownie do liczby osób, które widzą w nim człowieka normalnego. Efraim, na przykład, do dzisiaj uważany jest przez wieś za wariata z powodu Jeana Valjeana, a są i tacy, którzy go mają za donosiciela i zdrajcę. W zarządzie uważali, że Pines to wariat, jeszcze zanim

zapadł na udar mózgowy, ponieważ słyszał krzyki po nocach. Wielu widziało wariata w moim dziadku, bo od dnia odejścia Efraima zaprzestał zbierania owoców, pozwalał, by plon opadał na ziemię, i mówił lekceważąco, że hoduje drzewa wyłącznie dla ich kwiatów. Kiedy Ryłow odkrył, że Margolis zadaje się z Tonią, zdecydował, że Margolis to wariat. Wariat i idiota. Margolis z kolei uważał, iż wariatką jest Rywa, i rzucił się na kościste, zaniedbane ciało Toni Ryłow z trzepoczącym pożądaniem greckiej ćmy, wyładowując w nią pilnie, pracowicie i „z głośnym bzykaniem”, jak się wyraził Uri, swoją słodką krzepę. Tonia zdawała sobie sprawę, że nie wszystko jest z nią w porządku, lecz wolała swoje szaleństwo od zapachów oliwy do karabinów, strzelniczego prochu i uryny bijących od jej męża.

W czasie gdy mieszkałem jeszcze we wsi, uważano, że i ja jestem niespełna rozumu. Cmentarz stanowił tego niezaprzeczalny dowód, ale jeszcze w szkole i w przedszkolu dzieci ode mnie stroniły i z wyjątkiem Uriego nie miałem kolegów wśród równolatków.

Dziadek i Pines tuczyli mnie opowiadaniem oraz wiedzą o drzewach i owadach. Cyrkin grał mi i zadziwiał mnie swoim sposobem wbijania gwoździ. Skórę na dłoniach miał tak twardą, że mógł bez trudu uderzeniem dłoni wbić gwóźdź w deskę. Gdy ścisnął mi dłoń, słysząc było wyraźnie drewniany suchy odgłos tarcia.

– Skorpiony w szczelinach obory boją się mojego taty jak śmierci, od czasu, gdy jeden z nich złamał sobie na jego dłoni żądło – uśmiechał się Meszulam. Kiedy Mandolina doił swoje krowy, jego dłonie nabierały miękkości i żadna nie skarżyła się na brutalność dotyku.

Liberson czytywał mi bajki z książki i nawet jeden, jedyny raz bawił się ze mną w chowanego.

– Oni składali tym hołd pamięci babci – powiedział Pines.

Eliezer Liberson nie zawsze miał dla mnie czas. Wprawdzie prowadzenie gospodarstwa powierzył Danielowi, lecz w to miejsce poświęcił się całkowicie udoskonalaniu swoich zalotów do Fani.

Nie ustawał w sprawianiu jej niespodzianek i zabawianiu jej. Robił to z wrodzoną sprawnością, która zadziwiająco rozwinęła się od czasu, gdy Fania wplotła się w jego życie. Wiedział, że miłość jest najbardziej tajemniczą i kapryśną glebą, i twierdził, że nie cierpi ona utartych pieścizot i niezdarnych ceremonii, jak na przykład leżenia odłogiem co siedem lat czy też kolejności posiewów. Te rzeczy nadają się wyłącznie dla gleb ubogich i rolników pozbawionych wyobraźni. Od czasu do czasu cała wieś mogła słyszeć śmiech Fani dolatujący z okien ich domu.

– Liberson znowu to robi! – powiadał z podziwem Uri.

Nikt z nas nie mógł pojąć sprzeczności, jaka zachodziła między Libersonem, nadętym ideologiem, strzelającym ciężkimi pociskami utopii i miotającym na posiedzeniach i w gazetce lawinami słów, a ukrytym w nim hedonistą, który istniał wyłącznie dla Fani. Wytresował kruki w swoim ogrodzie, żeby gwizdały za nią jak rosyjscy studenci. W letnie noce ciągnął ją w pola na chutliwe przechadzki, których jeszcze i ja zdążyłem być świadkiem, a Pines opowiadał, że dawno temu, kiedy Fania pracowała w pakowni owoców, Liberson przygotował przysmak ze śmietany, kakao i cukru, nabrał go w usta i poszedł tam całować żonę i napełnić jej usta tym słodkim kremem. Po drodze zatrzymali go ludzie, którzy chcieli z nim pomówić, i bardzo się dziwili, że Liberson po raz pierwszy w dziejach wsi nie otworzył ust.

Na dziesiąty dzień po ślubie przewyciężył niektóre zasady, pojechał wozem do miasta i przywiózł jej drogie pachnące mydło, które rozsiewało aromaty lekkomyślności i herezji. W owym czasie kobiety we wsi myły się jeszcze wielkimi sześcianami szarego i śmierdzącego mydła do prania. Fania używała nowego

mydła tylko w piątek wieczorem, a uwodzicielski zapach unoszący się z jej skóry wprawiał ją w zakłopotanie i zrodził we wsi falę szeptów i sprzeciwów. Kilku starym osadnikom przypomniał przekłętą skrzynię luksusów Rywy i perfumy Pesi Cyrkin, ale w Libersonie potrajał pożądanie.

Minęły dwa miesiące, mydło się zmniejszyło i Fania znalazła w nim właściwy podarek od swojego męża, „głupią karteczkę” skrytą w szczelnie zamkniętej cynowej rurce, którą mu zrobił blacharz. Liberson usłyszał jej uradowany okrzyk, dobiegający z baraku, w którym mieściła się pralnia – a w owych czasach było to również miejsce kąpieli – i natychmiast tam pobiegł.

Od tego czasu, tak powiadano, zaczął ukrywać dla niej karteluszeki w każdym możliwym miejscu. Znajdywała te blaszane rurki w żłobach dojnych krów, w gomólkach podpuszczkowego sera, słyszała je kołatające w naftowych blaszankach grzejników dla kurcząt, a gdy sztuka Libersona dosięgła szczytu, to znajdywała je nawet w żołądkach zabitych i skubanych przez siebie na obiad kur.

– Eliezer przesadza, jak zwykle – powiedział z satysfakcją Pines. – Jeżeli tak dalej pójdzie, to u Fani jeszcze może się rozwinąć mania prześladowcza. W każdym razie cała wieś wie, że jego skrytki są o wiele bardziej udane niż śmierdzący schowek Ryłowa.

W przeciwieństwie do przyjaciela Cyrkin nadal ciężko pracował i bardzo go już znużyło życie z synem wałkoniem i żoną, „cycatą działaczką”.

Meszulam Cyrkin ocalił w jednym z kibuców dziesiątki skrzyń ze starymi papierami i przez całe lata zajmował się ich sortowaniem. Pesia przychodziła od czasu do czasu ze swojego biura w Radzie Robotniczej, żeby gościć na wsi przywódców robotniczych z zagranicy, specjalistów od rolnictwa z Birmy i czarnych ministrów w kolorowych spódniczkach i piekarskich czapkach. Organizowała również akcję wychowawczą i społeczną w obozach przejściowych dla nowych imigrantów i w gazecie można ją było ujrzeć na zdjęciu kąpiącą marokańskie dziecko

w blaszanej balii i uśmiechającą się do jego mamy. Pod macierzyńskimi piersiami Pesia widniał napis „Towarzyszka Pesia Cyrkin poucza nową imigrantkę, czym jest matczyna miłość”.

A dziadek miał w sercu żal do swoich dwóch przyjaciół. Był to żal stłumiony, subtelny i zamaskowany ochronnymi barwami dobrych obyczajów. Wychowywał mnie, przycinał i hodował swoje drzewa, pisał karteczki i planował. Przemijający czas oblekł moje kości w ciężkie mięśnie, napełnił mnie opowiadaniem, rozwiązał Stowarzyszenie Pracy imienia Fejgi i przemienił je w wielką legendę, w pożółkłe zdjęcia, w odcięte od swych właścicieli cienie.

Ja jednak uważałem Cyrkina i Libersona za rodzinę. Pewnego dnia, gdy przyszedłszy do Libersona, nie zastałem go w domu, wziąłem do ręki jego książkę z bajkami. Byłem małym dzieckiem i nie umiałem jeszcze czytać ani pisać, ale zobaczyłem, że książka jest pusta. Białe, lśniące arkusze papieru w płóciennym oprawie. Liberson wymyślił te wszystkie bajki, które mi opowiedział. Pasikonika i mrówkę, bociana i lisa, a także kwiat o złotym serduszkem.

Gdy wspomniałem o tym Pinesowi, wybuchnął śmiechem.

– My wszyscy, na ogół, zmyślamy lub opowiadamy bajeczki zmyślane przez innych – podsumował. – A szczególnie pasikonik i mrówka to nic innego jak tylko niczym nieuzasadniona bajeczka.

Pewnej nocy usłyszałem, jak rozmawia z dziadkiem w kuchni.

– On powinien przebywać ze swoimi rówieśnikami – powiedział. – To niedobrze dla małego chłopczyka, przebywać wyłącznie w towarzystwie dorosłych.

– To dziecko jest moje – odpowiedział dziadek i ssął z rosnącą zaciekłością trzymaną w ustach gorzką oliwkę.

– Mirkin – upierał się Pines. – Umyślnie czy też nie, wznosisz wokół Barucha zwały ruin. Ja go widzę w szkole. Na przerwach nie gra w szklane kulki ani nie bawi się w berka. Z nikim nie rozmawia, a tylko łązi sam jeden po trawniku.

– Szuka chrząszczy, tak samo jak ty – powiedział dziadek.

Niekiedy podnosiłem oczy i widziałem, że jestem otoczony wrzaskliwym i szyderczym kręgiem.

– Dzieci krążą wokół niego jakienne ptaki wokół puchacza, wrzeszczą i drażnią go.

– To mnie nie niepokoi – powiedział dziadek. – Nie zazdroszczę chłopcu, który ośmieli się za bardzo go rozdrażnić.

W drugiej klasie złamałem dwa palce wnukowi Ryłowa, Uziemiu. Klęczałem przy rosnących koło płotu białych oleandrach i szukałem pasożytujących na tej roślinie gąsienic ćmy. Poruszały się niezgrabnie, białe i błyszczące, na blaszkach liści trującego krzewu, a gdy dotknąłem którejś z nich, odwracała się do mnie i patrzyła dwojgiem strasznych oczu. Wiedziałem, że te oczy są tylko oszustwem – dwie niebieskawe plamy okolone czarną obwódka. Pines wyjaśnił mi, że wyrysowane spojrzenie gąsienicy ma na celu odstraszenie wszystkich stworzeń czyhających na jej życie.

Uzi Ryłow wylądował z łomotem na moim grzbiecie. Schwycił mnie za uszy i zaczął szarpać. Złapałem go za przegub ręki i wykręciłem do siebie. On miał trzynaście lat, był starszy i zręczniejszy ode mnie. Na bar micwę otrzymał od swojego dziadka konia do jazdy wierzchem i parabellum i został wysłany bez pożywienia na próbę przeżycia na wzgórze koło czerkieskich wiosek. Ale ja w drugiej klasie ważyłem już czterdzieści dwa kilogramy, byłem mu równy wzrostem, a od dziadka dostawałem odmierzone dawki siary i nienawiści. Powolutku wyginałem trzy palce Uziego do tyłu, dopóki nie rozległ się lekki trzask. Uzi zbladł, upadł na ziemię i zemdłał. Dwóch nauczycieli zabrało go stamtąd, a ja nachyliłem się od nowa nad gąsienicą i wpatrywałem się w jej sztuczne oczy.

Wieczorem Ryłow przyszedł do dziadka na rozmowę, a dziadek wycodził ironicznie przez zęby, jakby wypluwał strumień lodowych kostek, że lepiej by było, gdyby jego wnuk zadawał się z rówieśnikami, a nie czepiał młodszych od siebie, którzy mogą się okazać niebezpieczni.

Od tego czasu nie ruszano mnie, ale na przerwach śpiewano



wymierzone przeciwko mnie szydercze piosenki, a Pines, który zawsze potrafił wyjrzeć w odpowiednim momencie przez okno i zauważyć, że gotuję się do ataku, wychodził i zabierał mnie do gabinetu przyrodniczego. Kładł mi rękę na karku i wyciągał z mojego ciała twardość i napięcie.

Dwa razy tygodniowo, po południu, wychodziłem z nim w pole, do „szkoły natury”.

– W naturze nie ma marnotrawstwa – oświadczył Pines, gdy szliśmy polną drogą w kierunku *wadi*. – Wszystko się przydaje. Dobrze, jeżeli trzymać się będziesz jednego i nie puścisz ze swojej ręki i drugiego<sup>[49]</sup>. Istnieje robak, który gnieździ się w ząbkach czosnku. Są pająki, które jedzą swoich miłosnych partnerów. Krowie łajno, zgniłe owoce, tkaniny, papier, wszystko się przydaje.

Pines trzymał ręce skrzyżowane za plecami, jak właściciel ziemski zwiedzający swój dziedziczny majątek. Ja niosłem na ramieniu kwadratowy, wojskowy tornister, a w nim pincety, siatki, puste pudełeczka od zapalek, zakorkowane słoiczki z trutkami.

– Ten tornister dał mi twój dziadek – opowiadał Pines. – Tornister angielskich radiotelegrafistów. Należał do twojego wuja, Efraima.

Poprosiłem Pinesa, by schwytał modliszkę. Owad ten przyciągał moją uwagę stylizowaną pozą i świętoszkowatą miną. Tymczasem ścieżką przebiegł właśnie pomarańczowy chrząszcz z czarnymi plamami na grzbiecie, zwróciłem więc na niego uwagę nauczyciela, który wodził wokoło oczami i nie przestawał mówić. Gdy zobaczył chrząszcza, bardzo się przejął.

– Może tym razem nam się poszczęści – powiedział i przykazał mi nie spuszczać z niego oka.

Chrząszcz posuwał się w linii prostej, bardzo zaaferowany. Jego czułki, podobne do dwu krótkich maczug, poruszały się bez przerwy.

– Nadzwyczajny zmysł powonienia – szepnął Pines i popęzł za nim na czworakach.

Po kwadransie chrząszcz przyspieszył kroku i wtedy poczuliśmy lekki zapach padliny.

Chrząszcz znikł pod warstwą słomy.

– Ano, zobaczmy – powiedział Pines, odsunął słomę i obnażył zdechłego szczygła.

Usiedliśmy plecami do wiatru tak, żeby unosił od nas smród, a Pines przykazał mi nie spuszczać wzroku z tego, co się tu niebawem rozegra.

Przepychając się między grudkami ziemi, nadszedł drugi chrząszcz. Nie tracąc czasu, zabrały się do spółkowania przy trupie.

– Widzisz, Baruch – powiedział Pines – jak wielka i różnorodna jest natura. Są pary, które spotykają się na ukwieconym polu, inne – w teatrze, a tych dwoje – w smrodzie.

Teraz oba chrząszcze zaczęły podkopywać się pod martwego szczygła, wyciągając spod niego grudki ziemi i małe kamyczki, tak że pograżał się coraz głębiej w kopanej pod nim jamce. Przesiedzieliśmy tam kilka godzin, aż ptaszek znikł i został pokryty ziemią.

– Teraz – powiedział Pines – chrząszcz mama zniesie w zdechłym ptaszku swoje jajeczka, a zanim jeszcze wylęgną się pędraki, ponadgryza mięso i zmiękczy je dla swoich dzieci. Bywają tacy, co rosną w pałacach, i tacy, co w padlinie. Ja chcę dzielić swój los z maluczkimi tego świata.

Wziął mnie za rękę i wróciliśmy do domu.

Kiedy lekarze orzekli, że Pines może już wrócić do wsi, Buskila wynajął taksówkę, a ja zaproponowałem, żeby mieszkał kilka tygodni ze mną, lecz Pines powiedział tylko jedno: „Do domu”.

Gdy przybyliśmy do jego domu, stary nauczyciel miał w oczach łzy ze smutku i z wysiłku. Zestarzał się bardzo. Malutkie skrzepy krwi trafiły go z dokładnością chirurgicznego skalpela, przecięły węzły pamięci, zniszczyły tamy, które wznosił od pierwszego dnia pobytu w Kraju, i sprawiły, że ośrodek głodu w jego mózgu bez ustanku wysyłał sygnały.

– Wszyscy pomarli – powiedział Pines – od walki z pokusami i od ciężkiej roboty. Żyje jeszcze tylko Szlomo Lewin. I ja jeszcze żyję. Dwóch dementów.

Teraz już nie nauczał i nie zapraszał uczniów do siebie. Nie wychodził więcej w pola, czasami siadywał w ogródku i przypatrywał się mrówkom i skaczącym w trawie pasikonikom. Wśród posadzonych przez niego polnych kwiatów leżał zwinięty wąż, którego wypuścił z gabinetu przyrodniczego na wolność. Swoje zoologiczne zbiory podzielił między siebie a szkołę. Stawonogi, wypłowiałe gady w słoikach z formaliną i puste ptasie jajeczka pozostały w gabinecie. Poza przyjętą ogólnie systematyką Pines dzielił jeszcze zwierzęta na szkodliwe i pożyteczne i swój prywatny zbiór podzielił wyłącznie na dwie grupy: „przyjaciele” i „wrogowie”.

– Trudny podział – wahał się. – Na przykład pszczołojad wyniszcza osy, lecz zarazem i pszczoły Margolisa. Łasica wykańcza polne myszy, lecz również kurczęta.

– Gdy widzisz owada, ptaka, ssaka czy też gada, zapytaj go: jesteś z nami czy przeciw nam – powiedział mi Pines na jednej z naszych pierwszych wspólnych wypraw, gdy miałem pięć lat.

– Ten zbiór zapiszę ci w testamencie – oświadczył. – Jesteś go godny.

Zazwyczaj naradzał się wiele z dziadkiem, będącym specjalistą od szkodników sadów. Obaj uczyli mnie poznawać je i niszczyć. Szli razem ze mną do sadu, stawiali mnie przed gruszą, podczas gdy ich ręce spoczywały na moich ramionach.

– Przypatrz się dobrze – powiedział dziadek.

Dwaj mężczyźni, jeden w kaszkiecie, a drugi w szerokim słomianym kapeluszu, stali nade mną w szarych koszulach, z uroczystym wyrazem twarzy. W powietrzu między nimi dawało się wyczuć podniecenie, którego przyczyny nie znałem.

– Nie widzę niczego – odpowiedziałem.

Dziadek ukląkł na ziemi i pokazał mi w pniu gruszy okrągłą dziurę półcentymetrowej średnicy. Na ziemi pod nią zebrała się mała kupka drobnych trocin.

– Taki drapieźnik potrafi zniszczyć całe drzewo – stwierdził Pines.

Dziadek wyciągnął cienki i długi stalowy drut. Jego koniec był wyostrzony i skręcony w sprężynkę.

– Wędką sadowników – powiedział.

Ostrożnym i pewnym ruchem wsunął drut w tunel gąsienicy. Półtora metra drutu znikło stopniowo w pniu drzewa, a dziadek cicho westchnął, bo zrozumiał, jak wielka szkoda już się dokonała.

– Kawał cholery – powiedział, kiedy poczuł, że ostrze wbiło się już w gąsienicę. Obrócił trochę drut, utkwiony w jej boku jak korkociąg i począł delikatnie wyciągać ją na zewnątrz.

Z pnia dobiegło wywołujące ciarki drapanie i obrzydliwy wizg, gdy podczas wyciągania na słońce zuchwy i pazurki gąsienicy zostały wydarte z rdzenia gruszy i poczęły szarpać ścianki tunelu.

– Ano – powiedział dziadek i wyciągnął drut. Na jego końcu sterczała, skręcając się konwulsyjnie, miękka, żółtopomarańczowa, czarno kropkowana grudka. Dziadek zbliżył ją do mej twarzy. Poczulem mdłości i nienawiść.

– Przypatrz się dobrze, moje dziecko, oto wróg, *Zeuzera pyrina*.

Tak zaczęły się moje lekcje agronomii. Dwa razy w tygodniu posyłano mnie do sadu, żebym wynajdywał u podnóża drzew owe małe kupki trocin.

Pamiętam jeszcze dziś, jak sam wyciągnąłem z pnia jabłoni renety swoją pierwszą gąsienicę. Drgania i zgrzytanie zębów potwora wewnątrz drzewnego pnia udzielały się poprzez stalowy drut moim palcom i przegubom dłoni aż po kręgosłup.

– Nie bój się, Baruch – powiedział mi dziadek. – Ona jest w twoich rękach.

Strząsnąłem zeuzerę na ziemię i przydeptałem nogą.

A kiedy zeuzera zamordowała morelę w sadzie Libersona, Pines spiłował martwe drzewo i dłużył mu w pniu małą siekierką, aż dobrał się do jednej z gąsienic. Wyrąbał kawałek pnia

z gąsienicą w środku.

– Ciebie włączymy do kolekcji – uśmiechnął się. – A twoim towarzyszom zgotujemy piękną śmierć.

Wywlekliśmy trup drzewa poza sad i podpáliliśmy go.

– Żegnajcie, nikczemnicy – powiedział Pines, gdy spośród płonących gałęzi zaczęły dolatywać do nas krzyki i przedśmiertny kaszel.

Udaliśmy się do jego domu. Pines wyciągnął gąsienicę pincetką i owinął ją bibułą.

– Niekiedy gąsienice wydzielają w chwili śmierci plamiący płyn – objaśnił. Włożył podrygującą gąsienicę do probówki, którą następnie zatkał nasiąkniętą benzyną watą, dał mi herbatniki, kazał usiąść i rozpoczął wykład.

– To jest egzamin dla każdego kolekcjonera – powiedział. – Nie ma rzeczy trudniejszej niż zakonserwowanie gąsienicy. Jest soczysta i z łatwością butwieje, nie ma zewnętrznego pancerza, który by strzegł ją przed utratą kształtu.

Gdy liszka zdechła w oparach benzyny, nauczyciel wyciągnął ją, położył na szklanej płytce i zrobił małym skalpelem cięcie blisko odbytu.

– Ukradłem go Soni z lecznicy – powiedział, a całe ciało trzęsło mu się od hamowanej uciechy, potem przewałkował po ciele gąsienicy ołówkiem, od głowy do odwłoka. Z nacięcia wyrwały się na zewnątrz jelita, a Pines odciął je i wyrzucił przez okno.

– Ptactwu niebieskiemu i zwierzyńce polnej<sup>[50]</sup> – zanucił na melodię recytowania Pisma.

Wziął małą słomkę, nakłuł nią opróżnioną powłokę gąsienicy i nadmuchał liszkę z wielką ostrożnością. Okulary nad jego mrugającymi oczami pokryły się mgiełką koncentracji. Gąsienica nadymała się powolutku, a Pines wstał ostrożnie, pochylił się nad stołową lampą i obracał ją nad gorącą żarówką, nie przestając lekko nadmuchiwać.

– Możesz to robić również nad gorącym żelazkiem, lecz nie nad odkrytym płomieniem.

Po kilku minutach gąsienica wyschła i stwardniała.

– Perfekcjoniści posmarowaliby ją na zakończenie przezroczystym lakierem – powiedział Pines i zalał nacięcie na odwłoku rozrzedzonym klejem. Teraz wziął ten kawałek pieńka, rozpiłował go tak, że tunel zeuzery ukazał się w całej swojej długości, dmuchnął, oczyścił drzewo z opilków i umieścił spreparowanego szkodnika w jego dotychczasowym domu. Zapisał na karteczce datę i miejsce złowienia, wyjął z małego pudełeczka nadzianą na szpilkę włoschatą i grubą zeuzerę – motyla o nakrapianych skrzydłach – i przymocował ją do drzewnej kory.

– Ważne jest demonstrowanie ich w naturalnym środowisku – sapnął z satysfakcją.

Z biegiem czasu Szlomo Lewin zrobił się nieznośnym zrzedą. Dziadek, jedyny człowiek, którego się bał, zmarł, a ja w chwili słabości dałem mu stare robocze gumki, noszone przez dziadka w sadzie. Lewin siadł na łóżku, wetknął w nie swe cienkie nogi, a potem wstał i zaczął maszerować w tę i z powrotem – szczęśliwy jak dziecko, które dostało nową zabawkę – spoglądając na wystrzępione cholewy i machając głową jak rozbrykany żrebak.

– Po co mu dałeś dziadkowe buty – warczał Josi. – Teraz sobie wyobraża, że jest kimś ważnym.

Pod wpływem tych butów Lewin począł wtrącać się w kierowanie gospodarstwem, zaniedbał prowadzenie spółdzielni, zaczął podnosić głos na Rachel, włóczył się po polach i przyglądał swojemu odbiciu w kałużach. Nazywał sam siebie Słodki Lewin, żądał od Rachel, żeby nosiła na głowie błękitną chusteczkę, i wpadał w przerażenie na widok pasikoników i szarańczy.

Pewnej nocy, gdy nie mogłem się powstrzymać od pójścia i zajrzenia w okno jego domu, zobaczyłem, jak wyciąga czarny notes i podtyka go Rachel pod nos.

– Wszystkie grzechy Stowarzyszenia Pracy – zaszeptał. – Tu jest wszystko zapisane.

– Kiedy się wreszcie uspokoisz – powiedziała ze znużeniem Rachel. – Cyrkin i Mirkin już nie żyją. Nieszczęsny, ślepy Liberson jest w domu starców. Na kim chcesz się mścić?

– Ona się śmiała – powiedział Lewin. – Wieczorami paplała z nimi i się śmiała. A oni śpiewali chasydzkie śpiewki i rozmyślnie przekręcali słowa, by ją rozśmieszyć, a mnie urazić.

Śmiech Fejgi, plamy po skradzionej czekoladzie, lekceważące spojrzenia Zajcera, wszystko to zostawiało ślady na Lewinowej skórze jak od ukąszeń szarańczy. Przypominał sobie, jak Liberson zanudzał go całutką noc problemem, czy Stowarzyszenie Pracy winno wziąć czynny udział w walce

klasowej w Chinach.

– Masy żółtych robociarzy, spieszymy wam na pomoc! – zakrzyknął w ciemność młody chaluc. Fejga wybuchnęła śmiechem i uścisnęła go, przytulając się do niego całym ciałem. Tej nocy Lewin nie mógł zasnąć, bo zrozumiał, iż jego siostra nie odróżnia już idei od rzeczywistości.

W Petah Tikwie Mirkin palił publicznie papierosy w sobotę i spowodował zatarg z pobożnymi farmerami. Cyrkin opowiedział dwóm chasydom w Jaffie niesmaczne anegdoty przeciwników chasydyzmu. W Riszon le Cijon schwytano Libersona w krzakach winorośli z obiema rękami pod bluzką córki dyrektora szkoły. Wszyscy trzej ubierali się i rozbierali w obecności jego siostry.

W czarnym zeszycie zaczął zapisywać wszystkie przewinienia Stowarzyszenia Pracy, które porwało mu siostrę, i pewnego wieczoru wyciągnął zeszyt i odczytał im całą listę.

– Zapomniałeś zapisać, że Mirkin kradł w Jaffie pomarańcze – powiedział Liberson.

– Niczego nie zapomniałem – powiedział teraz do Rachel. – Oni mnie poniżali i zabili moją siostrę, ale tylko Mirkina spotkała kara, tylko jego jednego.

Potem zaczął wypytywać Meszulama o samobójstwa często zdarzające się w początkach alii. Na cmentarzach kolonii i starych kibuców leżą pochowani chalucowie, którzy skończyli ze sobą, a ich mogiły otacza do dzisiaj aureola winy i żalu za grzechy. Większość z nich przeniesiono już do mnie, a Lewin przechadzał się między nagrobkami, mruczając coś i rozmyślając, i odczytywał te straszne słowa: „Zmarł śmiercią tragiczną”, „Nie mógł stawić czoła swojej męce”, „Czasza trucizny”, „Odebrał sobie życie”.

Czasami biegł z krzykiem na działkę, niosąc zieloną blaszankę flitu. Rachel goniła za nim. Była młodsza od niego, lecz szaleństwo wlewało siłę i szybkość w ziemiste uda Lewina i gdy Rachel przybiegała, trucizna była już wypita do dna, a mąż leżał na ziemi i czekał na śmierć. Lecz długie lata pracy w magazynie spółdzielni, wśród wyziewów amoniaku, parationu, diheldryny i mecydu, uodporniły go na trujące chemikalia. Po upływie dwóch



godzin brzydło mu leżenie na słońcu, wstawał i wracał rozczarowany do domu. Rachel, milcząc, kroczyła obok niego.

Także i po śmierci dziadka przychodził do nas na podwórze szukać sobie zajęcia. Mój wuj Abraham pamiętał dobre ręce Lewina, które go karmiły, myły i przykrywały, kiedy był osieroconym dzieckiem, i nie dokuczał mu. Pozwalał zbierać pozostawione wśród paczek słomy stare druty, które były wprawdzie do niczego nieprzydatne, ale lepiej, żeby nie wpadły przypadkiem do żłobu i nie zabiły krowy. Lewin urządził sobie nawet w stodole kącik do pracy, siedział tam godzinami, wykreślał kolorowe krzywe udoju i prostował pogięte gwoździe.

Słyszeliśmy uderzenia młotka i jęki bólu, którym wtórowały entuzjastycznym chórem indyki.

Podśluchałem, jak Uri pewnego razu powiedział podczas obiadu do ojca:

– Wydaje mi się, że twój wuj nie prostuje naszych gwoździ, lecz swoje własne palce.

Josi narzekał, że wytrząsając worki po mieszance, Lewin podnosi gęste obłoki kurzu i przez to wśród ptactwa szerzy się zapalenie gardła. Wyszedł nawet na podwórze i ordynarnie go zwymyślał, a jego mama, Rywka, dodała z werandy kilka wyzwisk od siebie.

Poniżony i kipiący ze złości Lewin wracał do domu i myślał, jak by się zemścić. Przypominał sobie wszystkie drwiny, jakie wycierpiał od Stowarzyszenia Pracy. Pewnego dnia przyszedł i zaskoczył Abrahama podczas poobiedniej drzemki.

– Do mnie odnosicie się jak do bydłęcia, ale Zajcera to trzymacie w gospodarstwie.

– Zajcer pracował z tatą od pierwszych dni – odpowiedział Abraham. – Nie wyrzucimy go teraz dlatego, że się zestarzał i osłabł.

– Zajcer jest do niczego niezdatny – parsknął Lewin. – I je łaskawy chleb.

– Zajcer jest najlepszym mułem we wsi – odrzekł Abraham.

– Tato i ja nie odnosiliśmy się do niego jak do zwykłego

roboczego bydłęcia; on całe swe życie przepracował u nas i włożył w to wiele potu. Więcej niż niektórzy dwunożni chalurowie.

– On był najlepszym mułem we wsi – powiedział Lewin, akcentując słowo „był”, ponieważ napomknienie o pocie wydało mu się docinkiem osobistym. – A ja nie słyszałem o żadnych koniach, krowach czy mułach, które dostawały emeryturę. Trzeba go sprzedać arabskiej wytwórni kiełbas albo fabryce kleju w zatoce. Nikt nie trzyma w inwentarzu starego muła, co już nie może uciągnąć wozu.

– Nie zmuszaj mnie do tego, bym miał między wami wybierać – powiedział Abraham. – A Zajcer nigdy nie stanowił części inwentarza.

Muły w naszej wsi były w większości wypadków angielskie lub jugosłowiańskie, tylko dwa, pozostałe tu po pierwszej wojnie światowej, były niemieckie. Zajcer, jak mi opowiedziano, był jedynym mułem, który przybył z Rosji z grupą chalurow, z miasta, które zwało się Mohylew. Kupili go w dniu wyjazdu do Odessy. Jeden z nich ujrzał Zajcera wystawionego na sprzedaż na bydłęcym targu i powiedział głośno i szyderczo do kolegów:

– Znam tego muła, on jest jednym z potomków muła, który należał do Baal Szem Towa.

– Niedowiarku – zgromił go trzymający Zajcera za uzdę chasyd. – Od kiedy to muły mają potomstwo?

– Czyżbyś powątpiewał w moc cadyka? – odpowiedział mu chaluc przy wtórze śmiechu towarzyszy. – Jeżeli rabbi zechce, to i muł będzie miał synów.

Mohylewscy chasydzi chcieli ich pobić, ale dali się udobruchać brzękiem monet. Chalucowie kupili muła, a wdzięczny Zajcer dźwigał wszystkie ich tobołki aż do portu. Kiedy weszli na pokład „Korniłowa”, zauważyli jego smutne oczy, dodali trochę pieniędzy, załadowali go na pokład za pomocą zwisającej z dźwigu ogromnej sieci i przywieźli do Kraju.

Nie pożalowali tego. Zajcer pracował z nimi przy każdej ciężkiej robocie.

Meszulam Cyrkin był tym, który odkrył, iż Zajcer pracował z Ben Gurionem w Sedżerze. Przeczytał mi list Ben Guriona, dokument zdobyty w drodze wymiany z archiwum Ruchu.

„Sedżera, dwudziestego drugiego adar, roku pięć tysięcy sześćset sześćdziesiątego ósmego.

Przedświt, godzina wpół do piątej, wstaję, wchodzę do obory i karmię moje bydełko. Narzucam sieczkę wołom do żłobu, sypię na nią nieco wyki i mieszam, potem gotuję sobie trochę herbaty i jem, a gdy zajaśnieje zorza, wyprowadzam swoje stado, dwie pary wołów, dwie krowy, dwoje cieląt i osła, by je napoić z koryta w podwórzu urzędników Barona”.

Był to jeden z rzadkich wypadków, gdy widziałem śmiejącego się Meszulama.

– Osioł! – ryczał i klepał się po brzuchu i kolanach. – Osioł! Tym osłem w Sedżerze był Zajcer, ale czy można żądać od kogoś z Poalej Syjon, żeby potrafił odróżnić osła od muła.

Przez kilka lat należał Zajcer do grupy chaluców z Mohylewa. W różnych miejscach natykał się na dziadka i jego przyjaciół i nawet pracował z nimi przez kilka sezonów. Kiedy jego komuna objęła w posiadanie ziemię, począł na nowo rozmyślać o właściwej formie osadnictwa.

– Jego skłonność do samotnictwa i indywidualnej inicjatywy nie znajdowała dla siebie miejsca w ramach wspólnoty. – Tak określił dziadek główny problem.

Zajcer nie cierpiał także dyskusji i zebrań. Nie obchodziły go problemy w rodzaju „Sytuacja ciężarnej towarzyszki”, „Co dzieje się wśród robotników Łotwy” czy też „O lepszy wikt dla oraczy”. Nie znosił z całej duszy spowiadania się towarzyszy na oczach całej zgromadzonej publiczności.

– Pewnego dnia – twierdził Uri – gdy jedna z towarzyszek przyszła do pracy w oborze i położyła w jego żłobie swoje zafajdane niemowlę, poczuł Zajcer, że jego interpretacja problemu wspólnych sypialni dla dzieci nie jest zgodna z poglądem kibucowym. Opuścił więc kibuc i poszedł sprawdzić ideę indywidualnego osadnictwa wiejskiego.

– Zajcer był robotnikiem wyjątkowym – opowiadał mi dziadek, gdy byłem mały. – Wiedział zawsze, na którą działkę się idzie, i nie trzeba było nim kierować.

Orał i bronował nasze pola, karczował martwe drzewa, ciągnął naładowane wozy i wrzusał się jak my wszyscy na widok kiełkujących pędów i napełniających się baniek mleka. Sam chodził do kuźni braci Goldmanów, kiedy czuł, że trzeba zmienić czy umocnić podkowę. Rymarz Peker szył dla wszystkich koni i mułów zasłony na oczy, które uniemożliwiały im zerkanie na boki, w stronę światowych pokus. Jedynie na Zajcera tych zasłon nie nałożono. Nie interesowało go nic oprócz pracy. Potknął się tylko jeden, jedyny raz, gdy zjadł przez pomyłkę kwiaty rosnącego przy kupie gnoju bielunia. Odurzyło go, dreptał w kółko, pomrugiwał na młode jałówki i przez dwa dni zachowywał się jak dureń w zalotach.

Z biegiem lat jego siły się wyczerpały. Dziadek, znający z własnego doświadczenia starcze słabości, poznał od razu ich ślady w chudnącym ciele muła i próbował mu ulżyć w pracy, ale Zajcer nie chciał uznać oznak podeszłego wieku aż do dnia, w którym z wyczerpania padł między dyszle.

Na ogół pamiętam lepiej zdarzenia, o których mi opowiedziano, od tych, których byłem naocznym świadkiem, lecz ten dzień, podobnie jak dzień, w którym zostałem ocalony od śmierci w paszczy hieny, pamiętam dobrze. Dziadek, Zajcer i ja pojechaliśmy po mieszankę i załadowaliśmy na wóz jakieś dwadzieścia worków. Zajcer zatrzymał się nagle na krótkim wzniesieniu przed zakrętem. Dyszał dziwnym, wysokim głosem, a ciężki wóz począł ześlizgiwać się do tyłu. Dziadek nigdy nie zdzielił go batem. Również i teraz podtrzymywał go tylko okrzykami i poklepywał lekko lejcami po grzbiecie. Zajcer drżał na całym ciele. Udało mu się zatrzymać staczający się wóz i zaczął znowu ciągnąć. Jego zad zjechał prawie do ziemi, a podkute kopyta krzeszały iskry z betonowej szosy. Ciężki oddech przeszedł w charkot, a dziadek rzucił lejce i zszedł z wozu. Na jego łysinie nabrzmiały jak groźny wieniec żyły troski, próbował

uspokoić muła i wyprowadzić go z uprzęży. Lecz Zajcer zebrał wszystkie siły do nowego zrywu, pierdnął potężnie, poślizgnął się i znowu upadł. Od przodu wozu dał się słyszeć odgłos pęknięcia w chwili, gdy złamał się orczyk, a dyszle upadły na ziemię i zawisły jedynie na szyi muła. Dziadek pospiesznie zdjął z niego chomąto, objął go za łeb i obaj zanieśli się bezgłośnym płaczem.

Zajcer wracał do domu bez wozu i ze spuszczonego łbem. Szedłem obok niego i nie wiedziałem, co powiedzieć.

– To jest bydłę robocze – powiedział mi dziadek. – Siądź mu na grzbiecie, żeby nie czuł się głupio.

Dosiadłem go i czułem udami drzenie jego upokorzonej i pokrytej pianą skóry. Konie Cyrkina, Miczurin i Stalin, przywlokły wóz na podwórze i jeszcze tego samego wieczoru dziadek z Abrahamem postanowili zwolnić Zajcera z ciężkich robót. Wtedy kupiliśmy pierwszego fergusona o naftowym napędzie, którego dziadek nie nauczył się prowadzić, a Zajcer zajmował się wyłącznie wożeniem baniek z mlekiem. W latach późniejszych, gdy zaczęły mu dokuczać naczynia krwionośne w przednich nogach, a jelita pełne węgorzków doprowadziły go do zupełnego wyczerpania i kiedy wyleciały mu z pamięci najbardziej podstawowe słowa woźniców, uwiązał go dziadek na długim sznurze w cieniu figowca. Abraham ustawił przed nim dwie połówki rozciętej wzdłuż beczki, jedną na wodę, a drugą na jęczmień, a dziadek brał go od czasu do czasu na powolną przechadzkę we dwójkę, żeby wachać kwiaty i rozmyślać.

W przeciwieństwie do starszków zapominających wszystko, co dotyczy terażniejszości, a pamiętających jedynie to, co zdarzyło się przed wieloma laty, chory nauczyciel zapomniał swoje dzieciństwo i młodość.

– Wiem, kim jestem i dokąd dążę, lecz nie pamiętam, skąd przybyłem – wyjaśniał mi, wszystkim innym i sobie samemu.

Przyszedłem odwiedzić go w jego ogródku, a on patrzył na mnie ze smutkiem. Dzień wcześniej przyszedł na Miejsce Spoczynku Chaluców, na pogrzeb Bodenkina, a teraz był smętny i zatroskany. Całe życie wierzył święcie w pedagogikę i oskarżał

siebie za moje zboczenie ze słusznej drogi.

– Może to z powodu wycieczki do Bejt-Szaarim, a może przez chrząszcza grabarza?

Wiedziałem jednak, iż jego gniew nie jest już tak nieubłagany, podobnie jak reakcja na krzyki, które słyszał po nocach. Już nie czerwieniał ze złości, gdy o nich opowiadał, nie burczał po rosyjsku i nie wymachiwał rękami. Tłuste oblicze wyrażało jedynie zdumienie i ciekawość. Pod błoną jego mózgu tętniło bagno krwi, którego nie udawało mu się ujarzmić ani ukryć.

– Ano, Baruch. – Uśmiechnął się. – Przeszedłem jakąś mutację, a nie mam nawet komu jej przekazać w dziedzictwie.

Był bardzo stary. Co tydzień przynosiłem mu wypraną bieliznę i zmieniałem pościel i obrusy.

– Dlaczego mnie pielęgnujesz? – zapytał kiedyś chytrze. – Jakie masz w stosunku do mnie plany?

– Zostaliśmy obaj samotni – odpowiedziałem. – Ja nie mam dziadka, a ty wnuka.

Uśmiechnął się smętnie, ale wyraz jego twarzy zdradzał, że to ujęcie sprawy mu się spodobało.

We wsi pozostało niewielu jego przyjaciół. Dziadek, Liberson, Fania, Cyrkin, wszyscy już poumierali. Zmarł nawet Ryłow. Tonia każdego ranka przychodziła z krótką wizytą na jego mogiłę, by sprawdzić, czy nie wyskoczył również stamtąd, a potem, powłócząc nogami po żwirze i opierając się na aluminiowej lasce o trzech nóżkach, siadała na grobie Margolisa i w głębokim, starczym zaćmieniu oblizywała sobie palce. Margolisa, na jego prośbę, pochowano zakonserwowanego i zmumifikowanego jak hetyckiego króla. Jego synowie umazali go czarną warstwą pszczelego kitu i złożyli w uszczelnionej trumnie, którą napełniono po brzegi miodem i zapieczętowano woskiem. W miesiącu tamuz, gdy ziemia biała od upału i pękała od posuchy, unosiły się z grobu czerwonawożółte opary, a pszczoły Margolisa, oszalałe z tęsknoty i słodczy krążyły nad nagrobkiem z głośnym, smutnym bzyczeniem. Tonia nie

odchodziła od jego grobu.

– Jak Rispa, córka Aji nad zwłokami swych synów<sup>[51]</sup> – szepnął z uwielbieniem Pines. – Oto cała różnica między nami a wami – dodał. – My z oddaniem i poświęceniem, a wy z głośnymi wrzaskami z wierzchołka wieży.

W domu, zdrapując z podłogi ostatnie lepkie ślady pozostawione przez męża, Rywa marzyła o koronkowych obrusach, chińskiej lace, angorskich kotach i odkurzaczach.

– Gdyby Rywa wiedziała, że chińska laka to nic innego jak wydzielina mszyc – powiedział Pines – to może by się uspokoiła.

Jego krew, ryjąc sobie nowe kanały, przeskakiwała ponad stykami nerwów i otchłaniami pamięci.

– To jest tak, jakbym urodził się od razu osiemnastolatkiem, w dniu, w którym przybyłem do Kraju – powiedział. – To może moim ojcem jest właściciel hotelu w Jaffie, pierwszy człowiek, jakiego ujrzałem po urodzeniu.

Nie pamiętał imion rodziców i siostr, ojczystego krajobrazu, jeszybotu w Niemirowie, gdzie studiował, zanim uciekł do Ziemi Izraela. Wszystko zostało wymazane.

Ni z tego, ni z owego począł publicznie okazywać swoją starą urazę do Ryłowa. Nikt nie wiedział dlaczego. Ryłow już nie żył.

– Cham, brutal, belzebub – wyzywał nieboszczyka. – Gojowska głowa, zbójeckie nasienie.

Nakładał na talerz więcej, niż mogło się na nim pomieścić, i napychał sobie usta olbrzymimi ilościami jadła. Jedząc, żuł pospiesznie, jakby stało za nim stado głodnych szakali i chciało mu wydrzeć kęsy z gardła. Zaślinione, na wpół zżute okruchy wypadały mu z ust na lśniący podbródek. Dookoła brzegów talerza gromadziły się na stole małe pagórki.

– Żrę jak Jean Valjean, prawda? Jak wół pożera trawę na polu<sup>[52]</sup>.

Gdy kończył posiłek, czuł straszliwe zmęczenie i prędko walił się na łóżko.

– Ważne jest spokojne trawienie – oświadczał. – Nie należy

zmuszać ciała, by spełniało kilka czynności naraz. Jest czas narzekania i czas płasów, czas pieszczot i czas wstrzymywania się od pieszczot<sup>[53]</sup>.

Nie tylko ja jeden, ale też cała wieś troszczyła się o samotnego nauczyciela. Ze spółdzielni dostarczano mu zakupy do domu, żeby sam nie musiał dźwigać. Rachel przynosiła ugotowane potrawy, wchodziła na swoich aksamitnych, starych stopach i nakrywając do stołu, zaskakiwała Pinesa niespodziewanym brzękiem naczyń.

– Pragnę świeżego jedzenia – powiedział jej – a nie garów mięsa. Przynoś mi plony ze swojego ogródka. Lepsza jest potrawa z jarzyn, a przy tym miłość<sup>[54]</sup>.

Raz w tygodniu przynosiłem mu jarzyny z grządki przy moim baraku, a on pochłaniał je z przerażającą szybkością. Buskila ze swojego domu w pobliskim miasteczku taskał dla niego pełne garnki. Na starość upodobał sobie Pines kuskus pani Buskila, jadł go żarłocznie, bez mięsa, tylko jarzyny gotowane na parze i grysik, a żółtawe okruchy lepiły mu się do dolnej wargi.

– Namówiłeś mnie, Panie, i dałem się namówić<sup>[55]</sup> – powiadał Pines Buskili. – Twoja żona powinna była prowadzić robotniczą garkuchnię w Petah Tikwie. Jej jedzeniem nikt by o podłogę nie rzucał.

– Niech panu będzie na zdrowie, szanowny panie – odpowiadał Buskila. Kochał Pinesa i obawiał się go, niekiedy całował go szybko w rękę i spiesznie odskakiwał do tyłu, zanim trafiło go trzepnięcie drugiej, do której wróciła już szybkość pająka skoczka. Pines nie lubił zwyczaju całowania rąk, ale Buskila tłumaczył mu, że tak jest przyjęte.

Chciałem zapłacić za posiłki, które jego żona gotowała Pinesowi.

– Wstydzilibyś się, Baruch – powiedział. – Pines to cadyk. To święty, my wszyscy jesteśmy tylko jego niewolnikami. Wy tego nie pojmujecie, nie umiecie odczytywać znaków. Te białe gołębie, co zawsze stoją na jego dachu, myślisz, że to takie sobie zwykłe ptaki? A ten wąż, co pełza u niego w ogródku i strzeże mu bramy?



Niech mi Bóg wybaczy, że o tym w ogóle mówię. – Buskila wywrócił oczy do góry. – Ale po śmierci z jego grobu wyjdzie wielkie światło albo tryśnie woda z nagrobka. To dla mnie wielki zaszczyt i nakaz boży przynosić mu jedzenie.

Uri podrwiwał sobie z przesądów Buskili. Za jego plecami nazywał Pinesa Baba<sup>[56]</sup> Pines.

– Pójdźmy odwiedzić świętego – mawiał do mnie. Lecz rozmowy z Pinesem stały się jednostajne. Od nowa widział w nas uczniów i wykladał rozwlekłe o Szamgarze, synu Anat, i o biologii sikory, a nawet próbował zadawać nam lekcje. I ciągle jeszcze słyszał ponad koronami drzew nocny krzyk rozpustnika.

– Jestem pewny, że on dokonuje swoich wyczynów na wieży ciśnień – powiedział z ustami zapchanymi pachnącymi strączkami zielonego groszku. – Wszakże człowiek w odróżnieniu od stworów skrzydlatych nie ma zwyczaju spółkować wśród gałęzek. – On już przerznął, z przeproszeniem, pół wsi. – Mrugnął chytrze. – Także kobiety zamężne. Tej nocy była to żona najstarszego wnuka Israelego. Nie pojmuję tego, wszakże oni pobrali się zaledwie dwa miesiące temu, a ona wydawała mi się taką miłą dziewczyną.

Pines dziwił się, że te krzyki słyszy tylko on jeden.

– Już od kilku lat – zdumiewał się. – Jak to być może, przecież są nocni stróże, którzy krążą po wsi z uszami otwartymi na wszystko, gospodarze wstają do cielących się krów lub przygotowują nocą indyki do wysyłki, wstają ci, co opryskują o świcie drzewa, i kierowcy cysterny z mlekiem, którzy wyjeżdżają zaraz po północy, i jak to się dzieje, że nikt nic nie słyszy. – Zastanowił się chwilę. – Podejrzewam, że to biedny niepokieszony Daniel Liberson. A może Efraim wraca po nocach, by się mścić.

Spojrzeliliśmy po sobie zmieszani, zastanawiając się, w którym uszkodzonym płacie starego mózgu lęgną się te fantazje.

– Ja to sprawdzę – oświadczył Pines. – Choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię. Wdrapię się na wieżę ciśnień i będę

tam na niego czekał.

Uśmiechnąłem się, nie usiłując wcale wybić mu tego z głowy. Stary nauczyciel był tłusty, chory i słaby i nie wierzyłem, że odważy się wspinać po drabinie wieży.

Tymczasem Pines przystąpił do rozwiązania zagadki ze swoją zwykłą naukową pedanterią. Całymi godzinami wylegiwał się w fotelu, zaglądał do starych notatników w poszukiwaniu wczesnych skłonności i obciążających aluzji. Miał specjalny notes z ciętymi, dziecięcymi powiedzonkami, wierszykami i mądrościami, które wywarły na nim wrażenie. Za każdym razem, gdy napotykał utwór zwracający od nowa jego uwagę, posyłał do wiejskiej gazetki wyjątki ze swoich notatek. Te publikacje złościły bardzo jego uczniów, pośród których znajdowali się już pięćdziesięcio- i sześćdziesięciolatekowie. Któregoś dnia cała wieś pokładała się ze śmiechu, czytając wiersz Dani Ryłowa.

Kura, kura  
Schyla główkę,  
Je perłówkę  
Biedna kura  
Jest już stara, pójdzie sobie  
Wnet do gara.

Czterdzieści lat po napisaniu tego utworu litościwy autor został hodowcą cieląt na ubój, przyjacielem i druhem okrutnych handlarzy bydła i grubiańskich rzeźników. Lecz Pines, na wiadomość, że Dani się wścieka, tylko się uśmiechnął i w dalszym ciągu spoglądał dobrotliwie na swe pisklęta. Również Meszulam uniósł się gniewem z powodu wiersza, widział w nim bowiem fałszowanie faktów.

– Kto miał wtedy pieniądze, by karmić kury perłówką? – złościł się. – Wstyd i hańba, ludzie są gotowi dla rymu fałszować historię.

Pines dostrzegł mnie w nocy, jak kręciłem się wokół jego domu, by chronić go przed zemstą klanu Ryłowów, i wyszedł na próg.

– Idź spać, Baruch – powiedział. – Ja już rozsiałem moje

zarodniki na wietrze. Nie sposób unicestwić starych, samotnych nauczycieli. Nasiona posiane przeze mnie w ziemi wzejdą dopiero po mojej śmierci.

W innym, bardziej sekretnym notesie zapisywał sobie przez całe lata uwagi dotyczące rodzin uczniów. Zawsze ich napominał, żeby pomagali rodzicom w pracy na roli, lecz dobrze wiedział, że niektórzy gospodarze wykorzystywali swoje dzieci ponad miarę.

Opowiedział mi o swoich pierwszych latach w roli nauczyciela. W szkole było wtedy niewielu uczniów, a umeblowanie skromne i tanie. Latem malcy siedzieli na matach i każdego ranka Pines, „jak pasterz przeliczający swe stado”, wodził badawczym wzrokiem po klasie. Jego oczy mówiły mu, który uczeń był nakarmiony, uściskany i ucałowany, a którego zerwano o świcie z łóżka, żeby zdążył popracować, zanim pójdzie do szkoły. Rywa Margolis budziła swoją córkę o piątej rano, żeby ta zdążyła przed szkołą wypucować prowadzącą do domu ścieżkę. Dziewczynka spóźniała się niejednokrotnie, ponieważ jej matka cofała wskazówki zegara, kiedy umyty beton niedostatecznie błyszczał. Nie było jeszcze wtedy we wsi maszyn do dojenia i uczniowie dojący ręcznie przychodzili do szkoły z tak sztywnymi palcami, że nie mogli napisać ani słowa. Kiedy głowa znużonego dziecka opadała na pierś i przymykały mu się oczy, Pines nie mówił nic, lecz wszystkim było wiadome, że jeszcze tego samego wieczoru odbędzie długą rozmowę z jego rodzicami.

– Każde dziecko było całym światem, a ja nie przestawałem im się przyglądać.

Przychodził zazwyczaj do klasy przed swoimi uczniami, wieszał na ścianie obrazy i plakaty i czekał na malców. Abraham opowiedział mi, iż w owych latach, kiedy Scott i Amundsen współzawodniczyli ze sobą w zdobywaniu bieguna południowego, Pines zdawał dzieciom sprawozdania z ich postępów w podróży. Zimą, kiedy wieś pokrywało straszliwe błoto, nosił dzieci na plecach lub wprzęgał się w któreś z owych osławionych błotnych sań i odwoził je do domów, szcękając jak zaprzęgowy pies.

Abraham i Meszulam byli w jego pierwszej klasie, w której

uczyło się wszystkiego siedmiu uczniów. Abraham był cichy i zamknięty w sobie, pilny i schludny. Meszulam był dzieckiem żywym, zgorzkniałym i zaciekłym w sporach. Interesowały go bardzo opowiadania Pinesa o początkach alii, ale na lekcjach przyrody obnosił demonstracyjnie swoje znudzenie.

– Twój wuj był sierotą bez matki, a matki Meszulama nigdy nie było w domu.

Pines zauważył, że Meszulam nie przynosi z domu kanapek, a tylko suchą kromkę chleba, wiedział również, że Cyrkin karmi swojego syna zapiekanką z dyni i jajkami, jedyną potrawą, jaką umiał gotować, i że od czasu do czasu litościwe sąsiadki przynoszą chłopcu przykrytą miskę lub zapraszają go do swojego domu.

– Meszulam mógłby zostać dumą wsi – powiedział. – Ma zdolności oraz siłę ducha, ale dzieciństwo skrzywiło mu obraz świata, tak że złachmanione ubranie i pieczona dynia nie były w jego oczach wynikiem zaniedbania, lecz symbolem nowego życia.

Wiedział, że cała wieś nie może ścierpieć Meszulama z powodu jego nieróbstwa.

– Lecz od ciebie spodziewałem się lepszego zrozumienia dla jego sposobu życia. – Tak mi powiedział.

– Dziadek również go nie cierpiał – odpowiedziałem.

– Twój dziadek nie cierpiał nikogo z wyjątkiem mnie, i to też nie zawsze, z przyczyn, o których można by wiele dyskutować. Ty patrzysz na wieś i na cały świat jego oczami, kierujesz się jego wolą i chodzisz w uprząży jego uporu.

Ubawiony uśmiechał się sam do siebie przez kilka sekund, a potem opowiedział mi szeptem, jak Meszulam obchodził swoją bar miewę.

Pesia znajdowała się zawsze poza wsią. Cyrkin-Mandolina był wiecznie zmęczony pracą w gospodarstwie i Meszulam musiał sam przygotować przyjęcie dla kolegów. Znalazł w spiżarni kilka spleśniałych kawałków tortu, które zawieruszyły się jeszcze od wizyty Weizmana. Pokroił je na cieniutkie plasterki i wczesnym

rankiem przyniósł do klasy. Pines, który przyszedł o szóstej, zastał chłopca zraszającego wysuszone ciasto łzami i kroplami słodkiego wina, żeby mu przywrócić jego pierwotny smak. Wycofał się po cichutku, wrócił do domu i przyniósł stamtąd posmarowane powidłami herbatniki.

– Twoja mama zostawiła je u mnie na twoje urodziny – oznajmił Meszulamowi, który wiedział, że nauczyciel kłamie, ale nic nie powiedział.

Wszystkie te rzeczy zapisywał Pines w swoim notesie. Nazywał go *Księgą stadniny*. Pięknym charakterem pisma starego nauczyciela było tam zanotowane wszystko, co nie wchodziło w skład szkolnego świadectwa. Jego litery były tak piękne, a nacisk, jaki kładł na kaligrafię, tak silny, że wszystkie dzieci we wsi go naśladowały, u wszystkich występował w literze bet wysoki garb, opierający się na malutkiej nóżce, ten sam olbrzymi sierp w literze gimel i ten sam śmiały nur w dół, schodzący daleko pod linię w końcowym mem. Także i dzisiaj wszyscy we wsi piszą identycznymi literami i zdarzyły się już przykre wypadki, takie jak anonimowe listy miłosne, których nadawcy nie zostali rozpoznani, oraz nieuiszczone z tej samej przyczyny rachunki. W owych dniach przyjechał do nas w odwiedziny Bialik i Pines ofiarował mu zeszyt z wierszami, które dzieci napisały na jego cześć. Poeta zdumiał się na widok jednolitości pisma i powiedział żartem, że widocznie wszystko to napisał sam Pines. Zmiażdżony ogromem zniewagi nauczyciel nie odpowiedział ani słowa, ale począwszy od owego dnia, zabierał dzieci do podnóży gór Gilboa i uczył ich wierszy Czernichowskiego.

Patrzyłem, jak otwiera zieloną furtkę i człapie w górę ulicy do domu Lewina. Tonia i Rywa były dwiema ostatnimi staruszkami w naszej wsi, on, Zajcer i Szlomo Lewin – ostatnimi starcami.

– Zajcer nigdy dużo nie mówi, Rachel napełnia mi przy stole żołądek, a Lewin, który w swoim życiu nie przeorał ani jednej bruzdy, kopie jakieś podstępne dołki – opowiedział mi, gdy wrócił od nich nocą i zastał mnie siedzącego przy grobie dziadka.



Co roku Zajcer uczestniczył w dwu uroczystościach. W dniu osiedlenia się na roli zapraszała go komisja kulturalna do wejścia na trybunę w towarzystwie wszystkich innych Ojców Założycieli – był to honor, którego spośród wszystkich bydła dostąpili jedynie on i krowa Chagit, a w Szawuot przychodziło trzech uczesanych chłopców w białych koszulach, żeby go zabrać na podwórze Meszulama. Tam zaprzęgali go do „pierwszego wozu”, na który ładowano przystrojone snopy pszenicy, bańki mleka, owoce, wrzeszczące oseski, kurczęta i cielaki. Dopiero wtedy Zajcer zgadzał się zdjąć swój stary kaszkiet z dziurami na uszy i przybrać głowę wieńcem kwiatów, co nadawało mu nieco hulawczy wygląd.

Przypominali to teraz zaciętrzewionemu Lewinowi, lecz ten rozjuszył się jeszcze bardziej i wyzywał Zajcera od „starych pasożytów”, a potem opowiadał krzykliwie, że w nocy przypomniał sobie, iż zostawił w naszej oborze swój ulubiony tygodnik, a gdy wrócił, by go zabrać, zastał Zajcera siedzącego na zadzie z rozkraczonymi kopytami, opartego o figowiec i czytającego przy świetle księżyca jego gazetę.

Dyskusja odbywała się niedaleko miejsca, w którym stał muł przywiązany za uzdę do figowca, a przy nim jego jadło i woda. Wokół drzewa, na ziemi, znaczył się już ubity jego kopytami krąg, a dwie bydlęce czapelki, specjalnie przysłane z Doliny Jordanu, wyławiały mu delikatnymi dziobnięciami pasożyty ze skóry. Zajcer zanurzył w beczce swe wielkie szczęki i wybierał wysuniętymi wargami co lepsze ziarna jęczmienia. Na jego obliczu zarysował się rodzaj łagodnego uśmiechu, a uszy sterczały nad zniszczoną czapką, jakby się przysłuchiwał. Na ten widok Lewin rozzłościł się jeszcze bardziej, podszedł i kopniakiem wywrócił naczynie z wodą dla muła. Abraham zdenerwował się i przegnał wuja z podwórza.

Nazajutrz staruch przyszedł, przepaszając, i wrócił znowu do pracy, a Abraham, który także żałował swojego postętku,

zaszedł do mnie na krótką rozmowę.

– Zawdzięczamy wiele zarówno Zajcerowi, jak i Lewinowi – powiedział. – Jasne, że nie pošlemy Zajcera do obdzieracza skór, lecz nie wolno nam obrażać wuja Szloma. Może nie jest wybitnym rolnikiem, ale bez niego tato nie dałby sobie rady.

Josi nie cierpiał Lewina, a Uri zaproponował, żeby przetworzyć na kielbasy obu staruchów, dlatego wuj mnie prosił, bym miał oczy otwarte na to, co się dzieje. Bardzo szybko odkryłem, że stary zakrada się do Zajcera i odsuwa naczynie z wodą poza jego zasięg, w nadziei, iż nikt nie zwróci na to uwagi i muł zdechnie z pragnienia.

Okopując ziemię przy nagrobkach, machałem od czasu do czasu Zajcerowi ręką, żeby wiedział, że ktoś na niego uważa i troszczy się o jego dobro, lecz Zajcer nie odwzajemniał się machaniem. Od zgonu dziadka stracił całkowicie radość życia, a pod wpływem utrapień i dokuczliwości ze strony Lewina stał się nerwowy i skory do gniewu. Za każdym razem, gdy na podwórku pojawiała się szczupła postać kierownika spółdzielni, stare bydlę robiło się spięte i podczas gdy jego wielki łeb tkwił w żłobie i zajadał kosztowny jęczmień, zad poruszał się nieznacznymi i dobrze przemyślanymi ruchami w prawo i w lewo, tak żeby w każdej chwili móc zrobić użytek z jednej z tylnych nóg.

Lewin uczynił ze sprawy Zajcera walkę o zasady, a ponieważ był świetnym księgowym, przyszedł pewnego wieczoru do Abrahama i pokazał mu przygotowaną przez siebie „tabelę kalkulacji”, a w niej wyszczególnione wszystkie sumy, już zainwestowane w tego nadętego żarłoka, który nie płaci za swoje posiłki.

Była gorąca noc, pełna poćwierkiwań i bzyczenia. Przez otwarte okna mogłem słyszeć wszystkie szczegóły tej gniewnej dyskusji. Lewin wyliczał monotonnym i jadowitym tonem: grubo mielony jęczmień – codziennie osiem kilogramów, siano z wyki – półtora kilograma, trzy kilogramy siewki. Powtarzał to w kółko, aż Abraham powiedział mu, żeby przestał się wygłupiać.

Lewin wyszedł, trzasnąwszy drzwiami. Przeszedł skulony jak



zbity pies, klnąc po cichu, obok kazuaryny, w której gałęziach siedziałem, i pogrążony w swoim wielkim bólu nawet mnie nie zauważył.

Nie przychodził do nas przez cały tydzień i wtedy pojawiła się w wiejskiej gazecie jego odpowiedź w postaci artykułu, w którym wspominał „pewną rodzinę, trzymającą muła darmożjada, karmiącą go najbardziej wyszukаныmi potrawami, co stoi w rażącej sprzeczności z obowiązkiem produktywności gospodarczej, do której zobowiązał się nasz Ruch”.

Nasza wiejska gazetka przeżywała okres rozkwitu. Normalnie nie zawierała niczego prócz danych statystycznych na temat ilości opadów, cen na mleko, „niedyskretnych powiadomień o wizycie agenta sztucznego zapłodnienia”, a niekiedy również i smętnych wynurzeń dziewcząt w okresie dojrzewania oraz ogłoszeń o pogrzebach i różnych weselszych uroczystościach. Teraz na jej łamach zamieszczano reakcje na temat sprawy Zajcera i Lewina.

Wielu było po stronie Zajcera, lecz niektórzy popierali punkt widzenia księgowego. Dani Ryłow, który wskutek zażyłości z rzeźnikami nabrał pretensji satyryka, napisał felieton *Utopia Dni Ostatecznych*, zgodnie z którą „litościwe, głupkowate pięknoduchy zbudowały sanatoria dla chorych oślic i domy starców dla kur, co już przestały znosić jaja”, i to wszystko na ziemi Funduszu Narodowego, a zakończył stwierdzeniem, że nie należy dziwić się rozpieszczaniu Zajcera „w rodzinie znanej z tego, że się w niej obnosi na rękach byki”.

W końcu wmieszał się w tę sprawę sam Eliezer Liberson. Liberson, ostatni ze Stowarzyszenia Pracy imienia Fejgi, przebywał już w owym czasie w domu starców i mieszkał w tym samym pokoju, który zajmował kiedyś dziadek z Szulamit. W oczach wsi, jak i w swoich własnych, był ślepym, na wpół martwym wdowcem. Teraz powiadomił mnie, że będzie bardzo zadowolony, jeśli w najbliższym czasie przyjdę go odwiedzić „z papierem i ołówkiem”.

Siedzieliśmy na werandzie. Liberson wypytywał o wszystko,

co się dzieje we wsi. Kilka lat temu również i dziadek miał ten zwyczaj, lecz w jego tonie nie słyszało się tęsknoty i gniewu jak u Eliezera. Zapytał, czy podlewam kwiaty na grobie jego żony i czy rozmawiam czasami z jego synem Danielem.

– Nie bardzo – odpowiedziałem i zaraz wpadłem w popłoch.

– Podlewam kwiaty, ale nie bardzo rozmawiam z Danielem.

– Wszystko mogłoby się potoczyć inaczej – powiedział Liberson.

– Tak – powiedziałem.

– Co za tak!? Co za tak!? – krzyknął starzec ze złością. – Przecież nie rozumiesz, co mam na myśli! On powiada, tak!

Milczałem.

– Przyniosłeś papier i ołówek? – zapytał.

– Tak.

Podyktował mi wtedy, hamując gniew, kilka krótkich i surowych zdań do wiejskiej gazetki. Powiedziane w nich było, że „jeżeli nawet twierdzenia towarzysza Szloma Lewina, którego oddaną pracę w spółdzielni ogół rolników oceniał bardzo wysoko, zawierają pewną ekonomiczną rację, to jednak nie sposób zgodzić się na to, by pracownicy usługowi krytykowali w ten czy inny sposób produktywny sektor wsi, do którego zalicza się nasz umiłowany Zajcer”.

– Wybacz mi, Baruch, że podniosłem głos – powiedział ślepiec trochę później, gdy już odchodziłem. – Nadejdzie dzień, w którym i ty ujrzysz to, co ja widzę. Wybacz mi i przyjdź znów mnie odwiedzić.

Po nocach Lewin i Pines leżeli bezsennie, każdy u siebie snuł plany i obmyślał podstępny.

Lewin pragnął zemścić się na mule, z powodu którego Eliezer Liberson zganił go i poniżył jak nikt do tej pory. Poprzez okienną szybę widziałem wszystkie jego stare rany, otwarte na nowo i sączące palącą żółtą wydzielinę hańby. Ci dzicy chuligani ze Stowarzyszenia Pracy powrócili, by nałożyć mu cierniowy wieniec szyderstwa. Groziło mu pogrzebanie pod górami piachu i czekolady. W łóżku, zdzierając z niego skórę, mrowiły się

chmary szarańczy.

O tej samej porze Pines niósł sobie z lodówki do łóżka resztki kuskusa, paskudził poduszkę i rozmyślał o sprośnych okrzykach, rozdzierających uszy i znieważających wszystko, co mu było drogie. Teraz, gdy krew już spłukała gniew i zdusiła żądzę zemsty, chciał tylko wiedzieć, kto tak krzyczy.

Podniósł się z trudem, wyszedł z ogrodu, przeszedł na drugą stronę ulicy i przechadzał się wokół wielkich betonowych kolumn podtrzymujących wieżę ciśnień. Przejmowało go na przemian to zimno, to gorąco. Nie zważając na to, chwycił nagle za żelazną drabinę i począł piąć się w górę.

– Do dziś uczyniłem to tylko jeden, jedyny raz w życiu – opowiedział mi. – Trzydzieści lat temu, gdy moi najstarsi uczniowie weszli na wieżę, żeby ćwiczyć się w zjeżdżaniu po linie. Wdrapałem się z Efraimem, Meszulamem, Danielem Libersonem, Abrahamem i jeszcze innymi chłopakami. Oni ześlizgnęli się po linie, a ja i Meszulam zeszliśmy po drabinie.

Bał się, że ktoś go zobaczy, a szczególnie obawiał się, że zawiedzie go stare ciało.

– Każda zachowana jeszcze w mózgu kruszynka logiki nakazywała mi, bym zaprzestał.

Strach przed wysokością paraliżował wszystkie komórki w jego ciele, a jednak piął się dalej, obwisły i kruchy, nie śmiał spojrzeć w dół, a wraz z wysokością wzrastał się chłód powietrza.

Chwytał wilgotnymi rękami za obłupane, żelazne szczeble, z nieznaną sobie dotychczas siłą podciągał i szarpał swe przerażone ciało, aż dotarł na samą górę. Przerzucił jedną nogę ponad ostatnim szczeblem i dosłownie upadł na pokrywający wieżę betonowy dach, drżąc z przerażenia i wysiłku. Kilka minut leżał tam „jak porażone ścierwo” i wchłaniał z radością chropowaty chłód betonu, aż wróciła mu świadomość istnienia. Dyszał długo i ciężko, a potem rozejrzał się wokół siebie.

Dach wieży był okrągły i płaski, ogrodzony niską ścianką zakończoną poręczą z rur. Odrzucone na bok, leżały na kupie szczątki budki strażnika, który niegdyś, wyposażony w reflektor

i dzwonek, „stał tu na posterunku”. W kącie leżało kilka worków i białych od kurzu chorągiewek sygnalizacyjnych.

Pines wstał, oparł się o poręcz; chwycił go zawrót głowy. Dotknięcie zimnego żelaza wzmocniło go i otrzeźwiało. Bezwiednie zakrzyknął kilkakrotnie „u-hu, u-hu”, lecz krzyk jego był słaby i pochłonęły go korony drzew i nocny wiatr. Przelatująca tuż obok jego głowy sowa, cichutka jak unoszące się w powietrzu nasiona mlecza, przeraziła go, chociaż zawsze zaliczał ją do przyjaciół rolnika. Twierdził, iż małe szkody wyrządzane przez nią w kurniku wyrównują się z nawiązką pożytkiem, który przynosi, tępiąc myszy.

Zdarzali się gospodarze, którzy zabijali sowy, bo bali się ich bezszelestnego lotu i ludzkich rysów ich białych twarzy. Ci doprowadzali oburzenie Pinesa do wrzenia.

Pod nim rozciągała się wieś.

– Już nie białe namioty na pustkowiu, lecz domy, obory i pola, ubite, gładkie drogi, wysokie drzewa i ludzie, którzy zapuścili korzenie.

Wieś spała. Wiatr świszczął w gałęziach drzew, w brzuchach kur zawiązywały się grona żółtek, w składzie z mieszanką brzęczały obracające się zbiorniki, w ciemności stukały mechaniczne polewaczki. Pines czatował na górze półtorej godziny i nic się nie zdarzyło. W końcu z zamierającym ze strachu sercem zszedł po drabinie i powłókł się powoli do domu. Na wpół sparaliżowany powiedział sobie w duchu: „Udało mi się to zrobić. Jutro zrobię to jeszcze raz”.

U kresu swojego życia, w domu starców, dziadek był tak słaby, że całymi dniami leżał w łóżku lub siedział w fotelu na kółkach. Szulamit pielęgnowała go, jak mogła, lecz i ona nie była zbyt silna ani zdrowa. W powietrzu między nimi zawisły zastarzałe dymy okrętów i stacji kolejowych. Nie przestawali dotykać się nawzajem i przyglądać sobie, spotykać się i rozstawać.

Krymczacka kurwa przyglądała się dziadkowi godzinami, dotykała końców jego palców i płacząc, odczytywała klinowe pismo zmarszczek jego szyi. W ciągu niewielu tygodni zmałał i skurczył się cały. Wzrok jej, nie mogąc już wchłaniać jego spojrzeń i względów, wysysał komórki z jego ciała.

Jego stosunek do niej, subtelny i niebezpieczny jak rzemiosło linoskoczka, był ostrożną konstrukcją przemyślanej miłości. Jeden nieostrożny ruch i dziadek mógł upaść, unicestwiony jej wzrokiem, krztusząc się i dusząc w pyle własnych kości.

Dopiero teraz rozumiem, że tam w pokoju było ich czworo: dziadek i Szulamit w młodości i w starości. Niekiedy starzy oboje, niekiedy młodzi. Czasami Szulamit była młoda, a dziadek stary, czasami odwrotnie. Czas, znany mi tylko z suszenia owoców i fermentacji kiszzonek, w ich pokoju zamieniał się w różnolicy wiatraczek, którego nie obracał już żaden wiatr.

Pił z trudem przynoszone przeze mnie mleko, ale upierał się wypijać je całe. Czasami chwytaly go torsje i wymiotował sobie na pierś małymi grudkami sera. W „trudnych dniach” nosiłem go na rękach do łazienki, by go całego obmyć. Gdy leżał w moich potężnych ramionach, z namydlonym malutkim ciałem, jego wzrok rozpływał się w przestrzeni jak machnięcie białą chusteczką. W „dniach dobrych” uśmiechał się do mnie wysiłonym uśmiechem i rozpytywał o zdarzenia w gospodarstwie.

Z Szulamit nie wdawałem się w rozmowy, chociaż miałem wiele pytań, które chciałem jej zadać. Gdy przyjechała do Kraju, nienawidziłem jej. Jej i tych Rosjan, którzy pozwolili jej stamtąd

wyjechać. W tydzień po jej przyjeździe dziadek zaczął organizować swoje przenosiny do domu starców. Ukrywał te plany przed nami, a kiedy oznajmił, że wszystko jest już załatwione i podpisane, zaniemówiliśmy. Abraham zmarszczył czoło. Rywka sapnęła parę razy.

– Pięknie, pięknie – powiedziała w końcu. – Z pewnością wiesz, co robisz.

Josi milczał, a Uri zachichotał.

– Z ciebie, dziadku, jest niezły cwaniak.

Z wielkiego przerażenia poczułem mróz pełną we wnętrznościach. Wiedziałem, że wszystko to ma związek z kobietą, która przybyła z Rosji i zastukała do drzwi baraku. Jak lalka, co wyskoczyła prosto z dziadkowej skrzynki.

– Dzień dobry, Jakubie – powiedziała. – Poczęstujesz mnie szklanką herbaty?

Dziadek wstał, a ręce mu drżały. Wiedział oczywiście, iż Szulamit ma przyjechać. Pelikany przybyły, jak zwykle, a telegram z Jerozolimy przyniósł uroczyście Buskila dzień wcześniej. Buskila lubił telegramy. Wytresował Zisa, żeby ryczał jak „francuski ambulans”, kiedy przynosił telegram. Mawiał, że to są emocje związane z jego pracą.

– To jest mój wnuk, nazywa się Baruch – powiedział dziadek.

To były pierwsze słowa, jakie zamienił z Szulamit po tylu latach rozstania.

Roześmiała się, gdy podając jej herbatę, obracał w roztargnieniu w ustach oliwkę. Roześmiała się i gestem właścicielki położyła rękę na jego ramieniu.

To przecież tylko stara kobieta, powiedziałem sobie w duchu, wprawdzie wysoka, lecz zgarbiona. Miała białe gęste włosy, pomarszczoną twarz, z szyi zwisały jej tłuste i wiotkie fałdy mięsa, na twarzy i rękach widniały plamy pleśni jak porosty na starych drzewach oliwnych. Lecz uda pod suknią były długie, a kostki wprawdzie drżały, lecz były szczupłe i zgrabne.

Opróżnili szklanki, wstali oboje jakby na dany znak i objęli

się. Dziadek przytulił do niej twarz i kołysał się łagodnie. Wąsy wcisnął w jej szyję i podczas gdy jedną ręką wystukiwał na jej ramieniu szybki rytm rozpoznawczego szyfru, druga ślizgała się od jej piersi po brzuch gestem dawnej rutyny, czekającej przez te wszystkie lata w składzie starych przyzwyczajień.

Uri wyjaśnił mi potem, że każda para posiada swój repertuar ruchów i gestów miłosnych, który tworzy się szybko, jest przyswajany powoli i nigdy nie ulega zapomnieniu.

– Te ruchy pozostają nawet wówczas, gdy miłość już wygasła – powiedział. – Kiedy przestają już wdychać nawzajem zapach swojej skóry, pożerać ciała i wytrzeszczać na siebie oczy jak idioci.

Uri miał coś przeciwko ludzkim oczom. Twierdził zawsze, że nie ma w nich żadnego wyrazu i że wszystkie określenia przypisujące oczom atrybuty zwierciadła duszy są tylko „głupim złudzeniem optycznym”. Jeśli chodzi o niego, to odczytywał ludzkie usta, odcyfrowywał kąciaki warg, a gdy z kimś rozmawiał, patrzył mu na usta, a nie w oczy.

Szulamit płakała, trzęsąc się całym ciałem, dziadkowe palce sadownika błędziły po jej skórze, zaciskając się i delikatnie ją obmacując. W tamach czasu rozwarły się szczeliny i można się było obawiać, że słabe kolana staruszków ugną się pod naporem. Dopiero teraz dziadek zauważył, że jestem jeszcze ciągle w baraku, i oderwał się od niej. Usiedli i przypatrywali się sobie, a atmosfera była tak bardzo zagęszczona i tyle słów i dotknięć czekało w jej głębi, że powiedziałem, iż muszę pozamykać zawory, i wyszedłem powłóczyć się po sadzie.

Gdy wróciłem po dwóch godzinach, w baraku paliło się jeszcze światło i huczał komin pieca do grzania wody, a oni na mój widok ucięli rozmowę po rosyjsku.

– Co było, to było – powiedział mi dziadek. – Teraz ja i Szulamit zamieszkamy razem. Wiele lat już nam nie pozostało.

– Im wyżej się piąłem, tym bardziej wzmagala się słabość w moich członkach i potężniał strach.

Uchwyt słabł i pewnego razu, gdy Pines schodził z drabiny,

omalże nie spadł z wysokości dziesięciu metrów.

– Przez długi czas trzymałem się drabiny z jakąś niepojętą dla mnie siłą.

Jego drżące kolana obijały się boleśnie o zimne żelazo, a strach grzmotnął go w przepoń i pozbawił oddechu.

– Dlaczegoś mnie nie zawołał? – gorączkowałem się. – Gdybyś upadł, to ja bym cię złapał.

– To nie jest powiastka, Baruch. – Uśmiechnął się smętnie Pines. – Mówimy teraz o prawdziwych zdarzeniach, a poza tym, ty jesteś wprawdzie silny jak twój ojciec, ale ja jestem cięższy od twojej mamy.

Odzyskał przytomność umysłu, a ponieważ pięcie się pod górę jest łatwiejsze od schodzenia, postanowił włączyć dalej i w końcu rozciągnął się na wilgotnym betonie, starając się z wysiłkiem odzyskać oddech i równowagę ducha.

Nie upłynęło pół godziny, gdy Pines, który miał już zamiar schodzić, usłyszał szmer. Sprawne ręce chwyciły drabinę i można było słyszeć urywane ze śmiechu i wysiłku oddechy. Wychylił się i ujrzał dwie ciemne zwinne postacie, wspinające się lekko ku niemu. Teraz nie miał już odwrotu. Ogarnięty paniką przykucnął za budką strażnika, skurczył się, jak tylko potrafił, i wtedy zobaczył tych dwoje, jak wdrapali się na dach i skierowali w jego stronę.

W otaczającym mroku nie mógł rozpoznać rysów twarzy, lecz ruchy wskazywały na to, że są to ludzie młodzi, pewni siebie i swojego ciała. „Jak wszyscy młodzi, wiedzieli, że każdy członek ciała będzie się poruszał zgodnie z ich wolą”.

Tych dwoje poczęło natychmiast tarzać się na podściółce z worków i Pines w swojej kryjówce mógł słyszeć szelest zdzieranego ubrania, odurzający szmerek tarcia tkaniny o skórę, ciche westchnienia rozkoszy i z dawna zapomniane pomlaskiwanie wilgotnych, splątanych ze sobą tkanek. Z ich gorących ciał unosiła się para, skraplała w zimnym powietrzu i wlewała mu w nozdrza. Ujęty grzesznym czarem tej chwili, nauczyciel czuł nieuchwytnie wzburzenie w najbardziej martwych



częściach swojego ciała aż do chwili, w której wzniosła się ponad poręczą pięknie wymodelowana głowa młodziana i zarysowała kędzierzawym konturem na tle ciemnego nieba.

Ów bezczelny krzyk rozległ się teraz dosłownie przy nim.

– Rżnę żonę Jakobiego! – zakrzyknął młodociany kochanek.

Pines skurczył się jak spłoszona polna mysz w swojej norce, skronie pękały mu od ogromu wstydu i tęsknoty. Jakobi był młodym i zdolnym sekretarzem wsi, a jego żonę znał nauczyciel od czasu, gdy była uczennicą w szkole.

– Wnuczka Ben Jaakowa, zabitego podczas rozruchów. Była miłym i mądrym dzieckiem i wyrosła na moich oczach na dobrą, pracowitą dziewczynę. Robiła wrażenie wstydlivej.

Krzyk rozpekł się na wietrze, litery wzleciały i opadły na wieś niczym płatki migdałowych kwiatów, i wszystkie kobiety we wsi obudziły się i uśmiechnęły jak we śnie. W ciszy, która znów zapanowała na wieży, Pines słyszał jedynie uderzenia własnego serca i cichutki, jękliwy śmiech, wydobywający się z gardła kobiety, która usiłowała uciszyć kochanka, wtulając jego głowę między swe piersi.

Leżeli cicho i tętno krwi w starych nogach nauczyciela uciszyło się również. Poczul chłód. Znosił te cierpienia do chwili, gdy tych dwoje wstało, ogarnęło na sobie ubrania i zeszło po drabinie.

Postanowił odczekać kilka minut, by zaoszczędzić sobie zażenowania na wypadek wykrycia. Po czym wstał, zacisnął palce na poręczy, popatrzył w dół i ujrzał kilku mężczyzn wyskakujących z mroku z krzaków ligustru, rzucających się na parkę jak „dzikie zwierzęta”.

Kobietę odwleczono na stronę za włosy, a chłopaka powalono na ziemię, zbito twardymi rękami, stratowano i skopano roboczymi buciorami, a wszystko ze sprawnością cicho pracującej maszyny, w straszliwym milczeniu. W zimnym powietrzu słyhać było tylko odgłosy ciosów, konwulsyjnie skręcającego się ciała, jęków i płaczu.

Gdy ludzie się rozeszli, Pines zszedł po drabinie, zbliżył się

do chłopca i zajrzał mu w pokrwawioną twarz. Posiekane mięso połyskiwało wszystkimi odcieniami purpury jak zgnieciony owoc granatu, a serce nauczyciela ścisnęło się i zadrżało.

– Leżał na brzuchu. Odwróciłem go delikatnie twarzą do mnie, a on stęknął z bólu. To był Uri Mirkin. Twój kuzyn Uri.

Do dziś dręczy mnie sumienie, że nie byłem tam wówczas, by ocalić mojego kuzyna Uriego z rąk jego dręczycieli. Przechadzałem się w tym czasie wokół domu lekarza. Lecznica domu starców składała wiejskim lekarzom sprawozdania o stanie zdrowia staruszków, a ja żywiłem nadzieję, że uda mi się podsłuchać spoza firanek cokolwiek o zdrowiu dziadka w jego ostatnich dniach.

– Gdybym ja tam był – płakałem przed Pinesem. – Gdybym tylko tam był, tobym ocalił Uriego. Pozabijałbym ich wszystkich. – Moje ręce na przemian to zaciskały się, to otwierały, a kark oblewał się potem.

O tym wszystkim opowiedział mi Pines już potem, kiedy Uriego wygnano ze wsi. Wszyscy wiedzieli, co się zdarzyło, lecz stary nauczyciel tylko mnie wyznał, że był tam i że wspiał się na wieżę. Członkom zarządu, którzy go wypytywali, powiedział, że z powodu bezsenności wyszedł na przechadzkę i u podnóża wieży natknął się na zemdlonego chłopca.

– A potem rozkrzyczałem się na nich na całe gardło, na tych chuliganów, tych zbójów, rzezimieszków.

Pines zapytał Uriego, czy wszystko w porządku, a gdy ten nie odpowiedział, pospieszył do różanego ogrodu obok synagogi, umoczył chusteczkę w wodzie i zwilżył chłopcu rozbite wargi. Szczupłe, rozbite, pokaleczone ciało ruszało się z trudem w męczarni połamanych żeber i zmiażdżonych tkanek. „Jak porażony upadły anioł”.

Chwycił Uriego pod pachy i zawlókł go z trudem do swojego stojącego w pobliżu domu.

Miał złamany obojczyk i zwichnięte ramię.

– Dlaczegoś mnie nie zawołał, wziąłbym go na ręce – skomlałem.

Pines ułożył Uriego na własnym łóżku i siedział przy nim całą noc. Zdjął z niego ubranie, obejrzał całe zmaltretowane, piękne i delikatne ciało, miękkim gałgankiem dezynfekował

i głaskał mu rany.

Uri nie przestawał ruszać się i jęczeć z bólu, na całym ciele zakwitły kolorowe sińce, a zapach kobiety, unoszący się jeszcze z lędźwi nie przestawał bić szaleństwem w nozdrza Pinesa, wypełnił zatoki nosowe i zbierał się pod kośćmi czoła i skroni jak słodka warstwa rosy.

Całą noc siedział Pines przy Urim i patrzył na niego. Pytał, dlaczego krzyczy i co jest w nim takiego, że kobiety ze wsi tak mu się podkładają.

Uri był zbyt oszołomiony, zbolący i zbity z tropu, by móc odpowiadać na pytania.

Dźwięki uderzeń, łamania kości, rozbijania stawów i trzask zdzieranej skóry nie dawały Pinesowi spokoju. Bijących nie udało mu się w ciemności rozpoznać i teraz podejrzewał każdego mężczyznę we wsi, od szesnasto- do sześćdziesięciolatków.

„Upodobniliśmy się do leśnych zwierząt”, rozmyślał. „Człowiek gotów jest połknąć żywca bliźniego”. Kości jego czaszki zmieniły się w dziurawą błonkę, która z trudem tamowała smutek i rozdrażnienie.

– Całe życie stałem na straży, a teraz stoję wśród rozwalonych murów w obliczu nadchodzącego zła.

Rankiem zostawił przy łóżku szklankę herbaty z biszkoptem i udał się do naszej obory. Abraham i Josi doili krowy, wściekając się na Uriego za to, że gdzieś przepadł i nie przyszedł pomagać. Ja rozładowywałem w krowiej zagrodzie wóz buraków pastewnych.

– Uri jest u mnie – oznajmił nauczyciel.

Zanim jednak zdążył cokolwiek dodać, do obory weszli ludzie z zarządu. Abraham zostawił dojenie Josiemu i mnie i poszedł z nimi do domu. Po upływie kilku minut rozległy się stamtąd wrzaski Rywki, do której dotarło, że nie dość jej hańby, którą musiała znosić jako córka rymarza, a nie rolnika z prawdziwego zdarzenia – i nie dość jej wstydu za męża – pierwszego syna wsi, który zawiódł pokładane w nim nadzieje – to teraz jeszcze przyjdzie jej wstydzić się za cudzołóstwo syna.

Po raz pierwszy w życiu słuchałem tego, co chciałem

usłyszeć, bez schylania się i czołgania, wdrapywania na gałęzie, kucania w ciemności jak złodziej i nadstawiania uszu.

– Wszystko zaczęło się od tej chutliwej przedszkolanki, która pozwoliła mu chodzić z gębą w swojej dupie – wrzeszczała moja ciotka.

– Nie wszyscy muszą to słyszeć – powiedział Abraham.

– Wszystko zaczęło się od ciebie, kiedyś poczuł wolę bożą w dziewiątym roku życia, od twojego brata, co dymał krowy, i od twojej siostry, co rozkraczała nogi na dachach.

Z dachu obory sfrunęło spłoszone stadko gołębi, a gdy trzepot ich skrzydeł rozwiął się w powietrzu, słyszeć było jedynie odgłosy klaskania na policzkach Rywki. Zarząd czekał cierpliwie, a gdy awantura ucichła, zakomunikował rodzicom Uriego, że zapadło postanowienie, by „wydalić ich syna ze wsi” na pewien czas. Powiedzieli, że żonę sekretarza wsi, Jakobiego, jeszcze tej samej nocy odwieziono do jej siostry w mieście. Mieszulam Cyrkin, zbliżający się już do pięćdziesiątki, a pozostający jeszcze w dziewictwie, powiedział, że gdyby usunięto ze wsi wszystkie zerżnięte przez Uriego, toby pozostały tu jedynie Tonia i Rywa.

Uriego zabrano do szpitala rejonowego. Odwiedziłem go tam raz jeden, a on poprosił, żebym więcej nie przychodził.

– Dobrze, że dziadek o tym nie wie – powiedział. – Dobrze, że dziadek już umarł.

Siostry, pałające do niego namiętnością z powodu urody, która dawała się rozpoznać nawet poprzez rany i bandaże, podejrzewały, że nie ma on skłonności do kobiet. Gdy wyzdrowiał, postanowiono go odesłać do wuja, brata jego matki, który był przedsiębiorcą robót ziemnych w Galilei.

Abraham i Rywka odprowadzili syna na stację kolejową. Wylazłem na dach stodoły i spoglądałem za nimi, jak szli przez Miejsce Spoczynku Chaluców.

Zatrzymali się przy grobie dziadka, minęli pardenes, a potem zgubili się jak mrówki w żółtych przestrzeniach rżyska.

Tak samo patrzyłem w ślad za Zajcerem podczas jego sobotnich przechadzek, tak samo patrzyłem za znikającym

Efraimem, tak samo widziałem, jak babcia Fejga i cała wieś biegną za pociągiem i jak Szlomo Lewin wraca z pogrzebu swojej siostry.

Uri miał na sobie wyprasowane niebieskie bawełniane spodnie i jasną koszulę. W rękę niósł małą drewnianą walizkę. Rywka szła tuż obok niego, a Abraham ze spuszczoną jak byk głową torował im drogę. Przecięli rżysko, obeszli dookoła porzuconą przez Anglików pozycję armatnią i doszli do stacji, kryjącej się w cieniu olbrzymich eukaliptusów. Kiedy pociąg odjechał, zostawiwszy po sobie tylko gwizd, zobaczyłem wracających Abrahama i Rywkę. Ona szła przed nim i wymachiwała w podnieceniu rękami, a on schylał się raz po raz, żeby kłaść w mysie norki ziarna trucizny.

Niejednokrotnie omawiałem z Pinesem przypadek Uriego, a on mi powiedział, że nie potrafię tego pojąć, bo nigdy nie kochałem kobiety. Wówczas Pines wypowiadał już otwarcie i bez ogródek wszystko, co przychodziło mu na myśl.

– Tyś kochał jedynie swojego dziadka – powiedział. – Niekiedy przypominasz mi byka Efraima. Może i ty oczekujesz, żeby ktoś wziął cię na plecy i poniósł, żebyś pokrył jakąś babę.

Nie opowiedziałem mu, że przez te wszystkie lata wiedziałem o przygodach mojego kuzyna. Nie widziałem go nigdy w akcji, lecz nieraz przypadkowo słyszałem otwarte i sprośne rozmowy kobiet spowiadających się sobie z miłosnych sprawek, a kiedy mówiły o Urim, śmiały się i wzdychały, mruzczały do siebie i porozumiewawczo się trącały. Potem widziałem je we wsi, kiedy tylko znacząco się uśmiechały. Wnuczki Ryłowa i Libersona, żonę Szuki od sztucznego zapładniania, córkę stolarza Gideona, mamę Michal Margolis i samą Michal, tę, co uczyła się w jednej klasie z nami, żonę lekarza, żonę weterynarza, która mimo wieku posiadała jeszcze temperament burzliwy jak miotany wiatrem sad i krzyczała: „Efraim, Efraim” – wszystkie.

– A najdziwniejsze jest to – powiedział mi Uri, zdumiony zasięgiem moich wiadomości – że one lubią, jak ja tak krzyczę,

i wszystkie wiedzą, jedna od drugiej, o tej całej sprawie, a mój okrzyk jest dla nich ważniejszy niż sama sprawa.

Pierwszą była ochrypla Edna, wnuczka Ryłowa, ta, co w wieku dziewięciu lat miała już piersi i każdego miesiąca samce greckiej ćmy rozbijały się tłumnice na okiennej siatce jej pokoju. Miała siedemnaście lat, a Uri piętnaście. Jego uroda i cynizm nie dawały jej spokoju, aż pewnej nocy siłą zawlokła go na wieżę ciśnięć.

– Nie miałem wyjścia – powiedział Uri, a na jego twarzy ukazał się znany mi wyraz powstrzymanego śmiechu. – Ona miała pistolet.

Wspinał się za nią po drabinie, mając oczy utkwione w jej tyłek wtłoczony w białe spodnie i świecący w ciemności.

– Jaka ona była gorąca – opowiadał mi. – Wydobywały się z niej odgłosy jak przy wyciąganiu z błota bosej nogi, a ja czułem, że muszę wepchnąć się w nią cały, wsadzić ręce i nogi, i tors, i głowę, a wtedy przypomniał mi się nagle jej dziadek i te wszystkie bomby i karabiny, i materiały wybuchowe, i pomyślałem o tym, co on by mi zrobił, gdyby mnie przyłapał tkwiącego w schowku jego wnuczki, i ogarnął mnie śmiech.

– Czego się śmiejesz? – zapytała Edna.

– Rżnę wnuczkę Ryłowa – wyszeptał jej powolutku i bezczelnie w usta.

– To dlaczego nie oznajmisz tego wszystkim – powiedziała pogardliwie i zanim zdążyła go powstrzymać, wzniosł głowę ponad poręcz wieży i krzyknął najgłośniejszym głosem, jak mógł:

– Rżnę wnuczkę Ryłowa!

Słowa mocowały się z nocnym wiatrem, obijały o konary drzew, aż rozpadły się na krople i litery. Nikt z gospodarzy ich nie usłyszał, potłukły się bowiem na pozbawione jakiegokolwiek znaczenia odpryski.

Nie usłyszałem ich nawet ja, wielki podsłuchiwaniec. Lecz Pines nie miał uszu zatkanych ziemią, a jego życie wśród owadów i dzieci nauczyło go składać do kupy odłamki sylab i zagadek, dlatego usłyszał. Usłyszały to również kobiety we wsi. Ich

monotonne życie nauczyło je znajdować podniecenie nawet w brudnych kurzych korytkach z wodą i pod włochatymi liśćmi roślin z rodziny dyniowatych.

Ogarnięty przerażeniem nauczyciel aż podskoczył, pragnąc wyrzucić swój gniew na winowajcy, lecz kobiety we wsi ocknęły się ze snu jednocześnie i uśmiechnęły w ciemności. Poznały głos i nadarżającą się możliwość, rzenie ogiera i bijące w oczy światło. Leżały jak odurzone delikatnym aromatem drogich perfum, gładkością kielichów i dotykiem chłopięcego ciała.

– Nigdy tego nie zrozumiesz – powiedział mi Uri. – Ty nie lubisz kobiet, ale ja myślę o nieszczęsnych indyczkach zamkniętych w ciemnych pomieszczeniach, o babci i o Szulamit, o słodkich palcach Chaima Margolisa, o biednym Danielu, co licząc sobie zaledwie trzy tygodnie, pokochał twoją mamę, i pamiętam, co powiedziała babcia o tym, że na każdego gdzieś na świecie czeka ta, co mu jest przeznaczona. Ja swoją odnajdę.

– Gdyby żyła jeszcze Fania Liberson, powiedziałaaby, iż jest to zemsta twojej babci – powiedział Pines. – Słodka krew Stowarzyszenia Pracy zmieniła się w żyłach rodziny Mirkinów w wiecznie krążącą truciznę. Twój dziadek nie ofiarował jej miłości, a sam zameczał się tęsknotą i nienawiścią do Szulamit. Abraham śpiewał pieśń miłosną, będąc dziewięcioletnim chłopczykiem, a potem zamilkł na zawsze. Uri sprawił, że wszyscy zatraciliśmy wszelkie poczucie proporcji, a ty jesteś wołem rodziny Mirkinów, antylopą w sieci<sup>[57]</sup> z jałowym sercem i olbrzymią siłą.

Pobicie Uriego zatrwożyło starego nauczyciela. „Popełniliśmy błąd”, napisał w gazecie ściiennej. „Nie wychowywaliśmy tak jak należy, nie przekazaliśmy naszej Wizji, nie ukazaliśmy celu. Staliśmy się podobni do bydła, zanurzonego po szyję w błocie”.

Teraz, w wieku dziewięćdziesięciu pięciu lat, Pines podniósł wzrok i ujrzał, że za tamą powysychały już spiętrzone fale zagrożenia, a nad ziemią wieją świeże wiatry.

– Czy wiesz – powiedział do mnie – jakie cudowne myśli



mnie nachodzą? Fruwają mi po głowie jak nocne ćmy.

„Dopiero teraz rozumiem”, napisał w artykule, który wywołał we wsi burzę, „iż Uri Mirkin był najbardziej oryginalnym myślicielem, jakiego wydała nasza wieś. Jak Jeremiasz w dolinie Ben-Hinoma, jak Eliasz na górze Karmel, jak Jotam na wierzchołku góry Garizim, tak i Uri wygłaszał swoje kazania z wysokości wieży ciśnień”.

„Wydarzenia potoczyły się takim torem, od kiedy dziadek opuścił dom, a potem zmarł”, pisał mi mój kuzyn wygnaniec. Odsłużył już wojsko i nie chciał wracać do wsi, mieszkał u swojego wuja w Galilei i pracował u niego na koparce. „Zajcer i Liberson oślepli i zmarli, Pines zidiociał, Meszulam począł zalewać wieś bagnem, tato i mama opuścili kraj, Josi pozostał w wojsku, krótko myśli i krótko mówi, wyszczekując samogłoski, mnie przegnali, a ty, właśnie ty, stałeś się najbogatszym gospodarzem we wsi.

Otrzymałem list od Pinesa. On myśli o nas. «Dwóch wnuków Mirkina», tak napisał, «wstrząsnęło posadami jego życia, jeden operując śmiercią, a drugi miłością. Poprzez ciało w rozpadzie i ciało w rozkoszy»”. To jest cytat.

Szkoda, że dziadek już nie żyje i nie może słyszeć nowych wypowiedzi Pinesa.

„Co tkwiło w tym staruchu, że trzymało wszystko do kupy?”, pisał dalej Uri. „Kto wie, kim był naprawdę? Aniołem nakazującym drzewom rosnać czy szatanem ze Stowarzyszenia Pracy imienia naszej nieszczęsnej babci? I ja, podobnie do ciebie, rozmyślam dużo o Efraimie. Czy dziadek przyniósł ową maskę dla niego? Czy może dla samego siebie? Niekiedy myślę, że Efraim odszedł przez dziadka, z żadnego innego powodu”.

Na morskim brzegu wielkie ślady moich stóp łączą się z zanikającymi wzorami na piasku. Patrzą ze zdumieniem na tę lekką i ubogą glebę, na jej ładne i bezwartościowe ziarna. Ten piasek to nic innego jak tylko przyspieszony ruch ziemi Doliny. Szybko wchłania i szybko wyparowuje, szybko wędruje i szybko się gromadzi, szybko pęka w szczeliny i szybko łączy się z powrotem w całość, szybko pokrywa się wzorami i szybko je traci.

Wilgotne grudki wytłoczone paluszkami bawiących się dzieci, odcisnięte gumowe podeszwy, prowadzące do wody kuliste ślady kobiecych pięt, tropy tych, co z głupim i umęczonym

wyrazem twarzy biegają wzdłuż brzegu, ryjąc wyraźne dołki w piasku. Jeśliby przeszedł tedy Efraim, to pod ciężarem Jeana Valjeana zostawiłby w piasku głębokie doły, głębsze nawet od tych, jakie pozostawiają moje stąpania.

Nie mogę wyobrazić sobie kogoś, kto by odszedł z powodu dziadka. Do dzisiaj pali mnie pragnienie ukrycia się pod jego skrzydłami, trzymania się znowu skraju jego ubrania. „Mylisz się”, powiedziałem w duchu do Uriego, „mylisz się; nikt nie może opuścić dziadka, nawet nasz wuj Efraim tego nie potrafi”.

Poszukiwań nie zaprzestano aż do śmierci dziadka. Rozciągnięto sieć na wszystkie kraje Bliskiego Wschodu, rozpytując o człowieka z zakrytą twarzą, z ciężkim jasnym bykiem na plecach. Pułkownik Stubbs, który służył teraz w jordańskim legionie, kuśtykał na swoim roztrzaskanym kolanie i szukał go aż tam. Starzy Arabowie, przyjaciele Ryłowa, dostawali wiadomości z Libanu i z Syrii. W Kraju działali ludzie z ramienia Ruchu. Każdego, kto tylko miał w zwyczaju włóczyć się po drogach i spotykać z ludźmi i bydłami, instruktorów rolnych, partyjnych aktywistów, rytualnych rzeźników i weterynarzy – wszystkich upraszano, by mieli oczy otwarte.

Od czasu do czasu nadchodziły wiadomości o cielętach charolais, które się narodziły w niespodziewanych miejscach. Muchtar plemienia Mazarib słyszał od pielgrzymów wracających z Mekki, że obok Makny, w Arabii Saudyjskiej, widzieli przechadzającego się po brzegu olbrzymiego białego byka. Dwaj szkoccy badacze przyrody, którzy przebywali przez pewien czas na bagnach Sihanu w Turcji, by obserwować ceremonie godowe łysek, widzieli przez lornetki żółtawego byczka o krótkich nogach pokrywającego krowę wodnego bawołu. Wędrowny szpak, który przysiadł w ogrodzie Pinesa i błagał go, by zdjął mu z nóżki uwierającą aluminiową obrączkę, widział Efraima przecinającego wpływ Morze Czarne z południa na północ, podczas gdy Jean Valjean okrążał je z ciężkim tupotem wzdłuż brzegu.

Te sprawozdania budziły na pewien czas nadzieję, lecz Efraim, cichy i niewidzialny, wyćwiczony w podchodach,

w ukrywaniu się, w kierowaniu się gwiazdami i sztuce ostawiania przy życiu, nie dał się odszukać. Zasięg jego wędrówek był szerszy niż nasze przypuszczenia. W kilka lat później francuski motocyklista biorący udział w rajdach przełajowych odkrył podobne cieleta również i w Armenii, i Algierii. Wyglądało na to, że kropelki kremu Jeana Valjeana unoszą się w powietrzu jak kwietny pyłek.

– On wziął Jeana Valjeana do burdelu w Arzew – powiedział Uri.

– Zasięki graniczne nie stanowiły nigdy przeszkody dla Efraima – powiedział jego angielski dowódca, lord Lovett, który przyjechał do nas z Londynu w odwiedziny. – Twój syn był znakomitym żołnierzem i prawdziwym przyjacielem – powiedział dziadkowi. – Nasze więzy nie zerwały się wraz z jego demobilizacją. On nam wiele pomagał.

Dziadek zagryzł wargi i nic nie odpowiedział.

Lord Lovett, szczuplutki staruszek, opierał się na rzeźbionej lasce, a szyję osłaniał mu błękitny jedwabny szalik zakrywający zarazem rurę z nierdzewnej stali, tkwiącą w jego roztrzaskanej tchawicy. Gdy się śmiał, wychodziły z tej rury ciche świsty. Razem z nim przybyła niemłoda, ale piękna jeszcze, wysoka kobieta, którą w chwili wejścia na teren wsi ogarnęło drzenie. Lovett złożył swój podpis w księdze gości, a potem udał się z nami do domu Rachel

Lewin, chciał się bowiem dowiedzieć, gdzie Efraim nauczył się cichego stapania. Spoglądał z osłupieniem na smagłą starowinkę, która podbiegła do królika podkradającego jarzyny w ogródku i nastraszyła go śmiertelnie, krzyknąwszy „buuu” prosto w jego długie ucho.

Zamknął się z dziadkiem w baraku na długą rozmowę, a mnie wykryto za drewnianą ścianą i posłano razem z ową piękną kobietą do sadu. Przechadzała się tam wśród kwitnących drzew, przytulała do szyi miękkie płatki, śpiewała i śmiała się cichutko. Polecono mi jej pilnować, więc wykonywałem to. Szedłem za nią w milczeniu, przestrzegając, na ile to było możliwe, przyzwoitej

odległości, i nie przeszkadzałem jej, gdy poczęła tańczyć pośród grusz. Nawet Abraham i dziadek nie zdołali jej rozpoznać. Jedynie moje nozdrza poczuły jej zapach i tylko my oboje słyszeliśmy ryk byków wspinających się na ogrodzenia.

– Czy pamiętasz, Jakubie, ten werset – powiedział dziadek do Pinesa, kiedy już lord i jego piękna towarzyszka odjechali. – Syn mój żyje jeszcze; pójdę go zobaczyć, zanim umrę?<sup>[58]</sup>

– I Jakub zobaczył – odparł Pines. – W końcu zobaczył.

– Ten tu Jakub nie zobaczy nigdy swojego syna – powiedział dziadek. – Tylko porachunki z wami będą trzymały mnie przy życiu. Wyście go wygnali ze wsi, a ja was za to ugodzę w najbardziej bolesne miejsce, w ziemię. Szulamit zadam cios w serce, a wam – w waszą ziemię.

Wymawiała warczące, rosyjskie „r” i głębokie, gąbczaste „ł”. Niegdyś wszyscy Ojcowie Założyciele mówili tak jak ona, ale powietrze kraju rozrzedziło im gęstą ślinę w ustach, rozluźniło podniebienie i rozszerzyło gardło.

– Sześćdziesiąt pięć lat obracał dziadek Szulamit w swoim sercu. Tarzał się jak zwierzę w piasku i bagnach, by zetrzeć z siebie jej zapach i dotyk, dłubał w otworach swojego ciała, wymacywał ją długimi stalowymi drutami pamięci. Lecz blaskiem jej skóry jaśniało z płatków kwiecia grusz i ze zbocza błękitnej góry. Wody jego jezior nie pozwalały żadnemu podskakującemu kamykowi spocząć i upaść na dno. Każdy pelikan zniżający lot nad domem Libersonów ukazywał mu jej białą pierś – Pines, starzec wiecznie głodny, ciekawski, chory i tłusty, poetyzował sobie teraz bez żadnego umiaru. Korzystając z przywilejów starego nauczyciela przyrody, tulił mnie do piersi, wkłuwał we mnie kolce swojej miłości i swoje morały, a gdy zacząłem płakać grubym, kleistym głosem, głaskał mnie po karku.

– Zemsta jest cierpliwa, cierpliwa jak kłacze cebulicy – powiedział – i jej rozkoszą są lata sublimacji i dojrzewania. Obleka się w kształt w najgłębszych zakamarkach duszy, w głębinach, pod cienkimi błonkami pszenicznych pól i gładkiej skóry, w szczelinach i rozpadlinach skalnych.

Pod koniec życia począł Pines rozróżniać wszystkie rodzaje zemsty. To on mi objaśnił, w jaki sposób dziadek zemścił się na wsi, a w jaki na Szulamit i jak ziemia zemściła się na nas wszystkich.

Mówił rzeczy, które pospołu z nagrobkami Miejsca Spoczynku Chaluców wstrząsały calutką wsią.

– Ta ciężka ziemia, przywykła do smrodu kości męczenników i deptana nogami pielgrzymów i żołdaków, rozdziawiła ze śmiechu gębę na widok chaluców, którzy ją całowali i składali ofiary ze swych łez, którzy brali ją w posiadanie ze wzruszeniem, wtykając swe małe motyczki w jej

ogromne ciało, którzy wołali na nią: matko, siostró, żono. Razem z pierwszymi brzdami, razem z pieleniem chwastów, osuszaniem bagna i wycinaniem zarośli, posieliśmy również klęskę. – W tym miejscu przybrał ton uroczysty i dodał: – W rezultacie wysuszyliśmy bagna, lecz pod nimi znaleźliśmy stokroć gorsze błoto. Związek z ziemią, stopienie się z naturą, czyż nie okazały się w końcu upadkiem i zbydlęcieniem. Zrodziliśmy nowe pokolenie, już nie nędznych i oderwanych od rzeczywistości Żydów, lecz pokolenie przywiązanych do swojej ziemi chłopów. Grubiańskich, kłótliwych, zaciętych, ograniczonych, szerokokostnych i gruboskórnych. Twój wuj Abraham zrozumiał to w wieku lat dziewięciu. Twój dziadek zrozumiał, gdy odszedł Efraim, a ja zrozumiałem, kiedy zobaczyłem, że nie zależy mu na owocach i że wystarczają mu kwiaty. Uri zrozumiał to dopiero wtedy, kiedy mu zmiażdżyli kopniakami śledzionę. Nie ma takiej ziemi – zakończył swoją przemowę Pines i łatwo było po nim poznać, że na to zakończenie przygotował sobie efektowne powiedzonko – i nie ma takiej kobiety.

Stary i słaby dziadek stał przede mną i przed Szulamit.

– Teraz zamieszkać z nią – powiedział mi. – Zrozum mnie, moje dziecko, w moim wieku nie mogę już tego nie uczynić. Tylko nie tutaj, nie w tym domu.

Usłyszałem odgłos znajomych kroków zbliżających się do progu baraku. Pines zastukał do drzwi i otworzył je. Za nim stali Liberson i Cyrkin.

Wtenczas wszyscy wybuchnęli strasznym płaczem, obejmowali się i ciężko dyszeli, a obfitość uczuć wyrrywająca się z tych starych rosyjskich tkanek zdumiała mnie tak bardzo, że znowu wyszedłem. Tej nocy spałem w stodole wśród bel słomy, a dziadek nie przyszedł, by mnie przykryć. Przyjaciele rozeszli się po północy, a w baraku całutką noc paliło się światło. Kiedy przyszedłem rano, zastałem dziadka przygotowującego śniadanie, a krymczacka kurwa leżała w łóżku i spała.

– Nie pokazywałem ci nigdy tego zdjęcia – powiedział dziadek, przesuwając palcami po papierowym obiciu skrzynki,

ostrożnie, po omacku czegoś szukając. Znalazł i dobył swój stary nożyk do szczepień, przeciął papier i dwoma palcami wyciągnął stamtąd starą fotografię. – To ona – szepnął i kiwnął głową w stronę łóżka – gdy byliśmy młodzi, tam.

Fotografia była przecięta jak świśnięciem kosy prawie na całej długości. Części jej były złączone od tyłu starym, brązowym papierem do podklejania.

Szulamit siedziała na rzeźbionym krześle, w ciemnej bluzce z okrągłym kołnierzykiem, podwiązany czarną aksamitką. Jej młoda twarz, rozsieczona wzdłuż, łuki brwi podobne dumnym sierpom, jej ręce odcięte nienawidzącymi nożycami, skrzyżowane w nieskończonym spokoju z ową promieniejącą pewnością siebie właściwą pięknym kobietom.

– Nocą kąpaliśmy się w rzece, ukryci w trzcinach i sitowiu, a Szulamit świeciła w ciemności jak czapla w zaroślach.

Ona spała ze wszystkimi oficerami, mówiłem sobie w duszy, i ze starymi generałami Armii Czerwonej.

– Wszyscy wiedzą, co ona wyprawiała. Przez nią nie sypiałeś po nocach. Przez nią zmarła babcia.

Dziadek wspiał się z trudem na końce palców i huknął mnie pięścią w twarz. Był tak stary i słaby, że to wcale nie zabolalo, lecz pokryłem się potem jak muł przy orce i łzy stanęły mi w oczach.

Szulamit się zbudziła, a ja uciekłem z baraku. Po upływie pół godziny wyszli na spacer po podwórzu, a ja szedłem za nimi z daleka. Dziadek pokazywał jej mechaniczną dojarnię Abrahama, stodołę, starego Zajcera jedzącego swe emerytalne pożywienie. Muł patrzył na nią obojętnie, bo w swoim wielce podeszłym wieku wiedział już, że człowiek nie ma żadnej przewagi nad zwierzęciem<sup>[59]</sup>; życie obojga stanowi ciągle pasmo wleczenia wozów i nieudolnego wydostawania się z zastawionych pułapek, dołów i jam na pomyje. Minęli stary gliniany piec babci Fejgi, z którego pokruszonych ścian wydobywał się jeszcze zapach chleba, bólu i zapiekanki z dyni, i zeszli do sadu. Widziałem z daleka jego powiewające, długie rękawy, gdy przedstawiał jej,



jedno po drugim, wszystkie drzewa, i wiedziałem, że macha na pożegnanie brzoskwini, gruszy, migdałowcowi, mnie.

– Popatrz na nich – powiedział do mnie Uri, który przyszedł i stanął przy mnie. – Jak w jakimś rosyjskim romansie.

Miesiąc później przenieśli się oboje do domu starców. Do samej śmierci dziadek mścił się na niej kontrolowaną, trzeźwą, dokładną i nieustającą, bezlitośnie wystudowaną miłością, starodawnymi, czułymi gestami pieśczoć, które sprawiały, że zrzucała szare listowie, że drapała ściany i wierzgała nogami na tyle, na ile jej pozwalały starcze bóle i stawy.

I, tak jak mi napisał Uri po upływie pewnego czasu od śmierci dziadka, wszystko zaczęło się rozpadać. Wrzaski Rywki nasiliły się siedmiokrotnie, pogłębiło się milczenie i bruzdy na czole Abrahama, a ja prawie zupełnie przestałem jeść, bo w moim żołądku rozrósł się i nabrzmiął olbrzymi ziemniak tęsknoty. Wieść rozeszła się po ludziach, obiegła kurniki i obory i poniosła się nad polami – Mirkin poszedł z domu.

W ciągu niewielu dni uparty perz opanował kwiatowe klomby i jarzynowe grzędy przy baraku. Czarne mrówki z zadartymi na plecy odwłokami jak szalone cwałowały po podłodze. W dziadkowym sadzie zwały się trzy zrozpaczone drzewa migdałowe, puste dziuple w ich pniach bowiem napełniły się jasnym próchnem zwątpienia. Podwórze zaatakowały nieustępliwe bydlęce muchy. Swoją krótką, twardą przyssawką wywiercały dziury w ludzkich i zwierzęcych skórach i zostawiały po sobie krwawiące otwory i rozzłoszczone bydlęta, niezdolne skoncentrować się na robocie.

Gdy kłujące źdźbła perzu przedostały się między deski podłogi, a jego brzydkie kolana zawęzły się jak rakowa tkanka, wstałem z łóżka, zawołałem Josiego i wyszliśmy obaj z rydlami do ogrodu. Kopaliśmy wzdłuż długich, twardych pędów, co zaszyły się pod ziemię i wysyłały stamtąd na jej powierzchnię swoje przekłete odrostki. Po jednym dniu Josi zrezygnował z kopania. Na rękach wyskoczyły mu pęcherze, a wieczorem nie mógł się wyprostować.

– Nie mamy żadnych szans – powiedział. – Trzeba go często przycinać na powierzchni ziemi, a raz na tydzień podlewać naftą i to wszystko.

Ja jednak chciałem dobrać się do samego serca perzu, do ośrodka, który wyrzucał z siebie odrostki korzeni, który czekał, aż dziadek pójdzie sobie z domu, a teraz podkraść się do mnie spod ziemi.

Głęboka, wykopana przeze mnie bruzda przecięła podwórze i wyszła w pola. Posuwałem się naprzód przez sad, potężnymi uderzeniami rydła wyrzucając w górę bryły ziemi, rozprułem działki kukurydzy i koniczyny, wykopałem sobie drogę między pozycjami angielskich dział przeciwlotniczych, strasząc turkucie podjadki i krety i wydobywając na powierzchnię przerażone skolopendry i antyczne skorupy. Po drodze zrąbywałem każde boczne odgałęzienie podziemnego pędu, a w cztery dni później wyprostowałem się i ujrzałem źródło.

Tu, gdzie Pines spotkał starego Araba, przy jeżynach, obok których leżał mały Abraham i fosforyzował w ciemności, ciągle jeszcze panował straszliwy odór Bułhakowa. W powietrzu unosiła się jego jedwabista sierść, a śluzowate trujące oddechy hieny leżały skroplone na blaszkach liści omanu. Tu znalazłem macierzysty pęd perzu.

Uparty korzeń grubiał w tym miejscu gwałtownie, wyginał się w dół i wbijał w głąb ziemi. Obwiązałem się nim w pasie, zaryłem nogami w ziemię i zacząłem ciągnąć. Znajdowałem się wówczas w pełnym rozkwicie sił. Sto dwadzieścia kilogramów krzepkich, grubych mięśni. Wysoki jak matka. Silny jak ojciec. Ziemia podnosiła się powolutku i żółtawy korzeń wyłaził z niej, wlokąc ze sobą wielkie grudy ziemi, szkielety szczurów i pomiot puchaczy, duże cynowe kufle i blaszane, pogięte dziecinne zabawki, ciepłe jeszcze od dotyku rąk niemieckich dzieci, które przytulały je do siebie, konając w malarycznej gorączce.

Kiedy upadłem do tyłu, korzeń wyszedł całkowicie. Jego naczynka włosowate podrygiwały w powietrzu jak pasożytnicze czerwie i szukały sobie oparcia. W gruncie rozwarła się wielka

jama. Uniósł się z niej gęsty trujący opar i brzęczenie komarów. Zajrzałem do środka i zobaczyłem ciemną, gęstą, płynącą powoli wodę przeszłości, maleńkie larwy całym ciałem przyklejone do jej powierzchni, oczekujące, czerpiące powietrze przez swoje króciutkie wdechowe rurki. Jak wszyscy uczniowie Pinesa, mogłem stwierdzić nawet z zamkniętymi oczami, że są to larwy malarycznego komara. Usłyszałem dobiegający z jamy głęboki charkot. To bagno, które staruchowie uwięzili w trzewiach ziemi i w pniach eukaliptusów, poczęło wzbierać przed moimi oczami, dysząc i szumiąc pod dotykiem słonecznych promieni. Ogarnął mnie strach. Cała groza zasłyszanych opowieści, stara zhora chaluców wpleciona w moje ciało – wszystko się zbudziło. Zacząłem wrzucać grudy ziemi z powrotem do środka, skacząc jak oszalały i ubijając ziemię ze wszystkich sił całym swoim ciężarem.

Gdy wróciłem do domu, zastałem tylko nieliczne konające źdźbła perzu. Jedną ręką wyszarpnąłem te resztki z ziemi i poszedłem spać. Całymi dniami wylegiwałem się w łóżku, wdychając płynące z drewnianych ścian aromaty żywicy, leśnych wietrzyków i dziadka. Dopiero wówczas zacząłem pojmować, iż w jego olbrzymim, zniewalającym cieniu moje własne życie zmieniło się w jakieś nędzne paprocie, w leśny humus.

Całymi nocami leżałem nieprzykryty i wsłuchiwałem się w dobiegające z dachu drobniutkie stąpanięcia, w drżące poćwierkiwania żółtowołosych piskląt, aż przyszedł Abraham z dzbankiem w ręku i oznajmił mi, że dziadek chce mleka.

Tego samego roku zawiadomiono mnie, że jako sierota będę zwolniony ze służby wojskowej. We wsi mówili, iż stwierdzono u mnie ułomności psychiczne.

– Cóż w tym dziwnego – powiedziała Rywka. – To dziecko wzięło sobie za matkę starego szaleńca.

Ciocia Rywka nigdy nie była łatwa we współżyciu, a od kiedy dziadek odszedł do domu starców, nie ukrywała nienawiści. Obawiając się, że stary zapisze mi w spadku gospodarstwo, poganiała swych synów, żeby chodzili w odwiedziny do dziadka,

do domu starców. Josi jednak powiedział, że ma wiele roboty w oborze, a Uri obawy matki po prostu zlekceważył.

– Te wszystkie drzewa nic mnie nie obchodzą i nie mam zamiaru zostać rolnikiem – oświadczył. – Jak można w ogóle żyć w miejscu, gdzie całymi dniami obgaduje się krowy.

Nikt nie odważył się mnie skrzywdzić; byłem najsilniejszym chłopakiem we wsi. Gdy miałem czternaście lat, powierzono mi już rolę kotwicy w rejonowych zawodach w przeciąganiu liny. Przed zawodami podszedł do mnie dziadek.

– Baruch, zaryj się tylko nogami w ziemię i nie ruszaj się. Już my im pokażemy – powiedział.

Ale teraz nie miałem nikogo na świecie. Z wyjątkiem Pinesa, który rozmawiał ze mną, wypróbowywał na mnie nowe idee i odpowiadał na moje pytania. Czasami zaglądał w okno Zajcer i kiwał mi głową, ale również Zajcer był bardzo stary i nie mówił już niemal ani słowa.

Wstawałem rano, a w pokoju czuć było tylko nikłe resztki zapachu dziadka. Zasoliłem sobie oliwki, ale nie miały tego smaku. Szybko rozmiękały i gniły, bo nie udawało mi się nigdy ustalić prawidłowej ilości soli – świeże jajo tonęło w roztworze jak kamień lub też wyskakiwało z blaszanki jak wystrzelone z karabinu maszynowego.

Byłem „samotnym ptakiem na dachu”, jak się wyraził Uri. Zanim wygnano go ze wsi, zachodził do mnie, przynosząc zawsze dwa kawałki ciasta ukradzione z kuchni swojej matki, jeden dla mnie, a drugi dla Zajcera.

– Jak ty tak żyjesz? – pytał.

W załamaniach dachu zagnieździły się jaskółki, ściany pokryły się szorstkim, szarym porostem.

– Nie możesz tak zaniedbywać baraku. Jest on jedną z ostatnich pozostałości z okresu obejmowania w posiadanie ziemi – powiedział mi Meszulam, który wstąpił, by poprosić o starą czapkę dziadka na jedną ze swoich wystaw. Była to czapka Młodego Robotnika<sup>[60]</sup>, uszyta z mocnego szarego płótna, z obwisłym rondem. Lubilem ją nakładać, gdy wychodziłem

w pole.

Teraz, samotny wśród poplamionych ścian, jęczałem z tęsknoty do dziadka, który mnie opuścił, do moich zmarłych rodziców, do wuja Efraima, który odszedł, do wszystkich gwiazd na niebie, żeby przyszły i wybawiły mnie z żalu i samotności.

Przyjaźniłem się z drżącymi po kątach pająkami i z przezroczystymi gekonami, które wdrapywały się na różowych rączkach na ściany i wpatrywały we mnie czarnymi naiwnymi oczami. W ciągu dnia pracowałem w sadzie, który dziadek, z wyżyn swojego miłosnego gniazdka, polecił Abrahamowi pozostawić mojej pieczy.

– Dobrze, żeby dziecko miało coś do roboty – powiedział. – Ma dobre ręce.

Przycinałem sad, nacinałem oczka, podwiązywałem gałęzie i smarowałem czarną mazią pokryte ranami pnie. Wzorem dziadka pozwalałem owocom dojrzewać i opadać na ziemię. Abraham prosił mnie od czasu do czasu o pomoc w oborze, a ja zawsze na to przystawałem. Chętnie wyładowywałem z wozu ciężkie bele siana i układałem je w stodole. Czyściłem kanał do odpływu gnojówki, wlokłem podniecone i zawstydzone jałówki na spotkanie z zapładniaczem.

W chwilach, gdy czułem, że kości mi aż trzeszczą z braku wszelkiej nadziei, szedłem mocować się z młodymi byczkami w zagrodzie, gdzie je tuczono. Zajcer podnosił swoją pomarszczoną głowę znad starych gazet i spoglądał, jak zmagalem się z półtonowym byczkiem, trzymając go za rogi. Byczki, potężne mieszańce ras brahma, angus i charolais, porykiwały radośnie, gdy zbliżałem się do obory, gdy idąc, ścigałem już z siebie koszulę. Lubiły mnie i rozrywki, które wprowadziłem w ich nędzne, krótkie życie.

Tuczenie cieląt na mięso dawało w owym czasie duże dochody, ale kiedy przyjeżdżali handlarze mięsa z ciężarówką, mój wuj Abraham stawał się ponury. Okręcali ogon byczka wokół pięści i bolesnymi obrotami ręki na prawo i lewo kierowali te wielkie bydlęta na pomost ciężarówki. Abraham nie mógł tego

ścierpieć i jeszcze w dwa albo i w trzy dni po zabraniu zapłakanych cieląt do rzeźni miał mięśnie tak mocno napięte, że kiwał się i kuśtykał po podwórku jak mechaniczna kukła.

Kiedy dokazywałem z cielętami, nie mówił nic, ale wyraz zadowolenia przemykał po jego pobrużdżonym czole. Czasami dostrzegałem ciocię Rywkę, jak ukryta za pnem drzewa przyglądała mi się, gdy wychodziłem zza ogrodzenia wybiegu, spocony i obnażony, z rozwichrzonym włosiem i nabrzmiętymi tętnicami.

– Idź, poszukaj sobie wreszcie dziewczyny, zamiast pokładać byki w nawozie! – wykrzykiwała i uciekała spiesźnie.

W dziadkowych szufladach znalazłem stare papiery, dokumenty, zasuszone kwiaty mojej mamy, listy nadesłane ze wszystkich stron kraju przez kolegów pragnących zasięgnąć rady w sprawie sadów.

„Ziemia moja jest ciężka i po deszczach stoi na niej woda, czy jest dobra pod brzoskwinie?”, napisał Arie Ben-Dawid.

Dziadek przyczepił do każdego listu kopię swojej odpowiedzi. Radził „drogiemu Ariemu” posadzić na każdym dunamie trzydzieści sześć drzewek zaszczepionych na dzicze śliwy mirabeli.

W kopertach kruszyły się resztki dotkniętych chorobą i pogryzionych liści, przysłane dla postawienia diagnozy, a przy każdym tkwiła karteczka zapisana jego pismem: „Drogi Szymonie, mówiąc o ścinaniu zbędnych wici, nie miałem na myśli winnicy posadzonej w tym roku. W tym wieku nie należy ruszać wici, które wyrosły z oczka szczepki, należy jedynie usuwać witki wyrosłe na dzicze”.

Potem wpadły mi w ręce jeszcze inne znaleziska. „Mieszkam z kilkoma robotnikami w wynajętym pokoju”, pisał Szlomo Lewin do siostry w Galilei. „Wracam do domu po robocie z rękami pokaleczonymi i spuchniętymi od ciosania kamieni i nie mogę niczego dotknąć. Niedaleko stąd stoi kilka dużych drzew oliwnych, idę tam, opieram się o jedno z nich i płaczę jak małe dziecko. Czy uda mi się kiedykolwiek zostać robotnikiem?”

A może to tęsknota za mamą?”

Po dachu baraku bębni deszcz, powolny, obfity deszcz Doliny, przetwarzający ziemię w pułapkę, a ciało w gąbkę. Podobnie jak staruszkowie lubiłem przechadzać się po deszczu z pustym workiem złożonym w olbrzymi, spiczasty kaptur zarzucony na głowę i ramiona. Raz na tydzień chodziłem do Domu Ludowego na film, żeby patrzeć, jak Ryłow wywała potężnym policzkiem kogoś, kto usiadł na jego stałym miejscu, a niekiedy szedłem do źródła, leżeć tam w płataninie zarośli i patrzeć w niebo. W to miejsce uciekł kiedyś dziadek z małym Abrahamem, pierworodnym synem, a cała wieś wdrapała się na wieżę ciśnię, by zobaczyć bijący od dziecka blask.

– Rozpaliłem małe ognisko, które płonęło przez całą noc, odstraszało szakale i rzucało złotawy odbłask na sitowie i jeżyny. Abraham spał, a ja rozmyślałem – opowiadał dziadek.

Trzy razy w tygodniu przychodzi do mnie kobieta do sprząwania. Siedzę po nocach w mojej błyszczącej od czystości kuchni, popijam herbatę i rozmyślam. Odtwarzam sobie w wyobraźni wieś w nocy. Ludzie śpią – tak się potocznie mówi u nas w Dolinie – lecz o wsi powiada się, że jest pogrążona we śnie. Nasza wieś ma kształt litery H. Domy gospodarzy stoją wyłącznie wzdłuż linii pionowych, a ich działki rozciągają się na boki. Gospodarstwo Mirkina znajduje się w północno-wschodniej stronie wsi. W środku jest szkoła, Dom Ludowy, wylęgarnia, mleczarnia, lecznica, spółdzielnia, skład z mieszanką i poczta. Domy pracowników usługowych stoją równolegle do domów gospodarzy, po wewnętrznej stronie wsi, otaczają je małe ogródki i pomocnicze gospodarstwa.

Nikt nie mógłby sobie wyobrazić, że było tu kiedyś pustkowienie. Stare fotografie w pudełkach Meszulama pokazują namioty na tle łysego krajobrazu, nędznie ubranych ludzi, brzydkie, chude krowy i kury – jakby sfotografowano to wszystko gdzie indziej. Teraz śmiga w niebo przy wejściu do każdego obejścia wysoka aleja cyprysów albo kazuaryn, niektórzy posadzili sobie u bram domów palmy; ich delikatne pnie strzelają

w górę, a rozczochrane korony chwieją się w niebiosach.

Posadziłem tuzin takich palm jako ozdobną aleję przy wejściu do Miejsca Spoczynku Chaluców. W domu pozostali wówczas już tylko Abraham, Rywka i Josi. Co sobotę jeździli w odwiedziny do Uriego. Czasami zapraszali i mnie, żebym się do nich przyłączył. Josi prowadził starego studebakera. Nie miał jeszcze prawa jazdy, ale prowadził świetnie i rozważnie, jego żrenice wsysały szosę, jakby ją sobie bez przerwy przetrawiał w świadomości. Abraham nic nie mówił, a Rywka, która próbowała zagaić rozmowę na rozmaite tematy, po pewnym czasie rezygnowała i robiła minę skrzyczanej jałówki, bardzo dla siebie specjalną.

Jej brat, u którego Uri obecnie mieszkał, opuścił wioskę po zakończeniu służby wojskowej. W ciągu kilku lat stał się wielkim przedsiębiorcą robót ziemnych. Jego traktory pracowały na terenie całego kraju, a odgałęzienia interesów dotarły nawet do Afryki i do Ameryki Południowej. Był to mały, bogaty i wesoły człowieczek; bardzo mnie lubił i zawsze próbował wciągnąć w mocowanie się. Tym razem klepnął mnie po plecach i zapytał, czy chciałbym pracować u niego „jako traktor D-9”.

– Słyszałem, chłopcze, że robisz pieniążki – powiedział mi chytrze i małą piąstką uderzył mnie w brzuch. – Jeżelibyś potrzebował koparki do swoich grobów, to tylko powiedz.

– Kopię kilofem i łopata – odpowiedziałem mu.

– On wkrótce kupi cię ze wszystkimi twoimi koparkami – powiedziała Rywka.

Uri stał się przedmiotem snów i marzeń wszystkich dziewcząt w okolicy, gdyż wieści o przyczynach jego pojawienia się tu dotarły równocześnie z nim samym. On teraz żył jednak w celibacie.

– Wiesz, o czym myślę – powiedział mi, gdy zostaliśmy w końcu na kilka minut sami. – Myślę o twoich rodzicach, o twoim ojcu, który podniósł oczy do góry i wiedział, że kobieta spadnie mu z nieba, i o twojej matce, która umarła we śnie, obejmując go i śniąc o mięsie.



===AGEKfw9mCWcIKF9/L0M2RSpJM0o+WzdZMB4+dzMTJ  
B0kECMQIA==

Dziadek, od dnia, w którym odszedł z Szulamit, raz tylko zjawił się z wizytą w domu. Pamiętam, jak podskoczyło mi serce, gdy wracając z pola do baraku, ujrzałem stojący w podwórzu ambulans domu starców. Wszedłem do baraku i znalazłem tam dziadka leżącego na łóżku, a obok niego siedzieli wiejski lekarz i Abraham.

Przestraszyłem się, lecz dziadek powiedział, że przyszedł tylko w odwiedzinie, bo zmogła go tęsknota za domem. Lekarz powiedział mi, wychodząc, żebym później do niego zaszedł.

Doktor Munk pracował we wsi od niedawna. Pojawił się już po odejściu dziadka do domu starców. Miał żonę, miłą blondynkę zaprzyjaźnioną ze wszystkimi, która czasami pracowała na zastępstwach w szkole. Jej skóra pachniała kocią czystością, a letnie sukienki były naperfumowane pokruszonymi cytrynowymi liśćmi. Zaledwie w miesiąc po przybyciu do wsi lekarza i jego żony usłyszał już Pines i kobiety ów okrzyk – „rzną żonę doktora”. Lekarz grał na wiolonczeli i wystąpił nawet kilka razy przed miłośnikami muzyki. Również Cyrkin poszedł na jeden z koncertów i potem oświadczył, że gdyby jego mandolinę trzymano w taki sposób między nogami, „to i ona by tak samo skowyczała”.

– Dziadek sądzi, że zbliża się już jego śmierć – powiedział doktor Munk ze sztuczną poufałością. Jego obrzydliwy mały piesek próbował w wielkiej furii ugryźć mnie w kostkę. – Zbadałem go i znalazłem wszystko w najlepszym porządku. Takie rzeczy zdarzają się czasami z ludźmi w jego wieku. Chodźmy więc uspokoić dziadziusia.

Dziadek oznajmił w domu starców, że pragnie odwiedzić swój barak. Nie wzbudziło to żadnych podejrzeń, ale od razu po przybyciu do domu dziadek zażądał od Abrahama, żeby posłał po lekarza.

– Umieram – oznajmił doktorowi Munkowi – i chcę wiedzieć, co się czuje w chwili śmierci.

Byłem zaskoczony. Dziadek nigdy nie zasięgał porady lekarzy. Polegał wyłącznie na siostrach i pielęgniarce. Naszego poprzedniego lekarza, zmarłego kilka lat temu, nie cierpiał. Był to dziwny człowiek, wegetarianin przybyły ze Szkocji, jeszcze zanim ten kraj został wspomniany w listach Efraima. Smarował pleśnią zakażone rany i kąpiące narządy płciowe na długo przed odkryciem penicyliny i jadał pieczone kłącza zimowita, miąższ mandragory i mieloną korę drzew orzechowych. Co rano zażywał kąpiele słonecznych, a gości częstował malwą zbieraną na poboczach dróg i portulaką kradzioną kurom z kurników. Cała wieś naśmiewała się z jego hebrajszczyzny. Jedną z jego znanych diagnoz brzmiała: „Krowa kopnęła Ryłowa w głowę i pół godziny on leżał w nawozie bez rozumu”.

Jego pożywienie było tak bardzo wyważone i zdrowe, że w ogóle się nie starzał i w wieku lat osiemdziesięciu, gdy koniczynowe żuczki i mączne chrząszcze zakończyły żucie zapasów celulozy w jego wnętrznościach, a on rozpadł się na żółty proszek, jeszcze ciągle nie miał na skórze ani jednej zmarszczki.

Doktor Munk znał krążące we wsi opowieści o Jakubie Mirkinie.

– Wiele o tobie słyszałem, dziadku – powiedział, kartkując zawartość medycznego dossier przyniesionego z lecznicy. – Miło mi poznać cię osobiście.

Zatelefonował do lekarza domu starców, zmierzył dziadkowi ciśnienie krwi i na wszelki wypadek zrobił mu elektrokardiogram.

– Dziadku – powiedział – jesteś zupełnie zdrowy, nie posłałbym cię na olimpiadę, ale jesteś zdrowy.

– Powiedzmy sobie otwarcie – odrzekł dziadek, a ja z radością poczułem chłód bijący z jego słów – po pierwsze, nie jestem twoim dziadkiem, a po drugie, nie prosiłem, żebyś mi postawił diagnozę. Nie nazywaj więc mnie dziadkiem i nie posyłaj na olimpiadę; chciałem tylko wiedzieć, co się czuje.

– Jeżeli mam ci powiedzieć prawdę, to nie wiem – obraził się lekarz. – To zależy również od przyczyny śmierci.

– Starość – powiedział dziadek. – Przyczyna śmierci będzie

bardzo banalna. Starość.

Nie spałem calutką noc. Radość przebywania znów pod jednym dachem z dziadkiem i strach, jaki wzbudzały we mnie jego słowa, utrzymywały mnie w bezsenności i napięciu, a dziadek wstał z trudem, przykrył mnie, wrócił do łóżka i zasnął jak niemowlę.

Gdy wzeszło słońce, przygotowałem śniadanie. Jedliśmy razem, a potem powiedział, żebym go zabrał w pole. Zawiozłem go w krzesło na kółkach na przyczepie traktora. Przejechaliśmy obok obory. Stare dojne krowy dyszały z radością na przywitanie, ale były już cielęta i jałówki, które go nie znały.

– Trzeba krowom położyć w żłób sól kamienną – zrobił dziadek uwagę Abrahamowi podczas wizyty w oborze.

– Dziś sól znajduje się już w koncentracie, tato – powiedział Abraham.

– Ale krowy lubią polizywać sobie sól – upierał się dziadek przy swoim.

Przejechaliśmy obok figowca i drzewa oliwkowego. Dziadek objął Zajcera za szyję i pogłaskał go po pysku, miękkim jeszcze i gładkim – mimo plam starości – jak nozdrza nowo narodzonego źrebięcia.

Dojechaliśmy do sadu. Był zdiczały i wyglądał zdrowo.

– Bardzo ładnie – powiedział dziadek i pomacał liście. – Pójdź i przynieś mi coś do skosztowania.

Powąchał śliwki metlee i wickson, których w tym czasie nikt już nie hodował, powiedział, że w glebie brakuje odrobinki azotu, i poradził, bym w przyszłym roku dla jej ulepszenia posiał między drzewami groszek.

– Teraz posłuchaj, Baruch – powiedział nagle. – Ten lekarz nie wie, co gada. Stoję w obliczu śmierci i proszę cię, żebyś mnie pogrzebał tutaj, w moim sadzie.

Czułem, jak w lewym kąciiku moich ust umiejscawia się wystraszony uśmiezek, a po całej twarzy rozchodzą się drgawki...

– Ale Abraham chce zachować ten sad, a ja go dobrze pielęgnuję, tak jak tego sobie życzyłeś – powiedziałem.

– Nie martw się, będziesz go w dalszym ciągu pielęgnował, ja nie zajmę wiele miejsca. Słuchaj uważnie, moje dziecko – dodał – nie przyjechałem tu z wizytą, przyjechałem, aby umrzeć. Chcę umrzeć w domu, a i tobie będzie łatwiej mnie tu pogrzebać, nic nikomu nie mówiąc i nie wdzierając się do lodówki domu starców.

– Ale dlaczego, dziadku? – zacząłem się jąkać.

– Oni wygnali ze wsi mojego syna – zadeklamował dziadek. – Nie chcę być pochowany na ich cmentarzu. Nie chcę być jednym z nich. Wywrócę ich ziemię do góry nogami. – Twarz jego przybrała surowy wyraz. – Tutaj mnie pogrzebiesz, w mojej i twojej ziemi. Potem pochowasz tu Szulamit, a może przyjdą i inni. Nie pozwól nikomu nas stąd wyciągnąć. Polegam na tobie, Baruch. Ty jesteś jedynym człowiekiem, który potrafi to dla mnie zrobić.

Dziadek przyglądał mi się, podczas gdy ja powoli przetrawiałem jego słowa. Teraz wydawało mi się, że zrozumiałem, dlaczego karmił mnie jarzynami, poił siarą i opowieściami, dlaczego uratował mnie od hieny i dlaczego mnie tak skrupulatnie ważył.

– A teraz odwieź mnie z powrotem do baraku.

Powiozłem go. Na sercu leżał mi ciężar. Czułem całą swoją niemoc umysłową, całą swoją głupotę, czułem się jak nic nierozumiejące bydło.

Ułożyłem dziadka w łóżku, a on przykazał mi wrócić do roboty.

– Ja tu sobie odpocznę – powiedział.

W południe przyszła na pole, trzepiąc z godnością skrzydłami, jedna z kur, a ja poszedłem za nią do baraku, do starego, który już się niecierpliwił. Poganiał mnie, bym się wybrał do spółdzielni i kupił mu u Lewina nową pizamę.

– Chcę sobie dogodzić – uśmiechnął się.

– A jedwabnych prześcieradeł dla muła nie kazano ci kupić?  
– zapytał szyderczo Lewin.

Kiedy przyniosłem stamtąd nową, miękką pizamę z szarej

flaneli w błękitne pasy, dziadek poprosił mnie, bym napalił w starym piecu do grzania wody na kąpiel i żebym mu przyniósł spod łóżka skrzynkę.

Komin pieca huczał. Dziadek robił porządki i grzebał w warstwach papierów. Listy, dokumenty, zamazane ziemią fotografie. Potem przechadzał się trochę po baraku, drepcząc z kąta w kąt, a ja nie wróciłem już do roboty. Chodziłem za nim, prawie dotykając ciałem jego drobnego ciała, a moja wielka i przytłaczająca obecność widocznie mu ciążyła, bo ni z tego, ni z owego mnie ofuknął.

Nie zostawiałem go jednak. Obawiałem się, że jeżeli na chwilę odwrócę głowę, rozwieje się i zniknie.

Przed wieczorem przyniosłem mu z obory mleko, lecz on z miejsca wszystko zwymiotował, rozzłościł się na mnie i krzyczał, żebym umył podłogę. Potem mnie przeprosił i chciał, żebym go zaprowadził do łazienki i siedział z nim, kiedy będzie się mył.

Przechowywałem w łazience jego „taburetkę”, stary stołek do dojenia, wybielony i wyślizgany przez grube, bawełniane ubrania robocze.

Usiadł, żeby nie poślizgnąć się na mokrych płytkach posadzki, i puścił wodę tak gorącą, że jego biała skóra poróżnowiała i uniosła się z niej para, a ze wszystkich okien poczęły kapać krople wody. Dziadek namydlił całe ciało i szorował je skrupulatnie. Ręką owiniętą dużą, włóknistą rękawicą dłubał starannie między pośladkami, za uszami i między palcami nóg, a ja przykucnąłem i oparty o ścianę, czekałem w cieniu wiszących na kołku przepoconych roboczych ubrań. Umiałem już rozpoznać dziadkowe chwile rozrachunków i nie przeszkadzałem mu.

Gdy skończył, pomogłem mu wstać, owinałem go wielkim prześcieradłem, którym zwykł był się wycierać, i zaniósłem go, jak pielęgniarska oseska, z powrotem do pokoju. Dziadek ubrał się powoli w przyniesioną przeze mnie piżamę. Poprosił, bym mu pozapinał guziki w bluzie.

– Pochowaj mnie w mojej ziemi, wśród drzew – powiedział potem.

Położył się do łóżka, umieścił swoje okulary na małym nocnym stoliku, podciągnął kołdrę aż pod szyję i zapadł w głęboki sen, tak że dopiero sześć godzin później zgodziłem się to uznać za utratę przytomności, z której nie ma już powrotu.

Rywka i lekarz chcieli go pospiesznie odwieźć do szpitala, ale Abraham powiedział im, że ojciec postanowił umrzeć i nie należy mu w tym przeszkadzać. O pierwszej po północy doktor Munk powiedział, że brak przytomności może potrwać kilka dni, więc Rywka i Abraham poszli trochę odpocząć. Ciało dziadka ciągle jeszcze oddychało, drżało i wypadła z niego brązowa, sucha i śmierdząca ziemia.

Trzy pełne dni siedziałem pod drewnianą ścianą i nie usnąłem ani na chwilę. Ludzie wchodzili i wychodzili. Z wielkiego zmęczenia majaczyłem i nie mogłem rozróżnić, kto z nich wchodził przez drzwi, a kto wyłaził z zamkniętej dziadkowej skrzyni. Na trzecią noc, kiedy od bezsenności czułem się cały porowaty i sflaczały, sny przestały kłębić się po pokoju, a ja zrozumiałem, że mój dziadek umarł. Wstałem i podniosłem go. Był mały i lekki.

– Ziemia, ziemia – powiedział nagle. – Ziemia podniesie głos.

Poszedłem w pole, niosąc go na rękach. Minęliśmy stodołę i zagrodę ze śpiącymi cielećkami. Obok dawnego pokoju Efraima zatrzymaliśmy się, żeby wziąć widły, kilof i łopatę. W ciszy przeszliśmy obok Zajcera, którego ciałem wstrząsała jakaś wewnętrzna rozterka. Z daleka dobiegło szczekanie szakali i strwożyło indyki. Gruba warstwa rosy pokrywała ziemię, blaszki liści i siedzenie stojącego obok fordsona.

– Tu – powiedział dziadek.

Podniosłem kilof i uderzyłem kilkakrotnie w ziemię, potem kopałem i usuwałem widłami grudy, a łopata wyrównywałem ściany. Pracowałem bez przerwy, a ponieważ mam wielką siłę, a moja dusza była bardzo wzburzona, w dwadzieścia pięć minut

wykopałem między gruszami i jabłoniami piękną kwadratową jamę, głębokości półtora metra.

Zdjąłem z niego piżamę i położyłem go w jamie. Jego gładkie białe ciało połyskiwało w ciemności. Przykryłem go wykopaną ziemią, ubiłem ją nogami, a potem ponakładałem ciężkich kamieni, które zebrałem z krańców działki, położyłem się na ziemi i pogrążyłem w głębokim śnie.

Obudziłem się o siódmej rano. Słońce przesaczyło się między listowiem grusz i uderzyło mnie w powieki. Mój wuj Abraham wołał mnie po imieniu, obok stał blady doktor Munk. Jakobi, sekretarz wsi, pochylał się nade mną, kopał mnie po ramionach i chciał wiedzieć, co to wszystko ma znaczyć.

Doktor Munk nabrał odwagi, rzucił się na mnie, wrzeszcząc jak oszalały, i nieudolnie próbował mną potrząsnąć.

– Jak mogę teraz wypełnić akt zgonu? Kto zdecydował, że on zmarł? Co się tu wyprawia? – wykrzykiwał temu podobne głupstwa.

Jakobi z dziwnym wyrazem twarzy podniósł dziadkowe spodnie od piżamy, jakby szukając w ich fałdach wyjaśnień.

– Zostaw piżamę – wrzasnąłem głosem, jaki jeszcze nigdy dotychczas nie wyszedł z mojego gardła.

Nie zareagował, a ja odepchnąłem doktora Munka na bok, wstałem ciężko na nogi i z byczą siłą trzasnąłem Jakobiego otwartą dłonią w twarz. Wargi mu pękły jak śliwka. Poleciał w tył niczym zabawna kukła i usiadł na tyłku, zaskoczony i zbolący. Dwoma susami dopadłem do niego i wyrwałem mu z ręki piżamę.

– To za dziadka i za Efraima – powiedziałem.

Jakobi począł wstawać, opierając się na knykciach.

– Nie wygłupiaj się – ostrzegłem go.

Jakobi jest wprawdzie niższy i lżejszy ode mnie, ale jak większość mężczyzn we wsi jest to chłop krzepki i z bogatą przeszłością w organizacjach bojowych. Wstał na nogi, otarł kapiącą mu z podbródka krew i sucho mnie uprzedził.

– Za godzinę wrócimy tutaj, żeby otworzyć grób – powiedział. – Pochowamy go na wiejskim cmentarzu, w rzędzie



Założycieli, obok babci. I radzę ci, żeby nie było żadnych problemów, Baruch, dla twojego dobra.

Odeszli, a po upływie kilku minut wrócił Abraham, sam jeden, niosąc ciężki łańcuch od ciągnika traktora i dwucalową żelazną rurę. Położył obie rzeczy na grobie i nie mówiąc ani słowa, wrócił do swoich krów.

Po pół godzinie przyszedł znowu. Tym razem w towarzystwie kilku mężczyzn. Był między nimi i Jakobi, już opatrzony i zabandażowany, i Pines, i Dani Ryłow. Kopałem już wtedy dołki na ozdobne krzewy, które zamierzałem posadzić wokół mogiły. Wyprostowałem się i stanąłem naprzeciw nich.

– Mój dziadek prosił mnie, żebym go pogrzebał tutaj – powtórzyłem.

– Wiemy, iż byłeś bardzo do dziadka przywiązany – powiedział łagodnie Pines – ale tak się nie postępuje. Istnieje cmentarz, Baruch, i tam się grzebie ludzi.

Miał zamiar mnie nabrać, tak jak gospodarze nabierają tuczne cielęta, sprawić, żebym się zbliżył pod wpływem słodkich uspokajających słówek, a potem położyć mi na karku hipnotyzującą rękę. Lecz ja już poznałem wszystkie sposoby nauczycieli i hodowców bydła. Podskoczyłem, stanąłem na usypanych na grobie kamieniach i nic nie odpowiedziałem.

– Zostaw go, Pines, to nie jest godzina wychowawcza – powiedział Jakobi. – Wystarczy już nam kłopotów z tą rodziną.

Dał znak ręką, a ja zauważyłem kątem oka niezgrabną postać Dani Ryłowa zbliżającego się ku mnie z rozpostartymi ramionami. W powietrzu zaświstał łańcuch od ciągnika, zakończony groźnym hakiem. Dani zrezygnował ze swych zamiarów, a reszta odskoczyła do tyłu.

Pines, który nieraz widział, jak odsuwałem skały, by szukać pod nimi skorpionów i stonózek, podszedł do sekretarza. Zbliżył się do niego również i Abraham i zaszeptał mu gniewnie do ucha, tak że słyhać było z daleka.

– Nie życzymy sobie tutaj żadnego skandalu – powiedział, a bruzdy na jego czole konwulsyjnie zadrgały. – Nie zapominaj,

że jesteśmy teraz w żałobie. Ojciec zmarł, a my chcemy obchodzić żałobę w spokoju.

Jakobi ocenił sytuację na nowo.

– My sobie teraz pójdziemy – powiedział – ale zarząd i inne instytucje nie przejdą nad tym do porządku dziennego, przyrzekam wam.

Do dzisiaj nie wiem, kto ma słuszość: Uri, który powiedział, że dziadek miał dar prorocstwa, czy ja, który twierdziłem, że planował swe postępowanie tak długo i tak skrupulatnie, że czas, zmuszony do popłynięcia wykopanym dla niego kanałem, dopłynął do mnie i mnie obudził.

Dziadek wiedział, że nikt go z jego ziemi nie wyciągnie. Wiedział, że nikt nie ośmieli się stanąć do walki z potwornym wnukiem, którego wyhodował. Wiedział, że obok niego pochowam w ziemi jeszcze innych ludzi, tykające miny zwłok, groźne worki złota.

Wiedział, że nikt go nie wyciągnie z jego ziemi, wieś bowiem nigdy nie wywlekała skandali na zewnątrz. Problemy załatwia się między sobą. Tylko w wyjątkowych, bardzo poważnych przypadkach przywołuje się policję. Lecz u nas nie zdarzyły się nigdy ani gwałt, ani morderstwo, a kradzieże, napaści i różne wykroczenia są załatwiane przez nasze wewnętrzne instytucje, które mogą zawsze liczyć na pomoc w postaci towarzyskiego nacisku i na poparcie wiejskiej gazetki.

Przez cały miesiąc strzegłem grobu. Abraham moich postępów nie pochwalał, lecz również im się nie sprzeciwiał. Josi i jego mama po raz nie wiem który przyłączyli się do powszechnej opinii, że jestem wariatem. Uriego to bawiło. Pines był wstrząśnięty.

– Nie wierzę, że ten koszmarny sen rozgrywa się na moich oczach – stwierdził.

– Tak mi powiedział dziadek – odparłem.

– Takich rzeczy się nie robi – dodał Pines.

– Tak mi dziadek powiedział.

– Ta brutalność, te uniesione w górę łańcuchy, te żelazne

drażni, jak Cerber u wejścia do piekieł.

– Tak mi dziadek powiedział.

Pines spojrzał na mnie z wyrzutem. Ale i on powoli ustępował, jakby podporządkowywał się i poddawał. Dziadek wiedział, że zbity z tropu Pines będzie mnie usiłował przekonać, lecz mu się to nie uda.

Starego nauczyciela podtrzymywały długie konary ewolucji, należał do pokolenia, którego szyje były przystosowane do postronków słów. „Został pogrzebany w swojej ziemi”, „Pochowano go w ziemi, którą całe życie uprawiał”, to były zestawy sylab, których Pinesowa dusza przezwyciężyć nie mogła.

– I zmarł, i został pochowany w ogrodzie swojego domu<sup>[61]</sup>  
– cytował ze źle skrywaną zazdrością.

Gdy pochowałem Szulamit, nie powiedział nic. Fania szalała przez kilka dni, aż zrozumiała, że nic nie poradzi, i się uspokoiła. Dopiero w kilka miesięcy później, kiedy nadeszła trumna Rozy Munkin i jej różowy nagrobek stanął obok dziadka, a ja zacząłem handlować grobami, dopiero to wstrząsnęło Pinesem do głębi.

Były to ostatnie dni sadu. Po pogrzebie dziadka Uri zażartował, że teraz drzewa będą się pięknie rozwijać na nawozie z jego zwłok.

Tymczasem drzewa rosnące w pobliżu jego grobu w krótkim czasie zmarły, jak gdyby wleto im w rdzeń truciznę. Drzewa w bardziej oddalonych rzędach pochorowały się i ogarnął je niepokój. Szumiały gałęziami także i w bezwietrzną pogodę, pokryły się mszycami, osypywały niedojrzałe owoce i nie było gąsienicy, która by w nich nie wierciła. Kwitły marnie, a z kielichów czuć było nieprzyjemne zapachy dolatujące ze zdechłych much i pszczoł, zatrutych żółtym jadem nektaru i pyłku. Margolis usunął stamtąd swoje ule, kobierce kwiatnych płatków uniosły się w powietrze i obnażyła się ziemia. Zrywałem od czasu do czasu resztki wiszących jeszcze na gałęziach owoców, lecz ich smak i miąższ przypominał siekane kotlety. Po nocach gryzły je puchacze i łasice i w krótkim czasie dziadkowy sad zmarł i zgnił.

Na nagrobku Abraham wyrył imię dziadka, datę urodzenia i śmierci, i werset, który kiedyś został wycięty na pierwszym posadzonym przez dziadka oliwkowym drzewie. „Zielone drzewo oliwne zdobne w piękne owoce”<sup>[62]</sup>.

Pierwszej wiosny po śmierci dziadka wzgórek jego mogiły począł roić się i poruszać. Czerwone, popstrzone czarnymi plamami żuczki powyłaziły z ziemi i wyczekiwały kroków nadchodzących zmarłych. Ci nie omieszkali nadejść. Miejsce Spoczynku Chaluców stało się uznanym faktem, a wieś aż kipiała. Odmawiałem stawienia się przed oblicze instytucji urzędowych, a Buskila wrócił z posiedzenia, na którym miał złożyć wyjaśnienie, podniecony i wesoły, i odczytał mi kilka wyjątków z protokołu, jego zdaniem zabawnych.

„Tow. Liberson: Towarzysze, już niemal rok minął od czasu, gdy towarzysz Baruch Szenhar pogrzebał swojego dziadka na terenie gospodarstwa Mirkinów. Jeżeli mamy wierzyć jego słowom, uczynił to na prośbę zmarłego i bez przyzwolenia powołanych do tych spraw instytucji. W kilka miesięcy potem pogrzebał tam nowo przybyłą z Rosji Szulamit Mockin, znaną wam wszystkim jako ta, która żyła z towarzyszem Mirkinem w jego ostatnich dniach. Potem zaczął grzebać tam ludzi za opłatą, a nawet począł importować trupy z zagranicy.

Tow. Ryłow: W ostatnim półroczu zostało pogrzebanych w gospodarstwie Mirkina co najmniej pięćdziesiąt głów.

Adwokat Szapiro: Poproszę pana Ryłowa o używanie bardziej odpowiedniego języka.

Tow. Ryłow: To nie są zwykli ludzie, to jest zarząd! Zarząd wsi żąda, żeby towarzysz Szenhar opróżnił groby i zaprzestał swojego zwyczaju.

Adwokat Szapiro: Jeżeli pozwolone mi będzie poczynić pewną uwagę, nie jest to zwyczaj, ale zawód. Mój klient utrzymuje się z dostarczania usług pogrzebowych ludziom tego pragnącym.

Buskila: Nikogo nie zmuszamy.

Tow. Ryłow: Ty, Buskila, nie odzywaj się.

Tow. Liberson: Wieś posiada cmentarz na wzgórzu, piękny i pełen godności, otoczony drzewami, z widokiem na Dolinę

i oddalony o kilka kilometrów od wsi, jak tego wymagają przepisy sanitarne. W przeciwieństwie do gospodarstwa Mirkina, znajdującego się w pobliżu domów mieszkalnych.

Adwokat Szapiro: Wedle ustawy o zdrowiu publicznym 1940, poprawka 1946, Ministerstwo Zdrowia odmówi nadania licencji na otwarcie nowego cmentarza, o ile nie będzie przekonane, że: a) nowy cmentarz będzie położony w ten sposób, że nie narazi na niebezpieczeństwo zanieczyszczenia rzeki, studni ani żadnego innego źródła dostarczającego wody, jak również, że: b) w dniu swojego otwarcia nowy cmentarz nie znajdzie się w odległości mniejszej niż sto metrów od najbliższego mieszkalnego domu. Każdy nowy cmentarz ma być ogrodzony solidną ścianą lub płotem o wysokości nie mniejszej niż półtora metra. Każdy cmentarz powinien być odpowiednio zmeliorowany. Mój klient twierdzi, iż Miejsce Spoczynku Chaluców te wszystkie warunki spełnia i zostało zbadane oraz zatwierdzone przez odpowiednią komisję państwową, której to licencję, nadaną mojemu klientowi, niniejszym państwu przedstawiam.

Tow. Liberson: Towarzysz Szenhar łamie regulamin osiedla. Wróciliśmy na naszą ziemię, aby stworzyć tu osiedle rolnicze i żyć z pracy naszych rąk.

Adwokat Szapiro: Działalność mojego klienta nie sprzeciwia się w niczym ideałom osiedla. Pozostaje w pełnej zgodności z zasadami, o których szanowny pan wspomniał. Nie zatrudnia on najemnych robotników i płaci wszystkie składki i podatki na rzecz zjednoczenia według wymogów. Jeżeli pozwolone mi będzie to powiedzieć, to wszakże mój klient sprowadza właśnie Żydów na ich ziemię i wzniosłszy pomnik pionierom, pomnaża honor i dumę ruchu osadnictwa.

Tow. Ryłow: Głupie żarty.

Adwokat Szapiro: Mój klient zarabia na życie pracą na roli, w całym tego słowa znaczeniu. Utrzymuje się z pracy swoich rąk, ma się za robotnika rolnego i uważa grzebanie za gałąź rolnictwa. Posługuje się sprzętem rolniczym przy kopaniu, nawożeniu i podlewaniu i odnosi w swojej pracy sukcesy. Hodowla mojego

klienta sprawdziła się tak pod względem ekonomicznym, jak i rolniczym. Groby nie cierpią z powodu suszy, rozmnożenia się myszy, przymrozków i różnorodnych chorób. Przedstawiam oto tutaj poświadczoną kalkulację, która dowodzi, iż dunam grobów przynosi więcej niż każda inna uprawa, i bezpośrednio, i w stosunku do włożonego kapitału”.

– I to dobiło ich do reszty – radował się Buskila. – Zarobki, towarzyszu Szenhar. To, że nasza hodowla przynosi więcej niż ich hodowle.

Początkiem sławy Pinesa było odkrycie pieczary człowieka pierwotnego.

– Wieś i ja byliśmy jeszcze młodzi – opowiadał mi.

Podobnie jak wszyscy jego uczniowie, znałem i ja tę pieczarę.

Znajdowała się na zboczu wzgórza, na którym mieścił się wiejski cmentarz. Stok był skalisty i roztaczał się z niego widok na Dolinę. Przez całe lata wejście do niej było ukryte wśród zarośli kaktusów i kamiennych usypisk pozostawionych przez Niemców. Podczas pogrzebu babci Fejgi spostrzegł Pines dwie sówki ruinówki, samca i samiczkę; kiwały się i biły pokłony przed żałobnikami, spoglądając na nich żółtymi, zwężonymi i zaciekawionymi oczami.

– Ich chleb jadła i z ich kubka piła – przemawiał Pines nad otwartą mogiłą. – Jestem podobny do pelikana na pustyni, jestem jak sowa wśród ruin<sup>[63]</sup>.

W kilka dni później wrócił w to miejsce i odkrył, że te małe drapieżniki gnieźdzą się tam wśród kamieni. Dookoła na ziemi poniewierały się malutkie srebrzyste mysie czaszki, wyschnięte i stwardniałe pomioty i poobgryzane skrzydła pasikoników. Smród padliny ział od pary piskląt, które swoim białym puchem i gniewnym syczeniem przywodziły mu na myśl lilipucich chasydów.

– Zbliżyłem się, przysiadłem na ziemi i wtedy ujrzałem wejście.

W pierwszej chwili pomyślał, że jest to stara pustelnia. Okrążył skałę, wyciął sobie przejście między kaktusami i wszedł do pieczary. Ze ścian ciągnął obcy cierpki zapach. Milczenie zduszonych ognisk, sucha zgnilizna i odór zastygłego czasu. Zagrzebane płytko pod warstwami ziemi i łajna leżały krzemienne narzędzia, a grunt pod dotykiem palców był miękki. Gdy Pines odsunął górne warstwy ziemi, ukazała się słynna kość czołowa, która ściągnęła do tego miejsca delegację angielskich naukowców.



Kopali i doszli do wniosku, że żył tu *Homo sapiens erectus*<sup>[64]</sup>-*israeliensis*.

– Takie połączenie jak *Homo erectus-israeliensis* i *sapiens* zarazem w ogóle nie istnieje – powiedział mi Pines w wiele lat potem, kiedy wylew krwi udoskonalił jego zdolność autoironii i tolerancję na zjawiska w rodzaju wyczynów Uriego czy pretensji Lewina.

Przybyli z Londynu naukowcy znaleźli w pieczarze pięć ludzkich szkieletów – trzy osób dorosłych i dwa dziecięce. Opisując mi to wydarzenie, Pines drżał na całym ciele.

– Myślę o motykach, które będą grzebały w naszych grobach. Przed oczami migoczą mi kilofy ryjące w grobie Lei, wydobywające spomiędzy jej żeber sine kosteczki bliźniaczek, co niczym jeszcze nie zgrzeszyły.

Kamienna broń, wielka bawola kość udowa, rozłupana na całej długości, i porozbijane kręgi grzbietowe młodych nosorożców stanowiły dla Pinesa świadectwo, iż mieszkali tu nie rolnicy, lecz myśliwi.

Zbudziła się w nim długo wstrzymywana uraza. Ukryte ostrza strzał, krzemienne noże, niskie kości czołowe i mocne łuki brwi, wszystko to przypominało mu Ryłowa.

Wyszedł z pieczary, usiadł u jej wejścia i patrzył na rozciągającą się u jego stóp szeroką, posłuszną, urodzajną Dolinę. Wydało mu się nagle, że ubogie chatki wsi, jej młodziutki alejki i malutkie drzewka unoszą się na powierzchni dziejów pustynnej ziemi, poruszając i chwiejąc na jej niezliczonych warstwach. Pierwsze kwadraty pól wyglądały w jego oczach jak połatana pajęczna sieć. Był młodym człowiekiem i takie wahadłowe wzloty nad erami Doliny przyprawiały go o zawrót głowy.

W delegacji przybyłej z Anglii na wykopki znajdował się pewien stary profesor, który przylgnął do Pinesa, i wesola gromada wysokich studentów w korkowych hełmach i szerokich kloszowych spodniach sięgających im za kolana. Gdy Pines się przedstawił, z trudem powstrzymywali śmiech<sup>[65]</sup>. Profesor spytał go później delikatnie, dlaczego nie zmienia swojego imienia, „a ja

odpowiedziałem temu sympatycznemu gojowi, że Jakub to piękne hebrajskie imię”.

Postawili na wzgórzu wielki namiot i co dzień kupowali we wsi jaja, mleko i ser. Obiady jadali u Rywy Margolis, płacąc pełną należność, wierzgali pod stołem nogami w samych skarpetkach, podziwiali, kiwając głowami, kryształowe talerze, rozścielony przed nimi obrus z syberyjskiej koronki i połączane brzegi szklanek.

– Rzeczy te wypożyczył Rywie zarząd, lecz właściwie należały one do niej – opowiadał mi Pines, zniższy głos do szeptu. – To ze skrzyni, którą przysłano jej z Rosji.

Kiedy Pines opowiadał mi o odkryciu pieczary i o angielskiej delegacji, skrzynia luksusów Rywy Margolis już dawno leżała pogrzebana pod grubą warstwą prochów i niepamięci.

Była to jedna z prób, z których wyszliśmy zwycięsko. Tak jak wiersz Abrahama, szarańcza z czasu wielkiej wojny i Lea Pines, również i skrzynia Rywy Margolis spoczywa w głębi, do której dotarłyby jedynie hydrauliczne koparki.

Po wyjściu za Margolisa Rywa napisała list do rodziców, opowiedziała im o swoim mężu i jego ulach, opisała swój zapał do ciężkiej pracy na roli i dołączyła fotografię – młoda dziewczyna z Ziemi Izraela w sukience z szarego, grubego arabskiego płótna, rzucająca kurom poślad i wyciskająca miód z plastrów.

– Kiedy się pobierali – opowiadał Pines – nikt nie wiedział, nawet sam Chaim Margolis, że narzeczona jest córką Bejlina z Kijowa, najbogatszego Żyda na Ukrainie.

Pół roku później przyjechał do wsi wóz zaprzężony w trzy pary wołów. Sześciu Kozaków i trzech Czerkiesów z karabinami Winchester i z błyszczącymi kindzałami u pasa jechało wokół niego na małych, nerwowych konikach i nie spuszczało go z oczu.

Z wielkiej leżącej na wozie skrzyni wydobyto czarne hebanowe meble, serwisy, których naczynia przeświecały pod światło, jedwabne poduszki i pierzyny pękające od gęsiego puchu, bucharskie dywany i błękitnawe koronkowe firanki. Rodzicom Rywy udało się przemycić tę wyprawę dosłownie pod nosem

komunistów. Tego samego wieczoru towarzysze zauważyli, że w oczach kobiet zaiskrzyło się jakieś obce światło, a Tonia Ryłow, oszalała od zazdrości i zwariowana na punkcie zasad, zażądała zwołania ogólnego zebrania towarzyszy.

Zebranie wyjaśniło Rywie, że społeczność nie ścierpi takiego wyposażenia w domu hebrajskiego rolnika. Dano jej do wyboru: albo odesłać skrzynię z powrotem, albo opuścić wieś wraz z nią.

– Mam lepszą propozycję – powiedział przymilnie Margolis.  
– Rywa i ja oddamy wyprawę do dyspozycji ogółu.

Rywa, dławiona łzami, potwierdziła skinieniem głowy słowa swojego męża, a Ryłowa i Libersona wydelegowano, by skarb zarekwirowali.

W latach, które nastąpiły potem, Rywa widziała nieraz odzianych w łachmany robotników rolnych jedzących z kryształowych talerzy i trzymających w brudnych palcach pozłacane widelce jej rodziców. Zwracali się jeden do drugiego per „pan”, salutowali sobie nawzajem i tańczyli menuety na rżysku. Zapamiętałem dobrze powtarzające się często w opowiadaniu Pinesa słowo „narodniki”.

Liberson, zwietrzywszy od razu okazję do rozbawiania żony i przypodobania się jej, przyprawiał sobie do policzków długie kukurydziane brody, odstawiał hrabiego Tołstoja i ubrany w długą, białą koszulę dokuczał pracującym w polu towarzyszom, nazywając ich chłopami pańszczyźnianymi i pojąc ich chłodzoną lemoniadą z kryształowego, arystokratycznego dzbana.

Komódka z chińskiej laki stała w namiocie zarządu, aż pogryzł ją żuk jelonek. Srebrna zastawa została wymieniona na sześć krów i holenderskiego byka, wybrednego i o niedobrym charakterze. Za jeden z dywanów Ryłow nabył rozmontowaną haubicę, a gęsi puch rozdzielił zarząd sprawiedliwie między wszystkie wiejskie kołdry. Tonia i regulamin mieli swoją satysfakcję, a Rywa chodziła ponura i zgorzkniała. Margolis powiedział jej, że jego miód smakuje lepiej, gdy zlizuje się go z palca aniżeli ze złotej łyżeczki. Masował woskiem jej spierzchnięte dłonie i skrapiał jej brzuch drogimi złotawymi

kroplami, ale Rywa nie przyjmowała pociechy i się nie uspokajała. Pogodziła się na pozór z decyzją wsi, „lecz po nocach słyszeliśmy wszyscy, jak drżą i wzdymają się płachty namiotu Margolisa od szlochów i płaczu”.

– Wszystko, co udało się tatusiowi uratować przed rewolucją w Rosji, zarekwirowali bolszewicy z Ziemi Izraela – powiedziała mężowi.

W ciągu dwóch lat wszystkie kryształowe naczynia popękały, były bowiem tak przezroczyste, że nie było ich widać, jeśli ich czymś nie napełniono, a puste szklanki za dotknięciem twardych chłopskich rąk zlatywały po prostu ze stołu.

Margolis wychodził codziennie na kwietne pastwisko, gdy znikło ostatnie naczynie, a Rywa znalazła się twarzą w twarz z kurzem, potem, syjonistyczną Wizją i gęstym odorem nawozu.

– I wtenczas zwariowała – powiedział Pines. – Dążenie do czystości, normalne u każdej kobiety i stanowiące namiastkę instynktu wicia gniazda, u Rywy przeszło w szaleństwo. Uzbrojona w ściśle przylegającą do głowy chusteczkę, fartuch, gałgany i gumowe buty, wyruszyła w bój. Zaczęła od wyrzucenia z domu kubła na śmiecie, albowiem straszliwie niepokoiła ją obecność brudu, nawet zamkniętego pod pokrywą. Za oborą, w odległości stu pięćdziesięciu metrów od domu, leżała kupa krowiego nawozu. Do niej to dziesiątki razy dziennie posyłała swe małe dzieci, żeby wyrzucały, a to łupinkę od ogórka, a to resztki z obiadu, a to okruchy, które zebrała pod stołem.

– Cały czas patrzyła w niebo – opowiadał dziadek.

– Jak babcia? – zapytałem, ale dziadek nie odpowiedział.

– W tej wsi wszyscy patrzą w niebo – powiedział mi Liberson. – Wypatrują deszczowych chmur, pocztowych gołębi, szarańczy.

– I wędrownych ptaków – dodała ze złością Fania.

Tymczasem Rywa patrzyła w niebo, bo całe życie oczekiwała nadejścia obłoków pyłu od strony pustyni i chmar paskudzących szpaków od północy. Nazywała je „obesranymi gołębiami”. Dookoła baraku ustawiła tuzin wielkich pułapek na

muchy – skrzynie z drucianej siatki ze szparą w podłodze, a w środku gnijący kawałek mięsa lub owocu, tak że tłoczącym się muchom nie udawało się stamtąd wydostać. Takie pułapki i dziś spotyka się na wsiach, ale u Rywy pozostawały zawsze puste, ponieważ muchy już znały jej dom i nie zbliżały się do niego.

Każdego dnia w porze obiadowej angielscy badacze spoglądali na nią z rozbawieniem, gdy żądała, by na progu jej domu zdejmowali buty. Potem jedli grzecznie barszcz i kurę z ziemniakami, dziękowali za dobry posiłek i wracali do pieczary. Pines codziennie im towarzyszył.

– Czasami jadałem z nimi, bo lubiłem słuchać ich rozmów, ale Liberson dał mi do zrozumienia, że towarzyszowi nie wypada rozkoszować się pieczonymi kurami, które za swoje pieniądze kupują bogaci angielscy burżuje, w czasie gdy inni towarzysze żywią się pieczoną dynią i odartymi ze skórki łydźkami sunarii.

Anglicy nie pojmowali, dlaczego Pines zaprzestał brania udziału w ich posiłkach, a on znowuż nie mógł pojąć, jak można wymachiwać łopatami bez śpiewu.

Po wykopaniu i przesianiu około trzydziestu metrów sześciennych ziemi dotarli do olbrzymiej łupkowej tafli, zakrywającej wejście do drugiej, głębszej pieczary. Gdy spróbowali ją odsunąć, rozległ się głuchy złowieszczy grom. Pines wyjaśnił im, iż należy sprowadzić specjalistę, który umie odczytywać żyły w skałach. Pojechał do Nazaretu i sprowadził stamtąd starego arabskiego kamieniarza. Ten zszedł w głąb pieczary, przyłożył ucho, tropił dłutem delikatne wyłobienia, postukał paznokciem i oznajmił, że skała jest łamliwa jak szkło i nie można jej rozłupać bez spowodowania całkowitego zawału, który pogrzebie pod sobą wszystkich kopiących. I tak pozostał w pieczarze niezbadany obszar.

Badacze spakowali manatki i znaleziska i wrócili do swojego kraju. Angielski komendant okręgu kazał w wejściu do pieczary założyć żelazne drzwi i zamknął je na klucz, który powierzył Pinesowi. Z miejsca zjawił się Ryłow i zwrócił do Pinesa z pogroźkami i żądaniem, żeby wykorzystał pieczarę jako

miejsce tajnych zaprzysiężeń i schowek na trupy i materiały wybuchowe, lecz Pines z całą stanowczością odmówił. W nagłym przyplywie zaciętej odwagi oświadczył Ryłowowi, że nie zawaha się zwrócić do komendanta okręgu, jeżeli zauważy jakieś podejrzane ślady.

Pieczara stała się dla niego miejscem schronienia.

– Każdy ma swoją dziurę – powiedział i zachichotał.

Przesiadywał u jej wejścia i wpatrywał się w Dolinę z nieznanego sobie dotychczas, tak pod względem miejsca, jak i czasu, punktu widzenia. Nie sypiał w niej, obawiał się bowiem gorączki pieczarowej, a najbardziej bał się, że siedzące tam kleszcze zarażą go chorobami, które już dawno wygasły – jakimiś neandertalskimi odmianami tyfusu czy czymś pierwotnym, a nieuleczalnym, istniejącym jeszcze przed pojawieniem się człowieka. Przebywał tam jednak tak długo, jak wymagały tego badania, notatki i rozmyślenia.

Tam, w trzewiach ziemi, odkrył ślepe węże, żywiące się grzybnią pleśni, blade trytony, których przeobrażenia rozwojowe ciągnęły się o wiele dłużej niż u ich żyjących w słońcu braci, i afrykańskie mokrzyce-osiołki, pokrewne nieznanym w Kraju rakom. Nazywał je „żywymi skamielinami”, a w duchu zaświtała mu olśniewająca idea. Niedaleko od pieczary rośla *Acacia albida*, Jedyne szczątki afrykańskiej flory, która panowała tutaj przed milionami lat”, i Pines wynioskował, iż owe osiołki są również szczątkami tej samej ery. Gdy pochylił się tam i ujrzał owe wieczne raczki pełzające po dnie, pieczara stała się dla niego przeraźliwym wylotem tunelu czasu. Rozrzewnił się na widok „maluczkich tej ziemi, mędrszych od wszystkich mędrców”, którzy bez idei, bez tradycji i bez instytucji stworzyli takie uparte i trwałe społeczeństwo. Akacjowy lasek i pieczara były dla niego banieczką odszczepioną od pierwszych dni stworzenia świata. Czasami chwycił się na tym, że przed wejściem w głąb pieczary nabierał głęboko w płuca powietrza, jakby miał się pogrążyć w gęstych i obcych bursztynowych otchłaniach.

Przez te wszystkie lata prowadził do pieczary swych

uczniów. Szliśmy ze dwie godziny przez pola, wspinaliśmy się na strome zbocze wzgórza i dawaliśmy nura w skalną szczelinę. Pines wyciągał klucz, otwierał skrzypiące drzwi i na zewnątrz wypełzały zimne, ciężkie opary, dotykały naszych twarzy i łydek, jak gdyby badając, kim jesteśmy. Na początku usadawiał nas w przedniej części pieczary. Była tu głęboka wyrwa, wypełniona wodą tak starodawną, że nie posiadała żadnego smaku, albowiem wszystkie substancje, które znajdowały się w niej niegdyś, od dawna już osiadły. Prześlizgiwały się w niej tu i tam małe ślepe stworzonka. Nie można było ich dojrzeć, bo ciemność nagromadzona w ich tkankach oślepiała również patrzących, ale można było poczuć, jak ich miękkie ciała dotykają dłoni.

Pines pokazywał nam, jak się łupie krzemienie, by otrzymać ostrza noży, próbował rozpalać ogień, uderzając kamieniem o kamień, a potem dodawał nam odwagi, gdy wdrapywaliśmy się na skalny próg u wejścia do pieczary, skąd roztaczał się widok na wieś i Dolinę.

– Tu siedział człowiek pierwotny – powiedział. – I patrzył na naszą Dolinę. Rosły tu wielkie drzewa, sumak, dąb, jesion i pistacja, a między nimi przechadzały się cętkowana pantera, ryczący lew i zgłodniały niedźwiedź<sup>[66]</sup>.

Wstał ze swojego miejsca.

– A ziemia cała była obfita w wodę – oświadczył. – Czysta rzeczka płynęła w swoim korycie. Z Doliny unosił się biały opar i pokrywał trzcinę i ziemię. W dole, w wysokiej trawie, pały się wielkie zwierzęta. Dziki i daniele, hipopotamy i wodne bawoły. Człowiek pierwotny schodził w Dolinę i zabijał je, a kości rozłupywał tutaj, na płaskiej powierzchni skały, kamiennymi młotami i nożami.

Uszy Pinesa słyszały ryk zabijanego bawołu, trzask brzucha myśliwego, rozpruhanego kłami dzika. Jego oczy złuszczały powierzchnię ziemi i nurkowały w grząskich topielach przeszłości. Opowiadał nam o pokrywających powierzchnię ziemi wilgotnych lasach, o rybach świętego Piotra, skalnych królikach i pradawnych strusiach, co wyemigrowały z Afryki do Doliny na

długo przed chalucami ludzkiego rodu. Zakładał, że ostronosek, ten małeńki morderca, przybył z zamarłej północy, agama i zając z zamorskich krajów, a łasica i wróbel z dalekich azjatyckich obszarów.

Ptasie skrzydła, ludzkie nogi, zwierzęce pazury i kopyta wznosiły wokół niego kłęby kurzu. Kananejczycy, Turkmeni, pliszki, Żydzi, Rzymianie, dzikie kozice. Arabowie, bagienne koty, niemieckie dzieci, damasceńskie krowy i angielscy żołnierze walczyli ze sobą o prawo wyciśnięcia swojego śladu w niepamięci rozsypujących się grud.

Nie był historykiem, był skromnym badaczem i wychowawcą. Nazywał siebie „nauczycielem ludowym”, nauczycielem od przyrody i Biblii, przedmiotów mówiących o zmianie pór roku, wymieraniu gatunków i powtarzających się cyklach umierania i zmartwychwstania utopijnych wizji i starożytnych bogów.

– Jestem zamrożonym w śniegu mamutem – powiedział mi, a z jego śmiejących się ust padały wokół bryzgi jadła. – Kto pozwoli mi odtajać, przekona się, że nadaję się do jedzenia. – W ciągu swojego życia, „ewolucyjnego mgnienia oka”, zdążył zobaczyć, jak z nieba Doliny poznikały wielkie sępy, natknąć się na bydłeta obdarzone darem słowa i usłyszeć trele kosów, które opuściły swoje gniazdowiska we wzgórzach Galilei i przybyły do wsi.

Jego mózg był wtedy cały, okrągły i dobrze obwarowany, choroba jeszcze nie wydrążyła w nim torów niewiary, ale i wtedy, w młodości, czuł beznadziejność wszystkiego. Potężna morska droga, którą przecinały Dolinę tłumy zdobywców i kupców, była zaledwie nędznym zadrażnieniem na ziemskiej skorupie. Miasto ze swoimi warowniami i rydwanami, z głęboko zarytymi spichlerzami i potężnymi murami, zmieniło się w kurhan ruin u podnóża błękitnej góry. Rzeka, starodawna rzeka, w której utonęło dziewięćset rydwanów, stała się zdradliwym kanałem pomyj. Dowódcy i ołtarze rozplynęli się w głębinach, rozpadły się pałace i kości. Tak samo jak i akwedukty, górskie terasy i winnica



kibucu. Minęły tylko dwa pokolenia, od kiedy Liberson porwał Fanię spomiędzy krzewów winorośli, a już wykarczowano winnicę, zapomniano tę historię, pokryto wszystko betonem i fabryką plastiku.

Teraz zazdrościł pierwotnemu człowiekowi tego, że nie słyszał głosów mówiących mu „wyjdź z ziemi twojej”<sup>[67]</sup>. Człowiekowi przybyłemu do niewinnej ziemi, na której nikt jeszcze nie zostawił sińców posiadania i śladów małostkowej wierności i miłości. Wędrował, gnany głodem i pragnieniem, naiwnie dążąc do wilgotnego ciepełka, któremu na imię życie. To samo dążenie jest zawarte do dzisiaj w każdej żywej komórce.

Zazdrościł również Meszulamowi, który całkowicie ignorował rozpiętość skrzydeł czasu i badał jego lot jedynie od chwili, w której na ziemi Doliny pojawili się Ojcowie Założyciele. Meszulam nie rozumiał procesów wędnięcia i gnicia, przymykał oczy, by nie widzieć białych kredowych kości, skamieniałych strusich jaj i odłamków olbrzymich muszli. Wszystko, co poprzedzało wieś, było dla niego długim szeregiem ujemnych liczb.

– Meszulam jest przekonany, że Ojcowie Założyciele przepędzili stąd człowieka pierwotnego i bagienne rośliny, wytruli mastodonty i jaskiniowe niedźwiedzie, wycięli perz i obnażyli ziemię czekającą na nich jak wstydliva oblubienica – powiedział Pines.

– I czeka, i czeka. Na kogo? Na kogo? Na kogo? – nucił sobie cieniutkim, drwiącym głosem stary nauczyciel. W końcu swojego życia poznał wszystkie odcienie szyderstwa. Teraz zrozumiał, że ta gleba otrząsa z siebie nędzny całun ludzkich wyobrażeń.

– Nie jest ona niczym innym jak tylko lichym zlepkiem wymysłów – powiedział. – Skorupą, pod którą kryją się jedynie dowody egoizmu, a cała kula ziemską jest tylko ziarenkiem, latającym na obrzeżach marginesowej mgławicy.

– Gleba nas oszukała – oświadczył z cynicznym uśmiechem.  
– Ona nie była dziewicza.



Teraz staremu, ciężkiemu i niedowidzącemu Pinesowi udało się dotrzeć wzrokiem do takich głębi ziemi i przestrzeni, że doznał zawrotu głowy i upadł na podłogę w swoim pokoju, między resztki niedojedzonych kotletów, zasuszonych gąsienic i czerstwych skórek od chleba. W tym stanie znalazł go Meszulam, który przyszedł do niego wstrząśnięty wynikami nowych badań naukowych dotyczących tym razem bezpośrednio naszej wsi.

Podniósł Pinesa, obudził go i zaniósł do łóżka, a potem gniewnie i z rozmachem podsunął mu pod nos jedno z czasopism, które otrzymywał. Była to broszura o tytule *Przyczynki do historii Ziemi Izraela i osadnictwa na niej*. Na okładce była narysowana wielka czerwonawa i dziwna ryba owinięta dookoła grobowca patriarchów w ten sposób, że nos jej dotykał łusek ogona.

– A teraz oni twierdzą, że nie było tu bagien. Dogadali się.

Swoimi szarymi włosami i krzywymi palcami przypominał Meszulam rozgniewanego krogulca. Przewracał kartki, aż znalazł artykuł pod nagłówkiem *Bagna Doliny – legenda i rzeczywistość* i począł czytać go, przesuwając drżący palec między rzędami liter.

– O! Dla celów politycznych i wychowawczych przyswoili sobie symbole bagna, malarii i śmierci w Dolinie Jezreel i uczynili z nich mit. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent jej ziem nie było zabagnionych.

Pines, którego entuzjastyczni dziennikarze nazywali już w owym czasie „jednym z ostatnich chalucowych weteranów Doliny”, znalazł w słowach Meszulama dźwignię zdolną go wydobyć z trwożnego omdlenia wywołanego własną herezją, kotwicę, której można się uchwycić, by wydostać się spomiędzy metamorfoz zachodzących w tunelach czasu oraz zdradliwych poślizgów przestrzeni i powrócić do dawnych, pewnych wierzeń.

– Czytaj dalej – powiedział.

„Okazuje się, iż w początkach osadnictwa bagna zajmowały w Dolinie obszar niewielki”, czytał Meszulam,

„w przeciwieństwie do obrazu zarysowującego się na podstawie źródeł, które stworzyły ów mit o bagnach Doliny. Zasięg bagien był niewielki, lecz ich metaforyczne oddziaływanie – bardzo duże”.

Meszulam łyknął herbaty i powiedział, że „oni, te bałwany zwące siebie historykami”, posłużyli się „na potrzeby swojej sieci kłamstw” wypisami z pamiętników jego ojca i Libersona i zrobili to nieuczciwie, ponieważ cytowali to, „co im było wygodne, wyjęte z kontekstu wypowiedzi, i z wieloma opuszczeniami”.

– Oni nie wiedzą, na kogo trafili – odgrażał się Meszulam w przestrzeń pokoju. – Mam wszystkie dokumenty i wszystkie dowody. Nie na próżno zbierałem te papiery, które tak was przez całe lata śmieszyły.

– O – powiedział i wskazał na broszurkę. – Oni piszą o moim ojcu, ci oszuści.

I znów zaczął czytać: „Przed założeniem wsi grupa zwiadowców wyruszyła na wstępny objazd. Jeden z nich, Cyrkin, znany pod przydomkiem «Gitarą», pisze w swoich wspomnieniach: «Wszyscy zeszli do pierwszego bagna. Rosła tam grupa wierzb o świeżej zieleni. Znaczący wyjaśnili nam, że bagno to nie ma żadnego znaczenia, ponieważ po przeprowadzeniu kilku zwykłych, prostych rowów nie pozostanie z niego ani śladu»”.

– Gitarą – wycedził z obrzydzeniem Meszulam i spojrzał na Pinesa, by sprawdzić, czy i on jest tak samo wstrząśnięty.

– Mów dalej, mów dalej, Meszulam – powiedział Pines.

– Teraz przeczytam ci, co tato napisał, a czego ci mający się za badaczy nie zacytowali – oświadczył Meszulam i otworzył księgę wspomnień swojego ojca, zielony, znany nam wszystkim tom, zatytułowany *Na ścieżkach ojczystej ziemi*, który on sam kilka lat temu zredagował, oddał do druku i porozdzielał między wszystkie rodziny wsi.

„Mętna woda, zbierająca się w wądołach i jamach i pokrywająca wszystko zielonym kobiercem, a w niej aż roi się od rozmaitych szkodników”. Przewrócił kilka kartek i znalazł znany urywek pióra swojego ojca, który ukazał się w swoim

czasie w samym „Młodym Robotniku” i w czytankach dla dzieci: „Patrzyliśmy przez cały czas na zielone bajora z ich śmierdzącą wodą i wcale nie byliśmy zadowoleni. Trzcina wyższa od człowieka, gęsta i zielona, i bagno, również zielone, głębokie i pełne obietnic, masa bagien dużych i małych, rojących się od komarów”.

Tego samego wieczoru, kiedy wróciłem od moich grobów i pomagałem Abrahamowi w dojarni, pojawił się Meszulam także i u niego. Poprzez szum elektrycznych maszyn i miarowe stukanie sprężonego powietrza opowiedział donośnym głosem mnie, Abrahamowi i sceptycznym krowom, jak Ojcowie Założyciele stali pogrążeni po pas w cuchnącej wodzie, kładli gliniane rury systemem melioracyjnym profesora Brojera, śpiewali znaną pieśń chaluców *Jestem żaby wiernym druhem*, odprowadzając do rowów „przekłętą wodę”, i gorączkowali w febrze, „że aż całe ciało im się trzęsło”.

– Sitowie ścinałiśmy sierpami aż do zeszywnienia barków i bólu w ramionach. I to wszystko wbrew poważnym przestrogom doktora Joffe i mimo gnębiącej ludzi malarii – deklamował wyjątki ze wspomnień ojca. – „I żeby pod żadnym pozorem nie budować tu osiedla” – zacytował doktora Joffe. Dużą część swoich dokumentów znał na pamięć.

Byliśmy zajęci otwieraniem i zamykaniem zaworów i kiedy Abraham wyłączał już kompresory Alfa-Laval, Meszulam poszybował w rejony spraw zasadniczych i zaczął rozprawiać o „toczącej społeczeństwo zarazie lekceważenia” oraz o kierującej nędznymi badaczami „żądzy sławy i chęci wywoływania sensacji”, która wkrótce udzieli się wszystkim i nie ominie nawet naszej wsi.

W owym czasie Abraham przestał już dowozić bańki do mleczarni. Jego krowy dawały tak przesadnie wielkie ilości mleka, że wybudował w podwórzu chłodzone cysterny i specjalna ciężarówka przyjeżdżała codziennie i wypompowywała ich zawartość. W tej chwili mierzył właśnie temperaturę chłodzenia i mruknął, że może należy wysłać list do gazety, lecz Meszulam

splunął ze złością na gazety, ponieważ „biorą one udział w spisku”, i powiedział, że „trzeba wszcząć poważne kroki, takie, żeby zawrzało w całym kraju”.

– To okropne – powiedział Pines, któremu udało się na jakiś czas wydostać spod szczątków człowieka pierwotnego, zapomnieć o rozpadnięciu się morskiej drogi i poczuć się wygodnie i przyjemnie we wszechświecie skurczonym do kojących rozmiarów miejscowego skandalu.

– Dziś nazywają Cyrkina „Gitarą”, a jutro powiedzą, żeśmy w ogóle nie przybyli do Kraju. Wszakże doktor Joffe przyjechał tu we własnej osobie i stwierdził, że nasze miejsce nie jest lepsze od bagien Chedery.

Pines napisał duży artykuł i posłał go do gazety, lecz artykuł ten nie został opublikowany i nawet nie zwrócono go autorowi. Pines poczuł się urażony do głębi duszy. Wspominał teksty swoje i innych nauczycieli, które zawsze publikowano w gazetach Ruchu. Kiedy założono wieś, Pines napisał „mały wierszyk”, który wydrukowano w „Młodym Robotniku”, w ramce z narysowanymi kwiatkami. Cyrkin ułożył do niego melodię i wszystkie dzieci Doliny umiały cienkim i pewnym głosem śpiewać refren:

    Nie mówcie: Pod nami ugięły się nogi,  
    Rozwiała się Wizja, zgubiliśmy drogę.  
    Jesteśmy chaluce w swoim własnym kraju,  
    Cedry, nie porosty, uczą nas zwyczajów.

Zwrócił się do zarządu wsi, by przydzielono fundusze na wydrukowanie jego artykułu jako płatnego ogłoszenia. Artykuł wprawdzie został wydrukowany, ale literka „o” na jego końcu paliła Pinesowe serce jak obraźliwe piętno.

Pod nagłówkiem *Kraj pożerający swoich mieszkańców* wyzywał Pines naukowców od pyskaczy i wspominał minione czasy.

„Zwiedzając okolicę, natknęliśmy się na groby Niemców, którzy usiłowali osiedlić się tu przed nami i powymierali na malarię. Potem spotkaliśmy starego Araba orzącego w parę

wołów.

– Czujesz dreszcze, masz *schune*<sup>[68]</sup>? – zapytałem go.

– Nie – odpowiedział. – Wy, jeżeli przyjdziecie tutaj, będziecie borykali się z trudnościami przez cztery lata, będziecie mieli w swojej krwi coś, co będzie z wami walczyło, a potem, jak cztery lata odchorujecie i pozostaniecie przy życiu, będziecie już żyć dalej.

– Dużo dzieci u was umiera? – zapytałem.

– Tak – powiedział. – Starzy żyją, a dzieci zabiera Allah.

W rok później zmarła na malarię moja żona Lea. Ona i dwa embriony w jej trzewiach. Bliźniaczki, które niczym nie zgrzeszyły i nie ujrzały dziennego światła. Dzisiaj wspominam mój grzech: pragnąłem pozbawić się życia, lecz towarzysze wyjęli mi z ręki karabin. Moja żona i córki padły ofiarą bagien, których w Dolinie Jezreel nie było”.

We wsi ożył na nowo stary spór o karabin.

– Czego on znowu bredzi o tym karabinie? On zapomniał wziąć ze sobą karabinu – powiedział Meszulam, który uważał, iż artykuł Pinesa jest kierowaniem walki na boczne tory.

– Ryłow wyciągnął kule – powiedział Lewin.

– Ciebie jeszcze tu w ogóle nie było – powiedziano

Lewinowi.

– Ryłow zadawał się z Leą Pines – powiedziała Rywa Margolis.

– Ta kurwa nie zmarła na malarię, ona zmarła na jaskiniową febrę – powiedziała Tonia Ryłow.

– Kto powinien wiedzieć, ten wie, a kto nie powinien, to nie wie. – Ryłow wysunął głowę z jamy na gnojówkę, by zaczerpnąć powietrza, i zaraz potem dał znów nurka, i znikł wszystkim z oczu.

Opublikowanie ogłoszenia Pinesa wzruszyło mnie. Po raz pierwszy zobaczyłem słowa opowiadań wystawione na widok publiczny. I znów wpatrywałem się w górę i szukałem oczami postaci Szyfrisa, zieleni oka Efraima i blasku rogów Jeana Valjeana. Uri drwił ze mnie za każdym razem, kiedy wspominałem tę trójkę, wypytywał w swoich złośliwych listach, czy Efraim włada sobie na plecach również i Szyfrisa, czy może Szyfris włada Efraima razem z Jeanem Valjeanem.

Artykuł Pinesa wzbudził niejakie zainteresowanie we wsi i w pobliskich osiedlach, ale nie wywołał spodziewanej burzy.

– A nie mówiłem? Trzeba powziąć kroki, które wstrząsną Krajem – wybuchnął gorzki jak piołun Meszulam.

Powrócił do Baraku Pierwszych. Siadł między starodawnymi wałkami do ciasta, tarkami do prania, zakopconymi lampami, glinianymi dzieżkami, maselnicami, rzeszotami, sitami, młyńskimi kamieniami, naftowymi wylęgarniami i rozpoczął pracę badawczą.

Postanowił odtworzyć bagno i proces jego osuszania i liczył na to, że ludzie z całego Kraju przybędą, by zobaczyć widowisko. Z wielkim trudem wykopał na swoim podwórzu szeroki, płytki dół i napełnił go wodą. Wszystkim, którzy go pytali, oświadczał: „Tu powstanie bagno!”. A ponieważ ziemia u nas jest czarna i ciężka i nie przepuszcza dobrze wody, stała ona w jego podwórku przez kilka dni. Poszedłem ją zobaczyć. Nadleciały tam komary i ważki i zniosły swe jajeczka, jednokomórkowe glony zabarwiły ją lśniąco legendarną zielenią. Powstało rzeczywiście małe bagienko. Meszulam, głośno śpiewając, pospiesznie wykopał rowy odwadniające, a także powtykał eukaliptusowe gałęzie. Sąsiedzi nie mogli ścierpieć dokuczliwych komarów i godowego kumkania ciągnących w to miejsce ropuszych samców, więc wdarli się na jego podwórze, poczęstowali go kilkoma kuksańcami i osuszyli bagno za pomocą zwykłej asenizacyjnej pompy, podłączonej do przekładni traktora. Sprawa została poruszona na ogólnym



zebraniu, Meszulam zapowiedział, że to tylko początek, a w przyszłości jego denerwujące kałuże będą się pojawiać w najbardziej niespodzianych miejscach: u wjazdu do wsi, na trawniku Domu Ludowego, przy pomniku ku czci poległych, a na koniec w przedszkolu.

Śledziłem go w nocy i ujrzałem, jak ciągnął pożarową kicę od kranu aż na podwórze przedszkola. O wpół do ósmej rano nadeszły maluchy i odkryły, że strażacka sikawka wysokiego ciśnienia rozsypała po całym podwórku piasek, a piaskownica zbudowana przed wieloma laty przez „bandę” jest zalana wodą. Pośrodku stał Meszulam z podwiniętymi nogawkami od spodni, bez koszuli, i czekał na malarię wybawicielkę. Włosy na piersiach poszarzały mu z gniewu, na czole czerwieniała cygańska szmata jego ojca, a wokół kolan pływały barwne plastikowe zabawki. Kiedy żółtowłosi malcy przyszli do przedszkola, ćwierkając jak kurczęta, ogarnęła mnie trwoga. Wiedziałem, że to głupie, a jednak się bałem.

Nic się nie stało. Dzieci przestraszyły się wprawdzie, kilkoro dostało napadu hysterii, a jedno z nich, syn Jakobiego, jękało się potem przez kilka miesięcy, lecz w gruncie rzeczy nic się nie stało. Nawet sam Meszulam, stojący pośrodku bagna, nie został pokłuty przez komary, nagły i szyderczy wiatr natomiast zdmuchnął mu na plecy włoski gąsienic sówki sosnówki z pobliskiego sosnowego lasu i przyprawił go o swędzenie, które mu dokuczało przez dłuższy czas.

W tym samym tygodniu pojechaliśmy z wizytą do Uriego. Interesował się zdrowiem Zajcera, którego nazywał „przywiązanym sektorem wytwórczym”, i pytał o Pinesa, którego artykuł w postaci ogłoszenia widział w gazecie. Opowiedziałem mu o nowym szaleństwie Meszulama.

– Narcyz, Król Bagna – powiedział Uri i obydwaj śmieliśmy się przez dłuższy czas. Rywka powiedziała, że nie widzi żadnej różnicy między bagnami Meszulama a moim cmentarzem. Tymczasem Uri spoważniał nagle i powiedział matce, że teraz, z daleka, wyraźniej dostrzega we wsi procesy rozkładu, choć

przyznaje, że jest w tym i jego wkład i że całą wieś czekają jeszcze niespodzianki.

Wróciliśmy do domu i chcieliśmy zrobić sobie małą sjęstę. W podwórzu leżał straszliwy południowy upał. Krowy drzemały w zagrodzie. W dojnarni szumiały cicho silniki lodówek. Z daleka widać było Zajcera leżącego z przykrytą głową pod swoim figowcem.

Z początku nikt na to nie zwrócił uwagi, albowiem Zajcer zwykł w upalne dni zakrywać głowę dużą zieloną szmatą. Wstaliśmy ze snu, słońce już zachodziło, a jego promienie załamywały się w skrzydłach dużych, zielonych much. Nagle Abraham zakrzyknął wielkim głosem i pobiegł do starego muła, którego głowę pokryły trupie muchy znanym nam błyszczącym całunem tych, co umierają w polu.

Zajcer dyszał jeszcze, zebra chodziły mu powoli w dół i w górę, a na ziemi w pobliżu jego szyi leżała dziwna, lepka kula. Minęło kilka chwil, zanim nasz umysł przetrawił całą grozę tego, co ujrzały oczy, i zrozumieliśmy, iż była to gałka oczna muła, wybita uderzeniem kamienia.

Kałuża krwi, porozrzućane kamienie, znajome ślady gumiaków i poorana kopytami ziemia pozwoliły nam odgadnąć, co się tu wydarzyło. Szlomo Lewin wykorzystał naszą nieobecność, podkraść się na podwórze w płonące upałem godziny południa, kiedy wszyscy chronią się po domach, stanął w pewnej odległości od przywiązane Zajcera i walił w niego kamieniami, aż wybił mu oko.

Abraham przywołał weterynarza, dobrego człowieka, który nigdy nie zdołał pojąć charakteru stosunków panujących między rolnikami a ich bydłem. Przysiedli we dwójkę nad Zajcerem i badali jego straszliwą ranę.

– To jest ciężkie zranienie, a muł jest bardzo stary; trzeba mu dać kulkę.

– Kulkę? – zdziwił się Abraham.

– Między oczy – powiedział lekarz i wstał z klęczek.

Abraham przegnał go z podwórza. Z apteczki w oborze

przyniósł wielką bydlęcą strzykawkę i sulfę, wyczyścił oczodół muła, wydezynfekował i obandażował, a potem zrobił zastrzyk z półtora litra biokomu. Łzy spływały mu po policzkach, lecz ręce miał pewne i spokojne. Siedział przy Zajcerze trzy noce, a gdy zwykłe lekarstwa zawiodły, napoił go z butelki do karmienia cieląt chudym osłodzonym mlekiem i jęczmienną kaszką namoczoną w wyciągu z ryżowych łusek i maku, tak jak to robił z jednodniowymi cielętami chorującymi na śmiertelną biegunkę.

Lecz staruszek rzeził i konał, i nie miał już siły otworzyć swojego jedyne go oka. Życie uratowała mu dziadkowa czarna maść do drzew, którą przechowywałem w blaszanym pudełku w baraku. Abraham zaryzykował i wpakował pełną garść w jątrzącą się jamę w głowie Zajcera. W kilka godzin potem krzepki starowina powrócił do życia, a mój wuj wstał i poszedł do domu spać.

Przyglądałem mu się ukryty za pniem drzewa oliwnego. Szedł powoli, z opuszczoną głową. Powietrze, drgając, opływało jego pochylone czoło, a światło latarki skraplało się cieniami u jego stóp.

Kochałem Abrahama. Chociaż wiele nie mówił i nigdy mnie nie pogłaskał, mogłem sobie wyobrazić cierpienia jego serca. Do tęsknoty, jaką odziedziczył po dziadku i babci, dołączył swoje niespełnione pragnienia. Widzę go jeszcze teraz pochylonego nad wielkim cielskiem Zajcera, czasem zgarbionego nad rzekami mleka płynącymi obficie z jego krów albo jak idzie przez podwórze w niebieskim roboczym ubraniu i żółtych gumiakach, a jego straszne czoło przepycha się przez powietrze, zostawiając w nim długie bruzdy.

Lewina nie widać już było w pobliżu naszego domu.

– Efraim by go za to zastrzelił – powiedział Josi, który przyjechał na swój pierwszy urlop z wojska i planował okrutne akcje odwetowe, między innymi kocówę, strzał kulą dum-dum w rzepkę kolanową i użycie skaczących min. Abraham przekonywał nas wszystkich, żebyśmy nie załatwiali żadnych porachunków i nie opowiadali we wsi o wyczynie jego wuja.

Wieść się jednak rozniosła. Plotkę rozprzestrzenił krążący po wsiach stary religijny fryzjer i przyjaciele Zajcera z całej Doliny przychodzili go odwiedzać.

Byli to ludzie starzy, ostatni z Ojców. Kaszkietami, szarymi koszulami, palcami pokrzywionymi reumatyzmem i pracą przypominali dziadka. Już od lat nie schodzili się razem. Każdy budował sobie, w swoim kącie, skorupę, aby się w niej skryć. Byli wśród nich przyjaciele, którzy nie widzieli się od czasu ślubu moich rodziców. Teraz przechadzali się po naszym podwórzu, a potem poszli wszyscy pod figowiec. Pod nogami mieli zaoraną ziemię, a nad głowami wysokie niebo słów. Byli ludźmi twardymi – tak zwykło się mawiać u nas we wsi: pokolenie olbrzymów, starcy plemienia. Przypomniało mi się, jak dziadek, jeszcze żywy i ironiczny, powiedział Pinesowi, że podejrzliwość i spory doprowadzą ich rozłamowe tendencje do najczystszej formy rozdzielenia jaźni. Po odwiedzinach u Zajcera poszli jednolitym szarym tłumem na mój cmentarz. Wędrowali między grobami towarzyszy, obwąchiwali kwitnące drzewa i rozmawiali ze sobą cicho i bez żalu.

Stałem obok i nie śmiałem się do nich zbliżyć. Tak jak w swoim czasie dziadek, wielu spośród nich skurczyło się już i zmałało: pierwszy znak zbliżającej się śmierci. Lata przesadnej miłości, paraliżujących nienawiści, rozczarowań i rachunków sumienia spalały komórki w ich ciałach i wysysały szpik.

– My jesteśmy mocnymi cytrusowymi dziczkami, na których wyrosło hebrajskie osadnictwo – powiedział mi Eliezer Liberson na kilka dni przed śmiercią i od razu dodał, żeby go nie posądzono o przechwałki, że owoc takiej dziczki „jest okropnie gorzki i suchy”.

– Teraz wszystko będzie w porządku, zobaczysz, Baruch – szepnął Buskila i trochę wystraszony schował się za moimi plecami.

Kilku z nich znał, byli to ci, którzy ośmielili się kupić jeszcze za życia działkę na grób.

Teraz chalurowie oglądali ziemię swojego cmentarza w ten

sam sposób, w jaki badali grunty Doliny, kiedy je wiele lat temu brali w posiadanie. Pod dotknięciem ich stóp spod powierzchni zaczęły sączyć się wibracje mojego dziadka i staruszkowie nie musieli nawet przykładać ucha do ziemi. Ich szerokie stopy zbierały jego głos w kobiałkę ciała. Nie śmiałem pójść za nimi, obserwowałem ich tylko zza płotu, ale wiedziałem, że rację ma Buskila, twierdząc, że mój spór ze starcami Doliny ma się ku końcowi.

Kiedy wrócili, każdy do siebie, okazało się, że rozkładające się ciało dziadka oraz worki z pieniędzmi Rozy Munkin i innych zdrajców-kapitalistów nie poprzestały na zatruciu sadu i odwróceniu ustalonego porządku rzeczy. W kilka tygodni po wizycie staruszkowie, jakby się zmówili, podnieśli lament na całą Dolinę. Pines, wdrożony do długich obserwacji i skrupulatnych zapisów zjawisk, jako pierwszy, który zrozumiał, co się dzieje. Potem, gdy otrząsnął się ze strachu, który wzbudzał w nim własny płacz, zaczął słyszeć łkania i pokasywania innych i pojął, że nie są to zduszone, pogrzebowe pieśni schwytych w pułapki kretów ani jęk opryskiwanych owoców.

– W Ramie słysząc narzekanie i gorzki płacz<sup>[69]</sup> – powiedział.

Ich cichy, sączący się, przejmujący głos, przerywany głębokim, gardłowym chrząkaniem, pociąganiem nosem i bolesnym przełykaniem, wprawiał w drżenie nocne powietrze. Nawet mocno zaciśnięte szczęki nie mogły już powstrzymać skomleń. Głos ciekł miękko z pomarszczonych sępich gardzieli Ojców Założycieli, pokonując lekko przeszkody łysych dziąseł i poszarpanych warg.

– Oni spulchniają glebę – powiedział Pines i nagle zaczął mi opowiadać o niezwykłych zdolnościach niektórych owadów do rycia w ziemi.

Potem zaczęły po wsiach krążyć słuchy, popychane, jak koła, wiatrami wiejącymi od strony góry. Stary, religijny fryzjer, odwiedzający wieś co miesiąc na swoim antycznym motocyklu, powiadomił nas, że sędziwy hodowca drobiu z Nir-Yaakow, Jehoszua Krygier, ten sam, który wynalazł „wylęgarnie bez nafty”

i ułożył regulamin pierwszego kolektywu robotniczego w Gederze, oświadczył, że zapuścił korzenie. Nikomu by to nie przeszkadzało, gdyby stary Krygier nie wybrał sobie na ten moment tłumnej uroczystości z okazji dziewięćdziesięciolecia swoich urodzin, i to akurat przy zaworze do polewania, gdzie przeszkadzał przenoszącym rury oraz traktorom, które w tym miejscu właśnie kończyły orać prostokąt pola. Kiedy usiłowano go stamtąd usunąć, podniósł wrzask, że uszkadza mu się jego delikatne naczynia włosowate i sprawia piekielny ból.

W końcu wykopano dookoła niego rów, opowiadał fryzjer, wykarczowano go z przylegającą mu do nóg ogromną grudą ziemi i posadzono na nowo między cyprysami u wyjazdu z kibucu, gdzie pozdrawiał wszystkich wjeżdżających i wyjeżdżających, zaczepiał zmieszane wolontariuszki i zawracał przechodniom głowę swoimi niesprawdzającymi się przepowiedniami pogody.

Icchak Cfoni, ten, który przeorał pierwszą bruzdę we wschodniej części Doliny, naciskając jedną ręką na pług, a drugą ostrzeliwując się na wszystkie strony, począł łązić po wsi, dźwigając kosze czerwonych jaj o miękkiej, elastycznej skorupce i twierdząc, że sam je zniósł. Próbował zmusić swoje dzieci i wnuki, żeby jadły smażone. Jadł je sam i spodziewał się, że pozostanie wiecznie młody.

– Jest w tym niejaka logika – powiedział Pines i przyjrzał się w lustrze fryzurze od strony karku. – Wszakże takie odżywianie się zmienia bieg czasu w ruch okrężny.

A Zeew Akerman z sąsiedniego kibucu zakończył budowę swojej maszyny produkującej żywność i mleko i zjawił się z nią, wraz ze swoim zakłopotanym synem, w Miejscu Spoczynku Chaluców.

Pamiętałem ich dobrze z czasów, kiedy odwiedzałem dziadka w domu starców.

Przez wiele lat Akerman pracował w kibucu jako hydraulik i był rozgoryczony z powodu stosunku, jaki mieli do niego pracownicy rolni. Przychodzili do jadalni, pachnąc ziemią i sianem, podczas gdy od niego załatywało olejem lnianym,

mydłem i ściekami. Spoglądał na tych „książąt zboża” z zazdrością.

Teraz w domu starców odgrywał się na „ludziach pola”, przychodzących i błagających go, by powiedział, któredy przechodzą rury od wody i ścieków pochowane przez niego pod ziemią dziesiątki lat temu. Nikt inny nie znał mapy sieci wodnej. Kibucowi ogrodnicy krajobrazu patrzyli z rozpaczą, jak rozkopuje się trzy trawniki, żeby znaleźć pękniętą rurę wodociągową czy zatkaną rurę kanalizacyjną, i głowili się nad rozszyfrowaniem sieci tajemnic złośliwego starucha strzegącego zazdrośnie swych sekretów.

– Przekopują Kraj – chichotał. – Pod ziemią jest wszystko.

Cały wolny czas i całą swoją wiedzę techniczną poświęcał jedynemu marzeniu. Nazywał je „konstruktywną zemstą”. Całymi dniami pracował nad maszyną złożoną z rur, zbiorników i małych, błyszczących pochłaniaczy światła słonecznego.

Gdy do domu starców przybył dziadek, stary Akerman bardzo się wzruszył.

– Moglibyśmy wprowadzić w życie wiele wspólnych projektów, gdyby nie ten wasz jurny apostoł, ten twój przyjaciel Liberson – powiedział do dziadka i dodał, że nie zapomniał również historii z krową.

Wypytywał o Cyrkina-Mandolinę i Stowarzyszenie Pracy imienia Fejgi, otarł łzę, gdy wspomniał babcię, którą nazywał „wzorową chalucą”, interesował się Zajcerem, z którym pracował w Jawniel, a potem schwycił dziadka za rękaw, posadził go na łóżku i zaczął mu rozwlekle opowiadać o maszynie, która zmieni od podstaw całe Dzieło i wywróci je do góry nogami.

– Dosyć już ciężkiej pracy z bydłętami w suszę i w mróz. Maszyna wytworzy pożywienie z ziemi, z wody i ze słońca. Tak jak roślina, co pije i oddycha, asymiluje i kwitnie, odkłada skrobię i owocuje, tak samo zachowa się maszyna.

Napełnił ziemią wielki zbiornik.

– Tutaj leję wodę zmieszaną z niezbędnymi minerałami, tam wałą w pochłaniacze promienie dobrego słoneczka Doliny, a tu są

wyłączniki.

– Popatrz, Baruch – powiedział, gdy z wnętrza maszyny rozległo się przytłumione dzwonięcie. – Maszyna dała swój plon, rzodkiew i bakłazan.

Pokręcił korbką i rzeczywiście, wypełził stamtąd ze skrzypem i szumem mętny strumień jakiejś papki. Staruszek nabrał tego na łyżeczkę i z rozjaśnioną twarzą podetknął mi pod nos.

– Skosztuj, skosztuj – namawiał mnie. – Prawdziwa rzodkiew, nie poczujesz żadnej różnicy.

– Dość, tato, dość tego – szepnął jego syn zawstydzony, a ja przypomniałem sobie dojrzewające w jego ogrodzie olbrzymie askidynie.

Gdy przyniosłem Akermanowi ciasto i askidynie, które mu przysłał syn, uśmiechnął się drwiąco i powiedział, że ciasto nie jest dobre na trawienie, a askidynie byłoby dobrze żuć, gdyby nie miały pestek.

Jego maszyna dostarczała mu dosyć owoców, więcej, niż potrzebował. Był rozgoryczony tym, że chociaż już napisał do wszystkich instytucji, nikt nie brał go na serio.

– Również i twoje mleko – dodał – również i twoje mleko, które przynosisz dziadkowi, niewątpliwie dobry uczynek, ale i je również wyprodukuję z maszyny, która będzie płynęła mlekiem i miodem. Nie są one, za przeproszeniem, niczym innym jak tylko wydzielinami i nikt na starość maszyny nie zarżnie ani jej nie wyrzuci do domu starców. Nie zarżnie i nie wyrzuci!

Byłem tak wstrząśnięty słowami Akermana, że opowiedziałem o nim Pinesowi.

– Nie przypuszczaliśmy, że kiedykolwiek się zestarzejemy – powiedział mi Pines, który, odkąd pobito Uriego, też bardzo się zestarzał i osłabł z rozpaczy.

– Myśmy wierzyli, że tak jak przyjechaliśmy tu razem, pracowaliśmy razem i razem budowaliśmy od podstaw, tak też wszyscy razem umrzemy.

– Rzeczywiście – powiedział Meszulam. – W żadnym z ich regulaminów nie ma wzmianki o starości. Wszystko tam



znajdziesz, pożywne jedzenie dla ciężarnej towarzyszk, przydział roboczych ubrań, kupno półbucików dla skarbnika. Jedynie o opiece nad starcami, którymi oni sami będą po latach, nic a nic.

– Walka z wiekiem jest walką bardzo prywatną – westchnął Pines. – Ta sprawa nie znajduje się w kompetencjach Ruchu. O nic nie proszę, tylko żebym w swojej ostatniej godzinie był w pełni władz umysłowych.

Dziś Akerman jest pochowany w szóstym rzędzie, w siedemnastym grobie na moim cmentarzu, a maszyna do produkcji żywności leży za oborą kibucu. Lśniąca, porzucona i nieruchoma. Kilku specjalistów z politechniki słyszało coś o niej, próbowało wprawić ją w ruch i zrezygnowało. Nikomu poza Akermanem nie udało się uzyskać z niej produkcji, tak samo jak z cytrusowej dziczki rosnącej przy naszym baraku, na której za czasów dziadka dojrzewały morele i cytryny, gruszki i pigwa, a która po jego śmierci przestała owocować. Jałowa i pełna wyrzutów, stoi teraz w podwórzu, a między jej gałęziami wiszą kudłate gniazda wróbli – beczelne skupiska słomy i skradzionych piór.

Zajcer, do którego ci wszyscy starcy przybyli w odwiedziny, znosił swe bóle w milczeniu i postanowił widocznie spędzić ostatek życia ostrożnie i wstrzeźliwie. Niekiedy zwalniałem go z uwięzi i prowadziłem na cmentarz. Stał tam w chłodnym cieniu drzew, a jeśli nawet zdeptał po swojej ślepej stronie kwiatek czy skubnął trochę z trawnika, nie robiłem mu wyrzutów. Wyglądało też na to, że minęło już szaleństwo Meszulama. „Cyrkin zapadł na chorobę, na którą miał umrzeć”<sup>[70]</sup> – jak się wyraził Pines. A Meszulam chciał umilić ostatnie dni swojemu ojcu i nawet podjął próby pracy w gospodarstwie. Ale i jego zemsta, jak zresztą każda zemsta, zdaniem Pinesa, dojrzewała wśród głębokich pomruków pod delikatnymi błonkami, gładką skórą i rozległym polem pszenicy.

Cyrkin-Mandolina przywołał mnie do siebie na kilka dni przed śmiercią. Mieszkał we własnym domu – sprzeciwił się stanowczo pójściu do domu starców.

– Nie potrzeba mi żadnych fizjoterapeutek, żeby mi wyłamywały palce, ani też adeptów medycyny, żeby mi wtykali rurki w kutasa.

Cyrkin chodził już z trudem, był nerwowy i gderliwy. Meszulam woził go z miejsca na miejsce w wyścielonej workami taczce.

– Ten próżniak ma dosyć czasu na opiekę nad swoim starym ojcem – burczał Cyrkin. – Znalazł sobie zajęcie.

Meszulam zaproponował mu, by kupił elektryczny wózek, taki, na jakich jeżdżą staruszkowie w kibucach.

– Ja nie będę jeździł w karocach odeskich gimnazjalistek – oświadczył Mandolina.

Po kościach rozlazła mu się słabość. Nie mógł już pracować. Opustoszały jego błogosławione pola, które dawały plony owoców, wybornej paszy, pszenicy i bawełny. Teraz na polach Cyrkina porozrastały się powoje, perz i osty i pokryły je groźnym pokrowcem zdziczenia. Całe rodziny myszy, uciekinierek z sąsiednich pól, skąd wypędziła je trutka Celio, znalazły schronienie na opuszczonej ziemi i robiły stamtąd wypadki na działki sąsiadów. Zarząd wsi zwracał się nieraz do Meszulama, żeby zaczął uprawiać swoje pola i wytępił myszy, ale Meszulam był do niczego niezdatny. Zwrócono się do Libersona, a ten przypomniał sobie, że w pierwszych dniach odwiedził nas ekscentryczny egipski agronom i powiadomił, że mysz nie cierpi bobu. Na polecenie Libersona działkę Meszulama obsiano dookoła bobem. Myszy, pod wpływem jakiegoś niepojętego zaklęcia, nie śmiały stamtąd wyjść. Płodziły się i rozmnażały, aż głód, zapory, ciasnota i różnice zdań sprawiły, że wyrosły im długie kły i zmieniły je w drapieżniki, które się wzajemnie powykańczały. Słyszeliśmy po nocach ochryple, mściwe ryki i śmiertelne jęki pożeranych, a Pines powiedział, że z ewolucyjnego punktu widzenia zapory z bobu zmieniły działkę Meszulama w ślepy zaułek ewolucji i że żadna mutacja już nie zdoła ocalić jej mieszkańców.

Dojnym krowom Cyrkina-Mandoliny pękały wymiona.

Zwierzęta krzyczały i przeklinały z bólu, kiedy staruszek siedział w oborze na swojej taczce i objaśniał synowi, jak należy doić. Meszulam nigdy w życiu nie trzymał w ręku cycka.

– Myśmy doili rękami – wrzeszczał stary. – Rękami, a ty nie potrafisz otworzyć kranu od maszyny do dojenia.

– Idioto! Ona ma zapalenie wymienia, nie widzisz? Dlaczego męczysz to nieszczęsne stworzenie?

Artretyczne bóle doprowadzały Cyrkina do szaleństwa. Jego palce zeszywniały i zakrzywiły się jak sępie szpony. Skóra na rękach stwardniała i popękała w sieć szczelin, które pogłębiały się z każdym dniem i dochodziły już do żywego mięsa, co sprawiało mu straszliwe cierpienia. Nie mógł doić, nie mógł przycinać ani grać. Rymarz, Tanchum Peker, opowiedział mu, że na Półwyspie Krymskim starzy chłopcy używali pszczelego jadu jako lekarstwa na bóle stawów. Z samego rana powiozłem go w jego taczce na grób Margolisa, Cyrkin zdjął koszulę, podniósł się z trudem z taczki, spuścił spodnie i stał tak, oparty o nagrobek, świecąc w słońcu i czekając na żałobne pszczoły Margolisa, żeby go przyleciały pokłuć. Tonia patrzyła na niego ze złością, lecz nic nie powiedziała. Wyjęła tylko palec z ust, wstała z miejsca i znikła między drzewami. Tam, zwisając jak grona owoców spośród gęstego listowia, pochowały się wiejskie dzieciaki, wnuki i prawnuki, które zbiegły się zewsząd, żeby zobaczyć tyłek jednego z Ojców Założycieli.

Niecierpliwy i zbolący Cyrkin krzyczał i wymachiwał na pszczoły rękami, ale nic nie pomagało. Pachniał przyjemnie pracą i muzyką i pszczoły nie widziały w nim rabusia, na którego należy napaść, a tylko olbrzymi kwiatostan. Dlatego lądowały mu na ramionach, pełzały po plecach i po tyłku i nie robiły mu nic złego. Po godzinie przywołał mnie, bym go zabrał do domu. Zmarszczki na ciele i rowek między pośladkami miał wypełnione osypanym z pszczół żółtym kwietnym pyłkiem. Buskila oczyścił go dużą, miękką szczotką, pomógł mu włożyć koszulę i podwiązać się w pasie sznurem i przyłączył się do nas.

Siedzieliśmy we trójkę na łóżku pod morwą. Latem Cyrkin

spał znowu na dworze, bo od upału wzmagał się w pokoju zapach przeklętych perfum Pesi, parował ze ścian, ulatniał się w powietrzu i doprowadzał do szaleństwa nos i zasady starego.

– Słuchaj, Baruch – powiedział mi. – To już długo nie potrwa, chcę, żebyś mi znalazł u siebie dobre miejsce obok dziadka.

– Nie powinieneś nawet o to prosić – powiedział Buskila.

– Pozwól mi, proszę, porozmawiać z dzieckiem Mirkina – powiedział lodowatym tonem Cyrkin i odczekał trochę. Cyrkin zawsze mówił dalej tylko wtedy, kiedy był pewien, że to, co powiedział, doszło do świadomości słuchacza. – Chcę, żebyś razem ze mną pochował mandolinę, tak jak to zrobiłeś Margolisowi z miodem, jak ci mali faraonowie ze swoimi zabawkami z kości słoniowej i ze skarabeuszami.

– W porządku – powiedziałem.

– To nie będzie takie proste, bo kiedy przestałem grać, Meszulam zabrał mandolinę do swojego muzeum.

Wydobycie z rąk Meszulama historycznego obiektu było zadaniem niemożliwym do wykonania, ale Cyrkin pomyślał o wszystkim.

– W naszej stodole na środkowej belce dachu, w kącie znajduje się małe pudełeczko. Idź i przynieś mi je. Nie obawiaj się, Meszulam cię nie przyłapie. On chodzi do stodoły tylko wtedy, kiedy musi.

Oczyściłem pudełko z gołębiego nawozu i pajęczyn i przyniosłem mu.

– Są tam w środku różne stare papiery i inne głupstwa – powiedział, uśmiechając się Cyrkin. – Spis zakupów Stowarzyszenia Pracy, począwszy od tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku, list Chenkina do mnie i list od Szyfrisa przyniesiony przed dziesięcioma laty przez pelikany z Anatolii. On posuwa się naprzód, ten wariat, on jest w drodze, lecz wiemy o tym jedynie ja i Liberson.

– Oddać to Meszulamowi?

Cyrkin spojrzał na mnie jak na skończonego idiotę.

– Pod żadnym pozorem! – wrzasnął. – Powiedz mu tylko, że dostanie te papiery w zamian za mandolinę. Znam dobrze tego durnia, on się na to zgodzi. To jest to, co on lubi – papiery. Weźmiesz mandolinę i pochowasz ze mną w tej samej trumnie, żeby mi na niej grały robaki.

W dwa tygodnie później, w ciemnościach nocy, bez żadnego znaku ani uprzedzenia, Zajcer zerwał postronek, którym był przywiązany do figowca, poszedł do domu Szloma Lewina, podniósł kopyto, zapukał delikatnie do drzwi, usunął się na stronę i czekał. Lewin wyszedł na dwór, a gdy zauważył olbrzymią sylwetkę muła, która wychynęła na niego z ciemności, zrozumiał, że jest już za późno. Zajcer przechylił głowę na bok, by lepiej widzieć wroga swoim jedynym okiem, obnażył żółte zęby, wbił je w biceps Lewina i gryzł z całą mocą pozostałej w starych szczękach nienawiści. Zaciskał je, aż podarły się słabiutkie mięśnie, roztrzaskała pod nimi krucha kość i rzadziutka krew bankierów w białych żakietach zabulgotała wśród odłamków kości i ochłapów mięsa. Lewin nie zdążył nawet krzyknąć. Zemdlał na miejscu, a Zajcer wyniósł się z cichym tupotem i wrócił do swojego żłobu i figowca.

Nad ranem Rachel zauważyła, że męża nie ma w łóżku. Wyszła szybko na podwórze i ujrzała, jak leżał, pozieleniały i jęczący wśród warzyw. Jej krzyki zbudziły całą wieś, a Josi odwiózł Lewina do szpitala. Na początku podejrzewali, że pojawiła się nowa hiena, ale Abraham przyszedł w południe do sekretariatu i opowiedział o wyczynie Zajcera. Zaalarmowano okręgowego weterynarza, a on przeprowadził dochodzenie i zarządził, żeby Zajcera zastrzelono, jak tego wymaga ustawa.

Zrobiło się zamieszanie. Abraham pobiegł do domu, płacząc i waląc grudami ziemi jak wariat, a gdy przybyli weterynarz z policjantem, już nie znaleźli Zajcera w podwórzu. Mój wuj zaprowadził go w gęstwinę przy źródle i ukrył. Tego ranka byłem zajęty wylewaniem betonu i ustawianiem nagrobków na dwóch świeżych mogiłach i dowiedziałem się o wszystkim dopiero po południu, gdy wróciłem do domu. Abraham nie chciał powiedzieć, gdzie ukrył muła, lecz nazajutrz, gdy poszedłem, by pobyć trochę w samotności przy źródle, znalazłem tam Zajcera roniącego ropne łązy z pustego oczodołu.

– Przyniosę ci jęczmienia – powiedziałem, ale Zajcer znajdował się już w innym świecie, przechadzał się po drogach wyjeżdżonych w starym pyłe, wachając kwiaty, których nikt nie pamiętał, a które dzisiaj można znaleźć jedynie w starym zielniku mojej matki. Wieczorem przyszedł do niego Abraham, by go strzec przed drapieżnymi zwierzętami i urzędnikami państwowymi, lecz o północy zmorzył go sen. Zajcer wykorzystał sposobność i umknął w pola.

Następnego dnia o świcie zwlekliśmy z głównej szosy wielkie, zmiażdżone cielsko. Zajcer wiedział, że o trzeciej po północy wyrusza do miasta wielka cysterna z mlekiem. Czekał na nią na skraju szosy.

– Wyskoczył prosto pod koła macka – opowiadał wstrząśnięty szofer Motik. – Z dwudziestoma ośmioma tonami mleka nie mogłem nic poradzić.

Zajcer, kruchy i spękany od ogromu lat i harówki, roztrzaskał się na olbrzymim zderzaku macka jak stara gliniana kukła. Ślady opon, resztki włosów, krwawy pył, ochłapy mięsa i strzępy starej skóry rozleciały się na przestrzeni dwustu pięćdziesięciu metrów. Abraham kręcił się po szosie tam i z powrotem i usiłował krzykiem odpędzić gromadzące się szakale.

Miesiąc potem, gdy wrócił ze szpitala Szlomo Lewin z kikutem ramienia w pustym rękawie, nie znalazł się nikt, kto by go pozdrowił, albowiem nieboszczyk Zajcer był jedną z „najznakomitszych postaci pokolenia Założycieli”, jak się wyraził w swoim przemówieniu Eliezer Liberson, który przybył specjalnie z domu starców na akademię żałobną w Domu Ludowym. Nieszczęsny Lewin, którego wiejscy dowcipnisie nazywali teraz Trumpeldor<sup>[71]</sup>, nie powrócił już do zdrowia. Nikł w oczach. Siedział w ogródku Rachel i gryzł płachty kamardinu wielkości prześcieradeł. Bolało go szczególnie to, że Zajcer, który jeszcze za życia pozbawił go ogólnego szacunku, przechytrzył go swoją śmiercią i odebrał mu nawet aureolę samobójstwa. Odwiedzał Lewina jedynie od czasu do czasu wdzięczny Abraham, który nie mógł zapomnieć pieszczotliwych rąk wuja

i jego podarków. Również Uri, kiedy wrócił do wsi, czasami do niego zaglądał. Gdy Lewin poczuł, że zbliża się koniec, zaproponował mi dużą sumę, której nie przyjąłem, i prosił, żebym go pogrzebał pośród chaluców.

– Razem z sektorem wytwórczym osiedla – powiedział z goryczą.

Tak też uczyniłem. Wszakże mimo wszystko Lewin należał do drugiej alii. Na jego nagrobku widniał napis, jakiego sobie życzył: „Tu spoczywa chaluc Szlomo Lewin, członek drugiej alii, który popełnił samobójstwo przez ukąszenie muła”.

Buskila i adwokat Szapiro tłumaczyli mi przez całe tygodnie, że należy koniecznie ulokować rozsądnie moje zarobki, ale nie dawałem się przekonać. Buskila wynajął agenta na Florydzie w Ameryce.

– Tam – powiedział – siedzą oni wszyscy. Wszyscy żydowscy starcy. Tam są bagna i oni czekają, żeby ich pozabijało słońce.

Kupił także czarną furgonetkę, wymalował na niej złotymi literami nazwę „Miejsce Spoczynku Chaluców” i kierował bardzo zręcznie interesami oraz mną.

– To nie jest w porządku, że ja siedzę sobie w biurze, a ty kopiesz jamy i polewasz rurą – zwrócił mi uwagę. – Ty jesteś właścicielem, Baruch; wynajmę robotnika do czarnej roboty.

Wyjaśniłem mu, jakie znaczenie ma u nas praca na roli, a także to, że jestem przeciwny ze względów zasadniczych pracy najemnej. Lecz Buskila, który ściśle przestrzega sobotniego odpoczynku i nakazów koszerności, odniósł się do zasad osadnictwa z pobłażliwym lekceważeniem.

– To nie robi na mnie żadnego wrażenia. Ja też jestem pobożny. Każdy ma swoje znaki na framugach i swoje nakazy, a wy niekiedy jesteście jeszcze gorsi od nas.

– Baruch – mówił – dlaczego nie pojedziesz na jakiś czas za granicę, na wczasy, zabawić się trochę, poznać dziewczyny? – A innym razem zapytał: – O co chodzi, nie masz pieniędzy?

Buskila ma córkę, jest młodsza ode mnie. Pulchniutka, miła



i ładna dziewczyna. Niejednokrotnie dawał mi do zrozumienia, że pragnie, bym zawarł z nią znajomość.

– Z jakiej racji? – Zaczerwieniłem się. – Dobrze mi tak, jak jest.

– Ja ją przyślę z jedzeniem dla Pinesa, a ty będziesz tam – zaproponował mi w końcu bez ogródek. – Będziesz miał z niej dobrą żonę, nie taką jak te tu wasze kobiety.

– Zostaw, zostaw – powiedziałem, a między skroniami kłębiły mi się skolopendry.

– To niedobrze, że ty tak żyjesz. Jesteś zdrowym mężczyzną, powinieneś się ożenić.

– Pod żadnym pozorem! – powiedziałem stanowczo.

– Jeżeli Marokańczyk swata ci swoją córkę, to nie możesz odmówić – ostrzegł mnie Buskila.

– Nie lubię dziewcząt – powiedziałem mu.

– Swojego syna ci nie dam – roześmiał się, lecz twarz mu się zachmurzyła. Przyglądał mi się czasami, gdy pracowałem, podziwiając siłę i wielkość mojego ciała.

– W ogóle nie jesteś podobny do swojej rodziny – powiedział. – Jesteś wielki i czarny, masz pełno mięśni i włosów i nie chorujesz na miłość. Twój kuzyn, z niego to kawał drania, przespał się tutaj ze wszystkimi dziewczynami, a ty jesteś taki jakiś spokojny.

– Dosyć, Buskila – powiedziałem. – To nie twoja rzecz, co się dzieje u nas w rodzinie i we wsi.

– Wszyscy macie tu coś nie w porządku – droczył się, chcąc wybadać granice mojej cierpliwości.

Niekiedy opowiadał mi o swoich pierwszych dniach we wsi.

– Patrzyli na mnie krzywo. Cały czas sprawdzali. Posłali mnie do pracy przy cebuli, jakby to było przygotowanie do pracy na poczcie. Nawet Zis myślał, że dlatego, że jego tata osioł woził wodę, to i on jest lepszy ode mnie, aż dałem mu po łbie i potem już zachowywał się jak człowiek.

Przyglądał się ludziom z nieukrywaną ciekawością, chwycił z łatwością najcieńsze włókienka snujące się po wsi i formułował

powiedzonka, które mnie często gniewały:

„Człowiek, co zawsze siedzi w jamie, na pewno czegoś się boi”.

„Kobieta nigdy nie zapomni pierwszego palca, co ją dotknął”.

„Dobry dziadek jest lepszy od ojca, a jak zły, to nie ma nic gorszego”.

„Dlaczego cały czas tylko ziemia, ziemia, ziemia? Wystarczy, że z niej się urodziło i w niej się umrze. A pośrodku trzeba mieć spokój”.

„U was, jak ktoś powie głupstwo, jak ma dziewięć lat, to aż do grobu myślą, że jest durny. Kładą na niego opinię”.

Gdy pracował jako listonosz, odwiedzał każdy dom we wsi i dobrze pamiętał, gdzie go poczęstowali chłodną wodą czy owocami, a gdzie drzwi pozostawały zamknięte, a tylko z okien świdrowały go podejrzliwe spojrzenia. Buskila wiedział pierwszy, kiedy odnowiły się stosunki między Margolisem i Tonią, domyślał się, że dziadek otrzymuje listy z zagranicy nie tylko pocztą i że ignoruje go nie dlatego, że się gniewa, ale dlatego że kieruje nim jakaś głębsza rozpacz i nienawiść. Wiedział, że Meszulam regularnie otrzymuje publikacje z historii osadnictwa, lecz również i brązowe koperty, które były wprawdzie nieprzezroczyście, lecz zawartość ich mrugała i uśmiechała się ze swych opakowań migotaniem chromu i mięsa. Śmiał się pod nosem, przynosząc pocztę do domu Libersona, gdyż wiedział, że znaczna część listów, nawet tych, co nadeszły na pozór z zagranicy, była listami Libersona do Fani.

– On jej posyła listy, a z tyłu nie pisze, kto posyła, żeby miała niespodziankę.

Po odbyciu służby wojskowej Josi podpisał kontrakt na służbę zawodową, a Uri wrócił do swojego wuja i pracował u niego na ciężkim sprzęcie mechanicznym. Z tej przyczyny w gospodarstwie Mirkina nie było sporu o to, komu ono przypadnie.

Kiedy Ojcowie Założyciele przybyli do Kraju, wyjaśnił mi Meszulam, zobaczyli, jak ojcowizny fellachów są cięte na skrawki nożami testamentów, i dlatego postanowili, iż w gospodarstwie zostaje tylko jeden syn.

Synów obserwowano od chwili urodzenia, żeby w odpowiednim czasie można było postanowić, który z nich będzie dziedziczył po ojcu. Doświadczone oczy rodziców, sąsiadów i nauczycieli oceniały pierwsze kroki malca w obejściu, rozwój mięśni jego karku, zdolność do przewidywania deszczu i dar owego specjalnego, czarodziejskiego dotknięcia, właściwego każdemu dobremu gospodarzowi. Mając dziesięć lat, każdy chłopiec wiedział już, czy zostanie we wsi, czy też będzie musiał szukać szczęścia gdzie indziej. Odrzuceni zamykali się z początku w urażonym milczeniu, a potem wybuchali burzą starań i wysiłków, lecz wyrok na nich był już wydany. Gdy wracali z wojska, powierzano ich losowi, z pieczęcią wsi odbitą na ciele, jak wypalone ogniem piętno właściciela na rogatym bydle. Niektórzy zostawali rolnikami gdzie indziej, inni brali się do interesów lub do studiów i wszystkim powodziło się dobrze w nowych miejscach. Lata dzieciństwa i młodości we wsi, lata ciężkiej pracy i odpowiedzialności, jak również głębokie zrozumienie bydlęcej natury przygotowały ich do sukcesu w każdej dziedzinie, której się imali.

Dziedzicowi ojciec stopniowo przekazywał zadania, radził się go w sprawach żniw i nawożenia, rozważał jego odpowiedzi i pomysły. Wieś hodowała sobie następne pokolenie rolników, podobnie do uli hodujących sobie królowe. Tu i ówdzie zdarzały się omyłki. Daniel Liberson, którego niemowlęca miłość do mojej

matki była komentowana jako wyraz agrarnej słabości, stał się z czasem doskonałym rolnikiem. Od śmierci moich rodziców nie miał już kogo kochać i kogo nienawidzić, więc wszystkie zdolności i energię skierował na uprawę ziemi. Potem poszedł pracować do osiedli nowych *olim* i zdobył opinię doskonałego i oddanego instruktora, a kiedy wrócił stamtąd ze swoją Rumunką, bardzo się odznaczył w dziedzinie hodowli drobiu, bawełny i grzybów jadalnych. Meszulam dał mu w zamian za wiadro do dojenia Chagit starą rosyjską książkę agronomiczną, a w niej znalazł Daniel przepisy na mieszankę ze słomy, ziemi i końskiego nawozu, na której rozwijają się najlepsze grzyby.

„Grzyby należy zbierać”, napisane było w książce, „dokładnie wtedy, kiedy hodowla zaczyna wydzielać «mocny zapach lasu»”.

Daniel jednak nie wiedział, jak pachnie rosyjski las, i dlatego za każdym razem, gdy owocował nowy cykl spor, odrywał swoich starych rodziców od ich pocałunków i miłosnych igraszek i zapraszał na wążanie zaciemnionych grzęd, a oni go ani razu nie zawiedli.

A znowuż Meszulam już w bardzo młodym wieku oświadczył wszystkim, iż „jedyną siłą wiążącą go z ziemią jest siła ciężkości”, żadna inna – opowiadał Uri.

Sam Uri również nie zamierzał zostać we wsi i nikogo to nie zaskakiwało. Jego namiętność do książek, przywiązanie do tyłka przedszkolanki Rut, niezdolność do wytrwania przy ciężkiej robocie, dowcipy na temat beznadziejności życia kur niosek czy igraszek, na które pozwalał sobie inseminator z jałówkami, a także inne sprawy, o których nie należy wyrażać się lekkomyślnie, wszystko to budziło wątpliwości. Jeszcze zanim rozpętała się awantura o cudzołóstwo na wieży ciśnień, która ostatecznie przesądziła sprawę.

Wszyscy kochali Uriego, lecz dla wszystkich było jasne, że gumiaki Abrahama odziedziczy Josi. Był chłopcem bardzo odpowiedzialnym i solidnym, posiadał gruntowną wiedzę techniczną, wrodzone poczucie porządku i zdolność planowania.

Ojca niepokoiła jedynie jego powstrzymywana brutalność. Obawiał się, że Josi będzie zdolny do zrobienia krzywdy bydłociu, które ośmieli się mu sprzeciwić, albo że nie wywiąże się ze swych obowiązków. Mimo to Josiemu, już gdy miał lat czternaście, można było powierzyć cały poranny udój.

Również dziadek, który widział w Urim dalekie odbicie swojego zaginionego syna Efraima, kiedy trzeba było dokładnie przejechać sad kultywatorem bez urażenia pni drzew, zwracał się do Josiego. Teraz, gdy i Josi oświadczył, że nie ma zamiaru wracać do gospodarstwa i że życie w wojsku pociąga go bardziej, Abraham podniósł wzrok znad ziemi, a ponieważ dotychczas nieczęsto to czynił, przeraził się, gdy ujrzał swoje życie, rozciągające się przed nim aż po dzień śmierci jednostajną, nieciekawą równiną. Ogarnęła go rozpacz.

Pomagałem mu w gospodarstwie, jak mogłem, lecz w istocie interesowało mnie jedynie pielęgnowanie pola moich zmarłych w zniszczonym dziadkowym sadzie.

– Żaden z wnuków Mirkina nie zostanie rolnikiem – powiedział Ryłow. – To gospodarstwo należy sprzedać.

– Nie przejmuj się tym, co on mówi – powiedział mi Buskila. – Jaki wariat kupi teraz to gospodarstwo? Kto wyrwie z ziemi kości starców? Kto może tu pracować wśród nagrobków?

Zemsta dziadka oblekła się w ciało, groby paliły ziemię wsi jak wyrzut, były straszliwą i szyderczą namiastką całego Dzieła, protestowały smrodem rozkładu przeciw temu, co tu powstało. Gdy przechodziłem ulicami wsi, ludzie posyłali w ślad za mną szepty i spojrzenia, oceniali mój kark, który nie wziął na siebie jarzma Wizji, w wyobraźni liczyli gromadzące się w moich workach pieniądze. Ignorowałem ich wlepione we mnie oczy; stanowiły tylko narysowane, łudzące plamy, a tych się nie bałem. A Buskila, który w jednej ze swych uporządkowanych kartonowych teczek strzegł papierów dotyczących procesu z wsią, przeglądał dokumenty z przyjemnością i powtarzał mi nieraz, żebym się nie przejmował pogroźkami.

– Wy, być może, znacie się na rolnictwie lepiej ode mnie –

powiedział. – Ale na grobach to i ja się znam. U nas, w Maroku, jest pochowanych sześciuset sześćdziesięciu świętych i przez wszystkie lata nasi starszacy jechali przez morze, by dać się pogrzebać w Ziemi Świętej.

– Nie możesz tego porównywać – powiedziałem.

– Pewnie, że nie – zachichotał Buskila. – My, Marokańczycy, bierzemy pieniądze od ludzi, co przychodzą na groby świętych, a wy, aszkenazyjczycy, bierzecie pieniądze od samych świętych.

Abraham był jedynym, któremu moje pole grobów nie zakłóciło spokoju. Zajął się całkowicie, ponury i zrezygnowany, swoją dojarnią i pracował tam jak nigdy dotąd. Wynałazł nowe techniki karmienia, dezynfekował podściółkę w oborze chemikaliami, które likwidowały wszystkie pasożyty skóry i kiszek, opracował z pomocą dwóch inżynierów system regulatorów przepływu, kontrolujący każdy cycek z osobna, i wypróbowywał przy dojeniu różne rodzaje muzyki. Od czasu, gdy mój ojciec podłączył swój patefon do obory Ryłowa, wszyscy hodowcy krów wiedzieli, że muzyka podnosi zarówno jakość, jak i ilość mleka, lecz jedynie Abraham umiał dostosować style muzyczne do gustów swoich krów i owe wielkie, poważne bydłeta stały ze słuchawkami na skroniach i kiwały łbami tęsknie i marząco, podczas gdy flety i smyczki wyciskały im mleko z wymion. Zlikwidował niemal całkowicie dodatek zielonej paszy do krowich żłobów, a zamiast tego wyprowadzał je raz na tydzień na pastwisko. „Z przyczyn psychicznych, a nie dietetycznych”. Silniki dojarni szumiały bezustannie i dla Abrahama zadawniony spór na temat dwukrotnego czy też trzykrotnego dziennego dojenia stał się nieaktualny.

– To nie jest problem fachowy, a jedynie małostkowy targ między tym, co jest wygodne dla krowy, a co dla hodowcy – powiedział.

Jego krowy były dojone cztery razy dziennie, a właściwie tłoki nigdy nie przestawały tętnić. Najgorsza z jego mlecznych krów dawała trzy razy więcej mleka niż słynna Chagit, lecz Meszulam, którego melancholijne wędrówki po wsi przywiodły

też i do nas, powiedział, że ani jedna z nich nie będzie postawiona w żadnym muzeum i nie wejdzie do historii jako rekordzistka.

– Historia nie jest tym, co się zdarzyło, a tym, co się odnotowało – powiedział. – I dlatego tak wielkie niebezpieczeństwo kryje się w tym ohydny dociekaniu na temat bagien. W historii upamiętni się Chagit, a nie żadna z mlecznych studni twojego wuja.

Abraham zaprzestał dowożenia mleka do mleczarni, jak to robili wszyscy inni, i przez to wypadł z kręgu codziennych spotkań towarzyskich hodowców krów i zamknął się w sobie jak turkuć podjadek w swoich podziemnych pokojach. Każdego ranka słyszałem wielkiego dźwięku i westchnienia rury wydechowej, gdy Motik, kierowca, wprowadzał kunsztownie na wstecznym biegu swoją olbrzymią cysternę na dwudziestu dwóch kołach prosto w nasze podwórze, a potem stała rozmowa między nim a Abrahamem.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry.

– Można pompować?

– Można.

– On wskoczył prosto pod koła. Nie mogłem nic poradzić.

– Wiem. To nie twoja wina.

W bocznej izbie obory szumiały krążące bez przerwy dwa wielkie separatory.

Z jednej ich rury tryskała śmietana, taka, że odwiedzającym Miejsce Spoczynku Chaluców ciekła ślanka i ciągnęło ich do obory, gdzie Rywka sprzedawała im słoiczek bez wiedzy zarządu wsi. Z drugiej lało się chude mleko, które, wzbogacone minerałami, kierowano z powrotem do obory, prosto w urządzenie do pojenia krów. Abraham był pierwszym hodowcą we wsi, który zrozumiał, że picie odgrywa ważną rolę w krowiej przemianie materii, o wiele ważniejszą niż pożywienie w formie stałej. Nigdy nie zdarzały mu się przykre wypadki w delikatnym stadium przerywania dojenia czy w stadium powrotu krowy w krąg produkcji.

– Żeby wyprodukować jeden litr mleka, krowa musi wypić pięć litrów płynów – objaśniał Josiemu, kiedy splukiwali razem przezroczystymi rurami białe ceramiczne kafelki, którymi była wyłożona dojarnia. Wszystkie rury w dojarni, te do mleka, jak i te do wody i do płynów dezynfekujących, były przezroczyste, podobnie jak i szklane zbiorniki na mleko napełniające się i opróżniające bez przerwy.

– Ażeby czyn nie był jedynie dokonany, ale również widoczny – powiedział Uri i dorzucił nowy własny pomysł dotyczący zwiększenia produkcji. – Zamiast dodawać wody krowie, dolać jej do mleka.

Dopiero teraz wieś zrozumiała prorocstwo Libersona. Pękła twarda pestka oliwki, spełniła się nadzieja związana z pierwszym synem. Abraham, w białym chałacie i żółtych gumiakach, osiągnął większe zawodowe sukcesy niż jakikolwiek inny pierworodny. Lecz gdy pracował, było coś przerażającego w mechanicznych ruchach jego rąk. Nie masował już wymion, a tarł je jakoś obco i nie uśmiechał się z przyjemnością, kiedy naprężały się sutki. Nie klepał po zadach krów w rui i nie podawał ulubienicy do pyska wiązanek koniczyny.

Dojne krowy kroczyły na swoje miejsca podobne olbrzymim wypchanym zwierzętom, a Abraham nakładał im gumowe kieliszki maszyny, jak gdyby i on sam był jednym z automatów, które zaprowadził w oborze. Mleko nie przestawało płynąć i zdarzało się niejednokrotnie, że wuj musiał wylewać nadwyżki do pokrytych kozuszkami bagien.

Pewnego wieczoru, kiedy wylewał tak kilkaset litrów mleka, nadeszła Rywka i zapytała kokieteryjnym tonem, dlaczego nie proponuje jej mlecznych kąpiel, jak rzymskiej cesarzowej. Abraham uśmiechnął się, lecz na skraju jego uśmiechu zaświtał taki wyraz gniewu, jakiego Rywka jeszcze nigdy nie widziała. Zmarszczki na jego czole pogłębiły się, a ich rozgałęzienia popęły aż między gęste włosy. Twarz wykrzywiła mu się tak bardzo, że przez krótką chwilę przypominał swojego zaginionego brata. Dopiero teraz uświadomiła sobie ogrom niebezpieczeństwa



kryjącego się w stanie, w jakim się znajdował. Wiedziała, jak bardzo skorzy są Mirkinowie do oblekania się w korę i welony z siatki, i zrozumiała to, o czym ja wiedziałem już od dawna, że jej mąż topi w białych jeziorach mleka krów gnębiącą go rozpacz i gniew.

W tym czasie orałem i bronowałem swoją ziemię i posiałem na niej łubin, a Buskila zamówił kilka ciężarówek czerwonego tłuczonego kamienia oraz kamieniarzy, którzy przygotowywali krawężniki i polerowali białe kwadraty nagrobków. Poprzekładałem ścieżki po sam kraniec działki, a gdy łubin począł kwitnąć, zaorałem go w ziemi jako zielony nawóz, posadziłem piękne drzewa i poustawiałem kamienne i drewniane ławki. Prześliczne ptaki, jakich nie znał nawet Pines, przysiadły w swoich wędrówkach na mojej ziemi i skakały po gałązkach drzew. Małe, łagodne dzikie zwierzątka zdawały się rodzić same wśród kwiatów. Przed zmrokiem wychodziłem na przechadzkę po ogrodzie, by czyścić miedziane litery, oddychać przesączonym przez cień drzew chłodnym powietrzem i wynajdywać nazwy dla ptaków i zwierząt.

Panował tu idealny spokój. Stare pieśni zmieniały się w ciche mruczenie, echa wielkich deklaracji milkły pod słodyczą grudek ziemi, ustawał szczeł mieczy zaciekłych dyskusji. Zakochane pary z całej Doliny podkradały się w letnie noce na mój cmentarz, by pieścić się na chłodnych nagrobkach. W nocnej ciszy słyszałem łagodne wzdychania kobiet i szybkie, zmieszane z wiatrem oddechy, a od czasu do czasu głuchy podziemny wybuch, kiedy brzuch kogoś z nowo pogrzebanych zakończył proces wzdymania się, a słaba ściana z mięśni nie mogła się ostać przed naciskiem fermentów i pękała z hukiem. Wiedziałem, że wtedy wylewają się wnętrzności i armie białych glist, dobijających się jak oszalałe do trumien, wdzierają się do wnętrza. W Miejscu Spoczynku Chaluców wszyscy prócz mojego dziadka byli pochowani w trumnach. Tak było przyjęte we wsiach i kibucach od czasu, gdy Liberson oświadczył, że religijni urządzili sobie łatwe życie nawet przy obracaniu się w proch.

Eliezer i Fania Libersonowie przychodzili na każdy odbywający się u mnie pogrzeb. Stary stawał zawsze w pierwszym rzędzie publiczności, obejmując ramieniem szyję żony, podczas gdy jego palce trzepotały nad jej piersią, ale ciągle jeszcze był przeciwny moim kwitnącym interesom. On, podobnie jak reszta jego towarzyszy, obliczył przezornie pozostałe mu dni i możliwości ich wypełnienia.

Wszystkie kłopoty związane z gospodarstwem, z wyjątkiem wążania grzybów, zostały już z niego zdjęte i przerzucone na plecy Daniela. Stracił zainteresowanie dla formułowania Wizji, ostrzeżenia krytyki i umacniania zasad. Zwroty w rodzaju „wydostały się na światło dzienne ukryte w nas skarby”, „w chwilach niepewności, stojąc na rozdrożu...” czy też „osobistą pracę fizyczną nie tylko należy postrzegać w perspektywie historycznej, ale też stosunek do niej powinien zapaść głęboko w serca pokolenia” spływały z jego ust i ołówka z łatwością, która sprawiła mu zawód i ból. Jedynie Fania z głośnym śmiechem, białymi włosami i wejrzeniem swych oczu nie stała się jeszcze nawykiem. Pozostała taka, jaka była, tęsknotą serca, fruującym motylkiem winnic, a plamy jej sukni i włosów były ostatnimi światełkami, jakie chore oczy Eliezera mogły jeszcze dostrzec.

Dzień swojego spotkania obchodzili co roku ucztą, którą Liberson przygotowywał dla nich obojga na łonie natury. Kiedyś przyłączał się do nich również Cyrkin z mandoliną, lecz zaprzestał od czasu, gdy zaczął jeździć z miejsca w miejsce na taczce.

W pięćdziesiątą rocznicę ich miłości przygotował Liberson koszyk, a w nim kromki chleba, podpuszczkowy ser, na którym jeszcze widniał odcisk tkaniny, marynowane śledzie w zielonych jabłkach i śmietanie, późne ogórki, z których jeden zawierał ukrytą karteczkę. Kilka tygodni wcześniej Liberson wbił malutką blaszaną rurkę w załącznik kwiatu, gdy tylko zaczęła nabrzmiewać między zwiędłymi płatkami korony, a zielony miąższ ogórka obrósł ją wokół. Fania zapakowała talerze i widelce, Liberson nalał w termos klarowany sok z granatów i ruszyli we dwoje w pola.

Szli powoli, szczęśliwi, skrajem zasianego pola, z lekka się zataczając.

Dzień przedtem spadł pierwszy deszcz. Młodziutkie liścienie stękały z wysiłku, próbując przebić się na zewnątrz, a ziemia, jak to ma w zwyczaju, wydzielała opary nieskalanych obietnic, które z każdym rokiem coraz mocniej upajały rolników. W takie dni wychodziliśmy razem z Pinesem badać działalność grzebiących w ziemi owadów, które wykorzystywały wilgotność gruntu dla kopania nowych pomieszczeń dla siebie i swojego potomstwa.

Fania i Eliezer skierowali się do starej winnicy Margolisa. Liberson, wyposażony w parę okularów o grubych soczewkach, niósł koszyk. Fania, słaba i lekka, opierała głowę na jego ramieniu. Żartowała z mężem na temat ciężkiego i beczelnego zapachu męskich pylników świętojańskich drzew, a Liberson poróżwiał z miłości.

– Przestań, Faniu, w twoim wieku – powiedział.

Opierając się na sobie, prowadząc siebie oraz podtrzymując nawzajem, szli koleinami wozów i cieszyli się zapachem deszczu i chmurami wydzierającymi się z pieczary błękitnej góry. Wyciągając ku sobie pomocne ręce, rozłożyli obrus pod starymi winoroślami dabuki i salti, przysiedli pomaleńku w wysokiej trawie, jedli i spoglądali na siebie.

Wokół nie było nikogo. Margolis zasadził w swoim czasie tę maleńką winnicę wyłącznie na potrzeby pasieki. Nie zdejmował w niej nigdy winogron i wierzył, iż w ten sposób dołączy aromat wina do zapachu swojego miodu. Winorośle, od czasu śmierci Margolisa przez nikogo niepielegnowane, pokryły rozpadające się słupki podpórek krzepkim gąszczem rozwidlających się we wszystkich kierunkach zdziczałych i splątanych wici. Wielkie, srebrzyste pająki tkwały między rzędami błyszczące kurtyny. Na świeżych krecich kopcach grzały się w ostatnich promieniach lata jaszczurki i przyglądały obojgu z sympatią. Liberson pokroił powoli i dokładnie marynowane śledzie, posmarował bułeczki śmietaną.

– Faniu, może zjesz ogórka? – powiedział chytrze.

– Później – odpowiedziała Fania, a Liberson nie nalegał, żeby nie psuć efektu przygotowanej przez siebie niespodzianki.

Opierał się na jednym z kamieni, a Fania, leżąc na wznak wśród traw, położyła plamę swojej pięknej głowy na jego udzie. Była wczesna godzina popołudnia i łagodne jesienne słońce, blade jak żółtko jajka z chłodni, zalewało im skórę, przenikało w stare stawy i napełniało ich dobrym samopoczuciem i miłością.

– Popatrz – powiedział Liberson.

Jego niedowidzące oczy zauważyły jakieś ciemne kropki latające w ciszy naprzeciw niego i błyszczące czarną, przezroczystą poświatą.

Fania podniosła powieki.

– Królowe mrówek – powiedziała. – Królowe mrówek wylatują na godowy lot.

Skrzydlate królowe mrówek wyszły tłumnie na spotkanie jesiennemu światłu, latały w powietrzu i pełzały po ziemi. Wiele z nich zostało schwytane w szeroko otwarte dzioby jerzyków lub złowione w sieci pajaków. Inne bujały w powietrzu złączone z jednym z malutkich samczyków.

– Jakież one piękne – powiedziała Fania. – Jakie piękne w tym locie w swój jedyny dzień światła i miłości.

Liberson wpatrywał się w przestrzeń, z trudem dostrzegając te błyszczące królowe. Fania przymknęła oczy i przeciągnęła się lekko, leżąc na ziemi, przechylając na bok głowę, z policzkiem na jego udzie. Liberson poczuł na swoim policzku jej lekkie, uskrzydłone dotknięcie. Podniósł rękę, by ująć ją za palce, i schwytał jedną z królowych.

– Popatrz – powiedział do Fani. – Oto królowa, a ja, moja śliczna, myślałem, że to ty.

– To ja – odpowiedziała Fania. – Leć ze mną.

Jerzyki rozcinały powietrze swoimi ostrymi krzykami i skrzydłami w kształcie czarnych sierpów. Oczy Fani były przymknięte, a promienie słońca różowiły mrok pod jej powiekami. Uśmiechała się, słuchając tych urywanych świstów. Liberson czuł, gdy tak leżała, całą czułość i miłość płynącą od jej

ciała ku niemu. Zbliżył królową do swych słabych oczu i oceniał jej zgrabną kibić.

– Pines, gdy był w dobrej formie, potrafił wygłosić odczyt o miłości, co uskrzydla mrówcze królowe – powiedział.

– Ty też możesz – odparła Fania.

Spomiędzy jej nieco rozchylonych warg wymykał się szybki oddech jak we śnie, gdy coś się śni. Ręka jej opadła na ziemię, białe włosy powiewały na wietrze. Liberson patrzył na Fanię i czuł, jak jej ciało się odpręża. Ostrożnie, by nie zbudzić jej ze snu, wyciągnął się na plecach. Głowę złożył na jednym z polnych kamieni, patrzył w olbrzymie niebo, a jego ręka igrała powoli opuszkami na karku żony. Długie lata spędzone u jej boku nauczyły go kultywować żądzę życia i ta płonęła w nim coraz silniejszym ogniem, w miarę jak się starzał. „Znicz”, tak go w duchu nazywał. Dziękował Bogu, że okazał mu łaskę mimo jego niedowiarstwa i dał siłę, by podsycać ten ogień codziennie od nowa, i dziękował kibucowi i Cyrkinowi-Mandolinie za to, że dopomogli mu w znalezieniu tego daru, tego „motylka winnicy”, który przypadł mu w udziale.

Kilka królowych wylądowało na sukience Fani i Liberson dmuchnął na nie delikatnie, żeby nie pełzały jej po skórze i nie przeszkadzały spać. Po godzinie zbudził się, drżąc z zimna. Zrozumiał nagle, że to nie jest chłód jesieni, ale chłód śmierci unoszący się z ciała jego żony. W tej samej chwili błonka katarakty zakryła mu oczy i oślepiła go ostatecznie.

Jego palce wymacały w ciemności lodowate zimno jej skóry, a uszy usłyszały brzęczenie trupich much, które zawsze umieją wyczuć śmierć na kilka sekund wcześniej, nim rzeczywiście nastąpi.

Z miejsca, gdzie leżałem między wiciami winorośli, widziałem, jak włókł jej zwłoki. Podniósł się z trudem, wyrwał jedną ze starych podpórek i począł, krzycząc i jęcząc, wymacywać drogę między winoroślami. Wiedziałem, dokąd teraz pójdzie. Wstałem i poszedłem za nim, uważając, by mu się nic nie przydarzyło. Przez sześć godzin potykał się w bruzdach swojej

ślepoty, wpadał na drzewa i kamienie, padał między grudy ziemi i linie rur do podlewania, aż doznał do celu. Teraz zapadła już noc, a ja schowałem się w jakimś załamaniu gruntu.

– Ona była moim światłem – powtarzał w kółko, usiłując objaśnić swój stan strażnikom sąsiedniego kibucu, którzy przybiegli do fabryki plastiku na dźwięk dzwonków alarmowych. Ujrzeni tam staruszka, z którego błoniastych oczu toczyły się białe wapienne łzy. Usiłował przebić betonową podłogę drewnianą, nadgniłą tyką. Liberson nie potrafił im wyjaśnić, w jaki sposób przedostał się poprzez urządzenia alarmowe parkanu, żelazne bramy i oświetlone promieniami reflektorów sale, żeby w końcu załamać się pomiędzy prasami do plastiku, dokładnie w tym miejscu, gdzie niegdyś rósł aleksandryjski muszkat, a chłopak z dziewczyną jedli winogrona z serem i żartowali przy rozplywających się w powietrzu dźwiękach mandoliny.

– Tu spotkałem Fanię – powiedział im w odległości dziesięciu kilometrów od jej zwłok. Lecz obaj przystojni chłopcy nie wiedzieli, kto to Fania ani kto to Liberson, i nawet nie przychodziło im na myśl to, o czym wiedziałem jedynie ja, że uparta, nieustanna walka z ludźmi osiedla zaczęła się właśnie przez niego i właśnie tutaj pod skorupą betonu i cementu.

Widziałem, jak się naradzali, zmieszani, podtrzymując Libersona i głaszcząc go po głowie. Teraz, gdy już wiedziałem, że nie zrobią mu krzywdy, wstałem ze swojej kryjówki i poszedłem do wsi. Z daleka widziałem czerwone, wyjące światło ambulansu wyjeżdżającego z bramy kibucu i wiedziałem, że leży w nim Liberson, słaby i gniewny, bąkając bezsensowne zdania o ogórku, co został sam jeden w polu. Fanię już wcześniej przywieziono do domu i z gospodarstwa Ryłowa wystrzelono dwie zielone rakiety, sygnalizujące poszukującym grupom, by wróciły do wsi.

Kiedy przybyłem do baraku, zastałem już tam Daniela i Jakobiego. Gniewali się.

– Gdzie byłeś? Szukają cię po całej wsi.

Liberson przykazał im, żeby mnie do niego przyprowadzono. Staruszek był prostolinijny i bardzo rzeczowy. Oznajmił nam

stanowczym tonem, iż ma zamiar pochować Fanię „na nowym cmentarzu Barucha”. Był tak rozgniewany, że nie pozwolił nikomu na żadne dyskusje i nie dał sobie przypomnieć swoich dotychczasowych sprzeciwów. Gniew jego nie miał źródła w żałobie i rozpacz, jakkolwiek były one bardzo ciężkie, lecz w tym, że śmierć ukochanej nie wniosła ze sobą niczego nowego i nie dała mu żadnej nowej wiedzy, której by dotychczas nie posiadał.

„Przewidywany ból rozstania w końcu zawsze się spełnia”, napisał dziadek na karteczce wiele lat przedtem. W całej Dolinie nie było większego od niego specjalisty od obliczania rozstań i kalkulowania tęsknoty.

– W odróżnieniu od wielu zakochanych – zaszłochał Liberson – mnie poraziła ślepotą, dopiero gdy moja ukochana odeszła ode mnie, a nie kiedy ją po raz pierwszy spotkałem i kiedy żyła przy moim boku.

Nie chciał pójść do lekarza, żeby go uleczył z katarakty.

– Ona była słońcem, księżycem i gwiazdami, światłem, co rządzi dniem, i światłem, co rządzi nocą<sup>[72]</sup>.

– Opadł mnie lęk i głęboka ciemność<sup>[73]</sup> – jęknął nazajutrz, gdy kopałem jej grób.

Pamiętałem jego gniewne wystąpienie na posiedzeniu zarządu zwołanym w sprawie mojego cmentarza, kiedy mnie przezwał „importerem ścierwa”, „zgubnym przykładem” i obrzucił podobnymi wyzwiskami. Nie byłem jednak zaskoczony. W tym stadium życia już umiałem dostrzec rękę dziadka kopiącą ziemię przed moimi stopami, nadającą kierunek biegowi przyszłości. Co noc kładłem się do snu w kanałach, które wykopał, i budziłem, drżąc, mokry i cuchnący, kiedy prąd jego proroctw podpływał aż do mnie. Liberson dał mnie i Danielowi rozkaz, byśmy pilnowali dlań miejsca u boku Fani, i tak dobiegła końca dyskusja na temat mojego cmentarza. Nikt mi odtąd nie stawiał przeszkód. Stary otulił się swoją ślepotą, został wysłany do domu starców i dzielił tam pokój, w którym mieszkali niegdyś dziadek i Szulamit, z bułgarskim starcem, liczącym sobie sto

cztery lata. Długowieczność jego nowego towarzysza wywarła na nim wrażenie.

– Jogurt? – zapytał z szacunkiem.

– Koniak i czekolada – powiedział Bułgar i przedstawił się jako Albert.

W ten sposób stracił Liberson jeszcze jedną rzecz, w którą wierzył, ale pogłębił swoją wiedzę o naturze ludzkiej. W ciągu jednego tygodnia stracił żonę i opuścił swoją ziemię, z tego powodu przyjaźń ze starym Bułgarem rozwinęła się szybko i zdecydowanie. Obaj wiedzieli, że dom starców jest ostatnim przystankiem, dlatego postanowili uczynić go dobrym i przyjaznym. Liberson nie dyskutował z Albertem i nie usiłował go przekonywać, jaką najszlachetniejszą drogę powinien sobie obrać człowiek, a ten odwdzięczał mu się uśmiechem, którego wprawdzie Liberson nie mógł ujrzeć, lecz którego dotknięcie czuł na swojej twarzy. Prowadzili krótkie, lakoniczne rozmowy i dane im było życzliwe wzajemne zrozumienie, jakiego doznają jedynie nieliczni.

Liberson nie próbował Alberta rozśmieszać ani mu imponować, nie opowiadał mu o bagnach i pelikanach ani o Stowarzyszeniu Pracy, a jedynie o swoim dzieciństwie na Ukrainie i o śmierci żony. Między tymi dwoma zdarzeniami zawisła przed jego oczami ciemna kurtyna.

Bułgar leżał całutki dzień w łóżku, przykryty po pierś. Oczy miał jasne i błyszczące. Z jego wilgotnych prześcieradeł unosił się lekki zapach odleżyn i schowków broni.

Opowiadał Libersonowi cuda o słynnym zapaśniku Podumowie, o wielkoduszności króla Borysa i o smaku czarnego chleba za czasów jego młodości w Płowdiwie. Zbroją, w której się schronił Albert, była jedwabna, biała, wyprasowana koszula, a jego błyszczący krawat wyglądał jak spragniony czarny motyl, co przysiadł mu na gardle. Niżej pasa Albert był zupełnie nagi, lecz o tym Liberson nie wiedział, a gdyby wiedział, też nie poczułby się urażony.



Czas upływał, lało się mleko, dojrzewały kolby kukurydzy, a jej liście o kształcie włóczni cięły skórę. Napelniały się spichlerze, dojrzewały figi, wybuchały nowe wojny, a do składu z mieszanką przybył starszawy robotnik o atletycznej budowie. Nazywał się Jehoszua Ber.

– Ja cię skądś znam – powiedział mu strażnik Ryłow. – I wyjaśnię dokładnie skąd.

Za każdym razem, gdy ktoś nowy przybywał do wsi, staruch wynurzał się z jamy z bronią, „żeby to zbadać”. Lubilem patrzeć, jak się przepycha ze swojej śmierdzącej jaskini, stoi kilka minut w słońcu, aż powraca mu zdolność ruchu, po czym wdrapuje się na konia, cudownie wyćwiczonym ruchem ręki i uda stawia go dęba i pędzi dokądś w swoich sprawach. Takie ruchy mieli wszyscy starcy, gdy brali do ręki jakieś stare narzędzie, staroświecki ręczny kultywator do pielenia chwastów w ogrodzie czy kosę do ścinania pierwszych kłosów w Zielone Świątki. Takie ruchy ręką wykonywał dziadek, gdy głaskał Szulamit.

Jehoszua Ber uśmiechnął się zmieszany. Był wysoki, pomarszczony, łysawy, głupi i dobroduszny.

– Ja kręciłem się nawet po różnych miejscach – odpowiedział.

– My nie lubimy ludzi, co się kręcą – powiedział Ryłow. – W ruchome cele trudno jest trafić, nawet jak są tak duże jak ty.

– Zostaw go – powiedział do Ryłowa kierownik składu z mieszanką. – To jest dobry robotnik, czego chcesz od niego?

– Niczego – powiedział stary. – Ale jeżeli wy obaj chcecie umrzeć we własnym łóżku, to niech się nie zbliża do mojego podwórza.

– My nie śpimy razem, co ty mówisz, nawet! – oburzył się Jehoszua Ber.

Lecz Ryłow już spał brzuch konia ostrogami.

– Przestań mówić bez przerwy „nawet” – powiedział i wyniósł się, wyprostowany i twardy jak skała, odtrącający każde

spojrzenie.

Jehoszua Ber w przerwach w pracy lubił bawić się z dziećmi. Chodził do spółdzielni i kupował tam okrągły bochenek czarnego chleba, sto gramów masła owiniętego w papier pergaminowy i trzy główki czosnku. To był jego obiad.

– Chleb jest dla zdrowia, masło namaszcza kiszki i to jest dobre do srania, a czosnek to nawet siła i przeciw robakom, co przychodzą do człowieka po masło – wyjaśniał malcom, którzy włązili jak kurczęta na kokosz na jego wielkie ciało promieniujące siłą i ciepłem.

Jehoszua Ber był w Polsce słynnym zapaśnikiem.

– Wkładałem na siebie skórę nawet pantery, wdziewałem pas i waliłem gojów – opowiadał z przejęciem i pokazywał nam swoją starą fotografię w kartonowym, ozdobionym końskim włosiem hełmie, a mięśnie jego łydek były pokratkowane rzemieniami gladiatorских sandałów.

Jehoszua Ber wynajął pokój u Rachel Lewin, a kierownik był zadowolony z jego nieustannej pracowitości. Rano wybiegał w pola na gimnastykę i w całej wsi było słycać jego potężne, bawole oddechy. Dwa razy w tygodniu ćwiczył młodzież w zapomnianych kunsztach Anglików – dżiu-dżitsu i kapap<sup>[74]</sup>.

– Nie trzeba nawet pieniędzy – uchylał się wstydlawie.

I oto, pewnego dnia, gdy pokazywał dzieciom, jak jedną ręką podnosi pełny worek mieszanki, a twarz mu poczerwieniała z wysiłku i zadowolenia, spoza sterty sorgo wyskoczył Ryłow i wyciągnął zza pasa swój rosyjski nagan.

– Skończone – powiedział. – Wiem już, ktoś ty za jeden. Ty jesteś siłaczem Zejtuniego.

Teraz przypomnieli sobie wszyscy. To był mocny człowiek Zejtuniego, który rozbijał cegły i splatał gwoździe, a któremu teraz lata zdarły grzywę włosów. Dani Ryłow i sekretarz Jakobi zabrali Jehoszuę Bera do biura zarządu i przywołali Abrahama. Abraham był przejęty i nerwowy.

– Gdzie jest mój brat? – zapytał od razu.

Jednakże to, co opowiedział mocny człowiek, wiele nie

pomogło.

– Twój brat był z nami nawet jeden dzień – opowiadał. – Zejtuni nazwał go Alfonso Corrida, stalowy człowiek z Toledo.

Usłyszawszy ten wstrętny przydomek, wszyscy obecni aż jęknęli z obrzydzenia.

– Calutki dzień on szedł za nami z tą krową na plecach – powiedział mocny człowiek.

– Byk, to był byk rasy charolais – sprostował Dani Ryłow – nie krowa.

– On szedł tak, a ja nie wierzyłem w swoje oczy. Siedziałem na wozie i cały czas patrzyłem w tył nawet, żeby go widzieć, a on był tam z pokrywką na twarzy, szedł spokojnie z krową, nawet się nie zadyszał. Wieczorem przyszliśmy do arabskiej wioski, a Zejtuni nawet tak mnie obraził, od czasu jak przyszedł twój brat, kazał mi zgotować dla wszystkich kolację.

Dziesięć razy zarzucił sobie Efraim na oczach zdumionych wieśniaków Jeana Valjeana na ramiona. Byli przekonani, że w jego ciele gnieźdzą się diabły. Przerazała ich również zasłona na twarzy i zieleniejące poprzez siatkę oko.

– Poza krową w ogóle nie miał siły. Mogłem go położyć jedną ręką, on nie mógł podnieść nawet stu kilogramów, nawet pięćdziesięciu, tylko tę krowę, nawet.

– Jak jeszcze raz powiesz „nawet”, to oberwiesz batogiem – powiedział Ryłow.

Pines otworzył drzwi, wszedł i usiadł.

– Zejtuni w ten wieczór zarobił dużo pieniędzy i był szczęśliwy. Po kolacji on dał twemu bratu gumową dziewczynę.

W oczach Abrahama stanęły łzy.

– Dlaczego nam się to przytrafiło? Dlaczego właśnie nam? Jak bardzo musi być człowiek nieszczęśliwy, żeby go można było w ten sposób skusić? – zapytał Pines.

– Nikt tego z nią nie robił – powiedział mocny człowiek – tylko Zejtuni. Ona w ogóle nie potrzebowała chłopów. Jak jej się zachciewało, to mogła się sama tam pocałować, nawet. Ona umiała tak się złożyć, że mężczyzna wariował.

– Te opisy nas w ogóle nie interesują i proszę wrócić do Efraima. – Pines otrząsnął się.

– Zejtuni wprowadził ją do namiotu z twoim bratem – ciągnął dalej mocny człowiek. – Oni tam zaczęli, aż nagle usłyszeliśmy ją krzyczącą jak zwariowane zwierzę. W samym środku przyszła ta krowa, odsunęła rogami płachtę namiotu i popatrzyła na nich; mogłem ich widzieć złączonych, jak ona mu była uwiązana dookoła nawet. Twój brat był zupełnie goły, tylko z tym płótnem na twarzy, podniósł nogę i kopnął krowę w nos, żeby stamtąd poszła, ale ona nie poszła.

– Jak Efraim wtedy na niego patrzył? – wykrztusił Abraham przez zmięte, zdławione gardło, jak gdyby to mówił przyduszony ziemią dziadek.

– I wtedy on się podniósł z tą dziewczyną zamkniętą na nim i zaczął chodzić, a krowa wzięła w gębę jego ubranie i poszła za nimi, a za pięćdziesiąt metrów usłyszeliśmy, jakby wyskoczył korek, i ta dziewczyna spadła mu nawet z ciała jak mokra szmata.

Mocny człowiek wetknął sobie w usta wyprostowany, gruby palec, przycisnął go do wewnętrznej części policzka, a kiedy wyciągnął go z kąta warg, dał się słyszeć wilgotny i ohydny odgłos, jakby coś pękło.

– Tak było słyhać – powiedział.

– Zejtuni biegł za nimi, krzyczał i błagał, ale krowa odwróciła się, spuściła głowę, popatrzyła mu w oczy, prychnęła i zrobiła nogą, o tak, po ziemi, i on nie śmiał się bardziej zbliżyć.

– Dokąd on poszedł? – wypytywał Ryłow.

– Na jaki azymut? – spytał Dani. Jego syn Uzi służył wtedy w wojsku w miejscu, które zwało się „ta jednostka”, i Dani przechwycił od niego kilka technicznych wyrażen. Jehoszua zaprzestał kopania nogą podłogi i groźnego ryczenia.

– To było jak sen – powiedział, a jego z gruba ciosana twarz rozjaśniła się i zmiękła. – Jak gdybym to nawet śnił we śnie. On władował sobie krowę na plecy i znikli wśród drzew i obłoków.

– Gdzie znikli, gdzie? – krzyczał Abraham.

– Tego nikt nie wie – powiedział mocny człowiek. – Zejtuni

też ich trochę szukał, myślał, że może twój brat nawet się rozmyśli, ale oni sobie poszli. Nigdy w życiu nie widziałem takiego człowieka. Znałem go tylko dwa dni. Rano mu zazdrościłem, w południe się bałem, a wieczorem już go kochałem.

Nazajutrz rano Zejtuni kupił w jednej z wiosek młode cielę i zażądał od mocnego człowieka, by zaczął się ćwiczyć w podnoszeniu byków.

– Powiedziałem mu, ile mogę już podnieść. Krowę w dwieście kilo? W trzysta? Tak jak on nie potrafię nigdy, ja wiem, co to takiego siła. Ja jestem fachowcem od siły. To nie jest siła, to strasznie zrozpaczony człowiek nawet, tylko on potrafi coś podobnego wyczynić. Albo tylko dwóch dobrych przyjaciół tak mogą.

Usłyszałem zza ściany ciężkie westchnienie i szurnięcie nogami krzesła. Abraham wstał zmęczony i wyszedł. Jehoszua Ber siedział jeszcze przez chwilę, a potem podskoczył do okna.

– Ja myślę, że krowa nie chciała, żeby on to robił z dziewczyną – zakrzyknął za nim dosłownie nad moją głową. Jakobi i Dani pchnęli go z powrotem na krzesło.

– Dlaczegoś tu powrócił, Jehoszua? – zapytał Jakobi.

– Zostawiłem Zejtuniego. Nie chciałem już więcej u niego pracować. Od wtedy minęło już wiele czasu. Robiłem przy różnych robotach. Byłem na budowie, ładowałem worki z cementem, byłem też w porcie, przywiązywałem nawet okręty. Przybyłem tutaj, kiedy przypomniałem sobie, że człowiek z krową pochodził z tej wsi.

I wtedy usłyszałem, jak stary Ryłow wstaje z krzesła, i wiedziałem, że stanie za plecami badanego, żeby sypać przerażające pytania na jego zjeżony kark.

– To była ładna bajeczka o Efraimie i byku – powiedział Ryłow. – Jużeśmy ją raz słyszeli, ale teraz strzeż się i słuchaj uważnie. Spotkaliście po drodze Anglików?

– Nie.

– Pytam cię po raz drugi: widziałeś Anglików, jak

rozmawiali z Efraimem, jak brali coś od niego, jak mu coś dawali?

– Co za Anglicy nawet chodzą ci po głowie? – rozzłościł się Jehoszua. – My już teraz jesteśmy w swoim państwie.

– Ja już miałem do czynienia z ludźmi dwa razy cięższymi od ciebie – powiedział Ryłow ze szczerą tęsknotą. – Pomyśl dobrze, może angielski kulejący oficer, z laseczką? Czy też może dwóch Szkotów?

– Co to są Szkoci?

– Nie opuszczaj wsi – powiedział Ryłow. – Ja sprawdzę twoje opowiadanie u kolegów w Galilei i będę miał do ciebie jeszcze inne pytania. To nie są zwykli ludzie tutaj, to zarząd!

Z wiekiem głos Ryłowa nabrał głuchego dźwięku i teraz jego słowa wsiąkały w powietrze i odzywały się echem nawet wtedy, gdy on sam opuścił pokój.

Abraham wrócił ze śledztwa Jehoszui Bera jak człowiek, któremu świat się zawalił na głowę. Nie wszedł do domu, lecz poszedł prosto do obory i zaczął myć i krążyć z rozpostartymi ramionami. Biegał naprzód i w tył jak zarżnięta Szoszana, a bruzdy na jego czole pogłębiły się tak bardzo, że aż zbieleły.

Josi był w wojsku, Uri pracował u swojego wuja, a mnie po powrocie z roboty złapała Rywka, zaciągnęła do dojarni i kazała uważać na męża, żeby sobie nie rozbił głowy. Poczekalem, aż upadł na podłogę, i zaniósłem go do domu. Niosłem mojego wuja z łatwością, bez żadnego wysiłku. Jestem człowiekiem silnym. Wielkim jak wół. Posłusznym i brutalnym wnukiem o szerokich plecach i sztywnym karku. Po co ta cała siła, którą wcisnął dziadek w moje ciało? Niosłem tak chorego Pinesa, martwego dziadka, tonącą w morzu żeglarke. Tak samo niosę zmordowanego Szyfrisa, worki z pieniędzmi, beczkę opowiadań, moją wysoką, piękną, spaloną matkę.

Cyrkin-Mandolina zmarł na łóżku w podwórzu. Pesia, która zmarła w rok po nim, nie wiedziała nawet, że umarł. Leżała samotnie w małym pokoiku w szpitalu geriatrycznym Ruchu w centrum Kraju ze sparaliżowaną prawą połową ciała i prowadziła cienkim i donośnym głosem nieprzytomne rozmowy

z ministrem skarbu, z Fanią Liberson i z kimś o nazwisku Etinger. Meszulam przyszedł ją powiadomić o śmierci ojca, a ona nie wiedziała, o kogo chodzi. Powtarzała w kółko: „kwiatek w pępku, kwiatek w pępku”, i prosiła, żeby wyciągnięto jej halkę z ognia.

Cyrkin zmarł z hałasem, krzykami, niechęcią i z ogromnym sprzeciwem. Cała wieś słyszała, jak walczył ze śmiercią.

– Nikt mnie nie uprzedził, że na domiar wszystkiego to również boli – zakrzyknął zdumiony i rozgoryczony.

Przy jego łóżku stali Meszulam i doktor Munk. Usiłowali go namówić, z pomocą Eliezera Libersona, którego sprowadzono z domu starców, żeby dał się przenieść do szpitala. On się sprzeczał, wykręcał i stanowczo odmówił.

– To sprawa minut – powiedział. – Studenci będą mi wtykać rurki – jęczał.

Potem świadomość mu się zmaciła.

– Zawołaj doktora Joffe – poprosił, a po krótkim milczeniu dodał: – Chodź, jedź z nami, Fejgo, przygotowałem pieczoną dynię z jajkami i mąką. Chodź, oni obaj poszli, wejdź ze mną do wody, nie jest zimna. Towarzysze Cyrkin, Mirkin i Liberson nie będą usiłowali zaczynać – krzyknął potem.

Tylko ja zrozumiałem, o co mu chodzi. Potem uspokoił się nieco, pierś wznosiła mu się i opadała z trudem.

– Ważne jest oddychanie – powiedział do siebie. – Nie przestawać ani na chwilę oddychać.

Ciałem jego wstrząsnął nowy atak bóleści i znów zaczął krzyczeć. Tym razem wyzywał „liczących jamy”, stare, niegdyś powszechnie znane wyrażenie, którego znaczenia nikt już nie rozumiał.

– Wszystko zaczęło się od „liczących jamy”, tych słabeuszów – przeklinał.

– Kto to, ci liczący jamy? – zapytałem w kilka dni później Meszulama.

– Ech tam, wymysł mojego taty – powiedział Meszulam.

Listu Mandoliny do babci Fejgi, tego listu, co nigdy nie został wysłany, nie oddałem mu. Meszulam przeczytał nad

grobem ojca resztę papierów znajdujących się w pudełku. Uszcześliwiło go odkrycie oryginalnego listu Chenkina, którego treścią było usunięcie dzierżawców z ziem Ejn-Tiwonu, jak również sprawozdania z zakupów Stowarzyszenia Pracy na rok 1919. „Dwa rotle mąki, oliwa i sezam, cztery bluzy z arabskiego płótna, słomiany kapelusz dla Mirkina”. Twierdził, że list od Szyfrisa jest falsyfikatem.

– Niezdarne naciąganie – jak się wyraził. Ale trzymał go w swoim archiwum.

– Jeżeli zechcesz go wymienić na regulamin Stowarzyszenia Pracy, to możemy o tym pogadać – zaproponował.

Złożyliśmy trumnę w dole, a Meszulam przykrył ją ziemią. Po kilku ruchach motyką zmienił go stary ślepy Liberson, ostatni ze Stowarzyszenia Pracy, i zakończył robotę kilkoma zręcznymi pchnięciami łopaty.

– Coś zrobił z mandoliną taty? – zapytał Meszulam, gdy ludzie poczęli się rozpraszać.

Wskazałem palcem na mogiłę.

– Co?! – wrzasnął Meszulam. – Włożyłeś ją do trumny?

– Tak chciał nieboszczyk – powiedział Buskila.

– To był pomysł twojego ojca – wyjaśniłem.

Meszulam spojrział na nas zabójczym wzrokiem. Chwycił łopatę i zaczął rozkopywać świeżą mogiłę. Nie wtrącaliśmy się. Dopiero gdy Meszulam dokopał się głębiej i hałas zrobił się głośniejszy, powstrzymałem go.

– Posłuchaj, Meszulam, uważnie.

On kopał dalej. Wyrwałem mu z ręki łopatę i odrzuciłem na bok.

– Uważaj dobrze, Meszulam.

U nas we wsi zawsze słyszy się coś z wnętrza ziemi. Budzące się ślimaki, piski chorych na malarię niemieckich niemowląt, charkot duszącej się armii Sysery. Teraz Meszulam usłyszał krzyk strun, ścięgien rąk swojego ojca, powiek jego oczu.

Meszulam, stary i niezdarne sierota, który nie posadził w swoim życiu drzewa i nie poznał kobiety, począł płakać, padł



twarzą na ziemię i zakrzyczał: „Wybacz, wybacz mi ojcze!”.

Latem na cmentarzu wrzeszczały cykady wczepione w gałęzie oliwek i krzaki jaśminu. Wbijały swoje krótkie przyssawki w korę, ciągnęły z żył rośliny świeży sok i wznosiły długie, monotonne okrzyki zadowolenia. Ten ogłuszający wrzask towarzyszył zawsze ziemi i żyjącym na niej ludziom, począwszy od plemienia ludzi pierwotnych Pinesa aż po Stowarzyszenie Pracy imienia Fejgi. Witął on armie zdobywców, karawany pielgrzymów i imigrantów, kupców i linoskoczków.

Człowiek, nieprzywykły do świdrującego uszy głosu cykady, może po kilku minutach oszaleć, ale dla nas, ludzi Doliny, była ona ukochaną poetką lata i pól.

– Po co ona śpiewa? – zapytywał Pines mnie i siebie samego.

– Wszakże nie jest to pieśń godowa, bo do śpiewających samców nie przylatują samice. Nie jest to również strzeżenie terytorium, bo samce cykad nie atakują się wzajemnie. A na dodatek przecież ona jest prawie zupełnie głucha. Więc po co śpiewa?

Popatrzył na mnie, czekając na odpowiedź, lecz ja byłem wtedy dziesięcioletnim dzieckiem, niezgrabnym workiem pełnym pragnień i baśni i niemającym na nic odpowiedzi.

– To jest prawdziwa śpiewaczka tego kraju – wyjaśnił mi Pines. – Uparty wrzask bez melodii i bez nut, bez początku i bez końca, który jest cały jedynie wyzywającą i radosną deklaracją bycia: oto jestem!

– Żebyś wiedział, Baruch – ciągnął Pines. – Ten oto skromny owad jest właściwym protagonistą słynnej przypowieści o koniku polnym i mrówce. Nedorozwinięci tłumacze wyrwali go z hebrajskiego kontekstu, a samą tę głupią przypowieść napisało wielkie nieuctwo.

Wziął mnie do sadu. Nad wielkimi polami płonęło słońce, na niebie nie widać było nawet ptaszka. W kwadratach cienia w zagrodzie dyszały ciężko cieleta, w powietrzu zastygły pajęczyny, a ich mieszkańcy skryli się między liśćmi. Błękitne

motyle spadały na ziemię niby rozpalone do białości pióra, a gdy je brałem do ręki, ich skrzydła były gorące i twarde jak wyklepana miedź. Jedyne kwadratowa i krzepka cykada śpiewała z ochotą i siłą swoje upalne, wyschnięte pieśni; jej spaczony głos piłował i trzeszczał pośród gałęzi, wyzywając gorące słońce i drwiąc z rozpalonych martenowskich pieców ziemi.

Pines był wielkim mistrzem w chwytaniu cykad. Każde dziecko we wsi wiedziało, że cykada, gdy poczuje zbliżającego się człowieka, milknie, pospiesznie startuje i ucieka, lecz Pines odkrył mi, że jej bystre oczy maskują prawie absolutną głuchotę.

– Fabre w swoim ogrodzie przy kasztanie odpałał w powietrze ładunki dynamitu, a cykada nie ruszyła się z miejsca – opowiedział mi. Henri Fabre, francuski entomolog, był ulubieńcem Pinesa. – Nie był zbyt dokładny i nie wierzył w teorię ewolucji, lecz trzeba przyznać, cechowała go dociekliwość i naiwność dziecka.

Zbliżyliśmy się razem do krzaków. Pines zamachnął się ręką i przy wtórze dochodzącego spomiędzy gałęzi jęku przerażenia schwytał w palce cykadę. Pokazał mi wielkie złożone oczy, przezroczyste, pożyłkowane skrzydła i pęcherzyki głosowe po bokach odwłoku. Wydobył z nich krótki świergot, potrącając je cienutkim źdźbłem trawy. Opowiedział mi wtedy, jak wielka jest ludzka niewiedza; na przykład Arystoteles wierzył, iż muchy rodzą się ze zgniłego mięsa, a w Pięcioksięgu jest napisane, że zając i królik są przeżuwaczami.

– Nieszczęśni głupcy – szepnął; zawsze mówił szeptem, gdy trzymał w ręku owada. – Nieuki! Ile głupoty i nieuctwa jest w tej przypowieści o mrówce i cykadzie. Zimą żyje ona pod ziemią jako larwa i łaska mrówki nie jest jej potrzebna, a latem to wszakże ta pracowita mrówka jest właśnie rabusiem i grabi pracę cykady.

Miałem wtedy dziesięć lat. Pamiętam do dzisiaj dotyk twardego ciała cykady w palcach i walkę jej mocnych nóg pragnących się uwolnić. Pines pokazał mi cykadę, jak ssie sok z kory jabłoni, i długi szereg ciemnych, malutkich mrówek zwabionych słodyczą soku i zakrywających pień jak czarna rzeka.

Niektóre z nich doczepiły się już do przyssawki cykady, włożyły jej na grzbiet, piły krople spływające z otworu, który wywierciła. W powietrzu stał niedobry zjadliwy zapach kwasu mrówkowego.

– Widzisz – powiedział Pines. – Idź do mrówki, leniwce<sup>[75]</sup>, do tego pasożyta, nieuczciwej żebraczki, złodziejki. I robi to na oczach wszystkich, pod protektoratem króla Salomona i burżuazyjnego obłudnika La Fontaine’a.

Dziadek nie interesował się stworzeniami w rodzaju cykad. Owady, które nie szkodziły ani nie pomagały, nie zasługiwały na jego uwagę. Wprawdzie niekiedy cykada zostawiała na łupince owocu czerwony pierścień, lecz dziadek nie upatrywał w tym szkody. Kiedy kopaliśmy razem w sadzie, odkryłem larwę cykady w jej głębokim wykopie, gdzie żyła w absolutnych ciemnościach, przyczepiona do jednego z korzeni i ssała z niego pokarm. Była jasna i niezgrabna, ciemność zmaćniała jej oczy, a jej wilgotne ciało ślizgało się w palcach. Z pomocą Pinesa udało mi się zaobserwować ostatnie przeobrażenie cykady.

– To sprawa szczęścia – ostrzegł mnie nauczyciel.

I właśnie dokładnie w tej samej chwili larwa wylazła na powierzchnię ziemi i zaczęła szukać sobie krzaka, by się na niego wdrapać. Była powolna i ciężka, ale oczy już miała czarne i błyszczące.

– Ma już przygotowane formy, aby wlało się w nie światło i kształt – szepnął Pines. – Albowiem słodkie jest światło i miło jest oczom oglądać słońce<sup>[76]</sup>.

Siedzieliśmy obaj na ziemi i nauczyciel położył dłoń na mojej ręce. Larwa uczepiła się kory krzaka, wspięła na niego i zatrzymała. Skóra jej pękła wzdłuż grzbietu, jakby rozcięta niewidzialnym ostrzem.

Dorośla cykada wyslizgiwała się powoli ze swojego niemowlęcego ubranka. Jej wilgotne i słabe nogi trzęsły się w powolnym rytmie, skrzydła, podobne do wilgotnej peleryny, poczęły twardnieć. Staliśmy przy niej trzy godziny i obserwowaliśmy, jak słońce i powietrze wypełniają jej żyłki i jak jej barwa zmienia się z żółtawej na zieloną, a w końcu na

szarobrązową. Za jednym zamachem oderwała się od drzewa i uleciała, i zaraz potem usłyszeliśmy jej donośny głos, rzucony w pole, zespolony z głosami towarzyszek, pijany żądzą życia i dumą istnienia.

Pines był bardzo zamyślony.

– Dzisiaj zobaczyłeś coś, co dane jest ujrzeć jedynie nielicznym – powiedział. Szliśmy razem w stronę domu. Nagle ujął mnie za rękę. – Przez całe swe życie miała mrok i smutek<sup>[77]</sup> – zacytował.

– Cztery lata ryła w mroku ziemi i dane jej zostały tylko cztery miesiące śpiewu w słodkim słonecznym świetle. Cóż dziwnego, że jest tak radosna i głośna?

Słowa te wywarły na mnie wielkie wrażenie. Opowiedziałem dziadkowi o śpiewie cykady, a on machnął lekceważąco ręką.

– Pines posiada wielką wiedzę – powiedział. – Ale przypisuje swoim chrząszczom całe mnóstwo bajeczek. Czy larwa w ziemi jest smutna? A czy cykada na drzewie jest wesoła? Pinesowi wydaje się, że owady mają ludzkie uczucia.

Jednak tam, na łąkach mojego dzieciństwa, nauczyciel przyglądał mi się z uśmiechem i był szczęśliwy, że może z siebie dawać, wychowywać i wywierać wpływ. A ja, mimo młodego wieku, rozumiałem, że stara się mnie rozwijać. Wiedziałem, że dziadek i Pines dyskutują czasami o mnie, i jak wielkie ciele wyciągałem szyję pod obfitością ich pieścizot.

– Czy nie dość, że on jest sierotą bez ojca i matki? Dlaczego pakujesz mu na plecy wszystkie swoje nieszczęścia? – pytał Pines nad nocną miską oliwek.

Leżałem w łóżku, na mojej piersi spoczywała księga owadów Henriego Fabre'a, którą mi pożyczył Pines, i wypełniło mnie wielkie uczucie szczęścia, kiedy dziadek odpowiedział jak zwykle: „On jest moim dzieckiem”.

Dopiero po upływie wielu lat przyznał się Pines, że jego entomologiczne uniesienia nie miały naukowej podstawy i głosił je jedynie, by mi sprawić przyjemność i wciągnąć mnie w naukę przyrody.

– Czar, jaki wywierają zwierzęta na ludzi, jest li tylko egoistycznym upojeniem i ma swoje źródło w chęci potwierdzenia i umocnienia się na swoich pozycjach. Oswajamy bydłota i ptaszki, nakładamy małpom kapelusze, a wszystko po to, by udowodnić, że to na naszej głowie spoczywa korona stworzenia.

– To dziwne – mówił Pines. – Ale biblijna historia stworzenia i teoria ewolucji mają wspólny urok. Obie przedstawiają człowieka jako najwyższe osiągnięcie. Czyż jednak, moje dziecko, wolno nam przypuszczać, że przyroda jest urządzona celowo i ma jakieś zadanie do spełnienia? A może jest tylko ciągiem przypadków samoistnie eliminujących własne pomyłki?

Otworzył wielką Biblię i pokazał mi „ważny werset”.

– Bo przypadek synów ludzkich jest taki jak przypadek zwierząt. Jak one umierają, tak umierają i tamci. Człowiek nie ma żadnej przewagi nad zwierzęciem<sup>[78]</sup>. Wszyscy komentatorzy mylili się co do tego wersetu. – Zamknął z trzaskiem Biblię. – Najważniejszym słowem jest tu nie śmierć, a przypadek. Równość między człowiekiem a zwierzęciem znajduje wyraz nie w śmierci, a w przypadkowości.

Przyglądał mi się i rozplýwał z zadowolenia, gdy zobaczył, że patrzę na niego i uważam.

– Los człowieka i los zwierzęcia – mówił w natchnieniu. – Oba są tylko wynikiem przypadku i rządzi nimi zaskakująca groza przypadku.

Potem wybuchnął śmiechem.

– Nie mówiąc już o bydłotach w naszej wsi, tych, co biorą udział w Dziele. Czy cykada pamięta te cztery spędzone pod ziemią lata? – zastanawiał się Pines pod jabłonią. – A piękny paź królowej, czy pamięta dni, w których był niezdarną gąsienicą na liściach ruty? Okres poczwarki – wyjaśniał mi – nie jest jedynie okresem dojrzewania i spokojnego przygotowywania się, lecz również okresem zapomnienia i zatracenia, nieprzezroczystą przegrodą między fazą gąsienicy a fazą owada, między dwoma tak bardzo przeciwnymi sposobami życia tej samej duszy.

– A my – biadał – zostaliśmy obdarzeni tym straszliwym darem. Nie tylko sążone nam jest dźwigać garby pamięci, lecz także nie dano nam również tych krótkich, znikomych dni polotu, miłości i śpiewu, wolnych od bezustannego jedzenia, ciułania, twarzy nabrzmiałej tłuszczem i lędźwi nalanych sadłem<sup>[79]</sup>.

Przyglądałem się jak zaczarowany strumieniowi rozjuszonych mrówek, które opadły cykadę, przegnały ją i grabiły studnię soku, którą sobie wydłubała. Pines spojrzał na mnie i pojął, że chwila dojrzała i może dołożyć mi jeszcze jeden morał.

– A dlaczego król Salomon chwalił właśnie mrówki? – zapytał.

– Dlatego że był królem, a królowie zawsze woleli mrówki od cykad i pszczoły od gnojnych żuków, tak samo jak ten drań Miczurin. Zawsze widzieli w nas niewolników, którzy z pokolenia na pokolenie dziedziczą szydło<sup>[80]</sup> swojej niewoli.

Gdy odprowadził mnie do baraku, wziął z łóżka dziadka tom Burbanka i przeczytał mi na głos: „W obliczu natury są sobie absolutnie równi zarówno jadowity wąż, jak i największy mąż stanu”.

– Po co, po co? – zerwał się dziadek od kuchennego stołu. – Po co zawracasz dziecku głowę?

Dalszy ciąg wykładu usłyszałem od Pinesa, kiedy już byłem dorosły. Po tym, jak nauczyciel zachorował i opadły więzy, którymi skrupowane było jego serce.

– Lepiej jest toczyć przez całe życie swoją kulę gówna, niż korzystać z miodu danego przez władze – oświadczył, żując przysmaki pani Buskila i chichocząc.

We wsi pozostali jedynie Ryłow, Pines, Tonia, Lewin i Rywa. Poprosiłem Buskilę, by co jakiś czas zawoził staruszków w odwiedziny do ślepego w domu starców, a on to robił „z całym szacunkiem”. Liberson nie był jednak nimi zbyt zainteresowany. Zareagował tylko swoim znanym artykułem na podżegającą publikację Lewina wymierzoną przeciwko Zajcerowi, a gdy nastąpił wybuch w jamie z gnojówką Ryłowa, Liberson usłyszał grzmot, zaraz się domyślił, o co chodzi, i przybył na pogrzeb.

Ryłow był już bardzo stary. Od czasu do czasu wyłaził z jamy, by jeździć konno po polach, przewietrzyć się, wygrzewać na słońcu i węszyć za wszystkim. Z całego Kraju przybywali ludzie rzucić okiem na wiekowego strażnika, który był twardy jak buty z cholewami i mógł godzinami jeździć konno.

„Oni nie pojmują, że biedny starowinka wdrapuje się na siodło i potem jeździ dwa dni, bo mu nieprzyjemnie prosić, żeby ktoś pomógł mu zleźć”, napisał mi Uri w odpowiedzi na przesłane przeze mnie sprawozdanie ze śledztwa Jehoszuy i podejrzeń Ryłowa.

Pary kwasu moczowego, które przez całe lata przenikały do znajdujących się w jamie szczelnych skrzyń z amunicją, przeżarły (tak to sobie tłumaczę) pudło z opóźniającymi chemicznymi zapalnikami. Wybuch w schowku zatrzęsł całą wsią. Tysiące starych mauzerowskich pocisków, granatów, tony krążków żelenitu i cegiełek dynamitu wzniosły się burzliwie w pienistych bałwanach ścieków mleka, rozdartej ziemi i pokrzywionych stenów.

Kiedy rozwiały się żółte opary, zobaczyliśmy, iż połowa podwórza Ryłowa zmieniła się w lej. Cieleca zagroda jego syna Daniego stała się kupą zwęglonych rur i befsztyków. Ze stodoły pozostały jedynie cuchnące zgliszcza, syczące pod kroplami deszczu, który nie przestawał padać.

„Zabitych zostało czternaście dojnych krów, którym nie udało się odkryć, gdzie mieściła się broń” – tak podsumował Uri



ostateczny wynik wypadku.

Stary Ryłow został rozrzucony w promieniu setek metrów. Dani, jego syn, i Uzi, jego wnuk, wychowani w świadomości rodzinnej konspiracji, przekonali policyjnych zwiadowców, że chodzi tu o wypadek przy pracy, spowodowany zmieszaniem wielkich ilości czerwonego fosforu z solami siarki i potasu w celu otrzymania sztucznego nawozu.

Przez kilka dni poszukiwano szczątków Ryłowa w rejonie wsi, ale starzec się nie odnalazł. Minęły miesiące, zanim rozproszył się okropny zapach amoniaku, pieczeni i dymu i odkryto okute żelazem buty z cholewami starego jeźdźca, pełne jakiejś nadgniętej masy. Lewy but znaleziono w okolicach źródła, a prawy leżał ukryty w gąszczu bugenwilli wspinającej się na podstawę wieży ciśnień. Wożono je do plastikowych torebek i pochowano u mnie, przy udziale licznej publiczności.

Na pogrzeb butów zjechali się ostatni członkowie Haszomeru, starzy aktywiści Hagany, a setki bladych staruszków, których nikt nie znał, wynurzyły się z jam i piwnic, z uszczelnionych podziemnych betonowych komór. Po zasypaniu grobu zebrali się w cieniu drzew, zmieniali hasła, wyzerowywali zegarki i wymieniali między sobą sekrety.

Zawsze wiedzieliśmy, iż po powstaniu państwa Ryłow w dalszym ciągu zbierał broń dla obrony wsi i Ruchu, ale nikt nie wyobrażał sobie, jakie ilości udało mu się schować.

– Ryłow mógł wyposażyć dwa pułki – powiedział jeden z wygłaszających przemówienie nad grobem i wbił w obecnych wzrok swych żółtych oczu. – Żal nam ciebie, żal nam odkrycia schowka, żal nam Toni znającej twe wszystkie sekrety i bardzo, bardzo żal nam dobrej broni, która przepadła.

Tymczasem Tonia, którą pożycie z mężem nauczyło, że śmierć nie stanowi dostatecznej przyczyny wybaczenia, odeszła od świeżej mogiły prosto do nagrobka Margolisa i na oczach żałobników usiadła na swoim zwykłym miejscu. Jej ciało wyżłobiło już stałą niszę w chmarze pszczoł, a ona siedziała w niej i w dalszym ciągu ssała i oblizywała swoje rozkładające się

palce.

Również Liberson pozostał po pogrzebie na cmentarzu, usiadł na białym kamieniu i odetchnął głęboko.

– Ryłow także odszedł – powiedział. – Ten szaleniec. Wielka strata. Pines i Mirkin nie cierpieli go, ale bez Ryłowa i jego towarzyszy nie dalibyśmy sobie rady. Potrzebni byli również ludzie jego pokroju.

Cieszył go zapach kwiatów i ozdobnych krzewów.

– Trzeba posadzić tu jarzyny – powiedział mi. – Jarzyny pięknie tu wzejdą. W Rosji – opowiadał – pewien krymski chłop posadził kabaczki i cebulę, kawony i ziemniaki pomiędzy nagrobkami i otrzymał nadzwyczajne plony. Jego ziemniaki dochodziły do wielkości melonów, kawony były wyjątkowo czerwone i słodkie, a jedna dynia osiągnęła wagę sześciu pudów, omalże równą twojej wadze, Baruch, i zabrano ją stamtąd na trojce do rezydencji Mikołaja Drugiego. W żyły rośliny wsiąkła krew zmarłych – wyjaśnił. – Na moim grobie posadź róże i bakłażany, a ja je napoję swoim starym ciałem i zakwitnę w Ziemi Izraela.

Liberson wyjął z kieszeni scyzoryk do szczepień, z drewnianą rękojeścią. Dokładnie taki sam scyzoryk do nacinania kory drzewnej miał mój dziadek. Ostrożnie, obawiając się, że to zauważy i będzie się na mnie gniewał, usadowiłem się i ja na mogile jego żony. Liberson zaczął obierać wyłowione z kieszeni spodni jabłko odmiany jonatan. Zdejmował czerwonawą łupinę równej jak wstążka szerokości. Ciągnęła się i zwisała spod noża, póki nie obrał jabłka całkowicie i nie począł go żuć swoimi zrogowaciałymi dziąsłami.

– Tam – powtarzał – tam, gdzie teraz znajduje się kibucowa fabryka plastiku, była prześliczna winnica. Tam spotkałem Fanię.

Przed wieczorem zawiózł nas Buskila z powrotem do domu starców. Liberson siedział między nami na przednim siedzeniu czarnej furgonetki, słaby i zwiędły.

– Następnym razem będę już jechał z tyłu, na leżąco – powiedział.

Gdy przybyliśmy na miejsce, ująłem go delikatnie za łokieć i zaprowadziłem do pokoju. Stary Bułgar leżał na swoim łóżku w jedwabnej koszuli z czarną muszką i uśmiechnął się do przyjaciela.

– Dzień dobry, Albert – powiedział Liberson.

– Jużście wrócili? – zapytał Albert.

– Skończyło się.

– U nas po pogrzebie wszyscy idą do domu zmarłego i dużo jedzą – powiedział tęsknie Albert. – Pastelikos, apiu, zimną fasolę. Pije się też coś niecoś.

– A u nas po pogrzebie zre się dalej siano – odpowiedział Liberson.

Obaj starcy się roześmieli.

– Miałem w Warnie przyjaciółkę – powiedział Albert. – Miała piersi, trzy kilo tu i trzy kilo tu. Wszystko teraz w ziemi.

Liberson dał mi znak ręką, żebym sobie poszedł, i wróciłem do domu.

Był to okres, w którym staruszkowie umierali jeden po drugim, jakby się ze sobą umówili czy zawiązali jakiś spisek. W mowach pogrzebowych wspomniano często „martwych, których idący naprzód zostawiali za sobą”, lecz mimo „niechęci do próżni”, o której Pines wiele rozprawiał na lekcjach przyrody, pozostała po nich pustka.

W nocy poszedłem zajrzeć w okno Meszulama. Zobaczyłem go pochylonego nad swoimi broszurami, obrośniętego białymi kosmykami żałobnej brody, z twarzą okoloną zmarszczkami pogodnej rezygnacji. Ludziom, którzy przychodzili składać mu kondolencje, mówił, że żałuje swojego nieróbstwa, które skróciło życie jego ojcu, ganił samego siebie za małostkowość i kończył wykładem o różnicach między komarami malarycznymi a komarami niemalarycznymi, wygłoszonym gładko, niemal śpiewająco. Larwa komara niemalarycznego ma długą rurkę oddechową i jest zawieszona w wodzie w pozycji ukośnej. U larwy komara malarycznego rurka oddechowa jest krótka, a sama larwa wisi w wodzie poziomo. Komar niemalaryczny ma krótkie czułki, a odwłok jego jest skierowany w dół; u komara malarycznego czułki są długie i odwłok wzniesiony jest w górę. Zapytano Meszulama, dlaczego przypomina fakty znane wszystkim we wsi, które każde dziecko może wyrecytować z pamięci. Odpowiedział skromnie, że pamięć o żydowskim osadnictwie jest wyświechtana i wyblakła i że istnieją sprawy, których nie wolno zapominać.

Gdy upłynęło trzydzieści dni pokuty, Meszulam zajrzał do lustra i postanowił nie golić brody.

„Po raz pierwszy udało mu się cokolwiek wyhodować i trudno mu zrezygnować z grządki, która wykiełkowała mu na gębie”, napisał mi Uri, który nie przestawał prosić, bym informował go o wszystkim, co dzieje się we wsi.

Broda Meszulama rozwijała się wspaniale i, jak to zawsze u starych, udzielała swojemu właścicielowi wewnętrznej pewności

i wiary w obronę przez niego drogę. Meszulam codziennie odwiedzał grób ojca i zadawał mu różne pytania, a jego wygląd wywoływał wielkie wzruszenie w sercach odwiedzających. W starym roboczym ubraniu, w zniszczonym parcianym pasku zmarłego Mandoliny, z obfitym, popstrzonym szarzyną i bielą owłosieniem na głowie i twarzy przypominał im Chenkina, Gordona i proroka Izajasza w jednej osobie. Amerykańscy turyści i szkolna dziatwa na wycieczkach spoglądali na niego z uwielbieniem i chcieli się z nim fotografować. Buskila zaproponował, żeby płacić Meszulamowi kilka groszy za to, że będzie się kręcił po Miejscu Spoczynku Chaluców od rana do nocy „z kaszkietem na głowie i motyką w ręku”. Chciał nawet zamówić fotografa i wydrukować na sprzedaż pocztówki z Meszulamem. Dla mnie jednak Meszulam był denerwującą zawadą. Od czasu, gdy Abraham i Rywka wyjechali za granicę, zaczął się zachowywać beczelnie. Pewnego dnia zażądał, żebyśmy postawili – tak się wyraził: „postawili”, w liczbie mnogiej – wypchaną Chagit przy nagrobku jego ojca. Tym bardziej teraz, gdy dziadek zmarł, a Abraham wyjechał i całe gospodarstwo było na moich barkach, nie miałem do Meszulama cierpliwości.

– Nie potrzebuję tej oblazłej krowy wśród moich grobów – powiedziałem mu. – A poza tym gdyby twój ojciec chciał, żeby stała przy jego grobie, to poprosiłby o nią Libersona.

Buskila już był gotów wypowiedzieć swoją stałą formułkę, że również i ta nieboszczka nie odpowiada kryteriom przyjęcia, ale Meszulam się nie sprzeczał. Twarz jego przybrała złotawy odcień, podobny do tego, jaki mieli ci, co ukwiecali pustynię i osuszali bagna. Nabrał tego koloru przez długotrwałe i skoncentrowane przyglądanie się starym fotografiom.

Przez kilka tygodni próbował swych sił w pracy na roli. Sprowadził kilka kur rasy rhode island, a potem zachciało mu się posiać warzywa. Lewin zjawił się zawstydzony u Rachel, której warzywa cieszyły się zasłużoną sławą, i pokazał jej jeden ze skarbów swojego zbioru – książkę gospodarza Lipszyca z Petah

Tikwy *Hodowla jarzyn w Ziemi Izraela*. Rachel popatrzyła z powątpiewaniem na starą broszurę, której okładkę zdobiła, jako zapowiedź sytości i urodzaju, olbrzymia sałata i dwoje tłustych dzieci, i zwróciła uwagę Meszulama na to, że książka jest jeszcze bardziej sędziwa niż wieś, przestarzała i nieaktualna.

Meszulama jednak oczarował styl Lipszyca.

– Bakłazan lubi ziemię lekką i z nawozem – czytał mi na głos, a wargi jego zaokrągląły się, jakby smakował nawóz bakłazana. Szczególnie wielkie wrażenie robiły na nim dwa zdania: „Najlepszym gatunkiem rzodkwi dla Ziemi Izraela jest olbrzymia, biała rzodkiew stuttgarcka”, i drugie: „Im zwierzę jest mniejsze, tym jego nawóz lepszy. Nawóz owczy jest lepszy niż krowi, a nawóz małych ptaszków lepszy od nawozu gołębi, a najlepszy jest nawóz jedwabników”.

„On marzy o olbrzymich nazistowskich rzodkwiach, obżerających się bakteryjnym gównem”, napisał mi Uri i dodał, że Meszulam rzeczywiście wejdzie do historii „jako pierwszy rolnik w Dolinie, który rozrzucał nawóz pincetką, posługując się szkłem powiększającym”.

Meszulam zdobył gąsienice jedwabników, a miła i cierpliwa Rachel pozwoliła mu skubać na swoim podwórku świeże liście wielkiej morwy na pokarm dla jego małego bydelka. Lecz nie pomógł mu nawet czarodziejski nawóz. Ziemia czuła wahanie w wystraszonym dotyku, drżała i wymiotowała nasiona, a głodzone kury obmawiały go za plecami.

Meszulam nie rezygnował. Wielki czyn, z którym się nosił, wypełniał go całkowicie i nadawał mu wyraz twarzy ciężarnej kobiety. Ludzie we wsi znali dobrze ów wyraz twarzy, lecz jedynie z domu i z obory. Na jego brodatym obliczu nie rozpoznawali go i komentowali jako smutek.

Upór ojca i bezwstyd matki zlały się w ciele Meszulama i dawały mu oparcie. Wynajął Uzi Ryłowa, żeby przeorał głęboko jego pole, po czym zamówił wiejską maszynę do ścinania trawy i ciężką bronę i powyrywał z pustkowiec swojej ojcowizny zapuszczone kobierce dzikiej marchwi i rezedy.

Niedobitki drapieżnych myszy, węży, skolopender i łasic pouciekały w trwodze z działki, która od czasu choroby Cyrkina-Mandoliny stała się ich domem. Zielony john deere pokruszył nory kretów, zmiażdżył jajka jaszczurek i wydał na pastwę śmiertelnych promieni słonecznych rozzłoszczone turkucie. Uzi zgarnął to wszystko w jedną wielką kupę na skraju działki, a Meszulam podpalił ją i wpatrywał się jak oczarowany w zapowiedź, którą niosły wielkie oczyszczające płomienie.

– Meszulam postanowił w końcu zostać rolnikiem – mówili gospodarze podczas wieczornych spotkań w mleczarni i zaproponowali mu pomoc i dobre rady, bo jedynymi znanymi mu narzędziami były antyczne zgrabiarki Kirchnera i Zirlego, których rysunki znajdowały się w rolniczych czasopismach lat dwudziestych. Ale Meszulam wcale nie potrzebował rad.

Zamówił wielką koparkę, należącą do rady okręgowej, i ogrodził swoją działkę potężnym wałem ziemi wysokości półtora metra. Zdumionym sąsiadom powiedział, iż ma zamiar robić doświadczenia z roślinami, które zalewa się wodą.

– Ryż jest bardzo pożytecznym i sycącym składnikiem pożywienia, a hebrajskie osadnictwo nie wzięło tego jeszcze pod uwagę – oświadczył.

Teraz jednak nikt już mu nie wierzył. Wszyscy zrozumieli, że pod białą brodą oraz rytuałami orki i żałoby skrywa Meszulam swoją największą kałużę. Postanowiono tę sprawę omówić na najbliższym posiedzeniu zarządu, gdzie na porządku dnia znajdowała się sprawa umów z dostawcami mieszanki, wspólny zakup szyn dla rozszerzenia obór i, ku mojej wielkiej radości, prośba Uriego, by mu pozwolono odwiedzić wieś.

Od wygnania Uriego upłynęło kilka lat i wzburzenie już opadło. Żona Jakobiego dawno wróciła do domu, w dyskretnej aureoli dumnego pojednania i nowych idei, jakimi nasiąkła w mieście. Gdy Uri napisał list do zarządu, prosząc, by mu pozwolono w okresie świąt odwiedzić wieś, byłem pewien, że instytucje ustosunkują się do jego prośby przychylnie.

Zebranie jednak się nie odbyło, Meszulam bowiem zadziałał

niespodziewanie szybko. W poprzedzającą je noc wyszedł w pole w gumowych butach swojego ojca, wyposażony w nowy, pięciokilogramowy młot, który kupił w magazynie narzędziowym. Nawet kiedy odkrył wysypujące się ze starego pudła w zarządzie listy, które Berł i Słuckin wymieniali z Libersonem, nie biło mu serce tak jak teraz, kiedy szedł wzdłuż linii do podlewania i rozbijał jeden po drugim wszystkie wielkie zawory, nie spojrzawszy nawet za siebie.

Woda wytrysnęła z niezliczonych fontann i nie przestawała płynąć. Z początku ciekła powoli, a potem, gdy drobne ziarenka ziemi zlepiły się ze sobą, pole zmieniło się w ogromny zbiornik błota, a poziom zaczął się podnosić.

Meszulam nie wrócił do domu. Całą noc brodził po polu, a gdy woda podniosła się wyżej jego cholew, wdrapał się na ziemny wał i usiadł na nim. Zanim z obór uniosły się ryki przerażenia i zauważono spadek ciśnienia, ciężka gleba stanęła pod wodą, a wieś straciła trzytygodniowy przydział wody.

Rano staliśmy wszyscy na skraju gospodarstwa Cyrkina i nie wierzyliśmy własnym oczom. Muł już opadł na dno, płycizny przestały falować i błyszcząły w słońcu, a z miejsca, na którym stałem, widziałem, jak odbijała się i drżała w spokojnej wodzie błękitna góra.

Pod powierzchnią niewytłumaczalnej trwogi czuliśmy, jak rośnie w nas utajona w sercu każdego rolnika tęsknota do płynięcia, bulgotania, chłodnej przejrzystości i obrazu odbitych w wodzie obłoków. Jedynie Pines zrozumiał od razu, że oto stało się. Po latach siania i żniw, łez, śpiewu i drwin otwarło się wewnątrz ziemi.

– Stałem tam i przypomniałem sobie dzień, w którym Abraham Mirkin śpiewał swoją pieśń. Wtedy również nie wszyscy poczuli zbliżające się nieszczęście – powiedział w jakiś czas potem na przesłuchaniu badającej te wydarzenia komisji, a członkowie komisji popatrzyli na niego, potem spojrzeli po sobie i odesłali go do domu.

Po pewnym czasie większa część publiczności wyniosła się



z gospodarstwa Cyrkina. Ja nie mogłem się stamtąd ruszyć. Im dłużej patrzyłem, tym bardziej przejrzystość wody mąciła się i dosłownie na moich oczach zasnuwała zielonkawą błoną koszmarów. Woń legendy i zwątpienia powyciągała ze schowków kiełki turzycy i krwawnicy, i wielkie polne ślimaki czekające przez całe swe życie na zapowiedź wilgoci, a na wale ziemnym stał Meszulam, uzbrojony w krzywy sierp do ścinania sitowia – który zdjął ze ściany Baraku Pierwszych – i przystrojony w cygański gałgan swojego ojca.

– Tu powstanie bagno! – obwieścił.

– Będą komary – zakrzyknął sekretarz, którego wyprowadził z równowagi koszt przelanej wody i inne kłopoty związane z końcem lata.

Meszulam podniósł w rękę.

– I komary też – zawołał. – Hebrajskie osadnictwo zapomniało o bagnach, a teraz wszyscy je sobie przypomnimy.

Jakobi nie pozostał na miejscu, by usłyszeć koniec tej całej historii.

– Tyś oszalał! – wrzasnął, rzucił się na siedzenie koparki i zapuścił silnik. Stalowy czerpak ubódł ziemny nasyp, wybił w nim dwumetrową dziurę i jezioro poczęło wylewać się na zewnątrz i zatapiać pobliskie pola.

– Nie tak – zawołał Meszulam, umyślnie uciekając się do intonacji, jaką przybierał Pines, gdy czytał nam na lekcjach Biblii gniewne proroctwa. – „Trzeba wykopać kanały, przełożyć gliniane rury, zaprosić towarzyszy z prasy, posadzić eukaliptusy, śpiewać, chorować i umierać”.

Rozległy się chichoty, lecz widziałem, że Pines, Tonia i Rywa stali na uboczu i trzymali się w strachu za ręce. Wiedziałem, że w domu starców Liberson przestał mamlać swe śniadanie, bo do jego nozdrzy doszedł zniewalający, upragniony i dawno zapomniany zapach.

– Niedobrze mi – powiedział do Alberta i zwymiotował na obrus małą kupkę zieleni, w której roilo się coś obrzydliwego.

– Pękła skorupa i piekło rozdziawiło swoją czeluść –

oznajmił Pines i rozmyślał w kółko o swoim mózgu i o chorobie, która rozścieliła w nim całe pierzyny obłoków zapomnienia. Ponad nimi wznosił się wierzchołek góry sterczący jak błękitna wysepka pamięci. Gnany straszliwym głodem, powłókł się resztkami sił do domu i utopił trwogę w garze kabaczków w pomidorowym sosie z ryżem.

Tonia Ryłow wpakowała dwa palce w usta i wróciła na swój posterunek na grobie Margolisa. Skóra wokół jej paznokci była już porowata i biała jak kożuszek na gotowanym mleku. Rywa, którą bagno oderwało od czyszczenia okien, wróciła do swojego zajęcia. Pozostał tylko radosny i odprężony Meszulam. Gruntowne obeznanie ze wszystkimi praktycznymi paragrafami wdrażania Wizji dało mu zdolność dokładnego przewidywania rozwoju wypadków, a atak Jakobiego na wał ziemny przewidywania te jeszcze bardziej potwierdził.

Od tej chwili wypadki potoczyły się zgodnie z niezawodnymi prawami przyczynowości. Woda popęzła na pobliskie pole koniczyny, pogięła i pokruszyła łodyżki. Działka z kukurydzą pod jej śmiertelnym dotykiem zapadła się, stopniała i rozlazła na pienne, gąbczaste plamy. Na powierzchnię wody wypłynęły pochodzące z innych czasów olbrzymie szumiące pęcherze i pękały, wydzielając straszliwy odór. Słychać było głośnie bulgotanie i chmara komarów o wysoko podniesionych odwłokach uniosła się i krążyła nad otchłanią.

Wtedy zacząłem pojmować, że to wszystko nie jest przypadkowe i że sekretne nici łączące nas z ziemią rozciągają się na nieprzewidzianą szerokość i głębokość, posplatane w sieć punktów orientacyjnych, złożone ze śladów, trupów i naczyń włosowatych.

Przypomniałem sobie nieszczęsnego Lewina, załamującego sine palce i żalącego się, że ta ziemia „nie udzielała siły temu, kto po niej chodził, a tylko wsączała w niego poprzez stopy szaleństwo”.

Ucieczka dziadka od Szulamit, odejście Efraima, wygnanie Uriego, wyjazd Abrahama, nieodcyfrowane bruzdy miłości

Daniela Libersona – to wszystko stanowiło jedynie szczeliny, przez które sączył się ów nigdy niekrzepnący jad.

Pines się mylił, powiedziałem sobie, powtykał palce nie w te dziury, w które należało. Nie rządzi nami przypadek, chyba że piersi Pesi Cyrkin były parą bujnych przypadków, które wywarły wpływ na Cyrkina-Mandolinę i sprowadziły na świat ich pomyłonego syna.

W południe znalazło się już na miejscu kilku bezrobotnych, których Meszulam wynajął w pobliskim miasteczku. Wyglądali nędznie i śmiesznie w rubaszkach i kaszkietach, w które ich przyodział, i z przylepionymi na twarzach zakłopotanymi uśmiechami. Meszulam dał im stare kosy i motyki i posłał ich na bagno. Ku naszemu wielkiemu zdumieniu zaczęli od razu śpiewać starodawną pieśń osuszaczy bagien:

Jestem żaby wiernym druham,  
Bo jak ona, chwytam uchem  
Pieśni wody, pieśni wody.  
Dziewięćdziesięciu panów możnych  
Zwyciężyło tłum odważnych,  
Pieśni zmiękły, bo ich usta  
Pełne wody, pełne wody.

Na początku śpiewali wstydliwie i z wahaniem, ale powoli głosy wzmocniły się i zagrzmiały, a ruchy rąk nabrały rozmachu. Lecz po godzinie zjawily się cysterny zamówione przez Jakobiego w okręgu, wypompowały wodę z Meszulamowego bagna i pojechały wylać ją do koryta *wadi*, a za nimi powlokły się pełne ziemi koparki, rozsypując swoją zawartość. Po południu teren był już wyrównany trzęsącymi się ze złości tłokami, a konto gospodarstwa Cyrkina zostało obciążone rachunkiem za wodę, szkody i najem sprzętu, łącznie z poważnym ostrzeżeniem grożącym zarekwirowaniem majątku.

Przed wieczorem, kiedy pojechałem na stację kolejową po Uriego, wydawało mi się, że poranne wydarzenia są jedynie jeszcze jednym zasłyszonym przeze mnie opowiadaniem, kolejnym z mych koszmarnych snów.

Jechałem swoją furgonetką na przełaj przez pola. Nie mam prawa jazdy i jeżdżę tylko po drogach otaczających wieś, ubitych przez traktory.

Uri zeskoczył jednym susem z pociągu i się uścisnęliśmy. Gdy go przycisnąłem do serca, poczułem, że wydorósł i ciało jego nabrało siły.

– Miażdżysz mnie, bydlaku – zastękał Uri, powstrzymując śmiech. – Nie masz pojęcia, jaki jesteś silny.

Wyglądał bardzo dobrze, szczupły i drwiący, przystojny i pociągający jak zawsze. Jechaliśmy do domu. Uri przyglądał się uprawnym działkom. Dookoła pękały kwiaty bawełny, wypuszczając swoje białe brody, czerwieniały pierwsze granaty na zmianę z ostatnimi brzoskwiniami sommerset. W oddali wielki, żółty international pracował przy pierwszej jesiennej orce. Wjechaliśmy na drogę równoległą do parkanu Miejsca Spoczynku Chaluców. Uri zamilkł i patrzył ze zdumieniem na nagrobki, na obfitość zieleni, na kwiaty i na ozdobne drzewa.

– Co ty robisz z tą masą pieniędzy, które zarabiasz? – zapytał, gdy weszliśmy do baraku. – Tu nic się nie zmieniło.

Ciągle jeszcze spałem w swoim starym łóżku, wycierałem się dużym, miękkim dziadkowym prześcieradłem. W kuchni nadal używałem wielkich cynowych łyżek i szklanych talerzy babci Fejgi.

Piliśmy herbatę i jedliśmy smaczne ciasto, które przywiózł Uri, a wieczorem posłałem mu łóżko dziadka, bo na prośbę zarządu przekazałem dom jego rodziców kantorowi, który przyjechał na okres poprzedzający Sądny Dzień, by śpiewać w synagodze.

Całą noc leżeliśmy, nie śpiąc, Uri i ja.

– Jutro – zaproponował – pójdziemy do Pinesa, a może pojedziemy także do domu starców odwiedzić Eliezera Libersona.

Zaskoczyła mnie nieco ta chęć odwiedzenia Libersona, ponieważ Uri nawet dziadka, gdy ten mieszkał w domu starców, odwiedzał bardzo rzadko.

– Na tych koparkach mam wiele czasu do rozmyślenia –

powiedział. – Moim starcem w tej wsi jest Liberson, a nie Pines, i nawet nie dziadek.

– Wszyscy szukają sobie ludzi jako wzorów – odparłem. – Buskila do dzisiaj uważa, że dziadek to święty, a Pines napisał w gazetce, że i ty jesteś kimś wyjątkowym.

– Dla Pinesa stanowią jedynie egzotyczny egzemplarz z rzędu ssaków.

Słyszałem w ciemności jego śmiech. Po skórze przebiegły mi drobniutkie fale przyjemności.

– Żałuję – powiedział po kilku minutach – żałuję wszystkiego, co się zdarzyło na wieży. Byłem młodym chłopcem i one mnie uwiodły, byłem ich rozrywką, narzędziem zemsty i zabawką w ich rękach. Szkoda, że nie poszedłem do Eliezera Libersona od razu wtedy, gdy to wszystko się zaczęło.

– On by cię zrzucił ze wszystkich schodów – powiedziałem mu. – Szczególnie po tym, jak zerznąłeś córkę Daniela.

– Nie zrzuciłby mnie z żadnych schodów – odpowiedział Uri. – On by ze mną rozmawiał, ale teraz to już nie stanowi żadnej różnicy. Nauczyłem się sam. Mówisz z najbardziej monogamicznym mężczyzną w Dolinie i na całym świecie.

– Nie każdy może znaleźć żonę taką jak Fania, dla której warto poświęcić całe życie – powiedziałem.

– Nie masz pojęcia i gadasz głupstwa – orzekł Uri. – Każdej kobiecie warto poświęcić całe życie. To nie zależy od niej. To tylko sprawa postanowienia. Fania nie posiadała w sobie nic szczególnego z wyjątkiem miłości Libersona. Ona była czymś w rodzaju lustra, którego Liberson nie przestawał czyścić i przed którym wykonywał swoje szpagaty i piruety. Tańczył i śpiewał, i podziwiał sam siebie. Wszystkie kobiety są takie.

– A dziadek i Szulamit?

Uri wyprostował się.

– Dziadek postanowił, że Szulamit jest warta oddania trwającego przez całe życie – powiedział spokojnym, miarowym głosem, jak gdyby już nieraz sobie to powtarzał; takim samym tonem dziadek skandował: „oni wyg-na-li me-go sy-na” – chociaż

nie była warta oddania trwającego dwie minuty. I on to uczynił, nie licząc się z tym, że po drodze do niej zabił babcię, i chociaż nie widział Szulamit nieomal przez całe swoje życie.

– Ty już myślisz podobnie jak twoja mama – oburzyłem się. Uri się roześmiał.

– Ty i moja mama nie bardzo zgadzaliście się ze sobą, ale ona nie jest głupia, żebyś wiedział. Wcale nie głupia. Ona wyciągnęła stąd mojego tatę w ostatniej chwili. Na dwie sekundy przed dopaleniem się lontu.

Zapalił dziadkową lampę do czytania i usiadł na jego łóżku. Tors miał obnażony, szczupły i piękny. Z nocy, w której go pobili, została mu tylko jedna blizna na piersi, nad lewą sutką, ślad czubka ciężkiego buta. Pogrzebał w swojej drewnianej walizce i wyciągnął kopertę.

– Otrzymałem od nich list – uśmiechnął się i wyjął zdjęcia dużego białego domu wśród palm. Na cienistej werandzie siedziała Rywka w żółtej sukience i popijała z ogromnej szklanki czerwonawy napój z kostkami lodu, a jej okrągłe oczy błyszczały radośnie nad szklanym brzeżkiem.

Abraham w krótkich spodniach i szarej koszulce gimnastycznej, z bruzdami na czole rozluźnionymi i wilgotnymi od tropikalnego słońca, dawał instrukcje grupie czarnych w oborze wyglądającej jak skrzyżowanie laboratorium z pałacem.

– Tak – powiedziałem. – To jej się udało przeprowadzić. Nie obwiniam jej. Dobrze, że nie widziałeś swojego taty po powrocie ze śledztwa Jehoszui Bera.

Pamiętam dobrze jej twarz wyrażającą skupienie i zacięcie jak u głupiej i stanowczej kokoszki. Włożyła w ten zamiar cały swój ptasi mózdzek. Gdy jej mąż wrócił z pokoju zarządu, załamał się w oborze i stało się jasne, że ona musi go wyciągnąć ze wsi. Pojechała pospiesznie do swojego brata. Ten znał przedsiębiorców robót ziemnych, handlarzy broni, wielkich tajnych finansistów, których sieci oplatają cały świat, i przezroczystych jak powietrze pośredników, widzących, a niewidzialnych. Powtarzała w kółko: „mój brat mi pomoże, mój brat mi pomoże”. I nagle zrobiła się dla

mnie miła.

– Jadę z nim porozmawiać. Czy może chcesz, żebym coś przekazała Urusiowi?

Pojechała, wróciła i nikomu nic nie opowiedziała. A po kilku dniach odwiedziło gospodarstwo trzech obcych ludzi. Kręcili się po naszym obejściu chłodni i milczący, zawsze w równej odległości od siebie, jak w roju muszek krążących w powietrzu stodoły. Mierzyli i oceniali, rozmawiali z Abrahamem i przyglądali mu się godzinami, kiedy pracował w oborze. Ich gładkie ubrania lśniły jak piersi gołębic samców, a pył i sieczka unikały zetknięcia z ich wypielęgnowanymi włosami i lustrzanymi noskami ich butów. Pomyślałem sobie, że gdyby adwokat Rozy Munkin pokrył szkockiego oficera komandosów, to spłodziliby takich właśnie synów. Jeden z nich sfotografował dojarnię i zapisał sobie jakieś tabele i cyfry, a w miesiąc po ich wizycie przyjechały ciężarówki z kupcami. Abraham sprzedał krowy oraz sprzęt elektryczny i pneumatyczny, zostawił mi niebieskiego fergusona dekszę i odjechał w towarzystwie żony, czterech jałówek myczących ze strachu, z odrzuconymi do tyłu głowami, i kilku tuzinów próbek z zamrożonym nasieniem. Na Wyspach Karaibskich czekał na niego państwowy kontrakt, „spragnieni mleka tubylcy”, nieograniczone fundusze i wesoła, zwykła ziemia nieskażona świętymi kośćmi i trującymi solami oczekiwania i zbawienia.

Powierzyli mi klucz od swojego domu, lecz ja pozostałem w baraku. Wchodziłem tam z rzadka otwierać krany, żeby się rury nie pozatykały, i przewietrzać pokoje. Stanowiska do dojenia w oborze pokryły się pajęczyną, kowaliki i gekony łowiły maleńkie muszki w szczelinach ścian, a po nocach słyszałem słabe dzwoniące pękających bez żadnej przyczyny porcelanowych kafelków.

Minęło kilka tygodni od chwili, gdy umilkły melodie dojenia i szmery zucia ponad żłobami, ucichły świsty sprężonego powietrza, przestały plaskać w kanał placki nawozu. Siklawy mleka rozpadły się na grubą warstwę żółtawego proszku, która

pokryła podłogę, i było przyjemnie stapać po niej boso.

Tak, mówiłem sobie w duchu, musiała wyglądać wiejska kuźnia, gdy bracia Goldmanowie wyszli z opowiadań dziadka i poszli na wojnę.

– On czekał na Szulamit tylko po to, by się na niej zemścić – powiedziałem do Uriego.

– Moje dziecko – powiedział Uri – ty niczego nie rozumiesz. Pamiętasz, jak Pines nas uczył o cyklu tlenowym i o oddychaniu i wybrał ciebie, żebyś stał przed frontem całej klasy i oddychał w przytkniętą do ust i nosa torebkę?

– Pamiętam – odrzekłem. – W końcu zemdlałem.

– To dlatego, że zawsze byłeś grzecznym dzieckiem i że Pines zapomniał ci powiedzieć, kiedy masz przestać – wyszczerzył zęby Uri.

– No i co z tego wynika? – obraziłem się.

– Dziadek przeżył całe życie z balonem, który przyczepiła mu Szulamit do nosa, i oddychał zatrutym powietrzem beznadziejnej miłości. To była ta stęchlizna, od której zachorował, to doprowadziło go do szaleństwa i to go zabiło w krótkim czasie po jej przyjeździe. Jak myślisz, dlaczego on tak szybko zmarł i jak to się stało, że wiedział z góry, że umiera?

– On był stary – powiedziałem. – Sam to powiedział doktorowi Munkowi.

– Ja nigdy nie wierzyłem dziadkowi tak ślepo jak ty, a pieprzyłem żonę doktora Munka, gdy przybyła do wsi – powiedział Uri pogardliwie. – I wierz mi, on się na niczym nie wyznaje, ani na miłości, ani na miłosnych chorobach.

W nocy zalało plac przed mleczarnią, a rano, gdy chcieliśmy odwiedzić Pinesa, nie zastaliśmy go w domu. Poszedł zobaczyć robotników, zwołanych pospiesznie do wsi. Z wielkich szczelin, które rozwarły się w betonie, wyciekały mroźne, gnijące płyny, a gdy przybyli hodowcy krów z porannym mlekiem, znaleźli tam Meszulama w czerwonej szmacie z krzywym sierpem w rękę, śpiewającego i tańczącego na oczach wszystkich zebranych. Tym razem sekretarz się nie zawahał. Był zły i zmęczony, podniósł



rękę i wymierzył Meszulamowi siarczysty policzek.

– Jeżeli zobaczę cię jeszcze raz przy zaworze – napał na niego groźnie pierś – to sam będziesz stał, wypchany watą, w twoim idiotycznym muzeum.

Z nosa Meszulama pociekła krew. Szkarłatne krople splamiły białą brodę żalobnika, lecz Meszulam tylko się uśmiechał. Robotnicy pompowali błocko i budowali formy do wylewania nowego betonu, rozpylali fitocydy i zasypywali wyrwy.

Pines powlókł się do zarządu i objaśniał ludziom, że nie można osuszyć bagna systemem robót publicznych, ale Jakobi tak na niego wrzasnął, że pod oknami zaczęli się gromadzić ludzie.

– Co za bagno, jakie bagno!? Jest tu szaleniec, co otwiera krany. I przestań zawracać głowę, Pines, nie jesteśmy już twoimi uczniami.

Pines aż się zatrząsł i tak się obraził, że nie zauważył stojącego naprzeciw niego Uriego. Zobaczył nas natomiast sekretarz i wypełniająca go po brzegi złość wytrysła z niego jak z mechanicznej polewaczki. Blizna na jego dolnej wardze rozbitej moją ręką w dniu pogrzebu dziadka pobladła.

– Wszyscy zeszli się tutaj – zachłystywał się wrzaskiem. – Cała zasrana rodzinka. Muszę zmobilizować traktory do orki, przystąpić do przetargu na nasiona, a zamiast tego mam tutaj dwóch zwariowanych wnuków Mirkina, jebakę i grabarza, Meszulama z jego rekonstrukcjami i tego starego idiotę ze swoimi żukami.

Pines położył mi rękę na karku, by mnie uspokoić i powstrzymać od rzucenia się na Jakobiego, Uri podtrzymał go za przedramię i tak poszliśmy wszyscy do niego do domu na herbatę.

– Może teraz przybędzie wasz Szyfris. W końcu przygotowali mu bagno do osuszenia – powiedział Uri.

– A może Efraim – powiedziałem ja.

– Szyfris nie przybędzie, Efraim nie wróci – powiedział Pines.

Nikt nie znał imienia starego fryzjera z Doliny. Nazywano go „rabbi” i widocznie ten tytuł przypadł mu do gustu, chociaż bez przerwy powtarzał: „Jestem tylko prostym Żydem”. Spełniał również funkcje kantora i rzezaka i mieszkał w religijnym osiedlu na północnym zachodzie Doliny. Gdy byłem jeszcze dzieckiem, dziadek zabrał mnie ze sobą, kiedy wezwano go w pośpiechu do jednego z chorych sadów. Gdy wyjechaliśmy na drogę ciągnącą się przez pola, dziadek dał mi do trzymania lejce.

Zajcer dreptał całą drogę spokojnym, stałym truchtem. Lubił te nieprzewidziane jazdy po drogach Doliny, które pozwalały mu wracać ze zdwojonym zapałem do codziennej pracy. Dziadek rozmawiał z brodatymi sadownikami w języku, którego nie znałem, nie językiem, w jakim pisał listy do Szulamit, ale słowami, którymi mówił Lewin do agentów handlowych w spółdzielni. Kiedy jechaliśmy z powrotem, żartował ze mną. Opowiedział mi, jakie fortele wymyślają religijni rolnicy, żeby siać na paszę zmieszane rośliny<sup>[81]</sup>.

– Jeden wychodzi i sieje roślinę trawiastą, nazajutrz wychodzi ktoś inny i sieje na tym samym terenie rośliny strączkowe, tak jakby o niczym nie wiedział.

Religijni rolnicy to dziwni ludzie. Nigdy nie przeklinali, gdy wpatrywali się jesienią w bezchmurne niebo. W sobotę doili swoje krowy, by nie cierpiały, ale kładli do wiadra kamienną płytkę, że niby mleko wylewa się na ziemię. Na Pesach palili *chamec*, także i w oborach, a Liberson, jak powiadano, nie mógł usiedzieć spokojnie, póki nie pojechał do nich i nie zaśpiewał religijnym krowom piosenki zatytułowanej *Muuunisztana*<sup>[82]</sup>.

Byli to ludzie weseli, z poczuciem humoru i nie obrazili się. Lecz od razu po świętach do gospodarstwa Libersona przyjechała od nich delegacja. Przywiozła ze sobą pełne skrzynie chały, czerwone słoiki wyśmienitego, wyciskającego łyż z oczu chrzanu, flachy napitku własnego wyrobu, który walił jak pięścią w żołądek, i pełne blaszanki śledzi, które ściągały czarodziejskimi

linami tęsknoty Ojców Założycieli z całej Doliny.

Po okraszonej wzajemnymi docinkami uczcie pobożniacy mrugnęli porozumiewawczo do siebie, zeszli do zagrody indyków Libersona i huknęli potężnym głosem:

– Niech żyje socjalizm!

Durne ptaszyska odpowiedziały chórem, entuzjastycznie wyrażając swoją aprobatę, i nawet Fania Liberson wybuchnęła śmiechem, i powiedziała zawstydzonemu mężowi, że z tego współzawodnictwa wyszedł przegrany.

Kantor-fryzjer-rzezak był już bardzo stary. Po raz pierwszy przybył do Doliny wiele lat temu, kiedy przywieziono go na wozie z miasta leżącego za górą, żeby obrzezał mojego wuja Abrahama. Wóz jechał po sprężystej wiosennej ziemi, w powietrzu unosił się przyjemny zapach koni i kwiatów. Młodego człowieka o bladej, łagodnej, okolonej brodą twarzą urzekł czar i pogruchiwanie ziemi. Kiedy wrócił do siebie, śnił o niej dalej. Naszą błękitną górę widział z drugiej strony, lecz w ładną pogodę ziemia Doliny odbijała się kusząco odwrócona w niebie jak miraż i odbierała mu spokój ducha. Kiedy usłyszał, że organizuje się Wieś Chasydów, przyłączył się pospiesznie do jej założycieli. W rok później drewniane koła naładowanego wozu zmiażdżyły mu oba kolana i musiał wrócić do swojego dawnego zawodu.

Jego wyprawy prowadziły przez całą Dolinę. Pewnego dnia ujrzał w polu jakiejś wsi dużą kobietę z twardą szczeciną na podbródku, wprzęgniętą w arabską bronę, na której rączki naciskał dziesięcioletni chłopczyk. Chasydowi zabiło serce na widok potężnych nóg Astarte wpierających się w ziemię, wzruszały go głośnie stękania z wysiłku i plamy potu pod jej pachami. Po przyjeździe do wsi rozpytywał o nią. Nazywała się Tchija Fajn. Mąż rozwiódł się z nią i wrócił do Rosji – tak mu opowiedzieli gospodarze – „żeby rozjarzyć cały świat pochodniami rewolucji”.

Twarda i zgorzkniała, pozostała na swojej ziemi, a chłopczyk, poinformowali go z miejsca, nie jest jej synem, a synem sąsiadów, który się nad nią ulitował.

„Rabbi” poprosił mieszkańców wsi, żeby mu ją wyswatali,

a oni cieszyli się, że mogą się jej pozbyć, ponieważ wystawiała na ciężką próbę zasady wzajemnej pomocy. Po dwóch tygodniach włożyła na głowę czepek i poszła za nim, ciągnąc za sobą na sznurze obładowanego ruchomym dobytkiem osła i młodą jałówkę.

Żona-siłaczka była bezpłodna, ale pracowita i dobrodusza. Nauczyła się przestrzegania wszystkich religijnych nakazów, tak wielkich, jak i małych, pracowała w gospodarstwie „rabbiego” i zamiast płodzić dzieci, hodowała cudowne płody ziemi. On sam wędrował w dalszym ciągu po całej Dolinie i nauczył się nawet przycinać krowom racice.

Na początku krążył pieszo po kibucach i osiedlach, podrzynając gardła, skracając zbyt wyrosnięte kopyta, strzygąc napletki i czupryny, dziwiąc się i jękając na widok chaluc z obnażonymi udami i od aromatu przewracanych skib. Z zarobionych pieniędzy kupił sobie dwukołowy wózek i wysokiego, lekkiego w nogach cypryjskiego osła, a po wojnie nabył z nadwyżek angielskiego sprzętu stary motocykl BSI z przyczepą.

Kiedy byłem dzieckiem, przyjeżdżał do nas raz w miesiącu. Z daleka widać było pędzący po polnych drogach słup kurzu podobny do małej, jesiennej piaskowej spirali, potem rozlegał się zduszony warkot, a w końcu nadchodziła chwila, na którą czekała cała dziatwa. Stary chasyd naciskał na gaz motocykla, ześlizgiwał się po pochyłości „irlandzkiego mostu” w *wadi* i pędził ciężko pod górę po przeciwnej stronie wąwozu, krzycząc piskliwie „ju-pi!”. Twarz jaśniała mu szczęściem, szary płaszcz i białe rytualne frędzelki powiewały na wietrze. Na głowie miał skórzaną pilotkę, pod którą wtykał swoje bujne pejsy, a oczy zasłaniał okularami, jakich używali traktorzyści. W przyczepie motocykla kołatała się przedziwna drewniana skrzynia, która po otwarciu zmieniała się w stół balwierza. Z jej dna wyciągał składane nóżki, z szuflad wyjmował brzytwy, nożyce, poplamione fryzjerskie prześcieradło i ręczną maszynkę do golenia. Stary fryzjer rozkładał na stole gazetę, a na kliencie prześcieradło i zaczynał szczekać swoimi

narzędziami i mleć językiem, zdając sprawozdanie ze wszystkiego, co się działo w sąsiednich osiedlach.

Był niezawodnym źródłem wiadomości i opowieści z całej Doliny.

Był tym, który przekazywał listy Szloma Lewina do swatów w miastach i zabrał go w tajemnicy do Tyberiady na pierwsze spotkanie z Rachel.

Nieraz szmuglował sekretne karteczki do Ryłowa i od niego. To on nam doniósł, że młodzież z sąsiedniego kibucu przygotowuje się do napadu na nas z zamiarem ukamienowania, że ogier ze stacji doświadczalnej wykazuje niespotykaną męską krzepę („Snop jego podniósł się i stanął”<sup>[83]</sup>, powiedział i się uśmiechnął). On to też rozniósł wieść o przygodach Uriego po tym, jak chłopaka przyłapano. Kiedy ludzie nauczyli się przesiewać jego historie przez sito logiki, zdołali powyciągać z nich ważne wnioski. Sam się zaofiarował nadśłuchiwać wszędzie pogłosek związanych z Efraimem.

Całe lata interesował się jego losem i prowadził dochodzenia, albowiem Efraim, którego strzygł w jego zamkniętym pokoju, zdobył dla niego u swoich kolegów w angielskim wojsku skórzaną pilotkę.

Przyjeżdżał do nas już pół wieku. Strzygł mojego dziadka, Efraima, Abrahama, mojego ojca i matkę, Josiego, Uriego i mnie, całą wieś.

– Jeden nauczyciel, jeden fryzjer, jedna ziemia – powiedział Uri. – Jakie przyjemne poczucie ciągłości.

Ja również przeszedłem przez jego ręce. Od razu po Lag Ba Omer posyłano do niego wszystkie dzieci na golenie głowy. Rozgoryczeni malcy kręcili się na krzesłach i awanturowali, tylko ja siedziałem grzecznie „jak niema owieczka”, tak jak kazał mi dziadek. Inne dzieci trzymał „rabbi” mocną ręką, szybkim ruchem ramienia przejeżdżał szczypiącą maszynką do golenia po ich ciemieniach i wycinał w ich uwłosieniu szeroką łysą ścieżkę od czoła aż po kark. Po czym puszczał ofiarę wolno.

– Pospiesz się, mój miły<sup>[84]</sup> – mówił i dziecko odchodziło, by

wrócić po godzinie i błagać go o dokończenie roboty.

Co roku przed świętami zarząd wynajmował „rabiego” dla tych nielicznych, którzy przychodzili do naszej malutkiej synagogi. Po świętach wracał do siebie z pieniędzmi zasupłanymi w węzełku, kilkoma związanymi kurami, skrzynką granatów i ostatnimi winogronami, a w dobrym roku nawet ze słojem śmietany.

Teraz, gdy się zestarzał i „od długich lat modlitw i prowadzenia motocykla zaczęły mu drżeć ręce”, nie powierzali mu już precyzyjnych robót w rodzaju strzyżenia i rzeźbienia; nie miał już też sił do śpiewu i dęcia w barani róg i sam znalazł nam pomiędzy swoimi krewnymi nowego kantora – pobożnego Żyda z miasta za górą. Zarząd posłał na stację kolejową Uziego Ryłowa w otwartym jeepie należącym do wydziału robót polnych. Rodzina Wajsbergów – nowy kantor, jego żona, dorosła córka i dwóch małych braci bliźniaków – wydawała się roztrzęsiona szybką jazdą, kurzem przydrożnym i nagimi ramionami Uziego. Żona i córka odtrąciły jego rękę, kiedy chciał im pomóc przy zejściu z jeepa, a już w godzinę po ich przyjeździe z mieszkania Abrahama i Rywki uniósł się i uderzył w moje nozdrza przyjemny zapach jakiejś nieznannej potrawy.

Nowy kantor był inny niż jego poprzednik. Nie znał nikogo z naszych ludzi, a ziemia Doliny w ogóle na niego nie działała. Już nazajutrz po przyjeździe jego żona powiesiła na sznurach należących do Rywki ubrania, jakich we wsi jeszcze nigdy nie widziano, a potem na werandę wyszedł Wajsberg i ćwiczył się w grze na rogu, tnąc powietrze na drżące pasy i płosząc z dachów setki gołębi.

Bliźniacy kantora zadziwili dzieci we wsi swoimi pejsami, długimi pończochami i ogromnymi aksamitnymi jarmułkami na ogolonych głowach. Oszołomieni wiejskim słońcem, świeżymi owocami, aromatem pól i obory, zakradali się na podwórza oglądać ptactwo i cielęta i cały czas szybciotko pletli coś między sobą w języku, którego z powodu ich dziwnej wymowy nikt nie rozumiał. Obawiali się szczególnie krów w rui, bezwstydnie

skaczących na siebie, i mułów, które uważali za stworzenia nieczyste, z piekła rodem. Wiejskie dzieci pokazywały ich palcami i naśmiewały się z nich, stojąc w bezpiecznej odległości. Nie śmiały się zbliżyć, dzieci kantora były bowiem inne i ogromnie dziwaczne. Pines spoglądał na nie, jakby z wysiłkiem próbował coś pojąć i przypomnieć sobie, lecz czas jego własnego dzieciństwa zatarł się mu już w zwojach mózgu.

– Ja znam te dzieci – powtarzał bez przerwy zgrzybiały starzec. – Ale nie pamiętam skąd.

Córka, ciemna i poważna jak ojciec, ubrana w długie rękawy i taką sukienkę, siedziała przez większą część dnia zamknięta w domu, lecz pod wieczór widywałem ją, jak przechadzała się pod rękę z matką po palmowej alei wsi. Różniły się bardzo od miejscowych rumianych kobiet i dziewcząt, od których bił wiejski, uwodzicielski wdzięk. Chodziły drobnymi szeleszczącymi kroczkami, oczy miały utkwione w ziemi. Matka i córka sprawiały wrażenie, jakby były nieustannie potrącane przez atletycznych gospodarzy i obnażonych do pasa wyrostków i poszukiwały obrony w małej, zaciśniętej w palcach chusteczce, w nieustannym szeptaniu i w pancerzu stroju, który z góry wykluczał wszystkie możliwości odgadnięcia i każdą hipotezę.

Pewnego dnia, pod wieczór, Buskila zaprosił całą rodzinę Wajsbergów na oglądanie cmentarza. Uri i ja przekopywaliśmy kwietniki, a Pines siedział koło nas. Buskila objaśniał gościom, kto jest tu pogrzebany, a kantor kiwał głową.

– Macie wielką zasługę w oczach Pana – powiedział. – Wielką zasługę.

Nie wiedział, że u nas grzebie się w trumnach, bez żebraków i bez modlitw.

Gdy podeszli do nas, by się przywitać, rozprostowałem grzbiet i poraziła mnie uroda córki kantora. Cera jej była wzruszającym i chwytającym za serce skrzyżowaniem oliwki z brzoskwinią. Spuściła ciemne oczy pod mocnymi brwiami o łuku zakreślonym dokładnie jak sierp. Jedyne kobiety, jakie dotychczas widziałem, były kobiety z Doliny – albo

staruchy, albo takie, które straciły dla mnie wszelki urok, bo znałem je od dzieciństwa do dojrzałości.

– Pan Jakub Pines, nauczyciel – powiedział Buskila kantorowi. – To mój szef, Baruch, a to jest Uri. Szanowny pan mieszka w domu jego rodziców.

– Błogosławieni przybysze – powiedział sucho Pines. Kantor uśmiechnął się.

– Błogosławieni zastani na miejscu – powiedział. – Dziękujemy za gościnność.

– Niech szanowny pan uważa przy wejściu do kuchni, żeby się nie natknąć na jakąś zakwaszkę – powiedział Uri.

– Przestań, Uri – nasrożył się Pines.

– Zakwaszkę? – Kantor nie znał jeszcze mojego kuzyna.

– Wszakże wy jadacie w Sądny Dzień jedynie macę, czy nieprawda?

– Wstydź się, Uri, dosyć tego – obsztorcował go Buskila. – Proszę, niech szanowny pan mu wybaczy.

– Przywieźliśmy swoje jedzenie z domu – roześmieli się bliźniacy, a ich ojciec, z pociemniałą od gniewu twarzą, surowym tonem przykazał im zamilknąć.

W powietrzu wisiała ciężka atmosfera miesiąca elul. Zamilkliśmy wszyscy. Z padesów dolatywał ostry zapach jesiennego nawożenia, a w westchnieniach gęsi Jakobiego czuło się już jesienny smutek. Obijały się o siatkę zagrody i jęczały boleśnie, gdy ukazywały się „ptaki zlatujące do Egiptu”.

– Zima i lato, jaskółka i żuraw<sup>[85]</sup> – odezwał się Pines tym samym uroczystym tonem, jakim w swoim czasie nauczał nas rytmów biblijnej poezji. Tajemniczy uśmiech na jego twarzy zdradził mi, że stary znowu przysłuchuje się zmianom sezonów we własnym ciele.

– Jak po owocobraniu, jak po winobraniu<sup>[86]</sup> – odpowiedział mu spokojny i uśmiechnięty kantor.

Czułem koniec lata w krążących po sadzie spalonych słońcem liściach, w delikatnym dotknięciu wiatru na nagich plecach, w zniknięciu turkawek i w kurczących się gniazdach os.



Osierocone pszczoły Margolisa straciły wiele ze swojego zapobiegliwego wigoru, latały ospale, szukając ostatnich winogron czy fig, które umknęły oczom zbieraczy. Nad ranem, wracając ze swoich włóczęg, widywałem na warstewce lodu pod cyprysami nastroszone trupki wronich piskląt. Mgły gęstniały, a na siedzeniu traktora, w śladach wyżłobionych pośladkami gospodarza, tworzyły się małe zimne kałuże. Po południu na niebie Doliny gromadziły się pierzaste obłoki. Pines, Rachel, Rywa i Tonia posiali w swoich ogródkach rzodkiew i kalafiory, wykopali ziemniaki, poobcinali i usunęli martwe gałęzki z krzaków pomidorów. Jedynie kwiaty na Miejscu Spoczynku Chaluców, moje pielęgnowane i dobrze odżywiane kwiaty, nie zwracały uwagi na zmianę pór roku, jaskrawiły się i wprawiały w drżenie powietrze, jak piękna córka kantora.

W rok później opuściłem wieś. Wtedy jeszcze nie potrafiłem odczytać wszystkich znaków, które to zapowiadały, lecz w owym roku czułem jesień w ostrzejszy niż zwykle sposób. W powietrzu dawał się odczuć nastrój końca i rozstania.

– *Szilhej de kajta kaszia mikajta*<sup>[87]</sup> – zacytował po aramejsku kantor, zauważywszy moją minę.

Ludzie, którzy mnie nie znają, usiłują różnymi drogami przypodobać mi się lub mnie rozgryźć. Rzucają zdanko, które ma na celu zbadanie uzwojenia mojego mózgu. Podsuwają mi dłoń, abym mógł ją poczuć i obwąchać. Nie mam do nich o to żalu. Wiem, że dziadek wszczepił we mnie coś z bydłęcia i z drzewa, ale tym razem zdjęło mnie obrzydzenie: to słowo bez wdzięku *kajta*, ta litera „te”, co wydoszła się z ust Wajsberga z lepkiem i przesadnym dźwiękiem jak wielki paluch. Wezbrała we mnie antypatia do tego człowieka, który w swoim czarnym długim płaszczu przypominał pozbawionego korzeni stracha na wróble w ogrodzie warzywnym.

W wieczór przed Nowym Rokiem poszliśmy z Urim do domu starców odwiedzić Eliezera Libersona. Buskila jeździł tam od czasu do czasu w interesach, więc miałem zamiar przyłączyć się do niego i pojechać czarną furgonetką, ale Uri powiedział: „Chodźmy piechotą”.

Znowu stapałem tą samą drogą, która jakby wypływała z moich bosych stóp i pełzła przede mną jak ciepły i pokorny wąż z piasku.

Większość staruchów zebrała się w synagodze domu starców. Śpiewali tam cienkimi, dziecinnymi i nalegającymi głosami, wytyczając i ubijając swoją ostatnią drogę. Liberson jednak nigdy nie ufał modlitwom napisanym przez innych, a Albert leżał w swoim łóżku i oddychał, elegancki i cichy, w jedwabnych falach swojej białej koszuli i w drgających skrzydełkach trzymającego go za gardło czarnego motyla.

– My, Bułgarzy, nie jesteśmy zbyt gorliwi w wypełnianiu bożych nakazów – powiedział z uszczęśliwioną twarzą. – *Por lo ke stamos, bendigamos.*

– Należy błogosławić to, co jest teraz – przełożył Liberson, który znał już większość powiedzonek Alberta. Na ogół rozmawiał z nim po hebrajsku, lecz od czasu do czasu szeptali do siebie po rosyjsku.

– Bardzo podobne do bułgarskiego – powiedział. – A na starość nauczyłem się trochę hiszpańskiego.

Siedział naprzeciw przyjaciela i trzymał między kolanami swoją laskę z chuszchaszu. Gdy położył rękę na mej twarzy i spojrzał na mnie swoimi białymi, mętnymi oczami, od razu mnie poznał.

– Jakiś ty wielki – powiedział. – Siła twojego ojca i wzrost matki.

Dopiero teraz poczuł obecność Uriego. Schwycił go za przegub ręki, przyciągnął do siebie i przesunął także i po jego twarzy czułkami swoich palców. Wstrzymał oddech. Prześlizgnął

się po czole, naciągnął delikatnie skórę na policzkach, zatrzepotał palcami nad nasadą nosa, zmiażdżoną owej nocy, gdy Uri został przyłapany i pobity.

– Wróciłeś do wsi – powiedział. – Wiedziałem, że wrócisz.

– Wróciłem – powiedział Uri.

– Wyleczyłeś się z ran – dodał Liberson. – Wszystko jest teraz w porządku?

– Tak – odparł Uri. – Ze mną jest już wszystko w porządku.

– A twoje francuskie ciele?

Zgroza uderzyła mnie pięścią w serce. Palce ślepcy zdjęły z Uriego powłokę i zeszyły aż do źródła bólu i jadu.

– Ja jestem Uri Mirkin – szepnął mój zmieszany kuzyn.

Ręka starego cofnęła się gwałtownie, jakby dotknęła rozżarzonego węgla.

– Uri Mirkin – powiedział. – Z wieży ciśnień?

Przypatrywałem się im obu, brzydkiemu starcowi, co oczarował tylko jedną kobietę, i mojemu pięknemu kuzynowi, który przespał się ze wszystkimi kobietami we wsi.

– Przyszedłem ci powiedzieć – wyznał Uri ochryłym głosem – że żałuję.

– A czy jest ktoś, kto nie żałuje? – odparł Liberson.

– Czy on ci zrobił coś złego? – zapytał Albert.

– Nie, nie – powiedział Liberson. – To dziczka, co wyrosła na polach wsi.

– To, doprawdy, piękny chłopak – powiedział Albert.

– Gdybym był obdarzony urodą tego świata – powiedział Liberson – tobym życia nie miał. Kobiety kładłyby się przede mną plackiem, jak figi do suszenia na dachu.

– *Non tiene* wstydu – stwierdził Albert.

– To nie było tak – poprawił Uri.

Liberson wstał i kazał nam wyjść na werandę. Tam przechadzał się wzdłuż poręczy, a lekki wiaterek zdmuchiwał z jego skóry charakterystyczny zapach starych rolników. Lekką woń porostów i skrzyń do przewozu produkcji rolnej, i suchego ptasiego łajna, koniczyny i mleka. Jego mocna laska i szare

robocze spodnie przywodziły na myśl siłę, która wbrew temu, co twierdził Miczurin, nie została dziedzicznie przekazana. Podniósł pałkę i wskazał na horyzont.

– Widzicie to dalekie *wadi*? Stamtąd przyszliśmy, Cyrkin i ja, wasz dziadek i babcia, obejrzyć Dolinę, wtedy gdy jej brat, ten niedołęga, był w Jaffie bankierem.

Przestał na chwilę mówić, czekał i upewniał się, czy uchwyciliśmy ironię, z jaką mówił o Szlomie Lewinie, ale myśmy milczeli. Eliezer Liberson widział Dolinę jak wypukłą mapę. Zapachy i pozostałe w pamięci obrazy pozwalały mu się orientować na mapie wspomnień. Ale ruchy jego laski w ciemności, mimo ich pewności i dokładności, napawały mnie smutkiem.

– Pełno było zbójców na drodze – ciągnął Liberson – a cała Dolina przypominała padół płaczu. Dzierżawcy o chorych oczach uprawiali małe działki i nawet w biały dzień przechadzały się tam szakale i hieny. – Powiódł laską po zarysach krajobrazu, jakby wskazywał na pokolenia. – A tam, przy tych dwóch wielkich dębach, widzicie? Tam stał namiot Jael, żony Chebera Kenity<sup>[88]</sup>, lecz myśmy zeszli aż do wyschłego kurhanu Niemców i wsiedliśmy do pociągu.

Z pokoju dobiegł nas głos Alberta, zachłystujący się z wysiłku i wdzięczności.

– Król Borys stanął przed pociągiem i powiedział: „Wy nie zabierzecie stąd moich Żydów”. Niemcom to powiedział. Nie bał się.

– To ten sam Borys, co czekał, póki Kaczka nie zakończy rozmowy z królem Anglii – powiedział Uri.

Ślepiec uśmiechnął się miłująco i litościwie.

– Albert śni na jawie – powiedział. – U sefardyjczyków jest inaczej.

I od razu wrócił do swojego tematu.

– Pracowaliśmy trochę nad jeziorem Genezaret i na tyberiadzkiej szosie, po nocach chodziliśmy kąpać się w jeziorze. Myśmy byli już w wodzie, nadzy, i przyskaliśmy na nią, a ona

zdjęła sukienkę i stała wyprostowana i obnażona jak prześliczna czapla na przybrzeżnych głazach, a myśmy wyszli do niej z wody.

– Trzy kilo tu i trzy kilo tu – dobiegi do nas cichy głos z pokoju.

– O czym on mówi? – szepnął Uri.

– Sza, sza, Albertiko – powiedział Liberson, podchodząc do drzwi.

Siedzieliśmy na werandzie. Pod ogrodem domu starców ruszała się ziemia. Larwy cykad ssały. Czekwały nasiona. Dżdżownice i pędraki chrząszczy grabarzy krzątały się w swojej zgniliznie.

– Nie byliśmy lepsi od nich – powiedział Liberson. – Urobiły nas czas i miejsce, wielu pouciekało, powinieneś to przecież wiedzieć, Baruch. Teraz oni wracają do ciebie.

– Opowiedz nam coś, Eliezer – powiedziałem nagle. – Opowiedz coś.

– Opowiadać – powiedział stary. – Dobrze, opowiem.

– Zanim spotkałem waszego dziadka – zaczął swoim znanym tonem – od razu po przybyciu do Kraju pracowaliśmy, Cyrkin i ja, przy kopaniu dołów pod sadzonki migdałów w Gederze. Okropna robota. Kręgosłup pękał, ręce pokryły się pęcherzami, a arabscy robotnicy za płotem czekali na chwilę, w której się załamamy i robota dostanie się im. I wtedy jeden z robotników odrzucił łopatę i powiedział, że idzie po wodę. Przyłączył się do niego przyjaciel, żeby pomóc. Kiedy wrócili z dzbanami, powiedzieli, że teraz będą rozdzielać wodę kopiącym, a gdy skończyli rozdzielać wodę, powiedzieli, że teraz będą liczyć jamy.

Na wargach ukazał mu się sarkastyczny uśmieszek.

– Słyszysz, Albert?! – zawołał. – Myśmy kopali, a oni liczyli. Albert nie odpowiedział i Liberson ciągnął dalej.

– W każdej grupie robotników znajdowali się liczący jamy. Na początku przynosili dzbany, potem rozdzielali wodę, potem liczyli jamy, potem liczyli ludzi, potem liczyli członków partii. W rok po tym wszystkim jechali już na kongres, a stamtąd do Ameryki zbierać pieniądze, żeby mieć coś jeszcze do liczenia.

Liberson się roześmiał.

– Cyrkin ich nienawidził, liczący jamy stali się ważnymi działaczami, nigdy nie przydzielali nam wystarczających funduszy. Zawsze pozostawiali nas u progu sukcesu, u progu głodu, na przednówku.

– *Non tiene* wstydu – powtórzył ze swojego łóżka Albert.

– A pewnego razu – ciągnął Liberson – Pesia sprowadziła kogoś ważnego z Centrum. Mieszulam był jeszcze małym dzieckiem. Siedział cały wieczór koło niego jak zahipnotyzowany. Zadawał mu niezliczone pytania. Ten człowiek, którego imienia nie wymienię, podziwiał znajomość rzeczy dziecka i odpowiadał chętnie na wszystkie pytania, a potem Pesia zabrała go do obory, żeby popatrzeć, jak Cyrkin doi krowy, a Cyrkin rzucił na niego okiem i od razu go poznał.

– A, to ty – zachichotał Mandolina. – Chodź, odnowimy naszą starą znajomość. Ja będę doił, a ty będziesz liczył krowy.

Liberson zwrócił się znowu twarzą w kierunku Doliny. Jego ręce i laska poruszały się powoli, wymacując i odczytując mapę jego tęsknoty.

– Przybyliśmy, by stworzyć wieś, własne miejsce. O, tam daleko, ta wielka zielona plama to las eukaliptusowy, któryśmy posadzili. Las, co wypił całe bagno. Jeżeli wytną drzewa, to bagno wróci i pokryje powierzchnię ziemi.

Liberson nie wiedział, że lasu eukaliptusowego już nie ma. Rok temu wielkie, kapiące sokiem drzewa wycięto i nic się nie zdarzyło. Pnie wykarczowano, a teren zasiano bawełną.

– A Pines pobiegł do *wadi* za lasem, żeby popełnić samobójstwo, kiedy przyłapał Leę całującą się z Ryłowem. Kto by uwierzył? Ciężarna kobieta. Pobiegliśmy za nim i przyprowadziliśmy go z powrotem do domu. Karabin znaleźliśmy dopiero po roku, podczas orki. Był już zupełnie spróchniały, zardzewiał i nic nie był wart, i Lea również już nie żyła. Zachorowała na rzadki rodzaj febry, taki, jakiego nie znał nawet doktor Joffe. Febra jaskiniowa.

Szybkim ruchem zakreślił laską w powietrzu linię od

zachodu na południe.

– Tam, w dalekich górach, ujrzał Eliasz tę małą chmurkę, a potem biegł przed rydwanem Achaba aż do Jezreela, o tam, i wyprzedził królewskie konie.

Wróciliśmy do pokoju. W powietrzu stał szkarłatny aromat zbyt dojrzałych astrachańskich jabłek, cisza zbliżającego się zgonu Libersona i zapach prześcieradeł Alberta.

– Ładne awantury wyprawialiście obaj, ty ze swoimi grobami, a ty z kobietami.

– Ja jestem teraz traktorzystą – powiedział Uri. – Ja pracuję.

Opuściło go poczucie humoru, jakby go z niego obłupano i postawiono obnażonego i opuszczonego przed Libersonem. Stary usiadł zmęczony na swoim łóżku. Czułem się niezręcznie, bo moje ciało zajmowało więcej przestrzeni, niż mógł pomieścić pokój, i Liberson przysunął się ciasno do wezłowia łóżka.

– Ruch lubi nas, plemię chaluców, widzieć zawsze razem. Razem przybyli, razem wybawiają ziemię, razem się osiedlają, razem umierają i są pogrzebani w szeregu wygodnym dla fotografii. Na każdej naszej starej fotografii jest rząd siedzących i rząd stojących, i jeszcze dwóch, co stoją na skrzynce i patrzą się z tyłu, i dwóch, co leżą z frontu, opierając się na łokciach i dotykając głowami. Z każdego zdjęcia trzech wyjechało z kraju. Upadli, odpadli.

– Dziadek również mówił kiedyś coś podobnego – powiedział Uri, ale Liberson nie zwrócił na niego uwagi. W otaczającej go ciemności miłosne wspomnienia były jedynym widowiskiem, jakie radowało jego pozbawione bodźców oczy. Popatrzył w okno, a ja wiedziałem, co powie.

– Tam, gdzie mieści się fabryka kibucu, była niegdyś prześliczna winnica. Tam spotkałem Fanię. – Podniósł na mnie swoje białe, łzawiące źrenice. – Pięknie postąpiłeś, że pozwoliłeś mi tam pójść; ktoś inny z pewnością próbowałby mnie ratować.

Opowiedziałem mu o bagnie Meszulama.

– To głupstwa – westchnął. – Kogo to interesuje? Marnowanie wody i tyle. – Nie wypytywał o szczegóły.

– Nienawidzę tego miejsca – powiedział nam. – Zmuszają mnie do wyplatania abażurów z rafii i do jadania kolacji o czwartej po południu.

Uri chciał rozmawiać jeszcze o jego miłości do Fani i o swoich przygodach, ale Liberson już stracił humor. Odciął się, dał nura i już go nie było. Nie zwracał na nas więcej uwagi.

– Stary pierdziel – gorączkował się Uri w drodze do domu. – Nic go nie interesuje. Planowałem to spotkanie przez długi czas, a wyście mi je obaj zepsuli. Ty swoimi fantazjami i opowiadaniem, a on swoimi wychowawczymi wspomnieniami. Laską mi pokazuje! Oni, nawet gdy są ślepi, to też widzą dalej od wszystkich i wiedzą wszystko najlepiej, ci twoi Ojcowie Założyciele.

– Czego chcesz? – broniłem Libersona. – Żona mu zmarła, pomarli przyjaciele i, moim zdaniem, bagno Meszulama przeraziło go bardziej, niż dał po sobie poznać.

– Wolałbym, naprawdę, żeby mnie zrzucił ze wszystkich schodów, niż zlekceważył. Oni zawsze byli ślepi. Zawsze mieli jeden obraz przed oczyma, po kolana w błocie i z uszami pełnymi ziemi.

– Dlaczego twoje problemy mają go w ogóle obchodzić? Czy ma wobec ciebie jakieś zobowiązania?

– Może to i lepiej – powiedział Uri. – Może moje wszystkie wyrzuty sumienia zrodziły się jedynie z tęsknoty.

– On myśli tylko o swojej żonie – powiedziałem. – To całe przedstawienie na werandzie było tylko po to, żeby pokazać, że pamięta, gdzie była kibucowa winnica.

– To chory człowiek – powiedział Uri. – Kompletny wariat. Przecież można go operować i usunąć tę głupią kataraktę. On chce być ślepy. On tego po prostu chce.

– Na co ma patrzeć?

– Moja mama miała rację – powiedział Uri. – Ci staruchowie rzeczywiście pomieszali ci rozum.

Milczałem.

– Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo tęskniłem za wsią –



powiedział Uri. – Mimo skandalu, mimo lania, które dostałem, mimo wypędzenia przyszedłem tu dwukrotnie nocą, ale od razu się wyniosłem. – Przypatrywał mi się przez chwilę i się roześmiał. – To marnotrawstwo, pozwalać ci chodzić luzem. Należy cię zaprząć do pługa czy do wozu.

– Mogę cię wziąć na ręce – zaproponowałem.

– Przestań się wygłupiać – odpowiedział.

– To dla mnie żaden problem. – Uśmiechnąłem się w głupiej nadziei. – Mogę cię ponieść na rękach stąd aż do domu.

– Co z tobą? Idź, przewracaj byki w nawozie, zamiast chłopaków podrywać. – Uri potrafił być okrutny jak łasica.

– Mogę cię wziąć na ręce, na plecy, na ramiona, jak tylko zechcesz – upierałem się, lecz Uri się nie zgodził.

– Może byś już przestał – powiedział, i tym razem zakradł mu się do głosu jakiś dźwięk urywany i wystraszony.

Szliśmy w milczeniu, a gdy zbliżyliśmy się do wsi, zobaczyliśmy wielkie zgromadzenie przy sadzie grusz Ben-Jaakowa. Już z daleka słyhać było krzyki. Kiedy podeszliśmy bliżej, ujrzelśmy znowu Meszulama w jego ohydnej szmacie, z zębatym sierpem w ręku.

– Czego chcecie? – wrzeszczał Jakobi. – Żebym postawił strażnika przy każdym zaworze?

Wokół niego ziemia ruszała się i drgała. Trzęsąc się i głośno skrzypiąc, otchłań wymiotowała ciemne błoto, brudy, kości i grube, blade robaki, które okręcały się dookoła grusz i wciągały je w kałuże jadu. Zamiast nich wyrastały na wysokość człowieka trzciny i sitowie, a Meszulam atakował je, wymachując trzymanym w ręku sierpem. Stary Arab, którego wynajął w pobliskiej wsi, orał leniwie skraj bagna i wspominał czasy malarii. Z opowiadań dziadka wylazło, chrząkając i drepcząc, małe stadko dzików. Było tam kilka wielkich samców, kilka groźnie wyglądających loch i z tuzin czy więcej szczeciniastych warchlaków o wyprostowanych, twardych ogonach. Całe stado pędziło do bagna i ześlizgnęło się do środka, by tarzać się w coraz szybciej pogłębiającym się bajorze. Podniosłem głowę. Czarne

kropki szybowały kręgami, zbliżając się coraz bardziej i wrzeszcząc jak oszalałe.

Spojrzałem na Jakobiego w ataku furii, na Uriego, na gromadę rozgniewanych gospodarzy. Przez zasłony roboczych ubrań, spieczonej skóry i twardych mięśni widziałem olbrzymie skamieliny błota czekające w ziemi przez te wszystkie lata.

Teraz ruszyły ciężkie dżamusy i zbliżyły się do nas. Ich głębokie, wilgotne nozdrza rozdęły się z przejęciem na pierwszą oznakę niewiary. Nie bałem się ich. Wszakże byłem przyzwyczajony do zwierząt. Między nimi kroczył olbrzymi jasny byk. Szerokość jego karku, grubość racic i gorąca para ulatująca mu z nozdrzy przyspieszyły bicie mojego serca. Począłem biec im naprzeciw, a gdy się zbliżyłem, zobaczyłem młodego człowieka w spodniach khaki z pszczelarską siatką na twarzy. Podpierał kuszykającego starca, niosącego zniszczoną torbę. Całe to stado przecięło pole i znikło za dalekimi cyprysami, lecz kiedy wróciłem do zalanego wodą pola i do zdziwionych, wbitych we mnie spojrzeń, zrozumiałem, iż poza mną nikt ich nie zauważył.

Po Nowym Roku przyjechał na urlop także i Josi. Usłyszałem, jak opony jeepa, hamując, miały ziemię, jak potrzaskuje głośno radiotelefon, jak dudnią biegnące i wspinające się na schody kroki, a na zakończenie usłyszałem głośny dziewczęcy krzyk, dobiegający z domu jego rodziców.

Drzwi baraku się otworzyły. Stał w mundurze ze skrzydłami spadochroniarza i innymi odznakami i żądał, by mu powiedziano, co to za świątobliwa panienska siedzi w domu rodziców.

Uri wybuchnął śmiechem. Bliźniacy się objęli. Czułem, jak na widok objawów ich wzajemnej sympatii i różnic w ich wyglądzie wzbiera we mnie złość. Josi także otrzymał list od rodziców i teraz siedzieli obaj, porównywali słowa i oglądali zdjęcia.

– Wreszcie i tato ma przyjemność z życia – uśmiechnął się Uri.

Lecz Josi powiedział, że tato mógł być instruktorem w jakimś nowym osiedlu na Wzgórzach Golan zamiast u tych Murzynów.

Stałem koło zlewu i krajałem jarzyny na surówkę. Najpierw cebulę i pomidory, potem paprykę i ogórki. Może ich świeże tchnienie uniesie się i dojdzie do krańców świata.

Było mi dobrze z Urim i pojawienie się Josiego uderzyło we mnie jak piorun. Wiedziałem, że będę musiał urządzić mu posłanie w baraku, i żałowałem, że zgodziłem się gościć rodzinę kantora w domu jego rodziców.

– Idźcie trochę pospacerować – powiedziałem. – Kolacja będzie gotowa za pół godziny.

– Co ci jest, Baruszk – powiedział Josi. – Trudno ci rozmawiać z kuzynami czy może obawiasz się, że poprosimy cię o pożyczkę?

– Ja się nie obawiam i pójdę sobie stąd w każdej chwili, gdy tylko któryś z was zechce wrócić na gospodarstwo – powiedziałem.

– Kto chce wrócić na gospodarstwo i kto mówił

o opuszczeniu gospodarstwa? – zapytał Uri. – Dlaczego od razu rozdmuchujesz każde głupstwo?

– Żeby cię stąd usunąć, będzie potrzebny oddział pomocniczy – powiedział Josi wojskowym tonem, którego nauczył się od Uziego Ryłowa, i zaśmiał się zbyt głośno. Josi śmiał się do wewnątrz, wdychając powietrze, zamiast je wydychać, i konwulsyjne brzmienie jego śmiechu doprowadzało mnie do szału. Mięśnie na moim karku się napięły.

– Gdybym nie liczył się z Urim – powiedziałem mu – wyleciałyś teraz oknem prosto w jeepa.

– Koledzy – powiedział Uri. – Koledzy, uspokójmy się, okay? Baruch, Josef, w tych dniach, kiedy Ruch rozgląda się wokół i nie wie, do czego powinien teraz dążyć, nie będziemy marnowali energii na bezowocne spory. Lata minęły, odkąd siedzieliśmy tak we trójkę. Trzech wnuków jednego jedynego dziadka, chaluca, osuszającego i ukwiecającego. Oklaski dla Jakuba Mirkina.

– Dwóch wnuków i Jean Valjean – powiedział Josi.

– Lepiej być cielakiem dziadka niż synem twojej mamy – odparowałem.

Josi wstał i oświadczył, że idzie wyjąć radio z jeepa.

– Co miało oznaczać to genialne chińskie przysłowie? – zdziwił się Uri.

– Wy przynajmniej macie matkę – odparłem.

– Nie bądź tak dramatyczny – rozgniewał się. – Nie po raz pierwszy słyszę, jak gadasz głupstwa, ale znam cię dosyć dobrze, żeby wiedzieć, kiedy pleciesz naprawdę.

– Idź, zawołaj brata; sałatka gotowa, a jajka usmażę, jak już będziecie siedzieli przy stole.

Uri wyszedł i obaj wrócili dopiero po upływie pół godziny.

– Byliśmy na cmentarzu – powiedział Josi. – Boże wielki, coś ty zrobił z gospodarstwa naszego taty?

– Wasz tato postanowił wyjechać za granicę – odpowiedziałem. – A wy obaj oświadczyliście, że nie wracacie na gospodarstwo, więc nie miej teraz pretensji.

– Dość tego – powiedział Uri. – Teraz jemy albo was zostawiam tutaj, a sam idę poszukać sobie jakiejś dziewczuchy, żeby z nią wleźć na wieżę.

Po jedzeniu uspokoiliśmy się i poszliśmy się mocować do opuszczonej stodoły Meszulama, bo w naszym obejściu nie było już bel słomy.

– Bliźnięta w walce z potworem – dyszał Uri przyklepiony do mojego karku, usiłując zdławić mnie za gardło, w czasie gdy Josi podskakiwał przede mną i walił mnie czołem i pięściami.

Śmieliśmy się wszyscy do rozpuku. Do skóry przyklepiała się nam sieczka i czepiała włosów na głowie i piersi. W końcu zrzuciłem Uriego na słomę, postawiłem na nim nogę, żeby się nie ruszał, a Josiego złapałem za pasek i podrzuciłem w powietrze. Teraz już nie płakał, tylko otworzył gębę i wyrzaskiwał wojskowe bojowe okrzyki zduszonym od śmiechu głosem.

Od strony Baraku Pierwszych widać było zbliżającą się lampę naftową, kiwającą się w ciemności. Do stodoły wszedł wystraszony i gniewny Meszulam.

– Komendancie! – zakrzyknął Josi.

Uri skoczył na Meszulama i wyrwał mu z ręki lampę.

– Wracamy z randki z zaworem – zapytał – czy przyszliśmy, tak sobie, podpalić stodołę?

Meszulam rozzłościł się.

– Co wy tu robicie? – zapytał tonem nieznoszącym sprzeciwu. W czarnej, mokrej halce Pesi wyglądał jak małe, wzruszające wronie piskłę.

– Zgrywa się – stwierdził Josi.

– Bawiliśmy się, ot, tak sobie, Meszulamie – powiedziałem.

– Chodźmy stąd.

Uri szedł tyłem, zwróciwszy w stronę Meszulama kpiącą twarz.

– Znasz reguły – powiedział. – Zanim zaczniesz gonić za nami, odlicz do stu.

Mój dobry humor się rozwiął. Wracaliśmy do domu, lecz po drodze Josi poprosił, żebyśmy zaszli na chwilę na cmentarz.

– Pewnie jest tam strasznie pięknie w nocy, z tymi białymi kwiatami i nagrobkami.

Otworzyłem bramę. Tłuczony kamień chrząścił pod stopami. Wokół grały świerszcze. Bliźniacy oparli się o grób dziadka, a ja usiadłem na różowym nagrobku Rozy Munkin.

– Ile bierzesz za grób? – zapytał Josi.

– To zależy. Od bogatych staruchów z Ameryki biorę po sto tysięcy dolarów. Buskila wie dokładnie.

– Jesteś milionerem – powiedział Josi wyższym niż zazwyczaj głosem. – Jesteś po prostu milionerem. Czy wiesz o tym?

– Nikim nie jestem – odpowiedziałem. – Pracuję dalej w gospodarstwie. Robię to, co mi nakazał dziadek.

– Pięknie – powiedział Uri. – Strasznie pięknie.

Wstał i oddalił się od nas. Słyszeliśmy, jak szcza za parkanem.

– Nie nauczyli cię w wojsku, jak szczać cicho w nocy? – krzyknął Josi. – Pomachuj nim.

– Ja usiłuję to robić, ale przez całe życie to właśnie on wymachuje mną – dobiegł z ciemności głos Uriego. – Idę spać, zobaczymy się jutro.

– Drań – powiedział Josi. – Co za drań.

Teraz, w ciemności, kiedy nie widziałem, jak z rysów Josiego spogląda na mnie twarz jego matki, i po zabawie we trójkę czułem się lepiej w jego towarzystwie.

– No, to co w końcu z tobą będzie? – zapytał.

– Czego się martwisz, przecież jestem milionerem.

– Dlaczego na mój widok stajesz się zawsze kolczasty?

– Bo jesteś denerwujący.

– A ty może nie? Ty jesteś jak wrzód na dupie. Zawsze taki byłeś. Przez ciebie naśmiewała się z nas cała szkoła. Cała wieś patrzy na ciebie jak na pomyleńca.

– A niech patrzą – powiedziałem. – Oni zazdroszczą. Przegnali stąd Efraima. Niech teraz wiedzą.

– Przestań cytować ciągle dziadka – powiedział Josi. –

A w ogóle to zastanawiające, że jedynie ty słyszałeś tę jego dziwną prośbę.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że to testament, który nie wyrządził ci krzywdy.

– Pines też słyszał – powiedziałem.

– Pines – parsknął Josi. – Też mi autorytet.

Nie wiem dlaczego, ale ta rozmowa sprawiała mi przyjemność.

– Właściwie to pierwszy raz w ogóle ze sobą rozmawiamy – powiedział Josi.

Wstał i odwróciwszy się, pochylił się nad kwiatami. Wąchał je.

Obejrzał dokładnie grób Szulamit, pochodził trochę, wrócił i usiadł przy mnie.

– Dlaczego właściwie pogrzebałeś ją tutaj? Kim ona w ogóle była?

– Tak życzył sobie dziadek.

– Tak życzył sobie dziadek, tak życzył sobie dziadek. Jeszcze ci nie zbrzydło?

– Tak sobie życzył.

– Więc przyjechałeś i zabrałeś ją czy co?

– Zabrałem ją. Jej trumna była jedyną, której nie otworzyłem przed pochówkiem. Ona była sama jedna w Kraju. Nie miała tu nikogo. Po prostu serce się kraje z żalu nad nią.

– Powiedz mi – dopytywał się. – Widywałeś ich przecież czasami razem w domu starców. Co tam było między nim a tą Szulamit?

– Ja się w tych rzeczach nie wyznaję – odpowiedziałem, a przed oczami miałem jego łysą głowę zagrzebaną między martwymi udami Szulamit.

– Coś powiedział?

– Nic.

Josi zerknął na mnie w ciemności.

– Ale z pewnością podsłuchiwałeś jak zawsze. – Czekał na moją reakcję, aż w końcu się odezwał: – Myślisz, że nie

wiedzieliśmy, że ty zaglądasz w okna i podsłuchujesz pod drzwiami?

– No, to wiedzieliście, i co z tego?

– Kiedy byliśmy dziećmi, moja mama powiedziała, że jak cię jeszcze raz przyłapie, to ci przyłoży, a tato powiedział, że jeśli dotknie cię choćby najmniejszym palcem, to on jej ręce i nogi połamie.

Milczałem. Przypomniałem sobie, jak Rywka przyglądała mi się, kiedy mocowałem się z dużymi byczkami. Nienawidziła mojej mamy, której nogi, podobne do jasnych serc dzwonów, i suknia, którą włożyła do ślubu, nie przestawały zatruwać Rywce życia, również i potem, gdy pożarły je płomienie.

– Zawsze ci zazdrościłem – powiedział raptem – że mieszkałeś z dziadkiem, że byłeś jego dzieckiem.

– I ja również sądziłem wówczas, że jestem jego dzieckiem.

– Przełknąłem zaschniętą ślinę utkwioną jak gruda kału w moim gardle. – Ale teraz nie jestem już taki pewien.

– Zazdrościłem ci, że byłeś sierotą. Kiedyś, gdy mieliśmy po sześć czy siedem lat, powiedziałem do Uriego, że gdyby nasi rodzice zmarli, to Pines zabierałby i nas na przechadzki po polach, a dziadek by nas wychowywał.

– Ale wy byście nie pochowali go tak jak ja. Ty byś się zląkł Jakobiego, a Uriego takie rzeczy nie obchodzą.

– Zawsze byłeś taki dziwny, zawsze ze starcami. Z Pinesem i z dziadkiem, z Cyrkinem i Libersonem, a wszyscy się ciebie bali, nawet wtedy, kiedy jeszcze chodziłeś do drugiej klasy. Wiesz, że nikt nie odważył się tknąć mnie i Uriego, i to tylko dzięki tobie? Bali się ciebie.

Zsunął się z nagrobka, usiadł na ziemi i grzebał w niej krótkimi, kwadratowymi palcami. Teraz począł kruszyć grudki, rozgniatając je między kciukiem, wskazującym i środkowym palcem. Był to gest, który przyswoili sobie chalurowie, kiedy przybyli do Doliny, i przekazali swoim synom, a trzecie pokolenie wsi już się z nim urodziło.

Zapadło milczenie.



– Byłbym tu został – powiedział potem. – Przysięgam, że zostałbym we wsi, i wiesz przecież, że byłby ze mnie całkiem niezły rolnik. Jedyne przez te groby postanowiłem pójść z domu, a i Uri z pewnością tu nie wróci. Tylko ty tutaj zostaniesz i pokażesz wsi i całemu światu, i zrobisz takie pieniądze, o jakich starzy nie marzyli w najśmielszych snach.

– Dlaczego wszyscy mówicie jedynie o pieniądzach? Sam widzisz, że ja tych pieniędzy nie używam. Czy kupiłem meble? Ubrania? Czy może wybudowałem tu basen pływacki? Nawet nigdy w życiu nie pojechałem za granicę.

– To pokazuje, że jesteś prawdziwym chłopem. Nikt we wsi nie umie używać życia. Ja też nie. Chłopi nie lubią trwonić pieniędzy. To strach przed nieurodzajem, szarańczą, myszami. Nogi utkwione w ziemi, oczy szukają chmur, deszczu, darmowej wody. Jedyne Uri uwolnił się od tego dziedzictwa.

– Ja pilnuję, ja tylko pilnuję dziadka. Przyrzekłem mu, że go stąd nie wyciągną.

– Najbardziej lubiłem słuchać opowiadania o tym, jak cię dziadek uratował od wściekłego szakala – szepnął Josi. – Tato opowiadał nam to do poduszki. Ty siedziałeś na podwórzu i obsypywałeś ziemią kocięta, a dziadek rzucił się na szakala i połamał mu wszystkie kości.

– To była hiena, nawet w gazecie napisali, że to była hiena, a jej czaszka znajduje się do dzisiaj w gabinecie przyrodniczym w szkole.

– Niech będzie hiena, jeżeli to takie dla ciebie ważne; co za różnica – powiedział Josi. – Chodzi o to, że właśnie ciebie dziadek uratował.

– To tylko przypadek, że właśnie ja byłem wtedy na podwórzu. Myślisz, że ciebie dziadek by nie ratował?

– Do mnie hiena by nie podeszła. Czy ty tego nie rozumiesz? Myślisz, że ona podeszła do ciebie tak sobie, przypadkowo?

Zdumiałem się. Nie przypuszczałem, że Josi tak to widzi.

– Czasami podczas tych długotrwałych zasadzek na granicy, kiedy całymi nocami nie śpię i zaczynam widzieć postacie, i mam

przywidzenia, obawiam się, że nadchodzi Szyfris i wstępuje na miny przy granicznych zasiekach lub że jakiś żołnierz krzyknie „stój”, a ten stary idiota nigdy się przecież nie zatrzyma w swojej wędrówce do Kraju i ktoś go w ciemności postrzeli.

– On nie przyjdzie – powiedziałem. – Szyfris to taki wymysł dziadka.

– Dziadek był mimo wszystko kimś wyjątkowym, postacią dużego kalibru – powiedział Josi. – Inaczej nie zjeżdżaliby się z całego świata, żeby się dać tutaj pochować.

– Ów dzień, ten z hieną, należał do lata. Był bardzo jasny i przezroczysty – powiedziałem. – Dzięki Pinesowi pamiętam wszystko według pór roku.

– Chodź, przejdźmy się trochę, zimno mi – zaproponował.

– Twój ojciec urodził się w miesiącu siwan – opowiedziałem mu. – Podwójne wesele odbyło się jesienią. Babcia zmarła na wiosnę, Ryłowa rozsadziło zimą, Cyrkin też zmarł zimą, Fania zmarła w końcu lata, a dziadek odszedł na jesień. A ja siedziałem przy nim trzy dni i trzy noce – opowiadałem. Po raz pierwszy w życiu ja też opowiadałem historię. – Wasz tato wchodził i wychodził, lekarz przyszedł i odszedł, byli tam przyjaciele dziadka, Cyrkin i Liberson, i Szyfris, i Pines. Z wielkiego zmęczenia, tak mi się wydaje, nie wiedziałem już, co się ze mną dzieje.

On leżał na łóżku, na kłującym materacu z morskiej trawy, jego biała skóra była otulona nową piżamą, a ja podniosłem się ciężko i wyszedłem na dwór, na polne drogi, które mnie nigdy nie zawiodły. Jesień jak zwykle zaatakowała wieś zwiędłym deszczem liści i strachliwymi, smutnymi krzykami tchórzliwych piskląt wędrownych ptaków, które nie chciały odlatywać. Szedłem schodzącym w pola, wyżłobionym przez koła wozów szlakiem, deptając ostatki pożółkłych chwastów jeszcze sterczących pośrodku. W sadzie i w rynnach obór rozpadały się już gniazda sikorek i mysikrólików. Za zagrodą dla byków ujrzałem znieawidzoną ciężarówkę handlarzy bydłem, a na niej trzy pokorne byczki. Przepychała się pomiędzy konnymi bryczkami

i amerykańskimi samochodami, jakich nigdy dotychczas we wsi nie widziano. Kręcili się tam ludzie w wytwornych ubraniach i wysokich, okrągłych kołnierzykach i spacerowały dzieci w czarnych lakierkach.

Dziwiłem się, kto opowiedział tym obcym ludziom o agonii dziadka, lecz się nie zatrzymałem. Szedłem aleją drzew świętojańskiego chleba, których ciężki zapach wprawiał przechodniów w zmieszanie.

„Palma i karob są drzewami dwudomowymi. Jedno męskie drzewo może zapłodnić dziesiątki żeńskich”, odezwał się tuż za moimi plecami Pines.

Usłyszałem głos źródelka, usiłującego jurnie wytrysnąć, mimo iż płynęło wątłym prądem końca lata, i aromatyczną fermentację gnijących, delikatnych owoców, które w przeznaczonej im porze pospadały na ziemię, a teraz wydawały ciche, oszałamiające odgłosy pęknięcia. Chowaliśmy całe lato w belach siana żółte gruszki gentile, które nagrzewały się i pachniały słodkimi oparami fermentacji. Ich miąższ rozkładał się i rozpływał wewnątrz łupiny, a na jesieni były już podobne do błoniastych jaj, napełnionych upajającym sokiem. Wtedy wyjmowaliśmy je ostrożnie, wbijaliśmy zęby w łupinę i wypijali z ich wnętrza ten odurzający sok.

– Pamiętam – powiedział Josi. – Jak likier.

Nad wszystkim panowała susza i przeczucie końca. Cykady już dawno zamilkły, ucichło pewne siebie bzyczenie os i poganianych upałem chrząszczy, i tylko małe kupki kamyków i rozrzuconych plew znaczyły gniazda rudych mrówek. Lecz w zielonych pardesach grubiały już z powolnym szmerem załężnie szamuti, a na swoich szypułkach nabrzmiewały grejpfruty. W zapłodnionych jajach indyczek podwajała się liczba komórek. Zamrożone nasienie tajało w krowich macicach. Mleko i miód, sperma i sok płynęły w jesień.

W powietrzu stał zapach palonego pola. Ziemia otwarła się do siejby. Zawsze pachniała deszczem, mimo że jeszcze nie spadł.

„W ten sposób podnieca ona chmury, żeby spuściły na nią

wodę”, powiedział idący w ślad za mną Pines.

W sercu gnieździł mi się straszliwy smutek. Żal mi było skłaniającego się ku śmierci dziadka, którego już żaden lekarz nie zdoła uleczyć z jego decyzji. Żal mi było swojego życia i domu Mirkinów, gdzie wraz ze śmiercią mojego ojca i matki zmarła również jedyna miłość, jaka wspięła się ukradkiem do jego okien.

Przy źródle kwitły jeżyny i małe dziecko nuciło piosenki między cierniami. Naprzeciw mnie wyszedł bosy chłopak o grubych rysach, krzepki jak wół. Niósł małe dzbanki z mlekiem prosto od krowy, zamyczał, przymknął oczy i czekał na pogłaskanie po karku.

„Pójdźmy stąd, moje dziecko, pójdźmy stąd”, powiedział Pines i z niepojętą u niego siłą odepchnął mnie na stronę.

Była jesień, sznury pelikanów i bocianów ciągnęły już ponad moją głową na południe, rzucając na Dolinę cienie swych olbrzymich skrzydeł. Wiedziałem, że wkrótce powrócą zięby, osiedlą się w drzewie granatu i będą bronić swojego domu głośnym ćwierkaniem. Po nich przylecą w wielkich wirujących chmarach nakrapiane białymi kwadratowymi plamkami szpaki, zawojują Dolinę i pokryją odchodami ziemię.

Moje bose stopy wyczuwały drżące w ziemi olbrzymie ślimaki, czekające na pierwszą wodę, która je obudzi i zmusi do zatopienia w sobie nawzajem swoich krzemionkowych ostrzy. Bulwy zimowita już wypuściły pęcherzyki w kierunku wierzchniej warstwy ziemi.

„Wkrótce na nasze pola przyleci siewka i będzie kiwała czubkiem i chodziła po bruzdach”, krzyknął za mną Pines.

Szedłem coraz dalej między wzgórze po sierocych ścieżkach prowadzących w kierunku góry, a im bardziej oddalałem się od domu, tym bardziej wzmacniał się uparty zapach omanu i drewniały poduchy *Sarcopoterium*. Na błękitnej górze, na którą nigdy się jeszcze nie wspiałem, kwitły już giętkie różgi cebulicy, a białe nakrapiane pączki kaparów osłaniały ciernie gotowe podrzeć na mnie skórę.

Po drugiej stronie góry ciągnęły się zielone równiny i tylko

powiew wiatru, i falowanie zielonej pszenicy świadczyły o tym, że nie jest to morze. Płynęła tam szeroka rzeka, kąpały się w niej kobiety o białych piersiach, do jej brzegów tuliły się małe wioski, a w dali ziemia opadała ukośnie i znikła w ruchomej, zamglonej poświacie.

Wyły tam białe polarne wilki, wiatr igrał liśćmi brzoź. Była to ziemia rozległa. Tak wielka, że widnokrąg nie dotykał jej krańców, a tylko wznosił się i drgał. Odwróciłem się i uciekłem stamtąd jak dziecko, co otwarło zakazaną skrzynkę.

A wtedy widoki i sny przestały unosić się z dziadkowego ciała i wiedziałem już z pewnością, że umarł.

– Interesujący system stwierdzania zgonów – powiedział Josi. – Opowiedziałeś o tym doktorowi Munkowi?

– Dziadek zmarł, gdy skończyły się sny – powiedziałem. – Tak umierają oni wszyscy, prawda?

Po Nowym Roku Josi wrócił do wojska. Gdy ścisnąłem mu rękę, zanim wsiadł do jeepa, czułem jeszcze podejrzliwość w jego napiętych mięśniach. Uri pozostał w domu i pomagał mi w robocie. W tym czasie zmarła Tonia Ryłow, a gdy ściągnęliśmy ją z Urim z nagrobka Margolisa, pszczoły nie wypełniły nawet pozostawionej przez nią przestrzeni. Dani Ryłow stał obok i jęczał dziwnym, wysokim głosem.

– Posłuchaj go – szepnął Uri. – On po prostu nie umie płakać. Jego tata nie nauczył go tego.

W dniach, które nadeszły, nie przestawaliśmy kopać. Owadzi mózdek Daniego Ryłowa zrodził niespodziany problem: czy pochować Tonię obok butów jej męża, czy też obok Margolisa? Ze swoim ogromnym brakiem taktu Dani poszedł nawet zapytać o zdanie Rywę Margolis, a ta wyjęła trzymaną w ręce ścierkę, zepchnęła go z umytych schodów i powiedziała, że jeśli o nią chodzi, to może nawet otworzyć grób jej męża i „wepchnąć do środka swoją mamę razem z brudnymi butami swojego taty”.

Każdego ranka zmieniał zdanie i przychodził do mnie w łzach. Zaskoczony rozterką grubiańskiego tuczyciela cieląt, kopałem i przenosiłem Tonię pięć razy z miejsca na miejsce, mimo złego zapachu i żądlenia rozgniewanych pszczoł. Nawet Uri, który normalnie nie wahałby się dowcipkować na temat wędrówki zwłok po podziemnych przejściach, powiedział, iż Tonia jest w najwyższym stopniu godna, żeby się z nią liczyć, „choćby tylko przez to oddanie; z palcem w ustach, wśród pszczoł, przez te wszystkie lata, w żar i w deszcz”.

Na moje szczęście rozżłościł się Buskila.

– Dosyć tego! – powiedział Daniemu ostro i stanowczo. – Koniec z tym hańbieniem zmarłej. Co to? Czy to zdechły kot? Gdzie twój szacunek dla rodziców?

– Już wkrótce Sądny Dzień. Co on sobie myśli? – dodał.

Potem zaprosił powtórnie mnie i Uriego, żebyśmy przyszli do niego i spędzili Sądny Dzień w towarzystwie jego rodziny,

mieszkającej w sąsiednim miasteczku.

– Przyjdźcie, pójdziecie do marokańskiej synagogi, zobaczycie, że w tym kraju znajdują się również i Żydzi.

– Chodź, pójdziemy do nich – powiedział Uri. – To może się okazać zabawne.

– Możesz pójść sam, ja tych rzeczy nie lubię. Od kiedy odnoszą się u nas poważnie do Sądnego Dnia?

– Sam nie pójde – powiedział Uri.

Zostaliśmy w domu. Po południu przyszli mali bliźniacy Wajsberga. Stanęli na progu baraku w czarnych jarmułkach jak dwoje piskląt bulbula, zawstydzeni i dumni zarazem.

– Przyjdźcie do nas na kolację przed zaczęciem postu – powiedzieli.

– Pójdźmy do nich, Wajsberg mi przebaczył – powiedział Uri.

– Nie idę – odparłem. – To mnie nie interesuje i nie lubię jeść kolacji o czwartej po południu.

– Ja zajdę do nich.

– Rób, co chcesz.

O czwartej po południu zdjąłem koszulę, stanąłem pośrodku podwórza i porąbałem kilka kłoców. Polana ułożyłem w stojącym przy ścianie baraku piecu, potrącałem nimi umyślnie o huczącą żelazną ściankę. Podczas gdy mój kuzyn siedział w domu swoich rodziców, obżerał się przysmakami kantora i sycił oczy urodą jego córki, ja siedziałem na małej taburetce dziadka pod strumieniami gorącej wody.

Szorowałem się, poczerwieniałem, otoczyłem się kłębamii pary i wsłuchiwałem w huczenie komina za ścianą. Wiedziałem, że i oni słyszą, że w piecu płonie ogień, i że wszyscy zachowują się tak, jak gdyby nic się nie działo.

Przed wieczorem, gdy kantor z rodziną poszli do synagogi, Uri wrócił do baraku.

– Nie idziesz się modlić? – zapytałem, starając się, by zabrzmiało to złośliwie.

– Dziś wieczorem nie, ale jutro pójde – odpowiedział

poważnie.

Przez większą część roku synagoga wsi stała pusta i osierocona, a ludzie należący do drugiego i trzeciego pokolenia omijali ją z daleka. Staruszkowie, będący w czasach swojej młodości zdecydowanymi bezbożnikami, a potem ludźmi obojętnymi, zaczęli w swych ostatnich latach interesować się nią od nowa. Byli wśród nich tacy, co umocnili się jeszcze bardziej w swojej niewierze, ale również i tacy, których ogarnęła trwoga i żal za grzechy i którzy w każdą sobotę modlili się żarliwie, a nawet z płaczem. Tych nazywał Liberson „towarzyszami pełzaczami”, przezwiskiem, którego znaczenie było dla mnie niejasne, ale jego styl i intonacja przemawiały dobitnie i wyraźnie.

– Jak tam ona? – zapytałem.

– Jak kto?

– Młoda kantorówna.

– Siedziała jak jałówka z głową w żłobie – roześmiał się Uri.

– Cały czas patrzyła w talerz i nie powiedziała ani słowa.

Wszystko, co mogłem dostrzec, to odcinek czoła szerokości kilku palców i sześć metrów niebieskiej tkaniny.

– Ona jest ładna – powiedziałem.

– Od kiedy to spoglądasz na dziewczyny? – zapytał Uri. – Zdarzyło się coś? Chcesz o tym porozmawiać?

Nie odpowiedziałem.

– Ja mam już wprawdzie te sprawy poza sobą, ale jeszcze pamiętam – oznajmił mi.

W nocy obudziłem go i poszliśmy na cmentarz. Mimo wszystko odgrzebałem jeszcze raz Tonię i przeniosłem do Margolisa, ale nagrobek zostawiłem przy mogile z butami Ryłowa.

– Mam wrażenie, że jesteś na najlepszej drodze do domu wariatów – powiedział Uri, siedząc na grobie Szloma Lewina.

– Takiemu strachowi na wróble jak ty będzie do twarzy z brodą i pejsami – odpowiedziałem.

– Zaczynasz mi działać na nerwy; jesteś po prostu zazdrosny. Chcesz z nią zacząć, to zaczynaj. Poproś Pinesa o kilka dobrych



wstępnych zdań z Biblii, pójdź do synagogi, rób do niej słodkie oczy. Mogę cię także nauczyć kilku sztuczek.

– Nie jestem zazdrosny i nie sędzę, żeby te numery, których nauczyłeś się we wsi, zrobiły na niej wrażenie – odpowiedziałem, wyrównując łopata krawędzie grobu.

Gdy obudziłem się nazajutrz, ujrzałem go stojącego w gatkach i wychylającego się z okna baraku.

– Wstań szybko, popatrz na nich – powiedział do mnie. – Zobacz, co się tu dzieje.

Wstałem z łóżka i wyjrzałem na ulicę. Rodzina Wajsbergów wyszła z naszego podwórka w kierunku synagogi stojącej w centrum wsi. Matka i córka miały na głowach czepeczki, a na kantorze lśnił jasny chałat i olbrzymia jarmułka. Wszyscy mieli nowe gimnastyczne pantofle<sup>[89]</sup>.

– Popatrz tylko na tych sportowców – uśmiechnął się Uri. – Wracajcie z pucharem! – krzyknął za nimi.

Odwrócili się i spojrzeli na niego. Jego głowa i ramiona wystawały na zewnątrz, słoneczne plamy przesączające się przez gałęzie kazuaryny błyszcząły na nagiej skórze. Wajsberg wypowiedział tylko jedną sylabę. Dwoje cudnych oczu znów opuściło się w dół, a pod sukienką poszły w ruch obleczone w pończochy nogi.

– Chodźmy coś zjeść – powiedział Uri. – Przygotuj mi to słynne śniadanie dziadka, tylko, proszę, bez siary.

Zjadł, a po śniadaniu powiedział, że idzie do synagogi.

– Oni mnie tam zaprosili – wyjaśnił.

– Nie jestem pewien, czy ucieszą się na twój widok po tych porannych żartach.

– Synagoga należy do wsi, a nie do nich.

Wyszedł z baraku.

Czekał mnie długi, nudny dzień. Nie miałem żadnej pilnej roboty na cmentarzu, nie miałem u kogo prosić przebaczenia, a odejście Uriego rozzłościło mnie. Zmyłem naczynia, pokręciłem się trochę po podwórzu, a potem wszedłem po schodach do mieszkania Abrahama, stąpając cichutko na czubkach bosych

palców, pochylając się i nasłuchując, czy aby ktoś z nich nie wrócił do domu, by nieco odpocząć.

Panowała tam cisza. Otworzyłem drzwi i wszedłem do środka, zanurzając się w obcym zapachu, który zdążył już wsiąknąć w ściany. W pokoju Josiego i Uriego ubrania małych bliźniaków wisiały porządnie na oparciach krzesel. Na etażerkę z zabronionymi książkami było zarzucone wielkie prześcieradło i zakrywało je przed ciekawym wzrokiem. W sypialni Abrahama i Rywki stały dwie duże surowo wyglądające walizy, a łóżka były odsunięte od siebie. Obrazy w salonie były odwrócone do ściany. Na kanapie leżała złożona codzienna sukienka, ciemna, nieprzejrzysta i cicha. Ukląkłem i ukryłem twarz w fałdach ciężkiej tkaniny, sześciu metrach grubego niebieskiego materiału.

Spłoszył mnie okropny wrzask ciekawskiej sójki. Pospiesznie zbiegłem po schodach i tym samym pędem dobiegłem aż do centrum wsi.

Szosą jak co dzień jechały traktory. Sądne Dni nie wywierały na nikim wrażenia.

„Kury nie przestają się nieść, a wymiona nie ogłaszają strajku”, napisał w gazetce Eliezer Liberson na wiele lat przed moim urodzeniem.

Oparty o ścianę synagogi, wsłuchiwałem się w błagalny szmer modlitwy zagłuszanej radosnymi krzykami bawiących się dzieci, świstami jerzyków i turkotem tłoków chłodni w mleczarni.

Zajrzałem przez okno do środka. Wajsberg kiwał się jak ogromna sowa.

Za balustradą dla kobiet siedziały jego żona i córka oraz kilka obcych kobiet, które gościły u krewnych we wsi. Kilka dziewcząt wchodziło i wychodziło, śmiejąc się cichutko, by rzucić okiem na mojego kuzyna w haftowanej srebrem jarmułce, która jeszcze bardziej podkreślała jego urodę. Mali Wajsbergowie siedzieli po obu jego stronach, podśpiewując cienkimi, piskliwymi głosami. Uri wodził oczami za ich pulchnymi paluszkami, które go prowadziły po surowych brzdach modlitw i przenosiły poprzez zapadnie tajemniczych słów.

– Za grzech, którym zgrzeszyliśmy przed Tobą nieumyślnie, za grzech, którym zgrzeszyliśmy przed Tobą kazirodstwem, za grzech, którym zgrzeszyliśmy przed Tobą, zadając się z ladacznicami, za grzech, którym zgrzeszyliśmy przed Tobą głupotą ust, za grzech, którym zgrzeszyliśmy przed Tobą złym popędem. – Wasjberg przymknął oczy i śpiewał płaczącym głosem jak ukąszony przez hienę dziadek. – A nade wszystko, Boże litościwy, wybacz nam, daruj nam, daj nam odkupienie.

Słońce skłaniało już się ku błękitnej górze, a na dworze słyhać było ostatnie radosne okrzyki kąpiących się w pobliskim basenie.

Z okien synagogi dobiegał przyjemny dźwięczny głos kantora.

– Otwórz nam wrota, gdy je już zamykasz, bowiem już skończył się dzień, dzień już się kończy. Słońce nadejdzie i odejdzie. Przyjdziemy do Twoich wrót.

A nieliczne zgromadzenie modlących przyłączyło się do niego: „Błagamy, nie czyn, błagamy, podnieś, błagamy, wybacz, błagamy, daruj, błagamy, zlituj się, zmiłuj się, daj nam odkupienie, przemóż grzech i występki”.

Powietrze było ciche, ciepłe i milczące. Nie wiał żaden wiaterek, a słowa jasne, okrągłe i całe wyruszały w swoją daleką drogę.

Nazajutrz rano wstałem i zszedłem do Miejsca Spoczynku Chaluców. Uri jeszcze spał, a Buskila przyszedł dopiero w południe. Powiedział, że był „dobry Kippur” i że w przyszłym miesiącu odbędą się chyba dwa pogrzeby – jeden mały z zagranicy i jeden duży z Tel Awiwu.

Buskila, uporządkowany i energiczny dyrektor, jeździł niekiedy do kibuców i wiosek, do domów starców i do szpitali i nigdy się nie mylił w swoich przewidywaniach.

– Jedzie zbadać towar – mawiał ze złością i pogardą Pines na widok czarnej furgonetki wznoszącej na polach słupy kurzu.

Potem widać było z daleka sylwetki bliźniąt Wajsberga i jego córki schodzących na cmentarz wysypaną tłuczonym kamieniem

drogą. Ogarnęło mnie zmieszanie i schowałem się między drzewami, lecz malcy od razu mnie zauważyli.

– Jutro wyjeżdżamy – oświadczyli.

Ich siostra przechadzała się wśród nagrobków, przez cały czas zwrócona do mnie plecami.

Wezbrała we mnie straszliwa trwoga przed moim własnym ciałem. Szepnąłem dzieciom: „Szczęśliwej podróży”, i pospiesznie oddaliłem się, zanim mógłbym popełnić czyn, którego zakończenia nie potrafiłem nawet przewidzieć. Było mi dobrze w ciemnym, głębokim spokoju mojego ciała, a teraz, wzburzony i gniewny, uciekłem i pobiegłem do baraku.

– Dokąd tak się spieszysz? – zapytał idący mi naprzeciw Uri.

– Zapomniałem czegoś – powiedziałem, a po upływie kilku minut zobaczyłem go z dachu stodoły, jak otwierał furtkę cmentarza.

Po południu poszedłem do Pinesa.

– Jakubie – powiedziałem. – Uri spędził cały Sądny Dzień w synagodze i modlił się, jakby go ugryzła hiena.

– To nic strasznego, moje dziecko, to nic strasznego.

– Chcę dzisiaj spać u ciebie – poprosiłem go.

– Proszę bardzo – powiedział.

Miał za drzwiami składane łóżko i po wspólnie zjedzonej kolacji powiedział mi, gdzie mam je postawić.

– Przykryj mnie, Jakubie.

Pragnąłem z nim rozmawiać, usłyszeć opowiadanie, poskarżyć się przed nim, że nigdy ani on, ani dziadek nie nauczyli mnie, jak walczyć z szatanem we własnym ciele.

Jego tłuste, słabe i chore ciało poruszało się z trudem. Okrył mnie cienkim kocem i z wielkiej rozkoszy i tęsknoty pokryłem się cały gęsią skórą. Powiódł w ciemności dłonią po mojej twarzy, a potem dobiegł już do mnie tylko skrzyp sprężyn jego łóżka i łagodne słowa.

Obudziłem się godzinę po północy. W mroku ujrzałem kulistą schyloną sylwetkę starego nauczyciela siedzącego bezsennie na swoim łóżku. Bez okularów przypominał

wystraszonego kreta, jakby wyczekiwał uderzenia motyką po karku.

– Co się stało, Jakubie? – zapytałem. – Czy coś jest nie w porządku?

– Milcz! – powiedział ostro Pines. – Cicho!

W powietrzu panowało milczenie. W drzewach poszeptywał lekki wiaterek, ciepły jak oddech śpiącego cielęcia. Nagle Pines wstrzymał oddech i dreszcz wstrząsnął całym jego ciałem, a słowa dały się słyszeć jasno, wyraźnie i beczelnie, i spadły jak wielkie stalaktyty pierwszego deszczu, jak skrzydła dziesięcioletniej armii szarańczy, wyzywająco i dobitnie:

– Rznąć córkę kantora!

A potem cisza. A ja nie wiedziałem, dokąd mam pospieszyć – czy do Pinesa, który zleciał z łóżka jak worek mieszanki, rzuć i walcząc o łyk powietrza, czy też do Uriego na wieżę ciśnień, którą otaczały już ze wszystkich stron krzyki i tupot biegnących nóg.

– Pomóż mi – zastękał Pines, który potrafił wyczuć wahanie w każdym żywym stworzeniu.

Ułożyłem go na łóżku i karmiłem bez przerwy, łyżka za łyżką, pocieszając niepokonanym obżarstwem, wycierając mu za każdym razem usta i podbródek.

Gdy dotarłem do wieży, były już tam dziesiątki ludzi. Wajsberg z żoną, bladzi jak amerykańscy nieboszczycy, siedzieli na ziemi. U podnóża wieży wyczekiwali atletyczni gospodarze.

Wszyscy spoglądali w górę, a wtedy ukazał się mój kuzyn, przełożył nogę przez żelazną poręcz i począł schodzić po drabinie, a za nim widniał dzwon ciemnej sukienki i uroda wzbronionych łydek, które pobłyskiwały i dzwoniły nawet przez grubą dzianinę długich pończoch. Ze strony tłumu podniósł się ryk gniewu, a ja wystąpiłem naprzód, utorowałem sobie drogę między ludźmi ruchem głowy bodącego byka, dobrze znanym każdemu hodowcy, aż znalazłem się z założonymi na piersiach rękami u stóp wieży ciśnień.

Uri zszedł pierwszy, wyciągnął do córki kantora pomocną

rękę, a ja szedłem blisko za nimi, osłaniając ich, aż doszliśmy do domu.

Jeszcze tej samej nocy rodzina Wajsbergów opuściła wieś. Uri zagrzebał się w łóżku dziadka, a Rywa Margolis zbudziła się rankiem od dochodzącego z zewnątrz smrodu.

Przez chwilę sądziła, że wrócił Bułhakow i to jego oddech zasmradza podwórze, i podskoczyła radośnie do okna, lecz gdy rozchyliła bielutkie firanki i wyjrzała przez okienną szybę, o którą tłuły się bez przerwy przyciągnięte tu tęsknotą i przejrzyistością pszczoły, zobaczyła, że to Meszulam rozbił w jej podwórzu duży licznik wodny.

Na podwórku tarzały się już brudne zwierzaki, a obrzydliwe błocko dosięgało schodów werandy. Rywa, która w przeddzień Nowego Roku umyła nawet szosę i zabroniła traktorom jeździć po mokrym, była ostatnią osobą we wsi wyposażoną w starą mieszaninę szaleństwa, wiary i nieustępliwości. Nie wahała się ani chwili i ruszyła do boju.

Rywy nie można było zaskoczyć. Otworzyła skład męża, gdzie na półkach, które niegdyś były obładowane narzędziami do wyciskania miodu i do okadzania rojów, ramkami do plastrów i słojami na miód i propolis, leżały teraz złożone w kwadraty ścierki do podłóg, a o ściany stały oparte setki mioteł i gumowych wycieraczek.

Wyposażona w te proste narzędzia i wypróbowaną Wizję, wyruszyła na swe największe ze wszystkich dotychczasowych mycie podłóg. Cała wieś wyległa, by przyglądać się staruszce, która była przedmiotem powszechnego szyderstwa, która utraciła przez swoje szaleństwo męża i stała się dla wszystkich zawadą.

Wyćwiczone ręce Rywy pracowały zręcznie gumowymi wycieraczkami, a każdy ruch kończył się dokładnym stuknięciem o ziemię. Na początku odepchnęła bagno daleko od domu, a po krótkim odpoczynku wyruszyła, by zmierzyć się z nim w ostatecznym boju. Przez trzy dni z rzędu nasączała bagnem ścierki do podłogi i wyżymała je do *wadi*.

– Teraz wszystko jest czyste – powiedziała Rywa

z zadowoleniem, skończywszy robotę.

Wyprała ścierki, wywiesiła je do suszenia i weszła do domu, żeby wyczyścić do blasku szyby.

Uri nie wrócił do pracy u brata Rywki. Przez kilka tygodni leżał w łóżku i wył niesamowitym głosem. Nechama, piękna córka kantora, jeszcze tej samej nocy została wywieziona do domu. Wajsberg nie zatrzymał się nawet, żeby się spakować.

Nie chciał odebrać swojej zapłaty, odrzucił propozycję odwiezienia na pociąg, odepchnął słowa przeprosin, żalu i bólu. Zabrał swoją żonę i dzieci i poszli razem przez pola, potykając się po ciemku na wielkich grudach i kalecząc o jesienne ciernie.

W tygodniach, które nadeszły, byliśmy zmuszeni pielęgnować Uriego, załamane pod ciężarem miłości i tęsknoty.

– Pragnę tylko jej, Nechamy – jęczał. – Tylko jej. Chcę, żebyś tam pojechał i przywiózł ją – żądał ode mnie. – Tobie nikt się nie odważy sprzeciwić. Idź tam – krzyczał. – Załaduj ją na plecy, na ramiona, weź na ręce, jak tylko chcesz. Przyrowadź ją, bo jak nie, to umrę.

Przeraziłem się. Nie wiedziałem, od czego mam zacząć. Pojechałem do Wsi Chasydów zasięgnąć jakichś wiadomości, ale oni nie chcieli ze mną mówić.

– To już nie są żarty.

Było to jedyne zdanie, jakie wypowiedział starowinka „rabbi”, siedząc na ziemi z pochyloną głową w pozycji żałobnika i czyszcząc łańcuch swojego motocykla w napełnionej benzyną i oliwą misce.

– To już nie są nasze ideologiczne dyskusje z Eliezerem. Został popełniony bezwstydnym czyn w Izraelu, bezwstydnym czyn.

Uri nie chciał się myć ani ubierać, ani jeść. Po nocach wzdychał i przywoływał ją po imieniu. Szarpał konwulsyjnymi ruchami podbrzusze, jęcząc i wachając sobie palce jak szalencie. Szukał pozostałego tam ciężkiego i słodkiego, jak niewyschnięte krople bursztynu zapachu przyrodzenia dziewczyny.

Z początku usiłowałem go namawiać, żeby jadł, potem strach ogarnął całe moje ciało i próbowałem karmić go przemocą. Łyzeczka wykrzywiła się o jego zęby, a on zwymiotował na



prześcieradło przezroczysty śluz.

Po upływie pięciu tygodni, gdy już stracił dwadzieścia siedem kilogramów i większą część włosów na podbrzuszu, przyprawiono do wsi Nechamę Wajsberg w towarzystwie trzech smętnych rabinów.

– Ona jest w ciąży – oznajmili i zabrali Uriego ze sobą.

I tak znalazłem się po raz pierwszy w życiu w mieście.

Wesele Uriego i Nechamy odbyło się na wewnętrznym, zatęchłym podwórzu, wciśniętym między kilka czynszowych domów.

Wajsberg zaprosił tylko nielicznych gości, a ze wsi przyjechali jedynie Pines i Josi. Przybył również Buskila i on jeden pamiętał o wysłaniu depeszy do Abrahama i Rywki. Rodzice Uriego przyjechali prosto z lotniska. Abraham był zły i napięty, lecz gdy ujrzał Nechamę, wygładziły mu się bruzdy na czole, jakby je wyprasowano żelazkiem, i twarz mu się rozpromieniła. Rywka była opalona, podejrzliwa i krzykliwa, ale matka narzeczonej narzuciła na nią duży, gęsto tkany szal, a ona uspokoiła się jak ptak w ciemności i siedziała cicho.

Ortodoksyjni dokonali ceremonii ślubu według wszystkich przepisów i nakazów. Od nas nie przyjęli nawet owoców. Przynieśli napoje alkoholowe i słodkie wino, tłuste pierożki z mięsem i przypalone zapiekanki z makaronów. Jedzenie podawało dwóch kelnerów, a kantor nie przestawał cicho płakać swoim dobrze nam znanym, miłym głosem.

Ciąża nie nadeła jeszcze figury Nechamy, ale jej twarz już jaśniała matowym blaskiem aksamitu, głos miała spokojny, zaskakujący swoim czarem i bogactwem.

Ortodoksi zgolili jej włosy, lecz dobry zapach wilgotnej ziemi ulotnił się już z jej głowy i wsiąkł w welon zasłaniający twarz. Nawet Wajsberg i cała jego kompania, której te zapachy były obce, zrozumieli, że panna młoda pójdzie za swoim mężem na wieś.

Potem przyszło kilku zakłopotanych grajków i grało melodie, które znaliśmy wszyscy ze wsi, i które Ojcowie Założyciele śpiewali w zimowe noce: *Rabbi Elimelech, Pragnie moja dusza*

i *W sobotni dzień*, ale żaden z nich nie grał tak jak Cyrkin-Mandolina, co „umiał szarpać jedną ręką i za struny, i za serca”. Josi, Abraham i ja staliśmy nieco z boku, niezręczni, uśmiechnięci, i patrzyliśmy, jak chasydzi tańczą niemrawo taniec poddania i rezygnacji. Pines śpiewał z nimi donośnym, głupkowskim i szczęśliwym głosem. Buskila prowadził już ciche pertraktacje z brodatym, bladym mężczyzną.

Nikt się nie śmiał, gdy na stół wdrapał się *badchan*, ani potem, gdy gruby brat Wajsberga postawił sobie na czole krzesło, a na nim siedem butelek wina i pełne kieliszki, które od razu pospadały i roztrzaskały się na podłodze.

Trochę później niebo się zachmurzyło i zaczął padać drobny, przyjemny pierwszy deszcz, a my pojechaliśmy do domu. Josi prowadził samochód, a Abraham paplał wesoło przez całą drogę. Opowiadał o gorących równikowych deszczach i o cudownych tropikalnych owocach. Buskila również usiłował żartować. Pines w dalszym ciągu śpiewał, a ja wiedziałem, że wkrótce opuszczę dom, i dlatego milczałem. Uri siedział z Nechamą na tylnym siedzeniu i trzymał ją za rękę, między palcami której tkwiła zaciśnięta mała obronna chusteczka.

Całą tę zimę byłem zajęty pomaganiem Uriemu w wycinaniu z Miejsca Spoczynku Chaluców ozdobnych drzew, w przekopywaniu kwiatnych klombów i w niszczeniu kamiennych ścieżek.

Uri palił się do pracy i był wesoły. Chciał wynająć dwie mechaniczne piły, żeby robota posuwała się prędzej naprzód. Ja jednak pragnąłem wyciąć drzewa siekierą, własnymi rękami, i wywlec na zewnątrz ich ciężkie trupy, ponieważ znów poczułem bulgoczący w moim ciele niepokój i potrzebna mi była ciężka, brutalna robota.

Pod ciosami mojego topora padały bauhinie i poincjany, białe akacje i krzewy hibiskusa. W ziemię wsiąkały kałuże soku, a ja rozłupywałem pnie i gałęzie na malutkie, pachnące klocki i składałem je porządnie w oborze na opał.

Abraham i Rywka zostawili dom młodej parze. Gdy nadeszła

wiosna, Nechama wychodziła w pole z krótko obciętymi włosami i w ciężowej sukience, która odsłaniała jej łydki. Widziałem, jak słońce obrysowuje w lekkiej tkaninie krągłość jej pięknego brzucha i miękko wygiętą przestrzeń między nogami. Josi przyjeżdżał co tydzień na urlop i we czwórkę sadziliśmy wśród nagrobków drzewa owocowe i sialiśmy zieloną paszę. Malutkie, gładkie ziarenka koniczyny były przyjemne w dotyku i ześlizgiwały się aż do opuszków palców.

Uri nie przestawał snuć planów. Nie miał oszczędności, lecz jego rodzice, wuj i ja pożyczylimy mu dosyć pieniędzy. Nechama wyczyściła oborę Abrahama i w stojących rzędem żelaznych jarzmach znów krowy myczały i słuchały muzyki, i znów stukała maszyna do dojenia.

A w końcu lata sprowadziliśmy zwłoki Eliezera Libersona. Na kilka tygodni przedtem znikł ze swojego pokoju.

– On w polach się kręci – powiedział Albert, uśmiechając się tajemniczo, i zarecytował hiszpańskie przysłowie, ale nie było już Libersona, żeby nam przetłumaczyć te niezawodne, łagodne słowa.

Wszyscy wiedzieli, że Liberson włóczy się po Dolinie, bo małe wędrujące kłęby podnoszone przez jego stopy pojawiały się i znikały w najbardziej nieoczekiwanych miejscach, lecz starzec wymykał się oczom poszukujących. Chodził po ziemi, konając z głodu i pragnienia, i nawet jeżeli mógł dojrzeć piękne, rosnące na drzewach owoce, nie miał siły ich zrywać czy otworzyć sobie zaworu wodnego. Daniel nie ustawał w poszukiwaniach, lecz Liberson, tak samo jak i dziadek przed śmiercią, zrobił się taki malutki, że nie pozostawiał po sobie żadnych śladów. Znaleźli go dopiero w kilka miesięcy potem, gdy kiburowa kosiarka do kukurydzy odsłoniła jego ptasie kosteczki.

Teraz czekałem na Pinesa.

– Kiedy on zemrze, pójdę stąd – oświadczyłem.

Lecz Uri i Nechama powiedzieli, że będą się bardzo cieszyli, jeżeli zostanę.

– Co z tobą, Baruch; my chcemy być jedynym

gospodarstwem, gdzie używa się jeszcze bydła roboczych, a nie tylko traktorów – powiedział Uri.

Uśmiechnąłem się. Nechama się roześmiała. Ssący jej pierś Efraim drgnął spłoszony, a Pines, będący najstarszym i najbardziej chorym człowiekiem w Dolinie, ostatnim z pokolenia Założycieli, nie zaprzestawał powolnego zucia nadziewanej śledziona, którą przyniósł mu i postawił przed nim z wielką ceremonią Buskila. Pines wiedział, że czekam na niego, i już od kilku miesięcy mnie ignorował.

– Możesz już stąd wyjechać – powiedział z trudem. – Kiedy umrę, nie dam się pochować u ciebie nawet za darmo.

Gdy odprowadzałem go do domu, widziałem po jego ruchach, że się boi. Nie rozmawiał już ze mną o owadach i owocach i nie kładł mi ręki na karku. Wszystkie swoje wątłe siły poświęcił ostatniej, zasadniczej walce.

– Nie będziesz mnie miał – powiedział. – Nie będziesz mnie miał.

A ja mu nie odpowiadałem. Wiedziałem, że szkoła natury oddziałująca z równą miarą przypadkowości na człowieka, jak i na zwierzęta, jest mocniejsza ode mnie i od Pinesa.

„Pchła, karaczan kuchenny, hiena, sęp, lampart, wąż okularnik są w oczach przyrody nie mniej ważni niż pies, co kocha człowieka i wiernie go strzeże, koń, co go rozumie i pracuje na niego, dziewczyna w ramionach ukochanego, dziecko modlące się na łonie matki czy człowiek w sile wieku, od którego zależy szczęście ładnej kobiety i gromadki miłych dzieci”, napisał Luter Burbank.

„Przez miłość własną staramy się ignorować tę nagą prawdę”, powiedział mi Pines, gdy byłem dzieckiem. „Osładzamy sobie ten fakt religijnymi powiastkami o Mesjaszach, o istnieniu innych światów, przesądami o edeńskich ogrodach”.

Teraz szedłem za nim jak stado hien za ranionym jeleniem, czekając, kiedy padnie. Szedłem jego śladem i nic nie mówiłem.

– Nędzny kolekcjonerze – odwrócił się i powiedział – gdybyś mógł, tobyś powbijał w nas szpilki, żeby wzbogacić swoje zbiory,

ale tej serii nie uzupełnisz do końca.

O północy zobaczyłem go, jak grzebie w szufladzie nocnego stolika. Znalazł stary klucz i wyruszył w drogę. Te pięć kilometrów przeszedł w dwa dni, a ja z tyłu za nim, zachowując odległość kilku metrów, tak jak kiedyś szedłem za Libersonem w drodze do kibucowej fabryki. Pines jednak od czasu do czasu oglądał się za siebie i wpatrywał we mnie ze strachem.

– Możesz na mnie czekać tam – powiedział. – Nie musisz za mną chodzić. Wiesz bardzo dobrze, dokąd idę.

Ale ja niosłem dalej na ramionach stary plecak z pincetkami i słoikami trutek, plecak angielskich radiotelegrafistów mojego wuja Efraima.

Stara żelazna zasuwa, która już od lat nie poruszyła się w swojej koleinie, odsunęła się, jakby ją zanurzono w oleju. Pines przystanął na chwilę przy wejściu, obrócił się do mnie i uśmiechnął.

– W pełnej świadomości – powiedział. – W pełnej świadomości. A potem pochylił się i znikł. Przypuszczałem, że odbędzie tam kilka ceremonialnych pożegnań, wyjdzie i wpadnie w moje ręce.

Pines przystanął na chwilę w pieczarze i oddychał głęboko. O jego nogi ocierały się ślepe węże przeszłości, starodawne, afrykańskie lądowe raczki ochoczo wpełzały mu na skórę, a ja z mojego miejsca na zewnątrz pieczary pojąłem nagle, co się święci, i zacząłem biec naprzód, krzycząc i skomląc. Lecz nauczyciel z niebywałą zręcznością pokuśtykał już dalej, do wnętrza, wymacując drogę, potykając się i ześlizgując po wilgotnej ziemi, aż doszedł w końcu do wielkiej tafli łupku broniącej zejścia w niezbadaną otchłań. Wyjął z kieszeni mały młoteczek i macał, aż znalazł punkt, który mu wskazał stary kamieniarz z Nazaretu.

Pines podniósł swoją słabą rękę, lecz nie miał siły uderzyć; opuścił ją tylko bezsilnie na najmniej odporny punkt na powierzchni skały.

Dzwonienie słyszać było wyraźnie również i poza pieczarą.

Przez chwilę nie działo się nic, a potem z samego rdzenia kamienia dobiegł odgłos kruszenia i rozdarcia, z przerażającą szybkością pobiegły po nim szczeliny i złamał się cały jak tafla szkła. Pines wślizgnął się do środka, staczając się między ostrymi odłamkami, i został pogrzebany pod dziesiątkami ton ziemi w owych zamarzłych erach, między kośćmi swych przodków, których wiek był równy wiekowi świata, między swoimi jednokomórkowymi przyjaciółmi i bakteriami, co poprzedzały wysuszenie bagien i stworzenie światła. Na powierzchni drżało słabiutkie echo, którego nie mogłem uchwycić uchem, a wyczułem jedynie stopami bosych nóg.

Księżyc w pełni dziurawił niebo, a pode mną rozścielała się calutka Dolina, oświetlona i wyraźna jak biały jedwab. Myślałem sobie, że tak ją widział Liberson, zanim całkowicie ośleplł, kiedy błona na jego oczach była jeszcze na wpół przezroczysta, tuż przed śmiercią Fani.

Rozejrzałem się dookoła. Płachty nylonu na działkach błyszczały jak wielkie jeziora mleka, drzewa i stodoły sterczały jak ogromne bryły, a między nimi lśniła wielka nowa kałuża. Drzewa owocowe, które posadził Uri na moim cmentarzu, jeszcze nie wyrosły i nagrobki bieleły między nimi jak potężne przelotne ptaki, co przysiadły odpocząć na ziemskiej skorupie.

Głowa obracała mi się powoli, jakby była osadzona na osi, sówka wróciła do smrodu swoich piskląt i biła mi pokłony z odwieczną ironią, a ja zszedłem do wsi.

Całą tę noc przewracałem się na łóżku i nie zasnąłem. Nad ranem wdrapałem się jak duży niedźwiedź, powoli i z wielkim hałasem, na kazuarynę, która rosła naprzeciw okna sypialni Uriego i Nechamy, żeby się z nimi pożegnać. Tam, skurczony pośród gałęzi, z głową pełną igieł kazuaryny, słyszałem ich oddechy, a potem głos Nechamy, która jeszcze nie utraciła swojej dziwnej, szybkiej wymowy.

– A teraz – powiedziała – krzyknij to jeszcze raz.

Roześmieliśmy się wszyscy troje. Uri i Nechama w swoim pokoju, a ja między konarami potężnego drzewa, na którego korze

połyskiwały jeszcze blizny pozostawione przez hamak moich rodziców.

Kilka tygodni potem oznajmił mi Buskila, że nabył dla mnie dom, i powiózł mnie razem z workami pieniędzy do willi bankiera.

Mam dzisiaj trzydzieści osiem lat i ciało moje znów ogarnął spokój. Przestałem też rosnąć i moja waga pozostaje stale, tak jak to odnotowałem w starym notesie dziadka, w granicach stu dwudziestu siedmiu kilogramów, około siedmiu pudów. Od czasu do czasu przyjeżdża Buskila w czarnej furgonetce, żeby mnie zabrać do wsi, w odwiedziny do Uriego, Nechamy i czworga ich małych dzieci.

Byłem u nich zeszłej wiosny. Przywiozłem Uriemu jeszcze trochę pieniędzy, a on objął mnie znużonym gestem. Nechama z uśmiechem uścisnęła mi rękę, a czworo maleństw rzuciło się na mnie, świergocząc, podskakując i usiłując podstawić mi nogę i wyrzucić mnie na podłogę. Po obiedzie zabrałem je na przechadzkę po polach. Robię to podczas każdej wizyty. Te większe, Efraima i Ester, sadzam sobie na ramiona, a Beniamina i Fejgę, która bardzo się uskarża na imię nadane jej przez rodziców, niosę pod pachą.

Poszliśmy wszyscy razem zobaczyć czerwone proporczyki natury, małe dzikie kocięta i królowe os. Potem odwiedziliśmy groby dziadka i jego towarzyszy. Uri powtykał przy nagrobkach wysokie jak maszty tyki, a na nich purpurowe szmaty, bo nie można było dojrzeć mogił w gąszczu bawełny i zboża, w gęstym urodzaju kukurydzianych kolb i drzew owocowych.

A jeszcze później chodziliśmy boso po polnych drogach i wspięliśmy się na wzgórze. Dzieci kręciły się, a ja siadłem sobie przy żelaznych pokrzywionych drzwiczkach, spoglądałem w ślad za lecącymi na północ pelikanami, patrzyłem na pokrywający Dolinę kraciasty kobierzec pól i na mur błękitnej góry.

– Popatrz. – Fejga pociągnęła mnie za połę. – Popatrz, wuju.

Jej brązowe oczy roziskrzyły się zielonym i żółtym światłem, a słońce skurczyło jej źrenice tak, że wyglądała jak puchacz,

którego drażnią, znalazłszy jego kryjówkę, dzienne ptaki.  
W kącikach ust igrał jej wiecznie strwożony uśmiech. Małą rączką  
wskazała na imię mojej matki. Kiedyś, dawno temu, Daniel  
Liberson wyorał je w ziemi i co roku wiosną maluje je na nowo  
niebieskimi, olbrzymimi literami z bławatków.



## SŁOWNICZEK

*abaja* (arab.) – arabska opończa

*abu-chams* (arab.) – rodzaj karabinu

adar – hebrajski miesiąc księżycowy przypadający na luty/marzec

agama – gatunek jaszczurki

alija (hebr.) – fala imigracji żydowskiej do Palestyny, a później do Izraela

druga alija – fala imigracji przed pierwszą wojną światową

trzecia alija – fala imigracji tuż po pierwszej wojnie światowej

Baal Szem Tow (ok. 1700–1761) – twórca chasydyzmu

*badchan* (hebr.) – wesolek wynajmowany do bawienia gości na ortodoksyjnych weselach

bar micwa (hebr.) – konfirmacja

Ben Gurion Dawid (1886–1973) – pierwszy premier państwa Izrael

Bialik Chaim Nachman (1873–1934) – wybitny poeta i pisarz, tworzył w języku hebrajskim; zwolennik i ideolog syjonizmu

Borochow Dow-Ber – ideolog socjalistycznego syjonizmu

Bremer Josef Chaim (1881–1921) – pisarz eseista, ideolog i działacz syjonistyczny

bulbul – gatunek śpiewającego ptaka

chaluc (hebr.) – pionier

*chamec* (hebr.) – pożywienie podejrzane o kontakt z zakwasem, które należy zebrać i spalić przed świętem Pesach

Chenkin Jehoszua – działacz syjonistyczny

*chuszchasz* (hebr.) – dziczka cytrusowa

Czernichowski Saul (1875–1943) – wybitny poeta; tworzył w języku hebrajskim

dabuki – gatunek winogron

*deba* (arab.) – hiena

druzowie – sekta arabska mieszkająca w górach w Izraelu, Libanie i Syrii

dunam – miara powierzchni ziemi równa mniej więcej 0,1 hektara

dżamus – wodny bawół

elul – hebrajski miesiąc księżycowy przypadający na sierpień/wrzesień

*fantasija* (arab.) – brawurowa jazda konna

gekony – malutkie, żyjące w domach jaszczurki

Gordon Aron Dawid (1856–1922) – pisarz, ideolog socjalistycznego syjonizmu

Hamaszbir – spółdzielcza sieć zaopatrzeniowa

Haszomer – militarna organizacja do obrony pól i osiedli, powstała w 1908 roku, w okresie panowania tureckiego; w czasach mandatu brytyjskiego część członków weszła do powstałej ok. 1920 roku Hagany – tajnej organizacji zbrojnej walczącej z Anglikami

Histadrut – zrzeszenie związków zawodowych

*jek* – przezwisko nadawane żydowskim uchodźcom z Niemiec

jeszybot – wyższa szkoła religijna

karob – drzewo świętojańskiego chleba

*kefia* (arab.) – arabska chusta na głowę

Lag Ba Omer – święto przypadające na trzydziesty trzeci dzień po Pesach

medżid – turecka moneta

*mohar* (arab.) – wykup płacony rodzicom narzeczonej wedle muzułmańskiego zwyczaju *msamsam* (arab.) – dłuto

*muchtar* (arab.) – odpowiednik wójta, mianowanego przez administrację

*nabut* (arab.) – maczuga

nisan – hebrajski miesiąc księżycowy przypadający na marzec/kwiecień

*ole* (hebr.) – imigrant

*olim* – imigranci, liczba mnoga od *ole*

Palmach – bojowa organizacja do walki z angielskim okupantem

pardes – sad pomarańczowy

pensylaria – roślina pastewna

Pułk Pracy – grupa chaluców, zorganizowana na zasadzie komuny, która nie osiadła na roli jak inne, ale wynajmowała się do różnych prac, najczęściej drogowych

pyretrum – środek owadobójczy otrzymywany z kwiatów złocienia dalmatyńskiego i kaukaskiego

rotl – turecka miara wagi

salti – gatunek winogron

satsuma – gatunek śliwek

*schune* (arab.) – malaria

siwan – hebrajski miesiąc księżycowy przypadający na maj/czerwiec

skolopendra – jadowity stawonóg o licznych parach nóg

sorgo – roślina pastewna

spaniolski – język Żydów sefardyjskich, wywodzący się ze starohiszpańskiego, jak jidysz – język Żydów aszkenazyjskich – wywodzi się ze staroniemieckiego

*szajgec* (jidysz) – łobuz

szamuti – gatunek pomarańczy

Szawuot – Święto Pierwszych Płodów, przypadające mniej więcej w okresie Zielonych Świątek

szwat – hebrajski miesiąc księżycowy przypadający na styczeń/luty

*tabun* (arab.) – gliniany piec w podwórzu

tamuz – hebrajski miesiąc księżycowy przypadający na czerwiec/lipiec

wadi – wyschnięte latem koryto rzeki

walencja – odmiana późnych pomarańczy

Weizman Chaim (1874–1952) – pierwszy prezydent państwa Izrael

## PRZYPISY

[1] Księga Ezechiela 23,20. Cytaty z Biblii według wydania Brytyjskiego i Zagranicznego Towarzystwa Biblijnego, Warszawa 1985 (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

[2] II Księga Samuela 19,35.

[3] Księga Izajasza 29,15.

[4] II Księga Mojżeszowa 22,2.

[5] Najwyższy urzędnik administracji brytyjskiej w czasach, gdy Palestyna była mandatem brytyjskim.

[6] Księga Joba 13,16.

[7] Księga Amosa 1,3.

[8] Urzędnicy barona Rotszylda, który finansował osadnictwo, przeważnie Żydzi z Francji, bardzo nielubiani przez osadników.

[9] Znana działaczka syjonistycznego ruchu robotniczego.

[10] Pisarz i działacz syjonistyczny.

[11] Model karabinu maszynowego.

[12] Materiał wybuchowy.

[13] Księga Ezechiela 34,27.

[14] II Księga Mojżeszowa 28,40.

[15] Przypowieści Salomona 27,18.

[16] Pieśń nad Pieśniami 6,11.

[17] Księga Joba 39,5.

[18] Na trzydziesty dzień po pogrzebie zbiera się u grobu rodzina i przyjaciele na modlitwy i odsłonięcie pomnika.

[19] I Księga Królewska 4,25.

[20] Aluzja do kamienia na studni w rozdziale 29 I Księgi Mojżeszowej.

[21] W piśmie hebrajskim nie oznacza się samogłosek. W wyjątkowych wypadkach, np. w książkach dla dzieci lub w poezjach, zaznacza się je systemem kropek pod lub nad spółgłoskami.

[22] Siedem gatunków roślin uprawnych wspomnianych w Biblii: drzewo oliwne, palma daktylowa, figowiec, granat,

winorośl, pszenica i jęczmień.

[23] I Księga Samuela 18,1.

[24] Aluzja do przyjaźni Dawida i Jonatana opisanej w dwóch Księgach Samuela.

[25] Piosenka śpiewana przez australijskich żołnierzy stacjonujących w Palestynie.

[26] I Księga Mojżeszowa 24,57.

[27] Pozwolenie na wyjazd do Palestyny, wydawane przez brytyjskie władze, które było sposobem ograniczania imigracji.

[28] Księga Amosa 9,13.

[29] Nazwy kolumn stojących przed świątynią Salomona.

[30] Księga Jeremiasza 22,19.

[31] Przewisko nadane brytyjskim komandosom z powodu noszonych przez nich czerwonych beretów.

[32] Nazwa członków organizacji Haszomer.

[33] Księga Samuela 26,20.

[34] Księga Joba 39,1.

[35] Księga Joba 38,16.

[36] Księga Joba 38,29.

[37] Cytat z poematu Ibn Gwirola (Awicebrona).

[38] Przypowieści Salomona 23,27.

[39] Baron Rotszyld założył wytwórnię wina w osadzie Riszon le Cijon.

[40] I Księga Królewska 12,14.

[41] II Księga Samuela 20,9.

[42] Sysera – dowódca wojsk Jabina, króla miasta Hasor (Księga Sędziów 4).

[43] Okrzyk arabski, coś w rodzaju: „Dalej! jazda!”.

[44] Ojciec byka (arab.)

[45] Księga Psalmów 37,25.

[46] Księga Sędziów 5,19–21.

[47] Księga Sędziów 3,11.

[48] Kabalistyczna wiara w to, że w dniu Sądu Ostatecznego wszystkie ciała zmarłych Żydów przetoczą się podziemnymi przejściami do Jerozolimy.

- [49] Księga Kaznodziei Salomona 7,18.
- [50] Księga Samuela 17,44.
- [51] Księga Samuela 21,8–10.
- [52] IV Księga Mojżeszowa 22,4.
- [53] Księga Kaznodziei Salomona 3,4–5.
- [54] Przypowieści Salomona 15,17.
- [55] Księga Jeremiasza 20,7.
- [56] Ojciec – tytuł nadawany przez sefardyjskich Żydów cadykom (świątobliwym).
- [57] Księga Jezajasza 51,20.
- [58] I Księga Mojżeszowa 45,28.
- [59] Księga Kaznodziei Salomona 3,19.
- [60] Nazwa organizacji syjonistycznej.
- [61] II Księga Królewska 21,18.
- [62] Księga Jeremiasza 11,16.
- [63] Księga Psalmów 102,7.
- [64] *Erec* – kraj (hebr.)
- [65] Angielska wymowa słowa „penis” brzmi podobnie do nazwiska Pines.
- [66] Przypowieści Salomona 28,15.
- [67] Księga Mojżeszowa 12,1.
- [68] Malaria (arab.)
- [69] Księga Jeremiasza 31,15.
- [70] II Księga Królewska 13,14.
- [71] Josef Trumpeldor (1880–1920) – organizator samoobrony osiedli w Galilei. W wojnie rosyjsko-japońskiej, w Port Artur, stracił rękę.
- [72] I Księga Mojżeszowa 1,16.
- [73] I Księga Mojżeszowa 15,12.
- [74] Walka na pałki.
- [75] Przypowieści Salomona 6,6.
- [76] Księga Kaznodziei Salomona 11,7.
- [77] Księga Kaznodziei Salomona 5,16.
- [78] Księga kaznodziei Salomona 3,19.
- [79] Księga Joba 15,27.



[80] II Księga Mojżeszowa 21,5–6.

[81] Nakazy religijne nie pozwalają na sianie kultur mieszanych.

[82] Parodia części rytuału wieczerzy pesachowej, zaczynającego się od słów *ma nisztana* (czym się różni).

[83] I Księga Mojżeszowa 37,7.

[84] Pieśń nad Pieśniami 8,14.

[85] Księga Jeremiasza 8,7.

[86] Księga Micheasza 7,1.

[87] Koniec lata jest cięższy od samego lata.

[88] Księga Sędziów 4,1

[89] Ortodoksyjni Żydzi w Sądny Dzień wkładają białe chałaty i gimnastyczne pantofle; ma to symbolizować całuny i boscie nogi umarłych.